



Jonathan
FRANZEN

KOREKTY

Powieść nagrodzona National Book Award!!

KOREKTY

Jonathan
FRANZEN

KOREKTY

Z języka angielskiego przełożyli
Joanna Grabarek i Arkadiusz Nakonecznik



Tytuł oryginału:
THE CORRECTIONS

Copyright © 2001 by Jonathan Franzen

Copyright © 2012 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2011 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt okładki: Wydawnictwo Sonia Draga
Wykonanie okładki: DT Studio s.c.
Zdjęcie na okładce: CORBIS

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska
Korekta: Iwona Wyrwisz, Anna Just

ISBN: 978-83-7508-590-7

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax. 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

E-wydanie 2012.

Konwersja do formatu EPUB: [iFormat](#)

Davidowi Meansowi i Geneve Paterson

ST. JUDE

Zimny front nadciągający z nad prerii przynosił szaleństwo. Czuło się, że wydarzy się coś okropnego. Słońce wisiało nisko na niebie, mała plamka światła, stygnąca gwiazda. Nieustające poddmuchy chaosu. Drzewa niespokojne, temperatura coraz niższa, koniec całej północnej religii przedmiotów. Ani jednego dziecka na podwórzach. Długie cienie na żółknącej trawie. Dęby obsypywały żołędziami domy nieobciążone hipoteką, okiennice dygotały w pustych sypialniach. Zawodzenie suszarki do bielizny, nosowy pomruk odkurzacza do liści, dojrzewanie miejscowych jabłek w papierowej torbie, woń benzyny, którą Alfred Lambert czyścił pędzel po porannym malowaniu wiklinowej sofy.

Trzecia po południu była niebezpieczną porą na tych gerontokratycznych przedmieściach St. Jude. Alfred obudził się w ogromnym niebieskim fotelu, w którym zasnął zaraz po lunchu. Już po drzemce, a najbliższe wiadomości lokalne dopiero o piątej. Dwie wypełnione pustką godziny przypominały mu zatoki, w których dojrzewa infekcja. Z trudem dźwignął się z fotela i stanął przy stole pingpongowym, na próżno nasłuchując Enid.

W domu rozlegał się alarm, słyszalny tylko dla nich dwojga: to dzwonił strach. Dźwięk ów nieco przypominał odgłos wydawany przez te wielkie, ogłaszające alarmy urządzenia przeciwpożarowe, wyposażone w mosiężną czaszę i młoteczek. Ten alarm trwał już od tylu godzin, że Lambertowie przestali odbierać go jako sygnał; stało się z nim to samo co z każdym dźwiękiem, któremu zbyt długo się przysłuchujemy (albo z wyrazem, w który wpatrujemy się tak długo, że zamienia się w ciąg nic nieznaczących liter) — do ich uszu docierały fale dźwiękowe wywołane drzeniem metalowego rezonatora, nic, co można by nazwać czystym dźwiękiem, raczej ciągnąca się w nieskończoność sekwencja perkusyjnych uderzeń, wzbogacona zawodzącym pobrzękiwaniem. Alarm rozlegał się już od tylu dni, iż niemal całkowicie wtopił się w tło. Tylko we wczesnoporannych godzinach któreś z nich budziło się czasem złane potem, jasno i wyraźnie uświadamiając sobie, że odkąd sięgnie pamięcią, słyszy w głowie natarczywe dzwonięcie. Alarm rozlegał się od tylu miesięcy, że przemienił się w jakiś metadźwięk, który narasta i słabnie nie w rytmie kumulujących się lub wzajemnie wygaszających fal dźwiękowych, lecz zgodnie ze znacznie bardziej rozciągniętym w czasie narastaniem i wygaszaniem świadomości jego istnienia. Świadomość ta stawała się szczególnie wyraźna podczas niepewnej albo burzliwej pogody. Wówczas Enid i Alfred — ona na kolanach w jadalni, pochylona nad szufladami, on w piwnicy, przy zdradzieckim stole pingpongowym — czuli, że zaraz chyba eksplodują z niepokojem.

Niepokój kuponów premiowych w szufladzie ze świecami w modnych kolorach jesieni. Kuponów zwiniętych w rulon i spiętych gumką. Enid zauważyła, że ich daty ważności — często zaznaczone czerwonymi obwódkami — minęły lata temu. Że kiedyś warte sześćdziesiąt dolarów (a potencjalnie nawet sto dwadzieścia, jako że supermarket w Christville od czasu do czasu podwajał ich wartość) — teraz zamieniły się w zwykły papier. Sześćdziesiąt centów na opakowaniu tilexa, dolar na pudełku excedrinu... Wszystko to należało już do przeszłości. I to bardzo dalekiej. Dzwonek alarmowy dzwonił od lat.

Wrzuciła rulon kuponów z powrotem między świece i zamknęła szufladę. Szukała listu poleconego sprzed kilku dni. Alfred usłyszał pukanie do drzwi i zaczął wołać „Enid! Enid!” tak głośno, że nie słyszał jej odpowiedzi: „Już idę otworzyć!”. Wołał ją i wołał, zbliżając się coraz bardziej, a ponieważ nadawcą listu była Axon Corporation, 24 East Industrial Serpentine 24, Schwenksville, Pensylwania, Enid zaś miała nadzieję, że Alfred nie zna pewnych szczegółów dotyczących aktualnej sytuacji Axonu, które zna ona sama, w pośpiechu ukryła list gdzieś w pobliżu drzwi wejściowych, z pewnością nie dalej niż pięć metrów od nich. Wreszcie Alfred wyłonił się z piwnicy, rycząc jak buldożer: „Enid! Ktoś puka do drzwi!”, na co ona prawie krzyknęła: „To był listonosz”, on zaś

pokręcił głową nad złożonością spraw tego świata.

Enid była przekonana, że jej głowa działałaby znacznie lepiej, gdyby nie musiała bez przerwy zaprzętać jej sobie Alfredem. Starła się jak mogła, a i tak nie potrafiła przywrócić mu zainteresowania życiem. Kiedy mu zasugerowała, żeby ponownie zajął się metalurgią, spojrział na nią tak, jakby postradała rozum. Kiedy zapytała, czy nie miałby ochoty popracować w ogródku, odparł, że bolą go nogi. Kiedy zwróciła mu uwagę, iż mężowie wszystkich jej koleżanek mają jakieś hobby (Dave Schumpert robił witraże, Kirby Root — budki lęgowe dla ptaków, Chuck Meisner zaś na bieżąco kontrolował wartość swojego pakietu akcji), Alfred zareagował tak, jakby próbowała oderwać go od niezwykle ważnego zajęcia. Ale jakie miałyby to być zajęcia? Odmalowywanie mebli na tarasie? Wiklinową sofą zajmował się chyba od Święta Pracy. Była gotowa przysiąc, że kiedy robił to poprzednio, potrzebował zaledwie kilku godzin. Teraz codziennie rano zaraz po śniadaniu znikał w warsztacie, lecz kiedy po miesiącu odważyła się tam zajrzeć, żeby sprawdzić, jak sobie radzi, okazało się, że odmalowane są tylko nóżki.

Wyraźnie zależało mu na tym, żeby sobie poszła. Wyjaśnił, że malowanie trwa tak długo, bo pędzel wciąż mu zasycha. I że skrobanie starej wikliny to równie wdzięczne zadanie jak obieranie jagód ze skórki. I że tu są świerszcze. Dalej nie słuchała, ponieważ poczuła, że nie może oddychać — a może sprawiła to woń rozpuszczalnika połączona z panującą w piwnicy wilgocią cuchnącą trochę moczem (choć to oczywiście nie mógł być mocz). W każdym razie uciekła na górę i kontynuowała poszukiwania listu.

Dzień w dzień, sześć razy w tygodniu, przez szczelinę w drzwiach sypały się dziesiątki listów, a ponieważ na dole nie mogło się zbierać nic przypadkowego — najważniejszą sprawą związaną z mieszkaniem w tym domu było udawanie, że nikt w nim nie mieszka — Enid musiała rozwiązać poważne problemy natury taktycznej. Działała jak partyzant, chociaż nie myślała o sobie w ten sposób. Za dnia przenosiła nielegalne materiały z kryjówki do kryjówki, niekiedy zaledwie o krok przed siłami rządowymi, nocami natomiast, przy blasku uroczej, ale zbyt słabej lampki we wnęce jadalnej zajmowała się mnóstwem spraw: płaciła rachunki, dokonywała bilansu kont, usiłowała zrozumieć okresowe informacje przysyłane przez Medicare oraz wyjaśnić zagadkę groźnego Trzeciego Wezwania do natychmiastowego uregulowania rachunku za usługi medyczne w wysokości 22 centów — tym bardziej tajemniczego, że tuż obok na tej samej kartce znajdowała się informacja o tym, iż bilans rachunku wynosi 0.00, z czego wynikało, że nie są nic winni, a poza tym i tak brakowało adresu lub numeru konta, na które można by wpłacić należność. Całkiem możliwe, że pierwsze i drugie wezwanie walało się gdzieś w domu, lecz Enid nie miała najmniejszego pojęcia, gdzie ich szukać. Przypuszczalnie w szafie w pokoju dziennym, ale siły rządowe — w postaci Alfreda — oglądały właśnie telewizję z maksymalnie rozkręconym regulatorem głośności i przy włączonych wszystkich światłach, należało się więc liczyć z możliwością, że gdyby po otwarciu szafy ze środka wysypała się lawina katalogów, czasopism o upiększaniu domów i rozmaitych ulotek, Alfred wpadłby w gniew. Oczywiście istniała także możliwość, że wezwań tam nie będzie, jako że siły rządowe od czasu do czasu dokonywały niespodziewanych „nalotów” na jej skrytki, grożąc usunięciem całej ich zawartości, ona jednak była zanadto zajęta unikaniem tych wrogich akcji, żeby naprawdę wziąć się za porządki, a w rezultacie ciągłych przenosin, migracji i deportacji nic nie zostało nawet z tych śladowych oznak porządku, które przy dużej dozie dobrej woli dało się wcześniej dostrzec. W związku z tym w schowanej za falbanką przeciwkurtkową torbie na zakupy z naderwanym uchwytem można było znaleźć żalostną mieszaninę rzeczy składających się na dobytek uciekiniera — zebrane na chybił trafił numery „Good Housekeeping”, czarno-białe fotografie Enid z lat czterdziestych, przepisy kucharskie na pożółkłym papierze zachęcające do korzystania ze

zwiądnętej sałaty, bieżące rachunki za gaz i telefon, pierwsze wezwanie do zapłacenia rachunku za usługi medyczne, zawierające prośbę, by ignorować wszystkie kolejne wezwania opiewające na kwotę mniejszą niż pięćdziesiąt centów, zdjęcie z rejsu statkiem wycieczkowym przedstawiające Enid i Alfreda z kwiatowymi girlandami na szyjach, popijających napoje z wydrążonych orzechów kokosowych, albo na przykład ostatnie zachowane egzemplarze aktów urodzenia dwójki ich dzieci.

Chociaż wedle wszelkich pozorów wrogiem Enid był Alfred, to do partyzantki zmusił ją dom, tak bardzo absorbujący uwagę ich obojga. Za szklanymi drzwiami stały krzesła i stoły Ethana Allena. Były tam również stylowe meble Spode'a i Waterforda. Obowiązkowe fikusy, obowiązkowe sosny. Ułożone w łuk egzemplarze „Architectural Digest” na stoliku do kawy ze szklanym blatem. Turystyczne trofea: emaliowane naczynia z Chin, wiedeńska pozytywka, którą Enid nakręcała od czasu do czasu, kierowana poczuciem obowiązku i litością. Pozytywka grała *Strangers in the Night*.

Niestety, Enid do prowadzenia takiego domu brakowało temperamentu, Alfredowi zaś — sprawności neurologicznej. Jego okrzyki wściekłości po odkryciu dowodów działań partyzanckich — kolejnej plastikowej torby na zakupy porzuconej na piwnicznych schodach (przecież mógł się nią potknąć!) — były wrzaskami rządu, który nie potrafił już rządzić. Ostatnio z upodobaniem drukował na swoim wyposażonym w drukarenkę kalkulatorze długie taśmy pokryte pozbawionymi sensu ośmiocyfrowymi liczbami. Po tym, jak poświęciwszy większą część popołudnia na obliczanie składki na ubezpieczenie społeczne sprzątaczk i otrzymawszy cztery różne wyniki, ostatecznie zdecydował się na ten, który powtórzył się dwukrotnie (635,78 \$, podczas gdy powinno to być 70,00 \$), Enid przeprowadziła atak na jego biurko i usunęła stamtąd wszystkie teczki z wyliczeniami podatkowymi, co z pewnością usprawniłoby funkcjonowanie domowej buchalterii, gdyby nie to, że wszystkie trafiły do kolejnej plastikowej torby na zakupy z kilkoma starymi egzemplarzami „Good Housekeeping” dla niepoznaki, to zaś z kolei doprowadziło do tego, że sprzątaczk samodzielnie wypełniała wszystkie formularze, Enid wypisywała czeki, Alfred zaś tylko kręcił głową nad stopniem skomplikowania tego wszystkiego.

Taki już los większości stojących w piwnicach stołów do ping-ponga, że prędzej czy później zaczynają służyć zupełnie innym, bardziej gwałtownym starciom. Zaraz po przejściu na emeryturę Alfred urządził sobie na wschodnim krańcu stołu miejsce, w którym zajmował się sprawami finansowymi i korespondencją. Na zachodnim końcu stał przenośny kolorowy telewizor, w którym zamierzał oglądać miejscowe wiadomości, siedząc w wielkim niebieskim fotelu, obecnie całkowicie przywalonym egzemplarzami „Good Housekeeping”, puszkami po słodyczach oraz bardzo ozdobnymi, lecz tandetnymi świecznikami, których Enid wciąż nie miała czasu zanieść do komisju. Stół pingpongowy był jedynym miejscem, w którym wojna domowa szalała całkiem otwarcie. Na wschodnich rubieżach kalkulator Alfreda otaczały doniczki, szkatułki na drobiazgi oraz dryłownica do wiśni — Enid posiadała ją od ponad trzydziestu lat, ale ani razu jej nie używała — na zachodnich natomiast wały się szczątki zniszczonego stroika z szyszek i orzechów.

Na wschód od stołu znajdował się warsztat, w którym mieściło się laboratorium metalurgiczne Alfreda. W warsztacie zamieszkała dość liczna kolonia niemych świerszczy. Wystraszone, rozprasały się po całym pomieszczeniu niczym garść rzuconych na podłogę szarych kamyków, skakały w górę pod zdumiewającymi kątami, a rozdeptane zostawiały nieładne wilgotne ślady, trudne do usunięcia nawet za pomocą dwóch albo trzech jednorazowych chusteczek. Enid i Alfred mieli wiele — ich zdaniem — nadzwyczaj dokuczliwych, poważnych, a wręcz wstydlivych problemów, i świerszcze z pewnością się do nich zaliczały.

Zakurzone przekleństwa i pajęczyny złych uroków grubą warstwą pokrywały stary piec łukowy, słoje z egzotycznym rodem, złowrogim kadmem i krzepkim bizmutem, ręcznie wypisywane etykiety

pożółkłe od oparów wody królewskiej, notes w kratkę z ostatnim wpisem dokonany ręką Alfreda piętnaście lat temu, gdy po raz pierwszy doszło do zdrady. Tuż obok od co najmniej dziesięciu lat leżał zwyczajny, przyjazny ołówek, który jednak z upływem lat nabierał coraz bardziej wrogich cech. Na gwoździu, między dwoma zaświadczeniami patentowymi w popękanych i spaczonych od wilgoci ramkach, wisały azbestowe rękawice. Obudowę binokularu pokrywała warstwa płatków złuszczonej farby, która spadła z sufitu. Jedyne niezakurzone przedmioty w pomieszczeniu były wiklinowa sofa, puszka z farbą i pędzle, a także dwie duże puszki po kawie. Na przekór dowodom w postaci roztaczającej się nad nimi woni Enid wciąż nie mogła uwierzyć, że zawierały mocz jej męża, no bo przecież kto sikałby do puszek po kawie, mając zaledwie kilka metrów do łazienki?

Na zachód od stołu pingpongowego stał wielki niebieski fotel, tapicerowany, niemal gubernatorski. Zrobiono go ze skóry, ale pachniał jak wnętrze lexusa — jak coś nowoczesnego, medycznego i nieprzepuszczalnego, z czego kilkoma pociągnięciami wilgotnej chusteczki łatwo usunąć zapach śmierci, żeby zaraz ktoś następny mógł w nim usiąść i umrzeć.

Fotel stanowił jedyny poważniejszy nabytek, jakiego Alfred dokonał, nie pytając Enid o zdanie. Kiedyś pojechała z nim do Chin na konferencję poświęconą budownictwu linii kolejowych i odwiedzili fabrykę dywanów, żeby kupić dywan do jadalni. Nie przywykli wydawać pieniędzy na swoje zachcianki, w związku z czym kupili jeden z najtańszych dywanów, beżowy, z prostym niebieskim wzorem z Księgi Przemian. Kilka lat później, kiedy Alfred przeszedł na emeryturę po długoletniej pracy w Midland Pacific Railroad, postanowił wymienić stary, cuchnący krową skórzany fotel, w którym oglądał telewizję i ucinał sobie drzemki. Oczywiście zależało mu na czymś jak najwygodniejszym, lecz po całym życiu spędzonym na zaspokajaniu potrzeb innych łaknął czegoś więcej niż zwykłej wygody: to miał być pomnik wystawiony jego potrzebom. W związku z tym wyruszył zupełnie sam do najdroższego sklepu meblowego w okolicy i wybrał fotel trwały. Fotel inżynierski. Tak wielki, że nikł w nim nawet wielki mężczyzna. Fotel stworzony do tego, by przetrwać warunki znacznego obciążenia. Ponieważ niebieska skóra mniej więcej pasowała do niebieskich wzorków na dywanie, Enid nie pozostało nic innego, jak tylko pogodzić się z obecnością tego monstrum w salonie.

Bardzo szybko jednak Alfred zaczął rozsypywać bezkofeinową kawę na beżowe połacie dywanu, pojawiły się plamy po kredkach i owocach porzucanych przez wnuki, i Enid nabrała przeświadczenia, że dokonali niewłaściwego wyboru. Nie pierwszy raz popełnili błąd wyłącznie z oszczędności. W końcu doszła do wniosku, że nie powinni byli w ogóle kupować dywanu. Wreszcie, gdy drzemki Alfreda wydłużyły się jeszcze bardziej, zebrała się na odwagę. Przed wielu laty odziedziczyła po matce niewielki spadek. Odsetki powiększały kapitał, akcje zwyżkowały, niezbyt imponująca kwota znacznie się powiększyła. Enid postanowiła zmienić wystrój salonu w ten sposób, żeby dominowały w nim zieleń i żółć. Zamówiła materiały obiciowe, wezwała tapeciarza. Alfred ocknął się z drzemki i zerwał się na nogi jak człowiek, któremu przyśnił się koszmary sen.

— Znowu coś zmieniasz?

— Za własne pieniądze — odparła Enid. — Mam ochotę wydać je akurat w taki sposób.

— A co z moimi pieniędzmi? Co z tym wszystkim, co za nie kupiłem?

W przeszłości ten argument zawsze odnosił zamierzony skutek, stanowiąc zarazem coś w rodzaju konstytucyjnego fundamentu tyranii, lecz tym razem stało się inaczej.

— Ten dywan ma już prawie dziesięć lat i nigdy nie uda nam się doprać plam po kawie — stwierdziła.

Alfred wskazał na swój niebieski fotel, który pod folią rozłożoną przez tapeciarza wyglądał jak

coś ogromnego przywiezionego do elektrowni na ciężarówce z platformą. Dygotał z niedowierzania, że Enid mogła zapomnieć o tym druzgocącym obaleniu jej argumentów, o decydującej przeszkodzie na drodze realizacji jej planów. Siedemdziesiąt lat życia spędzonego na ciężkiej pracy i odmawianiu sobie wszystkiego znalazło odkupienie w tym co prawda już sześćioletnim, ale w gruncie rzeczy zupełnie nowym meblu. Twarz Alfreda aż promieniała, rozjaśniona blaskiem perfekcyjnej logiki jego rozumowania.

— A co z fotelem? — zapytał. — W takim razie co zamierzasz zrobić z fotelem?

Enid obrzuciła fotel niechętnym spojrzeniem.

— Nigdy mi się nie podobał.

Chyba nic straszniejszego nie mogła do niego powiedzieć. Fotel stanowił jedyną oznakę tego, że Alfred miał jakieś plany dotyczące przyszłości. Słowa Enid sprawiły mu tak wielki ból — zrobiło mu się niezmiernie żal fotela, żal samego siebie — że odsunął folię, zapadł się w jego objęcia i zasnął. (Po tym właśnie rozpoznaje się magiczne miejsca — że ludzie łatwo w nich zasypiają).

Kiedy stało się jasne, że i dywan, i fotel muszą zniknąć, dywanu udało się pozbyć bez najmniejszych problemów. Enid dała ogłoszenie w lokalnej darmowej gazecie i wkrótce do drzwi zastukała drobna, nerwowa kobieta, która wciąż jeszcze popełniała błędy i która wydobyła z torebki nieporządny zwój pięćdziesięciodolarówek, a następnie rozprostowywała je drżącymi palcami.

A fotel? Fotel był pomnikiem, był symbolem, i dlatego musiał pozostać przy Alfredzie. Jedyne, co można było z nim zrobić, to go przemieścić — znalazł się więc w piwnicy, a Alfred razem z nim. Tak oto w domu Lambertów, tak jak w St. Jude i w całym kraju, życie zeszło do podziemia.

Enid słyszała, jak Alfred grzebie na górze w szufladach. Zawsze, kiedy mieli zobaczyć się z dziećmi, wpadał w stan nadzwyczajnego podniecenia. Chyba już tylko to potrafiło wyrwać go z apatii. Za krystalicznie czystymi oknami salonu panował chaos: dął silny wiatr, tańczyły szalone, mroczne cienie. Enid wciąż szukała listu z Axon Corporation i wciąż nie mogła go znaleźć.

Alfred stał w głównej sypialni, zastanawiając się, dlaczego wszystkie szuflady są wysunięte i kto je powysuwał — może on sam? Winą za swoją dekoncentrację nieodmiennie obarczał Enid. Za to, że była jej świadkiem. I za to, że w ogóle istniała, a więc to ona mogła pootwierać szuflady.

— Co robisz, Al?

Odwrócił się w kierunku drzwi.

— Właśnie... — zaczął, lecz natychmiast zawiesił głos, ponieważ zawsze, kiedy ktoś go zaskakiwał, nawet najprostsze zdanie zamieniało się w wędrówkę przez las; jak tylko tracił z oczu jasną polanę, z której wyruszał, uświadamiał sobie, że okruszki, które rzucał na ziemię, żeby potem odnaleźć drogę powrotną, zostały już wydziobane przez ptaki — małe, przebiegłe, milczące, zwinne stworzenia prawie niewidoczne w mroku, za to tak liczne i ruchliwe, że same zdawały się go tworzyć, jakby mrok nie był jednorodny, nie był brakiem światła, lecz czymś żywym i namacalnym, złożonym z niezliczonych cząsteczek, bo kiedy Alfred we wczesnej młodości zetknął się ze słowem „cząsteczkowy”, to potem przez całe dorosłe życie wyobrażał sobie, iż właśnie w mroku gołym okiem najlepiej dostrzega ową cząsteczkowość, podobną do ziarnistości czułej błony fotograficznej używanej do robienia zdjęć przy słabym oświetleniu, albo do śladów odstręczającego rozkładu; stąd właśnie brała się panika człowieka zagubionego w lesie wypełnionym ciemnością sprowadzoną przez niezliczone roztrzepotane szpaki przesłaniające zachód słońca albo czarne mrówki atakujące martwego oposa, ciemnością, która nie tylko po prostu była, lecz także aktywnie pochłaniała wskazówki, które sobie zawczasu zostawił na wypadek, gdyby stracił orientację; w chwili kiedy sobie uświadomił, że się zgubił, czas w cudowny sposób zwolnił bieg, dzięki czemu Alfred odkrył

nieoczekiwane nieskończoności wciśnięte między słowa, a raczej sam wpadł w nie i utknął w nich na dobre, i mógł już jedynie śledzić wzrokiem czas płynący naprzód już bez jego udziału, a bezmyślna chłopięca część jego duszy wciąż biegła na oślep przez las, podczas kiedy on, dorosły Al, obserwował z przedziwnie bezosobowym zainteresowaniem tego chłopca, zastanawiając się, czy mimo wszystko uda mu się dotrzeć do polany, na której czekała na niego Enid, nieświadoma istnienia lasu.

— ...pakuję walizkę — usłyszał swój głos.

Brzmiało to całkiem sensownie. Czasownik i rzeczownik. Przed nim rzeczywiście leżała walizka, istotne potwierdzenie jego słów. Niczego nie zdradził.

Ale Enid znowu coś powiedziała. Audiolog stwierdził u niego lekki niedosłuch. Zmarszczył brwi, nie zrozumiał.

— Dzisiaj jest czwartek — powtórzyła głośniejszym głosem. — Wyjeżdżamy dopiero w sobotę.

— W sobotę! — odpowiedział jak echo.

Zbeształa go, zmierzchowe ptaki rozpierzchnęły się na chwilę, ale na dworze wiatr zdmuchnął już słońce i robiło się bardzo zimno.

KŁĘSKA

Szli niepewnie długim chodnikiem: Enid utykała, oszczędzając uszkodzone biodro, Alfred mieszał powietrze rozmachanymi rękami i z tupotem stawiał stopy na lotniskowej wykładzinie. Oboje nieśli przewieszane przez ramię torby Nordic Pleasurelines, oboje wpatrywali się w podłogę, trzy kroki do przodu szacując czyhające na nich niebezpieczeństwa. Każdy, kto oderwałby na chwilę wzrok od kłębiących się dokoła nowojorczyków, każdy, kto dostrzegłby słomkowy kapelusz Alfreda sunący wysoko nad tłumem lub żółte wełniane spodnie Enid, opięte ciasno na wykrzywionym biodrze, natychmiast domyśliłby się, że pochodzą ze środkowego zachodu i są mocno onieśmieleni, ale dla Chipa Lamberta, czekającego na nich tuż za stanowiskiem kontroli bezpieczeństwa, byli zabójcami.

W obronnym geście skrzyżował ramiona na piersi, palcami jednej ręki skubiąc żelazny nit w uchu. Obawiał się, że jeszcze chwila, a po prostu go wyrwie, ponieważ ból, jaki sobie zadawał, był znacznie mniejszy niż ten, jakiego potrzebował, żeby się uspokoić. Ze swego stanowiska przy bramce z wykrywaczem metalu obserwował dziewczynę o lazurowych włosach, która wyprzedziła jego rodziców, lazurowowłosą dziewczynę wyglądającą na studentkę college'u, bardzo atrakcyjną nieznajomą z przekłutymi wargami i brwiami. Uświadomił sobie, że gdyby mógł kochać się z nią chociaż przez sekundę, wówczas zdołałby stawić czoło rodzicom, a gdyby powtarzał to co minutę przez cały czas pobytu rodziców w mieście, prawdopodobnie nawet zdołałby przetrwać ich wizytę. Chip był wysokim, atletycznie zbudowanym mężczyzną o kurzych łapkach przy oczach i rzadkich jasnoblond włosach; gdyby dziewczyna zwróciła na niego uwagę, zapewne pomyślałaby, że jest trochę za stary nato, żeby ubierać się w skóry, ale ona tylko przemknęła obok, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, on zaś jeszcze mocniej szarpnął za nit, żeby zagłuszyć ból związany z jej zniknięciem na zawsze z jego życia, po czym skoncentrował uwagę na ojcu, którego twarz właśnie rozpromienił szeroki uśmiech, nieomylny znak, że wypatrzył syna w tłumie obcych ludzi. Alfred podszedł krokiem człowieka brnącego po kolana w wodzie, wyciągnął obie ręce i chwycił Chipa za dłoń i nadgarstek, zupełnie jakby była to lina, którą rzucono, żeby wyciągnąć go z wody.

— No proszę! — zagrzmiał. — No proszę!

Po chwili dokuśtykała Enid.

— Chip! — wykrzyknęła. — Co ty zrobiłeś z uszami?!

— Tato, mamoo... — wymamrotał Chip przez zęby, modląc się w duchu, żeby dziewczyna o lazurowych włosach była już daleko. — Cieszę się, że was widzę.

Przez głowę zdążyła mu przemknąć wywrotowa myśl dotycząca bagaży rodziców: albo Nordic Pleasurelines obdarowywało swymi torbami wszystkich klientów, traktując ich w cyniczny sposób jako żywe słupy reklamowe, albo korzystali z tego prostego sposobu ułatwiającego wyłowienie ich z tłumy na miejscach zbiórek albo przesiadek — może miał to być również łagodny sposób budowania poczucia solidarności zespołowej, albo Enid i Alfred pieczołowicie przechowali swoje torby z poprzedniej wyprawy i kierowani bezsensownym poczuciem lojalności zabrali je również tym razem. Tak czy inaczej, Chipem wstrząsnęła chęć rodziców do przyjęcia roli nośników reklamowych, nie powiedział jednak ani słowa, tylko zarzucił obie torby na ramię i ostatecznie pogodził się ze świadomością, że będzie teraz musiał patrzeć na port lotniczy LaGuardia, Nowy Jork, swoje życie, ubrania i ciało ich rozczarowanymi oczami.

Niemal natychmiast zwrócił uwagę na brudną posadzkę, agresywnych szoferów trzymających tabliczki z wypisanymi nazwiskami, pęk splątanych kabli zwisających z dziury w suficie. Do jego uszu dotarło powtórzone wielokrotnie słowo „skurwiel”. Za wielkimi szybami na poziomie bagażowym dwaj Banglijczycy przy wtórze gniewnego trąbienia pchali w deszczu zepsutą taksówkę.

— Musimy być na nabrzeżu o czwartej — poinformowała go Enid. — Zdaje się, że tata chciał

zobaczyć twoje biurko w „Wall Street Journal”. Prawda, Al? Al? — powtórzyła podniesionym głosem.

Chociaż nieco przygarbiony, Alfred wciąż prezentował się imponująco. Miał siwe, gęste i błyszczące włosy przypominające futro polarnego niedźwiedzia, oraz potężne barki i ramiona — we wspomnieniach Chipa z dzieciństwa zachowały się głównie jako siła napędowa pasa, którym karcono dzieci, w tym także jego — wypełniające szary tweedowy płaszcz.

— Prawda, że chciałeś zobaczyć biurko Chipa? — wykrzyknęła Enid.

Alfred pokręcił głową.

— Nie mamy czasu.

Taśmociąg wciąż był pusty.

— Wziąłeś tabletkę? — zapytała Enid.

— Tak — odparł Alfred, po czym zamknął oczy i powtórzył kilka razy: — Wziąłem tabletkę. Wziąłem tabletkę. Wziąłem tabletkę.

— Dr Hedgpeth przepisał mu nowe lekarstwo — wyjaśniła Enid Chipowi, który był niemal pewien, że ojciec wcale nie wyraził zainteresowania odwiedzeniem jego miejsca pracy. A ponieważ Chip nie miał nic wspólnego z „Wall Street Journal” — czasopismo, do którego od czasu do czasu nieodpłatnie dostarczał materiały, nazywało się „Warren Street Journal: miesięcznik sztuki transgresywnej”; ostatnio ukończył także scenariusz i od dwóch lat, czyli od chwili, kiedy stracił posadę wykładowcy w college’u sztuk pięknych w D. w Connecticut, pracował również dorywczo jako korektor w wydawnictwie prawniczym Bragg Knuter & Speigh (utrata poprzedniej posady wiązała się z aferą wywołaną przez jedną ze studentek, omal nie zakończoną jego aresztowaniem; przerwane zostało wówczas pasmo jego sukcesów, z których matka z pewnością byłaby dumna), wyjaśnił jednak rodzicom, że zrezygnował z nauczania po to, żeby całkowicie poświęcić się pisarstwu, a naciskany przez matkę wymienił tytuł „Warren Street Journal”, ona zaś nieco się przesłyszała i natychmiast naopowiadała niestworzonych historii Esther Root, Bei Meisner i Mary Beth Schumpert; aczkolwiek podczas comiesięcznych rozmów telefonicznych z matką miał wiele okazji, żeby wyjaśnić nieporozumienie, utwierdzał ją w fałszywych wyobrażeniach, choć sytuacja stawała się coraz bardziej skomplikowana, częściowo dlatego, że „Wall Street Journal” był przecież dostępny w St. Jude, a jednak matka ani razu nie wspomniała o tym, że szukała jego artykułów, lecz ich nie znalazła, co zdawało się dowodzić, iż w głębi duszy doskonale zdawała sobie sprawę z fikcji, częściowo zaś dlatego, iż autor publikacji takich jak *Kreatywne kaziroduztwo* i *Doceńmy obskurne motele* starał się utrzymać matkę właśnie w takich złudzeniach, z jakimi „Warren Street Journal” programowo walczył, a mając lat trzydzieści dziewięć, obarczał rodziców winą za to, że jego życie potoczyło się właśnie w taki, a nie inny sposób — wcale się nie zmartwił, kiedy matka zmieniła temat.

— Drzączka znacznie się zmniejszyła — dodała Enid szeptem niesłyszalnym dla Alfreda. — Jedynym skutkiem ubocznym mogą być od czasu do czasu halucynacje.

— Niezły skutek uboczny — mruknął Chip.

— Dr Hedgpeth twierdzi, że stan ojca wyraźnie się poprawił i daje się łatwo kontrolować za pomocą leków.

Alfred rozglądał się po obszernej hali wypełnionej bladymi podróżnymi zgromadzonymi wokół taśmociągów. Na szarej posadzce widniały skomplikowane wzory wyrysowane mokrymi kołami wózków wprowadzonych z zewnątrz. Światło miało barwę choroby komunikacyjnej.

— Nowy Jork! — obwieścił Alfred.

Enid przyglądała się podejrzliwie spodniom Chipa.

— To chyba nie jest skóra?

— Owszem, jest.

— Jak je pierzesz?

— Ich się nie pierze. Są jak moja własna skóra.

— Musimy być w porcie najpóźniej o czwartej.

Na taśmociągu pojawiły się pierwsze bagaże.

— Pomóż mi — zażądał ojciec.

Wkrótce potem Chip wyszedł w miotany wiatrem deszcz, uginając się pod ciężarem wszystkich czterech toreb. Alfred poruszał się w niepewny, urywany sposób jak ktoś, kto dobrze wie, że nie powinien się zatrzymywać, ponieważ miałby poważne problemy z ponownym uruchomieniem. Enid kuśtykała z tyłu, starając się oszczędzać bolące biodro. Od czasu gdy Chip widział ją ostatnio, przybrała nieco na wadze i może trochę się skurczyła. Zawsze była ładną kobietą, on jednak dostrzegał w niej wyłącznie osobowość, nie zaś osobę, w związku z czym nawet kiedy na nią patrzył, nie bardzo zdawał sobie sprawę z tego, jak ona wygląda.

— Co to? Kute żelazo? — zapytał Alfred w posuwającej się powoli naprzód kolejce do taksówek.

Chip odruchowo sięgnął do ucha.

— Tak.

— A wygląda jak stary ćwierćcalowy nit.

— Bo to jest nit.

— Jak go się zakłada? Nitownicą?

— Nie, wali się młotkiem.

Alfred skrzywił się i ze świstem wciągnął powietrze przez zęby.

— Bierzemy udział w wycieczce Barwy jesieni — oznajmiła Enid, kiedy już siedzieli w taksówce mknącej ulicami Queens. — Płyniemy aż do Quebecu, a potem z powrotem i podziwiamy zmieniające się kolory drzew na brzegu. Ojcu bardzo się spodobała nasza poprzednia wycieczka. Prawda, Al? Prawda, że spodobała ci się poprzednia wyprawa?

Deszcz wściekle chłostał ceglane obmurowania brzegów East River. Chip dałby wiele za czyste niebo, pełne słońce, błękitną wodę. Tego dnia jedynym żywym kolorem na drodze były rozmazane za szybą czerwone światła stopu.

— To jedno z najwspanialszych miast świata — powiedział Alfred z przekonaniem.

— A tak w ogóle, to jak się czujesz, tato? — wydusił z siebie Chip.

— Gdybym czuł się trochę lepiej, byłoby mi jak w niebie, a gdybym czuł się trochę gorzej, byłoby mi jak w piekle.

— To wspaniale, że masz tę nową pracę — powiedziała Enid.

— Jedna z najlepszych gazet w kraju: „The Wall Street Journal”! — zadudnił Alfred.

Enid zmarszczyła nos.

— Dlaczego tu tak czuć rybami?

— Bo jesteśmy blisko oceanu — odparł Chip.

— Wcale nie. — Pochyliła się i przytknęła nos do rękawa jego kurtki. — To ty! Chip, twoje ubranie cuchnie rybami!

Wyrwał rękę z jej uścisku.

— Mamo, daj spokój.

Problem Chipa polegał na utracie pewności siebie. Dni, kiedy mógł sobie pozwolić na *épater les bourgeois*, dawno już minęły. Poza mieszkaniem na Manhattanie i piękną przyjaciółką, Julią Vrais, nie miał już niczego, co mogłoby utrzymać go w przekonaniu, że jest w pełni sprawnym dorosłym mężczyzną z jakimikolwiek osiągnięciami, nawet jeżeli żadną miarą nie dało się ich porównać z sukcesami jego brata Gary'ego, bankiera i ojca trojga dzieci, ani siostry Denise, która w wieku lat trzydziestu dwóch była menadżerem modnej restauracji w Filadelfii. Jeszcze niedawno miał nadzieję, że do przyjazdu rodziców zdoła sprzedać swój scenariusz, ale pierwszą wersję ukończył dopiero po północy we wtorek, a potem musiał odrobić trzy czternastogodzinne dyżury u Bragga Knutera & Speigha, żeby mieć na sierpniowy czynsz i ze stosunkowo czystym sumieniem zapewnić właściciela mieszkania o swojej wypłacalności we wrześniu i październiku, oprócz tego musiał zrobić zakupy, posprzątać, a wreszcie, dzisiaj tuż przed świtem, napić się przechowywanego pieczołowicie xanaxa. W związku z tym wszystkim niemal od tygodnia nie widział się z Julią ani z nią nie rozmawiał. Nie odpowiedziała na niezliczone nerwowe wiadomości, które zostawił na jej automatycznej sekretarce: czy mogłaby zjeść lunch z nim, Denise i jego rodzicami w sobotę w południe i żeby w miarę możliwości nie wspominała o tym, że jest mężatką. Nie zadzwoniła ani nie przysłała maila, co nawet kogoś znacznie bardziej stabilnego emocjonalnie od Chipa skłoniłoby do niepokojących domysłów.

Na Manhattanie lało tak mocno, że woda spływała po elewacjach i pieniała się wokół studzienek ściekowych. Kiedy taksówka zatrzymała się przed budynkiem przy Dziewiątej Wschodniej, Chip wziął pieniądze od Enid i podał je kierowcy przez okienko w przezroczystej przegrodzie. Zaraz po tym, jak taksówkarz w turbanie powiedział „dziękuję”, Chip uświadomił sobie, że napiwek jest za niski, wyjął z portfela dwa dolarowe banknoty i poklepał nimi kierowcę po ramieniu.

— Wystarczy! — zaskrzeczała Enid, próbując złapać go za rękę. — Przecież podziękował!

Ale pieniądze już znikły. Alfred mocował się z drzwiami, usiłując otworzyć je korbką od szyby.

— Za to trzeba pociągnąć, tato.

Chip prawie położył im się na kolanach, żeby dosięgnąć klamki.

— Ile dałeś mu napiwku? — zapytała Enid, kiedy pod osłoną markizy czekali, aż taksówkarz wyjmie torby z bagażnika.

— Jakies piętnaście procent.

— Na moje oko to było co najmniej dwadzieścia.

— Świetnie, pokłóćmy się o to. Czemu nie?

— Dwadzieścia procent to dużo za dużo — odezwał się Alfred grzmiącym głosem. — Trzeba zachować rozsądek.

— Życzę miłego dnia wszystkim państwu bardzo — powiedział kierowca właściwie bez ironii w głosie.

— Napiwek to nagroda za jakość usługi i uprzejmość — ciągnęła Enid. — Jeśli jestem z nich wyjątkowo zadowolona, mogę dać piętnaście procent, ale automatyczne doliczanie...

— Przez całe życie cierpię z powodu depresji — powiedział Alfred, a w każdym razie tak to zabrzmiało.

— Słucham? — wykrztusił Chip.

— Lata depresji mnie zmieniły. Zmieniły też wartość dolara.

— Aaa... Chodzi ci o depresję ekonomiczną? Kryzys?

— Poza tym zadowolenie albo niezadowolenie z poziomu usługi można wyrazić na wiele

sposobów — mówiła dalej Enid.

— Niemniej jednak dolar to wciąż dużo pieniędzy — stwierdził Alfred.

— Piętnaście procent to dużo, naprawdę bardzo dużo.

— Naprawdę nie rozumiem, dlaczego o tym rozmawiamy — powiedział Chip do matki. — Dlaczego rozmawiamy właśnie na ten temat, a nie na jakiś inny.

— Nie możemy się doczekać, żeby zobaczyć twoje miejsce pracy — odparła Enid.

Portier imieniem Zoroaster pomógł im wnieść bagaże i wstawił je do powolnej windy. Enid mówiła prawie bez przerwy.

— Parę dni temu spotkałam w banku twojego przyjaciela Deana Dribletta. Pyta o ciebie za każdym razem, kiedy mnie widzi. Twoja nowa praca wywarła na nim wielkie wrażenie.

— Dean Driblett nie był moim przyjacielem, tylko kolegą z klasy.

— Właśnie urodziło im się czwarte dziecko. Chyba mówiłam ci o tym ich ogromnym domu w Paradise Valley? Al, zdaje się, że doliczyłeś się ośmiu pokoiów?

Alfred wpatrywał się w nią nieruchomym spojrzeniem. Chip nacisnął przycisk zamykania drzwi.

— Byliśmy tam w czerwcu na parapetówce — ciągnęła Enid. — Było wspaniale. Zamówili firmę cateringową, a na stołach piętrzyły się piramidy krewetek. Słowo daję, piramidy. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś takiego.

— Piramidy krewetek — powtórzył Chip.

Drzwi wreszcie się zamknęły.

— Dom jest przepiękny. Ma co najmniej sześć pokoiów i wygląda na to, że niedługo w każdym ktoś będzie mieszkał. Dean to prawdziwe dziecko szczęścia. Doszedł do wniosku, że prowadzenie zakładu pogrzebowego to nie dla niego — wiesz, Dale Driblett, ten od Kaplicy Dribletta, to jego ojczym — założył firmę ogrodniczą i teraz gdziekolwiek spojrzeć, pełno jego reklam, a ostatnio zajęł się też ubezpieczeniami zdrowotnymi. Przeczytałam w gazecie, że ma najwięcej klientów w St. Jude. Doskonale sobie radzi, naprawdę.

— Ależ wolno jedzie ta winda — odezwał się Alfred.

— Bo to przedwojenny budynek — wyjaśnił Chip oschłym tonem. — Bardzo piękny budynek.

— A wiesz, jaką niespodziankę szykuje matce na urodziny? Ona jeszcze o niczym nie wie, ale ja już mogę ci powiedzieć. Zabiera ją na osiem dni do Paryża. Dwa bilety pierwszej klasy, osiem noclegów w Ritzu, wyobrażasz sobie? Taki już jest ten Dean: bardzo rodzinny. Wspaniały prezent urodzinowy, nie sądzisz? Al, czy to ty mówiłeś, że ten dom musiał kosztować co najmniej milion dolarów? Al?

— Dom jest duży, ale tandetnie zbudowany — odparł Alfred z zaskakującą energią. — Ściany ma jak z papieru.

— Wszystkie nowe domy są takie.

— Zapytałaś mnie, co myślę o tym domu. Moim zdaniem jest za bardzo na pokaz. Krewetki też były na pokaz. Nie smakowały mi.

— Może były mrożone.

— Ludzie łatwo zachwycają się takimi rzeczami — ciągnął Alfred. — Potem całymi miesiącami opowiadają o piramidach krewetek. Widzisz? — zwrócił się do Chipa jak do neutralnego obserwatora. — Twoja matka wciąż o nich mówi.

Chip przez chwilę odniósł wrażenie, że ojciec zamienił się w sympatycznego nieznanego staruszka, wiedział jednak dobrze, że prawdziwy Alfred jest krzykaczem i pieniaczem. Kiedy

ostatnio odwiedził rodziców w St. Jude — było to cztery lata temu — zabrał ze sobą swoją ówczesną przyjaciółkę Ruthie, tlenioną młodą marksistkę z północnej Anglii, która w rekordowo krótkim czasie naraziwszy się Enid na niezliczoną liczbę sposobów (paliła papierosy w domu, parsknęła śmiechem na widok ukochanej akwareli Enid przedstawiającej pałac Buckingham, przyszła na kolację bez biustonosza i nawet nie spróbowała majonezowej sałatki z orzechów, gruszek i sera, którą Enid przygotowywała jedynie na największe rodzinne uroczystości), tak długo drażniła i judziła Alfreda, aż ten wyraził głośno opinię, że „czarni” doprowadzą ten kraj do upadku, że nie są zdolni do pokojowego współistnienia z białymi, że oczekują, iż rząd rozwiąże wszystkie ich problemy, nie wiedzą, co to znaczy uczciwa praca, brakuje im dyscypliny, że wszystko to doprowadzi do rzezi na ulicach, tak! do rzezi na ulicach!, że nic go nie obchodzi, co Ruthie o nim myśli, ponieważ jest gościem w jego kraju i w jego domu, więc nie ma prawa niczego oceniać ani tym bardziej krytykować. Przez cały czas Chip, który wcześniej ostrzegł Ruthie, że jego rodzice należą do osób o najbardziej wstecznych poglądach w Ameryce, uśmiechał się do niej, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem? Widzisz, nie przesadziłem ani odrobinę!”. Odchodząc od niego niespełna trzy tygodnie później, oświadczyła, że przypomina swojego ojca dużo bardziej, niż mu się wydaje.

— Musisz jednak przyznać, Al — powiedziała Enid, kiedy winda zatrzymała się z szarpnięciem — że przyjęcie było wyjątkowo udane i że to bardzo miło ze strony Deana, że nas zaprosił.

Alfred jakby jej nie słyszał.

Przy drzwiach mieszkania Chipa stała oparta o ścianę przezroczysta parasolka. Chip z ulgą rozpoznał w niej własność Julii Vrais. W chwili gdy wytaszczył z windy bagaże rodziców, drzwi się otworzyły i na korytarz wyszła Julia we własnej osobie.

— O! — powiedziała na jego widok, nieco zmieszana. — Wcześniej jesteś.

Zegarek Chipa wskazywał 11.35. Julia miała na sobie pozbawiony fasonu lawendowy płaszcz przeciwdeszczowy, w ręce trzymała papierową torbę na zakupy z nadrukiem DreamWorks. Długie czekoladowe włosy miała nastroszone od wilgoci i wiatru.

— Witaj — powiedziała osobno do Alfreda i Enid takim tonem, jakim przemawia się do dużych oswojonych zwierząt, oni zaś przedstawili się chóralnie, wyciągnęli ręce do uścisku, niemal wepchnęli ją z powrotem do mieszkania. Enid bezzwłocznie zasypała ją pytaniami, z których Chip, podążając za nimi z bagażami, bez trudu wyławiał podwójne i potrójne znaczenia.

— Mieszkasz gdzie blisko? (Chyba nie mieszkasz z naszym synem, prawda?) Pracujesz w mieście? (Masz pracę? A może pochodzisz z jakiejś snobistycznej, nadzianej rodziny ze wschodniego wybrzeża?) Wychowywałaś się w Nowym Jorku? (Czy urodziłaś się gdzieś za Appalachami, tam gdzie ludzie mają otwarte serca i z reguły nie są Żydami?) Naprawdę masz rodzinę w Ohio? (Czy twoi rodzice poszli za modą i podjęli wątpliwą moralnie decyzję o rozwodzie?) Masz rodzeństwo? (Jesteś rozpieszczoną jedynaczką, czy może katoliczką z milionem rodzeństwa?)

Zakończywszy wstępne przesłuchanie, Enid skoncentrowała się na mieszkaniu. Cierpiący ostatnio na brak pewności siebie Chip podjął próbę poprawienia jego wyglądu. Za pomocą preparatu w aerozolu usunął z czerwonej kanapy wielką plamę po spermie, wyrzucił przyrastającą w tempie kilku sztuk tygodniowo kolekcję korków po winie, zdjął ze ściany w łazience fotografie męskich i żeńskich narządów płciowych stanowiące chlubę jego zbioru sztuki nowoczesnej, a zastąpił je trzema dyplomami, które Enid dawno temu kazała dla niego oprawić. Jednak rano, uznawszy zapewne, że zrezygnował ze zbyt wielkiej części swojej osobowości, przed wyjazdem na lotnisko ubrał się w skórę.

— Ten pokój jest mniej więcej wielkości łazienki w domu Deana Dribletta — stwierdziła Enid.

— Nie sądzisz, Al? — Alfred z uwagą przyglądał się wierzchom dłoni. — W życiu nie widziałam równie wielkiej łazienki.

— Enid, nie masz za grosz taktu — powiedział Alfred.

Gdyby Chip choć przez chwilę się zastanowił, mógłby i tę uwagę uznać za nietaktowną, sugerowała bowiem, że jego ojciec podziela opinię matki i ma jej za złe tylko to, że wyraziła ją na głos, ale Chip myślał wyłącznie o suszarce do włosów wystającej z papierowej torby Julii. To była jej suszarka, którą trzymała w jego łazience. Wyglądało na to, że Julia zmierza w kierunku drzwi.

— Dean i Trish mają wannę z hydromasażem, prysznic i zwykłą wannę — ciągnęła niezrażona Enid. — I osobne umywalki, ma się rozumieć.

— Przykro mi, Chip — powiedziała Julia.

Dał jej znak ręką, żeby chwilę zaczekała.

— Zjemy lunch, jak tylko przyjdzie Denise — poinformował rodziców. — Całkiem zwyczajny lunch, nic specjalnego. A na razie czujcie się jak u siebie w domu.

— Miło było was poznać! — zawołała Julia, po czym dodała znacznie cichszym głosem: — Będzie Denise, dasz sobie radę.

Otworzyła drzwi.

— Przepraszam was na chwileczkę — rzucił Chip do rodziców i wyszedł za Julią, zamykając za sobą drzwi. — To bardzo niewłaściwy moment na takie rzeczy — stwierdził z wyrzutem. — Bardzo, bardzo niewłaściwy.

Julia odgarnęła kosmyki włosów ze skroni.

— A ja bardzo się cieszę, że po raz pierwszy w życiu w takiej sytuacji udało mi się postąpić zgodnie z moim interesem.

— Doskonale. Gratuluję. — Spróbował się uśmiechnąć. — Ale co ze scenariuszem? Czy Eden już go czyta?

— Myślę, że przeczyta go w ten weekend.

— A ty?

— Ja... — Julia odwróciła wzrok. — Już przeczytałam. Większość.

— Mój pomysł polegał na tym, żeby na samym początku zmusić widza do odrobiny wysiłku, żeby pokazać mu coś odstręczającego. To typowa postmodernistyczna metoda. Później robi się znacznie ciekawiej.

Julia bez słowa ruszyła w kierunku windy.

— Dużo zostało ci do końca?

— Chip! — wybuchnęła z rozpaczą w głosie. — Twój scenariusz zaczyna się od sześciostronicowego wykładu o roli fallusa w dramacie elżbietańskim!

Chip doskonale o tym wiedział. Od kilku tygodni niemal co noc budził się przed świtem ze skurczonym żołądkiem i zaciśniętymi zębami, przygnieciony pozostałym po nocnym koszmarze przekonaniem, że w scenariuszu współczesnego filmu mającego przyciągnąć do kin tłumy widzów raczej nie ma miejsca na długi naukowy monolog dotyczący zawilości dramatu elżbietańskiego. Czasem potrzebował kilku godzin — wstawał z łóżka, wędrował w tę i z powrotem po mieszkaniu, popijając merlota albo pinot grigio — aby odzyskać wiarę w to, iż umieszczenie na samym początku takiego monologu nie tylko nie jest błędem, lecz wręcz przeciwnie, doskonałym zabiegiem marketingowym. Teraz jednak wystarczyło mu spojrzeć na Julię, aby zrozumieć, że się mylił.

Skinąwszy energicznie głową na znak, że całkowicie zgadza się z jej krytyczną oceną, otworzył

drzwi i wykrzyknął:

— Jedną chwileczkę! Mamo, tato... Jedną chwileczkę!

Ta krótka przerwa całkowicie wystarczyła, żeby głowę wypełniły mu wielokrotnie przemielone argumenty.

— Zrozum, w tym monologu zawiera się zapowiedź całej intrygi! Są w nim załączki wszystkich problemów: różnice płci, walka o władzę, o tożsamość, o autentyczność... A najważniejsze jest to, że... Zaczekaj! Julio, zaczekaj.

Zatrzymała się przy windzie z pochyloną głową, jakby miała nadzieję, że w ten sposób stanie się niewidzialna.

— Najważniejsze jest to, że ta dziewczyna siedzi w pierwszym rzędzie i słucha tego wykładu. To kluczowa scena! Fakt, że to on przemawia, a ona słucha, oznacza...

— I chyba trochę za często wspominasz o jej piersiach.

To także była prawda, niemniej poruszanie tego tematu odebrał jako rażącą niesprawiedliwość, bo gdyby nie piersi głównej bohaterki, a raczej gdyby nie jego wyobrażenia na ich temat, z pewnością nie zdołałby napisać tego scenariusza.

— Może i masz rację, choć nie robię tego bez powodu. Chodziło mi o podkreślenie ironii wynikającej z faktu, że ona jest zafascynowana jego umysłem, a on...

Julia nie pozwoliła mu dokończyć.

— Kobieta, która to czyta, może pomyśleć, że ma do czynienia z książką kucharską *Potrawy z drobiu*. Piers, pierś, pierś, udo, noga, pierś...

— Mogę usunąć część tych scen. Mogę też skrócić początkowy monolog. Chodziło mi tylko o to, żeby...

— ...zmusić widza do odrobiny wysiłku. Tak, wiem. Doskonały pomysł.

— Zostań na lunchu. Proszę cię, Julio. Bardzo cię proszę.

Dotknęła drzwi windy, które rozsunęły się jak na zawołanie.

— Wydaje mi się jednak, że to trochę obraźliwe wobec tej osoby.

— Ale przecież to nie ty! Ta postać nie ma z tobą nic wspólnego!

— Pięknie. A więc to jakieś inne piersi.

— Boże. Julio, proszę. Zaczekaj chwilkę.

Otworzył drzwi mieszkania i stanął twarzą w twarz z ojcem. Wielkie ręce Alfreda drżały gwałtownie.

— Poproś ją, żeby została. Powiedz jej, że chcemy, żeby została!

Chip skinął głową, zatrzaskał drzwi, ale Julia już zdążyła zniknąć w windzie. Dopadł przycisku i kilka razy uderzył w niego dłonią; nie dało to żadnego rezultatu, więc odwrócił się na piętrze, otworzył drzwi przeciwpożarowe i popędził w dół po schodach.

Po serii błyskotliwych odczytów wieńczących nieustającą pogoń za rozkoszą traktowaną jako sposób obalenia racjonalistycznej biurokracji, BILL QUAINTECE, atrakcyjny młody wykładowca artefaktów tekstowych, daje się uwieść pięknej i darzącej go niezmiernym podziwem studentce MONIE. Ich kipiącą wybujałym erotyzmem przygodę szybko odkrywa odrzucona żona Billa, HILLAIRE. Dochodzi do pełnej napięcia konfrontacji symbolizującej starcie między terapeutyczną i transgresywną wizją świata; Bill i Hillaire walczą o duszę młodej Mony, która leży naga między nimi w skotłowanej pościeli. Hillaire uwodzi Monę za pomocą kryptorepresyjnej retoryki, Mona zaś publicznie ujawnia swój związek z Billem. Bill traci pracę, lecz wkrótce potem natrafia na e-maile świadczące o tym, że Hillaire zapłaciła Monie, by ta zrujnowała mu karierę. Bill wiezie do prawnika dyskietkę z dowodami, lecz jego samochód wpada do wzburzonej rzeki; woda niesie dyskietkę aż do otwartego, erotycznie chaotycznego oceanu, zdarzenie zostaje uznane za nieszczęśliwy wypadek, a w końcowych scenach filmu Hillaire zajmuje miejsce Billa na uczelni i przed audytorium, w którym zasiada także jej diaboliczna kochanka Mona, wygłasza wykład o zagrożeniach bezkrytycznej pogoni za rozkoszą.

Tak wyglądał jednostronicowy konspekt, który Chip spłodził, pomagając sobie dostępnymi w księgarniach podręcznikami scenopisarstwa, i pewnego zimowego poranka wysłał faksem do urzędującej na Manhattanie producentki filmowej nazwiskiem Eden Procurowi. Pięć minut później zadzwonił telefon, bezosobowy kobiecy głos powiedział: „Proszę zaczekać, łączę z Eden Procurowi”, a zaraz potem sama Eden Procurowi wykrzyknęła entuzjastycznie: „Wspaniałe! Wspaniałe! Wspaniałe!”. Od tej chwili minęło półtora roku, jednostronicowy konspekt rozrósł się do rozmiarów 124-stronicowego scenariusza zatytułowanego *Akademia fioletu*, a teraz Julia Vrais, czekoladowowłosa posiadaczka tego bezosobowego głosu, próbowała od niego uciec, on zaś pędził za nią po schodach, przeskakując po trzy i cztery stopnie, chwytając się mocno poręczy na każdym podeście i zmieniając kierunek gwałtownym szarpnięciem oraz mocnym skrętem całego ciała. Przed oczami przesuwały mu się, dzięki przeklętej, niemal fotograficznej pamięci, kompromitujące fragmenty owych 124 stron:

- str. 3: wydatne usta, jędrne krągłe **piersi**, wąskie biodra i
- str. 3: kaszmirowy sweterek ciasno opinający **piersi**
- str. 4: z ponętnie wypiętymi pięknymi młodymi **piersiami**
- str. 8: (zerkając na jej **piersi**)
- str. 9: (zerkając na jej **piersi**)
- str. 9: (spojrzawszy odruchowo na jej **piersi**)
- str. 11: (zerkając na jej **piersi**)
- str. 12: (pieszcząc w wyobraźni jej piękne **piersi**)
- str. 13: (zerkając na jej **piersi**)
- str. 15: (gapiąc się na jej piękne młode **piersi**)
- str. 23: (jej piękne **piersi** otarły się o jego
- str. 24: biustonosz krępujący jej **piersi**)
- str. 28: językiem po zwieńczonej różowym sutkiem, spoconej **piersi**)
- str. 29: fallicznie nabrzmiałe sutki jej spoconych **piersi**
- str. 29: Masz świetne **piersi**.
- str. 30: na punkcie twoich **piersi**.
- str. 33: (**Piersi** HILLAIRE, niczym gestapowskie pociski
- str. 36: spojrzeniem, jakby chciał przeszyć na wylot jej **piersi**
- str. 44: bajeczne **piersi** szorstkim materiałem i
- str. 45: wstydliwie zasłaniając **piersi** ręcznikiem.)
- str. 76: jej szczerze **piersi** ukryte teraz pod
- str. 83: Tęsknię za twoim ciałem, tęsknię za twoimi cudownymi **piersiami**,
- str. 117: reflektory zanurzały się w mętnej wodzie niczym dwie mlecznobiałe **piersi**

Przypuszczalnie było tego jeszcze więcej! Więcej, niż mógł sobie teraz przypomnieć! A wszystko zależało od decyzji dwóch kobiet! Chip był niemal pewien, że Julia rzuciła go, ponieważ *Akademia fioletu* miała nudny początek i zbyt wiele wzmianek o piersiach, i że gdyby udało mu się to zmienić, gdyby udało mu się nanieść poprawki na egzemplarz Julii, a przede wszystkim na laserowy wydruk na kremowym papierze, sporządzony specjalnie dla Eden Procurowi, wówczas zachowałby nadzieję nie tylko na poprawienie swego stanu finansowego, lecz także na dalsze odślanianie i pieszczenie doskonałych, mlecznobiałych piersi Julii, i mniejsza o to, że zarówno dzisiaj, jak i niemal codziennie

przez kilka minionych miesięcy mógł sobie co najwyżej pomarzyć o tym, żeby w tej właśnie czynności znaleźć pociechę po swoich porażkach.

Wypadłszy z klatki schodowej do głównego holu na parterze, zobaczył windę czekającą na następnego pasażera. Sprzed wejścia właśnie ruszała taksówka z wyłączonym podświetleniem tabliczki na dachu. Zoroaster zbierał mopem wodę z marmurowej posadzki przy drzwiach.

— Do widzenia, panie Chip! — zażartował, bynajmniej nie po raz pierwszy.

Wielkie krople deszczu rozbijały się na chodniku, tworząc nad nim rzadką mgiełkę. Przez spływającą z markizy zasłonę z paciorków wody Chip dostrzegł, że taksówka Julii hamuje przed pomarańczowym światłem. Po przeciwnej stronie ulicy ktoś właśnie zwalniał taksówkę; Chipowi zaświtała myśl, że mógłby wskoczyć do niej i kazać kierowcy jechać za tamtym wozem. Pomysł był kuszący — niestety, jego realizacja napotkałaby spore trudności.

Po pierwsze, ścigając Julię, ponad wszelką wątpliwość ponownie dopuściłby się części wykroczeń, których popełnienie zarzuciła mu w ostro sformułowanym liście rada college'u w D. Lista wykroczeń obejmowała między innymi: oszustwo, złamanie zasad kontraktu, uprowadzenie, molestowanie seksualne, podawanie alkoholu niepełnoletniej uczennicy, posiadanie i rozprowadzanie zakazanych środków halucynogennych. Najgorsze były jednak oskarżenia o nękanie obscenicznymi telefonami i próby naruszenia prywatności młodej kobiety. Naprawdę przestraszył się ich i bał się w dalszym ciągu.

Po drugie, tak się akurat niefortunnie składało, że miał w portfelu cztery dolary, niespełna dziesięć dolarów na rachunku bieżącym, wykorzystane do cna dopuszczalne zadłużenie na wszystkich kartach kredytowych i żadnych szans na korektę aż do poniedziałkowego popołudnia. Zważywszy na fakt, iż kiedy ostatnio widział się z Julią sześć dni temu, musiał wysłuchać narzekań na to, że zamiast dokądś pójść, „zawsze” woli, żeby zostali w domu i zjedli spaghetti, a potem „zawsze” bierze się do całowania i uprawia z nią seks (w związku z tym niekiedy wydaje jej się, że on, Chip, uważa seks za coś w rodzaju lekarstwa, i że nie stosuje innych metod „samoleczenia”, takich jak marihuana albo heroina wyłącznie dlatego, że seks jest za darmo, a on robi się coraz bardziej skąpy; że ona, Julia, czuje się właśnie jak lekarstwo, ale czasem odnosi wrażenie, że sama zażywa je podwójnie, co jest szczególnie nie w porządku, zważywszy na fakt, że to ona za nie płaci i że w rezultacie coraz bardziej traci zainteresowanie seksem jako takim; że gdyby to zależało wyłącznie od niego, pewnie przestaliby nawet chodzić do kina, tylko spędzaliby weekendy, kotłując się w łóżku i odgrzewając spaghetti), to należało przypuszczać, iż minimalną ceną za rozmowę byłby wystawny lunch ze świeżo grillowanych warzyw uświetniony butelką sancerre, a na to najzwyczajniej w świecie nie było go w tej chwili stać.

Stał więc bez ruchu, patrząc, jak światło na skrzyżowaniu zmienia się na zielone i taksówka z Julią znika z pola widzenia. Deszcz łomotał w chodniki i jezdnie białymi niezdrowymi kroplami. Z taksówki po drugiej stronie ulicy wysiadła młoda długonoga kobieta w obcisłych dzinsach i eleganckich czarnych kozakach. To, że owa kobieta była jego młodszą siostrą Denise — czyli jedyną atrakcyjną istotą płci żeńskiej na planecie, której widok nie mógł i nie powinien go podniecać — Chip uznał za jeszcze jedną niesprawiedliwość w długim szeregu niesprawiedliwości, jakie spotkały go tego przedpołudnia.

Denise niosła czarną parasolkę, bukietik oraz przewiązane wstążką pudełko z ciastkami. Omijając kałuże i płynące chodnikiem wezbrane strumienie, podeszła do Chipa stojącego pod markizą.

— Posłuchaj — odezwał się od razu z nerwowym uśmiechem, unikając jej wzroku. — Mam do ciebie wielką prośbę: zajmij moje miejsce w okopach, a ja w tym czasie poszukam Eden i zabiorę jej

scenariusz. Muszę natychmiast wprowadzić parę drobnych poprawek.

Denise wręczyła mu parasolkę, zupełnie jakby był portierem albo szoferem, po czym strzepnęła z dzinsów wodę i błoto. Miała ciemne włosy oraz jasną cerę matki i roztaczała wokół siebie taką samą przytłaczającą atmosferę moralnej wyższości jak ojciec. To ona poleciła Chipowi, żeby podczas pobytu rodziców w Nowym Jorku zaprosił ich na lunch. Uczyniła to w taki sposób, w jaki Bank Światowy mógłby dyktować warunki spłaty kredytów jakiemuś zadłużonemu po uszy środkowoamerykańskiemu państewku — i miała ku temu wszelkie powody, ponieważ Chip, niestety, siedział u niej w kieszeni. Krótko mówiąc, był jej winien tyle, ile otrzymałoby się po dodaniu dziesięciu tysięcy, pięciu i pół tysiąca, czterech tysięcy i tysiąca dolarów.

— Eden chce przeczytać go dzisiaj po południu, a ze względu na sprawy finansowe to bardzo ważne, żebym...

— Nie możesz teraz zniknąć — przerwała mu Denise.

— Załatwię to w godzinę, najwyżej w półtorej.

— Julia już jest?

— Nie, wyszła. Przywitała się i wyszła.

— Zerwaliście ze sobą?

— Nie wiem. Nałykała się jakichś leków, więc nawet...

— Zaczekaj chwilę. Chodzi ci o to, żeby pojechać do Eden, czy o to, żeby gonić za Julią?

Musnął koniuszkami palców nit w lewym uchu.

— W dziewięćdziesięciu procentach o to, żeby pojechać do Eden.

— Chip, posłuchaj...

— Nie, to ty posłuchaj. Ona posługuje się słowem „zdrowie” w taki sposób, jakby miało jakieś znaczenie ponadczasowe.

— Julia?

— Od trzech miesięcy łyka jakieś pastylki, które ją przymulają, a ona uważa, że to jest właśnie pełnia zdrowia psychicznego! To tak jakby ślepotę uważać za wzór doskonałego wzroku. Skoro jestem ślepy, widzę, że nie ma co widzieć...

Denise westchnęła i opuściła rękę z kwiatami, tak że prawie dotknęły chodnika.

— Więc co, chcesz pogonić za nią i zabrać jej to lekarstwo?

— Chcę powiedzieć, że struktura całej naszej kultury jest do bani — odparł. — Chcę powiedzieć, że urzędnicy przywłaszczyli sobie prawo do definiowania określonych stanów umysłu jako chorobowych. Brak chęci wydawania pieniędzy uznaje się za objaw choroby wymagającej kosztownego leczenia. Lekarstwo niszczy libido, a więc apetyt na jedyną życiową przyjemność, która jest całkowicie za darmo, w związku z czym trzeba wydawać jeszcze więcej pieniędzy na przyjemności zastępcze. Zdrowie psychiczne to nic innego jak zdolność uczestniczenia w ekonomii konsumpcyjnej. Kupując terapię, kupuje się możliwość kupowania. Chcę też powiedzieć, że ja osobiście właśnie w tej chwili przegrywam walkę ze skomercjalizowaną, zmedycynizowaną, totalitarną nowoczesnością.

Denise przymknęła jedno oko, drugie otworzyła bardzo szeroko. Żrenica i tęczówka zlewały się w jedno, tworząc duży czarny paciorek na białej porcelanie.

— Jeśli powiem, że to bardzo interesujące sprawy, to czy przestaniesz o nich mówić i pójdziesz ze mną na górę?

Chip pokręcił głową.

— W lodówce jest poszetowany łosoś. Sos śmietanowy. Sałatka z fasoli i orzechów. Wino, bułka i masło. To dobre, świeże masło z Vermont.

— Czy przyszło ci do głowy, że tata jest chory?

— Wrócę za godzinę, najpóźniej za półtorej.

— Zapytałam, czy przyszło ci do głowy, że tata jest chory?

Chipowi stanął przed oczami obraz drżącego ojca, mówiącego błagalnym tonem; żeby zablokować to wspomnienie, usiłował sięgnąć pamięcią do seksu z Julią, z nieznaną o luzu włosach, z Ruthie, z kimkolwiek, ale bezskutecznie — wywołał jedynie wizję mściwych, atakujących go jak furie piersi.

— Im szybciej pojedę do Eden i naniosę poprawki, tym szybciej wrócę. Jeśli naprawdę zależy ci na tym, żeby mi pomóc.

Właśnie nadjeżdżała wolna taksówka. Odruchowo zerknął na nią, ale to był błąd, ponieważ Denise opacznie zrozumiała jego spojrzenie.

— Nie mogę dać ci więcej pieniędzy.

Cofnął się raptownie, jakby go opluła.

— Jezu, Denise...

— Chciałabym, ale nie mogę.

— Przecież nie proszę cię o pieniądze.

— Bo to do niczego nie prowadzi.

Odwrócił się na pięcie, wyszedł w ulewę i z twarzą wykrzywioną gniewnym uśmiechem, brodząc po kostki w kipiącym, rozlanym na chodniku jeziorze, pomaszerował w kierunku University Place. W ręce ścisnął zamkniętą parasolkę Denise, ale i tak był przekonany, że to nie jego wina, że to nie w porządku, że jest zupełnie mokry.

Jeszcze całkiem niedawno, nawet nie poświęcając temu zagadnieniu wiele uwagi, Chip wierzył, że w Ameryce można odnieść sukces, nie zarabiając mnóstwa pieniędzy. Zawsze był dobrym uczniem i studentem, ale że od wczesnej młodości jedyną formą działalności ekonomicznej, do jakiej przejawiał jakiegokolwiek uzdolnienia, było robienie zakupów, postanowił poświęcić się karierze intelektualisty.

Ponieważ Alfred wspominał kiedyś mimochodem, że w ogóle nie rozumie potrzeby istnienia czegoś takiego jak teoria literatury, i ponieważ Enid w kwiecistych, pisanych regularnie co dwa tygodnie listach, dzięki którym sporo zaoszczędziła na rozmowach międzymiastowych, nieustająco błagała go, żeby zrezygnował z robienia „niepraktycznego” doktoratu z nauk humanistycznych („Patrząc na wszystkie Twoje nagrody zdobyte w konkursach matematycznych i fizycznych i myślę, jak bardzo taki zdolny młody człowiek jak Ty przydałby się społeczeństwu na przykład jako lekarz, bo musisz wiedzieć, że ojciec i ja staraliśmy się wychowywać Was w taki sposób, żebyście nauczyły się myśleć nie tylko o sobie, lecz także o innych”), Chip nie mógł narzekać na brak motywacji do ciężkiej pracy, żeby udowodnić rodzicom, iż nie mają racji. Wstając z łóżka znacznie wcześniej niż odsypiający kaca koledzy, pilnie gromadził wyróżnienia, nagrody i pochwały pełniące w środowisku akademickim funkcję brzęczącej monety.

W ciągu pierwszych piętnastu lat życia tylko raz, a i to pośrednio, zetknął się z autentyczną porażką. Tori Timmelman, z którą chodził w college’u i długo potem, tak bardzo uległa feministycznemu zaciętrzewieniu i do tego stopnia zniechęciła patriarchalny system awansu i fallometryczny system pomiarów osiągnięć, iż nie zdała matury — może dlatego, że nie chciała zdać,

a może dlatego, że nie była w stanie tego uczynić. Chip dorastał, słuchając wywodów ojca na temat Powinności Mężczyzny i Powinności Kobiety oraz potrzeby zachowania tego rozróżnienia. Dla równowagi przez prawie dziesięć lat mieszkał z Tori w maleńkim mieszkanku, piorąc, sprzątając i opiekując się kotem. Czytał jej lektury, przygotowywał streszczenia, pomagał tworzyć zręby wiekopomnej pracy naukowej, która jednak nie mogła powstać ze względu na intensywność emocji wstrząsających autorką. Dopiero kiedy władze college'u w D. zaproponowały mu pięcioletni kontrakt (w tym samym czasie Tori zatrudniła się na dwa lata w szkole rolniczej w Teksasie), poczuł, że do cna wyczerpał zapasy męskiego poczucia winy i ruszył dalej.

Zjawił się w D. jako atrakcyjny trzydziestotrzylatek o imponującym dorobku. Rektor college'u, Jim Leviton, był prawie gotów zagwarantować mu dożywotnie zatrudnienie. W ciągu pierwszego semestru udało mu się pójść do łóżka z historyczką Ruthie Hamilton oraz w parze z Levitonem zdobyć mistrzostwo szkoły wykładowców w deblu — do którego to celu rektor dążył bezskutecznie od dwudziestu lat.

College w D. był instytucją dość elitarną, funkcjonującą wyłącznie dzięki uczniom, których rodzice opłacali czesne w pełnej wysokości. Aby ich przyciągnąć, za trzydzieści milionów dolarów wybudowano centrum sportowo-rekreacyjne, trzy kawiarnie oraz dwa potężne „zespoły mieszkalne” przypominające nie tyle bursy, co raczej luksusowe hotele, które absolwenci mieli często odwiedzać w świetlanej przyszłości. Było tam mnóstwo skórzanych kanap, a także tyle komputerów, żeby każdy odwiedzający przez cały czas miał w polu widzenia przynajmniej jeden monitor i klawiaturę.

Młodsza kadra naukowa mieszkała w nieporównanie gorszych warunkach. Chip i tak miał sporo szczęścia, ponieważ umieszczono go w zawilgoconym piętrowym segmencie z pustaków przy Tilton Ledge Lane, na zachodnim skraju college'u. Podwórko graniczyło ze strumieniem, który oficjalnie nosił nazwę Kuyper's Creek, nieoficjalnie zaś Złomowy Potok, ponieważ na jego drugim, podmokłym brzegu rozciągało się ogromne złomowisko samochodowe należące do Stanowego Departamentu Penitencjarnego. Władze college'u od dwudziestu lat walczyły w sądach różnych instancji z „postępującą degradacją środowiska naturalnego”, a także „planami budowy na tym terenie więzienia o złagodnym rygorze”.

Co miesiąc lub dwa, dopóki wszystko układało mu się z Ruthie, Chip zapraszał kolegów, sąsiadów, a czasem również jakiegoś rozwiniętego nad wiek ucznia na kolację i zaskakiwał wszystkich langustą, pieczonym jagnięciem lub dziczyzną z jałowcem, oraz jakimś staromodnym deserem w rodzaju czekoladowego fondue. Zdarzało się nawet, że późnym wieczorem, przy stole, na którym puste butelki po kalifornijskim winie tłoczyły się jak wieżowce na Manhattanie, Chip czuł się na tyle bezpiecznie, żeby pośmiać się z siebie, odrobinę otworzyć, opowiedzieć parę wstydliwych historyjek z dzieciństwa. Na przykład o tym, jak to jego ojciec nie tylko ciężko pracował dla Midland Pacific Railroad, czytał książki dzieciom, naprawiał różne rzeczy w domu i codziennie pochłaniał treść co najmniej kilku gazet, lecz także znajdował czas na to, by eksperymentować w umieszczonym w piwnicy laboratorium metalurgicznym, czasem do późnej nocy mieszając rozmaite stopy, przepuszczając przez nie prąd i poddając różnym testom. Kiedy Chip miał trzynaście lat, ogromnie zainteresowały go miękkie jak masło metale alkaliczne, przechowywane w szklanych pojemnikach wypełnionych naftą: krystalicznie połyskujący kobalt, ociężała rtęć, szklane kraniki, lodowy kwas octowy... Stopniowo tworzył własne, oczywiście znacznie mniejsze i skromniej wyposażone laboratorium. Alfred i Enid byli zachwyceni jego nowymi zainteresowaniami i wspierali je z całego serca, on zaś, zachęcony ich poparciem, postanowił wziąć udział w organizowanym corocznie w St. Jude konkursie naukowym dla młodzieży.

Podczas jednego z licznych pobytów w bibliotece miejskiej natrafił na artykuł z dziedziny

fizjologii roślin na tyle błyskotliwy, a zarazem napisany na tyle prostym językiem, że mógł uchodzić za dzieło wybitnie uzdolnionego ósmoklasisty. Zbił z desek specjalną skrzynię, żeby w ściśle kontrolowanych warunkach prowadzić uprawę owsa, przez kilka dni fotografował kielki, po czym zostawił je na kilka tygodni własnemu losowi, a kiedy przyszedł sprawdzić połączony wpływ kwasu giberelinowego i „niezidentyfikowanego czynnika chemicznego”, zastał skrzynię wypełnioną czarną brejowatą substancją. Niezrażony sfabrykował „właściwe” rezultaty eksperymentu, wpisując w tabelki dane, które następnie sprawdził kilkakrotnie, aby mieć pewność, że wszystko trzyma się kupy. Nagrodą za zwycięstwo w konkursie był ogromny puchar oraz podziw ojca. Niespełna rok później, mniej więcej wtedy, kiedy ojciec szykował się do złożenia pierwszego ze swoich dwóch wniosków patentowych (pomimo żalu, jaki żywił do Alfreda, Chip nie omieszczał wielokrotnie podkreślać, jak wspaniałym człowiekiem był — na swój sposób — jego ojciec), Chip udawał, że bada populację ptaków wędrownych w parku w pobliżu sklepów z artykułami dla palaczy marihuany oraz domu kolegi, który miał stół z piłkarzykami i basen w ogrodzie. W jakiejś dziurze znalazł paczkę ze spuchniętymi od wilgoci szmatławymi pisemkami pornograficznymi. Przeszmugłował ją do domu, a następnie w piwnicznym laboratorium — gdzie, w przeciwieństwie do ojca, nie przeprowadził ani jednego prawdziwego eksperymentu — przeglądał je bez końca, pocierając kolistym ruchem główkę nabrzmiałego penisa, przy czym oczywiście nie zdawał sobie sprawy, iż ruch ten, chociaż podtrzymujący erekcję, odsuwał w nieskończoność nadzieję na wytrysk. (Jego gościom, spośród których wielu było przesiąkniętych po czubki uszu najdziwniejszymi teoriami seksualnymi, ten fragment wspomnień nieodmiennie najbardziej przypadł do gustu). Za swoje kręactwa, regularne uprawianie samogwałtu i lenistwo po raz drugi z rzędu otrzymał pierwszą nagrodę w konkursie.

W przesączonej papierosowym dymem, rozluźnionej pokolacyjnej atmosferze, zabawiając współczujących kolegów, Chip miał całkowitą pewność, iż jego rodzice nie mogli bardziej mylić się w ocenach jego osoby oraz przy okazji planowania jego kariery zawodowej. Przez dwa i pół roku, aż do nieudanego Święta Dziękczynienia w St. Jude, nie miał w D. najmniejszych problemów. Dopiero potem rzuciła go Ruthie, a powstała po jej zniknięciu pustkę natychmiast zapełniła pewna studentka z pierwszego roku.

Melissa Paquette była bez wątpienia najbardziej uzdolnioną uczestniczką prowadzonego przez niego kursu wstępnego do teorii literatury o nazwie Analiza narracji. Miała wyniosłe teatralne maniery i nie cieszyła się popularnością wśród koleżanek i kolegów — częściowo dlatego, że jej nie lubili, a częściowo dlatego, że zawsze siadała w pierwszym rzędzie, naprzeciwko Chipa. Natura obdarzyła ją długą szyją i szerokimi ramionami, dziewczyna była jednak pod względem fizycznym nie tyle piękna, co wspaniała. Długie proste włosy miały kolor oleju silnikowego, a kupowane w sklepach z używaną odzieżą ciuchy nie przydawały jej urody: poliestrowe męskie marynarki, trapezowe sukienki w drobne drukowane wzorki, kombinezony robocze.

Nie miała cierpliwości do ludzi, których uważała za głupców. Podczas drugich zajęć z Analizy narracji, kiedy sympatyczny chłopak z masą warkoczyków na głowie imieniem Chad (w D. w każdym zajęciach uczestniczył co najmniej jeden sympatyczny chłopak z masą warkoczyków na głowie) podjął próbę streszczenia teorii literackich Thosteina „Weberna”, Melissa od razu zaczęła posyłać Chipowi konspiracyjne uśmieszki, przewracać oczami, bezgłośnie powtarzać „Veblen”, wiercić się i wzdychać. Wkrótce Chip zwracał znacznie większą uwagę na nią niż na wywody Chada. W końcu nie wytrzymała.

— Wybacz, Chad, ale nazwisko tego człowieka brzmi Veblen.

— Vebern. Veblern. Przecież tak właśnie mówię.

— Nie. Mówisz „Webern”, a powinno być Veblen.

— Aha, Veblern. Dzięki, Melisso.

Odgarnęła włosy z czoła i poszukała wzrokiem Chipa, zadowolona z wypełnionej misji, nic sobie nie robiąc z niezyczliwych spojrzeń, jakimi obrzucali ją koledzy Chada, ale Chip na wszelki wypadek przeszedł w odległy kąt sali, nie nawiązał kontaktu wzrokowego, zachęcił chłopaka, żeby mówił dalej.

Wieczorem tego samego dnia Melissa przepchnęła się przez tłumek przed wejściem do studenckiego kina w Hillard Wroth Hall, żeby oznajmić mu, iż uwielbia Waltera Benjamina. Odniósł wrażenie, że stoi trochę zbyt blisko. Podobne wrażenie odniósł także kilka dni później podczas przyjęcia na cześć Marjorie Garber. Potrafiła przegalopować przez trawnik, żeby wepchnąć mu w rękę swoją cotygodniową pracę. Materializowała się nie wiadomo w jaki sposób na zasypanym śniegiem parkingu i dłońmi w mitenkach oraz znaczną rozpiętością skrzydeł pomagała mu odkopać samochód, wydeptywała dokoła ścieżki swoimi ocieplanymi butami i tak zawzięcie zdrapywała z szyb warstwę lodu, że aż musiał wyjąć jej skrobaczkę z ręki.

Chip współprzewodniczył komisji, która współtworzyła nowe surowe zasady regulujące stosunki między studentami a kadrą naukową. Pomoc przy odsnieżaniu samochodu z pewnością nie wykraczała poza te zasady, a ponieważ Chip mocno wierzył w swoją samodyscyplinę, był święcie przekonany, że nie ma się czego obawiać. Mimo to szybko jakoś zaczął unikać Melissy. Nie chciał, żeby biegła ku niemu co sił w nogach ani żeby stała znacznie bliżej, niż powinna. Pewnego dnia stwierdził, iż zastanawia się, czy Melissa farbuję włosy, i natychmiast nakazał sobie przestać o tym myśleć. Nie zapytał jej, czy to ona podrzuciła kwiaty przed drzwi jego gabinetu w walentynki i czekoladową figurkę Michaela Jacksona w Wielkanoc.

Podczas zajęć wywoływał ją do odpowiedzi nieco rzadziej niż innych studentów, za to dużo uwagi poświęcał jej nemezis, Chadowi. Nie musiał na nią patrzeć, by wiedzieć, że kiwa z uznaniem głową, kiedy wyjaśniał jakiś bardziej skomplikowany ustęp z Marcuse’a lub Baudrillarda. Ona z kolei zwykle ignorowała innych studentów, chyba że zaciekle atakowała ich poglądy albo bezlitośnie wyszydzała pomyłki. Odplacali jej w ten sposób, że kiedy podnosiła rękę, w sali rozlegały się głośne ziewnięcia.

Któregoś ciepłego piątkowego wieczoru pod koniec semestru Chip wrócił z zakupami do domu i stwierdził, że zewnętrzne drzwi jego segmenciku zostały zdewastowane. Trzy spośród czterech latarni przy Tilton Ledge przestały działać; administracja college’u czekała zapewne, aż zgaśnie czwarta, żeby dopiero wtedy zainwestować w nowe żarówki. W mocno przyćmionym świetle Chip ujrzał kwiaty i gałązki wystające z dziur w rozpadających się drzwiach.

— Co to ma być? — spytał głośno. — Melissa, przecież ty jeszcze jesteś na to za młoda!

Powiedział jeszcze parę rzeczy, zanim się zorientował, że chyba nie pozwolił przestępcom dokończyć dzieła, ponieważ jeszcze więcej kwiatów i gałązek leżało bezładnie na stopniach oraz że nie jest sam. Z krzaków przy schodkach wyłoniły się dwie chichoczące postaci.

— O rety! — wykrztusiła Melissa. — Zdaje się, że pan mówił do siebie!

Chip bardzo chciał wierzyć, że nie słyszała jego słów, ale od krzaków nie dzielił go nawet metr. Wniósł zakupy do domu, po czym włączył światło nad drzwiami. Melissie towarzyszył warkoczkowaty Chad.

— Dobry wieczór, panie profesorze — powiedział poważnie chłopak.

Miał na sobie roboczy kombinezon Melissy, ona zaś T-shirta z napisem „Uwolnić mumię”, która mogła należeć do Chada. Zarzuciła mu ramię na szyję, napierała biodrem na jego biodro. Była

zarumieniona, spocona i czymś podbuzowana.

— Postanowiliśmy ozdobić pańskie drzwi — oświadczyła.

— Szczerze mówiąc, dopiero teraz wyglądają okropnie — stwierdził Chad, obrzuciwszy je krytycznym spojrzeniem. Przywiednięte tulipany sterczały z otworów pod najróżniejszymi kątami, zielone gałązki były powalane ziemią. — Nie za bardzo nam wyszło to zdobienie.

— Wszystko dlatego, że tu nic nie widać! Gdzie jest światło?

— Tu nie ma światła — odparł Chip. — Znajdujecie się w getcie. Tak mieszkają wasi wykładowcy.

— To zielsko jest żalosne.

— Czyje to tulipany? — zapytał Chip.

— College'u — powiedziała Melissa.

— Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiliśmy. — Chad pozwolił, żeby dziewczyna przez jakiś czas ssała jego nos, a następnie odwrócił głowę. — Mam jednak wrażenie, że to był bardziej twój pomysł niż mój.

— Za nasze chesne posadzą sobie nowe tulipany.

Melissa jeszcze mocniej napała swoim ciałem na ciało Chada. Od chwili, kiedy Chip włączył lampę nad wejściem, nawet na niego nie spojrzała.

— A więc Jaś i Małgosia znaleźli moją małą chatkę...

— Zaraz wszystko posprzątamy — powiedział Chad.

— Zostawcie to — odparł Chip. — Zobaczymy się we wtorek.

Wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i nastawił głośno gniewną muzykę ze swojej młodości.

Ostatnie zajęcia z Analizy narracji odbywały się przy upalnej pogodzie. Słońce świeciło niemiłosiernie na wypełnionym pyłkami niebie, w arboretum wszystkie rośliny okrytozałązkowe kwitły jak szalone. Chip czuł się trochę tak, jakby pływając w basenie, natrafił na miejsce z podejrzanie ciepłą wodą. Zdażył już włączyć magnetowid i opuścić kotary, kiedy Melissa i Chad weszli nieśpiesznym krokiem i zajęli miejsca w najdalszym kącie. Chip przypominał studentom, że mają być aktywnymi krytykami, a nie pasywnymi konsumentami, lecz nie dostrzegł wśród słuchaczy szczególnej mobilizacji. Melissa, zazwyczaj najaktywniejsza z krytyków, niemal zwiślała bezwładnie z krzesła, położywszy ramię na kolanach Chada.

W celu przetestowania umiejętności krytycznej percepcji, którą próbował wpoić swoim uczniom, Chip pokazał im sześcioczęściową reklamówkę zatytułowaną *Naprzód, dziewczyno*. Reklamówka stanowiła dzieło agencji Beat Psychology, która wyprodukowała także *Wyjść z wściekłości* dla G... Electric, *Pobrudź mnie* dla C... Jeans, *P...rzoną anarchię* dla W... Network, *Radykalne psychodeliczne podziemie* dla E...com oraz *Miłość i pracę* dla korporacji farmaceutycznej M. *Naprzód, dziewczyno* nadano po raz pierwszy jesienią minionego roku, podczas prezentowanego w godzinach najwyższej oglądalności serialu medycznego. Według analiz zamieszczonych w „Timesie” i „Wall Street Journal”, ta czarno-biała, zrealizowana w konwencji paradokumentu reklamówka zasługiwała na miano rewolucyjnej.

Intryga przedstawiała się następująco: Cztery kobiety pracujące w niewielkim biurze (urocza Afroamerykanka, cierpiąca na technofobię blondynka w średnim wieku, rezolutna i energiczna piękność imieniem Chelsea oraz siwowłosa, mądra i wyrozumiała Szefowa), plotkują, przekomarzają się, aż wreszcie, pod koniec drugiego odcinka, próbują się zmierzyć z oświadczeniem Chelsea, która wyznała, że już rok wcześniej wyczuła w piersi mały guzek, ale nie miała odwagi zgłosić się do

lekarza. W trzecim odcinku Szefowa do spółki z uroczą Afroamerykanką wprawiają w szalone zdumienie jasnowłosą technofobkę, wykorzystując dostarczone przez korporację W. oprogramowanie Global Desktop Version 5.0 w celu błyskawicznego uzyskania najświeższych informacji dotyczących raka piersi, zapisania Chelsea do grup dyskusyjnych i nawiązania kontaktu z najlepszymi specjalistami. Blondynka, która dzięki pomocy koleżanek szybko uczy się kochać nowoczesne technologie, jest zachwycona, ale zgłasza jedno zastrzeżenie: „Przecież Chelsea nie będzie stać na to wszystko!”, na co anielsko dobra Szefowa odpowiada: „Nie przejmuj się, ja zapłacę”. Mniej więcej w połowie odcinka piątego staje się jednak jasne — i właśnie dzięki temu cała koncepcja zasłużyła na określenie „rewolucyjna” — że Chelsea nie wygra walki z chorobą. Następują wzruszające sceny przerzucania się zuchowatymi żartami i wymieniania serdecznych uścisków. W ostatnim odcinku widzimy Szefową wpatrującą się w widoczną na ekranie monitora podobiznę zmarłej Chelsea, a także dotkniętą obecnie technofilią blondynkę mistrzowsko posługującą się dostarczonym przez korporację W. oprogramowaniem Global Desktop Version 5.0. Pojawiają się również inne kobiety z całego świata, uśmiechające się ze wzruszeniem i ocierające łzy przed ekranami, na których Global Desktop Version 5.0 prezentuje im fotografię Chelsea. Sama zmarła, w wygenerowanym cyfrowo wideoklipie, prosi: „Pomóżcie nam szukać lekarstwa”. Na koniec pojawia się informacja, iż korporacja W. przekazała już ponad dziesięć milionów dolarów Amerykańskiej Organizacji na rzecz Walki z Rakiem.

Zgrabna reklama tego typu mogła omamić studentów pierwszego roku, nieuzbrojonych w krytyczne narzędzia odporności i analizy. Chip był ciekaw — choć równocześnie trochę bał się to sprawdzić — ile zdołał nauczyć swoich podopiecznych. Z wyjątkiem Melissy, której wszystkie prace charakteryzowała jasność wypowiedzi i starannie dobrana argumentacja, wszyscy zdawali się tylko powtarzać jak papugi to, co usłyszeli na zajęciach. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, iż każdy kolejny rocznik jest odrobinę bardziej odporny na wiedzę i że co roku chwila osiągnięcia masy krytycznej (albo, jeśli ktoś woli, oświecenia) następuje nieco później. Teraz, pod koniec semestru, Chip nie miał żadnej pewności, czy oprócz Melissy ktokolwiek w tej grupie ma pojęcie, w jaki sposób dobrać się do skóry stereotypom kultury masowej.

Pogoda również mu nie sprzyjała. Gdy tylko uniósł rolety, do sali wdarł się plażowy blask słońca. O tęsknocie za latem świadczyły nagie ramiona i nogi chłopców i dziewcząt.

Niska i drobniutka, przypominająca chihuahue osobka imieniem Hilton zauważyła, że uśmiercenie Chelsea było śmiałym i interesującym posunięciem. Chip czekał, aż ktoś odpowie na to, iż właśnie owo śmiałe i odważne posunięcie, przez niektórych określone nawet mianem rewolucyjnego, zapewniło reklamówce taką popularność. Zwykle mógł liczyć na Melissę, tym razem jednak nie siedziała na swoim miejscu w pierwszym rzędzie, lecz obok Chada, z policzkiem przyciśniętym do blatu stolika. Chip nie dopuszczał do tego, żeby studenci ucinali sobie drzemkę podczas zajęć, ale dzisiaj wolał nie wypowiadać głośno imienia Melissy, obawiając się, że głos mógłby mu zdrześć. Oczekiwanie przedłużało się, aż w końcu z cierpkim uśmiechem na ustach rzekł:

— Na wypadek, gdybyście minionej jesieni wszyscy przebywali na innej planecie, przypomnijmy sobie dalsze losy tych reklamówek. Ludzie z Nielsen Media Research również zdecydowali się na rewolucyjne posunięcie i uwzględnili odcinek szósty w cotygodniowych ocenach. Była to pierwsza ocena przyznana filmowi reklamowemu. Głównie temu należy zawdzięczać nadzwyczajną oglądalność tej reklamy podczas powtórnej emisji w listopadzie. Nie zapominajcie również, iż wszystkie media przez dłuższy czas wałkowały rewolucyjne uśmiercenie Chelsea, a w internecie pojawiły się nawet plotki, jakoby Chelsea istniała naprawdę i rzeczywiście zmarła na raka piersi. Nieprawdopodobne, ale uwierzyło w nie kilkaset tysięcy ludzi, głównie dzięki temu, że Beat

Psychology sfabrykowała jej cały życiorys oraz historię choroby i umieściła na swojej stronie. W związku z tym chciałbym zadać Hilton pytanie, jak wielkiej odwagi wymaga wyprodukowanie takiego pewniaka?

— Ryzyko i tak istniało — odparła dziewczyna. — Śmierć dołuje ludzi. Mogło się nie udać.

Chip znowu czekał na kogoś, kto podjąłby i rozwinął przytoczoną przez niego argumentację. Nikt się nie zgłosił.

— Czy mam więc rozumieć, że jeśli cynicznemu posunięciu towarzyszy ryzyko finansowe, to owo posunięcie zamienia się w akt odwagi artystycznej?

Na trawnik za oknami przypuściła atak eskadra przeraźliwie warczących kosiarek. Słońce świeciło coraz jaśniej. Mimo to Chip brnął dalej. Czy to prawdopodobne, żeby właścicielka niewielkiej firmy z własnej kieszeni płaciła za kosztowne leczenie pracownika? Ktoś z sali zauważył, że szef, u którego pracował w poprzednie wakacje, był bardzo hojny i w ogóle super.

Jedna ręka Chada zmagą się z przebierającą palcami ręką Melissy, druga głaskała ją po odkrytym brzuchu.

— A co ty powiesz, Chad? — zapytał go wprost Chip.

O dziwo, nie musiał powtarzać pytania.

— Może to był wyjątek. W innej firmie coś takiego byłoby niemożliwe, a akurat w tej się zdarzyło. Przecież nikt nie twierdzi, że to norma, prawda?

Chip spróbował podnieść problem, czy sztuka powinna wiernie naśladować rzeczywistość, czy ją kształtować, lecz i tym razem jego wysiłki nie przyniosły żadnego rezultatu.

— A więc podsumowując dyskusję, możemy stwierdzić, że ta kampania reklamowa bardzo nam się podobała oraz że podobne do niej przedsięwzięcia reklamowe dobrze służą krajowi i jego kulturze, czy tak?

Część słuchaczy wzruszyła ramionami, część skinęła głowami, większość nie zareagowała.

— Jeszcze nie poznaliśmy twojego zdania, Melisso.

Melissa podniosła głowę, oderwała wzrok od Chada i spojrzała na Chipa zmrużonymi oczami.

— Tak — powiedziała.

— Co „tak”?

— Tak, takie reklamy dobrze służą krajowi i jego kulturze.

To go zabolalo. Wciągnął głęboko powietrze.

— Wspaniale. Ekstra. Dziękuję za opinię.

— Tak jakby panu na niej zależało.

— Proszę?

— Tak jakby panu zależało na czyjejkolwiek opinii, chyba że jest taka sama jak pańska.

— Tu nie chodzi o opinie, tylko o umiejętność stosowania krytycznych metod analizy — odparł Chip. — Właśnie tego staram się was nauczyć.

— Nie wydaje mi się — stwierdziła Melissa wyniosłym tonem. — Moim zdaniem stara się pan nauczyć nas nienawidzić tych samych rzeczy, których pan nienawidzi. Panu nie podobała się ta reklamówka, prawda? Poznają to po pańskim głosie.

Przez salę przebiegł szmer, senna atmosfera natychmiast się ulotniła. Być może ani Chad, ani Melissa nie byli szczególnie lubiani, ale teraz dziewczyna zaatakowała Chipa nie jak studentka, lecz jak rozgniewany pełnoprawny partner, i wszystkim ogromnie to zaimponowało.

— Rzeczywiście, nie podobała mi się — przyznał Chip. — Ale to jeszcze nie znaczy...

— Owszem, znaczy.

— Dlaczego się panu nie podobała? — zawołał Chad.

— Właśnie! — pisnęła mała Hilton. — Proszę nam powiedzieć!

Chip zerknął na zegar ścienny. Do końca semestru zostało jeszcze sześć minut. Przesunął ręką po włosach i potoczył wzrokiem po sali, jakby w nadziei, że znajdzie choć jednego sojusznika, ale w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że nie ma co na to liczyć.

— Przeciwno korporacji W. toczą się obecnie trzy niezależne postępowania w sprawach o naruszenie ustaw antytrustowych — zaczął. — Jej ubiegłoroczne przychody przewyższyły produkt narodowy Włoch. Teraz, w celu wyciśnięcia pieniędzy z jedynej niezagospodarowanej części populacji, cynicznie wykorzystuje lęk kobiet przed rakiem piersi oraz współczucie dla jego ofiar. Tak, Melisso?

— To nie jest cynizm.

— W takim razie co, jeśli wolno spytać?

— To docenianie kobiet aktywnych zawodowo. To zdobywanie pieniędzy na walkę z rakiem. To zachęta do profilaktyki. To wskazówka dla kobiet, że one też mogą w pełni korzystać z najnowocześniejszych technologii, że to nie jest tylko zabawka dla facetów.

— W porządku — odparł Chip. — Wydaje mi się jednak, że problem nie polega na tym, co myślimy o raku piersi, ale na tym, co rak piersi ma wspólnego ze sprzedawaniem oprogramowania.

Chad postanowił pospieszyć w sukurs Melissie.

— I właśnie o to chodzi w tej reklamówce: dostęp do najświeższych informacji może ocalić ci życie!

— Więc jeśli Pizza Hut doda do swoich reklam krótkie zdanko zachęcające mężczyzn do przeprowadzania regularnych badań jąder, będzie mogła z dumą ogłosić, że aktywnie uczestniczy w ogólnonarodowej kampanii na rzecz walki z rakiem?

— Oczywiście.

— Czy naprawdę nikt z was nie dostrzega niczego nieetycznego w takim postępowaniu?

Nikt nie dostrzegał. Melissa przyglądała mu się z krzywym uśmiechem, ale bez rozbawienia. Chip czuł się tak — i mało go obchodziło, czy ma rację czy nie — jakby w ciągu pięciu minut zniszczyła wszystko, co udało mu się osiągnąć w ciągu całego semestru.

— W takim razie weźcie pod uwagę, że *Naprzód, dziewczyno* nigdy by nie powstała, gdyby korporacja W. nie zamierzała wprowadzić na rynek nowego produktu. Weźcie również pod uwagę, że życiowy cel ludzi pracujących w W. to wykorzystać opcje na zakup akcji i przejść na emeryturę w wieku trzydziestu dwóch lat oraz że życiowy cel ludzi posiadających już te akcje (należeli do nich Gary i Caroline, brat i bratowa Chipa) to budowanie większych domów, kupowanie większych terenówek i konsumowanie większej ilości ograniczonych zasobów naszej planety.

— Co jest złego w zarabianiu na życie? — zapytała Melissa. — Dlaczego zarabianie pieniędzy ma być czymś z gruntu obrzydliwym?

— Baudrillard powiedziałby zapewne, że zło takich kampanii reklamowych polega na nadaniu określonym sygnałom zupełnie nowych znaczeń. Sygnał w postaci kobiecego płaczu nie oznacza już tylko smutku, lecz także „Chcę mieć nowe oprogramowanie” albo „Nasi pracodawcy ogromnie się o nas troszczą”.

Ścienny zegar pokazywał drugą trzydzieści. Chip umilkł, czekając na dzwonek i koniec semestru.

— Bardzo przepraszam, ale to wszystko bzdury — powiedziała Melissa.

— Co masz na myśli?

— Te całe zajęcia. To jedna wielka bzdura. Uczymy się o różnych krytykach, którzy załamują ręce nad stanem krytyki, a nikt nie potrafi powiedzieć, co naprawdę jest nie w porządku. Wiedzą tylko tyle, że wszystko jest złe, że „korporacja” to paskudne słowo, a jeśli ktoś dobrze się bawi albo zarabia pieniądze, jest obrzydliwy! Zły! I zawsze chodzi o śmierć czegoś tam. I o ludzi, którym się wydaje, że są wolni, chociaż naprawdę są zniewoleni. I o tych, którzy myślą, że są szczęśliwi, choć naprawdę są nieszczęśliwi. I o to, że nie można już w radykalny sposób krytykować społeczeństwa, chociaż nikt nie potrafi wytłumaczyć, co takiego okropnie złego stało się ze społeczeństwem, żeby potrzebowało takiej radykalnej krytyki. Jakie to typowe, że nie podobają się panu te reklamy! — W korytarzach Wroth Hall wreszcie zabrzmiał dzwonek. — Kobietom, kolorowym, gejom i lesbijkom dzieje się coraz lepiej, stają się coraz bardziej otwarci, integrują się ze społeczeństwem, a pan wywleka jakieś drugorzędne, nikogo nieobchodzące problemy i głądzi o sygnałach i znaczeniach. Z reklamówki, która zrobiła dla kobiet wiele dobrego, zrozumiał pan tylko tyle, że niedobrze być bogatym i niedobrze pracować dla wielkiej korporacji, i tak, słyszałam dzwonek.

Zamknęła notatnik.

— Doskonale — odparł Chip z goryczą. — W taki oto sposób zakończyliście jeden z kursów kulturoznawstwa. Życzę wam udanych wakacji.

Pochylił się nad magnetowidem, naciskał guziki przewijania, stop, wysunięcia kasety tylko po to, żeby zająć czymś ręce. Czuł, że kilkoro studentów ociąga się z wyjściem, jakby czekali na okazję, żeby podziękować mu za całoroczny trud i powiedzieć, że podobały im się zajęcia, ale podniósł głowę dopiero wtedy, gdy sala opustoszała. Potem wrócił do domu i zaczął pić.

Zarzuty Melissy dotknęły go do żywego. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo wziął sobie do serca zalecenia ojca, żeby robić coś użytecznego dla społeczeństwa. Krytykowanie chorej kultury, nawet jeśli nic z tego nie wynikało, uważał za taką właśnie pracę, ale jeśli owa choroba wcale nie była chorobą i jeśli Wielki Materialistyczny Mit technologii, zaspokajania konsumenckich apetytów oraz rozwoju medycyny rzeczywiście przyczyniał się do poprawy losu tych, którym do tej pory wiodło się najgorzej, i jeśli tylko heteroseksualni biali mężczyźni, tacy jak Chip, nie mogli się pogodzić z jego istnieniem, wówczas krytyczne nastawienie do świata nie miało najmniejszego sensu, ba, było wręcz całkowicie bezużyteczne. Krótko mówiąc, jak powiedziała Melissa, wszystko to były bzdury.

Ponieważ zabrakło mu energii, żeby wziąć się za pisanie nowej książki, kupił potwornie drogi bilet do Londynu, stamtąd pojechał autostopem do Edynburga i stanowczo nadużył gościnności pewnej szkockiej aktorki, która poprzedniej zimy przedstawiała swoje performances w college’u w D. W końcu jej chłopak stracił cierpliwość i grzecznie, lecz stanowczo wyprosił go z domu, więc Chip wyruszył w dalszą drogę z plecakiem wypełnionym dziełami Heideggera i Wittgensteina, do których nawet nie zajrzał, ponieważ czuł się zbyt samotnie. Nie chciał myśleć o sobie jako o mężczyźnie, który nie potrafi żyć bez kobiety, lecz prawda przedstawiała się w ten sposób, że nie pieprzył się od chwili, gdy rzuciła go Ruthie. Był jedynym mężczyzną wśród wykładowców w historii college’u w D., który uczył teorii feminizmu i doskonale rozumiał, jakie to ważne, by kobieta nie utożsamiała sukcesu z faktem posiadania męskiego partnera, a porażki — z jego brakiem. Tak czy inaczej, był heteroseksualnym samotnym mężczyzną, a heteroseksualny samotny mężczyzna nie ma pod ręką żadnej teorii maskulinizmu, na której mógłby się wesprzeć.

¶ Przekonanie, że nie może egzystować bez kobiety, uczyniło mężczyznę słabym;

¶ A jednocześnie wiódąc życie bez kobiety, mężczyzna utracił zdolność działania i różnicowania, stanowiącą — na dobre i na złe — podstawę jego męskości.

W niejednym szkockim deszczowym poranku, w jakimś zielonym miejscu, Chip czuł, że już, już, prawie jest w stanie wyzwolić się spod tego obojętniającego uroku i odzyskać tożsamość, a wraz z nią poczucie sensu życia, lecz o czwartej po południu nieodmiennie pił piwo na jakiejś stacji kolejowej, zagryzając frytkami z majonezem i podrywając dziewczyny z amerykańskich college'ów. W odnoszeniu znaczących sukcesów w tej dziedzinie z pewnością przeszkadzała mu ambiwalencja uczuciowa oraz brak szkockiego akcentu, działającego z piorunującą siłą na młode Amerykanki. Udało mu się tylko jeden jedyny raz, z pewną hippiską z Oregonu, która miała plamy z keczupu na koszulce oraz tak brudne i cuchnące włosy, że niemal przez całą noc musiał oddychać przez usta.

Jednak zaraz po powrocie do Connecticut wszystkie jego klęski nabrały raczej komicznej niż dramatycznej wymowy, szczególnie gdy opowiadał o nich nieudacznikom tworzącym grono jego najbliższych przyjaciół. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, iż jego szkocka depresja stanowiła rezultat zbyt tłustej diety; zbierało mu się na torsje, ilekroć pomyślał o połyskujących olejem smażonych rybach, o skąpanych w oleju frytkach, o przetłuszczonych włosach albo nawet o Firth of Forth.

Na cotygodniowym targowisku w pobliżu D. kupował od farmerów dorodne pomidory, białe oberżyny i złociste śliwki o cienkiej skórce. Jadał rakiety (zwaną przez starszych farmerów „rakieta”) tak mocną, że łzy płynęły mu z oczu, jak po lekturze akapitu z Thoreau. Zdyscyplinował nie tylko odżywianie, lecz także inne dziedziny swojego życia. Odstawił alkohol, dłużej sypiał, pił mniej kawy i dwa razy w tygodniu odwiedzał siłownię. Wziął się za tego cholernego Heideggera i gimnastykował się codziennie rano. Stopniowo, im dłużej trwała ta autonaprawcza terapia, odzyskiwał spokój ducha i zapał do pracy, a nawet poczucie satysfakcjonującego samozadowolenia. W przerwach między setami Jim Leviton zapewniał go, że podpisanie stałego kontraktu to tylko formalność, że nie powinien zaprzętać sobie głowy współzawodniczeniem z drugim młodym wykładowcą na jego wydziale, Vendlą O'Fallon. W semestrze jesiennym miał prowadzić zajęcia z poezji renesansowej i Szekspira, w związku z czym nie widział konieczności gruntownej przebudowy swojego krytycznego arsenału. Szykując się do decydującego ataku na wierzchołek, na którym czekała na niego umowa bezterminowa, postanowił nie obarczać się zbyt ciężkim balastem i był niemal zadowolony z tego, że w jego życiu nie ma żadnej kobiety.

Któregoś wrześniego piątku szykował sobie kolację z brokułów, dyni i świeżej gotowanej ryby, z przyjemnością myśląc o wieczornym sprawdzaniu prac, kiedy za kuchennym oknem rozległy się ciche stąpnięcia. Znał je doskonale. Doskonale znał też towarzyszące im odgłosy. Dobrze wiedział, jak chodzi Melissa, że mijając krzak lub żywopłot nie jest w stanie powstrzymać się przed muśnięciem dłonią gałązek lub liści. Niespodziewanie zatrzymała się w korytarzu, żeby przeciwiczyć skomplikowany krok taneczny, chodziła tyłem albo bokiem, podskakiwała, kręciła się jak fryga.

Pukanie w zewnętrzne drzwi nie nosiło żadnych znamion skruchy. Zobaczył przez szybę, że dziewczyna trzyma talerz z babeczkami pokrytymi różowym lukrem.

— O co chodzi? — zapytał.

Melissa podniosła talerz wyżej, do światła.

— Przyniosłam babeczki. Pomyślałam sobie, że na tym etapie życia przydałoby się panu kilka.

Chip nigdy nie uciekał się do teatralnych gestów, więc czuł się nieco upośledzony w kontaktach z ludźmi, którzy stosowali je na co dzień.

— Dlaczego mi je przyniosłaś?

Przyklękła i postawiła talerz na progu, wśród zmumifikowanych szczątków tulipanów i gałązek.

— Zostawię je tutaj, a pan zrobi z nimi, co zechce. Do widzenia!

Rozłożyła ramiona, wykręciła piruet, sfrunęła ze schodków i na palcach pomknęła wyłożoną płaskimi kamieniami ścieżką.

Chip wrócił do oprawiania ryby, a konkretnie do wycinania z niej czerwonobrazowej pręgi tłuszczu. Jednak ryba była śliska i wciąż wymykała mu się z rąk.

— Niech cię szlag trafi, dziwko! — warknął wreszcie i cisnął nóż do zlewozmywaka.

Babeczki miały maślane nadzienie, były oblane grubą warstwą lukru. Umywszy ręce, otworzył butelkę chardonnay, zjadł cztery ciasteczka, po czym wrzucił rybę do zamrażalnika. Skóra przepieczonej dyni miała konsystencję gumy. Nagle poczuł neodpartą potrzebę obejrzenia stojącego od miesiący na półce filmu *Cent Ans de Cinéma Erotique*. Opuścił żaluzje, wypił wino, masturbował się do skutku, potem jeszcze raz, i jeszcze, zjadł kolejne dwie babeczki, doszukał się w nich smaku mięty, delikatnego maślanego smaku mięty, aż wreszcie zasnął.

Nazajutrz rano obudził się o siódmej, zrobił czterysta pompek, a następnie wsadził *Cent Ans de Cinéma Erotique* pod kran, czyniąc film całkowicie, jeśli można tak powiedzieć, bezużytecznym. (Tak samo postępował z paczkami papierosów w okresie, kiedy rzucał palenie). Nie miał pojęcia, o czym myślał, wrzucając nóż do zlewozmywaka. Nie poznawał nawet własnego głosu.

Poszedł do swojego gabinetu we Wroth Hall i zajął się ocenianiem prac. „Charakter Cressidy oczywiście mógł wpłynąć na wybór właśnie tego imienia dla modelu toyoty, ale jeśli uważasz, że Szekspir kierował się decyzją koncernu, umieszczając w swoim dramacie właśnie tę, a nie inną postać, powinnaś chyba przytoczyć bardziej przekonujące argumenty”. Dla osłabienia krytycznej wymowy uwagi zakończył ją wykrzyknikiem. Na marginesach innej, jeszcze słabszej pracy, narysował kilka uśmiechniętych buziek. „Ortografia!” — dopisał studentowi, który na ośmiu stronach uparcie używał imienia Trolius zamiast Troilus. Nie zapominał również o znaku zapytania. Skorzystał z niego między innymi, komentując następujące zdanie: „W ten oto sposób Szekspir dowodzi ponad wszelką wątpliwość racji Foucaulta dowodzącego historycznych aspektów moralności”. „Może warto ująć to nieco inaczej?”.

Pięć tygodni i dziesięć albo piętnaście tysięcy błędów później, w wietrzny wieczór tuż po Halloween, wciąż jeszcze zajmował się sprawdzaniem prac, kiedy usłyszał jakiś szelest za drzwiami. Otworzywszy je, ujrzał wiszącą na klamce papierową torbę z groszowego sklepiku, nieco dalej zaś Melissę Paquette oddalającą się szybkim krokiem.

— O co chodzi? — zapytał.

— Staram się nawiązać przyjazne stosunki.

— Cieszę się, ale nie rozumiem. Co to ma być?

Zbliżyła się wolnym krokiem. Miała na sobie biały kombinezon malarski, ciepły podkoszulek z długim rękawem i jadowicie różowe skarpetki.

— W Halloween chodziłam po domach — wyjaśniła. — To jest mniej więcej jedna piąta tego, co zebrałam.

Podeszła tak blisko, że się cofnął. Wsunęła się za nim do gabinetu, obeszła pokój na czubkach palców, prześlizgując się wzrokiem po grzbietach książek. Chip oparł się o biurko i skrzyżował ręce na piersi.

— Chodzę na teorię feminizmu do Vendli — powiedziała.

— To logiczne, skoro stanowczo odrzuciłaś nostalgiczno-patriarchalną tradycję teorii krytyki.

— Też tak uważam, ale niestety, jej zajęcia są okropne. Ona uważa, że powinniśmy siedzieć w kółku i opowiadać sobie o swoich uczuciach. Ponieważ Stara Teoria mówiła o głowie, to Nowa Teoria musi być o sercu. Wątpię, czy czytała te wszystkie lektury, które nam zadaje.

Przez otwarte drzwi gabinetu Chip widział drzwi pokoju Vendli O'Fallon ozdobione podnoszącymi na duchu wycinkami z prasy i sentencjami: Betty Friedan w roku 1965, rozpromienione gwatemalskie wieśniaczki, rozradowana futbolistka, Virginia Woolf, **OBALIĆ DOMINUJĄCY PARADYGMAT** — to ostatnie nasunęło mu niezbyt przyjemne skojarzenia z Tori Timmelman. Na temat oblepiania drzwi gabinetów miał zdanie następujące: Czy jesteśmy małymi dziećmi? Czy to są nasze sypialnie?

— A więc można powiedzieć, że choć moje zajęcia uznałaś za bzdury, to teraz okazały się one całkiem interesującymi bzdurami?

Na twarzy Melissy rozkwitł rumieniec.

— Mniej więcej. Poza tym pan jest dużo lepszym nauczycielem. Mnóstwo się od pana nauczyłam. Właśnie to chciałam panu powiedzieć.

— Możemy uznać, że już to zrobiłaś.

— W kwietniu rozwiedli się moi rodzice. — Melissa rzuciła się na służbową skórzaną sofę Chipa i przybrała pozycję terapeutyczną. — Na początku cholernie mi się podobało, że pan tak występuje przeciwko koncernom i wielkim korporacjom, a potem to zaczęło mnie wkurzać. Na przykład moi rodzice: mają mnóstwo pieniędzy i wcale nie są złymi ludźmi, nawet mój ojciec, który zamieszkał z jakąś Vicki starszą ode mnie wszystkiego o cztery lata. Ale ja wiem, że on wciąż kocha moją mamę. Po moim wyjeździe z domu trochę się pogorszyło, ale on wciąż ją kocha.

— Z myślą o studentach przeżywających problemy rodzinne władze college'u przygotowały wiele form terapii.

— Wielkie dzięki. Ogólnie radzę sobie z tym całkiem nieźle, tylko wtedy zachowałam się paskudnie wobec pana. — Melissa ściągnęła pantofle, rzuciła je na podłogę. Chip nie mógł nie zauważyć łagodnych symetrycznych wypukłości pod grubym podkoszulkiem. — Miałam wspaniałe dzieciństwo — ciągnęła. — Rodzice zawsze byli moimi najlepszymi przyjaciółmi. Aż do siódmej klasy uczyłam się w domu. Kiedy się poznali, ona była w szkole pielęgniarskiej w New Haven, a on grał w punkowej kapeli The Nomatics. Mama pierwszy raz w życiu poszła na koncert, po koncercie wylądowała w pokoju hotelowym taty i od tej pory stali się nierozłączni. Ona rzuciła szkołę, on rzucił kapelę. Zupełnie jak w jakimś romansie. Ojciec miał trochę kasy w funduszu powierniczym. Wykorzystali ją wręcz genialnie. Wtedy co chwilę w ofercie publicznej pojawiały się akcje nowych spółek. Mama śledziła nowinki z biotechnologii i różnych innych przyszłościowych dziedzin, tata zajmował się liczbami i razem udało im się zrobić sporo znakomitych inwestycji. Clair — moja mama — siedziała ze mną w domu, cały czas byliśmy razem, a ja uczyłam się wszystkiego co trzeba, a oprócz nas był jeszcze tylko ojciec. Okropnie się kochali. I przyjęcia co tydzień. A w końcu przyszło nam do głowy, że skoro prawie wszystkich znamy i jesteśmy takimi znakomitymi inwestorami, to dlaczego nie mielibyśmy utworzyć własnego funduszu powierniczego? I założyliśmy go. To był niesamowity sukces. Nadal jest. Nazywa się Westportfolio Biofund Forty. Później, kiedy konkurencja na rynku wzrosła, założyliśmy jeszcze kilka. Trzeba oferować klientom całą gamę usług — tak przynajmniej mówili Tomowi inwestorzy instytucjonalni. Zakładał więc kolejne, ale niestety, prędzej czy później wszystkie dały ciała. Podejrzewam, że to jest głównym powodem nieporozumień między nim a Clair. Jej fundusz, Biofund Forty, w którym wyłącznie ona podejmuje decyzje, radzi

sobie doskonale. I co z tego, skoro teraz jest zrozpaczona i po uszy w depresji. W ogóle nie wychodzi z domu, a tymczasem Tom koniecznie chce mnie poznać z tą Vicki, bo to niesamowita jajcara i w ogóle super, jak mówi. Najgorsze jest to, że wszyscy wiedzą, że mama i tata są po prostu stworzeni dla siebie. Doskonale się uzupełniają. I myślę sobie, że gdyby pan wiedział, jaka to frajda założyć swoją firmę, i jak jest przyjemnie, kiedy ta firma zaczyna zarabiać pieniądze, to nie byłby pan taki surowy w swoich ocenach.

— Być może.

— Tak czy inaczej, wydawało mi się, że warto z panem pogadać. Ogólnie radzę sobie świetnie, ale przydałby mi się przyjaciel.

— A co z Chadem?

— Miły dzieciak. Dobry na jakieś trzy tygodnie. — Wysunęła nogę i oparła stopę na udzie Chipa, blisko biodra. — Trudno sobie wyobrazić dwoje mniej kompatybilnych długoterminowo ludzi niż on i ja.

Przez materiał spodni Chip wyraźnie czuł, jak dziewczyna porusza palcami. Był przyparty do biurka; żeby się uwolnić, musiał chwycić ją za kostkę i przełożyć nogę z powrotem na sofę. Błyskawicznie chwyciła go obiema stopami za nadgarstek, przyciągnęła ku sobie. Wszystko to odbywało się bardzo żartobliwie, ale drzwi były otwarte na oścież, rolety podniesione, ktoś był na korytarzu.

— Zasady — powiedział, uwalniając się z uchwytu. — Obowiązują pewne zasady.

Melissa sturlała się z sofy, wstała, podeszła bliżej.

— To bardzo głupie zasady, jeżeli komuś na kimś zależy.

Chip wycofał się do drzwi. W korytarzu, przed drzwiami sekretariatu, odkurzała kobieta o indiańskich rysach twarzy.

— Ustalono je nie bez powodu.

— Więc nawet nie wolno mi pana objąć?

— Zgadza się.

— To głupota. — Melissa założyła pantofle i przemykając między nim a futryną, pocałowała go w policzek blisko ucha. — No to na razie.

Odprowadził ją wzrokiem, gdy podskakując i kręcąc piruety, zniknęła za zakrętem korytarza. Chwilę potem usłyszał, jak zatraskują się drzwi przeciwpożarowe. Starannie przeanalizował swoje słowa i stwierdził z zadowoleniem, że ani razu nie naruszył zasad, których był współtwórcą, ale niemal natychmiast po powrocie na Tilton Ledge ogarnęło go poczucie straszliwej samotności. Żeby jak najszybciej wymazać z pamięci wspomnienie pocałunku Melissy oraz jej ruchliwych, ciepłych stóp, zatelefonował do mieszkającej w Nowym Jorku koleżanki z college'u i umówił się z nią na lunch na dzień następny. Potem wyjął z szafki *Cent Ans de Cinéma Erotique* — poddawszy kasetę kąpieli, zachował ją jednak na okazję taką jak ta. O dziwo, taśma dawała się odtworzyć, ale już podczas pierwszej ostrej sceny z udziałem hotelowej pokojówki drobny śnieżek na ekranie zamienił się w prawdziwą śnieżycę. Chwilę potem ekran ściemniał, a z magnetowidu zaczęła wypełzać taśma, spływając na podłogę ekstrawaganckimi esami-floresami, sam magnetowid zaś zacharczał rozpaczliwie, jakby wzywając pomocy, po czym wypluł kasetę i jakby po krótkim zastanowieniu, jakieś plastikowe kółko zębate. Owszem, nie było w tym nic nadzwyczajnego, takie rzeczy się zdarzają, ale wyprawa do Szkocji była jego finansowym Waterloo i chwilowo Chip nie mógł sobie pozwolić na kupno nowego magnetowidu.

Również chłodna, deszczowa sobota w Nowym Jorku nie spełniła jego oczekiwań. Chodniki na

dolnym Manhattanie były dosłownie usłane małymi spiralnymi zabezpieczeniami antykradzieżowymi, przyklejonymi do mokrych betonowych płyt chyba najsilniejszym klejem świata. Po tym, jak Chip kupił kilka importowanych serów (czynił to podczas każdych odwiedzin w Nowym Jorku, aby mieć miłą świadomość, że udało mu się załatwić przynajmniej jedną sprawę, a mimo to czuł się nie najlepiej, kupując wciąż w tym samym sklepie wciąż ten sam mały Gruyère i Fourme d'Ambert, ponieważ nieodmiennie nawiedzały go smutne refleksje dotyczące klęski konsumpcjonizmu jako środka zapewniającego ludzkości powszechną szczęśliwość) i po lunchu zjedzonym w towarzystwie koleżanki z college'u (która ostatnio zrezygnowała z wykładania antropologii, zatrudniła się w Dolinie Krzemowej jako psycholog marketingu i poradziła mu, żeby się wreszcie obudził i zrobił to samo), wrócił do samochodu tylko po to, żeby stwierdzić, że każdy z jego serów ma przyklejone identyczne spiralne zabezpieczenie antykradzieżowe oraz że jedna z takich płaskich metalowych spiralek przylepiła mu się do podeszwy lewego buta.

Na Tilton Ledge było ślisko i bardzo ciemno. W skrzynce pocztowej znalazł między innymi kopertę zawierającą krótki list od Enid uskarżającej się na Alfreda („całymi dniami przesiaduje w tym fotelu”) oraz sporawy artykuł o Denise wycięty z czasopisma „Philadelphia”, zawierający lizusowską recenzję jej restauracji, Mare Scuro, jak również całokolumnowe pozowane zdjęcie właścicielki w dżinsach, koszulce na ramiączkach, lustrzanych okularach, wysportowanej i umięśnionej. (Podpis głosił: „Młoda i doskonała: Lambert w kuchni”). Chipowi przemknęła przez głowę gorzka myśl, że właśnie takie zdjęcia i artykuły napędzają obecnie sprzedaż ilustrowanych magazynów. Kilka lat wcześniej Enid niemal w każdym liście dawała wyraz niepokojowi o Denise oraz rozpacz z powodu jej rozpadającego się małżeństwa („on jest dla niej ZA STARY!!!”), równocześnie często gęsto wtrącając zachwyty i przesiąknięte dumą półsłówka dotyczące Chipa, a konkretnie jego zatrudnienia w college'u w D. Chociaż doskonale wiedział, iż Enid po mistrzowsku potrafi manipulować dziećmi, z upodobaniem aranżując i rozgrywając konflikty między nimi, i chociaż zdawał sobie sprawę, że jej ochy i achy mają jeszcze co najmniej kilka ukrytych znaczeń, to jednak był oburzony, że kobieta tak mądra i wychowana według tak surowych zasad jak Denise może z premedytacją wykorzystywać swoje ciało do celów marketingowych. Wyrzucił wycinek do kosza, po czym otworzył sobotnią połówkę niedzielnego „Timesa” i — rzeczywiście, działał wbrew głoszonym przez siebie zasadom i owszem, zdawał sobie z tego sprawę — począł przerzucać strony z ogłoszeniami, szukając reklam kostiumów kąpielowych albo damskiej bielizny. Nie znalazłszy żadnych, przeszedł do działu „Książki”, gdzie na stronie jedenastej natrafił na entuzjastyczną recenzję dzieła *Córeczka tatusia* pióra Vendli O'Fallon. Określenia „zdumiewająca”, „odważna” i „niezwykle interesująca” powtarzały się niemal w każdym zdaniu. Nazwisko autorki było bardzo charakterystyczne, lecz Chip nie miał najmniejszego pojęcia o tym, że Vendla zamierza wydać książkę, w związku z czym tak naprawdę uwierzył, że to naprawdę ona napisała *Córeczkę tatusia*, dopiero pod koniec recenzji, natrafiwszy na zdanie zaczynające się od słów: „O'Fallon, wykładowczyni w college'u w D...”.

Zamknął gazetę, otworzył natomiast butelkę.

Teoretycznie i on, i Vendla czekali w kolejce na stały kontrakt, w praktyce jednak w college'u było już zbyt wielu wykładowców ze stałymi kontraktami. Do tej pory Chip czerpał spokojną satysfakcję z faktu, że Vendla dojeżdża do pracy z Nowego Jorku (naruszając nieformalny wymóg władz college'u, żeby wszyscy nauczyciele mieszkali na jego terenie), że często opuszcza zebrania rady wydziału i chwyta się każdego zajęcia, które jej się nawinie pod rękę. Dodatkowo miał nad nią przewagę w liczbie publikacji, a także poparcie Jima Levitona; mimo to stwierdził, że nawet dwa kieliszki wina nie są w stanie przywrócić mu spokoju.

Właśnie nalewał sobie czwartą, kiedy zadzwonił telefon. To była Jackie, żona Jima Levitona.

— Chciałam ci tylko powiedzieć, że Jim przypuszczalnie z tego wyjdzie.

— Czy coś się stało?

— Jest pod dobrą opieką, w St. Mary's Hospital.

— Jackie, o czym ty mówisz?

— Wyobraź sobie, że zapytałam go, czy zagrałby w tenisa, a on skinął głową! Naprawdę skinął głową! Powiedziałam mu, że zaraz do ciebie zadzwonię, a wtedy on skinął drugi raz. Zdaje się, że odzyskuje zdolności motoryczne, a najważniejsze, że jest całkowicie przytomny. Całkowicie! Ma bystre, rozumne oczy. To znowu ten sam stary Jim.

— Miał udar?

— Naturalnie czeka go długa rehabilitacja — ciągnęła Jackie. — Od dzisiaj automatycznie przechodzi na emeryturę, z czego bardzo, ale to bardzo się cieszę. Będziemy mogli odpowiednio zmienić nasze życie, a za trzy lata... Co ja mówię, przecież na pewno szybciej wróci do pełni sił! Wszystko się dobrze skończy, jestem tego pewna. Mówię ci, Chip, jaki on ma bystry wzrok!

Chip oparł się czołem o szybę kuchennego okna i przekręcił głowę w taki sposób, żeby jego otwarte oko prawie dotykało wilgotnej, zimnej szyby. Wiedział już, co musi zrobić.

— To znowu ten sam stary, kochany Jim! — powtórzyła Jackie.

W najbliższy czwartek Chip zaprosił Melissę na kolację, a potem kochał się z nią na czerwonej pikowanej kanapie. Wypatrzył ją w sklepie z antykami i kupił dość dawno temu, kiedy jednorazowy wydatek ośmiuset dolarów nie miał jednoznacznie samobójczego wydźwięku. Oparcie kusilo obiecującymi, niemal zmysłowymi wygięciami, wyściełane podłokietniki rozszerzały się zapraszająco, okryte materiałem guziki z trudem utrzymywały w ryzach pluszową pierś i nabrzmiałe siedzisko. Chip przerwał na chwilę wstępne obłapiania, żeby wyłączyć światło w kuchni i odwiedzić łazienkę. Po powrocie do pokoju zastał ją rozciągniętą na kanapie, ubraną jedynie w spodnie od luźnego garnituru z tandetnego sztucznego tworzywa. W przyćmionym świetle łatwo można było wziąć ją za mężczyznę o bezwłosym ciele i obfitym biuście. Chipowi, który zdecydowanie wolał homoseksualne teorie od praktyki, ten garnitur zupełnie się nie podobał. Stanowczo wolałby, żeby przyszła w czymś innym. Nawet kiedy zdjęła również spodnie, wciąż odczuwał podświadome wątpliwości co do jej płci, no i do tego jeszcze ten zapach, nieodłącznie związany z ubraniami z syntetycznych materiałów. Na szczęście spod majteczek — które ku jego uldze okazały się delikatne i przezroczyste, stuprocentowo kobiece — wyłonił się ciepły, żywy, pulsujący króliczek, coś jakby niezależna żywa istota, chętna i oczekująca. Niewiele brakowało, żeby sobie z tym nie poradził. To było dla niego niemal zbyt wiele. Przez minione dwie noce spał w sumie najwyżej dwie godziny, w głowie kręciło mu się od wina, w brzuchu burczało od gazów (nie mógł sobie przypomnieć, dlaczego na kolację zrobił gulasz — przypuszczalnie musiał być jakiś powód), nie był pewien, czy zamknął drzwi, czy starannie zasłonił wszystkie okna, bał się, że lada chwila zjawi się któryś z sąsiadów, naciśnie klamkę i wejdzie do środka albo zajrzy przez okno i zobaczy go ochoczo naruszającego punkty I, II i VI regulaminu, który sam aktywnie współtworzył. W sumie była to noc wypełniona lękami i maksymalną koncentracją, z nielicznymi chwilami stłumionej rozkoszy, ale przynajmniej Melissie chyba się to podobało, ponieważ całymi godzinami uśmiech nie znikał z jej twarzy.

Po drugiej, równie stresującej schadzce przy Tilton Ledge, Chip zaproponował, żeby tygodniową przerwę z okazji Święta Dziękczynienia spędzili wspólnie w wynajętym domku gdzieś na Cape Cod, w całkowitym odosobnieniu, z dala od ciekawskich spojrzeń, Melissa natomiast podsunęła myśl — zaraz po tym, jak pod osłoną mroku wyjechali przez rzadko używaną wschodnią bramę — żeby

zatrzymali się w Wesleyan College i kupili trochę prochów od jej koleżanki. Chip czekał przed imponującym frontonem gmachu Wydziału Ekologii, bębniąc palcami w kierownicę swego nissana. Bębnił tak mocno, że aż bolały go palce, ale to dobrze, bo chodziło o to, żeby nie myślał o tym, co właśnie wyczynia. W domu zostawił stopy niesprawdzonych prac i egzaminów, nie zdążył jeszcze odwiedzić Jima Levitona przebywającego na oddziale rehabilitacyjnym. Fakt, że Jim utracił mowę i — według relacji koleżanek i kolegów, którzy go widzieli, łatwo wpadał we wściekłość, na próżno starając się wykrztusić choćby słowo — nie zachęcał Chipa do odwiedzin. Ostatnio jak ognia unikał wszystkiego, co mogłoby go skłonić do odczuwania jakichkolwiek emocji. Bębnił w kierownicę tak długo, aż prawie przestał czuć palce, nim Melissa wyszła z budynku. Przyniosła ze sobą do samochodu zapach dymu i zeschniętych liści, zapach jesiennego romansu. Położyła mu na dłoni złocistą powlekaną tabletkę oznakowaną symbolem przypominającym logo Midland Pacific Railroad, tyle że bez napisu:



— Weź to — powiedziała, zatrzasnąwszy drzwi.

— Co to? Jakaś ecstazy?

— Nie. Meksykańska A.

Chipa ogarnęło kulturoznawcze zainteresowanie. Jeszcze niedawno znał wszystkie prochy dostępne na rynku.

— Jak to działa?

— Trochę wcale, a trochę na wszystko. — Połknęła swoją kapsułkę. — Zobaczysz.

— Ile jestem ci winny?

— Nieważne.

Początkowo rzeczywiście nie poczuł żadnego efektu, ale już na przemysłowych przedmieściach Norwich, dwie albo trzy godziny jazdy od Cape Cod, przyciszył trip hopa, którego Melissa nastawiła w radiu, i oświadczył:

— Muszę cię natychmiast zerznąć.

Roześmiała się.

— No pewnie!

— Może zjadę na pobocze?

Ponownie parsknęła śmiechem.

— Nie, lepiej znajdziemy jakiś pokój.

Zatrzymali się w Comfort Inn, który ostatnio wypadł z sieci i zmienił nazwę na Comfort Valley Lodge. Nocna portierka była chorobliwie otyła, komputer nie działał, w związku z czym zameldowała ich ręcznie, rżąc przy tym i sapiąc jak skomplikowana maszyna, której właśnie nawaliło równocześnie kilka najważniejszych systemów. Chip przez cały czas przyciskał rękę do brzucha Melissy; z pewnością wsadziłby jej rękę do majtek, gdyby nie chłodna i rzeczowa myśl, że takie zachowanie w miejscu publicznym mogłoby nie być dobrze widziane. Z podobnych, czysto

racjonalnych powodów nie wyciągnął fiuta ze spodni i nie pokazał go otyłej portierce, chociaż był głęboko przekonany, iż nie miałyby nic przeciwko takiemu widokowi.

Jak tylko weszli do pokoju dwadzieścia trzy, rzucił Melissę na powypalaną papierosami wykładzinę podłogową.

— Tak lepiej! — wykrzyknęła Melissa, zatrzęsnęła drzwi celnym kopnięciem i jednym ruchem zerwała z siebie majtki, niemal skamłając z rozkoszy. — Dużo, dużo lepiej!

Przez cały weekend ani na chwilę nie włożył ubrania. Ręcznik, którym owijał biodra, odbierając pizzę, spadał na podłogę, zanim drzwi zdążyły się zamknąć za dostawcą.

— Cześć mamó, to ja — mówiła Melissa do telefonu komórkowego, podczas gdy on posuwał ją od tyłu. — Aha... Tak, oczywiście... Jasne... Tak, to rzeczywiście trudne, mamó... Masz całkowitą rację... Tak... Tak... Jasne...

Głos zadrżał jej leciutko tylko wtedy, kiedy Chipowi udało się wdrzeć rozkoszne półtora centymetra głębiej i dojść. W poniedziałek i wtorek dyktował jej pracę o Carol Gilligan, której Melissa sama nie mogła napisać, ponieważ była zanadto wkurzona na Vendlę O'Fallon. Tak bardzo podnieciła go doskonała znajomość argumentów Gilligan oraz swoboda, z jaką poruszał się w gąszczu jej teorii, że zaczął gładzić Melissę po włosach nabrzmiałym penisem, a następnie przesunął główką po klawiaturze i ekranie ciekłokrystalicznym, tworząc delikatne mleczne smugi.

— Kochanie, tylko nie spuść mi się na komputer — poprosiła.

Ocierał się o jej policzki, ramiona, uszy, łaskotał pod pachami, aż wreszcie podniósł ją z krzesła i przyparł do drzwi łazienki, a ona uśmiechała się do niego czereśniowymi ustami.

Codziennie wieczorem około kolacji wyjmowała z torebki po dwie złociste tabletki. Powtórzyło się to cztery razy. W środę Chip zabrał ją do multiplexu, gdzie udało im się wślizgnąć na drugi film. Po powrocie do Comfort Valley Lodge zjedli naleśniki, a następnie Melissa zadzwoniła do matki i gadała tak długo, że Chip zasnął, nie połknąwszy tabletki.

Obudził się w szare, ponure, nienahajowane Święto Dziękczynienia. Przez jakiś czas leżał bez ruchu, wsłuchując się w odgłosy niezbyt intensywnego ruchu na szosie nr 2 i dociekając, co się zmieniło. Obecność leżącego tuż obok ciała sprawiała, że czuł się jakoś nieswojo. Poczul ochotę, żeby przytulić się do pleców Melissy, zaraz jednak pomyślał, że z pewnością ma go serdecznie dosyć. Przypuszczał, że ma go serdecznie dosyć, że przejadły się jej natrętne obłapiania, że czuła się wykorzystywana jak kawałek mięsa. W ciągu zaledwie kilku sekund, niczym panika giełdę po erupcji alarmistycznych plotek, ogarnęła go fala wstydu i upokorzenia. Nie mógł wytrzymać w łóżku ani sekundy dłużej. Wciągnął bokserki, zgarnął kosmetyczkę Melissy i zamknął się w łazience.

Jego problem sprowadzał się do palącego pragnienia, żeby nie doszło do niczego z tego, do czego doszło, jego ciało natomiast instynktownie wiedziało, co należy uczynić, żeby owo palące pragnienie ugasić: musiał jak najprędzej połknąć kolejną Meksykańską A.

Przetrząsnął zawartość kosmetyczki. Nigdy by nie przypuszczał, że można się uzależnić od środka nieoferującego żadnych hedonistycznych doznań, od środka, którego ani razu nie wziął z własnej inicjatywy. Otworzył szminkę do ust, usunął tampony z plastikowych rurek, nakłuł szpilką krem i mleczko do twarzy. Nic.

Odniósł kosmetyczkę do pokoju, w którym tymczasem zdążyło się zrobić całkiem jasno, i wyszeptał imię Melissy. Nie otrzymawszy odpowiedzi uklęknął, po czym zaczął grzebać w jej torbie. Obmacał miseczki biustonoszy, zwinięte skarpetki, zbadał wszystkie kieszenie i zakamarki. Zdumiało go, jak boleśnie odczuwa to nowe upodlenie Melissy. Skąpany w pomarańczowym blasku swego wstydu czuł się tak, jakby nadużywał jej wewnętrznych organów, jakby był chirurgiem obmacującym

jej młode płuca, nerki, trzustkę. Mięciutkie delikatne skarpetki, wspomnienie tych, które ściągał z jej stóp, obraz romantycznej obiecującej studentki pakującej bagaże, żeby wyjechać na weekend z uwielbianym nauczycielem — wszystkie te sentymentalne skojarzenia podsycaly trawiący go płomień wstydu, przypominając równocześnie o wszystkich niegodziwościach, którymi ją uraczył. O akcentowanym postękiwaniem dupczeniu. O wsuwactwie, popychactwie i ocieractwie.

Wstyd kipiał w nim już z taką siłą, że lada chwila mogło mu od tego pęknąć coś w mózgu, ale mimo to, nie spuszczać wzroku ze śpiącej Melissy, zdołał powtórnie przetrząsnąć jej torbę. Dopiero na samym końcu stwierdził, że prochy muszą być w zewnętrznej, zapiętej na suwak kieszeni. Zaczął otwierać ją ząbek po ząbku, wstrzymując oddech, ponieważ wydawało mu się, że czyni przy tym niesamowity hałas. Udało mu się już odsunąć suwak na tyle, żeby włożyć rękę do środka (silny stres zwałił mu na głowę górę wstydlivych, bardzo świeżych wspomnień; Chip najchętniej zapadłby się pod ziemię z powodu tego wszystkiego, co wyczyniał z Melissą w pokoju dwadzieścia trzy, oddałby wszystko, co miał, żeby tylko to się nie zdarzyło, żeby do niczego nigdy nie doszło), kiedy zadzwoniła jej komórka na nocnym stoliku i dziewczyna obudziła się z cichym jękiem.

Wyszarpnął rękę z torby, uciekł do łazienki, wziął długi prysznic. Kiedy wrócił do pokoju, Melissa była już ubrana i właśnie pakowała torbę. W blasku poranka nie wyglądała ani odrobinę podniecająco. Pogwizdywała wesoło.

— Kochanie, nastąpiła zmiana planów — oświadczyła. — Mój ojciec, naprawdę uroczy człowiek, przyjeżdża do Westport. Chcę spędzić z nim cały dzień.

Chip stwierdził ze zdziwieniem, że ona w ogóle nie zdaje sobie sprawy z trawiącego go wstydu. Chętnie pozbyłby się tego uczucia, ale głód narkotyku był zbyt silny.

— A co z naszą kolacją? — zapytał.

— Wybacz, ale to dla mnie bardzo ważne, żeby się z nim zobaczyć.

— Nie wystarczy, że codziennie rozmawiasz z rodzicami po parę godzin przez telefon?

— To są moi najlepsi przyjaciele.

W ciągu kilku minionych dni, kiedy Clair potrafiła godzinami gadać o swoich sprawach, Chip stracił do niej niemal całą sympatię.

— Świetnie. W takim razie zawiozę cię do Westport.

Melissa odgarnęła włosy do tyłu.

— Kochanie, nie złość się na mnie.

— Skoro nie chcesz jechać na Cape Cod, to nie chcesz. Zawiozę cię do Westport.

— W porządku. Ubierzesz się?

— Wiesz co? Jest coś nienormalnego w tym, że jesteś wciąż tak blisko z rodzicami.

Jakby go nie słyszała, usiadła przed lustrem i zaczęła nakładać makijaż. Chip stał pośrodku pokoju z rącznikiem na biodrach, wściekły i zawstydzony. Zdawał sobie sprawę, że Melissa ma prawo czuć do niego odrazę, lecz mimo to nie zamierzał milczeć.

— Rozumiesz, co do ciebie mówię?

— Kochanie. Chip. — Na chwilę zacisnęła pomalowane usta. — Ubierz się, proszę.

— Mówię, że dzieci nie powinny zgadzać się z rodzicami. Twoi rodzice nie powinni być twoimi najlepszymi przyjaciółmi. Niezbędny jest element buntu. W ten sposób określasz siebie jako osobę.

— Może ty w ten sposób siebie określasz — odparła. — I może właśnie dlatego trudno uznać cię za wzór szczęśliwej dorosłości.

Zniósł to dzielnie, nawet z uśmiechem.

— Przynajmniej lubię sama siebie, a ty sprawiasz wrażenie, jakbyś bardzo się nie lubił.

— Twoi rodzice też chyba się lubią. Wszyscy się lubicie.

— Owszem, lubię się! — Jeszcze nigdy nie widział Melissy naprawdę rozgniewanej. — Co w tym złego, jeśli wolno spytać?

Nie potrafił powiedzieć, co w tym złego. W ogóle nie potrafił jasno sprecyzować, co mu się nie podoba: czy jej tryskający samozadowoleniem i autoakceptacją rodzice, czy jej skłonność do teatralnych zachowań, czy jej nadmierna pewność siebie, czy zauroczenie kapitalizmem, czy brak przyjaciół wśród rówieśników. Uczucie, które ogarnęło go zaraz po zakończeniu ostatnich zajęć w minionym semestrze — że przez cały czas ogromnie się mylił, że świat jest w porządku, że nie ma nic złego w byciu szczęśliwym, że problem leży tylko i wyłącznie po jego stronie — powróciło z taką siłą, że Chip aż usiadł na łóżku.

— Jak wyglądamy z prochami?

— Skończyły się.

— Aha.

— Miałam sześć tabletek, z czego ty wzięłaś pięć.

— Co takiego?

— Jak widać, powinnam była dać ci wszystkie sześć.

— A ty? Co ty brałaś?

— Advil, kochanie — odparła szyderczo. — Na ból tyłka.

— Nie prosiłem cię o te prochy.

— Bo nie musiałaś.

— Co przez to rozumiesz?

— To, że bez nich raczej nie bawilibyśmy się tak dobrze.

Wolał nie żądać dokładniejszych wyjaśnień, ponieważ obawiał się, że usłyszy, iż przed wzięciem Meksykańskiej A był nieciekawym, zestresowanym kochankiem, co oczywiście było prawdą, lecz aż do tej pory łudził się, że Melissa tego nie zauważyła. Przygnieciony ciężarem dodatkowego wstydu oraz przybity faktem, że już na pewno nie dostanie swojej pastylki, pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Wstyd stopniowo go opuszczał, narastała za to wściekłość.

— Więc jak, odwiesz mnie do Westport? — zapytała.

Skinął głową. Chyba akurat na niego nie patrzyła, bo chwilę potem usłyszał, jak wertuje książkę telefoniczną, a potem jej głos:

— Chciałam zamówić taksówkę do Comfort Valley Lodge, pokój dwadzieścia trzy. Kurs do New London.

— Odwiozę cię.

Odłożyła słuchawkę.

— Dzięki, nie trzeba.

— Melissa. Odwołaj taksówkę. Zawiozę cię.

Rozsunęła kotary na oknie w tylnej ścianie pokoju, odsłaniając widok na płot, proste jak patyki wiązy i zaplecze zakładu utylizacji odpadów. W powietrzu wirowało powoli kilka płatków śniegu, jakby brzydziły się zetknięcia z ziemią i starały się jak najbardziej odwlec tę chwilę. Na wschodzie powłoka chmur była nieco cieńsza, przeświecało przez nią białe słońce. Chip ubrał się szybko, korzystając z tego, że Melissa jest odwrócona plecami. Gdyby nie przepełniający go wstyd, być może podszedłby do niej, objął, a ona może by mu wybaczyła, ale Chip nie ufał swoim rękóm. Wyobraził

sobie, że Melissa odsuwa się z obrzydzeniem i nie był wcale pewien, czy jakaś mroczna cząstka jego duszy nie pragnęłaby jej zgwałcić, ukarać za to, że ona, w przeciwieństwie do niego, akceptuje siebie i dobrze się czuje ze sobą. Och, jak nienawidził i jak kochał jej głos, jej chód, jej spokój! Ona się lubiła, on siebie — nie. Z każdą chwilą coraz wyraźniej dostrzegał, że jest zgubiony, że w gruncie rzeczy jej także nie lubi, ale będzie za nią okropnie tęsknił.

Wybrała jeszcze jeden numer.

— Cześć, to ja. Zaraz jadę taksówką do New London i wsiądę w pierwszy pociąg... Nie, bardzo chcę was zobaczyć... Tak, oczywiście. Całuję was mocno. — Na zewnątrz zatrąbił samochód. — O, już jest taksówka. No to buziaczki, do zobaczenia.

Narzuciła kurtkę, wzięła torbę do ręki, tanecznym krokiem podpłynęła do drzwi. Od niechcenia rzuciła przez ramię, że wychodzi.

— Do zobaczenia — dodała, prawie patrząc na Chipa.

Nie miał pojęcia, czy tak wspaniale potrafiła się dostosować, czy coś jest z nią poważnie nie w porządku. Trzasnęły drzwi, zawarczał silnik. Przez frontowe okno dostrzegł jej czerwone włosy za szybą czerwono-białej taksówki. Po pięcioletniej przerwie postanowił znowu kupić papierosy. Włożył marynarkę, wyszedł z motelowego pokoju, nie zwracając uwagi na innych przechodniów, skierował się do najbliższego automatu z papierosami i nakarmił go monetami.

Był ranek w Święto Dziękczynienia. Śnieg całkiem przestał padać, słońce wyjrzało zza chmur, mewy trzepotały głośno skrzydłami. Powiewy wiatru zdawały się w ogóle nie docierać do ziemi. Chip przysiadł na zimnej metalowej poręczy i paląc papierosa, gapił się na stację benzynową po drugiej stronie ulicy, tę siermiężną, plastikowo-metalową przeciętność amerykańskiego handlu. Stukot zatrzymującej się pompy w dystrybutorze, prostota i szybkość obsługi. Powiewający na wietrze baner reklamujący paliwo po 99 centów za galon, wydęty niczym żagiel płynącego donikąd żaglowca. Czarne cyferki informujące o cenach paliwa, zbite w rzędkie, zdominowane przez dziewiątki. Amerykańskie samochody wjeżdżające na stację i opuszczające ją statecznie. Pomarańczowo-żółte plastikowe proporczyki na rozpiętych w górze linkach.

— Ojciec znowu spadł ze schodów do piwnicy — powiedziała Enid. Deszcz wciąż lał. — Niósł pudło z orzechami, nie przytrzymał się poręczy, potknął się i upadł. To było naprawdę duże pudło, orzechy rozsypały się dosłownie wszędzie, zbierałam je na kolanach przez pół dnia. Do tej pory jeszcze je znajduję. Mają taki sam kolor jak te świerszcze, których nie możemy się pozbyć. Schylam się, żeby podnieść orzech, a on skacze mi prosto w twarz, wyobrazasz sobie?

Denise przycinała łydki przyniesionych przez siebie słoneczników.

— Po co ojciec taszczył te orzechy do piwnicy?

— Koniecznie chciał znaleźć sobie jakieś zajęcie, które mógłby wykonywać w swoim fotelu, więc wymyślił sobie, że będzie je łuskał. — Enid zajrzała córce przez ramię. — Mogę ci pomóc?

— Znajdź jakiś wazon.

W pierwszej szafce, którą otworzyła Enid, stało tylko pudełko z korkami od wina.

— Nie rozumiem, po co Chip zaprosił nas na lunch, skoro wiedział, że go z nami nie zje?

— Przypuszczalnie nie sądził, że akurat dzisiaj rano dostanie kosza — odparła Denise tonem, który jednoznacznie świadczył o tym, że nie uważa Enid za zbyt rozgarniętą osobę.

Enid ani trochę się to nie podobało, niemniej jednak Denise była jej córką, a kilka tygodni temu Enid popełniła wstydlivy czyn i odczuwała wielką potrzebę, żeby się przed kimś z tego wypowiedzieć. Miała nadzieję, że Denise okaże się właściwą osobą.

— Gary chce sprzedać dom i przeprowadzić nas do Filadelfii — powiedziała. — Uważa, że to ma sens, ponieważ on mieszka w Filadelfii, ty mieszkasz w Filadelfii, a Chip w Nowym Jorku. Powiedziałam mu, że kocham moje dzieci, ale najlepiej czuję się w St. Jude. Denise, ja się tam urodziłam i wychowałam, w Filadelfii po prostu bym się zgubiła! Gary chce, żebyśmy złożyli podanie o przyjęcie do domu spokojnej starości, ale chyba nie zdaje sobie sprawy, że jest już za późno. Tam nie przyjmują ludzi w takim stanie, w jakim teraz jest ojciec.

— Ale jeśli będzie coraz częściej spadał ze schodów...

— Spadł dlatego, że nie trzymał się poręczy! Nie dociera do niego, że nie powinien nosić ciężarów po schodach.

W szafce pod zlewozmywakiem Enid wreszcie znalazła wazon ukryty za czterema oprawionymi fotografiami przedstawiającymi jakieś różowe, owłosione twory — coś w rodzaju dziwacznej sztuki nowoczesnej albo zdjęć z książek lekarskich. Zamierzała niepostrzeżenie wydobyć zza nich wazon, ale oczywiście potrąciła je i narobiła takiego hałasu, że nie mogła już udawać, że ich nie zauważyła.

— A cóż to ma być, u licha? — zapytała, krzywiąc się z odrazą.

— O co pytasz?

— O te dziwactwa. Pewnie znowu Chip coś wymyślił.

Na twarzy Denise pojawił się doprowadzający ją do szału, pobłażliwy uśmiešek.

— Przecież dobrze wiesz, co to jest.

— Nie wiem.

— Na pewno?

Enid wyjęła wazon i zatrzęsnęła drzwiczki.

— Nie chcę wiedzieć.

— A, to zupełnie co innego.

Tymczasem w salonie Alfred zbierał się na odwagę, żeby usiąść na kanapie. Nie dalej niż dziesięć minut wcześniej zrobił to bez najmniejszego problemu, ale teraz, zamiast uczynić to powtórnie, zaczął się zastanawiać. Właśnie sobie uświadomił, iż podczas siadania przez ułamek sekundy zupełnie nie kontroluje swojego ciała, które na oślep leci do tyłu. Jego wspaniały fotel w St. Jude był jak rękawica baseballisty gotowa delikatnie i zarazem pewnie chwycić każdy obiekt lecący ku niej pod dowolnym kątem z dowolnie dużą prędkością; miał potężne niedźwiedzie ramiona gotowe wesprzeć go w razie potrzeby. Kanapa Chipa była niskim, niepraktycznym antykiem. Alfred odwrócił się do niej tyłem, zgiął nogi w kolanach na tyle, na ile pozwalały mu artretyczne stawy, bezradnie wyciągnął do tyłu ręce, przeczesywał powietrze szeroko rozczapierzonymi palcami. Bał się usiąść, a równocześnie miał wrażenie, że jest coś obscenicznego w tym jego niezdarnym, roztrzęsionym przykucnięciu, coś kojarzącego się z męską toaletą, poniżającego i odrażającego. Wreszcie, żeby z tym skończyć, zamknął oczy i runął na oślep do tyłu. Wylądował z rozmachem na pośladkach, z rozpędu się odchylił i znieruchomiał z podkurczonymi, zawieszonymi w powietrzu nogami.

— Dobrze się czujesz? — zapytała Enid.

— Nie rozumiem tych mebli — odparł, z wysiłkiem starając się przyjąć normalniejszą pozycję i równocześnie nie okazać słabości. — I to ma być sofa?

Denise postawiła wazon ze słonecznikami na rachitycznym stoliku.

— Coś w rodzaju sofy. Jeśli położysz na niej nogi i zaczniesz o Schopenhauerze, będziesz wyglądał jak francuski filozof.

Alfred pokręcił głową.

— Doktor Hedgpeth mówi, że powinieneś siadać tylko na twardych krzesłach z wysokim oparciem — odezwała się Enid z kuchni.

Ponieważ Alfred nie okazał najmniejszego zainteresowania tematem, Enid uraczyła szczegółami Denise, gdy tylko ta wróciła do kuchni.

— Twarde krzesła z wysokim oparciem — powtórzyła. — Ale ojciec oczywiście nie chce o tym słyszeć i z uporem przesiaduje w swoim skórzanym fotelu, a potem woła mnie, żebym przyszła i pomogła mu wstać. A jeśli coś mi się stanie z kręgosłupem? Zaniiosłam mu na dół eleganckie, solidne krzesło z drewnianym oparciem, ale on oczywiście woli swój fotel, a jeżeli akurat nie mogę mu pomóc przy wstawaniu, to zsuwa się na podłogę, pełźnie do stołu pingpongowego, chwytając się go i staje na nogi.

— Trzeba przyznać, że to całkiem pomysłowe — zauważyła Denise, wyjmując rzeczy z lodówki.

— Denise, on pełza po podłodze! Zamiast wygodnie siedzieć na eleganckim twardym krześle, co jak twierdzi lekarz, jest istotne dla jego zdrowia, on pełza po podłodze! Przede wszystkim w ogóle nie powinien tak dużo siedzieć. Doktor Hedgpeth mówi, że jego stan znacznie by się poprawił, gdyby zaczął się poruszać i cokolwiek robić. Dave Schumpert miał dziesięć razy większe problemy ze zdrowiem, piętnaście lat temu zrobili mu kolostomię i wycięli jedno płuco, a spójrz, co wyczyniają razem z Mary Beth. Dopiero co wrócili z nurkowania na Fidżi! W dodatku Dave nigdy, ale to nigdy nie narzeka. Pewnie nie pamiętasz Gene'a Grillo, starego przyjaciela ojca z Hephaestus. On też miał parkinsona, tyle że znacznie bardziej zaawansowanego niż ojciec. Jeździ na wózkach, ale mieszka w domu i przede wszystkim interesuje się mnóstwem rzeczy. Już nie może pisać, ale przysyła listy nagrane na kasety, bardzo mądre i ciekawe, opowiada o swoich wnukach, zna je wszystkie, troszczy się o nie. Zaczął się nawet uczyć kambodżańskiego (albo, jak mówi, khmerskiego) z taśm i oglądając kambodżański (albo khmerski) kanał w kablówce w Fort Wayne, ponieważ jego najmłodszy syn ożenił się właśnie z Kambodżanką, albo Khmerką, której rodzice w ogóle nie znają angielskiego, a Gene chciałby z nimi choć trochę porozmawiać. Uwierzyłabyś w coś takiego? Stary człowiek na wózkach inwalidzkim, całkowity kaleka, a wciąż myśli, co mógłby zrobić dla kogoś innego! A wasz ojciec, chociaż może chodzić, pisać i samodzielnie się ubrać, całymi dniami po prostu siedzi w fotelu.

— Mamo, on ma depresję — powiedziała cicho Denise, krojąc chleb.

— Gary i Caroline też tak mówią. Twierdzą, że ma depresję i powinien brać leki. Że był pracoholikiem i że praca była dla niego jak narkotyk, a kiedy jej zabrakło, wpadł w depresję.

— W związku z czym najlepiej napchać go lekarstwami i zapomnieć o nim. Bardzo wygodna teoria.

— To nie fair w stosunku do Gary'ego.

— Nie próbuj nastawiać mnie przeciwko niemu i Caroline.

— Rety, Denise! Tak wymachujesz tym nożem, że doprawdy nie wiem, jakim cudem nie ucięłaś sobie palca!

Z piątek bagietki Denise zrobiła trzy małe środki lokomocji. Na jednym ułożyła strużyny masła wygięte jak wydęte żagle, drugi załadowała wiórkami parmezanu na wyściółce z posiekanej rakiety, trzeci niósł ładunek siekanych oliwek pod plandeką z czerwonego pieprzu.

— Mhm, ładnie to wygląda... — mruknęła Enid i z kocią zwinnością sięgnęła do talerza z kanapkami, ale Denise zdążyła go odsunąć.

— To dla taty.

— Tylko kawałeczek...

— Zaraz zrobię i dla ciebie.

— Naprawdę tylko maleńki kawałeczek...

Ale Denise zaniósła talerz Alfredowi zmagającemu się z następującym problemem egzystencjalnym: niczym kiełki pszenicy wyrastające błyskawicznie z ziemi, świat parł nieustannie naprzód, dodając kolejne komórki, piętrząc chwile i wydarzenia, tak że nawet jego nieustanna czujna obserwacja nie gwarantowała uchwycenia go w jednoznacznie autentycznej terażniejszości. Ledwie zdążył zarejestrować, że jego córka Denise częstuje go kanapkami w mieszkaniu jego syna Chipa, gdy z powodu błyskawicznie nawarstwiającego się czasu nie mógł wykluczyć możliwości, że — na przykład — to jego żona Enid częstuje go ekskrementami w salonie jakiegoś burdelu. Co prawda natychmiast upewnił się, że chodzi jednak o Denise i mieszkanie Chipa, lecz kolejne sekundy odsunęły rzeczywisty świat poza zasięg jego bezradnie wyciągniętej ręki. Właśnie dlatego zamiast tracić siły na z góry skazaną na niepowodzenie pogoń, coraz częściej szukał oparcia w solidnych fundamentach przeszłości.

— Coś na ząb, żebyś wytrzymał do lunchu — powiedziała Denise.

Alfred spojrział z wdzięcznością na kanapki. One przynajmniej w dziewięćdziesięciu procentach pozostawały niezmiennie, tylko od czasu do czasu przeistaczając się w coś innego.

— Może kieliszek wina?

— Niekoniecznie.

Był naprawdę wzruszony. Wdzięczność promieniująca z serca szybko dotarła do splecionych na kolanach dłoni, rozluźniła mięśnie, spowodowała gwałtowniejsze drżenie. Rozpaczliwie szukał wzrokiem jakiegoś stałego punktu oparcia, ale ponieważ był to pokój Chipa i ponieważ stała w nim Denise, wszystko dokoła — nawet pokrętko grzejnika, nawet obdrapana ściana — przypominało mu o zupełnie obcym świecie, w którym żyły jego dzieci, a tym samym o ogromnej odległości, która je od niego dzieliła. I ręce trzęsły się jeszcze bardziej. Fakt, iż córka, której troskliwość stanowiła bezpośrednią przyczynę nasilenia objawów choroby, była równocześnie ostatnią osobą, której chciałby pokazać się w takim stanie, był niezbitym dowodem na istnienie jakiejś diabelskiej logiki i usprawiedliwiał nawet najgłębszy pesymizm.

— Zostawię cię na chwilę samego, bo muszę się zająć lunchem — powiedziała Denise.

Zamknął oczy i podziękował. Jak kierowca samochodu wypatrujący przerwy w ulewie, żeby przebiec do sklepu, czekał na choćby chwilowe zmniejszenie drżączki, które umożliwiłoby mu bezpieczne sięgnięcie po kanapkę.

Ta dolegliwość obrażała jego poczucie własności. Roztrzęsione ręce należały wyłącznie do niego, a jednak nie chciały go słuchać. Zachowywały się jak rozwydrzone dzieci, dzikie dwulatki ogarnięte szaleńczym atakiem egoistycznej udręki. Im bardziej stanowczo wydawał polecenia, tym mniej go słuchały i tym gorzej sobie radziły. Dziecięcy upór i niechęć do dorostania zawsze doprowadzał go do pasji. Nie tolerował braku odpowiedzialności i dyscypliny, lecz oto za sprawą diabelskiej logiki musiał stawić czoło nieposłuszeństwu własnego ciała.

Jeśli twoja prawa ręka jest ci powodem do grzechu, odetnij ją — rzekł Jezus.

Czekając na ustanie drżączki — obserwował swoje roztrzęsione ręce tak, jakby były rozhasanymi dziećmi, które od dłuższego czasu przywoływał do porządku, ale teraz ochrypl i nie miał jak ukrócić ich harców — z przyjemnością wyobrażał sobie, jak obcina je maczetą. Wtedy zrozumiałaby, jak bardzo się na nie gniewa, że ich nie kocha, skoro postanowiły się przeciwko niemu zbuntować. Odczuwał niemal ekstazę na myśl o chłodnej stali przecinającej z łatwością mięśnie i kości nadgarstka, ale równocześnie ogarnął go żal po straconej ręce, którą starannie pielęgnował, dla

której zawsze chciał jak najlepiej, którą znał całe życie.

Niepostrzeżenie zaczął znowu myśleć o Chipie. Zastanawiał się, dokąd Chip poszedł i jak to się stało, że znowu go przepłoszył.

Dobiegające z kuchni głosy Enid i Denise przypominały bzyczenie dwóch pszczoł, dużej i małej, uwięzionych za szybą. Wreszcie nadeszło oczekiwane uspokojenie. Pochylił się do przodu, wyciągnął rękę, podparł ją drugą, chwycił w palce szkuner z maślanym ożaglowaniem, podniósł, nie miażdżąc ani nie przewracając, doprowadził do ust po niewidocznym, lecz mocno rozkołysanym oceanie, i dalej do portu. Co prawda twarda skórka kaleczyła mu dziąsła, ale Alfred przeżuwał starannie, uważając, żeby nie ugryźć się w ocięzały język. Masło przyjemnie topniało na podniebieniu, usta wypełnił delikatny, niemal kobiecy smak pszenicznego pieczywa. W broszurkach dostarczanych przez Hedgpetha znajdowały się ustępy, których nawet Alfred, fatalista i zarazem człowiek zdyscyplinowany, nie był w stanie przeczytać. Dotyczyły kwestii przełykania, tortur języka, ostatecznej awarii systemu sygnalizacyjnego...

Wszystko zaczęło się właśnie od awarii systemu sygnalizacyjnego.

Midland Pacific Railroad, gdzie przez ostatnie dziesięć lat swojej zawodowej kariery kierował Działem Projektowym (każde jego polecenie było wykonywane natychmiast, bezzwłocznie, tak jest, panie Lambert, w tej chwili), obsługiwała setki maleńkich miasteczek w zachodniej i środkowej Nebrasce, takich jak te, z których pochodzili lub w których się wychowywali Alfred oraz inni członkowie kadry kierowniczej, miasteczek, w których ich nadszarpnięte zębem czasu zdrowie wydawało się jeszcze bardziej wątłe w porównaniu z potężnymi, tryskającymi energią lokomotywami Midpaca ciągnącymi ogromne składy wagonów. Chociaż najważniejszym obowiązkiem wszystkich zatrudnionych było dbać o interesy akcjonariuszy, to jednak pochodzący głównie z Kansas i Missouri menadżerowie (wśród nich Mark Jamborets, główny radca prawny) zdołali przekonać radę nadzorczą, że ponieważ w wielu prowincjonalnych miejscowościach ich kompania kolejowa miała faktyczny monopol na utrzymywanie łączności ze światem, to jej obowiązkiem było utrzymywanie połączeń na wszystkich liniach i odgałęzieniach. Osobiście Alfred nie miał najmniejszych złudzeń co do przyszłości preriowych miasteczek, w których średnia wieku populacji wahała się w okolicach pięćdziesiątki, ale wierzył w kolej, nienawidząc równocześnie ciężarówek, i doskonale zdawał sobie sprawę, jak istotny dla morale mieszkańców jest fakt istnienia regularnego połączenia kolejowego i jak wielką radość może sprawić gwizd lokomotywy w lutowy poranek pod 41 stopniem szerokości północnej i 101 stopniem długości zachodniej. Poza tym podczas niezliczonych utarczek z Agencją Ochrony Środowiska i Departamentem Transportu wielokrotnie miał okazję docenić zdroworoządkowe podejście prowincjonalnych urzędników, którzy bez problemów godzili się na przedłużenie terminu demontażu ogromnych zbiorników na zużyty olej w Kansas City albo nie upierali się przy wprowadzeniu w życie wymyślonego przez jakiegoś cholernego gryziopórka, całkowicie zbędnego projektu zbudowania wiaduktu nad trzeciorzędną boczną szosą. W związku z tym jeszcze wiele lat po tym jak Soo Line, Great Northern i Rock Island zostawiły na pastwę losu dogorywające miasteczka na północnych Wielkich Równinach, pociągi Midpaca wciąż odwiedzały raz albo nawet dwa razy w tygodniu miejsca takie jak Alvin, Pisgah Creek, New Chartres i West Centerville.

Niestety, takie działania przyciągnęły drapieźników. Na początku lat osiemdziesiątych, kiedy Alfred powoli zbliżał się do emerytury, Midpac miał opinię regionalnego przewoźnika, który pomimo doskonałego zarządzania i wysokiej rentowności linii dalekobieżnych osiąga jedynie umiarkowane zyski. Odstręczywszy jednego niemile widzianego zalotnika, Midland Pacific Railroad znalazła się w obszarze zainteresowania Hillarda i Chauncy'ego Wrothów, bliźniaków z Oak Ridge

w stanie Tennessee, którzy przeistoczyli odziedziczony po rodzicach mały zakład paczkujący wędliny w ogromne, przynoszące krociowe zyski, wielobranżowe przedsiębiorstwo. Do Orific Group należał łańcuch hoteli, bank w Atlancie, firma zajmująca się wydobywaniem ropy naftowej oraz Arkansas Southern Railroad. Wrothowie mieli asymetryczne twarze, brudne włosy, a interesowało ich wyłącznie zarabianie pieniędzy. Rewolwerowcy z Oak Ridge — tak nazywano ich w prasie finansowej. Podczas pierwszego spotkania, w którym uczestniczył również Alfred, Chauncy Wroth zwracał się do prezesa rady nadzorczej Midpaca per „tatuśku”: „Jasne, zdaję sobie sprawę, że dla pana, tatuśku, to może wyglądać trochę nieuczciwie... Ale może jednak, tatuśku, zebrałby pan swoich prawników i spróbował się nad tym zastanowić... Słowo daję, tatuśku, Hillard i ja byliśmy święcie przekonani, że prowadzicie firmę z prawdziwego zdarzenia, a nie instytucję dobroczynną...”. Taki antypaternalizm bardzo się spodobał związkom zawodowym, które po kilku miesiącach negocjacji zgłoszowały za zaproponowaniem Wrothom pakietu ustępstw płacowo-pracowniczych wartości dwustu milionów dolarów. Mając w ręku przyszłe oszczędności i zakupione wcześniej dwadzieścia siedem procent akcji kolei, a także nieograniczone finansowanie odpadów, bracia złożyli propozycję nie do odrzucenia i wykupili firmę. Fenton Creel, niegdyś komisarz drogowy z Tennessee, otrzymał zadanie nadzorowania połączenia Midland Pacific z Arkansas Southern. Zaczął od zamknięcia głównej siedziby Midpaca w St. Jude, zwolnił jedną trzecią pracowników, resztę zaś przeprowadził do Little Rock.

Alfred odszedł na emeryturę dwa miesiące przed sześćdziesiątymi piątymi urodzinami. Rozparty w swoim nowym niebieskim fotelu właśnie oglądał „Good Morning America”, kiedy Mark Jamborets, emerytowany radca prawny Midpaca, zadzwonił z wiadomością, że szeryf z New Chartres w stanie Kansas został aresztowany pod zarzutem postrzelenia pracownika Orfic Midland.

— Szeryf nazywa się Bryce Halstrom. Odebrał zgłoszenie, że jakaś łobuzeria niszczy linie sygnałowe Midpaca. Pojechał na tor i zastał tam trzech cwaniaków zrywających przewody, rozbijających skrzynki sygnałowe, demontujących wszystko, co miedziane. Zanim zdołali go przekonać, że pracują dla Midpaca, jeden z nich dostał kulę w biodro. Mieli dostarczać miedziany złom po sześćdziesiąt centów za funt.

— Ale przecież tam wszystko było prawie nowe — zdziwił się Alfred.

— Cała linia do New Chartres była modernizowana nie dalej jak trzy lata temu.

— Wrothowie demolują wszystko z wyjątkiem najbardziej dochodowych linii dalekobieżnych. Całe odgałęzienie do Glendory trafiło już na złom!

— Hmm... — mruknął Alfred.

— To wynaturzona moralność baptystyczna — ciągnął Jamborets. — Wrothowie nie mogą znieść, że nie kierowaliśmy się tylko i wyłącznie drapieżną chęcią zysku. Oni najzwyczajniej w świecie boją się tego, czego nie rozumieją, i stosują taktykę spalonej ziemi. Zamykać siedzibę firmy w St. Jude? Kiedy jesteśmy dwa razy więksi od Arkansas Southern? Po prostu chcieli ukarać St. Jude za to, że tu właśnie założyliśmy kwaterę główną, a równocześnie Creel karze miasteczka takie jak New Chartres za to, że były miastami Midpaca. Tamtych też postanowili zrównać z ziemią.

— Hmm... — powtórzył Alfred, spoglądając na swój niebieski fotel i rozważając w duchu jego zalety jako miejsca do ucinania drzemek. — Mnie to już na szczęście nie dotyczy.

Ale przez minione trzydzieści lat życia starał się ze wszystkich sił umacniać pozycję Midland Pacific, więc Jamborets co jakiś czas dzwonił do niego i informował o kolejnych oburzających wydarzeniach. W krótkim czasie przestały funkcjonować niemal wszystkie odgałęzienia Midpaca w zachodnim sektorze. Fenton Creel zadowalał się paraliżowaniem systemu sygnalizacyjnego, niszcząc

skrzynki przekaźnikowe i demontując przewody. Pięć lat po przejściu firmy tory były w nienaruszonym stanie i teoretycznie nadawały się do użytku, ale przestał istnieć układ nerwowy, bez którego nie mogły funkcjonować.

— A teraz zaczynam się niepokoić o nasze ubezpieczenie zdrowotne — ciągnęła Enid. — Orfic Midland postanowiło, że od kwietnia wszyscy starzy pracownicy Midpaca przechodzą na system kontraktowy. Muszę szybko znaleźć jakąś kasę chorych, która podpisała kontrakty przynajmniej z częścią naszych lekarzy. Dostaję pocztą dziesiątki prospektów, każdy zachwala co innego, a najważniejsze informacje wydrukowane są drobnym drukiem. Nie wiem, czy sobie z tym poradzę.

— Na jakich zasadach pracuje Hedgpeth? — zapytała pospiesznie Denise, jakby starała się uprzedzić prośbę o pomoc.

— Za starych pacjentów, takich jak ojciec, dostaje refundację z ubezpieczalni, ale i on podpisał umowę na wyłączność z Deanem Dribbletem. Opowiadałam ci chyba o przyjęciu w tym nowym, wspaniałym domu Deana? Dean i Trish to naprawdę wyjątkowo mili młodzi ludzie, ale wyobraź sobie, Denise, że zadzwoniłam do jego firmy w ubiegłym roku, po tym jak ojciec upadł na kosiarkę, i wiesz, ile sobie zażyczyli za koszenie naszego małego trawnika? Pięćdziesiąt pięć dolarów tygodniowo! Nie mam nic przeciwko temu, żeby młodzi ludzie szybko się dorabiali i ogromnie się cieszyć z sukcesów Deana, i z tego, że zabrał Honey do Paryża, ale pięćdziesiąt pięć dolarów? Wyobrażasz sobie coś takiego?

Denise skończyła rwać sałatę i sięgnęła po oliwę.

— Ile by kosztowało, gdybyście chcieli zostać przy refundacji?

— Kilkaset dolarów miesięcznie dodatkowo. Wszyscy nasi znajomi zostali przy tym systemie, ale szczerze mówiąc, nie wiem, czy będzie nas na to stać. Ojciec inwestował bardzo ostrożnie, z trudem udaje nam się coś odłożyć na sytuacje awaryjne. Muszę ci się przyznać, że ogromnie mnie to niepokoi. A skoro o tym mowa... — Enid zniżyła głos. — Chciałam poprosić cię o radę, bo wygląda na to, że jeden ze starych patentów ojca wreszcie może dać jakieś zyski. — Zajrzała do pokoju. — Wszystko w porządku, Al? — zapytała głośno.

Właśnie niósł do ust drugą kanapkę, w kształcie małego samochodzika. Trzymał ją tak mocno i z takim skupieniem, jakby była małym żywym zwierzątkiem, gotowym skorzystać z najkrótszej chwili jego nieuwagi i rzucić się do ucieczki. Skinął głową, nie odwracając wzroku.

Enid wycofała się z powrotem do kuchni.

— Nareszcie ma szansę coś na tym zarobić, ale w ogóle nie jest zainteresowany. W zeszłym miesiącu Gary rozmawiał z nim przez telefon i próbował go namówić, żeby był odrobinę bardziej agresywny, ale nic z tego nie wyszło.

Denise zeszywniała.

— Czego chciał Gary?

— Tak jak mówię: żeby był bardziej agresywny. Zaraz pokażę ci list.

— Mamo, to są patenty taty. Może z nimi robić, co zechce.

Enid w głębi duszy miała nadzieję, że koperta na dnie jej torebki zawiera zaginiony polecony list z Axon Corporation. Zdarzało się już wielokrotnie, iż zagubione przedmioty w cudowny sposób odnajdywały się właśnie w torebce albo gdzieś w domu. Niestety, okazało się, że to pierwszy list, który nigdy nie zaginął.

— Przeczytaj i sama powiedz, czy Gary nie ma racji.

Denise odstawiła pieprzniczkę i wzięła list do ręki. Enid zaglądała jej przez ramię, żeby się upewnić, że jest w nim to, co zapamiętała.

Szanowny doktorze Lambert,

W imieniu Axon Corporation, 24 East Industrial Serpentine, Schwenksville, Pensylwania, proponuję Panu jednorazowe honorarium w wysokości pięciu tysięcy dolarów w zamian za przekazanie pełni praw do patentu zarejestrowanego w Urzędzie Patentowym Stanów Zjednoczonych pod numerem 4934417 (TERAPEUTYCZNA ELEKTROPOLIMERYZACJA ŻELU OCTANOWO-ŻELAZOWEGO), których to praw jest Pan jedynym właścicielem.

Kierownictwo Axon Corporation z przyjemnością przedstawiłoby Panu bardziej interesującą propozycję, lecz ich produkt znajduje się jeszcze we wstępnej fazie badań i nie mają żadnej pewności, czy przyniesie oczekiwane zyski.

Jeśli akceptuje Pan warunki przedstawione w załączonej umowie, uprzejmie proszę podpisać i poświadczyć notarialnie podpisy na wszystkich trzech egzemplarzach, a następnie odesłać je w terminie do 30 września br.

Z poważaniem

Joseph K. Prager

Kancelaria Adwokacka Bragg Knuter & Speigh

Kiedy w sierpniu, zaraz po odebraniu listu, Enid zeszła do piwnicy, obudziła Alfreda i pokazała mu pismo, ten tylko wzruszył ramionami i odparł:

— Pięć tysięcy dolarów nie zmieni naszego życia.

Enid zaproponowała, żeby napisać do Axon Corporation i zażądać wyższego honorarium, lecz Alfred pokręcił głową.

— Skończyłoby się na tym, że wydalibyśmy te pięć tysięcy na prawnika, i co dalej?

Enid upierała się jednak, że nie zaszkodzi spróbować.

— Nie będę próbował — odparł Alfred.

Ale gdyby jednak napisał i poprosił o dziesięć tysięcy...

Umilkła, ponieważ zmierzył ją takim wzrokiem, jakby zażądała od niego, żeby się z nią kochał.

Denise wyjęła z lodówki butelkę wina, jakby chcąc podkreślić brak zainteresowania dla sprawy, która dla Enid miała tak żywotne znaczenie. W ogóle Enid odnosiła wrażenie, iż Denise programowo gardzi wszystkim, na czym choć trochę zależy jej matce. Dawala to do zrozumienia nawet ruchami: zamykając szufladę pchnięciem pośladka opiętego ciasnymi džinsami, energicznie otwierając butelkę z winem.

— Napijesz się trochę?

— Jak dla mnie to trochę za wcześnie...

Denise piła wino jak wodę.

— Znając Gary'ego, przypuszczam, że chciałby ich jakoś przydusić?

— Chociaż, wiesz co... — Enid sięgnęła oburącz po butelkę. — Może kropelkę, ale nie więcej, naprawdę. Nigdy nie piję o tej porze, a Gary zastanawia się, dlaczego w ogóle interesują się patentem ojca, skoro jeszcze nawet nie myślą o produkcji. Tyle wystarczy, Denise! Nie przepadam za winem. Prawa do patentu i tak wygasają za sześć lat, więc Gary podejrzewa, że mają nadzieję już niedługo zbić na wynalazku ojca kupę forsy.

— Czy tata podpisał umowę?

— O, tak. Poszedł do kancelarii Schumpertów i Dave potwierdził podpis.

— W takim razie nie pozostaje ci nic innego, jak uszanować jego decyzję.

— Ale on jest uparty i nierozsądny! Nie rozumiem, jak...

— Chcesz powiedzieć, że byłoby lepiej go ubezwłasnowolnić?

— Nie, skądże znowu! To kwestia charakteru. Nie rozumiem...

— Skoro jednak już podpisał tę umowę, to co Gary zamierza osiągnąć?

— Wydaje mi się, że nic.

— W takim razie po co to całe zamieszanie?

— Masz rację — westchnęła Enid. — Nic już nie możemy zrobić.

Nie była to do końca prawda. Gdyby Denise nieco mniej zdecydowanie opowiadała się po stronie Alfreda, Enid być może przyznałaby się, iż Alfred wręczył jej podpisaną umowę, żeby idąc do banku wysłała ją listem poleconym z poczty, a ona wetknęła kopertę do schowka na rękawiczki i zostawiła ją tam na kilka dni, później zaś, podczas jednej z niezliczonych drzemek Alfreda, ukryła ją w bezpieczniejszym miejscu, czyli w stojącej w pralni szafce wypełnionej słojami z niechcianymi dżemami i marynatami (kumkwat z rodzynekami, dynia w brandy, jeżylna koreańska), wazonami, koszykami, gąbkami do bukietów zbyt starymi, żeby ich używać, a równocześnie zbyt dobrymi, żeby je wyrzucić. W wyniku tego nieuczciwego czynu wciąż istniała możliwość wydebienia od Axon wyższego honorarium, po to jednak, aby to osiągnąć, należało koniecznie odszukać drugi polecony list od Axon Corporation, zanim znajdzie go Alfred i dowie się o jej zdradzie i oszustwie.

— Właśnie sobie przypomniałam, że chciałam cię prosić o coś jeszcze — rzuciła, opróżniwszy kieliszek.

— Tak? — odparła zdawkowo Denise po krótkim, lecz wyraźnym wahaniu.

Wahanie to potwierdziło wniosek, do którego Enid doszła już dawno temu, a mianowicie, że ona i Alfred popełnili jakiś błąd w wychowaniu córki, że nie zdołali zaszczepić jej chęci i umiejętności bezinteresownego świadczenia przysług.

— Otóż, jak wiesz, już od ośmiu lat spędzamy Boże Narodzenie w Filadelfii, ale chłopcy Gary'ego są już na tyle duzi, że może dla odmiany chcieliby pojechać na święta do dziadków, więc pomyśleliśmy sobie, że...

— Cholera jasna! — rozległ się okrzyk w pokoju.

Enid odstawiła kieliszek i wybiegła z kuchni. Alfred siedział na brzeжку sofy w dość niewygodnej pozycji, z przygarbionymi plecami i wysoko uniesionymi kolanami, wpatrując się w miejsce katastrofy trzeciej kanapki. Zaledwie kilka centymetrów od jego ust mała chlebowa łożeczka wyśliznęła mu się z palców, spadła na kolana, potoczyła się w dół, by wreszcie znieruchomieć na podłodze. Na obiciu pozostały wyraźne ślady po czerwonym pieprzu, oliwie i maśle, takie same jak na spodniach i wykładzinie podłogowej. Pusta łożeczka leżała na boku, prezentując nasiąknięte żółcią wnętrze pokryte brązowymi plamami. Denise przepchnęła się obok Enid i uklękła przy ojcu z wilgotną gąbeczką w ręce.

— Och, tato... Powinam była się domyślić, że będzie ci trudno...

— Daj mi jakąś szmatę, to posprzątam.

— Nie, nie.

Denise zgarnęła na dłoń resztki oliwek z kolan Alfreda. Wyciągnął przed siebie roztrzęsione ręce, jakby zamierzał ją odepchnąć, ale ona pracowała szybko i pewnie i już po chwili wyniosła resztki do kuchni, gdzie tymczasem Enid poczuła, że przyda jej się jeszcze jeden mały łyk wina i naląła go sobie pospiesznie. Choć w pośpiechu zrobił się z tego całkiem spory łyk, przełknęła go bez najmniejszych

problemów.

— No więc pomyśleliśmy sobie, że gdybyście ty i Chip byli zainteresowani, to moglibyśmy wszyscy razem spędzić ostatnie wspólne święta w St. Jude. Co o tym myślisz?

— Dostosuję się do was.

— Ale ja chcę wiedzieć, co ty o tym myślisz, czy masz na to ochotę, czy chciałabyś spędzić jeszcze jedną Gwiazdkę w rodzinnym domu.

— Mogę ci od razu powiedzieć, że Caroline na pewno nie wyjedzie z Filadelfii, więc jeżeli chcesz zobaczyć się z wnukami, to będziesz musiała przyjechać tutaj.

— Denise, mnie interesuje twoje zdanie. Gary powiedział, że oboje z Caroline chętnie się nad tym zastanowią. Chcę wiedzieć, czy w ogóle jesteś zainteresowana takimi świętami w St. Jude, ponieważ my wszyscy doszliśmy do wniosku, że takie ostatnie spotkanie rodzinne byłoby...

— Mamo, nie ma problemu, oczywiście jeżeli jesteś pewna, że dasz sobie radę.

— Najwyżej trzeba mi będzie trochę pomóc w kuchni, i to wszystko.

— Pomogę ci, ale będę mogła przyjechać najwyżej na kilka dni.

— Nie na tydzień?

— Nie.

— Dlaczego?

— Mamo...

— Cholera! — wrzasnął Alfred w pokoju. Niemal równocześnie z jego okrzykiem rozległ się donośny trzask, kiedy coś dużego i ciężkiego (być może wazon ze słonecznikami) rozbiło się na podłodze. — Cholera jasna!

Enid miała już tak zszarpane nerwy, że niewiele brakowało, a wypuściłaby z ręki kieliszek, ale równocześnie poczuła coś w rodzaju zadowolenia z kolejnego nieszczęścia, ponieważ dzięki temu Denise mogła sobie wyobrazić, co czeka ją codziennie, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, w St. Jude.

Wieczór siedemdziesiątych piątych urodzin Alfreda zastał Chipa w jego mieszkaniu przy Tilton Ledge, spółkującego z czerwoną kanapą.

Był początek stycznia, a w lasach w okolicy Złomowego Potoku topniał śnieg. Chip dokonywał swoich wyczynów w ciemności rozświetlonej jedynie blaskiem neonowego nieba nad środkowym Connecticut oraz cyfrowych wyświetlaczy sprzętów elektronicznych. Klęcząc u stóp kanapy, dokładnie, centymetr po centymetrze, obwąchiwał jej siedzisko w nadziei, że osiem tygodni po tym, jak po raz ostatni leżała tam Melissa Paquette, wyczuje jeszcze choćby ślad jej intymnego zapachu. Wdychał powietrze z takim zapałem, że inne, znacznie pospolitsze zapachy — kurz, brud, mocz, dym papierosowy — zlały się w jeden, dominujący i zarazem całkowicie pozbawiony wyrazu, w związku z czym musiał przerwać, żeby dać odpocząć nozdrzom. Wyczałowywał pył, brud, okruszki i włosy z zagłębień wokół trzech obciążanych guzików. Wydawało mu się, że tam właśnie najwyraźniej czuje woń narządów płciowych Melissy, jednak poświęcił jeszcze trochę czasu, żeby wybrać miejsce wzbudzające najmniej wątpliwości. Ostatecznie jego wybór padł na środkowy guzik i na nim właśnie skupił węchową uwagę, równocześnie pieszcząc dłońmi dwa pozostałe i ocierając się środkowymi partiami ciała o miękkie plusz stanowiący odległą namiastkę jej skóry, aż wreszcie osiągnął spełnienie. Wyczerpany zsunął się z wykorzystanego mebla na podłogę i tam znieruchomiał ze zsuniętymi spodniami i głową opartą na siedzisku, o godzinę bliższy tego, żeby nie zadzwonić z życzeniami urodzinowymi do ojca.

Wypalił szybko dwa papierosy, włączył telewizor, ustawił kanał ze starymi filmami rysunkowymi. Blask bijący od ekranu docierał do podnóża stosu nieotwieranej od tygodnia poczty. Znajdowały się tam między innymi: trzy listy od nowego dziekana college'u, coś złowieszczonego z funduszu emerytalnego dla nauczycieli, a także list od administracji z nadrukiem ZAWIADOMIENIE O EKSMISJI na kopercie.

Nieco wcześniej tego samego dnia, pod koniec drugiej godziny spędzonej na wyszukiwaniu i podkreślaniu wszystkich wielkich „M” na pierwszej stronie zesłomiesięcznego „New York Timesa”, Chip doszedł do wniosku, że zachowuje się jak człowiek ogarnięty głęboką depresją. Teraz, kiedy zadzwonił telefon, pomyślał sobie, że osoba z depresją nie powinna zwracać na to uwagi, tylko zapalić kolejnego papierosa i jakby nigdy nic gapić się w telewizor. Fakt, że niewiele brakowało, by odruchowo poderwał się z miejsca i pobiegł do aparatu, niweczając w ten sposób wielogodzinne wysiłki zmierzające ku całkowitemu zmarnowaniu dnia, rzucił cień wątpliwości na autentyczność jego cierpienia. Chyba nie był w stanie stracić woli działania i kontaktu z rzeczywistością w takim stopniu, w jakim czynili to bohaterowie filmów i książek. Przyciszywszy telewizor, pobiegł do kuchni, bolejąc w duchu nad tym, że nawet nie potrafi się doprowadzić do porządnego załamania nerwowego.

Podciągnął spodnie, zapiał rozporek, podniósł słuchawkę.

— Halo?

— Co się z tobą dzieje? — zapytała Denise bez żadnych wstępów. — Właśnie dowiedziałam się od taty, że nie dałeś znaku życia!

— Denise... Dlaczego tak krzyczysz?

— Krzyczę, bo jestem wkurzona, bo dzisiaj są siedemdziesiąte piąte urodziny taty, a ty nawet do niego nie zadzwoniłeś ani nie przysłałeś mu kartki z życzeniami! Bo po dwunastu godzinach pracy zadzwoniłam do niego i dowiedziałam się, że się o ciebie martwi. Co to ma znaczyć, do jasnej cholery?

Ku swemu własnemu zdziwieniu Chip parsknął śmiechem.

— Tylko tyle, że straciłem pracę.

— Nie dostałeś stałego kontraktu?

— W ogóle mnie wywalili. Nie pozwolili mi nawet doprowadzić zajęć do końca. Kto inny egzaminował moich uczniów. Żeby się odwołać, musiałbym przedstawić świadka, a gdybym przedstawił świadka, wkopałbym się jeszcze bardziej.

— Świadka? Jakiego świadka?

Chip wyjął z kosza butelkę, dwukrotnie sprawdził, czy aby na pewno jest całkiem pusta, po czym wrzucił ją z powrotem.

— Moja była uczennica twierdzi, że mam obsesję na jej punkcie, że z nią współżyłem i napisałem za nią pracę semestralną. Wolno mi z nią rozmawiać tylko przez adwokata, na którego mnie nie stać, ponieważ nie dostaję pensji. Jeśli się do niej zbliżę, zostanę dodatkowo oskarżony o molestowanie.

— Czy ona kłamie?

— Oczywiście byłoby lepiej, żeby mama i tata o niczym nie wiedzieli.

— Chip, czy ona kłamie?

Na kuchennym blacie leżał egzemplarz „New York Timesa” z podkreślonymi wielkimi „M”. Takie dokonane po kilku godzinach odkrycie było jak przypomniany niespodziewanie sen, tyle że ów sen nie miał już żadnej mocy przyciągania, za to widok artykułu o kolejnych obostrzeniach w usługach

Medicare i Medicaid wzbudził w Chipie uczucie niepokoju i niezaspokojonej żądz, połączone z tym samym pragnieniem osiągnięcia całkowitego zapomnienia, które kazały mu nie tak dawno obwąchiwać i obmacywać sofę. Z trudem przypomniał sobie, że już skorzystał z tej drogi ucieczki.

Złożył gazetę i położył ją na wierzchu przepelnionego kosza na śmieci.

— Nigdy nie miałem kontaktów seksualnych z tą kobietą — oświadczył.

— Dobrze wiesz, że jestem zasadnicza w wielu sprawach, ale akurat nie w takich — przypomniała mu Denise.

— Powiedziałem, że z nią nie spałem.

— A szczególnie w tej dziedzinie możesz liczyć na moje całkowite zrozumienie — dodała Denise, po czym odchrząknęła znacząco.

Gdyby Chip chciał ułożyć sobie stosunki z którymś z członków rodziny, jego wybór z pewnością padłby właśnie na Denise. Rzuciwszy college i wplątawszy się w nieudane małżeństwo, miała okazję poczuć na własnej skórze, co znaczy zniechęcenie i rozczarowanie. Mimo to nikt — z wyjątkiem Enid — nie uważał jej za nieudacznika. Jej nieukończony college był znacznie lepszy od tego, do którego uczęszczał Chip, a wczesne małżeństwo i niedawny rozwód pozwoliły jej zyskać dojrzałość, której jemu — co do tego nie miał żadnej wątpliwości — wciąż brakowało. Co więcej, choć pracowała osiemdziesiąt godzin tygodniowo, z pewnością czytała więcej książek od niego. Przez ostatni miesiąc, który poświęcił na realizację takich projektów, jak skanowanie zdjęcia Melissy Paquette, cyfrowego łączenia jej twarzy z różnymi obscenicznymi obrazkami, a następnie obrabianie tychże obrazków piksel po pikselu (doprawdy trudno sobie wyobrazić bardziej czasochłonne zajęcie), w ogóle nie przeczytał żadnej książki.

— To było nieporozumienie — wyjaśnił siostrze ponurym tonem. — Później tak jakby robili wszystko, żeby mnie jak najprędzej wywalić. A teraz odmawiają mi prawa do skorzystania z procedury odwoławczej.

— Szczerze mówiąc, w samym fakcie wywalenia cię z college'u nie widzę nic złego. Każdy college to paskudne miejsce.

— To było jedyne miejsce na świecie, do którego miałem nadzieję się dopasować.

— I bardzo dobrze, że ci się nie udało. A tak właściwie to z czego teraz żyjesz?

— Czy ktoś powiedział, że żyję?

— Potrzebujesz forsy?

— Denise, przecież ty nie masz pieniędzy.

— Owszem, mam. Poza tym wydaje mi się, że powinieneś pogadać z moją przyjaciółką Julią. To ta od filmów. Opowiedziałam jej o twoim *Troilusie i Kresydzie z East Village*. Powiedziała, żebyś do niej zadzwonił, gdybyś zamierzał wziąć się za pisanie.

Chip pokręcił głową, jakby Denise była razem z nim w kuchni i mogła go zobaczyć. Już dawno temu rozmawiali przez telefon o współczesnieniu kilku mniej znanych sztuk Szekspira i Chip nie mógł znieść tego, że Denise poważnie potraktowała jego plany, że ciągle w niego wierzyła.

— A co z tatą? — zapytała. — Zapomniałeś, że dziś są jego urodziny?

— Straciłem poczucie czasu.

— Nie wierciłabym ci dziury w brzuchu, gdyby nie to, że to ja otworzyłam twoją paczkę świąteczną.

— Te święta to było jedno wielkie nieszczęście.

— Tak, trzeba było zgadywać, który prezent był dla kogo.

Na zewnątrz wschodni wiatr przybrał na sile, jego ciepłe podmuchy przyspieszały topnienie śniegu na patio. Uczucie, które ogarnęło Chipa w chwili, kiedy zadzwonił telefon — że jego nieszczęście jest względne — ulotniło się bez śladu.

— Więc jak, zadzwonisz?

Bez słowa odłożył słuchawkę, wyłączył dzwonek i przycisnął twarz do futryny. Problem prezentów świątecznych rozwiązał dosłownie ostatniego dnia, w wielkim pośpiechu zgarniając z półek resztki po książkowych wyprzedażach, owijając je aluminiową folią i obwiązując czerwoną wstążką, starając się równocześnie nie myśleć o tym, jak jego dziewięcioletni siostrzeniec Caleb zareaguje na oksfordzkie, opatrzone niezliczonymi przypisami wydanie *Ivanhoe*, które kwalifikowało się na prezent głównie ze względu na to, że wciąż jeszcze było opieczętowane plastikową folią. Narożniki książki natychmiast przebiły folię a druga jej warstwa, którą usiłował zasłonić ubytki, nie chciała przylegać do pierwszej, w związku z czym musiał się ratować nalepkami Narodowego Stowarzyszenia na rzecz Prawa do Aborcji, których pokaźny zapas otrzymał razem z nową deklaracją członkowską. Końcowy rezultat jego poczynań był tak żaloszny, dziecinny i odstręczający, i tak wyraźnie świadczył o mentalnym rozchwianiu autora, że po prostu wrzucił wszystkie prezenty do wielkiego kartonowego pudła po grejpfrutach, żeby tylko na nie nie patrzeć, po czym wysłał pudło pocztą kurierską na domowy adres Gary'ego w Filadelfii. Poczł się tak, jakby wykonał gigantyczną kupę, i bez względu na to, jak bardzo była paskudna i cuchnąca, przynajmniej miał z tym spokój i wiedział, że nieprędko znów znajdzie się w takiej sytuacji. Jednak zaledwie trzy dni później, po powrocie z dwunastogodzinnej świątecznej imprezy w Dunkin' Donuts w Norfolk, stanął wobec konieczności otwarcia bożonarodzeniowych paczek od rodziny: dwóch z St. Jude, wyściełanej grubej koperty od Denise i sporego pudełka od Gary'ego. Postanowił wkopać je na górę po schodach i utworzyć w łóżku. Okazało się to trudniejsze, niż przypuszczał, ponieważ podłużne pakunki nie wykazywały najmniejszej ochoty toczyć się pod górę, tylko co chwila utykały gdzieś po drodze, a wyściełana koperta razem z zawartością była zbyt lekka, w związku z czym pojawiły się poważne problemy z nadaniem jej właściwej prędkości. Jednak po nadzwyczajnie frustrujących i demoralizujących świętach — nagrał Melissie prośbę o to, żeby oddzwoniła pod numer automatu telefonicznego w Dunkin' Donuts albo, jeszcze lepiej, przyjechała, przerywając na parę godzin pobyt u rodziców w pobliskim Westport, aż wreszcie około północy pogodził się z faktem, że Melissa nie oddzwoni ani tym bardziej nie zjawi się osobiście — był po prostu fizycznie niezdolny zarówno do złamania ustalonych przez siebie reguł gry jak i do jej przerwania przed osiągnięciem wyznaczonego celu. Owe reguły dopuszczały wyłącznie naprawdę silne kopnięcia (szczególnie zabraniały natomiast wsuwania stopy pod wyściełaną kopertę i przenoszenia jej o stopień lub dwa w górę), w związku z czym kopał i kopał coraz mocniej, aż wreszcie przesyłka od Denise rozdarła się na całej długości, obsypując schody makulaturowym przemielonym farszem z wnętrza swojej podwójnej powłoki, on zaś zdołał uchwycić ją palcami stopy i posłać wysokim łukiem daleko i wysoko przed siebie, tak że wylądowała na przedostatnim stopniu. Niestety, wyglądało na to, że utknęła tam na dobre, chociaż zaciekle kopał, deptał i miażdżył ją stopami. Ze środka wyłoniła się płatanina zielonego jedwabiu i czerwonego papieru. Zniecierpliwiony jednak złamał zasady, wrzucił stratowane szczątki przesyłki na podest, dokopał je do łóżka, a następnie wrócił na parter po resztę paczek. Te także udało mu się niemal całkowicie zniszczyć, zanim dopracował się metody polegającej na zrzucaniu ich ze stopnia i częstowaniu kopniakiem w locie, dzięki czemu błyskawicznie docierały na piętro. Paczka od Gary'ego eksplodowała podczas lotu, posypały się z niej styropianowe kulki, na koniec zaś wypadła owinięta w bąbelkową folię butelka i potoczyła się po stopniach. Było to drogie kalifornijskie porto. Chip zaniósł je do łóżka, otworzył, a następnie opróżnił w tempie jednego dużego łyka na jeden

prezent. Od matki, która najwyraźniej wciąż uważała, że jej syn wiesza w święta skarpetę na kominku, dostał pudełko z napisem „Wypełniacz do skarpet”. Zawierało kilka oddzielnie zawiniętych przedmiotów: opakowanie cukierków przeciwkaszlowych, oprawioną w metalową ramkę swoją fotografię ze szkoły podstawowej, miniaturowe buteleczki z szamponem, odżywką i żelem pod prysznic z hotelu w Hongkongu, w którym Enid i Alfred zatrzymali się przed jedenastu laty podczas podróży do Chin, oraz dwa rzeźbione drewniane elfy z przesadnie szerokimi uśmiechami i sterczącymi z czaszek żyłkami, żeby można było powiesić je na choince. Pod hipotetyczną choinkę miała trafić zawartość drugiej, większej paczki, zawiniętej w świąteczny papier w Święte Mikołaje: spryskiwacz do roślin doniczkowych, trzy pary białych gatek, gigantyczna cukrowa laska i dwa jaśki. Od Gary’ego i jego żony Chip otrzymał oprócz wina miniaturową pompkę służącą do wysysania powietrza z napoczętych butelek, aby uchronić resztkę wina przed szybkim skwaśnieniem — doskonale rozwiązanie problemu, który Chipa zupełnie nie dotyczył, bo chociaż wysilał pamięć, nie potrafił sobie przypomnieć sytuacji, kiedy w jakiejś butelce znajdującej się w zasięgu jego ręki pozostała na dłużej resztkę wina. Od Denise, której ofiarował *Wybór listów André Gide’a*, usunąwszy uprzednio z okładki naklejkę świadczącą o tym, że zapłacił jednego dolara za ten wyjątkowo nudny i nieudany przekład, dostał piękną zieloną jedwabną koszulę, od ojca natomiast czek na sto dolarów z dołączoną odręczną notatką, w której Alfred zalecał mu, żeby kupił sobie coś wedle uznania.

Z wyjątkiem koszuli, którą nosił, czeku, który zrealizował, oraz porto, które od razu wypił w łóżku, prezenty od rodziny wciąż walały się na podłodze sypialni. Strzępy z wyściółki koperty od Denise dotarły aż do kuchni, gdzie zmieszane z wodą kapiącą ze zlewozmywaka utworzyły błoto, które następnie rozniósł po całym mieszkaniu. Styropianowe kulki przeciagi poupychały po kątach.

Na środkowym zachodzie dochodziła właśnie dwudziesta druga trzydzieści.

Cześć, tato. Wszystkiego najlepszego z okazji siedemdziesiątych piątych urodzin. U mnie wszystko w porządku, a co u was?

Chip czuł, że bez jakiegoś energetyzującego bodźca nie będzie w stanie sięgnąć po telefon, ale nie miał pojęcia, co mogłoby funkcję tego bodźca pełnić. Telewizja od jakiegoś czasu tak bardzo go stresowała, że palił papierosy nawet w trakcie kreskówek, w związku z czym jego płuca zamieniły się w jedno wielkie ognisko dokuczliwego bólu. Z domu znikły wszystkie zapasy alkoholu, łącznie z aromatami do ciast i syropem przeciwkaszlowym, a po ekscesach z kanapą jego endorfiny wycofały się do najodleglejszych zakamarków mózgu, tak wyczerpane reżimem, któremu poddawał je przez minione pięć tygodni, że nic ani nikt, może z wyjątkiem Melissy we własnej osobie, nie zdołałoby ich stamtąd wywabić. Rozpaczliwie potrzebował elektryzującego impulsu, lecz dysponował tylko egzemplarzem „New York Timesa” z ubiegłego miesiąca, a miał wrażenie, że jak na jeden dzień podkreślił już wystarczająco dużo wielkich „M” i więcej po prostu nie da rady.

Dokładnie zbadał zawartość ustawionych na stole butelek, lecz zyskał tylko całkowitą pewność, że istotnie nie ma w nich żadnych, choćby najmniejszych resztek. Za ostatnie 220 dolarów z linii kredytowej Visy kupił osiem butelek bardzo przyzwoitego fronsaca i w sobotni wieczór urządził ostatnie mobilizujące przyjęcie dla swoich zwolenników na wydziale. Kilka lat wcześniej, kiedy rada wydziału dramatu zwolniła młodą wykładowczynię nazwiskiem Cali Lopez (pod zarzutem sfalszowania dokumentów stwierdzających posiadanie przez nią stopnia naukowego), rozjuszeni studenci i młodszy wykładowcy zorganizowali gwałtowne protesty, zmuszając władze nie tylko do ponownego przyjęcia panny Lopez, lecz także do podpisania z nią stałego kontraktu. Co prawda Chip nie był ani lesbijką, ani Filipinką, ale wykladał teorię feminizmu, mógł liczyć na stuprocentowe poparcie frakcji homoseksualnej, okraszał swoje wykłady cytatami z autorów spoza obszaru

cywilizacji zachodniej, a to, co czynił w pokoju numer 23 w Comfort Valley Lodge, było w gruncie rzeczy zaledwie wprowadzaniem w życie teorii (na przykład mitu autorstwa i rezystorowanego konsumpcjonizmu transgresywnych relacji seksualnych), za których nauczanie mu płacono. Niestety, teorie te brzmiały cokolwiek nieprzekonująco, jeśli wygłaszał je przed kim innym niż łatwo ulegający fascynacjom nastolatki. Spośród ośmiorga zaproszonych kolegów na przyjęciu zjawili się zaledwie czworo i pomimo jego wysiłków zmierzających do skierowania rozmowy na temat niewesołej sytuacji, w jakiej się znalazł, jedyny zbiorowy wysiłek podjęty przez przyjaciół z myślą o nim polegał na chóralnym odśpiewaniu — zaraz po opróżnieniu ósmej butelki wina — dość swobodnie zinterpretowanej wersji *Non, je ne regrette rien*.

Zabrakło mu energii, żeby po nich posprzątać. Całymi dniami kontemplował resztki sałatki, warstwę zestalonego tłuszczu na pieczeni, walające się na podłodze korki i popiół wysypujący się z popielniczek. Beład, jaki panował w jego domu, odpowiadał temu w jego głowie. Cali Lopez zastąpiła Jima Levitona na stanowisku dziekana.

Opowiedz mi o stosunkach, które łączą cię z twoją studentką Melissą Paquette.

Z moją byłą studentką?

Tak, z twoją byłą studentką.

Lubię ją. Zjedliśmy razem kolację. Spędziliśmy wspólnie trochę czasu na początku przerwy świątecznej. Jest doskonałą studentką.

Czy pomagałaś jej pisać pracę semestralną dla Vendli O'Fallon?

Rozmawialiśmy o tym. Pomogłem jej wyjaśnić kilka wątpliwości.

Czy wasze stosunki mają charakter seksualny?

Nie.

Będziemy musieli czasowo odsunąć cię od prowadzenia zajęć aż do chwili, gdy przeprowadzimy szczegółowe śledztwo. Następne przesłuchanie odbędzie się na początku przyszłego tygodnia, a tymczasem dobrze by było, gdybyś znalazł sobie prawnika i pogadał z przedstawicielem związków zawodowych. Nie próbuj natomiast rozmawiać z Melissą Paquette.

A co ona mówi? Że napisałem za nią tę pracę?

Melissa naruszyła kodeks honorowy, oddając wykładowcy pracę nie swojego autorstwa. Grozi jej zawieszenie na jeden semestr, ale zdajemy sobie sprawę z istnienia licznych okoliczności łagodzących. Chociażby godny potępienia fakt, że utrzymywałeś z nią kontakty seksualne.

Tak twierdzi?

Całkiem prywatnie radzę ci, Chip, żebyś sam złożył rezygnację.

Ona tak twierdzi?

Nie masz szans.

Woda z roztopionego śniegu kapiała obficie na patio. Zapalił papierosa od węgielka z kominka, po czym zacisnął palce na rozżarzonej grudce. Jęknął przez zaciśnięte zęby, otworzył zamrażarkę, wepchnął do niej rękę i stał tak przez minutę, wciągając w płuca świeży dym, a następnie, z kostką lodu w dłoni, poszedł do telefonu, żeby wybrać najpierw doskonale znany numer kierunkowy, potem zaś równie dobrze znany, domowy. Czekając, aż w St. Jude ktoś podniesie słuchawkę, stopą wepchnął głębiej do kosza egzemplarz „New York Timesa” z podkreślonymi wielkimi literami M.

— To ty, Chip?! — wykrzyknęła Enid. — Alfred właśnie położył się do łóżka!

— Więc go nie budź, tylko mu powiedz...

Lecz Enid już położyła słuchawkę i wołała „Al! Al!”. Jej głos cichł w miarę, jak oddalała się od aparatu, wspinając się po stopniach. „To Chip!”. Ciche kliknięcie oznajmiło, że ktoś podniósł słuchawkę aparatu na piętrze. „Tylko nie odkładaj od razu słuchawki!” — poinstruowała Enid Alfreda. — „Porozmawiaj z nim trochę!”.

— Tak — powiedział Alfred.

— Cześć, tato. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

— Tak — odparł Alfred tym samym, całkowicie wypranym z emocji tonem.

— Przepraszam, że dzwonię tak późno.

— Jeszcze nie spałem.

— Bałem się, że cię obudzę.

— Tak.

— No więc wszystkiego najlepszego.

— Tak.

Chip miał nadzieję, że Enid zapomniała o obolałym biodrze i o wszystkim, i kuśtyka najszybciej jak może z powrotem do kuchni, żeby wyratować go z opresji.

— Na pewno jesteś zmęczony. Jest bardzo późno. Nie musimy długo rozmawiać.

— Dzięki za telefon — powiedział Alfred.

Do rozmowy włączyła się Enid.

— Muszę dokończyć zmywanie. Ależ dzisiaj mieliśmy przyjęcie! Al, opowiedz Chipowi o przyjęciu, a ja wracam do zmywania.

Odłożyła słuchawkę.

— Mieliście gości? — zapytał Chip.

— Tak. Rootowie wpadli na kolację i partyjkę brydza.

— Był tort?

— Twoja matka zrobiła.

Węgielek wypalił w ciele Chipa dziurę, przez którą wdzierał się ból i uciekała radość życia. Spomiędzy palców kapłała woda z roztopionego lodu.

— A co z brydżem?

— Jak zwykle. Karta zupełnie mi nie szła.

— To nie w porządku. Przecież dzisiaj twoje urodziny.

— Zdaje się, że szykujesz się do nowego semestru?

— Tak, oczywiście. To znaczy, nie bardzo. Właściwie postanowiłem w ogóle nie wykładać w tym semestrze.

— Nie usłyszałem.

— Mówię, że postanowiłem nie wykładać w tym semestrze — powtórzył Chip podniesionym głosem. — Wezmę wolne i zajmę się pisaniem.

— O ile sobie przypominam, miałeś nadzieję podpisać stały kontrakt?

— Tak. W kwietniu.

— Czy osoba, która ma nadzieję na stały kontrakt, nie powinna raczej kontynuować zajęć?

— Tak, oczywiście.

— Jeśli zobaczą, że nie pracujesz ze wszystkich sił, mogą nie zaproponować ci kontraktu.

— Oczywiście. Oczywiście. — Chip skinął głową. — Z drugiej strony, muszę przygotować się

psychicznie na ewentualność, że go nie dostanę. Właśnie... eee... właśnie otrzymałem bardzo ciekawą propozycję od pewnej hollywoodzkiej producentki. Koleżanka Denise z college'u teraz zajmuje się produkcją filmów. To potencjalnie bardzo korzystna propozycja.

— Praktycznie nie ma sposobu, żeby zwolnić dobrego pracownika.

— W tych sprawach często dużą rolę odgrywają inne czynniki. Muszę mieć przygotowane rozwiązania alternatywne.

— Jak uważasz — odparł Alfred. — Ja jednak sędzę, że najlepiej przygotować sobie plan i się go trzymać. Jeśli ci się nie uda, oczywiście zawsze możesz robić coś innego, ale pracowałeś wiele lat na to, żeby uzyskać to, co masz w tej chwili. Jeszcze jeden semestr ciężkiej pracy na pewno by ci nie zaszkodził.

— Oczywiście.

— Odpoczniesz po podpisaniu kontraktu. Wtedy będziesz bezpieczny.

— Oczywiście.

— No cóż, w każdym razie dziękuję, że zadzwoniłeś.

— Oczywiście. Jeszcze raz wszystkiego najlepszego, tato.

Chip rzucił słuchawkę na widełki, szybkim krokiem wyszedł z kuchni, chwycił za szyjkę jedną z butelek po winie i z całej siły rąbnął nią o krawędź stołu. Chwilę później tak samo rozprawił się z drugą, a potem z sześcioma pozostałymi, tłukąc je oburącz, po dwie jednocześnie.

Przez kolejne tygodnie żył napędzany gniewem. Pożyczył dziesięć tysięcy dolarów od Denise i wynajął prawnika, żeby ten zagroził władzom college'u procesem o bezpodstawne zwolnienie. Oczywiście oznaczało to wyrzucenie pieniędzy w błoto, ale od razu poczuł się lepiej. Pojechał do Nowego Jorku, gdzie za cztery tysiące dolarów został podnajemcą małego mieszkania przy Dziewiątej Ulicy. Kupił skórzane ubrania, kazał sobie przekłuć uszy. Pożyczył jeszcze trochę pieniędzy od Denise i na nowo nawiązał kontakty z koleżanką z college'u redagującą „Warren Street Journal”. Planował dokonać zemsty za pomocą scenariusza, w którym zdemaskowałby narcyzm i zdradę Melissy Paquette oraz hipokryzję swoich koleżanek i kolegów. Chciał, żeby wszyscy, którzy go skrzywdzili, zobaczyli ten film, rozpoznali siebie jako pierwotne postaci i poczuli się dotknięci do żywego. Flirtował z Julią Vrais, umówił się z nią na randkę i nim się obejrzał, wydawał dwieście do trzystu dolarów tygodniowo na jej jedzenie i rozrywki. Jeszcze bardziej zapożyczył się u Denise. Z papierosem przyklejonym do dolnej wargi łomotał w maszynę do pisania. W taksówkach Julia tuliła twarz do jego piersi i chwyciła go za kołnierzyk. Rozdawał trzydziesto- i czterdziestoprocentowe napiwki. Cytował Szekspira i Byrona w rozmaitych zabawnych kontekstach. Pożyczył jeszcze trochę pieniędzy od Denise i doszedł do wniosku, że miała rację, że utrata posady w college'u to najlepsze, co mogło go spotkać.

Rzecz jasna nie był aż tak naiwny, żeby bezkrytycznie przyjąć początkowe zachwyty, które usłyszał z ust Eden Procurowej, ale im częściej spotykał się z nią na stopie towarzyskiej, tym mocniej wierzył, że jego scenariusz spotka się z życzliwym przyjęciem. Po pierwsze, Eden była dla Julii jak matka — co prawda starsza zaledwie o pięć lat, podjęła wysiłek ułatwienia swojej asystentce dokonania głębokiej przemiany. Chociaż Chip jakoś nigdy nie uwolnił się od wrażenia, iż Eden wolałaby widzieć kogoś innego w roli adresata miłosnych uczuć Julii (wciąż mówiła o nim jako o „znajomym” Julii, a nie jako o jej chłopaku, kiedy zaś wspominała o jej niewykorzystanym potencjale i braku pewności siebie, było dla niego jasne, iż jedną z dziedzin, w których oczekuje szczególnie wyraźnej poprawy ze strony podopiecznej, jest dobór partnerów seksualnych), to jednak Julia zapewniała go, iż Eden uważa go za uroczonego i wyjątkowo bystrego. Mąż Eden, Doug O'Brien, ponad wszelką

wątpliwość trzymał jego stronę. Doug był specjalistą od fuzji i przejął w kancelarii Bragg Knuter & Speigh. Załatwił mu możliwość dorabiania w charakterze korektora, ruchomy czas pracy i najwyższą stawkę. Za każdym razem, gdy Chip próbował mu za to podziękować, Doug lekceważąco machał ręką.

— Przecież masz doktorat — powiadał. — A ta twoja książka jest naprawdę w dechę.

Bardzo szybko Chip został stałym bywalcem kolacji u O'Brienów-Procurow w Tribeca oraz urządzanych niemal w każdy weekend przyjęć w Quogue. Pijąc ich alkohole i opychając się dostarczonymi przez firmę cateringową potrawami, odczuwał przedsmak sukcesu stokroć słodszy od stałego kontraktu w college'u. Czuł, że naprawdę żyje.

A potem pewnego wieczoru Julia poprosiła, żeby przy niej usiadł, i powiedziała, że jest jedna ważna sprawa, o której do tej pory mu nie wspomniała, ale czy może jej obiecać, że nie będzie się gniewał? Ważna sprawa polegała na tym, że Julia tak jakby miała męża. Nazywał się Gitanas Misevičius i był wicepremierem Litwy, małego nadbałtyckiego państwa. Julia wyszła za niego parę lat temu, ale miała nadzieję, że Chip nie weźmie jej tego za złe.

Jej problem z mężczyznami polegał na tym, że wychowywała się z dala od nich. Ojca, cierpiącego na chorobę afektywną dwubiegunową, sprzedawcę motorówek, spotkała tylko raz w życiu, czyli dokładnie o jeden raz za wiele. Matka — urzędniczka w firmie produkującej kosmetyki — jak najwcześniej podrzuciła ją swojej matce, a ta zapisała wnuczkę do katolickiej szkoły dla dziewcząt. Pierwsze poważniejsze zetknięcie Julii z mężczyznami nastąpiło w college'u. Potem przeprowadziła się do Nowego Jorku, gdzie niezwłocznie przystąpiła do realizacji śmiałego planu polegającego na przespaniu się ze wszystkimi nieuczciwymi, lekko sadystycznymi, całkowicie niezaangażowanymi, superprzystojnymi mężczyznami z Manhattanu. W wieku dwudziestu ośmiu lat mogła być zadowolona co najwyżej ze swojego wyglądu, mieszkania i stałej pracy (polegającej głównie na odbieraniu telefonu). Kiedy więc w jakimś klubie poznała Gitanaśa, a ten potraktował ją całkiem poważnie, jakiś czas później ofiarował wcale niemały brylant w oprawie z białego złota, i zdawał się ją naprawdę kochać (oprócz tego zaś był przedstawicielem swojego kraju przy Organizacji Narodów Zjednoczonych; poszła tam kiedyś i wysłuchała jego grzmiącego nadbałtyckiego przemówienia), uczyniła wszystko, co w jej mocy, żeby się odwdziżyć. Była Najbardziej Zgodną Kobietą na Świecie. Starła się co sił nie sprawić mu zawodu, chociaż teraz, z perspektywy czasu, wydawało się niemal pewne, że byłoby lepiej, gdyby jednak go rozczarowała. Gitanas był od niej sporo starszy, w łóżku pamiętał o jej potrzebach (oczywiście nie tak bardzo jak Chip, pospieszyła z zapewnieniami, ale też nie sprawował się najgorzej) i sprawiał wrażenie człowieka całkowicie dojrzałego do małżeństwa, więc pewnego dnia udała się z nim do Urzędu Stanu Cywilnego. Zgodziłaby się nawet przyjąć jego nazwisko, gdyby nie brzmiało aż tak głupio. Wkrótce po ślubie stwierdziła, iż marmurowe posadzki, lakierowane na czarno meble i kryształowe ozdoby ambasadorskiego apartamentu nad East River wcale nie są tak atrakcyjne, jak sądziła. Szczerze mówiąc, działały na nią przygnębiająco. Namówiła Gitanaśa do sprzedaży mieszkania (kupił je z pocałowaniem ręki szef delegacji Paragwaju) i kupna mniejszego, bardziej przytulnego przy Hudson Street, w pobliżu kilku dobrych klubów. Znalazła mu sensownego fryzjera, nauczyła go wybierać ubrania z włókien naturalnych. Wszystko zdawało się układać jak najlepiej. Chyba jednak nie dogadali wszystkich szczegółów, bo kiedy jego partia (JPRiJORIKJoNPz17, czyli Jedyna Partia Rzeczywiście i Jednoznacznie Oddana Rewanżystowskiemu Ideałom Kazimierasa Jaramaitisa oraz Niemanipulowanemu Plebiscytowi z Siedemnastego Kwietnia) przegrała wrześniowe wybory i wezwała go z powrotem do Wilna, aby zasilił szeregi opozycji parlamentarnej, Gitanas uważał za oczywiste, że Julia będzie mu towarzyszyć. Julia zdecydowanie nie miała nic przeciwko zasadzie, że

mąż i żona stanowią jedno ciało, i tak dalej, lecz ze snutyh przez Gitanasa opowieści o postsowieckim Wilnie wyłaniał się obraz miasta nękanego ciągłymi przerwami w dostawach ogrzewania i elektryczności, marznącymi mżawkami, strzelaninami na ulicach, ze sklepami spożywczymi oferującymi głównie koninę. W związku z tym zrobiła mężowi okropną rzecz, z pewnością najgorszą, jaką zrobiła komukolwiek w życiu: wsiadła z nim do samolotu, zajęła miejsce w pierwszej klasie, a następnie wymknęła się ukradkiem tuż przed odlotem, wróciła do domu, zmieniła numer telefonu i kazała Eden przekazać Gitanasowi, kiedy ten zadzwoni, że znikła bez śladu. Pół roku później Gitanas przyleciał na weekend do Nowego Jorku i dał jej niedwuznacznie do zrozumienia, że bardzo, ale to bardzo go rozczarowała. Istotnie, zachowała się paskudnie, lecz chociaż się do tego przyznała, on obrzucał ją coraz gorszymi wyzwiskami, a w końcu nawet uderzył, i to dość mocno. Koniec końców stanęło na tym, że co prawda nie mogą dalej być razem, ale ona będzie nadal korzystać z mieszkania przy Hudson Street, a w zamian za to nie zażąda rozwodu, tak aby w razie potrzeby Gitanas mógł bez przeszkód znaleźć schronienie w Stanach, ponieważ na Litwie sprawy znowu miały się ku gorszemu.

Tak właśnie przedstawiała się historia jej i Gitanasa. Może jednak Chip nie będzie się na nią bardzo gniewał?

Chip się nie gniewał. Mało tego: fakt, że Julia jest mężatką, w pierwszej chwili nie tylko go nie zirytował, lecz niemal ucieszył. Zafascynowała go jej obrączka i pierścionki, domagał się, żeby zakładała je do łóżka. Dla dodania sobie animuszu podczas odwiedzin w siedzibie „Warren Street Journal” często czynił aluzje do europejskiego męża stanu, któremu przyprawiał rogi, a w swojej pracy doktorskiej („Wszechogarniające drzenie członków: o kompleksach okołofallicznych w dramacie elżbietańskim”) często nawiązywał do zdrady małżeńskiej. Ekscytowała go koncepcja małżeństwa rozumianego jako potwierdzenie własności oraz zdrady jako synonimu kradzieży.

Jednak dość szybko urok nowości przeminął, Chip przestał czerpać satysfakcję z faktu korzystania z własności zagranicznego dyplomaty, zaczął natomiast snuć burżuazyjne fantazje, w których sam był mężem Julii, jej panem i władcą. Stał się wręcz chorobliwie zazdrosny o Gitanasa Misevičiusa, który — chociaż to Litwin i damski bokser — był jednak odnoszącym sukcesy politykiem oraz człowiekiem, którego imię Julia wymawiała z poczuciem winy i melancholią. W sylwestra zapytał ją wprost, czy kiedykolwiek myślała o rozwodzie. Odparła, że lubi swoje mieszkanie i chwilowo wolałaby nie szukać nowego.

Zaraz po Nowym Roku Chip wrócił do pracy nad wstępną wersją *Akademii fioletu*, ukończył ją po dwudziestostronicowej euforycznej erupcji prawie nieprzerwanego łomotania w klawiaturę, po czym stwierdził, że rezultat końcowy nie całkiem go satysfakcjonuje. Szczerze mówiąc, tekst przypominał odtwórczy bełkot. Przez miesiąc spędzony na hucznym i kosztownym świętowaniu wyobrażał sobie, że będzie mógł usunąć najbardziej sztabowe elementy — spiszek, wypadek samochodowy, okropne lesbijki — a mimo to opowiedzieć interesującą historię. Niestety, okazało się, iż bez nich nie ma żadnej historii.

Walcząc o ocalenie swoich intelektualnych i artystycznych ambicji, dodał na początku długi teoretyzujący monolog, który jednak okazał się tak nieczytelny, że za każdym razem gdy Chip włączył komputer, musiał zaczynać od jego przerabiania. Wkrótce na przeróbki te poświęcał zdecydowaną większość każdej sesji pisarskiej. Drżał na samo wyobrażenie, żeby go skrócić, ponieważ bał się bezpowrotnie utracić zawarte tam głębokie myśli, więc zaczął eksperymentować z przenoszeniem wyrazów oraz szerokością marginesów, żeby monolog kończył się nie na górze strony siódmej, lecz na dole szóstej. Zamienił słowo „prezentacja” na „pokaz”, zyskując w ten sposób sześć znaków, co pozwoliło mu przenieść wyraz „transcendencja” nie po pierwszej, lecz po trzeciej sylabie, to zaś

pociągnęło za sobą mnóstwo innych, równie korzystnych zmian w kolejnych wierszach. Po pewnym czasie doszedł jednak do wniosku, że „prezentacja” i „pokaz” to jednak nie to samo, wrócił więc do wersji pierwotnej i natychmiast rozpoczął poszukiwania innych długich słów, które dałoby się zamienić na krótsze, przez cały czas wmawiając sobie usilnie, że jest na świecie taki producent filmowy, który będzie w stanie przebrnąć przez sześć (ale już nie siedem!) stron pompatycznego mędrkowania.

Dawno temu, kiedy jeszcze był dzieckiem, nad środkowym zachodem wystąpiło całkowite zaćmienie słońca. Mimo ostrzeżeń pewna dziewczyna z jednego z zapyziałych miasteczek po drugiej stronie rzeki tak długo obserwowała chudnący sierp słonecznej tarczy, że oślepla.

— To wcale nie bolało — powiedziała później dziennikarzowi z „St. Jude Chronicle”. — W ogóle nic nie czułam.

Dni, które Chip spędzał na upiększaniu beznadziejnie martwego monologu, przeżywał w znacznej mierze dzięki pieniądзом młodszej siostry. Niemniej jednak dopóki ich wystarczyło, nie cierpiał zbyt mocno. Czas upływał w jednostajnym tempie, Chip rzadko wstawał przed południem. Smacznie jadał, pił dobre wino, ubierał się na tyle dobrze, żeby wmówić sobie, że nie jest beznadziejną galaretowatą kupą nieszczęścia i przez cztery na każde pięć wieczorów potrafił ukryć trawiące go lęki oraz złe przeczucia, i cieszyć się towarzystwem Julii. Ponieważ kwota, którą był winien Denise, sprawiała wrażenie znacznej w porównaniu z zarobkami korektora, za to niewysokiej według standardów obowiązujących w Hollywood, coraz rzadziej zawracał sobie głowę korektą. W sumie narzekał wyłącznie na swoje zdrowie. Zdarzało się, że w letni dzień, który zamierzał poświęcić w całości na przerabianie Sceny I, nagle uzmysławiał sobie z całą ostrością, jak marne są efekty jego wysiłków, wybiegał z domu, żeby złapać trochę świeżego powietrza, szedł Broadwayem aż do Battery Park City, siadał na ławce, wiatr znad rzeki Hudson wdierał mu się pod kołnierz, słuchał furkotu przelatujących w górze śmigłowców oraz dalekich pokrzykiwań dzieci milionerów z Tribeki i zanurzał się po uszy w poczuciu winy. On — zdrowe, pełne energii nic? Jak to możliwe? Nie umiał wykorzystać tego, że dobrze sypiał, że nigdy się nie przeziębiał, a katar zapewne utrudniałby mu koncentrację, a jednocześnie nie umiał też wpaść w wakacyjny nastrój, flirtować z nieznanymi kobietami i wlewać w siebie kolejnych margarit. Chyba byłoby lepiej, gdyby chorował i umierał właśnie teraz, w chwili zalewu niepowodzeń, zachowując energię i zdrowie na inny, odległy czas, kiedy — choć akurat w tej chwili trudno było to sobie wyobrazić — stanie się człowiekiem sukcesu. Wiedział, że marnotrawi mnóstwo rzeczy: pieniądze Denise, dobrą wolę Julii, własne zdolności i wykształcenie, szanse stwarzane przez najdłuższy boom ekonomiczny w historii Ameryki; jednak największą przykrość sprawiała mu jego doskonała kondycja fizyczna, tu i teraz, w promieniach słońca nad brzegiem rzeki.

Pieniądze skończyły mu się w pewien lipcowy piątek. Mając przed sobą weekend z Julią, czyli co najmniej piętnaście dolarów wydane w kinowym barku, zgarnął z półek swoich marksistów i w dwóch potwornie ciężkich torbach zataszczył je do antykwariatu. Książki były w doskonałym stanie, a ich łączna cena okładowa wynosiła 3900 dolarów. Właściciel antykwariatu obrzucił je pobieżnym spojrzeniem, po czym ogłosił wyrok:

— Sześćdziesiąt pięć.

Niewiele brakowało, żeby Chip parsknął śmiechem. Nie miał ochoty na kłótnie, ale trudno było mu się pogodzić z faktem, że samo brytyjskie wydanie *Krytyki społeczeństwa* Jürgena Habermasa (książka okazała się za trudna nawet na to, żeby ją przeczytał, a cóż dopiero mówić o jakimkolwiek wykorzystaniu zawartych w niej tez) kosztowało go 95 funtów.

— Może pan pójść gdzie indziej — odparł antykwariusz, kiedy mu o tym napomknął.

— Ależ nie ma takiej potrzeby — zapewnił go pospiesznie Chip. — Sześćdziesiąt pięć jest w porządku.

Żałośnie jak na dłoni było widać, iż spodziewał się dostać za swoje książki kilkaset dolarów. Odwrócił się od spoglądających na niego z wyrzutem grzbietów; doskonale pamiętał, jak każdy z nich wabił go kiedyś w księgarni obietnicami totalnej krytyki społeczeństwa schyłkowej ery kapitalizmu i z jaką radością niósł je do domu. Ale Jürgen Habermas nie miał długich, chłodnych, przypominających smukłe drzewka nóg Julii, Theodor Adorno nie pachniał jak ona ochoczą zmysłowością, Fred Jameson nie dysponował jej wyszukanyim językiem. Do początku października, kiedy Chip wysłał Eden Procurowi ukończony scenariusz, zdążył się pozbyć wszystkich formalistów, feministek, strukturalistów, poststrukturalistów, freudystów i homoseksualistów. Żeby zdobyć środki na lunch z rodzicami i Denise, mógł spieniężyć już tylko ukochanych historyków kultury albo wydanie dzieł wszystkich Szekspira w twardej oprawie; ponieważ Szekspira otaczała magiczna aura — tomy w identycznych bladoniebieskich obwolutach przywodziły na myśl bezpieczny archipelag, na którym w razie potrzeby zawsze mógł się na jakiś czas ukryć — zapakował do toreb Foucaulta, Greenblatt'a oraz Pooveya i sprzedał ich wszystkich za 115 dolców.

Sześćdziesiąt dolarów wydał od razu na fryzjera, słodycze, środek do wywabiania plam i dwa drinki w Cedar Tavern. W sierpniu, kiedy zapraszał rodziców, miał nadzieję, że do ich przyjazdu Eden Procurowi zapozna się ze scenariuszem i przyśle zaliczkę, ale teraz sytuacja przedstawiała się w ten sposób, że mógł im zaproponować jedynie domowy posiłek. Wybrał się do delikatesów w East Village, gdzie kiedyś sprzedawano doskonałe tortellini i chrupkie pieczywo, lecz okazało się, że delikatesów już tam nie ma, on zaś nie czuł się na siłach pokonać pieszo dziesięć przecznic dzielących go od wysmienitej piekarni, w związku z czym wędrował na oślep po East Village, zachodząc do rozmaitych sklepów spożywczych, ale wszystkie produkty, których kosztował, okazywały się nie do przyjęcia. W końcu zarzucił pomysł włoskiej kolacji, a postanowił przyrządzić sałatkę z ryżu, awokado i wędzonej piersi indyka. Natychmiast pojawił się problem ze znalezieniem dojrzałego awokado. Odwiedzał sklep za sklepem tylko po to, żeby stwierdzić, że nigdzie nie mają awokado, a kiedy wreszcie je znalazł, okazało się, że są wielkości limonek i kosztują 3,89 za sztukę. Trzymając w rękach pięć owoców, zastanawiał się, co począć. Odłożył je, wziął ponownie, znowu odłożył, wziął jeszcze raz. Nie mógł się zdobyć na to, żeby pociągnąć za spust. Przez chwilę nienawidził Denise za to, że grając na jego poczuciu winy, namówiła go, żeby zaprosił rodziców na lunch. Jego kulinarną wyobraźnię ogarnął paraliż: wydawało mu się, że przez całe życie jadał wyłącznie tortellini albo sałatkę z ryżu, awokado i indyka.

Około ósmej wieczorem wylądował przed wejściem do najnowszego sklepu sieci Koszmar konsumpcji („Wszystko co zechcesz, ale nie za darmo!”) przy Grand Street. Od Rahway i Bayonne nadciągał nieprzyjemny wilgotny wiatr, niebo przykryły chmury. Przez szerokie drzwi o stalowych ościeżnicach wchodzili i wychodzili genetycznie doskonali mieszkańcy SoHo i Tribeki; mężczyźni różnili się przynajmniej kształtem i rozmiarem, wszystkie kobiety były szczupłe i w rozmiarze 36. Niektóre były i szczupłe, i w ciąży. Po wizycie u fryzjera Chip miał rumień na karku, więc nie czuł się dobrze pod ostrzałem spojrzeń tylu doskonałych kobiet, ale tuż przy drzwiach Koszmaru dostrzegł skrzynki z zieleniną opatrzone tabliczką SZCZAW Z BELIZE 0,99\$.

Wszedł do środka, wziął koszyk i wsadził do niego pęczek szczawiu. Dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Przez świetlną tablicę nad barkiem przebiegały kolorowe napisy: PRZEPIS DNIA i DZISIAJ ZAROBILIŚMY... i NASI AKCJONARIUSZE MOGĄ LICZYĆ NA DYWIDENDĘ W WYSOKOŚCI... (Informacja nieoficjalna, podawana wyłącznie do celów reklamowych). Chip przepchnął się między wózkami

dziecięcymi i antenami telefonów komórkowych do stoiska z rybami, gdzie jak we śnie dostrzegł DZIKIEGO NORWESKIEGO ŁOSOSIA ŁOWIONEGO NA WĘDKĘ w całkiem przystępnej cenie. Wskazał okazałych rozmiarów filet, a na pytanie sprzedawcy „Co jeszcze?” odparł „To wszystko” prawie normalnym, niemal obojętnym tonem.

Pięknie zapakowany filet kosztował 78,40. Na szczęście Chip stracił na chwilę mowę, ponieważ z pewnością nie omieszkałby głośno wyrazić swego oburzenia, zanim zdążyłby sobie uświadomić, że w Koszmarze podawano ceny za ćwierć kilograma produktu. Jeszcze dwa lata, albo nawet dwa miesiące temu z pewnością nie popełniłby takiej pomyłki.

— Ha, ha! — powiedział do siebie, trzymając filet na otwartej dłoni, przyklęknął na jedno kolano, udał, że zawiązuje sznurowadło, wsunął łososia głęboko pod skórzaną kurtkę i sweter, wepchnął sweter w spodnie, i wstał jakby nigdy nic.

— Tatusiu, ja chcę rybę-miecz! — rozległ się dziecięcy głos za jego plecami.

Chwilę później ciężki filet wysliznął się z kryjówki, wpadł do spodni i zatrzymał się w kroku.

— Tatusiu, ja chcę miecznika!!!

Chip złapał się za newralgiczne miejsce. Czuł się tak, jakby między nogami miał ciężką, wilgotną pieluchę. Przesunął filet na podbrzusze, mocniej wcisnął sweter w spodnie, zapiął kurtkę pod szyję i pewnym krokiem ruszył przed siebie. Po chwili znalazł się w dziale z nabiałem, gdzie ceny francuskich śmietan i śmietanek wskazywały na to, że przyleciały *concorde*'em. Dostęp do lady chłodniczej z nieco mniej kosztownymi krajowymi śmietanami blokował mężczyzna w czapeczce Yankees, rozmawiający głośno przez komórkę. Jego dziecko zabawiało się zdzieraniem folii z półlitrowych butelek z francuskim jogurtem. Uporało się już z pięcioma albo sześcioma. Chip spróbował się precyzyjnie, ale przeszkadzał mu rybi brzuszek.

— Przepraszam pana...

Mężczyzna odsunął się jak lunatyk, ani na chwilę nie przerywając rozmowy.

— Pieprzyć, go, powiedziałem! Pieprzyć go! To dureń. Nie podpisywaliśmy umowy kupna, więc niczego nie może nam udowodnić. Jak przetrzymam go jeszcze trochę, spuści co najmniej o trzydzieści. Na razie każ mu się wypchać i powiedz, że nie jesteśmy zainteresowani. Zobaczysz, niedługo spuści z tonu, dureń przeklęty!

Chip zbliżał się już do kasy z czterema rzeczami w koszyku, kiedy dostrzegł jaskraworude włosy, które mogły należeć wyłącznie do Eden Procurowej — szczupłej, w rozmiarze 36 i zaferowanej. W rozkładanym foteliku wózka wypełnionego piramidą mały, serów, mięs i kawioru o szacunkowej wartości półtora tysiąca dolarów siedział jej synek Anthony. Eden pochylała się nad nim, nie zważając na to, że szarpie kołnierzyk jej kosztownego włoskiego kostiumu i ślini jej bluzkę, i za jego plecami czytała jakiś scenariusz — Chip modlił się w duchu, żeby nie jego autorstwa. Eleganckie opakowanie złowionego na wędkę norweskiego łososia zdążyło już niemal całkiem przemoknąć, w cieple szybko topił się tłuszcz, który nadawał filetowemu jaką taką sztywność. Chip pragnął jak najszybciej opuścić Koszmar, wołał jednak w tych warunkach nie wdawać się w dyskusję nad *Akademią fioletu*, więc pośpiesznie skręcił w alejkę z deserami. Niewiele brakowało, żeby wpadł na mężczyznę w garniturze pochylonego nad dziewczynką o miedzianorudych włosach. Dziewczynka była córką Eden i nazywała się April, mężczyzna zaś jej mężem i nazywał się Doug O'Brien.

— Chip Lambert! Co ty tutaj robisz?

Chip zasłonił się koszykiem i uściśnął mocną, szeroką dłoń Douga.

— April wybiera sobie smakołyk na deser — wyjaśnił Doug.

— Trzy smakołyki! — poprawiła go dziewczynka.

— Słusznie, trzy smakołyki.

— Co to jest? — zapytała April, wskazując palcem.

— Sorbet grenadinowo-nasturejowy, króliczku.

— Czy ja to lubię?

— Tego nie wiem, króliczku.

Młodszy i niższy od Chipa Doug tak często dawał na wszelkie sposoby do zrozumienia, że jest pod wielkim wrażeniem jego intelektu i osobowości, i wydawał się tak całkowicie pozbawiony skłonności do wyszydzania i ironizowania, że Chipowi nie pozostało w końcu nic innego, jak tylko uwierzyć, że Doug naprawdę go podziwia. Oczywiście podziw ten przygnębiał go bardziej niż najgłębsza nawet pogarda.

— Eden wspomniała mi, że już skończyła swój scenariusz — powiedział Doug, poprawiając poruszone przez April opakowania. — Człowieku, to mnie dosłownie zważyło z nóg! Jesteś niesamowity!

April tuliła do sweterka trzy kolorowe paczuszki.

— Co wybrałaś? — zapytał Chip.

Dziewczynka wzruszyła ramionami na znak, że nie ma pojęcia.

— Króliczku, biegnij teraz do mamusi. Muszę chwilę porozmawiać z Chipem.

Odprowadzając ją wzrokiem, Chip zastanawiał się, jak to jest być ojcem i roztaczać nad kimś opiekę, a nie szukać jej dla siebie.

— Od dawna chciałem cię o coś zapytać — ciągnął Doug. — Masz chwilkę? Wyobraź sobie, że ktoś proponuje ci nową osobowość. Przyjąłbyś ją? Ktoś mówi ci coś takiego: przebuduję ci mózg, jak tylko zechcesz. Zapłaciłbyś za to?

Papier, w który był zawinięty łośoś, przykleił mu się do skóry i zaczął się rozłazić u dołu. Z punktu widzenia Chipa nie była to najlepsza chwila na intelektualne dyskusje, ale zależało mu na tym, żeby Doug zachował o nim wysokie mniemanie i namówił Eden do kupienia scenariusza, zapytał więc o powód zainteresowania tym tematem.

— Mnóstwo dziwacznych spraw trafia mi na biurko, szczególnie teraz, kiedy z zagranicy napływa masa pieniędzy. Wiesz, chodzi głównie o dotcomy. Wciąż staramy się przede wszystkim namówić przeciętnego Amerykanina, żeby już teraz zajął się przygotowywaniem swojej przyszłej finansowej katastrofy, ale najbardziej fascynująca jest na pewno biotechnologia. Niedawno przeczytałem broszurę o genetycznie modyfikowanych kabaczkach. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, że w tym kraju jada się tyle kabaczków i że są podatne na tyle różnych chorób. Mimo to uważam, że trzydzieści pięć centów za akcję Southern Cucumtech to stanowczo za dużo. Zresztą nieważne. Ale tak naprawdę wstrząsnęła mną ta historia z mózgiem. Najdziwniejsze jest to, że mogę o tym mówić, bo wszystkie fakty są powszechnie znane. Prawda, że to dziwne?

Chip starał się patrzeć na Douga z wyrazem zainteresowania na twarzy, lecz jego oczy, niczym rozbrykane dzieci, wciąż usiłowały biegać i skakać po całym sklepie. On sam też najchętniej wyskoczyłby ze skóry.

— Tak, bardzo dziwne.

— Pomysł sprowadza się właściwie do gruntownego remontu tego, co masz w głowie. Dach i ściany nośne zostają bez zmian, wymieniamy ściany wewnętrzne, stropy i wszystkie instalacje.

— Aha.

— Ty na przykład na pewno powinieneś zachować tę przystojną fasadę — ciągnął Doug. — Typ

trochę nordycki, poważna, inteligentna twarz. Ale w środku możesz być zupełnie inny, bardziej rozrywkowy. Wielki salon, konsola do gier podłączona do ogromnego telewizora, przestronna kuchnia ze wszystkimi udogodnieniami, lodówka z kruszarką do lodu na drzwiach...

— Ale czy rozpoznam się po tym remoncie?

— A musisz? Ważne, że inni cię rozpoznają, przynajmniej z zewnątrz.

Przez ekran nad barem przemknął napis DZISIEJSZY UTARG, zatrzymał się na chwilę, zgasł, w jego miejscu pojawiła się liczba 444 447,41.

— Ale moje meble to moja osobowość — zauważył Chip.

— Więc powiedzmy, że prace przebiegają stopniowo i że robotnicy są bardzo porządni. Sprzątają twój mózg codziennie po twoim powrocie z pracy i nie niepokoją cię w weekendy. Wszystko odbywa się etapami, tak że masz czas, by się przyzwyczaić. Nikt nie zmusza cię do natychmiastowej wymiany całego umeblowania.

— Oczywiście pytasz teoretycznie.

Doug uniósł palec.

— Jedyne problemy polegają na tym, że być może przy przeróbkach trzeba będzie wykorzystać trochę metalu, więc mógłbyś uruchamiać alarmy na lotniskach, a niekiedy nawet odbierać programy radiowe. Kłopot byłby też z gatorade i innymi napojami zawierającymi elektrolity. Ale tak ogólnie co o tym myślisz?

— Żartujesz, prawda?

— Zajrzyj na ich stronę w sieci, dam ci adres. „Następstwa mogą być niepokojące, ale nikt nie zdoła powstrzymać tej nowej, wspaniałej technologii”. Nie sądzisz, że tak mogłoby brzmieć motto całego stulecia?

Akurat w tej chwili Chip był w stanie myśleć wyłącznie o tym, że filet z łososia rozpełza mu się po gaciach jak gigantyczny ciepły ślimak. Naturalnie w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że Doug lada chwila pozwoli mu odejść, że niebawem wymknie się ze sklepu, wejdzie do jakiejś restauracji, zamknie się w toalecie, usunie filet ze spodni i odzyska zdolność racjonalnego myślenia, ale chwilowo znajdował się w takim stanie umysłu, w którym idea wymiany mózgu na całkiem nowy wydawała mu się najlepsza w świecie.

— Desery miały ćwierć metra wysokości! — emocjonowała się Enid, której instynkt podpowiedział, że piramidy krewetek nie wywrą na Denise należytego wrażenia. — Było po prostu superelegancko. Widziałaś kiedyś coś takiego?

— Na pewno było bardzo miło.

— Driblettowie zawsze robią wszystko na najwyższym poziomie. Nigdy w życiu nie widziałam tak ogromnych deserów, a ty?

Delikatne sygnały świadczące o tym, że Denise sięga do najgłębszych pokładów cierpliwości — nieco głębszy oddech, sposób, w jaki odłożyła widelec, sięgnęła po kieliszek i upiła wina — sprawiały Enid większy ból niż najgwałtowniejsze eksplozje.

— Widywałam już duże desery — odrzekła Denise.

— Ciekawa jestem, czy trudno coś takiego zrobić?

Denise splotła dłonie na podołku i powoli wypuściła powietrze z płuc.

— Wygląda na to, że to było wspaniałe przyjęcie. Cieszę się, że się dobrze bawiliście.

To prawda, Enid świetnie się bawiła i żałowała, że Denise nie mogła się przekonać na własne

oczy, jak wspaniale się wszystko odbyło. Równocześnie martwiła się, że Denise wcale by się tam nie spodobało, że krytykowałyby kolejno wszystkie niezwykłości, aż wreszcie nie zostałyby nic, czym można by się zachwycać. Gust córki był dla Enid jak czarna dziura, która w każdej chwili mogła wysssać jej własne upodobania i przyjemności, unicestwiając je na dobre.

— Mam wrażenie, że o gustach się nie dyskutuje.

— To prawda — odparła Denise — chociaż nie ulega wątpliwości, że bywają lepsze i gorsze.

Alfred jadł pochylony nisko nad talerzem, żeby wszystko, co mogło spaść mu z widelca, wylądowało na pewno na talerzu, ale przysłuchiwał się rozmowie.

— Dosyc — rzekł.

— Tak właśnie wszyscy myślą — wymamrotała Enid. — Każdy jest przekonany, że jego gust jest najlepszy.

— I większość nie ma racji.

— Ale każdy ma prawo do własnego gustu. Głos każdego obywatela tego kraju ma taką samą wartość.

— Niestety.

— Dosyc — powtórzył Alfred. — I tak nie wygrasz.

— Mówisz jak snobka — stwierdziła Enid z goryczą.

— Mamo, wciąż mi powtarzasz, jak bardzo lubisz domowe jedzenie. Ja też je lubię, natomiast uważam, że ćwierćmetrowe desery to coś rodem z kreskówki Disneya. Jesteś dużo lepszą kucharką od...

— Och, wcale nie. — Enid energicznie pokręciła głową. — Skądże znowu. Żadna ze mnie kucharka.

— Nieprawda! Jak sądzisz, od kogo...

— Na pewno nie ode mnie — przerwała jej Enid. — Nie mam pojęcia, po kim moje dzieci odziedziczyły swoje uzdolnienia, ale na pewno nie po mnie. Nie jestem dobrą kucharką. W ogóle jestem niczym.

To dziwne, jak dobrze się poczuła, wypowiedziawszy te słowa! Zupełnie jakby zanurzyła oparzoną rękę w cudownie zimnej wodzie.

Denise wyprostowała się i podniosła kieliszek do ust. Enid, która przez całe życie odczuwała wewnętrzny przymus obserwowania tego, co się dzieje na talerzach współbiedniaków, widziała wcześniej, jak jej córka nakłada sobie porcję sałatki i kawałeczek pieczywa, wszystko znacznie mniejsze od porcji, które wylądowały na talerzu matki. Teraz talerz Denise był pusty i nic nie wskazywało na to, że zamierza wziąć dokładkę.

— Nie jesz już?

— Nie. Zwykle właśnie tyle jadam na lunch.

— Schudłaś.

— Wręcz przeciwnie.

— Uważaj, żeby bardziej nie schudnąć — powiedziała Enid ze skąpym uśmiechem, pod którym starała się ukryć znacznie większe uczucia.

Alfred niósł do ust porcję łososia z sałatą. Kawałeczki ryby i krople sosu spadały na jego talerz.

— Nie uważasz, że Chipowi świetnie wyszła ta sałatka? — zapytała Enid. — Łosoś jest wyjątkowo delikatny.

— Chip zawsze był dobrym kucharzem.

— Al, tobie też smakuje? Al?

Ręka z widelcem zadrżała, dolna warga obwisła, w oczach pojawił się błysk podejrzliwości.

— Smakuje ci?

Zacisnął palce lewej ręki na prawej i wpatrując się w słoneczniki na stoliku, doprowadził widelec do ust. Wyglądało to tak, jakby razem z porcją sałatki chciał połknąć swój strach i ogarniającą go paranoję.

— Chip to wszystko zrobił? — zapytał.

— Tak.

Potrząsnął głową. Połączona waga faktów, że Chip przyrządził coś do jedzenia i że teraz znikł bez śladu, okazała się dla niego zbyt wielka.

— Coraz bardziej niepokoi mnie moja choroba — powiedział.

— Twój przypadek wcale nie jest bardzo poważny — zapewniła go Enid. — Cały problem polega na dobraniu właściwej dawki lekarstwa.

Pokręcił głową.

— Hedgpeth twierdzi, że niczego nie może zagwarantować.

— Najważniejsze, żeby się nie poddawać, żeby się starać, żeby coś robić.

— Nie słuchasz mnie. Hedgpeth wyraźnie powiedział, że nie może mi niczego obiecać.

— Według tego, co czytałam...

— Nic mnie nie obchodzi, co wyczytałaś w jakimś piśmidle. Jestem poważnie chory i Hedgpeth wcale tego przede mną nie ukrywa.

Denise wyciągnęła sztywno ramię i odstawiła kieliszek.

— A co ty myślisz o nowej pracy Chipa? — zapytała ją Enid radośnie.

— O czym?

— No, o jego pracy w „Wall Street Journal”. Denise wbiła wzrok w blat stolika.

— Trudno mi cokolwiek powiedzieć.

— To ekscytujące, nie sądzisz?

— Trudno mi cokolwiek powiedzieć.

— Myślisz, że pracuje na cały etat?

— Nie.

— Nie rozumiem tylko, co to właściwie za praca...

— Mamo, ja naprawdę nic o tym nie wiem.

— Czy on wciąż zajmuje się prawem?

— Prawem? Raczej korektą.

— A więc nie odszedł z kancelarii?

— Mamo, przecież on nie jest prawnikiem!

— Wiem o tym.

— W takim razie dlaczego mówisz znajomym, że „zajmuje się prawem” i że pracuje w kancelarii?

— Bo coś muszę im powiedzieć. Poza tym przecież to prawda.

— To kłamstwo i ty dobrze o tym wiesz — wtrącił się Alfred.

— A więc w ogóle niczego nie powinnam mówić?

— Najlepiej by było, gdybyś po prostu mówiła prawdę — zauważyła Denise.

— W każdym razie uważam, że powinien zajmować się prawem. Prawo byłoby dla niego wprost

idealne. On potrzebuje w życiu stabilności, jakiegoś rusztowania, na którym mógłby oprzeć swoje życie. Al zawsze uważał, że Chip byłby doskonałym prawnikiem. Ja sądziłam, że raczej pójdzie na medycynę, bo interesował się naukami ścisłymi, ale Al od początku widział w nim prawnika. Prawda, Al? Prawda, że uważałeś, że będzie z niego świetny prawnik? Nigdy nie zapominał języka w gębie.

— Enid, już za późno.

— Myślałam, że praca w kancelarii zainteresuje go na tyle, żeby wrócił do nauki.

— O wiele za późno.

— Chodzi o to, Denise, że po prawie możesz robić mnóstwo rzeczy. Możesz zostać prezesem firmy, sędzią, nauczycielem, nawet dziennikarzem! Tyle dróg miałby do wyboru!

— On i tak będzie zawsze robił to, na co ma ochotę — stwierdził Alfred. — Nigdy nie mogłem zrozumieć, co to właściwie jest, ale wiem na pewno, że on już się nie zmieni.

Musiał minąć w deszczu dwie przecznice, zanim znalazł działający automat telefoniczny. Pierwszy, na jaki trafił, okazał się pozbawiony słuchawki, po jego sąsiedzie zaś pozostały jedynie cztery śruby w ścianie budki. Automat na następnym skrzyżowaniu miał otwór na monety zatkany gumą do żucia, jego towarzysz natomiast milczał jak zaklęty, nie reagując na stukanie w widełki. Normalnie człowiek w sytuacji Chipa grzmotnąłby z całej siły słuchawką o obudowę, tak żeby rozprysła się na drobne kawałki, ale on nie miał na to czasu. Na rogu Piątej Alei znalazł aparat, który co prawda powitał go sygnałem w słuchawce, lecz miał sparaliżowaną klawiaturę i nie zwrócił dwudziestu pięciu centów ani po delikatnym odwieszeniu słuchawki, ani po znacznie brutalniejszym. Identycznie zachował się sąsiedni. Mimo to Chip spróbował jeszcze raz i w ten sposób stracił ostatnią ćwierćdolarówkę.

Uśmiechnął się do terenówek pełzających ostrożnie po zalanej wodą jezdni. Co prawda w tej okolicy dozorczy dwa razy dziennie splukiwali chodniki wodą z hydrantów, a trzy razy w tygodniu ulicami przejeżdżały wozy czyszczące z wirującymi szczotkami wielkości wąsów policjantów, ale w Nowym Jorku nigdy nie trzeba długo szukać, żeby znaleźć coś brudnego, odrażającego albo przynajmniej zepsutego. W epoce telefonów komórkowych automaty telefoniczne traciły rację bytu; w przeciwieństwie do Denise, która uważała je za wulgarne zabawki wulgarnych ludzi, oraz w przeciwieństwie do Gary'ego, który nie tylko sam z nich korzystał, lecz również wyposażył w nie wszystkie troje dzieci, Chip nie znosił telefonów komórkowych głównie dlatego, że sam nigdy sobie czegoś takiego nie sprawił.

Korzystając z wątpliwej osłony parasolki Denise, pobiegł do delikatesów przy University Place. Na posadzce zaraz za drzwiami rozłożono kartony dla zapewnienia obuwia klientów lepszej przyczepności, ale szybko nasiąknęły one wodą, a następnie zostały rozdeptane na rzadką miazgę. Nagłówki gazet w drucianych stelażach donosiły o bankructwie dwóch kolejnych południowoamerykańskich państw oraz o dalszych spadkach na rynkach Dalekiego Wschodu. Na ścianie za kasą wisiał plakat loterii: TU NIE CHODZI O WYGRANĄ, TYLKO O DOBRĄ ZABAWĘ™.

Za dwa z czterech dolarów, jakie zostały mu w portfelu, Chip kupił trochę swoich ulubionych cukierków. Trzeciego dolara rozmienił na cztery dwudziestki i pięć.

— I jeden los poproszę.

Po zdrapaniu folii w wyznaczonych miejscach ukazały się: trójlistna koniczynka, harfa i dzbanek ze złotymi monetami. Ani wygranej, ani dobrej zabawy.

— Czy jest tu gdzieś w pobliżu czynny automat?

— Tu nie ma żaden automat — odparł sprzedawca.

— Ale może gdzieś w okolicy...

— Nie ma żaden automat! — Sprzedawca sięgnął pod ladę i wyjął komórkę. — Tylko taki aparat!

— Mogę zadzwonić?

— Za późno dzwonić do broker. Trzeba dzwonić wczoraj. Trzeba kupować amerykańskie!

Sprzedawca roześmiał się bez cienia złości, niemniej w uszach Chipa ten śmiech zabrzmiał jednoznacznie obraźliwie. Chip miał wszelkie powody do przewrażliwienia. Od chwili, kiedy wyrzucono go z college'u w D., kapitalizacja rynkowa amerykańskich spółek, których akcje dopuszczono do obrotu publicznego, wzrosła o trzydzieści pięć procent. W tym samym okresie, czyli w ciągu dwudziestu dwóch miesięcy, Chip wycofał wkłady z funduszu emerytalnego, sprzedał dobry samochód, podjął pracę na pół etatu za osiemdziesięcioprocentową stawkę godzinową, a i tak wciąż balansował na krawędzi bankructwa. W tych latach w Ameryce po prostu nie dało się nie zarabiać pieniędzy. Jeżeli ktoś brał kredyt inwestycyjny, to niezależnie od jego oprocentowania i tak wychodził na swoje. Ludzie kupowali, ludzie inwestowali, a on obserwował to z boku. W głębi duszy doskonale wiedział, że jeżeli kiedykolwiek uda mu się sprzedać *Akademię fioletu*, nastąpi to tydzień po giełdowym szczycie, i że inwestycje, w których ulokuje pieniądze, przyniosą mu wyłącznie straty. Sądząc jednak po reakcji Julii na jego scenariusz, jeszcze długo nic nie zakłóci rozwoju amerykańskiej gospodarki.

Czynny telefon znalazł dopiero w Cedar Tavern. Zaledwie wczoraj wpadł tu na dwa drinki, ale wydawało mu się, że było to lata temu. Wybrał numer agencji Eden Procuero i odwiesił słuchawkę, gdy tylko włączyła się automatyczna sekretarka, ale aparat i tak zdążył połknąć monetę. W informacji uzyskał domowy numer Douga O'Briena; Doug odebrał telefon, lecz akurat zmieniał pieluchę. Minęło trochę czasu, zanim Chip zdołał go zapytać, czy Eden przeczytała już scenariusz.

— Fenomenalny. Po prostu fenomenalny. Zdaje się, że miała go ze sobą, kiedy wychodziła.

— Wiesz może dokąd?

— Chip, chyba zdajesz sobie sprawę, że nie mogę udzielać takich informacji.

— Ale to bardzo ważne!

— *Oplacony czas rozmowy dobiega końca. Proszę uiścić opłatę w wysokości osiemdziesięciu centów za kolejne dwie minuty.*

— Boże, automat! Czy naprawdę dzwoniisz z automatu?

Chip wepchnął w szczelinę dwie ostatnie ćwierćdolarówki.

— Koniecznie muszę nanieść pewne poprawki, zanim go przeczyta...

— Chodzi o piersi? Eden wspominała, że Julii nie podoba się nadmiar piersi, ale na twoim miejscu bym się tym nie przejmował. Moim zdaniem piersi nigdy za wiele. Julia jest po prostu trochę przepracowana, i tyle.

— *Proszę uiścić opłatę...*

— ...byłoby najlepiej...

— ...trzydziestu centów...

— ...spróbował pokazać go...

— ...*razie rozmowa zostanie zakończona.*

— Co powiedziałaś? Halo, Doug? Doug, jesteś tam?

— *Przepraszamy, ale...*

— Tak, jestem. Mówiłem, że moim zdaniem powinieneś zanieść go do...

— *Do usłyszenia* — powiedział głos z taśmy.

Połączenie zostało przerwane, zmarnowane ćwierćdolarówki zabrzęczały w trzewiach automatu. Chip dopiero teraz zauważył umieszczoną na obudowie tabliczkę: ORFIC TELECOM, 3 MINUTY 25 CENTÓW, KAŻDA DODATKOWA MINUTA 40 CENTÓW.

Najbardziej oczywistym miejscem, w którym należało szukać Eden, było jej biuro w Tribeca. Chip ruszył w kierunku baru, zastanawiając się, czy nowa barmanka, balejażowa blondynka o wyglądzie osoby grywającej w amatorskim zespole rockowym, zapamiętała go od wczoraj na tyle dobrze, żeby pożyczyć dwadzieścia dolarów pod zastaw jego prawa jazdy. Razem z dwoma klientami oglądała transmisję meczu uniwersyteckiej ligi futbolowej. A na ladzie, och, nie dalej jak dwadzieścia pięć centymetrów od koniuszków palców Chipa, leżał plik nieco wymiętych jednodolarówek. Po prostu leżał. Chipowi błysnęła myśl, że dyskretna transakcja (zgaranie ukradkiem pieniądze, zniknie jak duch, później anonimowo odeśle je pocztą) będzie znacznie bezpieczniejsza niż prośba o pożyczkę, a co najważniejsze, być może pozwoli mu ocalić zdrowe zmysły. Zgarzył pieniądze z lady, zmiął je w kulkę i podszedł jeszcze bliżej do wcale niebrzydkiej barmanki, ale ona wciąż wpatrywała się w ekran, więc odwrócił się i wyszedł z lokalu.

W taksówce wepchnął cukierka do ust i zagapił się na mokre witryny sklepów. Gdyby nie udało mu się odzyskać Julii, to chciałby przynajmniej kochać się z barmanką. Wyglądała na jakieś trzydzieści dziewięć lat. Chciał zanurzyć palce w jej włosach przesiąkniętych wonią dymu papierosowego. Wyobrażał sobie, że mieszka w małym mieszkanku przy Piątej Wschodniej, że przed pójściem spać popija piwo, a do łóżka kładzie się w spranym topie i spodenkach gimnastycznych, że jest zawsze zmęczona, ma przekłuty pępek, cipkę jak zużyta rękawica baseballowa i paznokcie pomalowane na najzwyczajniejszy czerwony kolor. Chciał poczuć jej stopy zarzucone na jego plecy, chciał usłyszeć opowieść o niemal czterdziestu latach jej życia. Zastanawiał się, czy rzeczywiście śpiewa w zespole grającym na ślubach i bar micwach.

Neon SKLEP Z ODŻYWKAMI przeczytał jako OKLEP ZE SPOŻYWKAMI. Napis WYROBY EMPIRE przeczytał jako WAMPIRY NIEMILE.

Prawie zakochał się w osobie, której pewnie nigdy w życiu już nie zobaczy. Ukradł dziewięć dolarów ciężko pracującej kobiecie, która pasjonowała się rozgrywkami ligi uniwersyteckiej. Nawet gdyby kiedyś zjawił się tam, przeprosił i naprawił szkodę, to i tak już na zawsze pozostanie człowiekiem, który obrabował ją, kiedy była odwrócona do niego plecami. Znikła z jego życia na zawsze, już nigdy nie przesunie ręką po jej włosach, a najgorsze było to, że ta najnowsza strata aż tak bardzo nim wstrząsnęła, że nie miał już siły ani ochoty włożyć do ust kolejnego cukierka.

CIASTKARNIA DYSPENSA zamieniła się w CZĄSTKARNIĘ DYSK PENISA, KAWIARNIA CICHY KĄCIK przeistoczyła się w PALARNIĘ CIENKI PRĄCIK.

Problem sprowadzał się do pieniędzy i upokorzeń związanych z życiem bez nich. Dręczył go widok każdego dzieciennego wózka, aparatu komórkowego, czapeczki baseballowej i każdej terenówki. Nie był chciwy, nie był zawistny, ale bez pieniędzy właściwie nie był człowiekiem.

Jakże zmienił się od chwili, kiedy wyrzucono go z college'u w D.! Już nie pragnął zamieszkać w innym świecie: teraz chciał tylko godnie żyć w tym, w którym żył do tej pory. I całkiem możliwe, że Doug miał rację, że piersi w jego scenariuszu nie miały żadnego znaczenia. Najważniejsze było jednak to, iż nareszcie zrozumiał, że może w całości usunąć początkowy monolog! Wystarczyłoby mu na to dziesięć minut w biurze Eden.

Przed budynkiem wręczył taksówkarzowi wszystkie dziewięć ukradzionych dolarów. Zaraz za zakrętem ekipa filmowa kręciła coś na brukowanym fragmencie uliczki: pracowały generatory,

reflektory świeciły oślepiającym blaskiem. Chip znał kod do zamka szyfrowego, winda czekała z otwartymi drzwiami. Modlił się w duchu, żeby Eden jeszcze nie przeczytała scenariusza. Nowa, poprawiona wersja, którą miał w głowie, była nieporównywalnie lepsza; niestety, ta wydrukowana na kremowym papierze, która znajdowała się w rękach Eden, zawierała ten bezsensowny, nudny, nikomu niepotrzebny monolog.

Przez szklane drzwi w korytarzu na czwartym piętrze dostrzegł światło w biurze Eden. Miał całkowicie przemoczone buty i skarpetki, jego kurtka cuchnęła jak mokra krowa w wodorostach, woda kapłała mu z włosów i rąk, ale przynajmniej nie miał już w spodniach filetu z norweskiego łososia. Tak, to było wspaniałe uczucie.

Zastukał w szybę raz, drugi, trzeci. W końcu Eden wyszła na korytarz i spojrzała na niego zmrużonymi oczami. Miała wystające kości policzkowe, duże jasnoniebieskie oczy i cienką, półprzezroczystą skórę. Jeśli zdarzyło jej się wchłonąć jakieś nadprogramowe kalorie, natychmiast spalała je na domowej bieżni albo w basenie, albo w wirze szaleństwa, do jakiego sprowadzało się bycie Eden Procurowa. Naprawdę wyglądała jak naelektryzowana, szopa miedzianorudych włosów powiewała nad jej głową niczym płomień, ale teraz, zbliżając się do drzwi, miała niepewną minę i co chwila oglądała się na drzwi swojego biura.

Chip zasygnalizował ruchem ręki, że chce wejść.

— Nie ma jej tu — powiedziała Eden.

Powtórzył gest, a ona otworzyła drzwi i przycisnęła rękę do serca.

— Chip, tak mi przykro z powodu Julii...

— Szukam scenariusza. Czytałaś go?

— Ja? Tylko pobieżnie. Muszę mieć więcej czasu, zrobić trochę notatek...

— Chodzi o ten monolog na początku. Usunąłem go.

— Doskonale. Uwielbiam, kiedy autor pali się do robienia skrótów. Naprawdę uwielbiam.

Znowu zerknęła przez ramię.

— Czy myślisz, że bez tego monologu...

— Chip, czy potrzebujesz pieniędzy?

Uśmiechnęła się do niego z taką bezradną otwartością, jakby przydybał ją pijaną albo bez majątek.

— No, jeszcze całkiem nie zbankrutowałem.

— Tak, oczywiście. Ale może jednak?

— Dlaczego pytasz?

Nie odpowiedziała.

— Potrafisz projektować witryny internetowe? Znasz Javę? HTML?

— Chyba żartujesz.

— Wstąpisz do mnie na chwilę? Chodź, proszę.

Minęli biurko Julii z zieloną pluszową żabką na monitorze.

— Teraz, kiedy ze sobą zerwaliście, nie musisz już...

— Wcale ze sobą nie zerwaliśmy.

— Wierz mi, Chip, już po wszystkim. I właśnie dlatego wydaje mi się, że przydałaby ci się zmiana atmosfery, żebyś wreszcie zaczął...

— Posłuchaj, Eden: Julia i ja przeżywamy chwilową...

— Wybacz, Chip, ale to nic chwilowego. Skoro Julia nie powiedziała ci tego wprost, to ja ci to powiem. I właśnie dlatego nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś poznać... — Wprowadziła go

do swojego gabinetu. — Wiesz co, Gitanas? Masz niesamowite szczęście. Oto właśnie człowiek, którego potrzebujesz.

W fotelu przed biurkiem Eden rozsiadł się wygodnie mężczyzna mniej więcej w wieku Chipa, w czerwonej marszczonej skórzanej kurtce i obcisłych białych dżinsach. Miał okrągłą twarz o pulchnych dziecięcych policzkach i jasne włosy starannie ułożone w coś na kształt muszli. Eden dosłownie tryskała entuzjazmem.

— Popatrz tylko! Wysilam mózgownicę, żeby kogoś ci znaleźć, a tu właśnie puka do moich drzwi chyba najlepszy kandydat w całym Nowym Jorku, Chip Lambert! Chip, znasz moją asystentkę Julię? — Mrugnęła znacząco. — Oto jej mąż, Gitanas Misevičius.

Niemal pod każdym względem — karnacji, kształtu głowy, wzrostu, budowy ciała, a nawet leniwego uśmiechu na twarzy — Gitanas przypominał Chipa bardziej niż jakikolwiek znany mu człowiek. Wyglądał jak Chip niemal w każdym szczególe, plus zgarbiona sylwetka i popsute zęby. Nie wstał ani nie wyciągnął ręki, tylko nerwowo skinął głową.

— Jak leci? — rzucił.

Można było bezpiecznie stwierdzić, że Julia miała wyraźnie określone upodobania.

Eden poklepała siedzisko drugiego fotela.

— Siadaj, Chip! Siadaj!

Na skórzanej kanapie przy oknie urzędowała jej córeczka April z kartką na kolanach, w otoczeniu mnóstwa kredek.

— Cześć, April — powiedział Chip. — I jak ci smakowały te desery?

Dziewczyńce chyba nie spodobało się jego pytanie.

— Spróbuje ich dopiero dzisiaj — odpowiedziała Eden za córkę. — Wczoraj sprawdzała, ile jej wolno.

— Niczego nie sprawdzałam!

Papier, na którym rysowała, był kremowy, z jednej strony pokryty wydrukiem z drukarki laserowej.

— Siadaj, siadaj! — powtórzyła jeszcze dwukrotnie Eden, wycofując się za biurko z brzozonego laminatu.

Wielka szyba za jej plecami była schlapana deszczem. Rzekę Hudson skrywała mgła. Na ścianach wisiały trofea Eden: fotosy Kevina Kline'a, Chloe Sevigny, Matta Damona, Winony Ryder.

— Chip Lambert — opowiadała z ożywieniem Gitanasowi — jest doskonałym pisarzem, nad którego scenariuszem właśnie pracuję, ma doktorat z anglistyki, od dwóch lat współpracuje z moim mężem przy fuzjach i przejęciach, internet ma w małym palcu, właśnie przed chwilą rozmawialiśmy o javie i HTML-u, a w dodatku, jak widzisz, prezentuje się... eee... — Eden dopiero teraz zwróciła uwagę na wygląd Chipa. — Boże, to aż tak leje? Chip zwykle nie jest taki... eee... mokry. Naprawdę jesteś bardzo mokry, biedaku. Słowo daję, Gitanas, nie znajdziesz nikogo lepszego. To wspaniale, że akurat wpadłeś, chociaż jesteś taki mokry.

Każdy z nich w pojedynkę bez trudu stawiałby czoło entuzjazmowi Eden, lecz we dwóch mogli tylko wbić wzrok w podłogę, żeby zachować przynajmniej resztki godności.

— Niestety nie mam za wiele czasu — ciągnęła Eden z ożywieniem — bo Gitanas wpadł dość niespodziewanie, ale oczywiście możecie skorzystać z mojej salki konferencyjnej, żeby wszystko dogadać...

Gitanas założył ręce na piersi, wbił pięści pod pachy, po czym nie patrząc na Chipa, zapytał:

— Jesteś aktorem?

— Nie.

— No wiesz, Chip — wtrąciła się Eden. — To nie do końca prawda.

— Owszem, prawda. Nigdy w życiu nie występowałem.

— Ha, ha, ha! — parsknęła śmiechem. — Aleś ty skromny!

Gitanas pokręcił głową i spojrzał w sufit. Chip był już w stu procentach pewien, że kartka, na której bazgrała April, pochodziła z jakiegoś scenariusza.

— Mógłbym wiedzieć, o czym właściwie rozmawiamy? — zapytał.

— Gitanas zamierza wynająć kogoś...

— Nie „kogoś”, tylko jakiegoś amerykańskiego aktora — przerwał jej Gitanas z niesmakiem.

— ...kto, powiedzmy, zająłby się kwestią public relations. Już od... od ponad godziny — Eden zerknęła na zegarek i wytrzeszczyła oczy z udawanym niedowierzaniem — próbuję mu wytłumaczyć, że aktorzy, z którymi współpracuję, są znacznie bardziej zainteresowani filmem i teatrem niż, powiedzmy, międzynarodowymi projektami inwestycyjnymi. Oprócz tego mają również bardzo wysokie mniemanie o sobie. Próbuję mu również wytłumaczyć, że ty, Chip, dysponujesz nie tylko doskonałą znajomością języka w ogóle, a prawniczego żargonu w szczególności, lecz również wcale nie musisz udawać specjalisty od inwestycji, ponieważ nim jesteś.

— Jestem korektorem — poprawił ją Chip.

— Jesteś ekspertem językowym i utalentowanym scenarzystą.

Chip i Gitanas spojrzeli na siebie. Coś — może tak znaczne podobieństwo fizyczne — zainteresowało Litwina.

— Szukasz pracy? — zapytał.

— Być może.

— Jesteś uzależniony?

— Nie.

— Wybaczcie, ale muszę iść do łazienki — przerwała im Eden. — April, kochanie, chodź ze mną. Nie zapomnij zabrać rysunków.

Dziewczynka posłusznie zeskoczyła z sofy i podeszła do matki.

— Jeszcze rysunki, skarbie... — Eden zgarnęła plik kremowych kartek.

— Idziemy, a wy sobie rozmawiajcie.

Gitanas potarł dłonią twarz, ścisnął palcami policzki, podrapał się po jasnym zaroście i spojrzał w okno.

— Jesteś w rządzie — powiedział Chip. Gitanas przechylił głowę.

— Tak i nie. Byłem przez kilka lat, ale teraz moja partia jest kaput. Pracuję jako tłumacz. Rządowy tłumacz, powiedzmy.

Jeden z rysunków April sfrunął na podłogę między kanapą i oknem. Chip wyciągnął nogę, przydeptał go, zaczął ciągnąć w swoją stronę.

— Tak często mamy wybory, że już nikt o nich nie informuje w świecie — ciągnął Gitanas. — Dwa albo nawet trzy razy w roku. To u nas najlepiej rozwinięta gałąź przemysłu. Wytwarzamy najwięcej wyborów na głowę mieszkańca w świecie. Więcej nawet niż Włosi.

April narysowała portret mężczyzny, którego ciało składało się z tradycyjnych kresek, kółek i owali, w miejscu głowy natomiast znajdował się czarno-granatowy wir, rozwichrzony kłębek gryzmołów. Przez kremowy papier lekko prześwitywały linijki tekstu po drugiej stronie.

— Wierzysz w Amerykę? — zapytał Gitanas.

— Boże, ale zaczynasz!

— Wasz kraj najpierw nas zbawił, a potem zrujnował.

Chip zdołał chwycić róg kartki stopami, odchylić ją nieco i przeczytać kilka linijek:

MONA
(trzymając rewolwer)

Czy to coś złego, że siebie Kocham najbardziej?
Dlaczego to miałyby być nie w porządku?

Zaraz potem kartka się wysliznęła i znieruchomiła na podłodze. Wepchnął ją pod kanapę. Częściowo stracił czucie w kończynach, miał problemy z koncentracją wzroku.

— W sierpniu zbankrutowała Rosja — ciągnął Gitanas. — Może o tym słyszałeś? Akurat o tej sprawie sporo się pisało, nie to co o naszych wyborach, bo to były wiadomości ekonomiczne, a więc ważne dla inwestorów. Dla Litwy też. Nasz najważniejszy partner ekonomiczny zamienił się w stertę długów w twardej walucie wymieszanych z bezwartościowymi rublami. Zgadnij, czym będą nam płacić za nasze kury i jajka: rublami czy dolarami. Albo za podwozia do ciężarówek produkowane w naszej jedynej nowoczesnej fabryce. Gdyby jeszcze były produkowane, ma się rozumieć, ponieważ podwozia dostarczaliśmy do fabryki w Wołgogradzie, która zbankrutowała, więc naszej fabryki też już nie ma. A więc nie dostaniemy nawet rubli.

Chip jakoś nie potrafił poczuć rozczarowania z powodu *Akademii fioletu*. Świadomość, że już nigdy nie będzie musiał grzebać w scenariuszu, że już nigdy nie będzie musiał go nikomu pokazywać, przyniosła mu ulgę równie wielką jak ta, którą poczuł w restauracyjnej toalecie, wyjąwszy wreszcie ze spodni tego cholernego łososia. Poczul, że uwalnia się od zakłęcia piersi, akapitów i marginesów, otwiera oczy i budzi się do życia w nowym, urozmaiconym świecie, który do tej pory dla niego nie istniał.

— To, co mówiesz, jest bardzo ciekawe — powiedział.

— Rzeczywiście ciekawe — zgodził się Gitanas, wciąż z pięściami pod pachami. — Brodski powiedział: „Świeża ryba zawsze cuchnie, mrożona tylko wtedy, kiedy się ogrzeje”. A więc po wielkim ociepleniu, kiedy wszystkie małe rybki wysypały się z zamrażarki, wzięliśmy się z zapalem do roboty. Ja też. Niestety, sprawami ekonomicznymi pokierowano nie do końca właściwie. Ja świetnie bawiłem się w Nowym Jorku, ale tam, w mojej ojczyźnie, panował wielki kryzys. W dziewięćdziesiątym piątym roku wreszcie ustaliliśmy wartość lita w stosunku do dolara, stanowczo zbyt późno, i zaczęliśmy prywatyzację, stanowczo zbyt szybko. Nie ja podejmowałem te decyzje, ale całkiem możliwe, że zrobiłbym to samo. Potrzebowaliśmy pieniędzy. Pieniądze miał Bank Światowy, a Bank Światowy kazał prywatyzować, więc proszę bardzo, sprzedaliśmy port, sprzedaliśmy linie lotnicze, sprzedaliśmy jedyną firmę telekomunikacyjną. Zazwyczaj kupowali Amerykanie, czasem firmy z Europy Zachodniej. Nie powinno tak być, ale tak właśnie było. W Wilnie nikt nie miał tyle gotówki. Ci od telefonów mówili: OK, mamy zagranicznych właścicieli z kupą szmalu, ale port i linie lotnicze zostaną w stu procentach litewskie. Ci z portu i linii lotniczych mówili to samo, ale wciąż wszystko było w porządku. Kapitał napływał szerokim strumieniem, w sklepach można było kupić coraz lepsze towary, nawet klimat jakby złagodniał. Oczywiście większość kasy zgarniali zwykli bandyci, ale to normalne we wszystkich krajach postsowieckich. Jak jest odwilż, to jest i zgnilizna. Brodski tego nie dożył. Tak więc właściwie wszystko było w porządku, ale potem nadszedł ogólnoswiatowy kryzys. Tajlandia, Brazylia, Korea... Jak zareagował na to kapitał? Ano

tak, że wycofał się do siebie. I tak pewnego dnia dowiedzieliśmy się, że sześćdziesiąt cztery procent naszych linii lotniczych należy do Quad Cities Fund. Co to takiego? Fundusz powierniczy kierowany przez młodego człowieka, niejakiego Dale'a Meyersa. Nigdy o nim nie słyszałeś, ale na Litwie to nazwisko zna prawie każdy.

Można było odnieść wrażenie, iż Gitanas świetnie się bawi, snując tę ponurą opowieść. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu Chip poczuł, że naprawdę kogoś lubi. Jego kochający inaczej znajomi z college'u w D. i w redakcji „Warren Street Journal” byli tak szczerzy i otwarci w swoich zwierzeniach, że już samo to wykluczało nawiązanie jakichś bliższych kontaktów, jeśli zaś chodzi o heteroseksualistów, to od dawna reagował na nich tylko na dwa sposoby: zazdrościł im sukcesów albo bał się, że zarażą go pechem, który przyniósł im niekończący się ciąg porażek. W przypadku Gitanasa sprawy miały się zupełnie inaczej.

— Dale Meyers mieszka we wschodnim Iowa — ciągnął Litwin. — Ma dwie asystentki, wielki komputer i trzy miliardy dolarów. Twierdzi, że nigdy nie zamierzał przejmować kontroli nad naszymi liniami lotniczymi i że to jedna z jego asystentek popełniła błąd przy wprowadzaniu danych, w związku z czym komputer wciąż kupował nowe akcje, nie meldując o stanie posiadania. W związku z tym Dale bardzo przeprosza wszystkich Litwinów. Dale doskonale zdaje sobie sprawę, jak ważne jest posiadanie własnych linii lotniczych ze względu na prestiż i poczucie dumy narodowej, ale z powodu kryzysu ekonomicznego w Rosji i krajach nadbałtyckich nikt nie chce korzystać z usług litewskich linii lotniczych, w dodatku zaś amerykańscy inwestorzy zaczęli wycofywać pieniądze z Quad Cities. W związku z tym Dale nie ma innego wyjścia, jak tylko pozbyć się tego, co w litewskich liniach lotniczych najcenniejsze, czyli ich floty powietrznej. Trzy Jaki-40 trafią do firmy transportowej z Miami, sześć turbośmigłowych maszyn Aerospatiale kupi nowo powstająca firma lotnicza z Nowej Szkocji. Prawdę powiedziawszy, transakcji już dokonano. Były linie lotnicze — nie ma linii lotniczych.

— O kurczę! — mruknął Chip.

Gitanas z zapalem pokiwał głową.

— Właśnie! Otóż to! Jaka szkoda, że nie da się latać na podwoziach od ciężarówek! Ale to jeszcze nie wszystko. Wkrótce potem amerykański konglomerat o nazwie Orfic Midland zamyka port Kaunas. Dosłownie z dnia na dzień. Był port — nie ma portu. Nieco później sześćdziesiąt procent Narodowego Banku Litwy zostaje połączony przez jakiś maleńki bank z przedmieść Atlanty, który bezzwłocznie likwiduje całe nasze rezerwy walutowe, a następnie dwukrotnie podnosi stopy procentowe. Dlaczego? Żeby pokryć straty związane z całkowicie chybioną emisją dilbertowskich kart MasterCard. O kurczę! Interesujące, co? Wygląda na to, że my, Litwini, mamy cholernego pecha.

— No i jak wam idzie, panowie? — zapytała Eden, wchodząc do pokoju z April. — Może jednak chcielibyście skorzystać z salki konferencyjnej?

Gitanas położył sobie teczkę na kolanach i otworzył ją.

— Właśnie opowiadam Chipowi o moich bolesnych doświadczeniach z Ameryką.

— Usiądź sobie tutaj, złotko — Eden rozłożyła ogromną płachtę papieru na podłodze przy drzwiach. — Teraz będziesz mogła narysować naprawdę duże obrazki. Narysuj mamusię, kochanie. Naprawdę dużą mamusię.

April przykucnęła na środku płachty i narysowała wokół siebie zielone koło.

— Poprosiliśmy o pomoc Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy — ciągnął Gitanas. — Sądziliśmy, że skoro tak bardzo zachęcali nas do prywatyzacji, to może teraz zainteresuje ich wiadomość, że nasz kraj zamienił się w ostoję anarchii rządzonej przez kryminalistów. Niestety,

Międzynarodowy Fundusz Walutowy rozpatruje prośby o pomoc krajów stojących na krawędzi bankructwa według wielkości ich produktu narodowego brutto. W poniedziałek zajmowaliśmy dwudziestą szóstą pozycję na liście, dzisiaj już dwudziestą ósmą. Wyprzedził nas Paragwaj. Zawsze ten Paragwaj.

— O kurczę — powiedział Chip.

— Z jakiegoś powodu Paragwaj stał się przekleństwem mojego życia.

— A nie mówiłam ci, że Chip doskonale się nadaje? — przerwała mu Eden. — Posłuchaj, czy...

— Międzynarodowy Fundusz Walutowy twierdzi, że pierwsze programy pomocowe mogą zostać uruchomione najwcześniej za półtora roku.

Eden opadła z westchnieniem na fotel.

— Czy potrzebujecie jeszcze dużo czasu?

Gitanas wyjął z teczki wydruk komputerowy i podał go Chipowi.

— To witryna amerykańskiego Departamentu Stanu, Biura do spraw Europy i Kanady. Litewska ekonomia pogrążona w głębokim kryzysie, bezrobocie sięga dwudziestu procent, przerwy w dostawie wody i elektryczności nie tylko na prowincji, ale nawet w Wilnie. Czy jakkolwiek biznesmen zainwestowałby swoje pieniądze w takim kraju?

— Może litewski...

Gitanas spojrzał na niego z uznaniem.

— Dobre. Mnie jednak zależałoby na tym, żeby na tej stronie i innych, podobnych, pojawiły się zupełnie inne informacje, optymistyczne informacje napisane poprawną angielszczyzną, o tym, że wreszcie uwolniliśmy się od przytłaczającej sowieckiej spuścizny, że inflacja na Litwie wynosi niespełna sześć procent, że rezerwy walutowe *per capita* są takie same jak w Niemczech, że nadwyżka w handlu zagranicznym przekracza sto milionów dolarów za sprawą wzmożonego popytu na nasze bogactwa naturalne.

— Moim zdaniem, Chip, byłbyś wręcz idealny do tej roboty — powiedziała Eden.

Chip postanowił w duchu, że do końca życia nie spojrzy na nią ani się do niej nie odezwie.

— Jakie są główne bogactwa naturalne Litwy?

— Przede wszystkim żwir i piasek.

— A więc ogromne strategiczne złoża piasku i żwiru. Nieźle.

— Ogromne to mało powiedziane. — Gitanas zamknął teczkę. — A teraz pytanie konkursowe: jaki mógłby być powód nagłego zwiększenia popytu na te niesłychane bogactwa?

— Na przykład boom budowlany w pobliskich krajach, Łotwie i Finlandii. Na niemal całkowicie pozbawionej piasku Łotwie i w cierpiącej na bolesny niedostatek żwiru Finlandii.

— A w jaki sposób te kraje obroniły się przed globalnym kryzysem ekonomicznym?

— Łotwa ma silne, stabilne instytucje ekonomiczne. To najważniejszy ośrodek finansowy państw nadbałtyckich. Finlandia nie dopuściła do odpływu krótkoterminowego kapitału spekulacyjnego i obroniła przed obcymi zakusami swój słynny przemysł meblowy.

Litwin z zadowoleniem skinął głową, a Eden zabębniła pięściami w biurko.

— Gitanas, on jest fantastyczny! To doskonały kandydat, wart luksusowego apartamentu w Wilnie i diety w dolarach.

— W Wilnie? — zapytał Chip.

— Jasne. Przecież reklamujemy kraj, więc będziemy potrzebowali przynajmniej jednego zadowolonego amerykańskiego klienta, który jest tam, na miejscu. Poza tym praca w sieci będzie tam

znacznie bezpieczniejsza.

Chip parsknął śmiechem.

— Naprawdę myślisz, że amerykańscy inwestorzy przysłażą ci pieniądze z powodu niedoboru piasku na Łotwie?

— Już mi je przysyłażą. Nie musiałem pisać o piasku i żwirze, wystarczył jeden mały żarcik. Przysyłażą dziesiątki tysięcy dolarów, ale ja chcę, żeby to były miliony.

— Mój drogi Gitanasie — odezwała się Eden — wprost trudno sobie wyobrazić lepszą chwilę na podpisanie umowy. Za każde podwojenie wpływów Chip otrzymuje dodatkowy procent udziału w zyskach. Co ty na to?

— Jeśli wpływy wzrosną stukrotnie, stanie się bogaczem.

— Ale może warto spisać to na papierze, co?

Gitanas zerknął z ukosa na Chipa i przekazał mu spojrzeniem, co myśli o ich gospodyni.

— Eden, a jak twoim zdaniem powinniśmy nazwać jego funkcję, stanowisko, czy cokolwiek w tym rodzaju? Konsultant do spraw Międzynarodowych Oszustw? Zastępca Głównego Konspiranta?

— Może raczej: Wiceprezydent Specyficznych Nadinterpretacji? — zaproponował Chip.

— Wspaniale! — wykrzyknęła Eden z zachwytem.

— Mamo, spójrz... — odezwała się April.

— Możemy zawrzeć tylko i wyłącznie ustną umowę — stwierdził Gitanas.

— Oczywiście w tym, co robisz, nie ma nic naprawdę nielegalnego?

Gitanas odpowiedział na jej pytanie w ten sposób, że przez kilka sekund wpatrywał się w milczeniu w okno. W czerwonej skórzanej kurtce wyglądał jak zawodnik startujący w motocrossie.

— Oczywiście — odrzekł wreszcie.

— A więc to nie jest oszustwo?

— Oszustwo? Skądże znowu.

— Nie chciałabym czepiać się szczegółów, ale na podstawie tego, co mówiłeś...

— Niemal cały narodowy majątek mojego kraju został w okamgnieniu wchłonięty przez twój kraj i nawet nikt nie zwrócił na to uwagi — przerwał jej Gitanas. — Potężne, bogate państwo ustanowiło zasady, które doprowadziły Litwinów na skraj przepaści. Niby dlaczego mielibyśmy je respektować?

— To pytanie w stylu Foucaulta — zauważył Chip.

— I Robin Hooda — dodała Eden. — Co jednak ani trochę nie rozwiewa moich wątpliwości.

— Proponuję Chipowi pięćset dolarów tygodniowo plus dodatki, jakie uznam za stosowne. Jesteś zainteresowany?

— Tutaj mogę zarobić więcej.

— Zażądaj co najmniej tysiąca dziennie! — syknęła Eden.

— W Wilnie dolar ma dużo większą wartość.

— Och, nie wątpię. Na Księżycu także. Co tam można kupić?

— Chip, powiedz Eden, co można kupić za dolary w biednym kraju.

— Na pewno dobre jedzenie i picie — powiedział Chip.

— W kraju, gdzie młodzi ludzie dorastali w atmosferze moralnej anarchii, a teraz często nie mają co jeść.

— W takim razie również atrakcyjną partnerkę, jeśli właśnie to masz na myśli.

— Mam nadzieję, że nie popłakałbyś się na widok niewinnej dziewczynki z prowincji, która klęka

przed tobą i...

— Ekhm, Gitanas... — przerwała mu Eden. — W tym pokoju jest dziecko.

— Jestem na wyspie! — wykrzyknęła April. — Mamusiu, zobacz moją wyspę!

— Mówię właśnie o dzieciach — odparł Gitanas. — O piętnastolatkach. Masz dolary? W takim razie mogą być trzynasto- i dwunastolatki.

— Dwunastolatki zupełnie mnie nie interesują — stwierdził Chip.

— Wolisz dziewiętnastki? Dziewiętnastki są jeszcze tańsze.

Eden zamachała rękami.

— Doprawdy to wszystko zaczyna być...

— Po prostu chcę, żeby Chip zrozumiał, że jeden dolar to mnóstwo pieniędzy, i że moja oferta jest poważna.

— Problem polega na tym, że dokładnie tymi samymi dolarami miałbym obsługiwać amerykańskie długi.

— Wierz mi, na Litwie jesteśmy do tego przyzwyczajeni.

— Chip chce podstawowej pensji w wysokości tysiąca dolarów dziennie plus premii motywacyjnej.

— Tysiąc tygodniowo — odparł Gitanas. — Za uwiarygodnienie mojego projektu. Za pracę twórczą i odbieranie telefonów.

— Jeden procent od zysku brutto, minus pensja w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów miesięcznie.

Nie zwracając na nią najmniejszej uwagi, Gitanas wyjął z kieszeni wypchaną kopertę i grubymi palcami o zaniedbanych paznokciach zaczął odliczać studolarówki. April przycupnęła na skrawku białego papieru otoczonego wielokolorowymi zębatymi potworami i niepokojącymi gryzmołami. Gitanas rzucił na biurko plik banknotów.

— Trzy tysiące — powiedział. — Za pierwsze trzy tygodnie.

— Oczywiście przelot w business class — zastrzegła Eden.

— W porządku.

— I luksusowe warunki zamieszkania w Wilnie.

— Nie ma problemu, już czeka pokój w willi.

— A kto będzie go chronił przed bandziorami?

— Kto wie, może ja też jestem trochę bandziorem? — odparł Gitanas z zagadkowym, trochę nieśmiałym uśmiechem.

Chip wpatrywał się w stertę zielonych papierków na biurku Eden. Miał wzwód, sam nie wiedział dlaczego. Może na widok pieniędzy, może na myśl o sprzedajnych i ponętnych dziewiętnastolatkach, a może z powodu tego, że oto nadarzyła się okazja, żeby wsiąść do samolotu i oddalić się o osiem tysięcy kilometrów od koszmaru życia w Nowym Jorku. Dlaczego narkotyki są takie seksowne? Ponieważ dają szansę stania się kimś innym. Wiele lat po stwierdzeniu, że marihuana powoduje u niego bezsenność i doprowadza go do paranoi, wciąż dostawał erekcji na samą myśl o jej paleniu, wciąż pragnął uciec z więzienia.

Dotknął banknotów.

— Może od razu zarezerwuję wam bilety przez internet? — zaproponowała Eden. — Moglibyście wyruszyć niezwłocznie.

— Więc zgadzasz się? — zapytał Gitanas. — Czeka cię dużo pracy i mnóstwo dobrej zabawy.

Ryzyko niewielkie, chociaż na pewno jest. Tam, gdzie są pieniądze, zawsze jest ryzyko.

— Wiem o tym — odparł Chip, wciąż dotykając banknotów.

Wśród przepychu kolejnych ślubów Enid coraz głębiej i goręcej kochała miejsce — środkowy zachód w ogóle, a przedmieścia St. Jude w szczególności. Miłość tę traktowała jako jedyny autentyczny przejaw patriotyzmu oraz duchowości. Żyjąc pod rządami prezydentów tak nieuczciwych jak Nixon, tak głupich jak Reagan i tak odrażających jak Clinton, utraciła wszelkie zainteresowanie demonstracyjnym okazywaniem miłości do Ameryki i choć nie zdarzył się ani jeden z cudów, o które modliła się do Boga, to siedząc podczas kolejnego sobotniego ślubu w ławce kościoła prezbiteriańskiego w Paradise Valley, rozglądała się dookoła i widziała dwustu dobrych ludzi i ani jednego niedobrego. Wszyscy jej znajomi byli porządni i mieli porządnych znajomych, a ponieważ porządni ludzie zwykle miewają porządne dzieci, świat Enid przypominał trawnik tak gęsto obsiany trawą, że chwasty nie miały tam żadnych szans. Prawdziwy cud porządności. Jeżeli na przykład w kierunku ołtarza, uczepiona ojcowskiego ramienia, zmierzała któraś z córek Esther i Kirby'ego Rootów, Enid doskonale pamiętała, jak w dzieciństwie panna Root biegała podczas Halloween w przebraniu baletnicy, jak sprzedawała w celach dobroczynnych upieczone przez jej skautowski zastęp ciasteczka, jak przychodziła opiekować się Denise i jak, tak samo jak wszystkie jej siostry, za każdym razem gdy przyjeżdżały do domu z college'ów, stukały do jej drzwi i opowiadały o swoich dokonaniach, a wizyty te trwały niekiedy nawet ponad godzinę (i to wcale nie dlatego — wiedziała o tym na pewno — że tak kazała im Esther, ale dlatego, że po prostu były porządnymi dzieciakami z St. Jude, najzwyczajniej w świecie przejmującymi się bliźnimi), i wówczas serce Enid wzbierało szczęściem, że oto kolejna porządna córka Rootów otrzymuje za swoje wszystkie dobre uczynki nagrodę w postaci małżeńskiej przysięgi składanej przez młodego człowieka we fryzurze jakby prosto z reklamy męskiej mody, naprawdę wspaniałego młodego człowieka o pogodnym usposobieniu, szanującego starszych i przeciwnego seksowi przedmałżeńskiemu, pracującego i dobrze służącego społeczeństwu, na przykład elektryka albo specjalistę od ochrony środowiska, pochodzącego z kochającej się, pełnej, przywiązanej do tradycyjnych wartości rodziny, gotowego z radością założyć własną rodzinę, również kochającą się, pełną i przywiązaną do tradycyjnych wartości. O ile Enid nie dawała się zbyt łatwo zwieść pozorom, to u schyłku dwudziestego wieku młodzi ludzie tego pokroju wciąż stanowili normę na przedmieściach St. Jude. Ci wszyscy młodzi mężczyźni, których znała kiedyś jako skautów, którzy korzystali z jej łazienki na parterze i odśnieżali chodnik przed jej domem, ci wszyscy młodzi Driblettowie, Personowie i Schumpertowie, ci wszyscy krótko ostrzyżeni i przystojni młodzi mężczyźni (których nastoletnia Denise, ku skrywanej wściekłości Enid, nieodmiennie traktowała z pełnym wyższości, pogardliwym rozbawieniem), już stanęli albo wkrótce mieli stanąć na ślubnym kobiercu w jakimś protestanckim kościele, złożyć małżeńską przysięgę jakiejś porządnej normalnej dziewczynie i założyć rodzinne gniazdo jeżeli nie w samym St. Jude, to przynajmniej w tej samej strefie czasowej. Choć teraz w głębi serca (gdzie przypominała córkę bardziej, niż byłaby skłonna kiedykolwiek przyznać) Enid doskonale wiedziała, że bywają smokingi w bardziej eleganckich kolorach niż jaskrawobłękitny i że suknie drухen można uszyć z lepszego materiału niż różowy krepdeszyn, to jednak właśnie tamte śluby lubiła najbardziej i najchętniej wspominała, ponieważ brak wyrafinowania najdobitniej świadczył o tym, iż dla dwóch rodzin, których przedstawiciele zostali właśnie połączeni węzłem małżeńskim, istnieją wartości cenniejsze niż moda. Enid była zwolenniczką dopasowywania, toteż najlepiej czuła się na ślubach, gdzie panny młode rezygnowały z zaspokajania samolubnych gustów i upodobań, występując w sukniach dopasowanych kolorystycznie do wiązanek, serwetek na stołach weselnych, lukru na torcie i

wstążek na prezentach. Lubiła, jeżeli po ślubie w kościele metodystów w Chiltsville wydawano przyjęcie w tamtejszym Sheratonie. Podobało jej się, jeżeli bardziej elegancką ceremonię w kościele prezbiteriańskim w Paradise Valley wieńczyła zabawa w klubie w Deepmire, gdzie zadbano nawet o to, żeby pudełka zapalek z okolicznościowymi etykietkami (*Dean & Trish · 13 czerwca 1987*) miały ten sam kolor co suknia panny młodej. Najważniejsze jednak było to, żeby pasowali do siebie państwo młodzi, żeby pochodzili z podobnych środowisk, byli w podobnym wieku, mieli podobne wykształcenie. Czasem rodzina panny młodej nie należała do grona ulubionych przyjaciół Enid, dziewczyna była nieco zbyt tęga albo znacznie starsza od oblubieńca lub też panu młodemu słoma sterczała z butów. W takich przypadkach serce Enid wypełniało ogromne współczucie, ponieważ zdawała sobie sprawę, że w tym małżeństwie od początku nic się nie będzie układać. Największym zgrzytem, do jakiego dochodziło podczas wesela, był jednak co najwyżej niefortunny toast wzniesiony przez jednego z drużbów, zwykle wąsatego lub o małym, cofniętym podbródku, kolegi pana młodego z czasów szkolnych, z wypiekami od alkoholu, mówiącego z akcentem wcale nie ze środkowego zachodu lecz bardziej ze wschodu. Usiłował on błysnąć dowcipem, nawiązując znacząco do seksu przedmałżeńskiego i albo wywoływał rumieńce na twarzach państwa młodych, albo zmuszał ich do głośnego i nieszczerzego śmiechu z zamkniętymi oczami (nie z powodu nadmiernego rozbawienia, lecz po to, żeby przemawiający nie zorientował się, jak bardzo ich uraził). Alfred przechylał głowę, żeby lepiej słyszeć, Enid natomiast tak długo rozglądała się po sali, aż wreszcie dostrzegła kogoś, z kim mogła wymienić znaczące spojrzenia.

Alfred także uwielbiał śluby i wesela. W jego mniemaniu były to jedyne uroczystości, które miały jakiś sens, i dlatego zgadzał się na wydatki (nowa sukienka dla Enid, nowy garnitur dla niego, kosztowny zestaw sałatkowy z drewna tekowego na prezent ślubny), którym w innych okolicznościach stanowczo by się sprzeciwiał.

Enid z utęsknieniem oczekiwała dnia, kiedy będzie mogła zorganizować taką samą uroczystość dla dorosłej Denise, która właśnie skończyła college (choć przyjęcie z pewnością nie odbyłoby się w Deepmire, ponieważ Lambertów, chyba jako jedynych z grona ich znajomych, nie byłoby stać na obowiązujące tam astronomiczne opłaty), i jakiegoś wysokiego, barczystego młodego mężczyzny, najlepiej skandynawskiego pochodzenia, którego proste jasne włosy stanowiły przeciwagę dla zbyt ciemnych i nadmiernie kręconych włosów Denise, pod każdym innym względem doskonale do niej pasującego. Trudno więc się dziwić, że Enid mało serce nie pękło, kiedy pewnego październikowego wieczoru zaledwie trzy tygodnie po tym, jak Chuck Messner urządził swojej córce Cindy chyba najwystawniejsze przyjęcie weselne w historii Deepmire, z frakami, fontanną z szampanem, śmigłowcem lądującym na dachu i oktetem instrumentów dętych, Denise zadzwoniła do domu z wiadomością, że razem ze swoim szefem pojechała do Atlantic City i wzięła ślub w urzędzie stanu cywilnego. Chociaż Enid miała bardzo odporny żołądek (nigdy nie wymiotowała, nigdy), to jednak musiała oddać słuchawkę Alfredowi, pójść do łazienki, uklęknąć przed sedesem i powoli, głęboko oddychać.

Minionej wiosny w Filadelfii zjedli z Alfredem późny lunch w wyjątkowo hałaśliwej restauracji, w której Denise niszczyła sobie ręce i marnowała młodość. Po posiłku — całkiem smacznym, choć stanowczo zbyt obfitym — Denise ceremonialnie przedstawiła ich swojemu szefowi kuchni. Ów „szef”, Emile Berger, okazał się niskim, ponurym Żydem w średnim wieku, z Montrealu, najwyraźniej hołdującym przekonaniu, że najlepszym strojem do pracy jest brudny podkoszulek, a najlepszym sposobem na golenie jest niezawracanie sobie nim głowy. Enid zniechęciłaby go od pierwszego wejrzenia nawet wtedy, gdyby się nie zorientowała, że człowiek ów wywiera na Denise niepokojąco silny wpływ.

— Te ciasteczka krabowe były stanowczo za tłuste! — powiedziała w kuchni oskarżycielskim tonem. — Po jednym kęsie miałam dosyć!

Zamiast grzecznie przeprosić i przyznać jej rację, tak jak postąpiłby każdy uprzejmy obywatel St. Jude, Emile wymamrotał, że owszem, może i tak, i że dobrze by było wymyślić beztłuszczowe ciasteczka krabowe, ale jak to zrobić, bo chyba pani Lambert zdaje sobie sprawę, że nie istnieje coś takiego jak chude mięso rakowe? Denise wsłuchiwała się zachłannie w jego wywód, jakby pragnęła zapamiętać każde słowo. Kiedy zegnała się z nimi przed restauracją, żeby wrócić na czternastogodzinną zmianę, Enid nie powstrzymała się od komentarza:

— Nieduży ten twój znajomy. I ma w sobie coś z Żyda.

Była tak wzburzona, że powiedziała to znacznie bardziej piskliwym i zaczepnym tonem, niż zamierzała; po wyrazie oczu Denise natychmiast poznała, że zraniła uczucia córki, ale przecież mówiła czystą prawdę. Nigdy, nawet przez sekundę nie podejrzewała, iż Denise — niedojrzała i romantyczna, ale o pięknej twarzy, figurze, z całym życiem przed sobą — mogłaby naprawdę spotykać się z kimś takim jak Emile. Z drugiej strony, Enid nie bardzo wiedziała, co młoda dojrzewająca kobieta powinna czynić ze swymi wdziękami, skoro czasy, kiedy dziewczęta młodo wychodziły za mąż, należały już do przeszłości. Z największą życzliwością myślała chyba o życiu towarzyskim, czyli wciąż wierzyła w przyjęcia! Jeśli zaś było coś, o czym wiedziała z całą pewnością, jeśli istniała jakaś zasada, w której słuszność wierzyła tym mocniej, im częściej sztychono z niej w telewizji, prasie i filmach, to z pewnością przekonanie, że seks przed ślubem jest niemoralny.

A jednak w ten październikowy wieczór, kiedy klęczała w łazience, przemknęła jej przez głowę heretycka myśl, że może jednak postąpiłaby rozsądniej, gdyby w swych matczynych homiliach nieco bardziej wstrzemięźliwie wychwalała zalety małżeństwa. Nie dało się przecież wykluczyć, iż Denise zdecydowała się na ten krok właśnie dlatego, żeby postępować w zgodzie z nakazami moralnymi i sprawić przyjemność matce. Stopniowo ogarniało ją przekonanie równie odrażające, jak widok szczoteczki do zębów w muszli klozetowej albo karalucha w sałatce, albo zużytej pieluszki na stole nakrytym do obiadu: że niewykluczone, iż byłoby lepiej, gdyby Denise jednak popełniła cudzołóstwo, gdyby jednak dała się skusić zakazanym rozkoszom cielesnym, gdyby straciła czystość, której każdy uczciwy kandydat na męża ma prawo oczekiwać od swojej przyszłej żony, niż żeby poślubiła Emile'a. Jednak przede wszystkim nic nie powinno jej w nim pociągać! Identyfikacyjny problem Enid miała z Chipem i nawet z Garym: jej dzieci po prostu do niej nie pasowały. Nie pragnęły tego, czego pragnęła ona, jej przyjaciele oraz ich dzieci. Jej dzieci miały zupełnie inne, boleśnie inne, wstydliwie inne pragnienia.

Obserwując kątem oka łazienkowy dywanik — znacznie bardziej poplamiony, niż sądziła, do wymiany przed świętami — słuchała, jak Alfred proponuje Denise, że przyśle jej dwa bilety lotnicze. Zdumiał ją spokój, z jakim Al przyjął wiadomość, iż jego jedyna córka podjęła najważniejszą decyzję w życiu, nie pytając go o zdanie, ale kiedy odłożył słuchawkę, ona zaś wyszła z łazienki, a on powiedział, że życie jest pełne niespodzianek, natychmiast zauważyła, jak bardzo trzęsą mu się ręce. Drżączka była znacznie bardziej widoczna niż ta, która dopadała go niekiedy po wypiciu kawy. Przez cały następny tydzień, gdy starała się jak najlepiej wybrnąć ze wstydlivej sytuacji, w której postawiła ją Denise, poprzez (1) telefonowanie do najlepszych przyjaciół i informowanie ich rozradowanym tonem, że Denise wkrótce wychodzi za mąż za wyjątkowo sympatycznego Kanadyjczyka, ale chce, żeby w ceremonii uczestniczyła jedynie najbliższa rodzina, w związku z czym przedstawi znajomym swego męża dopiero podczas nieformalnego przyjęcia bożonarodzeniowego (oczywiście nikt nie wierzył w jej rozradowanie, ale wszyscy potrafili docenić

mistrzostwo, z jakim ukrywała swój ból, a niektórzy wykazali się nawet taką delikatnością, że nie pytali o listę prezentów ślubnych), i (2) zamówienie, oczywiście bez zgody Denise, dwustu zawiadomień o ślubie, częściowo dlatego, żeby zadośćuczynić tradycji, a częściowo po to, by choć trochę potrząsnąć choinką z prezentami i uzyskać przynajmniej częściową rekompensatę za dziesiątki takowych zestawów do sałatek, które wspólnie z Alfredem rozdała przez minione dwadzieścia lat; otóż przez cały ten tydzień Enid z rosnącym niepokojem obserwowała nieustającą drzącą, a kiedy wreszcie Alfred zgodził się pójść do lekarza i doktor Hedgpeth rozpoznał u niego chorobę Parkinsona, Enid podświadomie zaczęła wiązać ten fakt z telefonicznym oświadczeniem Denise i winić córkę za raptowną degradację swojego życia, choć dr Hedgpeth wielokrotnie podkreślał, iż choroba Parkinsona ma podłoże somatyczne i rozwija się stopniowo przez dłuższy czas. Kiedy nadeszły święta, a w domu nagromadziło się mnóstwo ulotek i broszur pełnych tabel, wykresów i fotografii przepowiadających nieuniknioną i smutną przyszłość, Enid była już przekonana, że to Denise i Emile zrujnowali jej życie. Musiała jednak zastosować się do kategorycznego polecenia Alfreda, który życzył sobie, by Emile spotkał się z serdecznym przyjęciem w rodzinie, nie pozostało jej więc nic innego, jak tylko przywołać na twarz sztuczny uśmiech i przyjmować całkowicie szczere gratulacje od starych przyjaciół rodziny, którzy kochali Denise i mieli o niej jak najlepsze zdanie (ponieważ Enid od małości wpajała jej szacunek dla starszych) (a właściwie czym było jej małżeństwo, jeśli nie przejawem niesłychanej życzliwości dla starszego mężczyzny?), choć w gruncie rzeczy oczekiwałyby raczej kondolencji. Wysilek, który włożyła w to, żeby promieniować fałszywą radością, spełnić życzenie Alfreda i serdecznie powitać starszego o wiele lat od córki zięcia, nie wspominając ani słowem o jego religii, tylko zintensyfikowały gniew i wstyd, które ogarnęły ją pięć lat później, kiedy Denise i Emile wzięli rozwód, a ona musiała poinformować o tym przyjaciół. Wydawało jej się, że skoro już zdobyła się na tak ogromny wysilek, żeby podjąć próbę zaakceptowania tego związku, jej córka mogłaby zrewanżować się przynajmniej w taki sposób, że by w nim pozostała.

— Czy kontaktujesz się jeszcze z Emile'em? — zapytała.

Denise ustawiała naczynia na suszarce.

— Czasami.

Enid zaparkowała przy stole i wycinała kupony premiowe z czasopism, które wyjęła z torby z logo Nordic Pleasurelines. Porywy wiatru chlustały w szyby strugami deszczu. Alfred siedział na sofie z zamkniętymi oczami.

— Bo wiesz, tak sobie myślę, że nawet gdyby wam się wszystko ułożyło i zostalibyście ze sobą, to przecież Emile zestarzałby się znacznie szybciej od ciebie, a ty nawet sobie nie wyobrażasz, co to znaczy, jaki to ciężar i jaka odpowiedzialność.

— Za dwadzieścia pięć lat Emile będzie młodszy, niż ojciec jest teraz — odparła Denise.

— Czy opowiadałam ci kiedyś o mojej szkolnej przyjaciółce Normie Greene?

— Opowiadasz mi o niej za każdym razem, kiedy się widzimy.

— A więc wiesz, o co chodzi. Norma poznała Floyda Voinovicha, który był dżentelmenem w każdym calu, na dobrze płatnej posadzie, i zakochała się w nim bez pamięci, mimo dzielącej ich różnicy wieku. Zabierał ją do najlepszych lokali, a jedyny problem...

— Mamo.

— Jedyny problem polegał na tym — ciągnęła niezrażona Enid — że był żonaty, ale Norma miała się niczym nie przejmować. To był podobno tymczasowy układ. Floyd twierdził, że popełnił błąd, że jego małżeństwo jest okropne, że nigdy nie kochał żony...

— Mamo.

— ...i że zamierza się z nią rozwieść. — Enid przymknęła oczy z gawędziarską rozkoszą. Doskonale zdawała sobie sprawę, że Denise nie podoba się ta historia, ale w życiu jej córki również było mnóstwo rzeczy, które jej, Enid, nie sprawiały najmniejszej przyjemności. — Trwało to latami. Floyd było stać na rzeczy, na które młodszy mężczyzna nie mógłby sobie pozwolić. Norma coraz bardziej przyzwyczajała się do zbytków, a poza tym była w wieku, kiedy dziewczyny łatwo się zakochują. Czy Floyd nie przysięgał, że rozwiedzie się z żoną i ożeni się z nią? Mniej więcej właśnie wtedy wyszłam za twojego ojca i urodziłam Gary'ego. Pamiętam, jak Norma odwiedziła mnie kiedyś i po prostu nie chciała wypuścić go z rąk. Uwielbiała małe dzieci, a ja czułam się okropnie, bo wiedziałam, że od lat spotyka się z Floydem, a on wciąż nie rozwiódł się z żoną. Powtarzałam jej, że nie może czekać w nieskończoność. Starła się z nim zerwać. Spotykała się też z innymi mężczyznami, ale byli młodszy i za mało dojrzały, bo Floyd był od niej starszy o piętnaście lat. Doskonale rozumiem, jak bardzo dojrzałość mężczyzny może się spodobać kobiecie, więc...

— Mamo!

— Tych młodszych mężczyzn nie stać było również na to, żeby zabierać ją do drogich restauracji ani obsypywać ją kwiatami i prezentami, co czynił zawsze, kiedy traciła do niego cierpliwość, a ci młodszy chcieli zakładać rodziny, a Norma...

— ...nie była już taka młoda — dokończyła Denise. — Masz ochotę na deser?

— Chyba wiesz, jak to się skończyło?

— Tak.

— To naprawdę smutna historia, ponieważ Norma...

— Tak, mamo. Wiem.

— Norma znalazła się w...

— Mamo, znam tę historię. Z jakiegoś powodu chyba uważasz, że ma coś wspólnego z moją obecną sytuacją.

— Wcale tak nie myślę. Nie wiem nawet, jak wygląda twoja obecna sytuacja.

— W takim razie dlaczego wciąż powtarzasz mi historię Normy Greene?

— Nie rozumiem, dlaczego cię to irytuje, skoro nie ma nic wspólnego z twoją obecną sytuacją?

— Denerwuje mnie to, że ty myślisz, że ma. Wydaje ci się, że związałam się z żonatym mężczyzną?

Enid nie tylko tak właśnie się wydawało, ale nagle ogarnęła ją taka irytacja i takie zdenerwowanie, że przez chwilę miała problemy z oddychaniem.

— Mógłby... Mógłby wreszcie pozbyć się tych pism! — wykrztusiła wreszcie, uderzając palcami w kolorową stronę.

— Mamo...

— Lepiej o tym nie mówmy. Jak w wojsku: nikt nie pyta, nikt nie odpowiada.

Denise stanęła w kuchennych drzwiach z założonymi rękami i ścierką do naczyń zwiniętą w kulę w prawej dłoni.

— Skąd przyszło ci do głowy, że mam romans z żonatym mężczyzną?

Enid pacnęła kolejną błyszczącą kartkę.

— Gary coś ci powiedział?

Enid z trudem pokręciła głową. Denise wściekłaby się, gdyby się dowiedziała, że Gary ją zdradził, i choć Enid sama często wściekała się na niego za różne rzeczy, to jednak chlubiła się tym, że zawsze dochowuje tajemnic i nie chciała stawiać go w niezręcznej sytuacji. Istotnie, od dawna

rozmyślała ze smutkiem nad sytuacją Denise i przez ten czas zdołała nagromadzić w sobie znaczne pokłady gniewu. Prasując, pieląc grządki w ogródku i leżąc w łóżku z szeroko otwartymi oczami, układała sobie w głowie oceny dotyczące niemoralnego stylu życia Denise, które chętnie by wygłosiła w obecności córki. „Nigdy nie będę w stanie zrozumieć ani zaakceptować takiego skrajnie egoistycznego postępowania” i „Wstyd mi, że jestem matką kogoś, kto postępuje w ten sposób” oraz „Denise, w tej sprawie moja sympatia jest zdecydowanie po stronie żony, zdecydowanie!”. Teraz wreszcie nadarzyła się sposobność, ale gdyby Denise nie przyznała się do winy, wówczas cały gniew poszedłby na marne. Gdyby, z drugiej strony, przyznała się do wszystkiego, kto wie, czy nie byłoby rozsądniej zachować milczenie i nie rozpętywać kłótni. Enid potrzebowała Denise w charakterze sojusznika na froncie bożonarodzeniowym, nie chciała też wyruszać w podróż luksusowym statkiem ze świadomością, że jeden syn zniknął w tajemniczych okolicznościach, drugi żywi do niej urazę za to, że zdradziła jego tajemnicę, a córka potwierdziła jej najgorsze podejrzenia. W związku z tym zadała sobie ogromny trud, żeby pokręcić głową i powiedzieć potulnie:

— Skądże znowu. Gary niczego mi nie powiedział.

Denise zmrużyła oczy.

— O czym niczego ci nie powiedział?

— Daj jej spokój, Denise — odezwał się Alfred.

I Denise, która nigdy nie słuchała matki, odwróciła się bez słowa i wróciła do kuchni.

Enid znalazła kupon premiowy na margarynę kupowaną razem z ciasteczkami Thomasa. Nożyczki przecięły papier i ciszę.

— Wiecie, co na pewno zrobię podczas podróży? Nadrobię zaległości w czytaniu czasopism!

— Chip przepadł na dobre — zauważył Alfred.

Denise postawiła na stole talerzyki z tartą.

— Obawiam się, że już go dzisiaj nie zobaczymy.

— To bardzo dziwne — stwierdziła Enid. — Dlaczego przynajmniej nie zadzwoni?

— Bywało już gorzej — mruknął Alfred.

— Tato, czas na deser. Mój kucharz upiekł wspaniałą tartę. Zjesz przy stoliku?

— Och, to dla mnie stanowczo za duży kawałek! — powiedziała Enid.

— Tato?

Alfred nie odpowiadał. Usta zastygły mu w obwisłym, zgorzkniałym grymasie, tak jakby lada chwila miało wydarzyć się coś okropnego. Odwrócił się w kierunku ciemnego, schlapanego deszczem okna, zwiesił głowę i ponuro spoglądał na nie spode łba.

— Tato...

— Al? Jest deser.

Tak jakby coś się w nim stopiło. Nie odwracając wzroku od okna, powoli podniósł głowę, uśmiechnął się promiennie, jakby ujrzał tam kogoś doskonale znajomego, kogoś, kogo kocha.

— Co się stało, Al?

— Tato?

— Tam są dzieci. — Usiadł prawie całkiem prosto. — Widzicie je? — Wyciągnął drżący palec.

— O, tam. — Palec przesuwiał się powoli z lewa na prawo. — I tam. I tam też.

Odwrócił się do Enid i Denise, jakby oczekiwał, że one również się zachwycą, ale Enid daleko było do zachwyty. Niebawem zamierzała wyruszyć w podróż eleganckim statkiem i ogromnie zależało jej na tym, żeby podczas tej podróży Alfred nie popełniał podobnych pomyłek.

— To są słoneczniki — poprawiła go trochę gniewnym, a trochę błagalnym tonem. — Widzisz ich odbicia w szybie.

Pokręcił ze smutkiem głową.

— A ja myślałem, że to dzieci...

— Nie, słoneczniki. Widziałeś słoneczniki.

Po tym, jak jego partia przegrała wybory, a rosyjski kryzys finansowy wykończył litewską gospodarkę, Gitanas samotnie spędzał dni w dawnej siedzibie JPRiJORIKJoNPz17, umilając sobie czas tworzeniem witryny internetowej, której domenę lithuania.com nabył od pewnego spekulanta za ciężarówkę z faksami, drukarkami mozaikowymi, 64-kilobajtowymi commodore'ami oraz innymi relikami sprzętu biurowego z epoki Gorbaczowa, będącymi równocześnie ostatnimi fizycznymi pamiątkami po jego partii. Aby upowszechnić wiedzę o ciężkim losie małych zadłużonych krajów, Gitanas stworzył inną witrynę, oferującą DEMOKRACJĘ NA SPRZEDAŻ: KUP KAWALEK HISTORII EUROPY, i umieścił linki na amerykańskich stronach internetowych przeznaczonych dla inwestorów. Gości odwiedzających jego witrynę zachęcał do dokonywania wpłat na konto JPRiJORIKJoNPz17, „jednej z najszacowniejszych litewskich partii”, „kamienia węgielnego” koalicji rządzącej krajem przez trzy z minionych siedmiu lat, zwyciężczyni wyborów z kwietnia 1993 roku, obecnie: najsilniejszej politycznej siły prozachodniej” występującej jako Przedsiębiorstwo Partia Wolnorynkowa. Obiecywał, że jak tylko przedsiębiorstwo to kupi wystarczająco dużo głosów, żeby zwyciężyć w kolejnych wyborach, zagraniczni inwestorzy nie tylko staną się udziałowcami spółki o nazwie Litwa („organizacji państwowej działającej w celu osiągnięcia jak największych zysków”), ale również otrzymają proporcjonalną do skali finansowego zaangażowania nagrodę w postaci „cegielek” z wygrawerowanym napisem upamiętniającym ich „bohaterski wkład w gospodarcze wyzwolenie kraju”. Już za sto dolarów każdy amerykański inwestor mógł liczyć na to, że jego imieniem zostanie nazwana ulica w Wilnie „długości co najmniej dwustu metrów”; pięć tysięcy dolarów miało być nagrodzone umieszczeniem portretu w Galerii Bohaterów Narodowych, za dwadzieścia pięć tysięcy inwestor mógł liczyć na prawo własności miasteczka „zamieszkanego przez co najmniej pięć tysięcy dusz”, a także na *droit du seigneur*, oczywiście z poszanowaniem „większości wskazówek zawartych w ustaleniach końcowych Międzynarodowej Konferencji na temat Praw Człowieka”.

— To był taki sobie paskudny żarcik — mówił Gitanas z kąta taksówki, w który się wcisnął — ale jakoś nikt się nie śmiał, za to ludzie zaczęli przysyłać czeki. Przychodziły setki e-maili z pytaniami. Jakie produkty zamierza wytwarzać Litwa Sp. z o.o.? Jakie doświadczenie zawodowe mają zatrudniani przez nią menadżerowie? Czy można otrzymać zestawienie wyników finansowych z minionych lat? Czy można liczyć na nadanie jakiejś litewskiej wsi imienia dziecka albo któregoś z ulubionych pokemonów? Wszyscy czekali na więcej informacji, wszyscy prosili o ulotki, broszury, zestawienia i wykresy. Czy spółka jest notowana na takiej a takiej giełdzie? Niektórzy chcieli od razu przyjechać, żeby zobaczyć wszystko na własne oczy. Nikt, zupełnie nikt się nie śmiał.

Chip stukał w szybę kostkami palców i taksował wzrokiem kobiety na Szóstej Alei. Deszcz przestawał padać, zniknęły parasolki.

— Czy te pieniądze trafiają do ciebie czy do twojej partii?

— Na razie jakoś nie mogę podjąć wiążącej decyzji — odparł Gitanas. Wyjął z teczki butelkę okowity, z której jeszcze w gabinecie Eden nalał solidne porcje dla przypieczętowania umowy, i podał ją Chipowi; ten pociągnął spory łyk, po czym oddał butelkę. — Byłeś nauczycielem angielskiego, prawda?

— Owszem, uczyłem w college'u.

— A twoi rodzice pochodzą ze Skandynawii?

— Tylko ojciec. W żyłach matki płynie mieszana środkowoeuropejska krew.

— Dla ludzi w Wilnie będziesz jak jeden z nas.

Chipowi bardzo zależało na tym, żeby wrócić do domu przed odjazdem rodziców. Teraz, kiedy miał w kieszeni gruby rulon trzydziestu studolarówek, nie przejmował się szczególnie tym, co o nim myślą, tym bardziej że w jego pamięci utrwalił się obraz ojca stojącego w drzwiach z roztrzęsionymi rękami i błagającym go, żeby został. Pociągając z butelki i obmacując wzrokiem kobiety na ulicy, nie był w stanie pojąć, dlaczego jeszcze całkiem niedawno tak bardzo się go obawiał.

To prawda, iż jedyne zastrzeżenia, jakie Alfred zgłaszał wobec kary śmierci, polegały na tym, że była zbyt rzadko wykonywana. To prawda, że ludzie, których egzekucji domagał się w dzieciństwie Chipa przy stole podczas kolacji, byli zwykle czarni i pochodzili ze slumsów na północnych przedmieściach St. Jude. („Ależ, Al!” mawiała wtedy Enid. Kolacja była „posiłkiem rodzinnym” i Enid nie rozumiała, dlaczego akurat wtedy trzeba mówić o krzesłach elektrycznych, komorach gazowych i zamieszkach na ulicach). Pewnego niedzielnego poranka, policzywszy wiewiórki i oszacowawszy straty w drzewostanie (czynił to w taki sam sposób, w jaki niektórzy dokonywali inwentaryzacji domów straconych na rzecz „czarnych”), Alfred przeprowadził eksperyment w dziedzinie ludobójstwa. Rozwścieczony tym, że wiewiórkom zamieszkującym jego niezbyt obszerne podwórze brakuje samodyscypliny, żeby przestać się rozmnażać i zatroszczyć się o siebie, wygrzebał z piwnicy starą łapkę na szczury, na której widok Enid pokręciła głową i zacmokała z dezaprobatą.

— Dziewiętnaście sztuk! — powiedział Alfred. — Dziewiętnaście!

Żadne emocjonalne argumenty nie mogły przeważać wymowy tej konkretnej, precyzyjnej liczby. Za przynętę posłużył kawałek pełnoziarnistego tosta, który Chip jadał na śniadanie. Potem Lambertowie całą rodziną udali się do kościoła; jakoś tak między Chwałą Ojcu a doksologią młody samczyk, kierowany desperacją właściwą wszystkim, którzy znaleźli się w ciężkiej sytuacji ekonomicznej, postanowił zaryzykować i poczęstował się tostem, co skończyło się dlań roztrzaskaniem czaszki. Po powrocie do domu rodzina zastała gromadę zielonych much pożywiających się krwią, rozbryzniętą tkanką mózgową oraz gruboziarnistym pieczywem wymieszanym z odłamkami kości. Alfred wykrzywił usta z odrazą, jak zawsze, kiedy musiał wymuszać dyscyplinę jakimiś drastycznymi metodami (ani trochę nie zdawał sobie sprawy ze swojego nieprzychylnego stosunku do dyscypliny), przyniósł łopatę z garażu, a następnie załadował pułapkę i zwłoki wiewiórki do dużej papierowej torby, którą poprzedniego dnia Enid częściowo zapełniła chwastami z ogródka. Chip towarzyszył ojcu w odległości około dwudziestu metrów. Widział, jak schodząc do piwnicy, Alfred zatoczył się i oparł o pralkę, jak przebiegł obok stołu do ping-ponga (zawsze, kiedy widział ojca biegnącego, ogarniał go niepokój niebezpiecznie blisko graniczący z paniką), a potem znikł w swoim pokoju. Od tej pory wiewiórki mogły robić, co chciały.

Taksówka zbliżała się do University Place. Chip zastanawiał się, czy wrócić do baru i zwrócić pieniądze barmance, może nawet dać jej równą stówę, żeby wszystko było jak trzeba, może wziąć od niej adres, żeby napisać z Litwy. Już zamierzał wydać polecenie kierowcy, kiedy nagle w głowie zaświeciła mu się zupełnie nowa, jaskrawa myśl: „Ukradłem dziewięć dolców, no i cześć, miała pecha, i tyle”.

Oparł się wygodnie i sięgnął po butelkę.

Kiedy się zatrzymali, kierowca zamachał gwałtownie rękami na widok studolarowego banknotu, więc Gitanas wygrzebał drobniejsze pieniądze z kieszeni swojej czerwonej kurtki.

— Może przyjadę do ciebie do hotelu? — zaproponował Chip.

Gitanasa wyraźnie to rozbawiło.

— Żartujesz, prawda? Oczywiście ci ufam, ale jednak zaczekam tu na ciebie. Spakuj się spokojnie, nie zapomnij o ciepłym palcie i czapce. O garniturach i krawatach też. Pamiętaj, że teraz jesteś finansistą.

Portier Zoroaster znikł bez śladu, więc Chip musiał posłużyć się własnym kluczem. W windzie oddychał głęboko, próbując zapanować nad podnieceniem. Nie bał się, czuł się szlachetny, był gotów uściskać ojca.

Ale zastał puste mieszkanie. Rodzina wyszła najwyżej kilka minut temu; w powietrzu czuł jeszcze ciepło ciał, zapach perfum Enid oraz bardziej łazienkową woń starości. W kuchni panował wręcz nieprawdopodobny porządek, w pokoju dopiero teraz dało się dostrzec ślady wczorajszego pospiesznego sprzątnięcia. Z półek znikły książki, Julia zabrała z łazienki swoje szampony i suszarkę, a on był bardziej pijany, niż przypuszczał. Nie zostawili mu żadnej informacji, żadnego listu. Na stole stał wazon ze słonecznikami i talerz z kawałkiem ciasta. Powinien się pakować, lecz wszystko dokoła i wewnątrz niego wydało mu się nagle tak dziwne, że przez jakiś czas mógł tylko stać i patrzeć. Na liściach słoneczników widniały ciemne plamy, kwiaty były wielkości i grubości dłoni, ciężkie i mięsiste. Pośrodku każdego z nich widniał jasny guzik otoczony ciemną aureolą. Przez głowę Chipa przemknęła myśl, że Natura nie mogła stworzyć lepszej wskazówki dla owadów poszukujących smakowitego kwiatowego pyłku. Kiedy dotknął czubkami palców aksamitnej brązowej powierzchni, jego ciałem wstrząsnął dreszcz rozkoszy.

Taksówka z trojgiem Lambertów dotarła na nabrzeże, przy którym stał ogromny wycieczkowiec Gunnar Myrdal, zasłaniając białym kadłubem rzekę, New Jersey i połowę nieba. Przy bramce zgromadził się spory tłum złożony głównie ze starych ludzi, nieco dalej utworzyła się długa kolejka. Było coś niesamowitego w tej zdeterminowanej migracji, wyćwiczona uprzejmość ubranego na biało personelu mroziła krew w żyłach. Deszcz przestał padać, w powłoce chmur pojawiły się szczeliny i pęknięcia, ale dzień i tak był już zmarnowany. Na nabrzeżu panowała niezwykła cisza. Tak mogłaby wyglądać o zmierzchu kolejka dusz czekających na brzegu Styksu.

Denise zapłaciła taksówkarzowi i przekazała torby bagażowym.

— Dokąd teraz pojedziesz? — zapytała Enid.

— Z powrotem do pracy, do Filadelfii.

— Pięknie wyglądasz. Dobrze ci w tej fryzurze.

Alfred uściśnął jej rękę i podziękował.

— Szkoda tylko, że Chip miał dzisiaj nie najlepszy dzień — zauważyła Denise.

— Porozmawiaj z Garym o świętach — przypomniała jej Enid. — I zastanów się, może jednak uda ci się przyjechać na cały tydzień.

Denise odsunęła skórzany mankiet, spojrzała na zegarek.

— Przyjadę na pięć dni, ale wątpię, czy Gary da się namówić. I nie wiadomo, jak z Chipem.

— Denise — powiedział Alfred takim tonem, jakby przywoływał ją do porządku. — Proszę, porozmawiaj z Garym.

— Dobrze. Oczywiście.

Alfred gwałtownie zamachał rękami.

— Nie wiem, ile czasu mi zostało. Musisz dogadać się z matką. Musisz ułożyć sobie stosunki z Garym.

— Masz jeszcze mnóstwo...

— Wszyscy musimy jakoś się dogadać!

Denise nigdy nie była płaksą, ale teraz zaczęły jej drżeć usta.

— W porządku, tato. Porozmawiam z nim.

— Wasza matka chce, żebyście wszyscy przyjechali na święta do St. Jude.

— Porozmawiam z nim. Obiecuję.

— No dobrze. — Odwrócił się gwałtownie. — Już wystarczy.

Wiatr szarpał jego czarnym płaszczem przeciwdeszczowym, lecz mimo to Enid nie traciła nadziei, że podczas rejsu będą mieli piękną pogodę.

W suchym ubraniu, z frakonozem i torbą wypchaną rzeczami i papierosami (śmiercionośne muratti po pięć doliców za paczkę), Chip pojechał z Gitanasem Misevičiusem na lotnisko Kennedy'ego i wsiadł do samolotu odlatującego do Helsinek. Wbrew ustaleniom zawartym w ustnej umowie, Gitanas kupił bilety w klasie ekonomicznej, nie biznesowej.

— Pić możemy dzisiaj, a wyspać się jutro — powiedział.

Mieli miejsca przy oknie i przejściu. Siadając w fotelu, Chip przypomniał sobie, jak Julia wykiwała Gitanasa. Wyobraził sobie, jak wychodzi z samolotu, biegnie korytarzem, wskakuje do swojskiej żółtej taksówki. Nagle ogarnęła go tęsknota i lęk przed nieznanym, ale w przeciwieństwie do Julii nie zamierzał uciekać. Zasnął niemal natychmiast po zapięciu pasa, obudził się na krótko podczas startu i zasnął znowu. Spał aż do chwili, gdy wszyscy pasażerowie samolotu jak jeden mąż zapalili papierosy.

Gitanas wyjął notebooka z torby i włączył.

— Więc Julia...

Jeszcze nie całkiem przytomnemu Chipowi wydawało się przez chwilę, że Litwin pomylił go ze swoją żoną.

— Moja żona — wyjaśnił Gitanas.

— A, tak.

— No więc ona bierze środki przeciwdepresyjne. Zdaje się, że to był pomysł Eden. Mam wrażenie, że Eden w ogóle kieruje teraz jej życiem. Sam widziałeś, że chciała jak najprędzej pozbyć się mnie z gabinetu, a jeszcze lepiej z miasta. Jestem niewygodny. No więc zaczęła brać te leki i któregoś dnia oświadczyła, że nie chce mieć nic wspólnego z mężczyznami, którzy mają na ciele ślady po przypalaniu papierosem. Tak właśnie powiedziała. Mam dosyć mężczyzn ze śladami po przypalaniu papierosem. Pora na zmiany. — Włożył CD do czytnika. — Ale postanowiła zatrzymać mieszkanie, a w każdym razie tak postanowił jej prawnik. Reprezentuje ją na sprawie rozwodowej, a płaci mu oczywiście Eden. Ktoś zmienił zamki w drzwiach. Musiałem dać w łapę portierowi, żeby mnie wpuścił.

Chip zacisnął palce lewej ręki.

— Ślady po przypalaniu?

— Tak, mam kilka. — Gitanas rozejrzał się dyskretnie, czy ktoś nie podsłuchuje, ale wszyscy sąsiedzi, z wyjątkiem dwojga dzieci siedzących z zaciśniętymi powiekami, byli zajęci paleniem. — Pamiątki po pobycie w sowieckim więzieniu wojskowym. Sam zobacz. — Ściągnął skórzaną kurtkę z jednego ramienia, podwinął rękawek żółtego T-shirta. Wewnętrzną stronę ramienia od pachy aż do łokcia pokrywał archipelag zabliźnionych okrągłych oparzelin. — Tak wyglądał mój tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty. Osiem miesięcy w więzieniu Armii Czerwonej w niepodległej

Litwie.

— Byłeś dysydentem...

— Tak! Tak! Dysydentem! — Z powrotem wciągnął kurtkę. — To było okropne i wspaniałe. I męczące, ale wtedy tego nie czułem. Zmęczenie przyszło później.

Wspomnienia Chipa z tego roku wypełniały elżbietańskie dramaty, regularne bezowocne sprzeczki z Tori Timmelman, niezdrowe fascynacje jej pornograficznymi tekstami... i nic więcej.

— Trochę się boję na to patrzeć. — Na wyświetlaczu komputera pojawił się lekko rozmazany czarno-biały obraz łóżka z leżącą nieruchomo, przykrytą kołdrą postacią. — Portier twierdzi, że Julia ma kogoś, więc postanowiłem to sprawdzić. Poprzedni właściciel zainstalował w sypialni kamerę. Ma czujnik ruchu, działa w podczerwieni, robi cyfrowe zdjęcia. Patrz, jeśli chcesz. Może być ciekawe.

Chip przypomniał sobie czujnik dymu na suficie sypialni Julii. Często wpatrywał się w niego z natężeniem. Wydawało mu się, że to wyjątkowo duży i skomplikowany czujnik dymu. Poprawił się w fotelu.

— Może lepiej tego nie oglądać.

Gitanas klikał zawzięcie.

— Dobra, odwróć ekran. Nie będziesz niczego widział.

Pod sufitem gromadziły się ciężkie chmury papierosowego dymu. Chip postanowił zapalić murattiego. Różnica między czynnym a biernym paleniem okazała się jednak mało zauważalna.

— Chodzi mi o to — powiedział, zasłaniając ręką wyświetlacz — że chyba byłoby lepiej, gdybyś ty też tego nie oglądał.

Gitanas był autentycznie zdumiony.

— Niby dlaczego?

— Pomyśl.

— Ty mi powiedz.

— Nie, ty pomyśl.

Przez chwilę zrobiło się autentycznie wesoło. Gitanas przyglądał się ręce i ramieniu Chipa, jak się zastanawiał, gdzie najlepiej będzie go ugryźć, po czym wyjął płytę z czytnika i cisnął mu ją w twarz.

— Niech cię szlag trafi!

— Dobrze, dobrze...

— Weź to i pieprz się. Nie chcę tego. Nie chcę tego już nigdy widzieć. Chip wepchnął płytę do kieszeni koszuli. Czuł się doskonale. Samolot osiągnął już zaplanowany pułap, hałas monotonnie wwierał się w zatoki. W ustach miał plastikowy smak kawy rozdawanej w jednorazowych kubeczkach, zaraz za porysowanymi okienkami zaczynało się puste czarne niebo nad północnym Atlantykiem, ale tu, w samolocie, było jasno i tłoczno. Czuwał, czuwali też wszyscy dookoła.

— Co, ty też masz ślady po papierosach? — zapytał Gitanas. Chip pokazał mu dłonie.

— Eee, to nic takiego.

— Samookaleczenia. Ty żałosny Amerykańcu.

— To po prostu inny rodzaj więzienia — odparł Chip.

**IM DŁUŻEJ
O TYM MYŚLAŁ,
TYM BARDZIEJ GO
TO WKURZAŁO**

Zyskowny związek Gary'ego Lamberta z Axon Corporation zaczął się przed trzema tygodniami, w pewne niedzielne popołudnie, które spędził w swojej nowej ciemni, usiłując znaleźć zadowolenie w robieniu odbitek dwóch starych zdjęć rodziców. Poczucie zadowolenia było mu potrzebne do tego, żeby rozwiać niepokój dotyczący stanu jego zdrowia psychicznego.

Stan ów niepokoił go od dawna, lecz akurat tego popołudnia, kiedy Gary opuścił swój ogromny dom przy Seminole Street, przeszedł przez rozległe podwórze i wspiął się po zewnętrznych schodkach na pięterko nad garażem, w jego głowie panowała równie ciepła i słoneczna pogoda jak nad północno-zachodnią Filadelfią. Przez cienką warstwę rozwleczonych na niebie chmurkę przeświecało wrześnie słońce i o ile Gary potrafił przeanalizować zachodzące w jego mózgu procesy (a pamiętajmy, że nie był psychiatrą, tylko wiceprezesem CenTrust Bank), wszelkie oznaki zdawały się świadczyć o tym, że nie ma się czym niepokoić.

Chociaż ogólnie rzecz biorąc, Gary był zwolennikiem koncepcji, żeby brać przyszłość w swoje ręce, samodzielnie decydować o wyborze funduszy emerytalnych, posyłać dzieci do prywatnych szkół i tak dalej, to ani trochę nie uśmiechało mu się przejmowanie odpowiedzialności za przemiany chemiczne zachodzące w jego mózgu, zwłaszcza w sytuacji kiedy jego najbliżsi, szczególnie ojciec, robili wszystko, żeby tego uniknąć. Mimo to starał się jak najlepiej wywiązać z zadania. Wchodząc do ciemni, szacował, że poziom neurofaktora 3 (czyli serotoniny, a więc bardzo, ale to bardzo ważnego czynnika) właśnie osiągnął siedmio- albo nawet trzydziestodniowe maksimum, że faktory 2 i 7 również radziły sobie zdumiewająco świetnie oraz że faktor 1 otrząsnął się już ze zgubnych skutków wypitego poprzedniego dnia tuż przed zaśnięciem kieliszka armaniaku. Szedł sprężystym krokiem, w pełni świadom swego słusznego wzrostu i opalenizny. Niechęć do żony, Caroline, była umiarkowana i pod kontrolą. Spowodowane starzeniem zmiany psychiczne pociągały za sobą nasilenie objawów paranoi (dostrzegał to na przykład w podejrzeniach, że zarówno Caroline, jak i jego dwaj starsi synowie bez przerwy się z niego naigrawają), sezonowe wzmocnienie przekonania o krótkotrwałości i bezsensie życia ani trochę zaś nie naruszało solidnych podstaw stabilności jego życia psychicznego. Nie wykazywał żadnych klinicznych objawów depresji.

Zaciągnął czarne aksamitne zasłony, opuścił szczelne żaluzje, wyjął z dużej lodówki ze stali nierdzewnej paczkę papieru fotograficznego i nakarmił dwoma celuloidowymi paskami elektryczne urządzenie do czyszczenia negatywów — niewielki, ale seksownie ciężki gadżet.

Wykonywał odbitki z pechowej Dekady Małżeńskiego Golfa obojga rodziców. Jedno ze zdjęć przedstawiało Enid w ciemnych okularach, pochyloną nad głębokim rough, z lewą ręką zaciśniętą na steranym kijku numer pięć, prawą rozmazaną po wyrzuceniu piłeczki (biała smuga tuż przy krawędzi) na fairway. Oboje grywali wyłącznie na płaskich, prostych, dostępnych dla szerokiej publiczności polach. Na innej fotografii Alfred w obcisłych szortach, czapeczce Midland Pacific, czarnych skarpetkach i prehistorycznych pantoflach do golfa zamierzał się swoim równie starym kijem na biały znacznik pola wielkości grejpfruta, uśmiechając się, jakby chciał powiedzieć: „Takie właśnie powinny być piłeczki!”

Gary wyjął odbitki z utrwalacza, odsłonił okno, opłukał fotografie i stwierdził, że obie są pokryte zagadkowymi żółtymi plamami. Zaklął pod nosem — nie dlatego, że tak bardzo zależało mu na zdjęciach, lecz aby nie zepsuć sobie dobrego, podpompowanego serotoniną nastroju. Jeśli miał go zachować, świat przyrody nieożywionej musiał choćby minimalnie współpracować.

Na zewnątrz pogoda zdecydowanie coraz bardziej się psuła. O dach bębniły krople spadające z liści, wąskie strumyczki płynęły rynsztokami. Pracując nad kolejnymi odbitkami, Gary słyszał przez ścianę garażu głosy Caroline i chłopców grających w piłkę na podwórku. Do jego uszu dobiegał

tupot, okrzyki, od czasu do czasu głuchy łoskot piłki uderzającej w ścianę. Kiedy na drugim zestawie odbitek pojawiły się identyczne plamy, Gary zrozumiał, że powinien dać temu spokój, ale w tej samej chwili rozległo się ciche pukanie i zaraz potem przez szczelinę w czarnej kotarze prześlizgnął się jego najmłodszy syn Jonah.

— Wywołujesz zdjęcia? — zapytał.

Gary pospiesznie podarł nieudane odbitki i wrzucił je do kosza.

— Dopiero zaczynam.

Na nowo wymieszał odczynniki, otworzył kolejną paczkę papieru. Jonah usiadł przy czerwonej żarówce i szepecząc cichutko, przewracał kartki jednej z książek o Narnii, którą dostał w prezencie od siostry Gary'ego, Denise. Jonah chodził do drugiej klasy, ale czytał już książki dla piątoklasistów. Od czasu do czasu powtarzał słowa albo całe zdania głośnym szeptem, co bardzo pasowało do jego narniowskiej osobowości. Miał błyszczące ciemne oczy, dźwięczny głos, jedwabiście miękkie włosy i nawet Gary'emu bardziej przypominał jakieś rozumne zwierzątko niż chłopca.

Caroline nie darzyła Narnii zbyt dużym uznaniem — C. S. Lewis uprawiał katolicką propagandę, a jego bohater, Aslan, był futrzastym czworonożnym odpowiednikiem Chrystusa — ale Gary w dzieciństwie czytywał te książki z dużą przyjemnością i jakoś nie został fanatykiem religijnym. Jeśli chodzi o ścisłość, był stuprocentowym materialistą.

— Zabili niedźwiedzia — donosił Jonah — ale to nie był mówiący niedźwiedź i Aslan wrócił, ale zobaczyła go tylko Lucy, a inni jej nie uwierzyli.

Gary włożył odbitki do kuwety.

— Dlaczego?

— Bo była najmłodsza.

Na zewnątrz, w deszczu, Caroline śmiała się i pokrzykiwała. Często ganiała z chłopakami aż do utraty sił. W początkowym okresie małżeństwa pracowała w pełnym wymiarze godzin jako prawnik, lecz po urodzeniu Caleba dostała należną jej część rodzinnej fortuny, w związku z czym obecnie zatrudniła się tylko na pół etatu, za symboliczne wynagrodzenie, w Fundacji Obrony Praw Dziecka. Całe jej życie kręciło się wokół chłopców. Nazywała ich swoimi najlepszymi przyjaciółmi.

Pół roku temu, tuż przed czterdziestymi trzecimi urodzinami Gary'ego, kiedy razem z Jonahem pojechał w odwiedziny do rodziców w St. Jude, Caroline wezwała dwóch miejscowych majstrów i kazała im całkowicie przebudować piętrosko nad garażem. Był to prezent urodzinowy od niej. Gary od dawna wspominał o swoich planach zrobienia na nowo odbitek ulubionych rodzinnych fotografii i zgromadzenia ich w wielkim, oprawionym w skórę albumie. Nic by się nie stało, gdyby zaniósł negatywy do zakładu fotograficznego, a poza tym chłopcy uczyli go już podstaw fotografii cyfrowej, a nawet gdyby musiał skorzystać z ciemni, mógłby ją sobie wynająć na godziny. W związku z tym kiedy Caroline zaprowadziła go w dzień jego urodzin na piętro nad garażem i pokazała ciemnię, której nie potrzebował ani nie chciał, w pierwszym odruchu chciał się po prostu rozplakać, ale z lektury popularnych książek dotyczących psychologii, które tłoczyły się na jej półce, wiedział, jak wyglądają pierwsze Ostrzegawcze Sygnały Depresji; wszystkie autorytety zgodnie twierdziły, iż jednym z nich była skłonność do niczym nieuzasadnionych ataków płaczu, w związku z czym przełknął gulę podchodzącą mu do gardła, w zachwycie obiegł wyremontowane i wyposażone pomieszczenie, a następnie oświadczył Caroline (która, ze swojej strony, żałowała wydanych pieniędzy i zarazem z drżeniem serca oczekiwała na reakcję męża), że jest po prostu zachwycony. Następnie — trochę po to, by udowodnić sobie, iż jego stan nie ma nic wspólnego z depresją, a trochę po to, żeby Caroline niczego nie podejrzewała — postanowił, iż będzie pracował w ciemni dwa razy w tygodniu, dopóki

nie zapełni albumu.

Podejrzenie, iż Caroline — świadomie lub nie — podjęła próbę usunięcia go z domu, lokując ciemnię na piętrze garażu, stanowiło kolejny kluczowy dowód paranoi.

Zabrzączał czasomierz; Gary przeniósł odbitki do utrwalacza i podniósł rolety.

— Co to za białe plamy? — zapytał Jonah, zerkając do kuwety.

— Nie mam pojęcia.

— Wyglądają jak chmury.

Piłka z łoskotem uderzyła w ścianę garażu.

Gary zostawił skrzywioną Enid i uśmiechniętego Alfreda w kuwecie i podniósł żaluzje. Rosnąca na podwórzu araukaria była mokra od deszczu. Nieco dalej, w przemoczonych bluzach, stali zdyszani Caroline i Aaron. Caleb zawiązywał sznurowadło. W wieku czterdziestu pięciu lat Caroline miała nogi licealistki i włosy niemal tego samego blond koloru co dwadzieścia lat temu, kiedy Gary poznał ją na koncercie Boba Segera w Spectrum. Nadal go pociągała, nadal imponowała mu swoją naturalną atrakcyjnością i kwakerskim pochodzeniem. Ulegając wieloletniemu odruchowi, sięgnął po aparat i wycelował w nią teleobiektyw. Zmroził go widok jej twarzy: miała zmarszczone brwi, zaciśnięte usta otoczone siatką zmarszczek. Lekko utykając, ponownie pobięła za piłką.

Gary skierował aparat na swego najstarszego syna Aarona, którego zawsze najlepiej fotografowało się zniecka, zanim zdążył przybrać jedną z poz, w których jego zdaniem najlepiej się prezentował. Zrobił zbliżenie spoconej, błyszczącej od potu i deszczu twarzy, ale niechęć do Caroline wciąż drażyła jego duszę.

Gra się skończyła, Caroline, utykając, biegła w stronę domu.

— „Lucy ukryła twarz w jego grzywie, żeby nie widział jej twarzy” — wyszeptał Jonah.

W domu rozległ się przeraźliwy krzyk.

Caleb i Aaron zareagowali natychmiast, pognali przez trawnik niczym bohaterowie jakiegoś filmu akcji, po czym znikli w środku. Chwilę później Aaron pojawił się ponownie i zawołał swoim nowym, łamiącym się głosem:

— Tato! Tato! Tato!

W obliczu historycznych zachowań innych ludzi Gary zawsze działał spokojnie i metodycznie. Wszedł z ciemni, powoli zszedł po mokrych od deszczu schodkach. Za garażem, nad torami kolejki dojazdowej, wilgotne powietrze zdawało się świecić niezwykłym blaskiem.

— Tato, babcia dzwoni!

Idąc niespiesznie przez podwórze, Gary zatrzymał się na chwilę, żeby oszacować zniszczenia na trawniku. Dzielnicą Chestnut Hill, w której stał ich dom, miała w sobie coś z klimatu Narnii. Stuletnie wiązy i miłorzęby, często poprzycinane z powodu napowietrznych linii energetycznych, rosły w dużych skupiskach między wąskimi uliczkami noszącymi nazwy dziesiątkowanych plemion: Seminole i Cherokee, Navajo i Shawnee. W promieniu wielu kilometrów, pomimo dużego zagęszczenia i wysokiego poziomu dochodów mieszkających tu ludzi, nie było ani szerokich arterii komunikacyjnych, ani wielkich sklepów. Gary nazywał ten obszar Łądem zapomnianym przez czas. Większość domów, w tym również jego, wzniesiono z łupka przypominającego rudę cyny, koloru jego włosów.

— Tato!!!

— Dziękuję, Aaronie. Usłyszałem cię już za pierwszym razem.

— Babcia dzwoni!

— Wiem. Już mi to powiedziałaś.

W kuchni o kamiennej podłodze zastał Caroline przygarbioną na fotelu, z rękami przyciśniętymi do krzyża.

— Dzwoniła już dziś rano, ale zapomniałam ci powiedzieć. Telefon dzwonił co pięć minut, więc w końcu...

— Dziękuję ci.

— Więc w końcu...

— Dziękuję.

Gary chwycił słuchawkę bezprzewodową i trzymając ją w wyciągniętej ręce, jakby zamierzał w ten sposób zwiększyć dystans dzielący go od matki, ruszył do salonu. Dopadł go tam Caleb z katalogiem w rękach.

— Tato, mogę z tobą porozmawiać?

— Nie teraz. Babcia dzwoni.

— Ale ja tylko...

— Nie teraz, powiedziałem.

Caleb pokręcił głową i uśmiechnął się z niedowierzaniem, jak gwiazdor piłkarski, który jakimś cudem zmarnował karnego.

Gary przeszedł przez wyłożony marmurem główny hall, znalazł się w obszernym salonie i powiedział „Halo” do telefonu.

— Mówiłam Caroline, że zadzwonię jeszcze raz, jeśli akurat nie ma cię w pobliżu!

— Płacisz siedem centów za minutę — odparł Gary.

— A właściwie to ty mógłbyś oddzwonić.

— Mamo, mówimy o dwudziestu pięciu centach...

— Usiłuję cię złapać przez cały dzień. Najpóźniej jutro rano muszę dać odpowiedź biuru podróży, a poza tym wciąż mamy nadzieję, że przyjedziecie do nas na ostatnie wspólne święta, tak jak obiecałam Jonahowi, więc...

— Zaczekaj chwilkę, zapytam Caroline.

— Gary, mieliście kilka miesięcy, żeby o tym porozmawiać! Nie będę teraz siedziała przy telefonie i czekała, aż...

— Tylko jedną chwilkę.

Zasłonił kciukiem mikrofon i wrócił do kuchni. Jonah stał na krześle z paczką oreo w rękach, Caroline wciąż ciężko łapała powietrze.

— Chyba coś sobie zrobiłam, kiedy biegłam do telefonu.

— Wcześniej przez dwie godziny grałaś w deszczu w piłkę na śliskiej trawie.

— Nic mi nie było, dopóki nie pobiegłam do telefonu.

— Widziałem, że utykałaś, zanim...

— Nic mi nie było, dopóki nie pobiegłam do telefonu, który dzwonił po raz pięćdziesiąty albo...

— Dobrze, w porządku, to wszystko wina mojej matki. A teraz powiedz, co mam jej powiedzieć o świętach.

— Co chcesz. Oczywiście mogą tu przyjechać.

— Mówiliśmy o tym, żeby tam pojechać...

Caroline pokręciła głową.

— Nieprawda. To ty o tym mówiłeś, nie ja.

— Caroline...

— Nie zamierzam rozmawiać na ten temat teraz, kiedy ona czeka przy telefonie. Niech zadzwoni w przyszłym tygodniu.

Do Jonaha zaczęło docierać, że może wziąć dowolną liczbę ciastek, a rodzice i tak niczego nie zauważą.

— Ale ona musi wiedzieć już dzisiaj — odparł Gary. — Chodzi o to, czy mają odwiedzić nas w przyszłym miesiącu po rejsie. Wszystko zależy od naszej decyzji w sprawie świąt.

— Chyba mi dysk wyskoczył.

— Skoro nie chcesz o tym rozmawiać, to powiem jej, że owszem, wybieramy się do St. Jude.

— Nie ma mowy! To niezgodne z umową.

— Proponuję jednorazowe odstąpienie od warunków umowy.

— Nie! Nie! — Mokre kosmyki jasnych włosów zatrzepotały gwałtownie w lewo i w prawo. — Nie możesz zmieniać zasad.

— Jednorazowe odstąpienie od warunków umowy to nie jest zmiana zasad.

— Boże, chyba będę musiała się prześwietlić! — jęknęła Caroline.

Słuchawka wibrowała mu w dłoni od głosu Enid.

— Więc tak czy nie?

Caroline podniosła się z krzesła, oparła twarz o jego klatkę piersiową, lekko uderzyła go w obojczyk zaciśniętą pięścią.

— Błagam cię, powiedz jej, że zadzwonisz później, dobrze? Naprawdę chyba coś sobie zrobiłam.

Przytuliła się do niego, a on odsunął telefon jak najdalej od siebie.

— Caroline, moi rodzice od ośmiu lat spędzają u nas każde Boże Narodzenie, więc chyba nie wydarzy się nic strasznego, jeśli jeden jedyny raz będzie inaczej. Czy mogę powiedzieć przynajmniej tyle, że bierzemy taką ewentualność pod uwagę?

Caroline potrząsnęła głową i opadła z powrotem na krzesło.

— W porządku. W takim razie sam podejmę decyzję.

Pomaszerował z powrotem do salonu. Aaron odprowadził go takim wzrokiem, jakby zamiast ojca ujrzał zionącego ogniem, okrutnego potwora.

— Tato, skoro już nie rozmawiasz z babcią, to czy mogę cię o coś zapytać? — spytał Caleb.

— Nie, synu. Wciąż rozmawiam z babcią.

— Więc może zaraz potem, dobrze?

— O Boże... O Boże... — powtarzała Caroline.

W salonie Jonah zasiadł na skórzanej kanapie ze stertą ciasteczek i egzemplarzem *Księcia Kaspiana*.

— Mamo...

— Doprawdy nie jestem w stanie tego zrozumieć. Jeśli zadzwoniłam o niewłaściwej porze, to w porządku, powiedz mi o tym i oddzwon później, ale żeby kazać mi czekać dziesięć minut ze słuchawką przy uchu...

— Mamo, już jestem.

— No i co postanowiliście?

Zanim Gary zdołał odpowiedzieć, z kuchni dobiegł przeraźliwy zwierzęcy wrzask, taki sam jakim

Caroline wybuchła podczas stosunków piętnaście lat temu, kiedy jeszcze nie było chłopców, którzy mogliby to usłyszeć.

— Wybacz, mamó. Jeszcze tylko chwilę.

— To nie w porządku. Co za brak uprzejmości!

— Caroline! — zawołał Gary w stronę kuchni. — Czy sądzisz, że moglibyśmy przez parę minut zachowywać się jak dorośli ludzie?

— Aaaa! Uuuu! Auuu! — krzyczała Caroline.

— Jeszcze nikt nigdy nie umarł od bólu krzyża.

— Błagam! — jęczała. — Zadzwoń do niej później! Potknęłam się na ostatnim stopniu, kiedy biegłam do domu! Gary, jak to boli...

Odwrócił się plecami do kuchni.

— Wybacz, mamó.

— Co tam się dzieje, na litość boską?

— Caroline coś sobie zrobiła z plecami podczas gry w piłkę nożną.

— Przykro mi to mówić, ale wszystkie takie dolegliwości nasilają się z wiekiem — odparła Enid.

— Gdybym tylko chciała, mogłabym bez przerwy opowiadać o tym, co mnie boli. Na przykład o moim biodrze. Na szczęście z wiekiem nabiera się też zwykle odporności.

— Aaaaa! — zawyła przeraźliwie Caroline.

— Miejmy nadzieję — mruknął Gary.

— A więc co wreszcie postanowiliście?

— Właściwie jeszcze nic konkretnego, ale pomyśleliśmy sobie, że może przyjechalibyście do nas i...

— Au! Au! Ojej!

— Trochę już późno, żeby planować podróż na Boże Narodzenie. Schumpertowie zarezerwowali sobie bilety na Hawaje już w kwietniu, bo potem często nie można...

Z kuchni nadbiegł pędem Aaron.

— Tato!

— Rozmawiam przez telefon.

— Tato!

— Przecież widzisz, że rozmawiam przez telefon.

— Dave ma sztuczny odbyt, więc...

— Tato, musisz coś zrobić! Mamę naprawdę bardzo boli. Powiedziała, że masz ją zawieźć do szpitala.

— A przy okazji — dorzucił Caleb, wślizgując się do pokoju z katalogiem w rękach — mógłbyś i mnie gdzieś podrzucić.

— Nic z tego.

— Ale ja naprawdę muszę się dostać do tego sklepu!

— Tańsze miejsca szybko się kończą — powiedziała Enid.

— Aaron! — wołała Caroline z kuchni. — Aaron, gdzie jesteś? Gdzie jest twój ojciec? I Caleb?

— Tak tu głośno, że trudno się skoncentrować — odezwał się Jonah znad książki.

— Przepraszam, mamó — powiedział Gary. — Zaraz przejdę w jakieś spokojniejsze miejsce.

— Robi się naprawdę późno...

W głosie Enid bez trudu dało się usłyszeć panikę starej kobiety, dla której każdy mijający dzień, każda godzina, oznaczały coraz więcej wykupionych miejsc na loty pod koniec grudnia, a tym samym coraz mniejsze szanse na to, że Gary i Caroline przywiozą chłopców do St. Jude na ostatnie wspólne święta.

— Co mam jej powiedzieć? — zapytał płaczliwie Aaron, idąc za ojcem na piętro.

— Powiedz, żeby wezwała pogotowie. Przecież ma komórkę. — Gary podniósł głos: — Caroline, zadzwoń po pogotowie!

Dziewięć lat temu, po niefortunnej wyprawie na środkowy zachód, podczas której przeżyli burze śnieżne w Filadelfii i St. Jude, przez cztery godziny siedzieli w unieruchomionym na pasie startowym samolocie z marudzącym pięciolatkiem i przeraźliwie wrzeszczącym dwulatkiem, po której Caleb wymiotował przez dwie noce (zdaniem Caroline była to reakcja na nadmiar tłuszczu w świątecznych potrawach przygotowanych przez Enid), a ona sama upadła na oblodzonym podejździe przed domem teściów (co prawda kontuzji kręgosłupa dorobiła się znacznie wcześniej, podczas gry w hokeja, nie przeszkodziło to jej jednak twierdzić, iż wypadek w St. Jude doprowadził do odnowienia się dolegliwości), Gary obiecał żonie, że już nigdy nie zaproponuje spędzenia Bożego Narodzenia u swoich rodziców. Jednak od tego czasu przez osiem kolejnych lat rodzice przyjeżdżali na święta do nich i chociaż irytowała go obsesja Enid na punkcie Gwiazdki (zdawała się stanowić objaw znacznie poważniejszej choroby, dowód całkowitej pustki panującej w jej życiu), to przecież nie mógł winić rodziców za to, że zapragnęli wreszcie zostać na święta w domu. Poza tym liczył na to, że jeśli Enid zdoła zorganizować „ostatnie Boże Narodzenie” w St. Jude, być może łatwiej zdoła ją przekonać do przeprowadzki na wschód. Osobiście pogodził się już z myślą o podróży, od żony zaś oczekiwał przynajmniej minimum współpracy, czyli chęci uwzględnienia nadzwyczajnych okoliczności.

Schroniwszy się w gabinecie, odgrodził się drzwiami od krzyków, jęków i sztucznego zamieszania, podniósł słuchawkę stacjonarnego aparatu, wyłączył słuchawkę bezprzewodową.

— To okropne — stwierdziła Enid zgaszonym tonem. — Dlaczego po prostu nie oddzwonisz później?

— Jeszcze nie podjęliśmy decyzji co do grudnia, ale oczywiście chętnie zajrzemy do St. Jude, więc tymczasem byłoby chyba dobrze, gdybyście zatrzymali się u nas w drodze powrotnej z rejsu.

Enid oddychała głośno.

— Nie ma mowy, żebyśmy dwa razy lecieli do Filadelfii — oświadczyła — a ja chcę u siebie mieć chłopców na święta, co oznacza, że przyjeżdżacie wszyscy do St. Jude!

— Nie, nie, nie! Mamo, niczego jeszcze nie postanowiliśmy...

— Obiecałam Jonahowi, że...

— Jonah nie kupuje biletów, mamo. W tym domu nie on podejmuje decyzje. Chyba będzie najlepiej, jeśli wy będziecie realizowali swoje plany, a my swoje, i wszystko na pewno jakoś się ułoży.

Zadziwiająco wyraźnie słyszał szmer jej niezadowolonego oddechu, zupełnie jakby rozmawiali stojąc twarzą w twarz, blisko siebie... i nagle zrozumiał.

— Caroline? Caroline, czy to ty?

Oddech ucichł.

— Caroline, czy ty podsłuchujesz? Słuchasz mojej rozmowy?

W słuchawce rozległo się delikatne elektroniczne pstryknięcie.

— Mamo, wybacz, ale...

— Co się dzieje, do licha?

Niewiarygodne! Nieprawdopodobne! Gary rzucił słuchawkę na biurko, otworzył drzwi, pędem minął pokój, w którym Aaron stał przed lustrem z pochyloną głową i podniesionymi brwiami, minął Caleba tulącego do piersi katalog z taką miną, jakby to był najcenniejszy skarb, i wpadł do sypialni, gdzie Caroline leżała w pozycji embrionalnej na perskim dywanie, wciąż w zabłoconym dresie, z oszronionym żelpakiem przyciśniętym do krzyża.

— Podśluchiwałaś?!

Pokręciła słabo głową, przypuszczalnie starając się stworzyć wrażenie, że jest zbyt słaba, by sięgnąć do aparatu na nocnym stoliku.

— Czy to ma znaczyć „nie”? Zaprzeczasz? Twierdzisz, że nie podśluchiwałaś?

— Nie, Gary — wyszeptała.

— Słyszałem oddech. Słyszałem, jak odkładałaś słuchawkę.

— Ja naprawdę...

— Caroline, do tej linii mamy podłączone trzy aparaty. Dwa z nich są teraz w moim gabinecie, a trzeci tutaj, w sypialni. Słyszysz, co do ciebie mówię?

— Nie podśluchiwałam, tylko podniosłam słuchawkę... — Wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby. — Podniosłam słuchawkę, żeby sprawdzić, czy linia jest wolna. To wszystko.

— A potem siedziałaś i słuchałaś! Podśluchiwałaś! Tak jakbyśmy nigdy nie rozmawiali na ten temat!

— Gary... — powiedziała płaczliwym tonem. — Przysięgam, że nie podśluchiwałam. Okropnie mnie boli. Chciałam odłożyć słuchawkę, ale nie mogłam. Położyłam ją na podłodze. Nie słuchałam twojej rozmowy. Proszę, nie bądź dla mnie taki niedobry.

Fakt, że miała piękną twarz i że wykrzywający ją grymas bólu niczym prawie nie różnił się od grymasu rozkoszy... Widok jej ciała w obcisłym dresie skulonego na perskim dywanie... Świadomość, że jednak trochę jej wierzy, a przynajmniej bardzo chce jej uwierzyć... Wszystko to ogromnie go podniecało i równocześnie pogłębiało przekonanie o tym, że został oszukany. Odwrócił się gwałtownie, wybiegł z sypialni, wpadł do gabinetu, zatrzaskał za sobą drzwi.

— Wybacz, mamó. Już jestem.

Odpowiedziała mu cisza. Teraz musiał zadzwonić do St. Jude na swój koszt. Za oknem promienie słońca rozświetlały fioletem ciężkie deszczowe chmury, woda szybko parowała z liści.

Teraz, kiedy to nie ona płaciła za rozmowę, Enid była znacznie pogodniejsza. Zapytała Gary'ego, czy słyszał o firmie noszącej nazwę Axon.

— Mają siedzibę w Schwenksville w Pensylwanii. Chcą odkupić od ojca prawa do jego patentu. Przeczytam ci ten list, bo bardzo się tym niepokoję.

Gary był szefem działu kapitałowego w CenTrust Banku, gdzie zajmował się właściwie wyłącznie sprawami akcyjnymi dużego kalibru i nigdy specjalnie nie zawracał sobie głowy finansowym drobiazgiem. Nazwa Axon z niczym się mu nie kojarzyła. Kiedy jednak słuchał, jak jego matka czyta list od pana Josepha K. Pragera z firmy Bragg Knuter & Speigh, zrozumiał, że przejrzał ich grę. Oczywiście było, iż ów prawnik, który napisał i wysłał list do starego człowieka mieszkającego na środkowym zachodzie, zaoferował Alfredowi najwyżej drobny ułamek tego, co naprawdę wart był jego patent. Gary znał sposób postępowania tych kanciarzy. Zresztą na miejscu Axon postąpiłby tak samo.

— Myślę, że powinniśmy zażądać dziesięciu tysięcy, nie pięciu — powiedziała Enid.

— Kiedy wygasają prawa patentowe? — zapytał Gary.

— Mniej więcej za sześć lat.

— Pewnie będą z tego duże pieniądze, inaczej po prostu użyliby patentu nielegalnie.

— W liście mówią, że to eksperyment i że wyniki są niepewne.

— Właśnie, mamó. Tak właśnie macie myśleć. Ale jeżeli sprawa jest tak ryzykowna, po co w ogóle zwracają sobie głowę kwestiami prawnymi? Mogliby poczekać sześć lat.

— Ach, rozumiem.

— Bardzo, bardzo dobrze, że mi o tym powiedziałaś, mamó. Musisz teraz odpisać do nich i zażądać dwustu tysięcy dolarów za przekazanie praw patentowych, płatne z góry.

Enid zachłysnęła się tak, jak kiedyś, dawno temu, gdy Alfred pojechał pod prąd, żeby wyminąć ciężarówkę.

— Dwieście tysięcy! O rany, Gary...

— Plus jeden procent tantiem z całkowitej sumy, którą zarobią na końcowym produkcie. Powiedz im, że jesteś przygotowana na dociekanie swoich prawnie uzasadnionych roszczeń w sądzie.

— A jeśli odmówią?

— Uwierz mi, ci ludzie nie mają najmniejszej ochoty na procesowanie się. Nic nie straciecie, jeśli będziecie bardziej stanowczy.

— No tak, ale to patent taty, a wiesz, jak on rozumuje.

— Daj mi go do telefonu.

Jego rodzice bali się władzy. Kiedy Gary chciał się utwierdzić w przekonaniu, że jego życie poszło inną drogą niż ich, gdy chciał poczuć, jak bardzo oddalił się od St. Jude, zawsze myślał o swojej odwadze w obliczu autorytetów — wliczając w to swego własnego ojca.

— Tak — odezwał się Alfred.

— Tato — powiedział Gary — myślę, że powinieneś wydoić tych gości. Są w marnej sytuacji, a ty mógłbyś zarobić niezłe pieniądze.

W St. Jude stary człowiek milczał.

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że przyjmiesz ofertę? — powiedział Gary. — To nie wchodzi w rachubę. Tato. Po prostu nie ma takiej możliwości.

— Podjąłem decyzję — odparł Alfred. — Nie twoja sprawa.

— Właśnie, że moja. Mam w tym swój dobrze uzasadniony interes.

— Nie masz, Gary.

— A jednak mam — upierał się.

Jeśli Enid i Alfredowi kiedykolwiek zabrakłoby pieniędzy, to on i Caroline — nie jego niedofinansowana siostra czy nieodpowiedzialny brat — musieliby płacić za opiekę nad nimi. Zachował jednak na tyle kontroli, żeby nie wygadać się z tym przed Alfredem.

— Powiesz mi przynajmniej, co zamierzasz zrobić? — zapytał. — Uczynisz mi tę grzeczność?

— Jeśli chodzi o grzeczność, to przede wszystkim mógłbyś mnie o to nie prosić — odparł Alfred.

— Skoro już jednak zapytałeś, odpowiem. Zamierzam przyjąć ich ofertę i wypłacić połowę sumy Orfic Midland.

Rzeczywistość była prosta: ojciec mówił, syn reagował.

— Słuchaj, tato — Gary mówił spokojnym, głębokim tonem zarezerwowanym na sytuacje, w których był bardzo zły i absolutnie przekonany o swojej słuszności — nie możesz tego zrobić.

— Mogę i zrobię — odparł Alfred.

— Naprawdę, tato, musisz mnie posłuchać. Nie masz absolutnie żadnego prawnego lub osobistego powodu, żeby oddawać pieniądze Orfic Midland.

— Używałem materiałów i sprzętu do budowy trakcji kolejowych — powiedział Alfred. — Ustaliliśmy, że podzielę się moimi zyskami z patentów, a Mark Jamborets skontaktował mnie z prawnikiem zajmującym się patentami. Podejrzewam, że pobrał tylko symboliczną opłatę za usługi.

— To było piętnaście lat temu! Tej firmy już nie ma. Ludzie, z którymi cokolwiek ustalałeś, dawno już nie żyją.

— Nie wszyscy. Mark Jamborets jeszcze nie umarł.

— Tato, to bardzo ładnie z twojej strony i rozumiem twoje uczucia, ale...

— Nie sądzę, żebyś rozumiał.

— Bracia Wrothowie zgrabili tę waszą kolej i wypruli z niej flaki.

— Nie będę o tym dłużej rozmawiał.

— To jest chore! Chore! — powiedział Gary. — Jesteś lojalny w stosunku do korporacji, która wykiwała ciebie i całe St. Jude na wszelkie możliwe sposoby i próbuje cię wyrolować również w tej chwili, z ubezpieczeniem zdrowotnym.

— Masz prawo do swojego zdania, a ja do swojego.

— I twierdzę, że jesteś nieodpowiedzialny. Zachowujesz się jak egoista. Jeśli chcesz jechać na kanapkach z masłem orzechowym i ściubić grosze, to twoja sprawa. Ale to jest nie w porządku w stosunku do mamy i do...

— Nic mnie nie obchodzi, co myśli o tym twoja matka albo ty.

— Jesteś nie w porządku w stosunku do mnie! Kto będzie sponował twoje rachunki, kiedy wpadniesz w tarapaty? Do kogo się zwrócisz?

— Zniosę wszystko, co przeznaczył mi los — powiedział Alfred. — I owszem, w razie potrzeby będę jadł masło orzechowe. Lubię masło orzechowe. To dobre jedzenie.

— Mama też w razie potrzeby będzie jadła masło, tak? Może jeść i psie żarcie, jeśli będzie musiała! Kogo obchodzi, czego ona by chciała?

— Gary, wiem, co powinienem zrobić. Nie oczekuję, że zrozumiesz. Ja nie rozumiem twoich decyzji. Ale wiem, że tak właśnie będzie dobrze. Dlatego skończmy już tę dyskusję.

— Cóż, jeśli koniecznie musisz, to dobrze, odpal Orfic Midlands dwa i pół tysiąca dolarów — powiedział Gary. — Ale ten patent jest wart...

— Gary — zawołała Enid — orkiestra symfoniczna w St. Jude wystawia w grudniu *Dziadka do orzechów!* Wyszło im prawdziwe cudencko we współpracy z baletem regionalnym i bilety rozchodzą się strasznie szybko, powiedz, jak uważasz, powinnam kupić dziewięć wejściówek na Wigilię? Mają popołudniówkę o drugiej, albo moglibyśmy pójść wieczorem, dwudziestego trzeciego, jeśli uważasz, że tak będzie lepiej. Sam zdecyduj.

— Mamo, posłuchaj. Nie pozwól, żeby tata zaakceptował tę ofertę. Niech nic z tym nie robi, dopóki nie zobaczą listu. Chcę, żebyś wysłała mi jutro pocztą jego kopię.

— Dobrze, zrobię to, ale myślę, że teraz najważniejszą sprawą jest ten *Dziadek do orzechów*. Żeby dostać dziewięć miejsc obok siebie, bo naprawdę tak szybko się rozchodzą. Po prostu byś nie uwierzył, Gary.

Kiedy wreszcie Gary odłożył słuchawkę, przycisnął dłonie do oczu i w głowie zobaczył dwie zabarwione sztucznymi kolorami scenki z pola golfowego: Enid ulepszającą swoje kłamstwo (właściwym słowem było „oszustwo”) z rough i Alfreda bagatelizującego fakt, że poziom jego gry

jest poniżej krytyki.

Staruszek stosował dokładnie te same, daremne chwytły czternaście lat temu, po tym jak bracia Wroth wykupili Midland Pacific. Kilka miesięcy przed sześćdziesiątymi piątymi urodzinami Alfreda Fenton Creel, nowy prezes Midpaca, zabrał go na lunch u Morellego w St. Jude. Worthowie usunęli z Midpaca wszystkich dyrektorów za to, że sprzeciwiali się przejściu, ale Alfred, jako główny inżynier, nie był w zarządzie. W chaosie, który zapanował przy zamykaniu biura w St. Jude i przenoszeniu firmy do Little Rock, Worthowie potrzebowali kogoś, kto będzie zawiadywał koleją, dopóki nowa załoga kierowana przez Creela nie pozna się na rzeczy.

Alfred nienawidził Wrothów i kusilo go, żeby odmówić, ale wieczorem, w domu, zabrała się do niego Enid. Powiedziała mu, że same akcje Orfic są warte 70 000 dolarów, że wysokość emerytury Alfreda zostanie ustalona na podstawie jego zarobków z ostatnich trzech, w pełni przepracowanych lat i że miał szansę podwyższyć ich status finansowy po przejściu na emeryturę o pięćdziesiąt procent.

Alfred zdawał się ugiąć pod tymi nieodpartymi argumentami, ale trzy dni później wrócił do domu i oznajmił Enid, że właśnie złożył rezygnację, którą Creel zaakceptował. Brakowało mu wtedy siedmiu tygodni do przepracowania roku z najwyższą w życiu pensją. Odejście w tym momencie nie miało najmniejszego sensu, ale ani wtedy, ani teraz Alfred nie wyjaśnił Enid i w ogóle nikomu, co nim kierowało. Oznajmił po prostu:

— Podjąłem decyzję.

Tego roku w Boże Narodzenie, przy świątecznym stole, zaraz po tym jak Enid położyła na talerzyku małego Aarona kawałeczek orzechowego farszu z gęsi, a Caroline złapała naczynie, pomaszerowała do kuchni i wyrzuciła jedzenie do kosza niczym kupkę gęsiich odchodów, mówiąc: „Fuj, przecież to czysty tłuszcz”, Gary nie wytrzymał i wrzasnął:

— Nie mogłeś poczekać tych siedmiu tygodni?! Nie mogłeś zaczekać, aż skończysz sześćdziesiąt pięć lat?

— Gary, pracowałem ciężko całe moje życie. Moja emerytura jest moją sprawą, nie twoją.

I co takiego zrobił ze swoim życiem ten mężczyzna, który tak pragnął odejścia na emeryturę, że nie mógł poczekać te siedem tygodni? Przesiedział je w swym błękitnym fotelu.

Gary nie wiedział nic o Axon, ale Orfic Midland była takim konglomeratem, którego stan akcji i strukturę zarządzania musiał znać na bieżąco. Tak się składało, że wiedział, iż bracia Wroth odsprzedali pakiet kontrolny akcji, żeby pokryć straty swojej inwestycji w kanadyjskie kopalnie złota. Orfic Midland wstąpiła w szeregi nierozróżnialnych, nijakich megafirm, których główne siedziby pstrzyły amerykańskie przedmieścia; dyrektorzy byli zastępowalni niczym komórki żywego organizmu lub jak litery w grze w „podmienianie”, gdzie słowo KUPA zmieniało się w PUPA i kolejno w PUKA, SUKA i SIKA. Wszystko po to, żeby do czasu, gdy Gary zatwierdził najnowszy hurtowy zakup OrificM do portfolio CenTrustu, nie pozostał żaden wstydlivy ludzki ślad po firmie, która zamknęła zakład zatrudniający trzecią co do wielkości liczbę pracowników w regionie, a przy okazji wyeliminowała usługi kolejowe na większości rolniczych obszarów Kansas. Orfic Midland zupełnie wyskoczyła z biznesu transportowego. Pozostałości po liniach przewozowych Midpaca zostały sprzedane, aby umożliwić skoncentrowanie się na wznoszeniu więzień i zarządzaniu nimi, budowaniu ekskluzywnych kafeterii i usługach finansowych. Tam, gdzie kiedyś zbudowano trakcje kolejowe, biegł teraz nowy, 144-włóknowy światłowód.

I w stosunku do tej firmy Alfred chciał być lojalny?

Im dłużej Gary o tym myślał, tym większy czuł gniew. Siedział sam w swoim gabinecie, niezdolny

powstrzymać rosnącego zdenerwowania, uspokoić wzburzonego oddechu. Nie dostrzegając żółtopomarańczowego zachodu słońca, który rozpościerał się nad tulipanowcami, za drogą dojazdową. Nie widział niczego prócz wchodzących w grę zasad.

Mógłby tak siedzieć, zadręczając się w nieskończoność i zdobywając dowody świadczące przeciwko decyzji ojca, gdyby nie usłyszał szelestu pod drzwiami gabinetu. Zerwał się na równe nogi i gwałtownie otworzył drzwi.

Caleb siedział po turecku na podłodze, przeglądając swój katalog.

— Mogę teraz z tobą porozmawiać? — zapytał.

— Siedziałeś tu i podsłuchiwałeś?

— Nie — odparł Caleb. — Powiedziałaś, że możemy porozmawiać, kiedy skończysz. Mam sprawę. Zastanawiałem się, w którym pokoju mógłbym zainstalować podgląd.

Nawet do góry nogami Gary widział, że ceny za sprzęt figurujący w katalogu Caleba — przedmioty w matowych aluminiowych skrzynkach, kolorowe ekrany LCD — są trzy- i czterocyfrowe.

— To moje nowe hobby — powiedział Caleb. — Chciałbym mieć na podglądzie jakiś pokój. Mama mówi, że mogę kuchnię, jeśli się zgodzisz.

— Chcesz szpiegować ludzi w kuchni w celach hobbystycznych?

— Tak!

Gary potrząsnął głową. Sam miał wiele zainteresowań, gdy jeszcze był chłopcem, i przez długi czas bolało go, że jego synowie takowych nie mają. W końcu Caleb wykoncypował sobie, że jeśli użyje słowa „hobby”, Gary zgodzi się pokryć wydatki, których w innym przypadku by nie zaakceptował. Dlatego konikiem Caleba najpierw stała się fotografia, dopóki Caroline nie kupiła mu aparatu z autofocusem, lustrzanki z o wiele lepszym teleobiektywem niż Gary’ego oraz aparatu cyfrowego. Kolejnym hobby były komputery — do momentu gdy Caroline nie kupiła mu palmtopa i notebooka. Ale teraz Caleb miał prawie dwanaście lat i Gary’emu kończyła się cierpliwość. Zaczął kontrolować zainteresowania syna. Wymógł na Caroline obietnicę, że bez porozumienia z nim nie kupi już Calebowi żadnego sprzętu.

— Szpiegowanie to nie hobby — powiedział.

— Oczywiście, że tak, tato! Mama sama mi to zasugerowała. Powiedziała, że mogę zacząć od kuchni.

Kolejny Znak Ostrzegawczy nadchodzącej depresji pojawił się wraz z myślą: „W kuchni jest barek z alkoholem”.

— Lepiej porozmawiam na ten temat z mamą, dobrze?

— Ale sklep jest otwarty tylko do szóstej — powiedział Caleb.

— Możesz poczekać parę dni. Nie mów mi, że nie.

— Ale już czekałem, całe popołudnie. Powiedziałaś, że ze mną porozmawiasz, a teraz już jest prawie noc.

To, że zapadał zmierzch, dało Gary’emu prawo do drinka. Barek był w kuchni. Postawił krok w tamtym kierunku.

— O jakich dokładnie urządzeniach rozmawiamy?

— Tylko o kamerze i mikrofonie, no i o serwosterowaniu — Caleb wcisnął Gary’emu katalog. — Widzisz, nawet nie chcę nic drogiego. Ta tutaj będzie kosztowała tylko sześć pięćdziesiąt. Mama się zgodziła.

Wiele razy Gary miał złowieszcze przeczucie, że jego rodzina usiłuje zapomnieć o czymś, przy czym obstaje wyłącznie on. Czymś, co zostanie puszczane w niepamięć przy najmniejszym znaku przyzwolenia z jego strony. To wrażenie także było Znakiem Ostrzegawczym.

— Caleb — powiedział — to mi wygląda na coś, czym bardzo szybko się znudzisz. Kosztowne hobby, które zaraz porzucisz.

— Nie! Nie! — zawołał Caleb z rozpaczą. — Jestem superzainteresowany. Tato, to prawdziwe hobby.

— Dostyc szybko nudziłeś się innymi rzeczami, które ci kupiliśmy. Rzeczami, którymi wcześniej też byłeś superzainteresowany.

— Tym razem jest inaczej — błagał Caleb. — Teraz naprawdę jestem szczerze zainteresowany.

Widać było, że chłopak zamierza użyć wszelkich dostępnych mu argumentów słownych, żeby kupić przyzwolenie ojca.

— Czy rozumiesz, o czym mówię? — spytał Gary. — Zauważyłeś pewien schemat? To, że rzeczy wyglądają inaczej, zanim je kupisz, niż gdy już je masz? Twoje nastawienie zmienia się, kiedy dostajesz to, czego pragniesz. Zauważyłeś?

Caleb otworzył usta, ale zanim wydostała się z nich kolejna prośba lub skarga, na jego twarzy pojawił się wyraz przebiegłości.

— Wydaje mi się — powiedział z udaną pokorą — wydaje mi się, że tak.

— Dobrze. Czy nie sądzisz, że to samo stanie się z twoim nowym sprzętem? — zapytał Gary.

Caleb udał, że poważnie się zastanawia nad odpowiedzią.

— Myślę, że tym razem jest inaczej — stwierdził nareszcie.

— No dobrze — odparł Gary. — Chcę jednak, żebyś pamiętał o tej rozmowie. Nie mam ochoty przekonać się, że pozwoliłem ci na kolejną kosztowną zabawkę, którą pocieszysz się przez tydzień lub dwa, a potem zaniedbujesz. Niedługo już będziesz nastolatkiem i chciałbym zobaczyć, że cokolwiek potrafi cię zainteresować na nieco dłużej...

— Gary, to nie w porządku! — powiedziała ostro Caroline. Kuśtykając, minęła drzwi ich sypialni, przyciskając do krzyża kojący okład żelowy.

— Cześć, Caroline. Nie wiedziałem, że słuchałaś tej rozmowy.

— Caleb niczego nie zaniedbuje.

— Oczywiście, że nie — potwierdził Caleb.

— Nie rozumiesz jednej rzeczy — ciągnęła Caroline. — Tego, że wszystko może być wykorzystane w jego nowym hobby. I to właśnie jest genialne. Że znalazł sposób na wykorzystanie całego sprzętu w jednym celu...

— Świetnie, doskonale, bardzo się cieszę.

— Robi coś twórczego, a ty chcesz, żeby czuł się winny.

Pewnego razu, gdy Gary zastanawiał się na głos, czy obdarowywanie Caleba tyloma gadżetami nie ogranicza jego wyobraźni, Caroline niemalże oskarżyła go o rzucanie oszczerstw na własnego syna. Jednym z jej ulubionych poradników dla rodziców była *Wyobraźnia technologiczna: czego rodzice mogą się nauczyć od współczesnych dzieci*. W książce tej doktor Nancy Claymore przeciwstawiała „wyświechtanemu paradymatowi” utalentowanego dziecka jako społecznie zindywidualizowanego geniusza nowy, „wiodący paradygmat” utalentowanego dziecka jako kreatywnie sprzężonego konsumenta. Argumentowała, że elektroniczne zabawki niedługo staną się tak tanie i popularne, iż wyobraźni dziecka nie będzie się już kształtowało poprzez kolorowe rysunki i opowiadanie bajek,

lecz poprzez syntezę i eksploatację dostępnych technologii — ów pomysł wydał się Gary’emu jednocześnie przekonywający i przygnębiający. Gdy on był chłopcem niewiele starszym niż Caleb, jego konikiem było budowanie modeli z wykałaczek.

— Czy to oznacza, że możemy iść do sklepu? — zapytał Caleb.

— Nie, Caleb, nie dzisiaj — odparła niemal natychmiast Caroline. — Jest już prawie szósta.

Caleb tupnął nogą.

— Zawsze tak jest! Czekam i czekam, a potem robi się za późno.

— Wypożyczymy jakiś film — odparła Caroline. — Ty wybierzesz.

— Nie chcę oglądać filmu. Chcę założyć podgląd.

— Nic z tego nie będzie — uciał Gary — więc lepiej się pogódź.

Caleb pobiegł do swojego pokoju i trzasnął drzwiami. Gary poszedł za nim i otworzył je gwałtownie.

— Dostyc tego dobrego — powiedział. — W tym domu nie będzie żadnego trzaskania drzwiami.

— Sam trzaskasz drzwiami.

— Ani słowa więcej!

— Sam trzaskasz drzwiami!

— Chcesz spędzić cały tydzień w swoim pokoju?

W odpowiedzi Caleb przewrócił oczami i wciągnął policzki: ani słowa więcej.

Spojrzenie Gary’ego podryfowało w kierunku zakątków pokoju, w które nigdy nie zaglądał. W bezładnej kupie, niczym łup w skrytce złodzieja, tkwił tam zaniedbany sprzęt fotograficzny, komputerowy i wideo. Całkowita wartość detaliczna tej sterty prawdopodobnie przekraczała wysokość rocznych zarobków sekretarki Gary’ego w CenTrust Banku. Nieprzebrany luksus zgromadzony w jaskini jedenastolatka! Wszystkie neurofaktory, które przez całe popołudnie gromadziły się, powstrzymywane molekularnymi tamami, popłynęły teraz wolno, zalewając szlaki nerwowe w mózgu Gary’ego. Kaskada reakcji zainicjowana przez faktor 6 rozluźniła gruczoły łzowe i wywołała falę mdłości w błędniku: „uczucie”, że przeżywa każdy kolejny dzień dzięki temu, że odwraca uwagę od podświadomych prawd, które rosły co dzień, coraz bardziej stanowcze i widoczne. Prawd, które mówiły mu, że umrze. Że gromadzenie skarbów we własnym grobowcu nic nie da.

Światło dnia za oknem gasło bardzo szybko.

— Naprawdę zamierzasz użyć całego tego sprzętu? — zapytał Gary, czując ucisk w klatce piersiowej.

Caleb, z ustami wydętymi od wciągania policzków, wzruszył tylko ramionami.

— Nikt nie powinien trzaskać drzwiami — powiedział Gary. — Ja też nie. Zrozumiano?

— Jasne, tato. Jak uważasz.

Wychodząc z pokoju Caleba do mrocznego korytarza, niemal zderzył się z Caroline, która próbowała uciec na obciążonych rajstopami palcach w kierunku ich sypialni.

— Znowu? Znowu? Mówiłem, żebyś nie podsłuchiwała, i co robisz?

— Nie podsłuchiwałam. Muszę się położyć — i kuśtykając, ruszyła do pokoju.

— Możesz uciekać, nic ci to nie da — powiedział Gary, idąc za nią. — Chcę się dowiedzieć, dlaczego mnie podsłuchujesz?

— To nie ja cię podsłuchuję, tylko ty masz paranoję.

— Paranoję?

Caroline ciężko opadła na dębowe łożo małżeńskie. Kiedy się pobrali, przez pięć lat, dwa razy w tygodniu poddawała się terapii, którą specjalista określił po ostatniej sesji jako „pełen sukces”. Dzięki niej zyskała na całe życie przewagę nad Garym w wyścigu o zdrowie psychiczne.

— Wydaje ci się, że wszyscy oprócz ciebie mają problem — powiedziała. — Twoja matka myśli tak samo. Bez żadnego...

— Caroline, odpowiedz mi na jedno pytanie. Spójrz mi w oczy i odpowiedz. Dziś po południu, kiedy...

— Boże, Gary, tylko nie to, znowu. Posłuchaj siebie.

— ...kiedy galopowałaś na deszczu, brudząc się i drąc ubranie, próbując dotrzymać kroku jedenasto- i czternastolatki...

— Masz obsesję! Masz obsesję na tym punkcie!

— ...biegając, ślizgając się i skacząc w deszczu...

— Rozmawiasz ze swoimi rodzicami, a potem wyładowujesz na nas swój gniew.

— Czy utykałaś, zanim weszłaś do domu? — Gary potrząsnął palcem tuż przed twarzą Caroline.

— Spójrz mi w oczy, Caroline, patrz mi prosto w oczy. Dalej! Zrób, co mówię! Spójrz mi w oczy i powiedz, że nie utykałaś, zanim znalazłaś się w domu.

Caroline kiwała się z bólu.

— Wisisz na słuchawce, rozmawiając z nimi przez prawie godzinę...

— Nie możesz tego robić! — zapał Gary z uczuciem gorzkiego triumfu. — Okłamujesz mnie i nie chcesz się do tego przyznać!

— Tato! Tato! — dobiegło go wołanie zza drzwi. Gary odwrócił się i zobaczył stojącego za nim Aarona. Kręcił zawzięcie głową, a jego śliczną twarzyczkę wykrzywił grymas rozpacz.

— Przestań na nią krzyczeć! — powiedział chłopiec z płaczem.

Czynnik wyrzutów sumienia (neurofaktor 26) zalał obszary mózgu Gary’ego, specjalnie ukształtowane przez ewolucję do odpowiedzi na ten szczególny sygnał.

— Dobrze już, Aaronie — powiedział.

Chłopiec odwrócił się do drzwi, a potem znowu w kierunku Gary’ego, po czym wmaszerował do sypialni, stawiając wielkie kroki donikąd, jakby starał się wcisnąć wstydlive łyzy z powrotem w głąb ciała, aż do stóp, żeby mógł je wdeptać w podłogę.

— Boże, tato, proszę cię. Nie... krzycz... na... nią.

— W porządku, Aaronie — powtórzył Gary. — Koniec z krzykiem.

Wyciągnął rękę, chciał położyć ją na ramieniu syna, ale Aaron uciekł z powrotem na korytarz. Gary zostawił Caroline i poszedł za nim, czując osamotnienie pogłębione jeszcze tą demonstracją domowych sił sprzymierzonych swojej żony. Jej synowie będą ją chronić przed mężem. Jej mężem, który krzyczał. Tak jak jego ojciec przed nim. Jego ojciec, który teraz miał depresję. Z tą różnicą, że jego ojciec w swoich najlepszych latach krzykacza miał w domu Gary’ego, tak przestraszonego, że nie przyszło mu nawet przez myśl, żeby wstawić się za swoją matką.

Aaron leżał na łóżku, twarzą w dół. Ubrania i rozrzucone po podłodze magazyny sprawiały wrażenie, jakby przez jego pokój przeszło tornado. Tylko dwie rzeczy w tym chaosie były oazami spokoju: trąbka (wraz z tłumikami i podstawą) i obszerna, ułożona alfabetycznie kolekcja płyt CD, zawierająca zestawy dzieł zebranych Dizziego, Satchima, Milesa Davisa, a także niezliczony wybór twórczości Cheta Bakera, Wyntona Marsalisa, Chucka Mangione, Herba Alperta i Ala Hirta. Wszystkie te płyty dał Aaronowi ojciec, chcąc pogłębić jego zainteresowania muzyczne.

Gary przysiadł na brzegu krzesła.

— Przepraszam, jeśli cię zdenerwowałem — powiedział. — Wiesz, że potrafię być starym, złośliwym, pełnym pretensji gnojkiem. Twoja mama za to czasami ma problemy z przyznaniem się do błędu. Szczególnie gdy...

— Bola. Ją. Plecy — dobiegł go głos Aarona, przytłumiony przez kołdrę od Ralpha Laurena. — Ona nie udaje.

— Wiem, że ją boli, Aaronie. Bardzo kocham twoją mamę.

— Więc nie krzycz na nią.

— Dobrze, koniec z krzykiem. Chodź, zrobimy coś na obiad — Gary lekko stuknął ramię Aarona. — Co ty na to?

Aaron nawet się nie ruszył. Dalsze pocieszanie zapewne by pomogło, ale Gary'emu nie przychodziły do głowy odpowiednie słowa. Doświadczał właśnie krytycznego niedoboru neurofaktora 1 i 3. Po chwili spłynęło na niego przekonanie, że Caroline jest bliska oskarżenia go o depresję i przestraszył się, iż jeżeli owa idea nabierze oficjalnej ważności, straci swoje prawa do wyrażania i posiadania własnych opinii. Zostanie pozbawiony moralnych pewników: każde jego słowo stałoby się wówczas oznaką choroby i nigdy już nie wygrałby w żadnej dyskusji.

Dlatego tym bardziej musiał oprzeć się depresji — pokonać ją za pomocą prawdy.

— Posłuchaj — powiedział. — Byłeś tam, na dworze, z mamą. Graliście w piłkę. Powiedz mi, czy mam rację. Czy mama utykała, zanim weszła do domu?

Przez chwilę, w której Aaron podnosił się z łóżka, Gary wierzył, że prawda zwycięży, ale twarz syna była niczym czerwony rodzynek niedowierzania.

— Jesteś okropny! — powiedział. — Okropny! — z tymi słowami uciekł z pokoju.

Normalnie Gary nie pozwoliłby Aaronowi tak się wywinąć z tej sytuacji. Normalnie, jeśli byłoby to konieczne, walczyłby z synem przez cały wieczór, żeby wreszcie wydusić z niego przeprosiny. Ale w tej chwili załamywała się właśnie jego giełda mentalna — glukoza, hormony, synapsy. Czuł się brudny, a szarpanina z Aaronem zbrukałaby go i zeszpeciła jeszcze bardziej. Uczucie brzydoty było chyba najoczywistszym Znakiem Ostrzegawczym.

Zrozumiał, że popełnił dwa podstawowe błędy. Nie powinien był obiecywać Caroline, że nie będą już spędzać świąt Bożego Narodzenia w St.

Jude. Dziś natomiast, kiedy utykała i grymasiła na podwórku za domem, powinien zrobić przynajmniej jedno zdjęcie. Nie mógł odżałować moralnej przewagi, jaką zyskałby, gdyby nie popełnił tych błędów.

— Nie mam depresji klinicznej — powiedział do swojego odbicia w niemal poczerńiałym oknie sypialni. Z ogromnym, nadwężającym ciało wysiłkiem woli wstał z łóżka Aarona i ruszył na dół, aby dowieść sobie, że jest w stanie przeżyć zwyczajny wieczór.

Jonah wspinał się właśnie po nieoświetlonych schodach, z *Księciem Kaspią* pod pachą.

— Skończyłem czytać książkę — oznajmił.

— Podobała ci się?

— Uwielbiam ją — powiedział Jonah. — To fantastyczna pozycja literatury dziecięcej. Aslan stworzył drzwi w powietrzu, przez które przeszli ludzie i zniknęli. Powędrowali do Narnii i z powrotem do świata rzeczywistego.

Gary przykucnął.

— Uściskaj mnie.

Jonah zarzucił mu ramiona na szyję. Gary czuł delikatność jego dziecięcych stawów, szczenięcą miękkość i ciepło promieniujące z włosów i policzków. Z łatwością poderżnąłby sobie gardło, gdyby tylko chłopiec potrzebował krwi, tak intensywna była jego miłość do niego. Mimo to Gary zastanawiał się, czy rzeczywiście potrzebuje odwzajemnienia tych uczuć, czy też próbuje stworzyć swoją własną koalicję. Pozyskać sprzymierzeńca, uczestnika jego drużyny.

„To, czego potrzebuje ta zastała ekonomia, to solidny zastrzyk ginu Bombay Sapphire”, pomyślał Przewodniczący Rady Nadzorczej systemu bankowego Federal Reserve.

W kuchni przy stole przysiedli Caroline i Caleb. Popijali colę i chrupali chipsy ziemniaczane. Caroline ułożyła nogi na sąsiednim krześle, a pod kolana włożyła poduszki.

— Co zjemy na kolację? — zapytał Gary.

Jego żona i średni syn wymienili spojrzenia, jakby zadał jedno z tych swoich słynnych idiotycznych pytań. Po ilości okruszków chipsowych widział, że oboje są na najlepszej drodze, żeby zepsuć sobie apetyty.

— Pewnie mięso z rusztu — zasugerowała Caroline.

— O tak, tato! Zrób grilla! — powiedział Caleb. Nie można się było domyślić po jego tonie, czy mówił to z entuzjazmem czy z ironią.

Gary zapytał, czy jest jakieś mięso. Caroline wepchnęła garść chipsów do buzi i wzruszyła ramionami. Jonah zapytał, czy może rozpalić na ruszcie, i Gary, sięgając po lód z zamrażarki, pozwolił mu.

Zwyczajny wieczór. Zwyczajny wieczór.

— Jeżeli umieszczę kamerę nad stołem — powiedział Caleb — będę mógł także obserwować część jadalni.

— Ale stracisz widok całej kuchni — odparła Caroline. — Jeśli założysz ją nad tylnym wejściem, będziesz mógł obserwować oba pomieszczenia.

Gary zasłonił się drzwiczkami do barku i wlał sobie dobre pół szklanki ginu.

— Zet em osiemdziesiąt pięć? — odczytał Caleb z katalogu.

— To znaczy, że kamera może spojrzeć niemal pionowo w dół.

Wciąż schowany za tarczą drzwiczek barku, Gary pociągnął wielki, rozgrzewający łyk. Potem zamknął szafkę, trzymając szklankę na widoku, na wypadek gdyby ktokolwiek chciał się zainteresować, jak skromnego przyrządził sobie drinka.

— Przykro mi, że przerywam — powiedział — ale nie ma mowy o podglądzie. To nie jest odpowiednie hobby.

— Tato, powiedziałeś, że się zgadzasz, jeśli tylko jestem rzeczywiście zainteresowany.

— Powiedziałem, że się nad tym zastanowię.

Caleb gwałtownie potrząsnął głową.

— Nieprawda! Wcale tak nie powiedziałeś! Powiedziałeś, że mogę założyć kamerę, jeśli się tym za szybko nie znudzę.

— Dokładnie tak to ująłeś — potwierdziła Caroline z nieprzyjemnym uśmiechem.

— Oczywiście, Caroline, zapewne doskonale słyszałaś każde moje słowo. Niemniej jednak nikt nie będzie inwigilował tej kuchni. Caleb, nie pozwalam ci na zakup tego sprzętu.

— Tato!

— Podjąłem decyzję. Bez dyskusji.

— To nie ma znaczenia, Caleb — wtrąciła się Caroline. — Gary, nieważne, co zdecydowałeś, bo

Caleb ma własne pieniądze. Może je wydać, na co tylko zechce. Prawda, Caleb?

Pod stołem, poza zasięgiem wzroku Gary'ego, dała chłopcu jakiś znak ręką.

— Prawda, mam swoje oszczędności! — ton Caleba znów ociekał ironią albo entuzjazmem, a może jednym i drugim.

— Porozmawiamy o tej sytuacji później, we dwoje, Caro — powiedział Gary.

Ciepło, niepoczytalność i ogłupienie narodzone w szklance ginu spływały teraz zza jego uszu na ramiona i tułów.

Jonah wrócił z podwórka, pachnąc mimozą. Caroline otworzyła drugą paczkę chipsów.

— Nie najedzcie się zbyt, kochani — rzekł Gary z wymuszonym spokojem, wyciągając jedzenie z plastikowych pojemników.

I znowu ta wymiana spojrzeń między matką a synem.

— Jasne, musimy zostawić miejsce na grilla — powiedział Caleb.

Gary energicznie pokroił mięso i nadział warzywa na specjalne szpilki. Jonah nakrył do stołu, precyzyjnie rozkładając talerze i sztućce. Tak jak lubił. Deszcz przestał już padać, ale gdy Gary wyszedł na zewnątrz, podłoga werandy była jeszcze mokra.

Wszystko zaczęło się jak rodzinny żart: tata zawsze zamawiał mięso z rusztu w restauracjach. Chciał chodzić tylko do tych restauracji, które serwowały mięso z rusztu. Dla Gary'ego w tych kawałkach jagnięciny, wieprzowiny, cielęciny i jednej czy dwóch chudziuteńkich, delikatnych, nowocześnie przyrządzonych kiełbasek — czyli po prostu w mięsie z rusztu — było coś nieskończenie smakowitego, coś nieodparcie luksusowego. Grillowane mięso zdawało mu się takim smakołykiem, że zaczął sam je przyrządzać w swoim domu. Mięso z rusztu stało się podstawą diety rodzinnej, na równi z pizzą, chińskimi daniami na wynos i makaronem z sosami ze słoików. Caroline rozkręcała sprawę, przynosząc w każdą sobotę wilgotne od krwi siatki wypełnione świeżym mięsem. Wkrótce Gary zaczął przyrządzać grilla dwa, a nawet trzy razy w tygodniu i tylko najobrzydliwsza z obrzydliwych pogoda mogła go przegonić z werandy. Gary kochał grilla. Na ruszt szły piersi kuropatw, kurze wątróbki, filety mignon, meksykańskie kiełbaski z indyka. Cukinie i czerwona papryka. Oberżyny, żółta papryka, kotlety jagnięce, kiełbaski włoskie. Gary wymyślił wspaniały zestaw kiełbaskowo-żeberkowo-chiński. Kochał to, kochał, kochał — i nagle przestał.

Na termin ANHEDONIA natrafił w książce z nocnego stolika Caroline, zatytułowanej *Czuję się ŚWIETNIE!* (autorką była Ashley Tralpis, doktor medycyny i nauk filozoficznych). Przeczytał w encyklopedii definicję tego pojęcia, czując dreszcz rozpoznania, coś w rodzaju złośliwego „O, tak! O, tak!”.

Stan nierównowagi psychicznej charakteryzowany przez niezdolność doświadczenia przyjemności płynącej z czynności normalnie uznawanych za przyjemne.

ANHEDONIA była czymś więcej niż Znakiem Ostrzegawczym, była zdecydowanie symptomem. Murszem pokrywającym przyjemność, grzybem rozkładającym zachwyty nad luksusem, radość chwil wolnych od pracy, które przez tyle lat wspomagały odporność Gary'ego na „prostaczkowe” podejście do życia jego rodziców.

Zeszłego marca, w St. Jude, Enid zauważyła na głos, że jak na wiceprezesa banku, żonatego z kobietą, która pracowała tylko na pół etatu i to w dodatku *pro bono*, w Fundacji Ochrony Praw Dzieci, Gary bardzo dużo gotuje. Zamknął wtedy matce usta z łatwością: sama wyszła za faceta, który nie potrafił nawet ugotować jajka, więc pewnie powiedziała to z zazdrości. Ale w dniu urodzin,

kiedy Gary wrócił z Jonahem z St. Jude, otrzymał w prezencie kosztowną niespodziankę w postaci laboratorium fotograficznego do wywoływania kolorowych filmów. Po tym jak zmusił się, żeby wydukać: „Ciemnia, fantastycznie, cudownie, uwielbiam to, uwielbiam”, i Caroline wręczyła mu półmisek surowych krewetek i grubo przycięte steki z miecznika, żeby przyrządził je na ruszcie, Gary pomyślał, że jego matka chyba ma rację. Gdy tak stał na werandzie, zwęglając krewetki i przypalając rybę, ogarnęło go straszliwe zmęczenie. Wszystkie aspekty życia niezwiązane z grillowaniem wydały mu się naraz bladymi mgnieniami uboczności, pojawiającymi się pomiędzy wiecznie powtarzającymi się chwilami, w których rozpalał jądłoszyn na ruszcie i spacerował po werandzie, próbując uciec przed dymem. Gdy zamykał oczy, widział powykręcane ochłapy brązowiejące na chromowanej kratce i rozżarzonych, piekielnych węglach. Wieczne skwierczenie, skwierczenie potępionych. Palące męczarnie kompulsywnego powtarzania. Na wewnętrznych ściankach grilla zgromadził się gruby pokład fenolowego, czarnego tłuszczu. Przestrzeń za garażem, gdzie wyrzucał popiół, zmieniła się w krajobraz księżycowy albo ogródek cementowego kwiecica. Nagle poczuł, że ma bardzo, bardzo, bardzo dosyć mięsa z rusztu. Następnego poranka powiedział Caroline:

— Za dużo gotuję.

— Więc gotuj mniej — odparła. — Będziemy jadać w restauracji.

— Chcę jeść w domu, a jednocześnie mniej gotować.

— Więc zamów coś — powiedziała.

— To nie to samo.

— Tylko ty się upierasz przy kolacjach przy stole. Chłopców nic to nie obchodzi.

— Ale mnie obchodzi. To dla mnie ważne.

— W porządku, Gary, tylko że ani dla mnie, ani dla chłopców to nie ma znaczenia. I co, w tej sytuacji mamy gotować dla ciebie?

Nie mógł całkowicie winić Caroline. Dawniej, kiedy pracowała na pełny etat, nigdy nie narzekał z powodu odgrzewanych, gotowych obiadów z mrozonek czy chińskiego żarcia na wynos. Caroline pewnie myślała, że próbuje wymusić zmianę zasad. Ale Gary’emu wydawało się, że to istota ich rodziny ulega przeobrażeniu — że bycie razem, synostwo i braterstwo nie miały już tej samej wartości, co w czasach, gdy on był dzieckiem.

A teraz, proszę bardzo, znowu przy grillu. Przez okno kuchenne widział, jak Caroline mocuje się z Jonahem. Potem założyła sobie słuchawki Aarona, żeby posłuchać muzyki. Gary obserwował, jak kiwa głową do rytmu. Zdecydowanie wyglądało to jak scenka z życia rodzinnego. Czy rzeczywiście coś było tutaj nie w porządku oprócz depresji klinicznej u zaglądnącego przez szybę mężczyzny?

Caroline chyba zapomniała o bólu pleców, ale przypomniała sobie natychmiast, gdy tylko Gary wkroczył do kuchni z dymiącym półmiskiem pełnym zwulkanizowanego białka zwierzęcego. Usiadła bokiem przy stole i zaczęła dziabać swoją porcję widelcem, pojękując cicho. Caleb i Aaron obserwowali ją ze śmiertelną powagą.

— Czy nikogo nie interesuje, jak skończył się *Książę Kaspian*? — zapytał Jonah. — Zupełnie nie chcecie wiedzieć?

Powieki Caroline trzepotały, żałośnie rozchylone usta wpuszczały i wypuszczały powietrze. Gary usiłował powiedzieć coś nieprzygnębiającego, coś w miarę mało wrogiego, ale był zdecydowanie zbyt pijany.

— Jezu, Caroline — wyrzucił z siebie. — Wszyscy wiemy, że bolą cię plecy i że czujesz się źle, ale jeśli nie możesz nawet usiąść prosto przy stole...

Caroline bez słowa wstała z krzesła, pokuśtykała w kierunku zlewu z talerzem w dłoni, wyrzuciła

jego zawartość do miksera na odpadki i poczłapała na górę. Caleb i Aaron podziękowali za kolację, wyrzucili swoje porcje i pobiegli za mamą. W ten sposób poszła do śmieci kupa mięsa warta ze trzydzieści dolarów. Usiłując utrzymać u siebie jako taki poziom neurofaktora 3, Gary'emu w zasadzie udało się zapomnieć o zwierzętach, które oddały życie, aby nastąpił ten moment. Siedział w ołowianym zmierzchu upojenia alkoholowego, jadł bez smaku i słuchał nieczulej, pogodnej paplaniny Jonaha.

— Wyszedł ci naprawdę doskonały stek, tato. Bardzo bym chciał jeszcze jedną porcję tej grillowanej cukinii.

Z bawialni na piętrze dobiegło go doskonale naśladowane szczekanie. Przez chwilę Gary'emu było żal Aarona i Caleba. Posiadanie matki, która tak bardzo potrzebuje swoich dzieci do szczęścia, było ciężarem. Gary wiedział coś o tym. Rozumiał też, że Caroline czuła się bardziej samotna na tym świecie niż on. Jej ojciec był przystojnym, charyzmatycznym antropologiem, który zginął w katastrofie lotniczej na Mali, gdy Caroline miała jedenaście lat. Dziadkowie ze strony ojca, starzy kwakrowie, posługujący się językiem niemal archaicznym, pozostawili jej w spadku połowę swojej posiadłości, w tym dzieła powszechnie szanowanego Andrew Wyetha, trzy akwarele Winsłowa Homera i czterdzieści akrów lasu w pobliżu Kennet Square, za które inwestor budowlany zapłacił niesamowitą sumę pieniędzy. Matka Caroline, obecnie siedemdziesięciosześcioletnia kobieta o żelaznym zdrowiu, mieszkała ze swoim drugim mężem w Laguna Beach i była głównym sponsorem Kalifornijskiej Partii Demokratycznej. Odwiedziła ich zeszłego kwietnia i przechwalała się tym, że nie jest „jedną z tych staruszek” mających obsesję na punkcie swoich wnuków. Jedyne brat Caroline, Philip, był protekcyjnym, rozpieszczonym kawalerem, z zawodu fizykiem ciał stałych, poza którym matka świata nie widziała. Gary nigdy nie spotkał podobnej rodziny w St. Jude. Od samego początku kochał Caroline i litował się nad nią z powodu przykrości i zaniedbań, których doświadczała w dzieciństwie. Postanowił stworzyć dla niej lepszą rodzinę.

Ale po kolacji, gdy razem z Jonahem zapełniali zmywarkę do naczyń, Gary usłyszał dochodzący z góry kobiecy śmiech. Całkiem głośny śmiech. Doszedł wtedy do wniosku, że Caroline wyrządza mu wielką krzywdę. Kusilo go, żeby pójść na górę i przerwać tę ich zabawę. W miarę jednak jak oszołomienie wywołane ginem wietrzało z jego głowy, coraz wyraźniej słyszał brzęczenie strachu obudzonego wcześniej.

Zaczął się zastanawiać, dlaczego niewielka firma rozkręcająca wysoce eksperymentalny proces produkcyjny w ogóle zdecydowała się zaoferować pieniądze ojcu.

To, że list do Alfreda został sprokurowany przez pracownika firmy Bragg Knuter & Speigh, firmy, która często współpracowała z inwestorami bankowymi, oznaczało, iż sprawa była pilna. Wszystkie kropki nad „i” oraz kreski w literach „t” zwiastowały nadejście czegoś wielkiego.

— Chcesz pobyć trochę ze swoimi braćmi? — zapytał Jonaha. — Zdaje się, że nieźle się tam bawią na górze.

— Nie, dziękuję — odparł Jonah. — Poczytam następną książkę o Narnii i pomyślałem, że zrobię to w piwnicy, bo tam jest cicho. Pójdiesz ze mną?

Stara bawialnia w piwnicy, wolna od wilgoci, wyłożona sosnową boazerią i wykładziną, sprawiała wrażenie przyjemnego miejsca, ale była skażona nekrozą gratów, która prędzej czy później zabija każdą przestrzeń mieszkalną. Walały się tam pudła po sprzęcie, geometryczne bryły styropianowych opakowań, staromodne narty i sprzęt plażowy. Stare zabawki Aarona i Caleba zasiedlały pięć ogromnych koszy i cały tuzin mniejszych. Nikt poza Jonahem ich nie dotykał, a i on — sam lub w towarzystwie kolegi — w obliczu takiego potoku śmieci podchodził do nich z dość

archeologicznym nastawieniem. Potrafił poświęcić popołudnie na wypakowanie połowy wielkiego kosza, cierpliwie segregując plastikowe miniaturki bohaterów komiksowych wraz z ich oprzyrządowaniem, samochodziki i modele budynków, układając je według rozmiarów i producenta (to, co nie pasowało do niczego, Jonah wrzucał za kanapę). Rzadko kiedy udawało się mu dotrzeć do dna któregoś z koszy, zanim kończył się czas przeznaczony na zabawę albo nim na stole pojawiała się kolacja. Wtedy zaś wrzucał z powrotem wszystkie swoje znaleziska i zabawki, których obfitość powinna stać się dla siedmiolatka prywatnym rajem, pozostawiały właściwie niewykorzystane. Jeszcze jedna okazja do praktykowania ANHEDONII, którą Gary ignorował, ile się dało.

Gdy Jonah mościł sobie miejsce do czytania, Gary odpalił stary laptop Caleba i podłączył się do sieci. W wyszukiwarce wpisał słowa „axon” i „schwenksville”. Jeden z dwóch wyników wyszukiwania prowadził do strony internetowej Axon Corporation, ale gdy Gary próbował się tam dostać, okazało się, że witryna jest **W TRAKCIE PRZEBUDOWY**. Drugi link zaprowadził go na głęboko zagnieżdżoną stronę Westportfolio Biofunds.

Ich lista „prywatnych korporacji wartych uwagi” była cybernetycznym zaściankiem pełnym ponurych grafik i błędów w pisowni. Stronę dotyczącą Axon odświeżano rok temu.

Axon Corporation, 24 East Industrial Serpentine, Schwenksville, Pensylwania. Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością, zarejestrowana w stanie Delaware. Posiada wyłączne prawa na cały świat do technologii o nazwie Proces ukierunkowanej neurochemotaksji Eberlego. Technologia procesu Eberlego jest chroniona amerykańskimi patentami numer 5 101 239, 5 101 599, 5 103 629 oraz 5 105 996. Axon Corporation jest jedynym i wyłącznym posiadaczem licencji na te patenty. Firma Axon jest zaangażowana w udoskonalanie, marketing i sprzedaż Procesu Eberlego szpitalom i klinikom na całym świecie, a także w badania mające na celu rozwój pokrewnych technologii. Założycielem spółki i jej prezesem jest dr Earl H. Eberle, wcześniej wybitny wykładowca neurobiologii stosowanej w Johns Hopkins School of Medicine.

Proces ukierunkowanej neurochemotaksji Eberlego, znany również jako Chemioterapia zwrotno-tomograficzna Eberlego hav4, zrewolucjonizował leczenie nieoperacyjnych nerwiaków płodowych i szeregu innych morfologicznych wad mózgu.

W procesie Eberlego kontrolowane komputerowo promieniowanie radiowe kieruje silne czynniki niszczące raka, mutageny i niespecyficzne toksyny do chorych tkanek mózgowych i aktywowania ich lokalnie, bez uszkodzenia sąsiadującej, zdrowej tkanki.

W obecnej chwili, ze względu na ograniczenia mocy przerobowej komputerów, proces Eberlego wymaga uprzedniego uspienia i unieruchomienia pacjenta w cylindrze Eberlego nawet przez trzydzieści sześć godzin. W tym czasie precyzyjnie kontrolowane pola magnetyczne kierują aktywne terapeutycznie związki i ich obojętne nośniki w miejsce dotknięte chorobą. Kolejna generacja cylindrów Eberlego pozwoli zredukować czas zabiegu do niecałych dwóch godzin.

W październiku 1996 roku Proces Eberlego, jako terapia bezpieczna i skuteczna, otrzymał zgodę FDA na wdrożenie. Od tego czasu technologia hav4 jest stosowana w klinikach na całym świecie, co wraz z licznymi publikacjami wymienionymi poniżej potwierdza efektywność i bezpieczeństwo użycia tej metody.

Nadzieje Gary’ego na wyduszenie z Axon Corporation dużego szmalu spełzły na niczym w obliczu tak beznadziejnej reklamy. Czując elektroniczne zmęczenie i walcząc z elektroniczną migreną, wprowadził do przeglądarki nazwisko „Earl Eberle”. Na ekranie wyskoczyło kilkaset odniesień, zatytułowanych w stylu „Nowa nadzieja w leczeniu neuroblastomy”, „Ogromny postęp” i „To naprawdę może być cudowny lek”. Eberle i jego współpracownicy pojawiali się w profesjonalnych czasopismach jako autorzy prac pt. *Zdalnie sterowana, komputerowa stymulacja obszarów receptorowych 14, 16A i 21: praktyczna demonstracja, Cztery niskotoksyczne kompleksy octanu żelaza, przechodzące barierę krew-mózg, Stymulacja falami radiowymi mikrotubuli koloidalnych in vitro* i tuzina innych artykułów. Wzmianka, która zainteresowała Gary’ego najbardziej, pojawiła się pół roku temu w magazynie „Forbes ASAP”:

Niektóre z tych dokonań, jak na przykład cewnik Fogarty’ego czy chirurgia refrakcyjna LASIK, to prawdziwe dojne krowy dla firm wykupujących licencję na ich zastosowanie. Na innych — o bardziej ezoterycznych nazwach, np. Proces ukierunkowanej neurochemotaksji Eberlego — wynalazcy wzbogacają się w raczej tradycyjny sposób: pieniądze przypadają odkrywcę. Proces Eberlego, który nie otrzymał oficjalnego zatwierdzenia aż do 1996 roku, dzisiaj zaś jest już złotym standardem w leczeniu rozległej klasy

nowotworów i defektów mózgu, według ostatnich szacowań przynosi jego odkrywcy, neurobiologowi z uniwersytetu Johns Hopkins Earlowi H. („Kędziorowi”) Eberlemu aż czterdzieści milionów dolarów rocznie. Pieniądze pochodzą z opłat licencyjnych i innych na całym świecie.

„Czterdzieści milionów dolarów rocznie” brzmiało zdecydowanie dobrze. Czterdzieści milionów dolarów rocznie obudziło w Garym nadzieję i jednocześnie znowu go wkurzyło. Earl Eberle zarabiał czterdzieści milionów dolarów rocznie, podczas gdy Albert Lambert, również wynalazca, lecz przy okazji (spójrzmy prawdzie w oczy) człowiek przegrany z powodu temperamentu — jeden z największych mięczaków tego świata — miał dostać za swój trud jedynie pięć tysięcy. I jeszcze planował podzielić się tym drobiazgiem z Orfic Midland!

— Uwielbiam tę książkę — zakomunikował Jonah. — Ta chyba będzie moim numerem jeden.

Skąd zatem, zastanawiał się Gary, skąd ten pośpiech w dorwaniu patentu taty, co, Kędziorku? Po co te naciski? Intuicja finansisty, ciepłe łaskotanie w łądźwiach mówiło mu, że być może, koniec końców, wpadła mu w ręce jakaś cenna informacja. Informacja ujawniona przez przypadkowe (a zatem całkowicie legalne) źródło. Soczysty kęs czyjegoś steku.

— To tak, jakby byli na luksusowym rejsie — mówił Jonah. — Tylko że w tym przypadku próbują dopłynąć na koniec świata, wiesz? Bo tam mieszka Aslan. Na końcu świata.

W bazie danych EDGAR Gary odnalazł wstępny prospekt emisyjny sprokurowany przed ogłoszeniem publicznej oferty sprzedaży akcji Axonu. Wycenę spółki wyznaczono na 15 grudnia, czyli za ponad trzy miesiące. Głównym gwarantem firmy był jeden z elitarnych banków inwestycyjnych, Hevy & Hodapp. Gary sprawdził co ważniejsze cechy przedsiębiorstwa — przepływ gotówki, emisję, wartość kapitału obrotowego — i z ciągłym uczuciem łaskotania w łądźwiach kliknął w guzik „pobierz później”.

— Jonah, już dziewięta — powiedział. — Biegnij na górę i weź kąpiel.

— Bardzo chciałbym popłynąć w jakiś ekskluzywny rejs, tato — rzucił Jonah, wspinając się po schodach. — Jeżeli dałoby się to zaaranżować.

W nowym oknie wyszukiwarki, palcami trzęsącymi się jak w chorobie Parkinsona, Gary wstukał słowa „piękne”, „nagie” i „blond”.

— Proszę, zamknij za sobą drzwi, Jonah.

Na ekranie pojawił się obrazek przedstawiający śliczną nagą blondynkę. Gary najechał na nią myszką i kliknął. Teraz na monitorze pojawił się opalony nagi mężczyzna, fotografowany głównie od tyłu, ale także ze zbliżeniami od kolan do pępka. Z całą swoją nabrzmiałą pasją oddawał się nagej blondynce. W linii montażowej tych zdjęć było coś szczególnego. Naga blond piękność była niczym świeże, surowe tworzywo, które ów opalony golec z niezwykłą ochotą poddawał obróbce za pomocą swego narzędzia. Najpierw z surowca zostało usunięte kolorowe, zewnętrzne opakowanie. Następnie nagie tworzywo zostało sprowadzone do pozycji klęczącej, po czym wprawny rzemieślnik wprowadził mu swój przyrząd do ust. Potem tworzywo zostało ułożone na plecach i poddane oralnej kalibracji. W kolejnej odsłonie rzemieślnik układał powolny surowiec w kilkunastu przeróżnych pozycjach pionowych i poziomych, wyginając go i wykręcając w miarę potrzeby, a następnie poddawał energicznej obróbce swym narzędziem...

Zdjęcia sprawiały, że Gary wiądł, zamiast twardnieć. Zastanawiał się, czy osiągnął już wiek, w którym pieniądze podniecają go bardziej niż ponętna naga blondynka uprawiająca seks, czy to może ANHEDONIA, samotna depresja ojca zamkniętego w piwnicy, dotarła nawet w te sfery.

Na górze rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi. Dziecięce stopy zabębniły na schodach, zbiegając w odpowiedzi na wezwanie.

Gary naprędcie oczyścił ekran komputera i wszedł na górę w samą porę, aby napotkać Caleba, który wspinał się na piętro z właśnie odebranim wielkim kartonem pizzy. Gary odprowadził go na górę i stał przez chwilę przed bawialnią, wdychając zapach pepperoni i słuchając, jak jego żona i synowie przeżuwają pizzę. W telewizji jakiś pojazd wojskowy — czołg, a może ciężarówka — ryczał przy akompaniamencie typowej muzyki z filmu wojennego.

— Podnoszimi ciśnienie, poruczniku. Będzie pan mówił teras? A teras?

W książce zatytułowanej *Rodzicielstwo nieinwazyjne: umiejętność nowego tysiąclecia* doktor Harriet L. Schachtman ostrzegała: „Nazbyt często dzisiejsi zatroskani rodzice próbują rzekomo chronić swoje pociechy przed tak zwanym destrukcyjnym wpływem telewizji i gier komputerowych tylko po to, aby narazić je na znacznie dotkliwsze szkody spowodowane społecznym ostracyzmem ze strony ich rówieśników”.

Gary’emu, który jako chłopiec mógł oglądać telewizję tylko przez pół godziny dziennie i nie czuł się bojkotowany przez kolegów, teoria Schachtman wydawała się przyzwoleniem dla najbardziej tolerancyjnych rodziców na ustalenie i narzucenie pewnych wzorców społecznych. Potem zaś, żeby się dostosować, inni rodzice będą zmuszeni drastycznie obniżyć swoje standardy. Caroline jednak popierała teorię pani doktor całym sercem. Ponieważ zaś była jedynym powiernikiem jego ambicji, aby nie stał się kopia swojego własnego ojca, a poza tym wierzyła, że dzieci uczą się znacznie więcej z interakcji między rówieśnikami niż z instrukcji rodziców, Gary przychylił się do jej opinii i pozwalał chłopcom oglądać telewizję w sposób nieograniczony.

Nie przewidział tylko tego, że sam zostanie poddany ostracyzmowi.

Schronił się w swoim gabinecie i znów zadzwonił do St. Jude. Bezprzewodowa słuchawka wciąż leżała na biurku — pamiątka wcześniejszych nieprzyjemności i zwiastun czekających go bitew. Gary miał nadzieję, że połączy się z Enid, ale telefon odebrał Alfred i oznajmił, że matka poszła w odwiedziny do Rootów.

— Mieliśmy dziś wieczorem zebranie mieszkańców naszej ulicy — oznajmił.

Gary przez chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić później, ale nie miał ochoty dać się zastraszyć własnemu ojcu.

— Tato — powiedział — przeprowadziłem małe śledztwo na temat Axona. To naprawdę dziana firma.

— Gary, powiedziałem chyba, że nie życzę sobie, abyś wtykał nos w te sprawy — odparł Alfred.

— Poza tym to już przesądzone.

— Co znaczy „przesądzone”?

— To znaczy przesądzone. Załatwione. Dokumenty zostały poświadczone notarialnie. Jeszcze tylko muszę zapłacić mojemu prawnikowi i będę miał tę sprawę z głowy.

Gary przycisnął dwa palce do czoła.

— Boże, tato, byłeś z tym u notariusza? W niedzielę?

— Przekażę mamie, że dzwoniłeś.

— Nie wysyłaj tych dokumentów. Słyszysz mnie?

— Gary, mam już tego dosyć.

— No to masz pecha, bo ja dopiero zamierzam zacząć!

— Prosiłem, żebyś nie dyskutował ze mną na ten temat. Jeśli nie zaczniesz się zachowywać jak przyzwoity, cywilizowany człowiek, nie dasz mi wyboru i...

— Twoja przyzwoitość to jedno wielkie sranie w banię! Ta twoja cywilizacja też. To zwyczajna

słabość! Strach! Po prostu pierniczenie w bambus!

— Nie mam ochoty o tym dyskutować.

— Dobrze, w porządku. Zapomnij o tym.

— Taki właśnie mam zamiar. Nie będziemy więcej na ten temat rozmawiać. Twoja matka i ja wpadniemy do was z dwudniową wizytą w przyszłym miesiącu. Liczymy też, że pojawicie się u nas w grudniu. Życzyłbym sobie, żebyśmy wszyscy zachowywali się jak cywilizowani ludzie.

— Nieważne, co kryje się pod powierzchnią, grunt, żebyśmy wszyscy zachowywali się jak cywilizowani ludzie.

— Tak. To właśnie jest istotą mojej filozofii życiowej.

— Przykro mi, ale nie mojej — wyrzucił z siebie Gary.

— Zdaję sobie z tego sprawę. Dlatego nie spędzimy razem więcej niż czterdzieści osiem godzin.

Gary odłożył słuchawkę wkurzony bardziej niż kiedykolwiek. Miał nadzieję, że rodzice przyjadą do nich w październiku na cały tydzień. Chciał, żeby spróbowali ciasta w Lancaster County, zobaczyli produkcję w Centrum Annenberga, pojechali do Ponocos, nazbierali jabłek w West Chester, usłyszeli, jak Aaron gra na trąbce, zobaczyli, jak Caleb gra w piłkę nożną, radowali się z towarzystwa Jonaha i w ogóle zrozumieli, jak fantastyczne życie, warte ich podziwu i szacunku, ma Gary. Czterdzieści osiem godzin to za mało.

Wyszedł z gabinetu i ucałował Jonaha na dobranoc. Potem wziął prysznic, położył się na wielkim dębowym łożu i spróbował zainteresować się najnowszym wydawnictwem, „Inc.”, ale w myślach wciąż sprzeczał się z Alfredem.

Kiedy ostatni raz odwiedził rodziców, w marcu, przeraziło go, jak bardzo ojciec zmarniał od Bożego Narodzenia. Alfred wydawał się wiecznie balansować na granicy upadku, gdy chwiejnym krokiem przemierzał korytarz albo niemal zsuwał się po schodach, gdy łapczywie pochłaniał kanapkę, z której spadały kawałki wołowiny i sałaty. Co chwila sprawdzał godzinę, a wzrok ojca odpływał gdzieś w dal, jeżeli rozmowa akurat nie dotyczyła jego samego — stary, żelazny koń galopował ku przepaści. Gary nie mógł na to patrzeć, bo w końcu kto, jeśli nie on, Gary, będzie musiał się nimi zaopiekować? Enid była moralizującą histeryczką, Denise bujała w obłokach, a Chip nie zajął do St. Jude od trzech lat. Kto inny niż Gary miał powiedzieć: „Ten pociąg powinien jechać w zupełnie innym kierunku”?

Na samym początku listy priorytetów Gary’ego znajdowała się sprzedaż domu. Wypchnąć go po jak najwyższej cenie, przeprowadzić rodziców do nowszego, bezpieczniejszego, mniejszego i tańszego mieszkania, a pozostałą sumę agresywnie zainwestować. Dom stanowił jedyny duży kapitał rodziców i Gary poświęcił jeden z poranków, żeby dokładnie obejrzeć posesję od środka i z zewnątrz. Znalazł rysy w zaprawie murarskiej, rdzawe zacieki w zlewach łazienkowych i wypaczenia na suficie w sypialni małżeńskiej. Odkrył wilgotne zacieki na wewnętrznej ścianie werandy, krynolinę zaschniętych mydlin na drzwiczkach zmywarki do naczyń, alarmujące dudnienie w dmuchawie systemu grzewczego, koleiny w asfalcie pokrywającym drogę dojazdową, gniazdo termitów w składzie drewna na opał, konar dębu wiszący damoklesowo nad oknem w mansardzie, grube na palec pęknięcia w fundamentach, podniszczone murki w ogrodzie, grzywacze łuszczącej się farby na framugach, ogromne, rozzuchwalone pająki w piwnicy, dywan wyschniętych na wiór szkieletów stonóg i świerszczy, nieznamy zapach grzybów i wyziewów jelitowych. Wszędzie, gdzie zaglądał, panowały upadek i entropia. Nawet przy zwykłym rynku dom zaczynał tracić na wartości i Gary pomyślał: „Musimy sprzedać to cholerstwo teraz, nie można czekać ani dnia dłużej”.

Ostatniego dnia odwiedzin, kiedy Jonah pomagał Enid w pieczeniu tortu urodzinowego, Gary zabrał Alfreda do sklepu z narzędziami. Gdy tylko wyjechali na drogę zdezelowanym oldsmobilem, Gary oświadczył, że już czas wystawić dom na sprzedaż. Alfred, upakowany w fotelu pasażera, patrzył na drogę.

— Dlaczego? — zapytał.

— Jeśli przegapisz sezon wiosenny, będziesz musiał poczekać ze sprzedażą cały rok — wyjaśnił Gary. — Nie możesz sobie na to pozwolić. Nie ma co liczyć na poprawę zdrowia, a dom traci na wartości.

Alfred potrząsnął głową.

— Próbuję to załatwić od wielu lat — powiedział. — Pokój z kuchnią w zupełności by nam wystarczył. Gdzieś, gdzie twoja matka może gotować, i gdzie będziemy mogli sobie posiedzieć. Nic z tego, ona nie chce się przeprowadzić.

— Tato, jeśli nie przeniesiecie się w jakieś łatwiejsze w utrzymaniu miejsce, zrobisz sobie w końcu krzywdę i skończysz w domu opieki.

— Nie mam najmniejszej ochoty na przeprowadzkę do domu starców.

— To, że nie chcesz, nie oznacza, że nie będziesz musiał.

Alfred spojrzał przez okno na mijaną właśnie dawną podstawówkę Gary'ego.

— Dokąd jedziemy?

— Spadniesz ze schodów, poślizgniesz się na kostce lodu i złamiesz sobie biodro, a wtedy będziesz musiał pójść do domu opieki. Babcia Caroline...

— Nie dosłyszałem, dokąd jedziemy?

— Do sklepu z narzędziami — odrzekł Gary. — Mama chciała przełącznik przyciemniający światło w kuchni.

Alfred pokręcił głową.

— Ona i to jej romantyczne oświetlenie.

— Skoro ją to cieszy — powiedział Gary. — A ty? Co ciebie cieszy?

— Co masz na myśli?

— Mam na myśli, że prawie ją wykończyłeś.

Dłonie Alfreda, poruszające się bezustannie na podołku, chwyciły powietrze, jakby zgarniały coś z nieistniejącego stołu pokerowego.

— Jeszcze raz cię proszę, żebyś się nie wtrącał — powiedział.

Dojrzałe światło późnego poranka, blask ostatniego, topniejącego śniegu, bezruch międzyczasu dnia powszedniego w St. Jude — Gary zastanawiał się, jak jego rodzice to znosili. Dęby miały ten sam oleście czarny kolor, co obsiadujące je wrony. Niebo było tak samo jasnoszare jak chodnik, na którym emerytowani tubylcy, przestrzegając nafaszerowanych barbituranami ograniczeń prędkości, czołgali się w swoich samochodach ku miejscom przeznaczenia — centrom handlowym z tonami roztopionego śniegu na papierowych dachach; autostradzie, z której widać było upstrzone kałużami nieużytki przemysłowe, stanowy szpital psychiatryczny i wieże transmisyjne wypełniające eter operami mydlanymi i teleturniejami; obwodnicom i drogom wiodącym w kierunku tysięcy hektarów roztopiającego się zaścianka, gdzie terenówki grzęzły w błocku, gdzie w lasach strzelano z dwururek i gdzie radio nadawało tylko pieśni gospel oraz utwory na elektryczną gitarę hawajską; ku blokom mieszkalnym z identycznie pobłyskującymi oknami i z bezpłciowymi żółtymi trawnikami, na których tu i ówdzie walała się utyflana w kurzu zabawka, z listonoszem pogwizdującym pod nosem jakąś

celtycką melodię i trzaskającym drzwiczkami do skrzynek pocztowych mocniej niż trzeba, ponieważ martwota tych ulic zastygłych w pomiedzyczasie i między porami roku mogła doprowadzić człowieka do rychłej śmierci.

— Jesteś zadowolony ze swojego życia? — zapytał Gary, gdy czekali na światło do skrętu w lewo. — Możesz powiedzieć, że w ogóle kiedykolwiek byłeś szczęśliwy?

— Gary, jestem schorowany...

— Wielu ludzi na coś choruje. Jeśli to ma być twoje usprawiedliwienie, w porządku, jeżeli chcesz się nad sobą litować, nie ma sprawy, ale czemu ciągniesz za sobą mamę?

— Cóż. Jutro już wyjeżdżasz.

— I co w związku z tym? — zapytał Gary. — Planujesz rozsiąść się w swoim fotelu, podczas gdy mama będzie cię oporządzała i gotowała ci jedzenie?

— Są w życiu rzeczy, które trzeba znosić.

— Skoro masz takie podejście, po co jeszcze żyjesz? Czego ty jeszcze chcesz od życia?

— Każdego dnia zadaję sobie to samo pytanie.

— I jak brzmi odpowiedź? — spytał Gary.

— Jak brzmi twoja odpowiedź? Co twoim zdaniem może mnie jeszcze w życiu czekać?

— Podróże?

— Wystarczająco się napodróżowałem. Trzydzieści lat byłem w drodze.

— Spędzanie czasu z rodziną. Z ludźmi, których kochasz.

— Bez komentarza.

— Co znaczy, bez komentarza?

— Dokładnie to. Bez komentarza.

— Wciąż masz pretensje o Boże Narodzenie?

— Myśl sobie, co ci się żywnie podoba.

— Jeśli masz pretensje o Boże Narodzenie, mógłbyś to po prostu powiedzieć...

— Bez komentarza.

— ...zamiast insynuować.

— Powinniśmy przyjechać dwa dni później i wyjechać dwa dni wcześniej — odparł Alfred. — To wszystko, co mam do powiedzenia w temacie świąt. Powinniśmy zostać tylko na czterdzieści osiem godzin.

— To z powodu twojej depresji, tato. Masz kliniczną depresję...

— Ty też.

— ...i lepiej by było, gdybyś podjął leczenie.

— Słyszałeś, co powiedziałem? Że ty też masz depresję?

— O czym ty mówisz?

— Domyśl się.

— Tato, poważnie, o czym ty mówisz? To nie ja całe dni przesypiam w fotelu.

— W głębi duszy to właśnie robisz — oświadczył Alfred.

— To najzwyczajniejsza nieprawda.

— Przekonasz się pewnego dnia.

— Właśnie, że nie! — oburzył się Gary. — Moje życie funkcjonuje na zupełnie innych zasadach niż twoje.

— Zapamiętaj moje słowa. Obserwuję twoje małżeństwo i widzę to, co widzę. Pewnego dnia tobie też otworzą się oczy.

— Próżne gadanie, dobrze o tym wiesz. Jesteś po prostu na mnie wkurzony i nie potrafisz inaczej tego załatwić.

— Powiedziałem ci, nie chcę dyskutować na ten temat.

— A mnie niewiele to obchodzi.

— Cóż, w twoim życiu również są rzeczy, które niewiele mnie obchodzą.

Nie powinno go wzruszyć oznajmienie Alfreda, który prawie nigdy nie miał racji, że uważa pewne rzeczy w życiu Gary'ego za niewarte uwagi czy szacunku; a jednak zabolalo.

W sklepie z narzędziami pozwolił Alfredowi zapłacić za przełącznik do światła. Sposób, w jaki starszek wyłuskiwał z chudego portfela pojedyncze banknoty, i lekkie wahanie, zanim wręczył je kasjerowi, były oznaką szacunku dla dolara, irytującego przeświadczenia, że w życiu liczy się każdy grosz.

Po powrocie do domu, gdy Gary i Jonah grali w piłkę nożną, Alfred wyciągnął narzędzia i odciął prąd w kuchni, żeby zainstalować nowy przełącznik. Nawet podeszły wiek ojca nie podsunął Gary'emu myśli, żeby zabronić mu zabawy z instalacją. Kiedy jednak wrócił do domu na lunch, zobaczył, że starszek zdołał zaledwie usunąć płytkę starego przełącznika. Trzymał w rękach nowy, niczym przerażający detonator, który wywołał w nim drżenie rąk.

— Przez to moje schorzenie ciężko mi to zrobić — wyjaśnił Alfred.

— Musicie sprzedać ten dom.

Po posiłku zabrał matkę i syna do Muzeum Transportu w St. Jude. Podczas gdy Jonah wspinał się na starodawne lokomotywy i zwiedzał łódź podwodną, Enid zaś siedziała i zajmowała się swym bolącym biodrem, Gary opracowywał w myślach listę wszystkich ekspozycji. Miał nadzieję, że to podsumowanie przyniesie mu uczucie spełnienia. Nie mógł się zmusić do zwiedzenia tych wszystkich wystaw, z ich wyczerpującą nieinformatywnością i radosną paplaniną dla mas. ZŁOTY WIEK SILNIKÓW PAROWYCH. ŚWIT PODRÓŻY POWIETRZNYCH, STULECIE BEZPIECZEŃSTWA AUTOMOBILOWEGO. Długie kolumny wyczerpujących opisów. To, czego Gary najbardziej nie cierpiał w środkowym zachodzie, to uczucie niedopieczczenia i braku przywilejów. St. Jude w swoim optymistycznym egalitaryzmie nie chciało okazać mu szacunku, do którego miał prawo z racji swych talentów i osiągnięć. Jakże smutne było to miejsce! Gorliwi miejscowi prostaczekowie wokół niego wydawali się ciekawscy i pozbawieni kompleksów. Radośnie wypełniali swoje puste głowy faktami, jakby znajomość tychże miała ich zbawić! Nie było tu żadnej kobiety w połowie tak ładnej i dobrze ubranej jak Caroline, żadnego mężczyzny z jaką taką fryzurą i płaskim brzuchem, jak u Gary'ego. Wszyscy za to — tak jak Alfred i Enid — byli niezwykle ulegli. Nie potrącali Gary'ego, nie próbowali się przed niego wypychać, lecz czekali pokornie, aż przesunie się ku następnemu eksponatowi. Wtedy gromadzili się i czytali, i wchłaniali wiedzę. Boże, jak on nienawidził środkowego zachodu! Poczul, że się dusi, nie mógł utrzymać głowy prosto. Pomyślał, że chyba zaraz zwymiotuje. Znalazł schronienie w sklepie z pamiątkami. Kupił w nim srebrną sprzączkę, dwie ryciny starych wiaduktów Midland Pacific, piersiówkę (to wszystko dla siebie), a także portfel ze skóry jelenia (dla Aarona) oraz CD z grą Wojna domowa (dla Caleba).

— Tato — powiedział Jonah — babcia powiedziała, że kupi mi dwie książki za mniej niż dziesięć dolarów każda, albo jedną za mniej niż dwadzieścia dolarów. Zgodzisz się?

Jonah i Enid po prostu się uwielbiali. Enid zawsze wołała małe dzieci, a niszą adaptacyjną Jonaha w ekosystemie rodzinnym była rola idealnego wnuka, zawsze chętnego do przytulania się i

przesiadania na czyichś kolanach, niebojącego się gorzkich warzyw, umiarkowanie zainteresowanego telewizją i grami komputerowymi, niezwykle utalentowanego w radosnym odpowiadaniu na pytania w stylu: „Podoba ci się w szkole?”. W St. Jude Jonah rozkoszował się wyłącznym zainteresowaniem trzech dorosłych osób. Ogłosił miasteczko najmiłym miejscem, jakie w życiu odwiedził. Siedząc na tylnym siedzeniu „staruszkomobilu”, podziwiał wielkimi elfimi oczami wszystko, co pokazywała mu Enid.

— Ale łatwo tu zaparkować!

— W ogóle nie ma korków!

— Muzeum Transportu jest fajniejsze niż wszystkie muzea u nas, prawda, tato?

— W tym samochodzie jest niesamowicie dużo miejsca na nogi. To chyba najfajniejszy samochód, jakim kiedykolwiek jechałem.

— Wszystkie sklepy są tak blisko i mają tyle przydatnych rzeczy.

Tego wieczora, gdy wrócili z muzeum i Gary pojechał zrobić dodatkowe zakupy, Enid podała na kolację faszerowane zrazy wieprzowe i czekoladowy tort urodzinowy. Jonah właśnie pochłaniał z rozmarzeniem lody, gdy zapytała go, czy chciałby spędzić święta Bożego Narodzenia w St. Jude.

— Bardzo bym chciał — odparł Jonah z powiekami opadającymi ze zmęczenia i przesytu.

— Zrobiłabym dla ciebie ciasteczka cukrowe i eggnog, a ty pomógłbyś nam ubrać choinkę — powiedziała Enid. — Pewnie spadnie śnieg, więc będziesz mógł pójść na sanki. I wiesz co jeszcze? Co rok w parku Waindella przygotowują niesamowity spektakl świateł. Nazywa się Christmasland. Podświetlają cały park...

— Mamo, jest dopiero marzec — przypomniał Gary.

— Możemy przyjechać na święta? — zapytał go Jonah.

— Odwiedzimy dziadków znowu, już niedługo — powiedział Gary. — Nie wiem, co będzie z Bożym Narodzeniem.

— Jonah chyba chciałby przyjechać — wtrąciła Enid.

— Totalnie! — przytaknął Jonah, pochłaniając kolejną porcję lodów. — Myślę, że to mogłyby być najlepsze święta w moim życiu.

— Ja też tak uważam — powiedziała Enid.

— Mamy dopiero marzec — upierał się Gary. — Nie będziemy planować Bożego Narodzenia już w marcu. Przecież zwykle nie rozmawiamy o tym ani w lipcu, ani w sierpniu, prawda?

— Cóż — oznajmił Alfred, wstając od stołu. — Idę się położyć.

— Jeśli chodzi o mnie, na święta chcę przyjechać do St. Jude — zakończył Jonah.

Wciągnięcie wnuka w bożonarodzeniową kampanię, użycie chłopca jako dźwigni nacisku Gary uznał za prymitywne zagranie ze strony Enid. Gdy już ułożył małego do snu, powiedział matce, że Gwiazdka powinna być najmniejszym z jej zmartwień.

— Tata nie umie już nawet zainstalować przełącznika do światła — powiedział. — Do tego jeszcze woda przecieka przez szczeliny w kominie...

— Kocham ten dom — rzuciła Enid znad zlewu kuchennego, przy którym oskrobywała patelnię z mięsa. — Po prostu ojciec musi trochę popracować nad swoją postawą.

— Ojciec potrzebuje terapii wstrząsowej albo jakichś leków, ale jeśli chcesz poświęcić całe życie na bycie jego niewolnicą, to twoja sprawa. Jeżeli chcesz mieszkać w starym domu pełnym felerów i starać się utrzymać wszystko tak, jak lubisz, to twój wybór. Jeśli chcesz wypruć z siebie flaki, usiłując robić jedno i drugie, proszę bardzo. Ale nie wymagaj ode mnie, żebym robił plany

święteczne już w marcu tylko po to, żebyś ty lepiej się poczuła.

Enid postawiła patelnię pionowo na blacie, tuż obok przeładowanej suszarki do naczyń. Gary wiedział, że powinien chwycić za ścierkę, ale bezładna mieszanina wilgotnych talerzy, patelni i sztućców z jego kolacji urodzinowej sprawiła, że poczuł się zmęczony. Wytarcie naczyń wydawało się pracą tak syzyfową, jak próba poprawy wszystkich usterek w domu rodziców. Jedynym sposobem na to, aby nie popaść w rozpacz, była całkowita izolacja od problemu.

Nalał sobie małą porcję brandy na dobranoc, podczas gdy Enid, wyraźnie nieszczęśliwa, gwałtownymi ruchami odskrobywała przesiąkniętą wodą resztki jedzenia z dna zlewozmywaka.

— A co twoim zdaniem powinnam zrobić? — zapytała.

— Sprzedać dom — odparł Gary. — Zadzwoń jutro do pośrednika.

— I przeprowadzić się do jakiegoś ciasnego, nowoczesnego mieszkania w bloku? — Enid strząsnęła obrzydliwe, mokre resztki jedzenia z ręki prosto do kosza. — Jeśli muszę wyjść gdzieś w ciągu dnia, Dave i Mary zapraszają ojca na lunch. Uwielbia to, a ja czuję się znacznie lepiej, wiedząc, że jest z nimi. Ostatniej jesieni chciał zasadzić nowy cis i nie mógł wykopać starego pniaka, a wtedy Joe Person przyszedł z kilofem i obaj pracowali razem przez całe popołudnie.

— Nie powinien w ogóle sadzić cisów — powiedział Gary, żałując, że nalał sobie tak mało. — Nie powinien używać kilofa. Tata ledwie stoi na nogach.

— Gary, wiem, że nie możemy mieszkać tu wiecznie, ale chciałabym spędzić tu jeszcze jedno, ostatnie, naprawdę miłe rodzinne święta Bożego Narodzenia. I chciałabym...

— Czy jeśli będziemy mieli tę Gwiazdkę, zgodzisz się potem przeprowadzić?

Przyływ nadziei złagodził wyraz twarzy Enid.

— Czy zgodzicie się przyjechać razem z Caroline?

— Nie mogę ci niczego obiecać. Jeżeli jednak wolałabyś wystawić dom na sprzedaż publiczną, na pewno pomyślimy...

— Byłoby cudownie, gdybyście przyjechali. Po prostu cudownie.

— Wiem, mamo, ale musisz być realistką.

— Przebrnijmy jeszcze przez ten rok — powiedziała Enid. — Pomyślimy o spędzeniu świąt u nas, tak jakby chciał Jonah, a potem zobaczymy!

ANHEDONIA Gary'ego pogłębiła się po powrocie do Chestnut Hill. W ramach „projektu zimowego” zaczął kompilować wybrane fragmenty filmów rodzinnych w dającą się oglądać dwugodzinną kasetę pt. *Największe przeboje Lambertów*. Mógł z tego zrobić kopie dobrej jakości i wysłać je w ramach kartki świątecznej. Przy edycji ostatniej wersji, gdy po raz kolejny przeglądał ulubione scenki rodzinne i odgrywał swoje ulubione piosenki (*Wild Horses*, *Time after Time* i tym podobne), zaczął nienawidzić owych widoków i owych melodii. A potem, gdy w swojej nowej ciemni zabrał się do przeglądania kolekcji „Lambertowie: dwieście najlepszych zdjęć wszech czasów”, poczuł, że oglądanie fotografii także nie sprawia mu przyjemności. Przez lata pieczołowicie budował kolekcję „Dwustu najlepszych zdjęć”, jak się to robi z lokatą kapitałową, z ogromną satysfakcją wybierając ujęcia, które — jego zdaniem — powinny się znaleźć w albumie. Teraz zastanawiał się, na kim, poza sobą samym, chciał wywrzeć wrażenie za pomocą tych obrazków. Komu i co próbował w ten sposób wmówić? Poczul dziwną chęć, aby spalić te wszystkie ulubione pamiątki. Jednak całe życie Gary'ego było zaprogramowane jako korekta, jak poprawianie życia ojca, a jeśli chodzi o ojca, uzgodnili już z Caroline, że Alfred ma depresję kliniczną, a depresja kliniczna ma podłoże genetyczne i w dużej mierze jest dziedziczna, dlatego Gary nie miał wyboru i musiał walczyć ze swoją ANHEDONIA, zagryzać nieustannie zęby i robić, co w jego mocy, żeby cieszyć się życiem...

Obudził się ze świerżbiąco sztywnym penisem i Caroline u boku, spowitą w pościel.

Nocna lampka na jego stoliku wciąż się paliła, ale poza tym w pokoju było ciemno. Caroline leżała w sarkofagowej pozycji, na plecach, ułożona płasko na materacu. Między kolanami miała poduszkę. Przez uchylone okiennice przesączało się do pokoju chłodne, wilgotne powietrze zmęczonego lata. Nic nie poruszało liśćmi sykomory, której najniższe gałęzie zwisały tuż za ich oknami.

Na stoliku nocnym Caroline leżał egzemplarz książki *Spotkanie w połowie drogi: jak oszczędzić swoim pociechom dzieciństwa, jakie sam miałeś* (autor: dr Caren Tamkin, wydanie z 1998 roku, w twardej okładce).

Wydawało się, że Caroline śpi. Jej długie ramię, jędrne i gładkie — wynik trzech tygodniowo sesji pływackich w klubie krykietowym — spoczywało wzdłuż ciała. Gary popatrzył na mały nosek żony, na jej szerokie czerwone usta, jasny puszek nad górną wargą pokryty pobłyskującym blado potem, wąski pasek jasnej skóry pomiędzy brzegiem koszulki a paskiem jej starych spodenek gimnastycznych z czasów Swarthmore College. Jedna pierś Caroline napierała na materiał koszulki, karminowa brodawka ledwie przebijała przez naciągnięty materiał...

Gdy wyciągnął rękę i pogładził jej włosy, Caroline drgnęła, jakby ręka Gary'ego była łyżką defibrylatora.

— Co tu jest grane? — zapytał Gary.

— Strasznie mnie bolą plecy.

— Godzinę temu śmiałaś się i doskonale bawiłaś, a teraz znowu cię boli?

— Motrin przestaje działać.

— Tajemnicze wskrzeszenie bólu.

— Nie powiedziałaś ani jednego słowa współczucia, od kiedy nabawiłam się tej kontuzji.

— Dlatego, że kłamiesz na temat jej przyczyny — powiedział Gary.

— O Boże, znowu?

— Dwie godziny grania w piłkę i wygłupiania się na deszczu zupełnie nie miały na to wpływu. Wszystko przez telefon.

— Tak — odparła Caroline. — Ponieważ twoja matka nie chce wydać dziesięciu centów i zostawić wiadomości. Zawsze czeka do trzech dzwonek i odkłada słuchawkę, znowu czeka do trzech dzwonek i odkłada słuchawkę...

— Oczywiście cała ta sytuacja nie ma nic wspólnego z tym, co ty zrobiłaś — zdenerwował się Gary. — To wina mojej mamy! W magiczny sposób znalazła się tutaj i kopnęła cię w plecy, ponieważ chce ci zrobić krzywdę!

— Po słuchaniu tych trójdzwonek przez całe popołudnie zamieniam się w kłębek nerwów.

— Caroline, widziałem, że utykałaś przed wejściem do domu. Widziałem wyraz twojej twarzy. Nie mów mi, że wtedy jeszcze cię nie bolało.

Potrząsnęła głową.

— Wiesz, co to jest? — spytała.

— A potem to podsłuchiwanie!

— Wiesz, co to jest?

— Podsłuchujesz moją rozmowę przez jedyną wolną słuchawkę w domu, a potem masz czelność wmawiać mi...

— Gary, masz depresję. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Roześmiał się.

— Nie sędzę.

— Jesteś podejrziwy, pamiętliwy, masz obsesję. Chodzisz ciągle z ponurym wyrazem twarzy, źle sypiasz i nic nie sprawia ci przyjemności.

— Zmieniasz temat — odparł. — Moja matka zadzwoniła, bo miała całkiem rozsądną propozycję dotyczącą Gwiazdki.

— Rozsądną? — roześmiała się Caroline. — Gary, twoja matka ma świra na punkcie Bożego Narodzenia. Jest zupełnie obłąkana.

— Caroline, daj spokój.

— Właśnie, że jest!

— Caroline, posłuchaj. Rodzice zamierzają wkrótce sprzedać dom, dlatego chcieli, żebyśmy odwiedzili ich tam wszyscy ostatni raz, zanim umrą, Caroline, zanim moi rodzice odejdą z tego świata...

— Już dawno to ustaliliśmy, że pięciorga ludzi prowadzących aktywne życie nie należy zmuszać do latania samolotem w szczycie sezonu po to, żeby dwoje ludzi, którzy nie mają już w życiu nic innego do roboty, nie musiało przyjeżdżać tutaj. I nigdy nie miałam absolutnie nic przeciwko temu, żeby nas odwiedzali...

— Jasne, oczywiście!

— A ty nagle zmieniasz zasady!

— Nigdy nie byłaś zadowolona z ich odwiedzin, Caroline. Rodzice nie chcą teraz zostawać z nami dłużej niż przez czterdzieści osiem godzin.

— Ach, i to wszystko moja wina? — Caroline wyglądała trochę przerażająco, gdy tak wykrzywiła twarz i gestykulowała w stronę sufitu. — Nie potrafisz pojąć jednej rzeczy, Gary — ciągnęła. — To jest zdrowa emocjonalnie rodzina. Jestem kochającą i zaangażowaną matką. Mam troje inteligentnych, twórczych i zdrowych psychicznie dzieci. Jeśli uważasz, że mamy z czymś problem w rodzinie, lepiej zacznij przyglądać się sobie.

— Składam ci rozsądną propozycję — odparł Gary — a ty wciskasz mi gadkę o depresji.

— Więc nigdy nie przyszło ci to do głowy?

— Za każdym razem, gdy poruszam temat świąt, natychmiast nabawiam się depresji.

— Na serio, chcesz mi powiedzieć, że nigdy, przez ostatnie pół roku, nie przeszło ci przez myśl, że możesz mieć problem wymagający leczenia?

— Caroline, to bardzo nieprzyjazny gest, wyzywać kogoś od czubków.

— Nie wtedy, gdy ta osoba rzeczywiście może być chora.

— Proponuję, żebyśmy pojechali do St. Jude — powiedział Gary. — Jeśli nie zechcesz ze mną o tym porozmawiać jak dorośli z dorosłym, sam podejmę decyzję.

— Doprawdy? — Caroline prychnęła wzgardliwie. — Jonah zapewne z tobą pojedzie, ale zobaczymy, czy uda ci się zabrać ze sobą Aarona i Caleba. Zapytaj się ich, gdzie woleliby spędzić święta.

„Zapytaj ich, w czyjej drużynie grają”.

— Wydawało mi się, że jesteśmy rodziną — powiedział Gary — i niektóre rzeczy robimy razem.

— To ty chcesz sam decydować za wszystkich.

— I zapewne jest to powód do rozwodu.

— To nie ja się zmieniłam.

— Wiesz co, Caroline, to jest... nie, no to jest po prostu idiotyzm. Naprawdę istnieją bardzo dobre powody po temu, żeby w tym roku na Gwiazdkę zrobić wyjątek.

— Masz depresję — odparła. — Chcę z powrotem mojego męża. Mam już dosyć mieszkania z załamany starcem.

Gary z kolei chciał odzyskać dawną Caroline, która jeszcze kilka nocy temu tuliła się do niego, gdy na dworze szalały pioruny. Caroline, która podbiegała do niego, gdy wchodził do pokoju. Półosieroconą dziewczynkę, której największym pragnieniem było znaleźć się w jego drużynie.

Ale jednocześnie Gary podziwiał, jak twarda potrafi być Caroline, jak niepodobna do Lambertów, jak fundamentalnie niesolidarna z jego rodziną. Po latach małżeństwa spisał czynione przez nią uwagi, tworząc coś w rodzaju osobistego dekalogu, Dziesięciu Największych Hitów Caroline, do których uciekał się, gdy brak mu było siły i wytrwałości:

1. Zupełnie w niczym nie przypominasz swojego ojca.
2. Nie musisz mnie przeproszać za to, że kupiłeś bmw.
3. Twój ojciec nęka psychicznie twoją matkę.
4. Uwielbiam smak twojego orgazmu.
5. Praca była narkotykiem, który zniszczył życie twojego ojca.
6. Kupmy obie te rzeczy!
7. Twoja rodzina ma chore podejście do jedzenia.
8. Jesteś niesamowicie przystojnym facetem.
9. Denise zazdrości ci sukcesów.
10. Cierpienie nie przynosi absolutnie żadnego pożytku.

Przez całe lata było to jego wyznanie wiary i Gary był głęboko wdzięczny Caroline za jej konstatacje. Teraz zastanawiał się, jak wiele było w nich prawdy. Może wcale.

— Jutro dzwonię do biura turystycznego — powiedział.

— A ja ci mówię, żebyś zamiast tego zadzwonił do doktora Pierce'a — odparła natychmiast Caroline. — Musisz porozmawiać ze specjalistą.

— Muszę porozmawiać z kimś, kto mówi prawdę.

— Chcesz prawdy? Chcesz, żebym ci powiedziała, dlaczego z tobą nie pojedę? — Caroline usiadła pochylona pod dziwnym kątem, narzuconym przez ból pleców. — Naprawdę chcesz to wiedzieć? — spytała.

Gary zamknął oczy. Cykanie świerszczy na dworze przywodziło na myśl wodę płynącą nieustannie w rurach. Z daleka dobiegało go rytmiczne szczekanie psa niczym odgłos krztuszącego się silnika piły mechanicznej.

— Prawda jest taka — ciągnęła Caroline — że czterdzieści osiem godzin z twoimi rodzicami w zupełności wystarczy. Nie chcę, żeby moje dzieci wspominały Gwiazdkę jako czas, gdy wszyscy krzyczą na wszystkich. Co obecnie jest nie do uniknięcia. Twoja matka przyjeżdża tu z tą swoją całoroczną manią świąteczną, kultywowaną od zeszłego stycznia, a potem się zaczyna: „Gdzie się podziała ta austriacka figurka renifera? Nie podoba ci się? Nie używasz jej w ogóle? Gdzie ona jest? Gdzie ona jest? Gdzie jest figurka renifera?”. Ma obsesję na punkcie jedzenia, na punkcie pieniędzy, na punkcie ubrań. Cały ten ogromny bagaż, który, jak mój mąż zwykł był również twierdzić, stanowi pewien problem. A teraz mój mąż nagle staje po jej stronie. Mamy przewrócić cały dom do góry nogami w poszukiwaniu kiczowatej pamiątki za trzydzieści dolarów tylko dlatego, że ma ona jakąś

wartość sentymentalną dla twojej matki...

— Caroline.

— ...a gdy okazuje się, że Caleb...

— Niezbyt uczciwie stawiasz całą sprawę.

— Och, proszę cię, Gary, pozwól mi skończyć. Kiedy okazuje się, że Caleb zrobił coś, co każdy normalny chłopak mógł uczynić z kawałkiem plastikowego gówna, które znalazł w piwnicy...

— Nie mogę tego słuchać.

— Nie, nie, problem nie polega na tym, że twoja sokołooka matka ma świra na punkcie kiczowatych śmieci z Austrii, nie, to wcale nie jest prawdziwy problem...

— Ta figurka kosztowała sto dolarów i była ręcznie rzeźbiona...

— Nie obchodzi mnie to, nawet jeżeli kosztowała tysiąc dolarów! Od kiedy to karzesz własnego syna za szaleństwo twojej matki? Zupełnie jakbyś nagle próbował udawać, że jest rok sześćdziesiąty czwarty i wszyscy mieszkamy w Peorii. „Zmyj naczynia!”, „Natychmiast załóż krawat!”, „Żadnego oglądania telewizji dziś wieczorem!”. I ty się dziwisz, że się kłócimy? Zastanawiasz się, czemu Aaron wywraca oczami, gdy twoja matka wchodzi do pokoju? Wygląda to tak, jakbyś czuł się zażenowany, że musisz nas jej pokazać. Jakbyś, dopóki ona tu jest, udawał, że żyjemy w sposób, który jej się podoba. Ale powiadam ci, Gary, nie mamy się czego wstydzić! To twoja matka powinna się wstydzić. Chodzi za mną w kółko po całej kuchni i cały czas mnie obserwuje. Mam wrażenie, że powinnam przyrządzać indyka co tydzień. Nie mogę się uwolnić od myśli, że cokolwiek gotuję, wystarczy, żebym na chwilę się odwróciła, a ona zaraz doleje do tego kwartę oleju, a kiedy tylko wyjdę do pokoju, przetrząśnie kosz na śmieci niczym jakiś pieprzony policjant z wydziału żywieniowego, wyciągnie stamtąd resztki i nakarmi nimi moje dzieci...

— Ziemiaki były w zlewie, nie w koszu, Caroline.

— A ty jeszcze jej bronisz! Twoja matka wychodzi na dwór i buszuje w pojemnikach na śmieci, bo może znajdzie coś, co jeszcze się nada do użycia i będzie mnie mogła potępić, że to wyrzuciłam. Dosłownie co dziesięć minut pyta mnie: „Jak się czuje twój kręgosłup? Jak się miewa twój kręgosłup? Już lepiej? Jak tam twój kręgosłup?”. Uporczywie szuka czegoś, do czego mogłaby się przyczepić, próbuje rozkazywać moim dzieciom, jak mają się ubrać na kolację w moim domu, a ty w ogóle mnie nie wspierasz! Nie stajesz po mojej stronie, Gary. Zaczynasz przeproszać, czego ja osobiście nie mogę pojąć. Ale nie mam ochoty na powtórkę. Uważam, że twój brat miał świetny pomysł. Jest kochanym, mądrym i zabawnym facetem, wystarczająco uczciwym, żeby powiedzieć, co może, a czego nie potrafi znieść w tych spotkaniach rodzinnych. A twoja matka zachowuje się, jakby był nieudacznikiem i przynosił wstyd rodzinie! Cóż, chciałeś prawdy, a prawda jest taka, że nie wytrzymam jeszcze jednych takich świąt. Jeśli koniecznie musimy spotkać się z twoimi rodzicami, zrobimy to na naszym terenie. Tak jak zgodnie z twoją obietnicą mieliśmy robić zawsze.

Sinoczarna płachta spowiła umysł Gary’ego. Osiągnął ten punkt powolnego postdrinkowego zjazdu, w którym uczucie zawiłości spraw zaciążyło na jego policzkach, czole, powiekach i ustach. Zrozumiał wreszcie, jak bardzo jego matka wkurzała Caroline, a jednocześnie we wszystkim, co powiedziała jego żona, znajdował coś, do czego można się było przyczepić. Na przykład ten śliczny skądinąd renifer. Był przechowywany w dobrze oznaczonym pudełku, a Caleb złamał figurce dwie nogi i wbił jej wielki gwóźdź w czaszkę. Dalej, Enid wyjęła niedojedzone pieczone ziemniaki ze zlewu, pokroiła je i usmażyła dla Jonaha. Co do kontenerów ze śmieciami, Caroline nie zadała sobie trudu, żeby poczekać, aż rodzice wyjadą, zanim wyrzuciła różowy poliestrowy szlafrok, który dostała w prezencie gwiazdkowym od Enid.

— Kiedy mówiłem, że chcę usłyszeć prawdę — powiedział, nie otwierając oczu — miałem na myśli ciebie i twoje utykanie, zanim weszłaś do domu.

— O mój Boże! — westchnęła Caroline.

— Moja matka nie zrobiła krzywdy twojemu kręgosłupowi. Ty sama zrobiłaś sobie krzywdę.

— Proszę cię, Gary, zrób mi tę przyjemność i zadzwoń do doktora Pierce'a.

— Przyznaj, że kłamałaś, a wtedy porozmawiamy, o czymkolwiek chcesz. Nic się nie zmieni, dopóki się nie przyznasz.

— Ja już nawet nie poznaję twojego głosu.

— Pięć dni w St. Jude. Nie możesz tego zrobić dla kobiety, która jak twierdzisz, nie ma już w życiu nic innego?

— Proszę, Gary, wróć do mnie.

Fala wściekłości sprawiła, że Gary nagle otworzył oczy. Zrzucił prześcieradło i wyskoczył z łóżka.

— To wszystko zmierza do rozwodu! Nie mogę w to uwierzyć!

— Gary, proszę...

— Rozstaniemy się przez głupi wypad do St. Jude!

Wizjoner w ciepłej marynarce wykladał dla pięknych studentek. Za jego plecami na pikselowatym tle tkwiły sterylizatory, kasety chromatograficzne, preparaty z różnych tkanek zanurzone w roztworach barwników, długoszyje medyczno-naukowe krany, plakaty z wizerunkiem skrzydłato rozpostartych chromosomów i diagramy tuńczykowoczerwonych mózgow, pokrojonych w plasterki niczym sashimi. Wizjonerem był sam Earl „Kędzior” Eberle, wąskousty pięćdziesięciolatek w tanich okularach, które twórcy wideo promocyjnego Axon Corporation próbowali uczynić bardziej atrakcyjnymi. Kamera pracowała bardzo nerwowo, podłoga laboratorium bujała się jak na łodzi. Nieostre zbliżenia ukazywały twarze studentek rozjaśnione fascynacją. Co ciekawe, operator obsesyjnie filmował tył głowy (rzeczywiście kędzierzawej) wizjonera.

— Oczywiście chemia także, nawet chemia mózgu — tłumaczył Eberle — jest zwykłym przestawianiem elektronów na orbitach. Ale proszę to porównać na przykład do elektroniki, która bazuje na kilku przełącznikach dwu- i trzybiegunowych. Dioda, tranzystor. W mózgu z kolei znajduje się kilka tuzinów różnych przełączników. Neuron albo się aktywuje, albo nie, ale decyzja o tym jest podejmowana za pomocą receptorów, które często mają swego rodzaju „stopnie” wyłączenia i włączenia pomiędzy stanem nieaktywnym a pełnym pobudzeniem. Gdyby nawet udało się skonstruować sztuczną komórkę nerwową, złożoną z tranzystorów cząsteczkowych, konwencjonalna wiedza i tak nie pozwoli nam przetłumaczyć całej chemii neuronu na język zero-jedynkowy bez wyczerpania zasobów pamięci. Jeśli skromnie przyjmiemy, że w neuronie działać może tylko dwadzieścia aktywnych ligandów, z których osiem będzie funkcjonowało jednocześnie, i założymy, że każdy z tych chemicznych przełączników ma dwa ustawienia, to moi drodzy, nie chcę was tu zanudzać kombinatoryką, ale o ile nie pochodzicie ze świata Ziemniaczanych Główn, bylibyście zabawnie wyglądającymi androidami.

Zbliżenie pokazało rechoczącego studenta z głową w kształcie rzepy.

— To są fakty tak podstawowe, że normalnie nikt nie fatyguje się, żeby w ogóle o nich wspominać — ciągnął Eberle. — Jedyne funkcjonalny związek, jaki mamy z elektrofizjologią ośrodków poznania i woli, to chemia. Jest daną nam mądrością, częścią ewangelii naszej nauki. Nikt o zdrowych zmysłach nie będzie próbował łączyć świata neuronów ze światem obwodów drukowanych.

Eberle zrobił dramatyczną pauzę.

— Nikt poza Axon Corporation — dodał.

Fala pomruku przeszła przez morze inwestorów instytucjonalnych, którzy przybyli do Sali Balowej B w hotelu The Four Seasons w centrum Filadelfii, aby wysłuchać prezentacji Axona, promującej firmę przed wejściem na giełdę. Na podium umieszczono gigantyczny ekran. Na każdym z dwudziestu okrągłych stołów, ustawionych w spowitym w półmroku salonie, znalazły się półmiski satay i sushi, z towarzyszącymi im specjalnymi sosami.

Gary siedział przy stoliku w pobliżu drzwi wraz ze swoją siostrą Denise. Miał nadzieję, że podczas tej prezentacji ubije interes, dlatego wolałby przyjść tu sam, ale Denise nalegała na wspólny lunch, a tego dnia akurat był poniedziałek, czyli ona miała wolne i dlatego wprosiła się na pokaz. Gary wiedział, że Denise najprawdopodobniej znajdzie powody natury politycznej, moralnej lub estetycznej, aby wyrazić ubolewanie nad całym tym przedstawieniem. Rzeczywiście, siedziała teraz z założonymi rękami i oglądała wideo oczami zmrużonymi podejrzliwie. Miała na sobie żółty kostium z czerwonym kwiecistym nadrukiem, do tego czarne sandały i okrągłe plastikowe okulary w stylu Trockiego. Tym, co naprawdę wyróżniało ją wśród innych kobiet w Sali Balowej B, była nagość jej nóg. Żadna kobieta pracująca w finansach nie chodziła bez rajstop.

CO TO JEST CORECKTALL?

— Corecktall — powiedziała figurka Kędziorka Eberlego, którego młodzi słuchacze zostali cyfrowo przemieleni na jednorodne tło z tuńczykowoczerwonej masy mózgowej — jest rewolucyjną terapią neurobiologiczną.

Eberle siedział na ergonomicznym fotelu biurowym, za pomocą którego — jak się okazało — mógł dryfować i nurkować, przyprawiając widzów o zawrót głowy, w przestrzeni graficznej, która reprezentowała tajemniczy świat wnętrza czaszki. Po ekranie zaczęły przemykać zwoje nerwowe, kałamarnicowate neurony i węgorzowate kapilary.

— Początkowo została stworzona z myślą o leczeniu pacjentów z chorobą Parkinsona, z alzheimerem i innymi chorobami neurodegeneracyjnymi — mówił Eberle. — Corecktall okazała się metodą tak efektywną i wszechstronną, że mamy nadzieję nie tylko leczyć, lecz także uzdrawiać. Co więcej, dotyczy to nie tylko owych okropnych chorób degeneracyjnych, ale i całego mnóstwa przypadłości zazwyczaj klasyfikowanych jako psychiatryczne lub psychologiczne. Krótko mówiąc, Corecktall jako pierwszy oferuje możliwość odnowy i usprawnienia „okablowania” mózgu u dorosłego człowieka.

— Fuj — powiedziała Denise, marszcząc nos.

Gary w tej chwili był dość obeznany z podstawami działania Corecktallu. Uważnie przeanalizował nieoficjalny prospekt Axona i przejrzał każdą recenzję firmy, jaką mógł znaleźć w internecie czy poprzez prywatne usługi CenTrustu. Wstrzeźliwi analitycy, mający na względzie najnowsze, gwałtowne zawirowania w sektorze biotechnologicznym, ostrzegali przed inwestowaniem w niesprawdzone technologie medyczne, które znajdują się na rynku nie wcześniej niż za sześć lat. Oczywiście taki bank jak CenTrust, z jego powierniczym obowiązkiem konserwatywnego podejścia, na pewno nie tknie IPO firmy, ale zasady działania Axona były o wiele zdrowsze niż innych młodych kompanii biotechnologicznych. Poza tym fakt, że spółka zadała sobie trud, aby kupić od Alfreda patent na tak wczesnym etapie rozwoju Corecktalla, był dla Gary'ego przejawem niezwykle korporacyjnej pewności siebie. Dostrzegł w tym wszystkim szansę na zarobek, a jednocześnie zemstę na Axonie za to, że próbowali wykiwać ojca i w ogóle, sposobność do postawienia się tam, gdzie

Alfred zawsze oddawał pole.

Tak się złożyło, że w czerwcu, gdy zaczęły się przewracać pierwsze kostki domina europejskiego kryzysu walutowego, Gary wycofał większość kapitału obrotowego z europejskich i dalekowschodnich funduszy rynków wschodzących. Miał teraz czym zainwestować w Axona. Ponieważ zaś do wejścia spółki na giełdę zostały jeszcze trzy miesiące i nie rozpoczęła się wielka kampania zachęcająca do kupna akcji, a w dodatku wstępny prospekt firmy budził sporo wątpliwości u inwestorów z zewnątrz, Gary nie powinien mieć żadnego problemu z kupnem pięciu tysięcy akcji. Okazało się jednak, że miał głównie kłopoty.

Jego makler, który właściwie nic nie słyszał o Axonie, zabrał się za sprawę zbyt późno i oddzwonił do Gary'ego z wiadomością, że przydział dla jego firmy wynosi dwa i pół tysiąca akcji. Zazwyczaj spółka maklerska nie sprzedaje jednemu klientowi więcej niż pięć procent całkowitego przydziału na tak wczesnym etapie gry, ale ponieważ Gary zgłosił się jako pierwszy, makler zaoferował, że załatwi mu pięćset akcji. Gary próbował wydusić więcej, ale smutna prawda była taka, że należał do klientów niezbyt ważnych. Zazwyczaj inwestował wielokrotność setki i żeby zaoszczędzić na opłatach za usługi, sam załatwiał kupno mniejszych pakietów w internecie.

Teraz to Caroline była wielkim inwestorem. Za radą Gary'ego często kupowała pakiety akcji będące wielokrotnością tysiąca. Jej makler pracował dla największego domu brokerskiego w Filadelfii i bez wątpienia znalazłby cztery i pół tysiąca akcji dla swego cennego klienta. Takie były zasady gry. Na nieszczęście, od niedzielnego popołudnia, kiedy to Caroline nadwerężyła sobie kręgosłup, rozmawiali wyłącznie w stopniu, którego wymagało sprawowanie roli rodziców. Gary bardzo chciał dostać te pięć tysięcy akcji Axonu, ale nie zamierzał poświęcać swoich zasad i czołgać się u stóp żony, błagając o pomoc.

Dlatego skontaktował się ze swoim człowiekiem w firmie Hevy & Hodapp, Pudge'em Portleighem, i poprosił, żeby zapisano pięć tysięcy akcji Axon na jego konto. Przez wiele lat, jako powiernik CenTrustu, Gary wykupił wiele udziałów od Portleigha, w tym sporo złych inwestycji. Gary napomknął Portleighowi, że CenTrust może w przyszłości nawiązać z nim znacznie głębszą współpracę zawodową, ale Portleigh, dziwnie się wykręcając, zgodził się tylko, że przekaże prośbę Gary'ego Daffy'emu Andersonowi, szefowi działu brokerskiego w Hevy & Hodapp.

Potem nastąpiły dwa doprowadzające do szału tygodnie, podczas których Pudge Portleigh nie oddzwonił do Gary'ego, żeby potwierdzić alokację udziałów. Tymczasem internetowe plotki o Axonie urosły od szeptu do wrzasku. W odstępie kilku dni w „Nature” i „New England Journal of Medicine” pojawiły się dwa pokrewne, duże artykuły autorstwa Earla Eberlego i spółki: „Stymulacja synapsogenezy w wybranych szlakach nerwowych za pomocą tomografii zwrotnej” i „Przejściowe pozytywne wzmocnienie upośledzonych dopaminergicznych obwodów układu limbicznego: najnowsze postępy kliniczne”. Oba artykuły otrzymały ogromne wsparcie ze strony prasy finansowej, włączając w to notkę na pierwszej stronie „Wall Street Journal”. Kolejni analitycy giełdowi zaczęli sugerować, że akcje Axon to bardzo dobry zakup, a Portleigh ciągle nie odpowiadał na wiadomości zostawione przez Gary'ego i ten mógł jedynie patrzeć, jak jego przewaga osoby dobrze poinformowanej zawczasu zmniejsza się z godziny na godzinę...

1. ZAFUNDUJ SOBIE KOKTAJL!

— ...z cytrynianu i octanu żelaza, opracowany tak, że przechodzi przez barierę krew-mózg i gromadzi się śródmiaższowo! — powiedział niewidzialny naganiacz, którego głos przyłączył się do Earla Eberlego na ścieżce dźwiękowej filmu.

— Do koktajlu dodajemy niewywołujący uzależnienia środek uspokajający, a także, dzięki najpopularniejszej sieci kafeterii w naszym kraju, porządny zastrzyk syropu orzechowego Moccacino!

Statystka, która pojawiła się w poprzedniej scenie wykładu, dziewczyna, z której neuronami wszystko było zdecydowane w porządku, piła teraz z wyraźną rozkoszą elektrolityczny płyn Corectall z wysokiej oszronionej szklanki, seksownie poruszając grdyką.

— O który patent taty chodzi? — spytała Denise szeptem. — Coś tam coś tam żelut octanowożelazowego?

— Elektropolimeryzacja — przytaknął ponuro Gary.

Z pliku korespondencji, który przechowywał w domu i który zawierał między innymi wszystkie listy od rodziców, Gary wygrzebał starą kopię patentu Alfreda. Nie był pewien, czy kiedykolwiek wcześniej w ogóle na to spojrział, ale teraz naprawdę był pod wrażeniem wiedzy ojca na temat „anizotropii elektrycznej” w „niektórych żelach organiczno-żelazowych” i jego sugestii, że mogą być one wykorzystane do „szczegółowego obrazowania” żywych tkanek ludzkich oraz utworzyć „bezpośredni kontakt elektryczny” z „drobnymi strukturami morfologicznymi”. Porównując słowa z patentu z opisem Corectallu na zaktualizowanej niedawno stronie internetowej Axonu, Gary zdumiał się nad stopniem podobieństwa obu tekstów. Najwyraźniej warta pięć tysięcy technologia Alfreda była podstawą procesu, który Axon chciał obecnie oszacować na 200 milionów dolarów: tak jakby człowiek nie miał wystarczająco wielu rzeczy, nad którymi można się wściekać podczas bezsennych nocy!

— Cze, Kelsey, słuchaj, stary, zdobądź mi dwanaście tysięcy akcji Exxon po jeden-zero-cztery max — powiedział nagle i zbyt głośno młody mężczyzna siedzący po lewej stronie Gary’ego. Dzieciak miał palmtopa z wyświetlaczem cen giełdowych, słuchawkę w uchu i schizofreniczne oczy komórkomana.

— Dwanaście tysięcy, Exxon, górna stawka jeden-zero-cztery — powtórzył.

Exxon czy Axon, lepiej uważać, pomyślał Gary.

2. ZAŁÓŻ SŁUCHAWKI I WŁĄCZ RADIO!

— Nie usłyszysz niczego, chyba że twoje plomby w zębach przechwycą sygnał sprawozdawczy z rozgrywek koszykówki w czasie modulacji amplitudy — zażartował naganiacz, gdy tymczasem promienna dziewczyna założyła na swoją przyjazną dla kamery głowę metalową kopułę, która przypominała nieco suszarkę.

— Ale fale radiowe penetrują nieustannie najgłębsze obszary twojej czaszki. Wyobraź sobie coś w rodzaju generalnego systemu lokacji dla mózgu: promieniowanie RF wskazuje i wybiórczo stymuluje szlaki nerwowe związane ze szczególnymi umiejętnościami. Na przykład ze składaniem podpisu. Wspinaniem się po schodach. Pamiętaniem o rocznicy ślubu. Pozytywnym myśleniem! Przetestowane klinicznie w setkach szpitali w całej Ameryce. Metoda tomografii zwrotnej doktora Eberlega została teraz udoskonalona, aby uczynić ten szczególny etap zabiegu łatwym i bezbolesnym jak wizyta u fryzjera.

— Do tej pory — włączył się Eberle (wciąż dryfował na krześle poprzez morze symulowanej krwi i szarej substancji) — skorzystanie z mojego wynalazku wymagało hospitalizacji przez cały dzień oraz fizycznego wprowadzenia skalibrowanego metalowego pierścienia do czaszki pacjenta. Wielu ludzi uznawało to za dużą niedogodność. Teraz jednak ogromny wzrost w mocy przerobowej komputerów umożliwia przeprowadzenie procesu, który podlega nieustannej autokorekcji, co do

lokalizacji poszczególnych szlaków nerwowych podlegających stymulacji...

— Kelsey, piątka, człowieku! — powiedział głośno młody mister Dwanaście Tysięcy Akcji Exxonu.

Przez pierwsze kilka godzin i dni po pamiętnej niedzielnej awanturze z Caroline trzy tygodnie temu, oboje z Garym czynili wiele ugodowych gestów. Jeszcze tej samej nocy Caroline sięgnęła poprzez zdemilitaryzowany obszar materaca i dotknęła jego biodra. Następnej nocy Gary przeprosił ją prawie za wszystko — chociaż odmówił przyznania się do głównego zarzutu — wyraził smutek i żal za wyrządzone szkody, za urażone uczucia, umyślnie błędną interpretację i krzywdzące insynuacje. Dał w ten sposób Caroline przedsmak przyływu czułości, która czekała na nią, jeśli tylko przyzna, że nie mylił się w podstawowej sprawie. We wtorek rano Caroline przygotowała dla niego prawdziwe śniadanie — cynamonowy tost, kiełbaski i miskę płatków owsianych, z rodzynkami ułożonymi w wizerunek twarzy z komicznie wykrzywionymi ustami. W środę rano Gary powiedział jej komplement (zwykle stwierdzenie: „pięknie wyglądasz”). Daleko mu było do otwartej deklaracji miłości, posłużył za przypomnienie obiektywnej płaszczyzny (fizyczna atrakcyjność), na której mogło zostać przywrócone jego uczucie, jeżeli tylko Caroline przyzna, że miał rację w tej jednej, podstawowej sprawie.

Ale każdy gest nadziei, każda wyprawa badawcza spełzała na niczym. Gdy Gary ścisnął rękę, którą do niego wyciągnęła, i wyszeptał, że mu przykro z powodu bólu kręgosłupa, Caroline nie potrafiła uczynić następnego kroku i przyznać, że być może (zwykle „może” w zupełności by wystarczyło!) dwie godziny spędzone w deszczu na kopaniu piłki przyczyniły się do obecnej kontuzji. Kiedy z kolei Caroline podziękowała mu za komplement i zapytała, jak mu się spało, nie znalazł w sobie siły, aby zignorować lekko ironiczny ton jej głosu; rozumiał jej pytanie jako: „Przedłużające się zaburzenia snu są powszechnym objawem depresji klinicznej, a przy okazji, jak ci się spało, kochanie?”. Dlatego nie odważył się przyznać, że w istocie spało mu się okropnie. Wydusił natomiast, że spało mu się znakomicie, dziękuję ci, Caroline, naprawdę znakomicie.

Każdy niewykorzystany gest pokojowy sprawiał, że następny miał mniejszą szansę powodzenia. Nie upłynęło wiele czasu, gdy możliwość, która na pierwszy rzut oka wydawała się Gary’emu absurdalna — to, że w kasie ich małżeństwa brakowało funduszy miłości i dobrej woli, aby pokryć wydatek uczuciowy ze strony Caroline, w przypadku gdyby doszło do odwiedzin w St. Jude, lub koszty emocjonalne, które poniósłby Gary, gdyby zdecydowali nie jechać — nabrała przerażająco rzeczywistych kształtów. Zaczął nienawidzić Caroline za samą kontynuację tej walki z nim. Nie cierpiał nowych rezerw niezależności, które uruchomiła, aby mu się sprzeciwić. Najbardziej druzgocąca i godna odrazy była jej nienawiść do niego. Mógł przerwać tę walkę w jednej minucie, jeśli wszystko, co musiałby zrobić, to wybaczyć Caroline; ale zobaczyć w jej oczach, jaką napelniał ją odrazą — ta rzecz doprowadziła go do szału i pogrzebała wszelkie nadzieje.

Na szczęście cień rzucony przez oskarżenie Gary’ego o depresję, choć długi i czarny, nie zasnuł jeszcze jego narożnego gabinetu w CenTruście i nie odebrał mu przyjemności, jaką czerpał z kierowania swymi menadżerami, analitykami i handlowcami. Czterdzieści godzin tygodniowo, które Gary spędzał w banku, stały się jedynymi radosnymi momentami w jego życiu. Zaczął nawet przemyśliwać nad wydłużeniem czasu pracy do pięćdziesięciu godzin tygodniowo, ale to akurat łatwiej było powiedzieć niż wykonać, ponieważ pod koniec ośmiogodzinnego dnia pracy zazwyczaj nie było już nic do zrobienia i Gary wiedział aż za dobrze, że spędzanie długich godzin w biurze po to, aby uciec przed niemiłą atmosferą domową, było właśnie tą pułapką, w którą wpadł jego ojciec; niewątpliwie w ten sposób Alfred zaczął aplikować sobie lekarstwo.

Gdy Gary ożenił się z Caroline, przysiągł sobie w duchu, że nigdy nie będzie pracował dłużej niż do piątej i że nigdy nie będzie przynosił pracy do domu. Podpisując umowę ze średniej wielkości bankiem regionalnym, wybrał mniej ambitną drogę kariery niż każdy inny absolwent Szkoły Biznesu Whartona. Na początku zamierzał po prostu uniknąć błędów swego ojca i mieć czas na cieszenie się życiem, wielbienie żony, zabawę z dziećmi. Wkrótce jednak, chociaż w pracy stanowił olśniewający przykład doskonałego menadżera, nabawił się uczulenia na ambicję. Jego dużo mniej zdolni koledzy awansowali do pracy w funduszach inwestycyjnych o nieograniczonym potencjale emisyjnym, stawali się niezależnymi kierownikami działów gotówkowych lub zakładali własne fundusze. Pracowali jednak przy tym dwanaście lub nawet czternaście godzin dziennie i każdy z nich, bez wyjątku, wykształcił maniakałny, wyciskający pot styl życia człowieka, który wiecznie za czymś goni. Gary, amortyzowany przez spadek Caroline, mógł bezpiecznie kultywować brak ambicji i przynajmniej dla podwładnych być ideałem surowego i kochającego ojca, którym w domu potrafił być najwyżej w połowie. Od swoich pracowników wymagał uczciwości i doskonałości. W zamian oferował im cierpliwe przewodnictwo i instrukcje, bezwarunkową lojalność i pewność, że nigdy nie pociągnie nikogo do odpowiedzialności za własne pomyłki. Jeśli na przykład jego szefowa od obrotów dużym kapitałem, Virginia Lin, zasugerowała mu podwyższenie procentu udziałów energetycznych w bezpiecznym portfelu inwestycji bankowych z sześciu do dziewięciu procent, Gary zaś (jak to miał w zwyczaju) zdecydował się zignorować polecenie, a potem sektor energii podskoczył na giełdzie, robił tę swoją specjalną minę pod tytułem „Jestem idiotą” i przeproszał publicznie Lin. Na szczęście na każdą złą decyzję przypadały dwie lub trzy dobre, a w całej historii wszechświata CenTrust nie miał lepszych sześciu lat w zyskach z akcji zwykłych niż te, podczas których Gary był kierownikiem działu inwestycji — tylko głupiec albo oszust mógł na tym przegrać. Z gwarantowanym sukcesem Gary mógł udawać, że nie czuje respektu przed swoim szefem, Marvinem Kosterem, i jego przełożonym, Martym Breitenfeldem, prezesem CenTrustu. Gary nigdy się nie płaszczył i nie schlebiał. Koster i Breitenfeld zaczęli radzić się go w kwestiach gustu i protokołu. Koster o mały włos nie poprosił Gary’ego o pozwolenie, żeby zapisać swoją najstarszą córkę do Abington Friends zamiast do Friends’ Select. Breitenfeld indagował Gary’ego przed wejściem do pisuarów dla ścisłego kierownictwa, czy on i Caroline zamierzają przyjść na bal charytatywny na rzecz Free Library, czy też Gary oddał swoje bilety sekretarce...

3. ZRELAKSUJ SIĘ — TO WSZYSTKO DZIEJE SIĘ W TWOJEJ GŁOWIE!

Kędzierzawy Eberle pojawił się znowu w swoim wewnątrzczaszkowym fotelu biurowym, z plastikowymi modelami cząsteczki elektrolitu w dłoniach.

— Nadzwyczajne właściwości żelów z cytrynianu i octanu żelaza polegają na tym — rzekł — że pod wpływem stymulacji falami radiowymi na niskim poziomie i na pewnych częstotliwościach rezonujących ich cząsteczki mogą spontanicznie polimeryzować. Jeszcze bardziej niezwykle jest to, iż owe polimery są doskonałymi przewodnikami impulsów elektrycznych.

Wirtualny Eberle przyglądał się z dobrodusznym uśmiechem krwawej miazdze, przez którą zaczęły przebiegać rozochocone fale. Zupełnie jakby były pierwszymi dźwiękami menueta lub tańca szkockiego, wszystkie cząsteczki żelazowe utworzyły pary i ustawiły się w długie, bliźniacze szeregi.

— Te przejściowo przewodzące mikroskopowe tubule — kontynuował Eberle — tworzą coś, co wcześniej wydawało się nie do pomyślenia: bezpośredni, cyfrowo-chemiczny obszar wzajemnych oddziaływań w czasie quasi-rzeczywistym.

— To niezłe — wyszeptała Denise do Gary’ego. — Tego właśnie tata zawsze chciał.

— Czego? Żeby zostać wysiudanym z udziałów w fortunie?

— Żeby pomagać ludziom — odparła Denise. — Żeby coś zmienić.

Gary mógł zwrócić jej uwagę na to, że jeśli staruszek chciał rzeczywiście komuś pomóc, powinien zacząć od swojej żony. Ale Denise miała swoje przedziwne i niezachwiane poglądy na temat Alfreda i nie miało sensu jej rozdrażniać.

4. BOGACI BĘDĄ JESZCZE BOGATSI!

— Tak, pozornie beczynny zakamarek mózgu może być w rzeczywistości warsztatem diabła — powiedział prezydent. — Ale wszystkie nieaktywne szlaki nerwowe są ignorowane przez Corecktall. Gdziekolwiek za to coś się dzieje, Corecktall spieszy, aby wzmocnić proces. „Aby bogaci stali się bogatsi”.

W całej Sali Balowej B rozbrzmiały śmiechy, oklaski i okrzyki uznania. Gary poczuł, że jego wyszczerzony, klaszczący sąsiad, pan Dwanaście Tysięcy Akcji Exxonu, spogląda w jego kierunku. Prawdopodobnie zastanawiał się, dlaczego Gary nie przyłącza się do wiwatów, albo czuł się onieśmielony niedbałą elegancją ubioru Gary'ego.

Dla Gary'ego kluczowym elementem niebycia człowiekiem, który wiecznie za czymś goni, niebycia „samowyciskaczem potu” było ubieranie się, jakby w ogóle nie musiał pracować. Jak gdyby był dżentelmenem, który po prostu lubi przychodzić do biura i pomagać innym ludziom.

Tego dnia miał na sobie zieloną jedwabną kurtkę w sportowym stylu, lnianą koszulę écru i dopasowane spodnie bez kantu; jego telefon komórkowy był wyłączony, głuchy na wszelkie rozmowy przychodzące. Gary odchylił się na krześle i rozejrzał po sali, żeby potwierdzić, iż rzeczywiście jest tu jedynym mężczyzną bez krawata. Mimo to kontrast, jaki powinien istnieć między nim a tłumem, dziś pozostawiał wiele do życzenia. Jeszcze kilka lat temu tę salę wypełniałyby granatowe garnitury w prążki, garnitury bez rozcięć à la mafia, sztywne urzędnicze koszule w dwóch odcieniach, wiszące na pozbawionych gustu szlifibrukach. Teraz jednak, w dojrzałych, późnych latach długiej prosperity, nawet młodzi zaściankowi nieudacznicy z New Jersey nosili ręcznie szyte włoskie garnitury i okulary w oprawkach od znanych projektantów. Tyle pieniędzy przepływało przez system, że dwudziestosześcioletkowie, którzy myśleli, że Andrew Wyeth to nazwa firmy meblowej, a Winslow Homer to bohater kreskówki, mogli ubierać się niczym hollywoodzka arystokracja...

Och, mizantropia i gorycz. Gary chciał cieszyć się tym, że miał bogactwo i wolny czas, ale Ameryka czyniła to niełatwym zadaniem. Wokół niego miliony nowo wyhodowanych, zaangażowanych milionerów uporczywie brały udział w pościgu za poczuciem niezwykłości — za nabyciem idealnej posiadłości wiktoriańskiej, za rozdzielaniem nietkniętego stoku narciarskiego, za zaprzyjaźnieniem się z jakimś znanym szefem kuchni, za zlokalizowaniem plaży, której nie dotknęła ludzka stopa. Oprócz tego były jeszcze dziesiątki milionów młodych Amerykanów, którzy nie mieli pieniędzy, ale i tak gonili za Superżyciem. Tymczasem smutna prawda była taka, że nie każdy mógł być niezwykły, nie każdy mógł być Supergościem, bo kto wówczas pozostałby zwyczajnym człowiekiem? Kto odwaliłby niedocenioną robotę bycia stosunkowo niesuper?

Cóż, pozostawała jeszcze „śmietanka” z serca Ameryki: kierowcy furgonetek z St. Jude, z piętnasto- lub dwudziestokilogramową nadwagą, noszący pastelowe dresy i niemodne fryzury, naklejkami na zderzakach walczący z prawem do aborcji. W ostatnich latach Gary zaobserwował jednak z rosnącym niczym naprężenia w uskokach tektonicznych niepokojem, że populacja owa zaczęła wylewać się ze środkowego zachodu i podążać w kierunku chłodniejszych wybrzeży (sam oczywiście należał do owego exodusu, z tym że uciekł znacznie wcześniej, a poza tym, nie bójmy się

tego powiedzieć, najlepsi mają pierwszeństwo). W tym samym czasie wszystkie restauracje w St. Jude nagle nabrały europejskiego rozmachu (raptem nawet sprzątaczkę umiały powiedzieć, co to są suszone pomidory, hodowcy świń wiedzieli, co to *crème brûlée*), a sprzedawcy w centrum handlowym nieopodal domu rodziców Gary'ego nabrali manier, które zniechęcająco przypominały mu jego własne. Sprzęt elektroniczny w sklepach St. Jude też stał się lepszy i modny, zupełnie jak w Chestnut Hill. Gary chciałby, żeby ktoś zakazał dalszej migracji na wybrzeża Ameryki, a zachęcił wszystkich mieszkańców środkowego zachodu, aby powrócili do niezdrowego jedzenia, noszenia byle jakich ubrań i zabawiania się grammi planszowymi po to, aby została zachowana strategiczna narodowa rezerwa matołów, ta nieokrzęsaność gustów, która umożliwi ludziom uprzywilejowanym, jak Gary, czuć się po wieczne czasy niezwykle cywilizowanymi...

Ale dosyć tego, powiedział sobie. Ta zbyt niszcząca potrzeba bycia kimś wyjątkowym, to pragnienie absolutnego królowania w swojej wyższości było jeszcze jednym Znakiem Ostrzegawczym klinicznej D.

Poza tym pan Dwanaście Tysięcy Akcji Exxonu i tak nie patrzył na niego. Przyglądał się nogom Denise.

— Sznury polimerowe chemotaktycznie łączą się z aktywnymi szlakami nerwowymi i w ten sposób ułatwiają rozładowanie potencjału elektrycznego — wyjaśniał Eberle. — Nie do końca rozumiemy jeszcze mechanizm tego procesu, ale powoduje on, że każda czynność, którą wykonuje pacjent, przychodzi łatwiej, a jej powtarzanie sprawia o wiele więcej radości. Nawet przejściowe wywołanie takiego efektu byłoby ekscytującym osiągnięciem klinicznym. W Axonie znaleźliśmy sposób, aby owo dobroczynne działanie trwało nieprzerwanie.

— Popatrzcie tylko — zamruczał prezydent.

5. TWOJA KOLEJ NA WYSIŁEK!

Gdy animowana figurka trzęsącą się dłonią podniosła filiżankę herbaty do ust, wewnątrz jej rysunkowej głowy zapaliły się rozchwiane szlaki nerwowe. Potem postać wypila elektrolity Corecktall, przywdziała hełm Eberlega i znów uniosła rękę z filiżanką. Małe podświetlone tubule przylgnęły do aktywnych połączeń nerwowych, które nagle zaczęły pulsować mocą i jaskrawym światłem. Ręka figurki nie drgnęła ani odrobinę podczas odstawiania naczynia na spodeczek.

— Musimy zapisać tatę na testy — wyszeptała Denise.

— Co masz na myśli?

— No wiesz, to leczy parkinsona. Mogłoby mu pomóc.

Gary westchnął niczym opona, z której uchodzi powietrze. Dlaczego tak niesamowicie oczywisty pomysł nigdy nie przyszedł mu do głowy? Czuł wstyd, a jednocześnie urazę do Denise. Z nijakim uśmiechem wskazał głową na ekran, tak jakby nie usłyszał, co mówiła.

— Gdy poszczególne szlaki nerwowe zostaną zidentyfikowane i pobudzone, pozostanie już tylko mały kroczek do wprowadzania poprawek morfologicznych. A tu, jak i w innych dziedzinach medycznych, sekret tkwi w genach.

6. PAMIĘTASZ TE PIGUŁKI Z ZESZŁEGO MIESIĄCA?

Trzy dni temu, w piątkowe popołudnie, Gary'emu udało się wreszcie dotrzeć do Pudge'a Portleigha z Hevy & Hodapp. Portleigh wydawał się strasznie udreńczony.

— Gary, przepraszam, straszny tu mamy chaos — powiedział. — Ale posłuchaj, przyjacielu,

rozmawiałem z Daffym Andersonem o twojej prośbie. Daffy powiedział, że nie ma problemu i że zapiszemy pięćset akcji na rachunek tak dobrego klienta z CenTrustu. Więc co? W porządku, stary? Umowa stoi?

— Nie — odparł Gary. — Miało być pięć tysięcy, nie pięć setek.

Portleigh milczał przez chwilę.

— Cholera, Gare. Ale się namieszało. Myślałem, że mówiłeś o pięciu stówkach.

— Powtórzyłeś liczbę w rozmowie. Powiedziałeś „pięć tysięcy”. Podobno nawet to sobie zapisałeś.

— Przypomnij, jeśli nie pamiętam... czy to idzie na twój osobisty rachunek, czy CenTrustu.

— Na moje konto.

— Słuchaj, Gare, musisz zrobić tak: zadzwoń do Daffy’ego osobiście, wytłumacz, jaka jest sytuacja, że wynikło nieporozumienie, i zobacz, czy zdobędzie ci jeszcze pięćset. Do tej sumy mogę cię zdecydowanie wesprzeć. To znaczy, oczywiście, to była moja wina, nie miałem pojęcia, że to taki gorący towar. Ale musisz sobie zdawać sprawę z tego, że Daffy będzie musiał odebrać komuś jedzenie, żeby nakarmić ciebie. Jak w przyrodzie, Gare. Wszystkie małe ptaszki czekają z szeroko otwartymi dzióbkami. Mi! Mi! Mi! Krzyczą bez przerwy. Mogę ci pomóc zdobyć następne pięćset, ale sam musisz zacząć skrzeczeć o jedzenie. Rozumiemy się, przyjacielu? W porządku?

— Nie, Pudge, nie w porządku — powiedział Gary. — Pamiętasz, że kupiłem od ciebie dwadzieścia tysięcy refinansowanych udziałów Adelson Lee? Zawarliśmy także...

— Gare, Gare, nie rób mi tego — przerwał mu Pudge. — Zdaję sobie sprawę z sytuacji. Czy zapomniałem o Adelson Lee? Jezu, proszę cię, ta sprawa prześladowuje mnie o każdej porze dnia i nocy. Próbuję tylko powiedzieć, że pięćset akcji Axonu to może brzmi skromnie, ale to nie jest skromna oferta. To wszystko, co Daffy będzie mógł dla ciebie zrobić.

— Odświeżający powiew szczerości — skomentował Gary. — A teraz powiedz mi jeszcze raz, czy rzeczywiście zapomniałeś o tym, że powiedziałem „pięć tysięcy”?

— No dobra, jestem dupkiem. Dzięki za to, że mi to uświadamiasz. Ale mimo to nie zdobędę ci więcej niż tysiąc bez wspięcia się po schodach aż na sam szczyt. Jeśli chcesz swoje pięć tysięcy, Daffy potrzebuje bezpośredniego polecenia od Dicka Hevy’ego. A skoro już wspomniałeś wcześniej Adelson Lee, Dick zechce zapewne zauważyć, że CoreStates wzięły czterdzieści tysięcy ich akcji, First Delaware kupiło trzydzieści tysięcy, TiAA-CREF pięćdziesiąt i tak dalej, cała długa lista. Rachunek jest prosty, Gare. Pomogłeś nam z dwudziestoma tysiącami, teraz możemy ci się odwdzińczyć za pomocą pięciuset. To znaczy, jeśli chcesz, porozmawiam z Dickiem. Zapewne mogę spróbować wyciągnąć dodatkowe pięćset od Daffy’ego, mówiąc mu, że patrząc na niego teraz, nigdy byś się nie domyślił, jak kiedyś błyszczała jego łysa głaca. Tadam! Cudowne działanie Rogaine. Ale zasadniczo to byłby taki rodzaj transakcji, przy której Daffy musi zabawić się w Świętego Mikołaja. Będzie wiedział, czy byłeś dobrym czy złym chłopczykiem. A już w szczególności wie, dla kogo pracujesz. Szczerze mówiąc, przy tego rodzaju ofercie musiałbyś pracować w instytucji trzy razy większej niż twoja.

Oczywiście rozmiar, liczy się rozmiar. Ponieważ Gary ostatnio nie mógł użyć pieniędzy CenTrustu na jakąś niepewną inwestycję (mógł przez to stracić pracę), nie miał żadnego środka nacisku na Pudge’a Portleigha. Wciąż jednak pozostawała mu moralna przewaga w postaci zbyt niskiej oferty Axonu za wykup patentu Alfreda. Poprzednią noc Gary przeleżał w łóżku, szlifując treść przejrzystej, skalkulowanej wiadomości, którą zamierzał tego popołudnia dostarczyć wysokiej rangi przedstawicielom Axonu:

Chcę, żebyście spojrzeli mi prosto w oczy i powiedzieli, że oferta, którą złożyliście mojemu ojcu, była uczciwa i odpowiednia. Mój ojciec miał osobiste powody, dla których zaakceptował Waszą propozycję, ale ja wiem, co naprawdę zrobiliście. Czy rozumiecie, co mówię? Nie jestem staruszką ze środkowego zachodu. Wiem, co zrobiliście, i myślę, że zdajecie sobie sprawę, że nie zamierzam opuścić tego pokoju bez oficjalnego zagwarantowania z Waszej strony zakupu pięciu tysięcy akcji. Mogłbym również żądać przeprosin, ale proponuję Wam prostą transakcję, załatwienie sprawy jak między dwiema dorosłymi osobami. Co, tak przy okazji, nic Was nie kosztuje. Nic. Zero. Nada. Niente.

— Synaptogeneza! — wykrzyknął radośnie prezyder z wideoprezentacji Axonu.

7. NIE, TO NIE BIBLIA!

Inwestorzy instytucjonalni zgromadzeni w Sali Balowej B nie przestawali się śmiać.

— Czy to możliwe, żeby nas podpuszczali? — zapytała Denise Gary'ego.

— A co, uważasz, że patent taty to jakiś kawał?

Denise potrząsnęła głową.

— To wszystko sprawia, że chyba, no, chyba chcę się położyć.

Gary rozumiał, co Denise ma na myśli. Sam nie spał zbyt dobrze już od trzech tygodni. Jego rytm biologiczny zupełnie wyskoczył z torów. W nocy był ożywiony, a w ciągu dnia chodził z piekącymi z niewyspania oczami i coraz trudniej było mu uwierzyć, że ma problem natury nie neurochemicznej, lecz osobistej.

Miał rację, że przez te wszystkie miesiące ukrywał istnienie Znaków Ostrzegawczych przed Caroline! Jak doskonale przewidział, że domniemany deficyt neurofaktora 3 nadwątliłby zasadność jego argumentów moralnych! Caroline potrafiła teraz zamaskować swoją niechęć do niego „troską” o jego „zdrowie”. Jego niezdarne konwencjonalne zasoby w domowych działaniach wojennych nie dorównywały owej broni biologicznej. Z okrucieństwem zaatakował osobę Caroline, ona zaś heroicznie uderzyła w jego chorobę.

Opierając się na tej strategicznej przewadze, Caroline wykonała szereg błyskotliwych posunięć taktycznych. Kiedy Gary kreślił plany bitwy na pierwszy pełny tydzień wrogości, zakładał, że Caroline ufortyfikuje się tak, jak w poprzedni weekend — trzymając sztamę z Aaronem i Calebem i zachęcając ich do żartów z głupiego, starego ojca. Dlatego czwartkowej nocy urządził na nią zasadzkę. Zasugerował nagle, że w niedzielę zabierze Aarona i Caleba na wycieczkę rowerową w góry, do Poconocos, co dałoby mu cały długi dzień na zainicjowanie więzi braterskich między starszymi mężczyznami, w czym Caroline oczywiście nie mogłaby uczestniczyć ze względu na bolące plecy.

Caroline zareagowała na jego propozycję z entuzjazmem. Namawiała Caleba i Aarona, żeby pojechali i dobrze się bawili z ojcem. Położyła na ostatnią frazę zastanawiający nacisk i jakby na sygnał Aaron i Caleb wykrzyknęli entuzjastycznie: „Wycieczka rowerowa w góry! Super, tato!”. I nagle Gary zrozumiał, co tu się odbywało. Zrozumiał, dlaczego w poniedziałkowy wieczór Aaron przyszedł i przeprosił go za to, że nazwał go okropnym, i dlaczego we wtorek Caleb, po raz pierwszy od kilku miesięcy, zaprosił go na mecz foosballu, dlaczego w środę Jonah przyniósł mu, nieproszony, na korkowej tacy następny kieliszek martini, który nalała mu Caroline. Zrozumiał, dlaczego jego dzieci stały się nagle zgodne i potulne: ponieważ Caroline powiedziała im, że ich ojciec zmaga się z depresją kliniczną. Co za mistrzowskie posunięcie! Bo ani przez chwilę nie wątpił, że to kolejny ruch

w ich rozgrywce, że troska Caroline jest fałszywką, elementem taktyki wojennej, sposobem na wykręcenie się z Gwiazdki w St. Jude, albowiem w jej oczach nie było żadnej, najślabszej iskry, nawet cienia czułości i ciepła dla Gary'ego.

— Powiedziałaś chłopcom, że mam depresję? — zapytał ją w ciemnościach, z dalekiego krańca ich wielkiego łóża. — Caroline, czy naopowiadałaś im kłamstw o moim stanie emocjonalnym? Czy dlatego wszyscy nagle stali się dla mnie tacy mili?

— Gary — odparła Caroline. — Są dla ciebie mili, bo naprawdę chcą pojechać na wycieczkę do Poconocos.

— Coś mi tu trąci fałszem.

— Wiesz co, naprawdę zaczynasz wpadać w paranoję.

— Kurwa twoja mać!

— Gary, zaczynasz mnie przerażać!

— Próbujesz zrobić ze mnie wariata, a to najniższa zagrywka z możliwych. Samo dno. Nie słyszałem o podlepszym zagranium.

— Proszę cię, posłuchaj samego siebie.

— Odpowiedz mi na pytanie — zażądał. — Powiedziałaś im, że mam depresję? Że przechodzę trudny okres?

— A nie przechodzisz?

— Odpowiedz na pytanie!

Nie odpowiedziała. Tej nocy nie wy dobył już z niej ani słowa, chociaż powtarzał swoje żądanie przez pół godziny, przerywając na minutę lub dwie, żeby mogła odpowiedzieć, ale nie doczekał się odzewu.

Rano, w dzień wycieczki rowerowej, był tak osłabiony brakiem snu, że jego jedyną ambicją było odbębnić swoje na czysto fizycznej płaszczyźnie. Zapakował trzy rowery na dach ogromnego i bardzo bezpiecznego forda stompera Caroline i prowadził samochód przez dwie godziny. Potem rozładował rowery i pedałowal, pokonując kolejne kilometry wyboistych szlaków. Chłopcy wypuścili się daleko w przód i zanim ich dogonił, zdążyli już odpocząć i byli gotowi do dalszej jazdy. Spoglądali na niego z nieodmiennym, ochoczym wyrazem przyjaznego wyczekiwania na twarzach, tak jakby Gary miał im coś do powiedzenia. Ale sytuacja neurochemiczna Gary'ego była fatalna; nie potrafił wykrztusić z siebie niczego prócz: „Zjedzmy kanapki” i „Jeszcze jedno wzgórze i zawracamy”. O zmierzchu załadował z powrotem rowery na stompera i po dwóch godzinach jazdy zdjął je z bagażnika z uczuciem zalewu ANHEDONII.

Caroline wyszła przed dom i opowiedziała starszym chłopcom, jak dobrze bawili się razem z Jonahem. Stwierdziła, że stała się wielbicieleką książek o Narnii. Potem przez cały wieczór gawędziła z Jonahem o Aslanie, Ker-Paravel i Rycypisku, a także o internetowym czacie tylko dla dzieci na temat Narnii oraz o witrynie C. S. Lewisa, na której było mnóstwo fajnych gier sieciowych i całe tony fajowskich gadżetów do kupienia.

— Można kupić CD z grą Książę Kaspian — powiedział Jonah Gary'emu. — Nie mogę się doczekać, kiedy w nią zagram.

— Wygląda na rzeczywiście interesującą i dobrze zaprojektowaną grę — dodała Caroline. — Pokazałam Jonahowi, jak ją zamówić.

— Jest tam taka Szafa — zaczął tłumaczyć Jonah. — I najedzasz, i klikasz, i wchodzisz przez Szafę do Narnii, a tam jest mnóstwo fajnych rzeczy.

Jakże głębokiego uczucia ulgi doświadczył Gary następnego poranka, gdy niczym szarpany sztormem jacht dobił do bezpiecznej przystani tygodnia pracy. Nie mógł zrobić nic, tylko w miarę pozbierać się do kupy i trzymać kurs, nie wpadać w depresję. Pomimo ciężkich strat wciąż był przekonany o zwycięstwie. Wiedział to od czasu pierwszej kłótni z Caroline dwadzieścia lat temu, gdy siedział sam w mieszkaniu, oglądał nocne sprawozdanie z meczu Philliesów i słuchał telefonu, który dzwonił co dziesięć minut, potem co pięć, co dwie. Wtedy zrozumiał, że w bijącym sercu Caroline mieszka rozpaczliwa niepewność. Prędzej czy później, jeśli odmówi jej swojej miłości, ona przyjdzie do niego, bijąc swoją małą piąstką w jego pierś i pozwoli mu postawić na swoim.

Caroline nie okazywała jednak żadnych oznak słabości. Późnym wieczorem, gdy Gary był zbyt przestraszony i zły, żeby zasnąć, grzecznie, lecz stanowczo odmówiła walki z nim. Szczególnie nieugięta okazała się, gdy wyraziła brak chęci do rozmowy o świętach. Powiedziała, że słuchanie Gary'ego tokującego na ten temat kojarzy jej się z oglądaniem pijącego alkoholika.

— Czego chcesz ode mnie? — zapytał Gary. — Powiedz, co chcesz ode mnie usłyszeć?

— Chcę, żebyś wziął odpowiedzialność za swoje zdrowie psychiczne.

— Jezu, Caroline. Nie, nie, nie! Zła odpowiedź.

Tymczasem niezgoda, bogini życia małżeńskiego, ciągnęła za sznurki w biznesie linii lotniczych. W „Inquirerze” pojawiła się cała strona drastycznie tanich ofert Midland Airlines, włączywszy w to podróż powrotną z Filadelfii do St. Jude za jedyne 198 dolarów. Tylko cztery daty w drugiej połowie grudnia były niedostępne. Gdyby zostali jeden dzień dłużej u rodziców, Gary mógł zafundować wycieczkę gwiazdkową dla całej rodziny za niecały tysiąc dolców. Poleciał swojemu agentowi zarezerwować pięć biletów i codziennie odnawiać opcję. W końcu w piątkowy poranek, wiedząc, że promocja kończy się tego dnia o północy, oświadczył Caroline, że kupuje bilety. Zgodnie ze swoją polityką antygwiazdkową, Caroline zwróciła się do Aarona, pytając, czy uczył się już do klasówki z hiszpańskiego. Ze swojego biura w CenTruście, niczym z okopów wojennych, Gary zadzwonił do agenta i potwierdził zakup. Potem skontaktował się z lekarzem i poprosił o pastylki nasenne, na krótki czas, coś trochę mocniejszego niż zwykle proszki dostępne bez recepty. Doktor Pierce odpowiedział, że proszki nasenne nie są dobrym pomysłem. Caroline wspomniała mu, że Gary może cierpieć na depresję, a w tym przypadku środki nasenne na pewno mu nie pomogą. Może zamiast tego Gary zechciałby przyjść i porozmawiać o swoim samopoczuciu?

Przez chwilę, zanim Gary odłożył słuchawkę, wyobraził sobie życie po rozwodzie, ale trzy błyszczące, wyidealizowane w jego umyśle sylwetki dzieci, przesłonięte nietoperzowatą hordą jego obaw finansowych, wypędziły tę myśl z jego głowy.

Podczas sobotniej kolacji u Drew i Jamiego Gary przetrząsnął ich szafkę z lekarstwami w nadziei, że znajdzie buteleczkę czegoś w rodzaju walium, ale nie miał szczęścia.

Wczoraj Denise zadzwoniła do niego i nalegała ze złowieszczą stanowczością, żeby umówił się z nią na lunch. Powiedziała, że w sobotę widziała się z Alfredem i Enid w Nowym Jorku. Powiedziała też, że Chip i jego dziewczyna zostawili ją ze wszystkim i zniknęli.

Leżąc na łóżku kolejnej bezsennej nocy, Gary zastanawiał się, czy takie właśnie posunięcie Caroline miała na myśli, opisując Chipa jako człowieka wystarczająco uczciwego, aby powiedzieć, co może, a czego nie może tolerować.

— Komórki są genetycznie przeprogramowywane, aby uwalniać czynnik wzrostowy neuronów tylko wtedy, gdy się je miejscowo aktywuje! — powiedziało radośnie wideofoniczne faksymile Earla Eberlego.

Młoda kobieta z hełmem Eberlego na głowie była podłączona do maszyny, która

przekwalifikowywała jej mózg, aby potrafił poinstruować nogi, że mają chodzić.

Modelka z zimnym wyglądem, z uczuciem mizantropii i goryczy wypisanymi na twarzy, popchnęła w górę kąciki ust, podczas gdy powiększona animacja pokazywała, jak w jej mózgu rozkwitają światłem dendryty, tworzą się nowe połączenia synaptyczne. Po chwili dziewczyna mogła się uśmiechać bez popychania ust palcami. Po kilku kolejnych minutach jej uśmiech stał się olśniewający.

CORECTALL TO PRZYSZŁOŚĆ!

— Spółka Axon Corporation ma szczęście posiadać pięć amerykańskich patentów chroniących jej potężną platformę technologiczną — powiedział Eberle do kamery. — Owe patenty, oraz osiem innych, które są obecnie rozpatrywane, tworzą zaporę nie do pokonania, zabezpieczającą sto pięćdziesiąt milionów dolarów, które wydaliśmy do tej pory na badania i udoskonalanie technologii. Axon jest liderem w tej dziedzinie. Mamy sześćdziesięcioletnią udokumentowaną historię wpływów gotówkowych i dochody, które według naszych obliczeń osiągną w tym roku osiemdziesiąt milionów dolarów. Potencjalni inwestorzy mogą być pewni, że każdy pens i każdy dolar, który zostanie wpłacony do piętnastego grudnia, zostanie wydany na dalsze udoskonalanie tego fantastycznego i potencjalnie historycznego produktu. Corectall to przyszłość!

— Przyszłość! — zawtórował Eberlemu prezenter.

— Przyszłość! — powtórzył chórek naprawdę ślicznych studentek w kujońskich okularkach.

— Wolałam przeszłość — skomentowała Denise, wychylając pół litra gratisowej importowanej wody mineralnej.

Zdaniem Gary'ego zbyt dużo ludzi zużywało powietrze w Sali Balowej B. Jakiś problem z wentylacją. Kiedy zapłonęły z pełną mocą światła, milczący kelnerzy zaczęli przesuwac się pomiędzy stolikami, roznosząc popołudniowe przekąski na tacach z przykrywkami.

— Czuję, że podadzą łososia — powiedziała Denise. — Tak, na pewno podadzą łososia.

Z foteli prezenterów podniosły się i ruszyły w kierunku podium trzy postaci przypominające Gary'emu jego miesiąc miodowy spędzony we Włoszech. Razem z Caroline odwiedzili katedrę, gdzieś w Toskanii, może w Sienie. Tam w muzeum widzieli wielkie średniowieczne posągi świętych, które niegdyś stały na dachu katedry, każdy z ręką wyciągniętą w geście pozdrowienia, charakterystycznym dla kandydatów na prezydenta, i ze świątobliwym uśmiechem pewności.

Najstarszy z trzech beatyfikowanych prezenterów, czerwony na twarzy mężczyzna w okularach bez oprawek, wyciągnął rękę, żeby pobłogosławić tłum.

— Halo! — krzyknął. — Posłuchajcie wszyscy! Nazywam się Joe Prager i jestem prawnikiem kancelarii Bragg & Knuter, zajmuję się dużymi transakcjami. Po mojej lewej stronie stoi Merilee Finch, dyrektor naczelna Axonu, po prawej Daffy Anderson, kierownik działu inwestycji w Hevy & Hodapp. Mieliliśmy nadzieję, że sam Kędzior raczy do nas dziś dołączyć, ale niestety, jest rozrywany i w tym właśnie momencie udziela wywiadu w CNN. Pozwólcie więc, że odwalę tymczasem krecią robotę, hi, hi, hi, a potem oddam głos Daffy'emu i Merilee.

— Cze, Kelsey, mów do mnie, kotku, mów do mnie — krzyczał młody sąsiad Gary'ego.

— Pierwsze wyjaśnienie — mówił Prager. — Bardzo proszę, niech wszyscy sobie zanotują, że wyraźnie to powiedziałem. Rezultaty Kędziora to zaledwie wynik prób. Wszystko znajduje się w Pierwszej Fazie badań, kochani. Czy wszyscy mnie słyszeli? Tam, z tyłu? — Prager wyciągnął szyję i zamachał rękami w kierunku najdalszych stolików, wliczając w to miejsce zajmowane przez

Gary'ego.

— Oficjalne oświadczenie: produkt jest w Pierwszej Fazie badań klinicznych. Axon nie otrzymał jeszcze, i w żaden sposób nie sugeruje inaczej, zgody FDA na przystąpienie do Drugiej Fazy testów. Co jest po Fazie Drugiej? Faza Trzecia! A po niej? Wielostopniowy proces, który może opóźnić wypuszczenie produktu na rynek aż o trzy lata. Kochani, halo, mamy tutaj wyniki badań klinicznych, które są bardzo interesujące, ale bardzo wstępne. Więc rozumiemy się? *Caveat emptor*, hi, hi, hi, tak?

Prager z trudem zachowywał powagę. Merilee Finch i Daffy Anderson usiłowali prezentować poważne miny, jakby mieli jakieś brudne sekrety.

— Drugie wyjaśnienie — ciągnął Prager. — Dzisiejsza inspirująca prezentacja wideo nie jest prospektem firmy. Wystąpienia Daffy'ego i Merilee są *impromptu* i znów przypominam, także nie zawierają danych z prospektu...

Kelnerzy opadli stolik Gary'ego, podając mu łososia na soczewicy. Denise gestem pokazała, że nie będzie jadła przystawki.

— Nie jesteś głodna? — spytał Gary.

Potrząsnęła głową.

— Denise, naprawdę — poczuł się zraniony. — Mogłabyś chociaż skubnąć co nieco w moim towarzystwie.

Denise spojrzała mu prosto w oczy z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

— Wierci mnie trochę w brzuchu — powiedziała.

— Chcesz wyjść?

— Nie, po prostu nie chcę nic jeść.

Trzydziestodwuletnia Denise była wciąż piękną kobietą, ale długie godziny spędzane przy piecu zaczęły przekształcać jej młodzieńczą skórę w coś w rodzaju maski terakotowej, która niepokoiła Gary'ego za każdym razem, gdy ją widział. W końcu Denise była jego młodszą siostrą. Jej lata płodności i zdolności do wyjścia za mąż przemijały w tempie, do którego Gary był już przyzwyczajony, natomiast ona, jak podejrzewał, jeszcze nie. Jej kariera wydawała mu się czymś w rodzaju diabelskiej klątwy, która nakazywała jej pracować po szesnaście godzin na dobę i zaprzestać wszelkiego życia towarzyskiego. Gary bał się — jako starszy brat miał wszelkie prawo się martwić — że kiedy wreszcie Denise uwolni się od zaklęcia, będzie za stara na założenie rodziny.

Szybko, nawet zbyt szybko przełknął swoją porcję łososia, podczas gdy Denise popijała importowaną wodę.

Na podium pałeczkę przejęła dyrektor naczelna Axonu, Merilee Finch, mniej więcej czterdziestoletnia blondynka o inteligentnej zadziorności dziekana college'u. Mówiła o skutkach ubocznych produktu.

— Poza bólami głowy i nudnościami, których należy się spodziewać, nie zaobserwowaliśmy na razie żadnych innych ewidentnych skutków ubocznych. Należy też pamiętać, że nasza technologia jest wdrażana już od paru lat i jak dotąd nie było raportów o szkodliwości procesu. — Finch wskazała ręką w głąb sali. — Pan w szarym garniturze od Armaniego?

— Czy Corectall nie jest przypadkiem nazwą leku na przeczyszczenie? — padło pytanie.

— Ach, no tak — Finch gwałtownie potrząsnęła głową. — Inaczej się pisze, ale rzeczywiście, wymawia są podobnie. Razem z Kędziorem przelecieliśmy mniej więcej dziesięć tysięcy propozycji nazwy procesu, zanim zdaliśmy sobie sprawę, że akurat ten aspekt jest zupełnie nieistotny dla ludzi

cierpiących na alzheimera czy parkinsona albo dla człowieka w głębokiej depresji. Mogliśmy równie dobrze nazwać nasz produkt Karcino-Azbesto, a i tak chorzy pchaliby się do nas drzwiami i oknami po pomoc. Kędzior miał jednak pewien powód, dla którego chciał zaryzykować tę dziwną aluzję. Otóż za dwadzieścia lat dzięki naszej technologii w Stanach Zjednoczonych nie będzie już więzień. Realistycznie rzecz biorąc, żyjemy obecnie w czasach, gdy dokonują się największe przełomy w naukach medycznych. Nie ma wątpliwości, że pojawią się konkurencyjne formy leczenia alzheimera czy parkinsonizmu. Niektóre z nich prawdopodobnie zostaną zaaprobowane wcześniej niż Corecktall, więc w przypadku większości schorzeń neurologicznych nasz produkt będzie tylko jedną z całego arsenału broni. Zdecydowanie najlepszą, ale nie jedyną. Z drugiej strony jeśli rozpatrujemy choroby społeczeństwa, jeśli weźmiemy na warsztat mózgi kryminalistów, nie ma żadnej innej opcji na horyzoncie: Corecktall albo paka. Stąd ta przyszłościowa, w rzeczywistości, nazwa. Rościmy sobie prawo do całkiem nowych horyzontów. Na tym oto brzegu wbijamy hiszpańską flagę konkwistadorów.

Z odległego stolika dobiegł słuchaczy pomruk. Siedzieli przy nim ubrani w tweedowe garnitury mężczyźni, prawdopodobnie z zarządów funduszków, a może reprezentanci jakiejś organizacji charytatywnej z Penn czy Temple. Jedna z kobiet, za sprawą kostiumu przypominająca bociana, wstała z krzesła i krzyknęła:

— Czy mamy rozumieć, że chcecie przeprogramować mózgi recydywistów, tak aby zaczęli z radością zamiatać ulice?

— Uważamy, że to wykonalne, tak — odpowiedziała Finch. — To jedna z możliwych korekt, chociaż zapewne nie najlepsza.

Kobieta najwyraźniej nie mogła uwierzyć w to, co słyszy:

— Nie najlepsza? To jakiś etyczny koszmar — rzuciła.

— Cóż, to wolny kraj. Może pani zainwestować w alternatywne źródła energii — powiedziała Finch żartobliwie, bo większość gości na sali zdawała się trzymać jej stronę. — Niech pani kupi sobie groszowe udziały w technologiach wykorzystania energii geotermalnej. Energia słoneczna, bardzo tanie akcje, bardzo etyczna rzecz. Kto następny, proszę? Różowa spółniczka?

— Ludzie, wy chyba śnicie — kontynuowała bocianowata głośno. — Jeśli sądzicie, że Amerykanie...

— Kochanie — przerwała Finch, korzystając z przewagi wpiętego w klapę mikrofonu i wzmocnienia. — Amerykanie popierają karę śmierci. Czy uważasz, że będą widzieli jakiś problem w zastosowaniu tak konstruktywnej alternatywy jak nasza? Za dziesięć lat przekonamy się, która z nas rzeczywiście śniła. Tak, różowa spółniczka przy stoliku numer trzy, słucham?

— Przepraszam bardzo — nalegała bocianowata. — Chciałabym tylko przypomnieć waszym potencjalnym inwestorom o ósmym przykazaniu...

— Dziękujemy, bardzo dziękujemy — przerwała Finch z nieco sztywnym uśmiechem konferansjerki. — Skoro już podnosi pani temat okrutnej i niepożądanego kary, pozwolę sobie zasugerować, żeby przeszła się pani parę ulic stąd, na północ, w kierunku Fairmount Avenue. Niech się pani przyjrzy tamtejszemu więzieniu stanowemu. Jest to pierwsza na świecie nowoczesna placówka penitencjarna, oddana do użytku w tysiąc osiemset dwudziestym dziewiątym roku. Konieczność stosowania izolatek nawet do dwudziestu lat, zdumiewający odsetek samobójstw, kompletne fiasko resocjalizacji. I to więzienie, ot, żebyśmy wiedzieli, o czym mówimy, jest do dziś dnia uważane za modelowy zakład poprawczy w Stanach Zjednoczonych. Kędzior nie mówi o tym w CNN, kochani. Opowiada o milionach Amerykanów cierpiących na chorobę Parkinsona i czterech

milionach z alzheimerem. To, o czym mówię teraz, nie jest przeznaczone dla ogółu konsumentów. Ale pozostaje faktem, iż stuprocentowo dobrowolny zabieg, który stanie się alternatywą dla więzienia, jest całkowitym przeciwieństwem czegoś okrutnego i niepożądanego. Ze wszystkich możliwych zastosowań Corecctallu to właśnie jest najbardziej humanitarne. Jest to wizja liberalna: rzeczywiste, permanentne i dobrowolne samoulepszenie.

Bocianowata, potrząsając bez przekonania głową, właśnie opuszczała salę. Siedzący po lewej stronie Gary'ego pan Dwanaście Tysięcy Akcji Exxonu przyłożył palce do ust i odprowadził ją gwizdami. Kilku młodzieńców z innych stolików przyłączyło się do niego. Gwizdali i uśmiechali się z wyższością, najwyraźniej świetnie się przy tym bawiąc. Gary obawiał się, że swym zachowaniem wzmocni tylko pogardę Denise wobec świata, w jakim teraz żył. Jego siostra wychyliła się do przodu i z osłupieniem wpatrywała się w pana Dwanaście Tysięcy Akcji Exxonu.

Daffy Anderson, typ asekuranta z głębokimi, błyszczącymi zakolami i szczeciniastą kępą włosów na czubku głowy, wyszedł odpowiedzieć na pytania dotyczące finansów. Mówił o hojnym wydzielaniu akcji firmy. Według jego słów ta inwestycja była pikantna niczym curry vindaloo i gorąca jak czerwcowy dzień w Dallas. Odmówił ujawnienia ceny, jaką Hevy & Godapp zamierzają ustalić dla akcji Axonu. Wspominał o uczciwych stawkach i — he, he — o tym, że wszystko będzie zależało od rynku.

Denise dotknęła ramienia Gary'ego i wskazała na stół znajdujący się za podium. Stała tam samotnie Merilee Finch i wpychała łososia do ust.

— Drapieżnik się pożywia. Odpowiedni moment na atak — powiedziała.

— Po co? — zapytał Gary.

— Żeby zapisać ojca na testy.

Pomysł uczestniczenia Alfreda w Pierwszej Fazie testów absolutnie nie przemawiał do Gary'ego, ale przyszło mu do głowy, że pozwalając Denise poruszyć temat choroby ojca, umożliwiając jej wzbudzenie współczucia dla rodziny Lambertów i tym samym usankcjonowania ich moralnego prawa do pomocy Albertowi, może jednocześnie zwiększyć szanse na zdobycie pięciu tysięcy akcji firmy.

— Ty mówisz — powiedział, wstając od stołu. — A potem ja chcę jeszcze o coś ją zapytać.

Kiedy przesuwali się w kierunku podium, odwracały się za nimi głowy mężczyzn podziwiających nogi Denise.

— Której dokładnie części „bez komentarza” pan nie zrozumiał? — zapytał dla żartu jednego z klientów Daffy Anderson.

Policzki dyrektor generalnej Axonu były wypchane niczym u chomika. Merilee Finch przytknęła serwetkę do ust i popatrzyła z rezerwą na zbliżających się Lambertów.

— Umieram z głodu — oświadczyła. Marne przeprosiny kobiety za to, że uległa cielesnym zachciankom. — Jeśli państwo zechcą zaczekać, za kilka minut będziemy ustawiać stanowiska.

— To półprywatne pytanie — powiedziała Denise.

Finch przełknęła z trudem — może coś przeczuwała, a może po prostu nie pogryzła dobrze jedzenia.

— Tak?

Denise i Gary przedstawili się i Denise wspomniała o liście, który wysłał Alfred.

— Muszę jeszcze coś zjeść — powiedziała przepraszająco Finch, zgarniając z talerza soczewicę. — Myślę, że to Joe pisał do waszego ojca. Rozumiem, że jesteśmy na czysto w tej sprawie? Jeśli macie dodatkowe pytania, zapewne Joe chętnie na nie odpowie.

— Nasze pytanie jest skierowane bardziej do pani — powiedziała Denise.

— Przepraszam, jeszcze jeden kęs — Finch pracownicie przeżuła łośosia, przełknęła i rzuciła serwetkę na talerz. — Jeśli chodzi o patent, to powiem wam szczerze, że myśleliśmy o naruszeniu wyłączności. Wszyscy tak robią. Ale Kędzior sam jest wynalazcą i chciał przeprowadzić rzecz właściwie.

— Szczerze mówiąc — wtrącił Gary — właściwe byłoby zaoferowanie nieco większej sumy.

Język Finch manewrował pod górną wargą niczym kot kotłujący się pod kocem.

— Chyba ma pan nieco zbyt duże mniemanie o odkryciach ojca — powiedziała. — Wielu naukowców prowadziło w latach sześćdziesiątych badania nad tymi żelami. Odkrycia anizotropii elektrycznej dokonał, o ile mi wiadomo, zespół w Cornell. Oprócz tego Joe poinformował mnie, że zapis patentu jest nieprecyzyjny. Nie odnosi się nawet do mózgu, tylko generalnie do „ludzkich tkanek”. W dżungli praw patentowych sprawiedliwość stoi po stronie silniejszego. Myślę, że nasza oferta była dość hojna.

Gary zrobił swoją opracowaną minę „idioty” i spojrzał na podium, gdzie Daffy’ego Andersona obległ tłum sympatyków i petentów.

— Nasz ojciec jest całkowicie zadowolony z oferty — upewniła dyrektorę Denise. — I na pewno będzie szczęśliwy, kiedy dowie się, co robicie.

Kobiece nawiązywanie kontaktu, przymilność i kumplostwo lekko zniesmaczyły Gary’ego.

— Przypomnij mi, w którym pracuje szpitalu? — poprosiła Finch.

— Nie pracuje — odpowiedziała Denise. — Był inżynierem na kolei. Urządził sobie laboratorium w piwnicy.

— Zrobił to wszystko jako amator? — Finch nie posiadała się ze zdumienia.

Gary nie wiedział, która „wersja” Alfreda bardziej go złości: złośliwego starego tyrana, który dokonał błyskotliwego odkrycia w piwnicy, a następnie sam wysiadał się z zarobienia na tym fortuny, czy też nieświadomego piwnicznego amatora, który bezwiednie skopiował pracę prawdziwych chemików, wydał rodzinne oszczędności na opłacenie nieprecyzyjnego wniosku patentowego, a teraz dostawał ochłap ze stołu Earla Eberlego. Obie wersje rozwścieczały go w tym samym stopniu.

Może lepiej się stało, że staruszek zignorował poradę Gary’ego i wziął pieniądze.

— Mój tata ma parkinsona — mówiła Denise.

— Och, bardzo mi przykro.

— Tak. I zastanawialiśmy się właśnie, czy mogłabyś włączyć go do grupy testującej wasz... produkt.

— Być może — odparła Finch. — Musimy zapytać Kędziora. Lubię roztrząsać aspekty pomocy ludziom. Czy twój ojciec mieszka gdzieś w pobliżu?

— W St. Jude.

Finch skrzywiła się.

— Jeśli nie uda się wam przywozić go do Schwenksville dwa razy w tygodniu, przynajmniej przez pół roku, nic z tego będzie.

— Nie ma sprawy — powiedziała Denise, zwracając się do Gary’ego. — Prawda?

Gary’emu nie podobała się ta rozmowa. Zdrowie, zdrowie, kobieta, kobieta, miło, miło, łatwo, łatwo. Nie odpowiedział.

— Jaki jest jego stan psychiczny? — zapytała Finch.

Denise otworzyła usta, ale zawahała się.

— W porządku — wydusiła wreszcie. — Całkiem w porządku.

— Żadnych oznak demencji?

Denise wyduła usta i pokręciła głową:

— Nie. Czasami wydaje się nieco zagubiony, ale... nie.

— Dezorientacja może być skutkiem ubocznym działania lekarstw — powiedziała Finch. — A w takim przypadku da się to naprawić. Ale leczenie otępienia z ciałami Lewy'ego wykracza daleko poza zakres Fazy Drugiej. Tak samo z alzheimerem.

— Jest bardzo bystry — powiedziała Denise.

— Cóż, jeśli będzie w stanie wykonać podstawowe polecenia i nie przeszkadza mu perspektywa przyjazdu na wschód w styczniu, Kędzior mógłby spróbować go włączyć do badań. To by była dobra reklama.

Finch podarowała Denise wizytówkę, po czym ciepło uściśnęła jej dłoń — nieco mniej wylewnie pożegnała się z Garym — i ruszyła w kierunku tłumu otaczającego Daffy'ego Andersona. Gary poszedł za nią i pochwycił za łokieć. Finch odwróciła się zdumiona.

— Posłuchaj, Merilee — odezwał się niskim głosem, jakby chciał powiedzieć: „zachowujmy się jak dorośli, możemy sobie przecież oszczędzić tego buzi-dupci w rozmowie”. — Cieszę się, że uważasz mojego ojca za dobrą reklamę. To bardzo hojnie z twojej strony, że ofiarowaliście mu pięć tysięcy dolarów, ale wydaje mi się, że potrzebujecie nas bardziej niż my was.

Finch pomachała komuś i prostując palec przekazała, że przyjdzie za jedną chwileczkę.

— Właściwie — powiedziała — to nie potrzebujemy was w ogóle, dlatego nie rozumiem, o czym pan mówi.

— Moja rodzina chce kupić pięć tysięcy akcji waszej firmy.

Finch roześmiała się jak dyrektor z czterdziestogodzinnym tygodniem pracy.

— Podobnie jak każdy w tej sali — odparła. — Dlatego mamy inwestorów bankowych. A teraz przepraszam...

Wyswobodziła ramię i odeszła. Gary, w otoczeniu tłumu ludzi, miał trudności z oddychaniem. Był wściekły na samego siebie, że poniżył się do błagania o akcje, wściekły za to, że pozwolił Denise uczestniczyć w tym spotkaniu, wściekły na to, że był Lambertem. Ruszył ku najbliższemu wyjściu, nie czekając na Denise, która pobiegła za nim.

Pomiędzy Four Seasons a sąsiadującym biurowcem znajdował się wspólny dziedziniec urządzony z takim przepychem i tak nienagannie utrzymywany, że równie dobrze mógłby być cyfrową reklamą cybernetyczno-zakupowego raj. Rodzeństwo Lambertów przecinało właśnie ogródek, gdy gniew Gary'ego znalazł wreszcie wentyl, przez który mógł ujść na zewnątrz.

— Nie wiem, gdzie, do cholery, tata miałby mieszkać twoim zdaniem, gdyby tu przyjechał — wyrzucił z siebie.

— Trochę u ciebie, trochę u mnie — odparła Denise.

— Nigdy cię nie ma w domu — złościł się Gary. — A co do mnie, ojciec wbił sobie do głowy, że nie zamierza zostawać w moim domu dłużej niż czterdzieści osiem godzin.

— Nie będzie tak samo jak podczas ostatnich świąt — obiecała Denise. — Zaufaj mi. W sobotę odniosłam wrażenie...

— A poza tym, w jaki niby sposób ma dojeżdżać do Schwenksville dwa razy w tygodniu?

— Gary, co chcesz przez to powiedzieć? Nie chcesz, żeby ojciec poddał się testom?

Widząc zbliżającą się parę zagniewanych ludzi, dwóch urzędników wstało i zwolniło marmurową ławeczkę. Denise przysiadła na brzegu i skrzyżowała ramiona w geście nieprzejednania. Gary zakreślał małe kółka wokół ławki, z rękami na biodrach.

— Przez ostatnie dziesięć lat — mówił — tata nie zrobił nic, żeby o siebie zadbać. Siedział w tym swoim pieprzonym niebieskim fotelu i pławił się w żalu nad samym sobą. Nie wiem, skąd nagle przyszło ci do głowy, że ni z gruszki, ni z pietruszki zaczniesz wreszcie...

— Cóż, gdyby się przekonał, że może jest dla niego jakieś lekarstwo...

— Co?! Żeby mógł pograć się w depresji przez kolejne pięć lat i żałośnie umrzeć w wieku osiemdziesięciu pięciu lat zamiast osiemdziesięciu? I to ma być ta wielka różnica?

— Może wpadł w depresję, ponieważ zachorował.

— Wybacz, ale to bzdury, Denise. Gówno prawda, staruszek miał depresję, zanim jeszcze poszedł na emeryturę i kiedy cieszył się wciąż doskonałym zdrowiem.

W pobliżu szumiała niska fontanna, częściowo odgradzając ich od reszty świata. Nad ogródkiem, w prześwicie nieba zdefiniowanym przez zarysy dachów drapaczy chmur, pojawiła się mała, niestowarzyszona chmurka. Słońce świeciło przytłumionym, rozproszonym blaskiem.

— Co byś zrobił, gdyby matka zamęczała cię przez siedem dni w tygodniu, mówiąc ci, żebyś wyszedł z domu, obserwując każdy twój ruch i zachowując się, jakby fotel, z którego korzystasz, stanowił dla niej ogromny problem natury etycznej? — zapytała Denise. — Im częściej próbuje go spędzić z fotela, tym dłużej on w nim przesiaduje. Im dłużej w nim przesiaduje, tym częściej mama...

— Denise, żyjesz w nierzeczywistym świecie.

Spojrzała na Gary'ego z nienawiścią.

— Nie traktuj mnie protekcyjnie. Tak samo nierzeczywiste może się wydać traktowanie ojca, jakby był jakąś zużytą starą maszyną. On jest człowiekiem, Gary. Ma życie wewnętrzne. I jest dla mnie miły...

— Cóż, dla mnie bynajmniej nie jest miły — odparł Gary. — A poza tym w stosunku do mamy zachowuje się jak obelżywy, samolubny tyran. Mówię ci, jeśli chce siedzieć w fotelu i przespać w nim całe swoje życie, to nie ma problemu. Podoba mi się ten pomysł. Popieram to w tysiącu procentach. Ale najpierw wywlecmy ten fotel z trzypiętrowego domu, który rozpada się i traci na wartości. Zapewnijmy mamie jakiś poziom życia. Zróbmy to, a ojciec może sobie siedzieć w swoim fotelu i litować się nad sobą nawet i do końca świata.

— Mama kocha ten dom. To ten dom nadaje jej życiu jakość.

— Cóż, w takim razie ona też jest niepoprawną marzycielką! Dużo jej to daje, ta cała miłość do starego domu, jeśli musi pilnować ojca przez dwadzieścia cztery godziny na dobę!

Denise zrobiła zęza i zdmuchnęła z czoła kosmyk włosów.

— To ty żyjesz w świecie bajek — powiedziała. — Wydaje ci się, że rodzice będą szczęśliwi w dwupokojowym mieszkaniu w środku miasta, w którym będą znali tylko nas dwoje. A wiesz, dla kogo to wszystko jest najwygodniejsze? Dla ciebie!

Gary wyrzucił ramiona w powietrze.

— Ach, więc teraz chcę tego, bo tak mi wygodniej?! Mam dosyć zamartwiania się, co będzie z tym starym domem w St. Jude. Mam po dziurki w nosie wycieczek do rodziców. I rzygać mi się chce, kiedy słucham o tym, jak nieszczęśliwa jest mama. Lepiej, żeby ta sytuacja sprzyjała tobie i mnie, niż żeby nie pasowała nikomu. Mama mieszka z wrakiem człowieka. On już ma dosyć, on już skończył, *finito*, koniec historii, kurs akcji sięgnął dna. A ona wciąż wyobraża sobie, że jeśli jeszcze bardziej

się postara, wszystko będzie w porządku i życie wróci do normy. Cóż, przykro mi, ale mam dla wszystkich komunikat: Nic już nigdy nie będzie tak, jak kiedyś!

— Nawet ci nie zależy na tym, żeby ojciec poczuł się lepiej.

— Denise — Gary zacisnął powieki. — Mieli pięć lat, zanim ojciec zachorował. I co z tym zrobił? Spędził cały ten czas, oglądając lokalne wiadomości i czekając, aż mama ugotuje mu jedzenie. Taka jest rzeczywistość. A ja chciałbym, żeby się wynieśli z tego domu...

— Gary.

— ...chcę, żeby zamieszkali w domu opieki gdzieś tu, w pobliżu i nie boję się tego powiedzieć!

— Gary, posłuchaj mnie — Denise pochyliła się do przodu w nagłym przyptywie dobrej woli, który tylko jeszcze bardziej go zirytował. — Tata może zamieszkać u mnie przez te pół roku. Oboje mogą u mnie zostać. Będę przynosiła do domu jedzenie, to nie taki znowu problem. Jeśli ojcu się poprawi, wrócą potem do domu. Jeżeli nie, będą mieli sześć miesięcy, żeby zdecydować, czy podoba im się życie w Filadelfii. Co dokładnie ci się nie podoba w tym planie?

Gary nie wiedział, co mu się nie podoba, ale już słyszał niesprawiedliwe pienia Enid o tym, jakim to Denise jest wspaniałym dzieckiem. Ponieważ zaś trudno mu było sobie wyobrazić Caroline i Enid mieszkające w zgodzie pod jednym dachem przez sześć miesięcy (czy nawet sześć tygodni), nie mógł nawet dla czystej formalności zaproponować, że rodzice zatrzymają się u niego.

Wzniósł oczy ku intensywnie białej plamie słońca, które dotknęło narożnika jednego z biurów. Rozpościerające się dokoła dywany chryzantem, begonii i liriopie były niczym ubrane w bikini statystki z teledysku; wystawione na pokaz w czerwonym rozkwicie perfekcji, zostaną usunięte, zanim zaczną więdnąć, tracić liście i płatki, i nabiorą brązowych plam. Gary zawsze lubił reprezentacyjne ogrody — tło do prezentacji przywilejów, metonimię rozpieszczania — ale nie można było zbyt wiele od nich wymagać. Ważne, żeby nie przychodzić do nich, gdy człowiek jest w potrzebie.

— Wiesz, nic mnie to nie obchodzi — powiedział. — Świetny plan. Jeśli zgadzasz się odwalić brudną robotę, to tym lepiej.

— Nie ma sprawy, zrobię to — odparła szybko Denise. — A teraz co będzie ze świętami? Tata naprawdę bardzo by chciał, żebyście przyjechali.

— Więc tata też został w to wciągnięty, tak? — roześmiał się Gary.

— Chce tego dla dobra mamy. A ona naprawdę strasznie potrzebuje tych świąt.

— Jasne, że potrzebuje. Mówimy przecież o Enid Lambert. Czego może chcieć innego Enid Lambert niż Gwiazdki w St. Jude?

— Cóż, ja w każdym razie jadę — powiedziała Denise. — Spróbuję też namówić Chipa i myślę, że wasza piątka również powinna się wybrać. Powinniśmy po prostu sprężyć się wszyscy i zrobić to dla nich.

Delikatne drżenie cnotliwości w jej głosie niepomiarnie wkurzyło Gary'ego. Wykład na temat świąt Bożego Narodzenia był ostatnią rzeczą, której potrzebował tego październikowego popołudnia, gdy wskazówka poziomu neurofaktora 3 w jego zbiorniku opadła na jaskrawoczerwone pole oznaczające całkowite wyczerpanie zapasu.

— Tata powiedział coś bardzo dziwnego w sobotę — ciągnęła Denise. — „Nie wiem, ile jeszcze czasu mi zostało”. Oboje mówili tak, jakby to miała być ich ostatnia Gwiazdka. Poczułam się dość niepewnie.

— Cóż, mama jest znana z wygłaszania komentarzy nacechowanych maksymalnym przymusem emocjonalnym.

— To prawda, ale myślę, że tym razem rzeczywiście tak uważa.

— Oczywiście, że tak uważa! — powiedział Gary. — Dobrze, pomyślę nad tym, ale Denise, to nie takie proste, przetransportować całą naszą piątkę do St. Jude! Wcale niełatwe! Zwłaszcza teraz, kiedy dużo więcej sensu miałoby spotkanie tutaj, prawda? Prawda?

— Prawda. Zgadzam się z tobą. Ale pamiętaj, to byłby tylko ten jeden raz w całym życiu — upierała się Denise.

— Powiedziałem, że o tym pomyślę. To wszystko, co mogę zrobić, w porządku? Pomyślę o tym! Pomyślę o tym! W porządku?

Denise wydawała się zaintrygowana tym wybuchem.

— Dobrze, w porządku. Dziękuję ci — powiedziała. — Tylko że...

— Dobra, co jeszcze? — zapytał Gary, cofając się o trzy kroki i nagle odwracając. — Co „tylko że”?

— Pomyślałam sobie...

— Wiesz, jestem już spóźniony o pół godziny. Naprawdę muszę wracać do biura.

Denise wywróciła oczami i spojrzała na niego, z ustami wciąż otwartymi, w połowie niedokończonej wypowiedzi.

— Skończmy już tę konwersację — powiedział Gary.

— Dobrze, cóż, nie chciałabym mówić jak mama, ale...

— Trochę za późno na to! Nieprawdaż?! Nieprawdaż?! — nagle Gary uświadomił sobie, że krzyczy z dziwną, szaloną jowialnością, wymachując rękoma w powietrzu.

— Nie chcę mówić jak mama, ale wiesz, nie powinieneś zbyt długo czekać, zanim kupisz bilety. No, to powiedziałam.

Gary chciał się roześmiać, ale powstrzymał wybuch wesołości, zanim ten wyrwał się z jego gardła.

— Świetny plan — powiedział. — Masz rację. Muszę się zdecydować wkrótce i kupić te bilety! Bardzo dobry plan! — zaklaskał rękoma niczym trener.

— Czy coś jest nie w porządku?

— Nie, masz absolutną rację. Wszyscy powinniśmy pojechać do St. Jude na te ostatnie wspólne święta, zanim sprzedamy dom rodziców lub tata zupełnie się rozsypie albo ktoś umrze. Nie ma co się nawet zastanawiać, wszyscy po prostu powinniśmy się tam pojawić. To takie oczywiste, masz absolutną rację.

— Więc nie rozumiem, dlaczego jesteś taki zły.

— Dla niczego! Nie jestem zły!

— To świetnie — Denise spojrzała na niego śmiało. — Pozwól w takim razie, że zapytam cię o jeszcze jedną rzecz. Chciałabym wiedzieć, dlaczego mama odniosła wrażenie, że mam romans z żonatym mężczyzną?

Poczucie winy przeszło przez Gary’ego niczym fala uderzeniowa.

— Nie mam pojęcia — odparł.

— Powiedziałeś mamie, że spotykam się z żonatym mężczyzną?

— Jak mógłbym jej coś takiego powiedzieć? Przecież nic nie wiem o twoim życiu osobistym.

— A czy przypadkiem nie zasugerowałaś jej tego? Nie podrzuciłaś pomysłu?

— Denise, doprawdy. — Gary odzyskiwał swoje rodzicielskie opanowanie, aurę pobłażliwości starszego brata. — Jesteś najbardziej skrytą osobą, jaką znam. Na jakiej niby podstawie mógłbym

cokolwiek o tobie opowiadać?

— Czy zasugerowałaś mamie, że mam romans? — spytała z uporem. — Ponieważ ktoś to zrobił. Ktoś wbił jej ten pomysł do głowy. A mnie się właśnie przypomniało, że pewnego razu coś ci powiedziałam, małą rzecz, którą mógłbyś mylnie zinterpretować i przekazać mamie. Gary, i ja, i ona mamy wystarczająco dużo problemów bez twojej pomocy.

— Wiesz, gdybyś nie była taka tajemnicza...

— Nie jestem tajemnicza.

— Gdybyś nie była taka skryta — poprawił się Gary — może nie miałabyś teraz tego problemu. Zachowujesz się zupełnie, jakbyś chciała, żeby ludzie o tobie plotkowali.

— To bardzo interesujące, że próbujesz nie odpowiedzieć na moje pytanie.

Gary wypuścił powoli powietrze przez zaciśnięte zęby.

— Nie mam zielonego pojęcia, skąd mama wzięła ten pomysł. Nic jej nie powiedziałem.

— W porządku — powiedziała Denise, wstając. — Zatem ja odwalam brudną robotę, a ty myślisz o Gwiazdce, tak? I spotkamy się znowu, kiedy mama i tata będą w mieście. Do zobaczenia.

Z zapierającym dech w piersiach zdecydowaniem ruszyła w kierunku najbliższego wyjścia, zbyt wolno, aby ukryć gniew, ale wystarczająco szybko, by Gary nie mógł jej dogonić bez podbiegnięcia. Odczekał minutę, żeby sprawdzić, czy Denise wróci. Kiedy się nie pojawiła, opuścił ogród i wspiął się po schodach do swojego biura.

Gary'emu pochlebiało, że jego młodsza siostra wybrała college w tym samym mieście, w którym on i Caroline kupili swój wymarzony dom. Nie mógł się doczekać, kiedy przedstawi Denise (popisując się nią, oczywiście) wszystkim swoim znajomym i kolegom z biura. Wyobrażał sobie, że każdego miesiąca będzie przychodziła na obiad na Seminole Street i że obie z Caroline będą jak siostry. Marzył o tym, że cała jego rodzina, nawet Chip, koniec końców osiedli się w Filadelfii. Oczami wyobraźni widział siostrzenice i bratanków, rodzinne przyjęcia, gry salonowe i długie, śnieżne święta Bożego Narodzenia na Seminole Street. Tymczasem oboje z Denise mieszkali w tym samym mieście od piętnastu lat i Gary czuł się, jakby prawie jej nie znał. Nigdy o nic go nie poprosiła. Nieważne, jak bardzo była zmęczona, nigdy nie przyszła w odwiedziny bez bukietu kwiatów lub ciasta dla Caroline, bez sztucznej szczęki rekina lub komiksów dla chłopców i bez nowego kawału o prawnikach lub o wkręcaniu żarówek dla Gary'ego. Nie można się było przedrzeć przez tę jej poprawność, nie było sposobu przekazać jej głębi rozczarowania faktem, że z całej jego wymarzonej, wypełnionej życiem rodzinnym przyszłości nie zrealizowało się nic.

Rok temu, podczas lunchu, Gary powiedział jej o swoim „żonatym przyjacielu” (właściwie to był jego kolega z pracy, Jay Pascoe), który miał romans z nauczycielką gry na fortepianie, udzielającą lekcji jego córce. Powiedział, że mógłby zrozumieć „rekreacyjne” podejście kolegi do całej sprawy (Pascoe nie zamierzał zostawić żony), ale że nie może pojąć, dlaczego owa nauczycielka weszła w taki układ.

— Mówisz mi, że nie potrafisz sobie wyobrazić, dlaczego kobieta miałaby pragnąć romansu z tobą? — powiedziała Denise.

— Nie rozmawiamy o mnie — odparł Gary.

— Ale jesteś żonaty i masz dzieci.

— Mówię, że nie rozumiem, co kobieta widzi w facecie, o którym wie, że jest kłamcą i fałszywcem.

— Cóż, zapewne zwykle gardzi kłamcami i fałszywcami, ale zrobiła wyjątek dla człowieka, którego kocha.

— Czyli to coś w rodzaju oszukiwania samego siebie?

— Nie, Gary. Tak właśnie wygląda miłość.

— Zakładam, że w tym wszystkim nie chodzi o nadzieję, że uda jej się wyjść za mąż za bogatego faceta?

Takie wypunktowanie liberalnej niewinności Denise za pomocą ostrego palca prawdy ekonomicznej wyraźnie ją zasmuciło.

— Widzisz kogoś, kto ma dzieci — powiedziała — i widzisz, jak to cudownie być rodzicem, i przyciąga cię to szczęście. Niemożność jest atrakcyjna. Wiesz, to bezpieczeństwo przedsięwzięć bez perspektyw.

— Mówisz, jakbyś coś o tym wiedziała — stwierdził Gary.

— Emile był jedynym facetem, do którego czułam pociąg i który nie miał dzieci.

Jej oświadczenie zainteresowało Gary'ego. Udając braterską tępotę, zaryzykował pytanie:

— Właśnie, a z kim ty się teraz spotykasz?

— Z nikim.

— Chyba nie z jakimś żonatym facetem? — zażartował.

Twarz Denise zrobiła się o jeden ton bledsza i dwa tony czerwiejsza. Sięgnęła po szklanekę z wodą.

— Z nikim się nie spotykam — powtórzyła. — Ciężko pracuję.

— Jasne, tylko pamiętaj, że życie nie kończy się na gotowaniu. Jesteś na takim etapie, że musisz zacząć myśleć o tym, co naprawdę zamierzasz osiągnąć i w jaki sposób tego dokonasz.

Denise obróciła się na swoim krześle i dała znak kelnerowi, że prosi o rachunek.

— Może wyjdę za jakiegoś bogacza — powiedziała.

Im bardziej Gary myślał o tym, że jego siostra mogłaby się spotykać z żonatymi mężczyznami, tym bardziej się denerwował. Mimo to nigdy nie powinien wspomnieć o tej sprawie Enid. Owa uwaga wymknęła mu się po tym, jak wypił gin na pusty żołądek, słuchając, jak jego matka pieje hymny pochwalne na temat Denise, zaledwie kilka godzin po ujawnieniu afery z okaleczonym austriackim reniferem i po ujawnieniu, że prezent Enid dla Caroline wylądował w kubie na śmieci, niczym zamordowany noworodek. Enid kadziła jakiemuś hojnemu multimilionerowi, który sponsorował nową restaurację Denise i wysłał ją na luksusową dwumiesięczną wycieczkę degustacyjną do Francji i środkowej Europy. Wychwalała oddanie i pracowitość swojej córki, a jednocześnie — w typowych dla siebie niebezpośrednich porównaniach — utyskiwała na „materializm” i „ostentację” Gary'ego oraz jego „obsesję na punkcie pieniędzy”. Zupełnie jakby sama nie miała chyzia na tym punkcie! Gary chciał jej powiedzieć: „Ze wszystkich twoich trojga dzieci to ja wiodę życie najbardziej podobne do twojego! Mam to, czego nauczyłaś mnie pożądać! A teraz, kiedy już to zdobyłem, ty zaczynasz mnie potępiać!”.

Ale gdy jałowcowe procenty wreszcie się w nim zagotowały, powiedział jednak:

— Dlaczego nie zapytasz Denise, z kim sypia? Spytaj, czy przypadkiem ten facet nie jest żonaty i dzieciaty.

— Nie sądzę, żeby Denise widywała się z kimkolwiek — powiedziała Enid.

— A ja ci mówię — wybulgotały jałowcowe procenty w Garym — zapytaj, czy kiedykolwiek miała romans z żonatym facetem. Uważam, że uczciwość nakazuje, żebyś zadała to jedno pytanie, zanim zaczniesz stawiać Denise za niedościgniony wzór pełen środkowozachodnich cnót.

Enid zasłoniła uszy.

— Nie chcę tego słuchać! — powiedziała.

— W porządku, dalej, schowaj głowę w piasek! — pieniała się jałowcówka w głowie Gary'ego.

— Tyle że ja nie chcę już więcej słuchać idiotyzmów na temat tego, jakim to Denise jest aniołem.

Gary wiedział, że w ten sposób złamał niepisany kod honorowy rodzeństwa. Ale cieszył się z tego. Cieszył się, że Denise znowu oberwie od matki. Czuł się otoczony, uwięziony przez nieakceptujące go kobiety.

Nie było oczywiście żadnego prostego sposobu na wyrwanie się z tej matni. Mógł powiedzieć „tak” zamiast „nie” jednej z tuzina sekretarek, mijających go na ulicach kobiet i sprzedawczyń, które każdego tygodnia zwracały uwagę na jego wzrost, jego grafitowoszare włosy, skórzaną kurtkę czy jego francuskie spodnie do wspinaczek wysokogórskich i które patrzyły mu w oczy, jak gdyby chciały powiedzieć „klucz leży pod wycieraczką”. Nie było jednak na świecie żadnej innej cipki, którą chciałby wylizać, żadnych innych włosów, które chciałby chwycić w dłoń niczym złoty jedwabny chwost, żadnych innych oczu, w które chciałby patrzeć, osiągając orgazm, poza Caroline. Jedynym pewnym sposobem na nawiązanie romansu było dodanie do życia jeszcze jednej niezadowolonej ze wszystkiego baby.

W westybulu biurowca CenTrust Banku na Market Street dołączył do tłumu ludzkich istot oczekujących na windę. Urzędnicy, programiści, księgowi i inżynierowie od automatów kasujących karty pracownicze, wszyscy wracali z późnego lunchu.

— Lew jest teraz w ascendencji — powiedziała kobieta obok Gary'ego. — Bardzo dobry czas na zakupy. Lew często kieruje zawieraniem transakcji.

— A gdzie w tym wszystkim jest Zbawiciel? — spytała jej rozmówczyni.

— To także bardzo dobry czas, aby pamiętać o Zbawicielu — odrzekła spokojnie pierwsza. — Czas Lwa to właśnie odpowiedni na to moment.

— Dawka uzupełniająca lutetu połączona z ogromną ilością częściowo uwodnionej witaminy E! — odezwał się ktoś trzeci.

— Zaprogramował sobie radio z budzikiem — mówił ktoś czwarty — już to mówi samo za siebie, bo ja nie mam pojęcia o takich rzeczach, a on zaprogramował to radio, żeby budziło go na WMIA jedenaście minut po każdej godzinie, przez całą noc.

Wreszcie przyjechała winda. Gdy ludzka masa zaczęła się przesuwac w jej kierunku, Gary zaczął rozważać, czy nie zaczekać na drugą, mniej przepełnioną i odbyć podróż w atmosferze mniej przesiąkniętej miernością i odorem ciała. Jednak od strony Market Street wchodziła właśnie młoda planistka z działu nieruchomości, która przez ostatnie kilka miesięcy obdarowywała go uśmiechami zachęcającymi do rozmowy i bliższego kontaktu. Żeby się z nią nie spotkać, Gary rzucił się przez zamykające się drzwi do zatłoczonej kabiny. Nie zdążył jednak schować nogi i drzwi zatrzymały się na jego bucie, a potem otworzyły. Młoda planistka wcisnęła się do środka i stanęła tuż obok niego.

— ...Prorok Jeremiasz, dziewczyno, to on mówi o Lwie. O tutaj, w tej broszurce.

— ...normalnie mówię ci, jest trzecia jedenaście nad ranem, a Clippersi prowadzą z Grizzliesi sto czterdzieści sześć do stu czterdziestu pięciu i jest dwanaście sekund w potrójnej dogrywce.

W przepełnionej windzie nie było absolutnie żadnego echa. Każdy dźwięk tłumiony był ubraniami, ciałami, fryzurami. Nie było czym oddychać, jak w przegrzanej krypcie.

— ...ta broszura mówi o dziełach szatana.

— Przeczytaj to sobie w czasie przerwy na kawę, dziewczyno. Co ci szkodzi?

— ...obie drużyny starają się zwiększyć swoje szanse w loterii fantowej college'u, przegrywając ten skądinąd nic nieznaczący mecz pod koniec sezonu.

— ...lutet jest rzadkim pierwiastkiem, bardzo rzadkim i pochodzi z ziemi, i jest czysty, bo jest pierwiastkiem!

— ...i rozumiesz, gdyby nastawił ten zegarek na jedenaste po czwartej, usłyszałby o wszystkich najświeższych golach i musiał się przy tym obudzić tylko raz. A teraz w Sidney grają puchar Davisa i wiadomości podają co godzinę. Nie można tego przegapić.

Młoda planistka od nieruchomości była niska, miała ładną twarz i farbowane na rudo włosy. Uśmiechnęła się do Gary'ego, jakby zapraszając go do rozmowy. Wyglądała na kogoś ze środkowego zachodu — kogoś bardzo zadowolonego, że może stać u jego boku.

Gary utkwił spojrzenie w przestrzeni przed sobą i starał się nie oddychać. Miał alergię na wystające „T” w samym środku logo CenTrustu. Zawsze czuł ochotę, by wepchnąć je z powrotem niczym brodawkę sutka, ale gdy to wreszcie zrobił w myślach, nie nadeszło spełnienie. Pojawił się „cen-rust” — skorodowany cent.

— Dziewczyno, to nie jest zastępstwo wiary, tylko uzupełnienie. Izajasz też wspomina o tym lwie. Nazywa go lwem Judy.

— ...rozgrywki profesjonalno-amatorskie w Malezji, z poprzednim liderem w grupie, ale to może się zmienić pomiędzy drugą jedenastą a trzecią jedenastą, więc nie można tego przegapić.

— ...moja wiara nie potrzebuje wymiany.

— Sheri, dziewczyno, masz wosk w uszach? Słuchaj, co do ciebie mówię. To. Nie. Jest. Zastępstwo. Wiary. Tylko. Uzupełnienie.

— ...gwarantuje jedwabistą, rozświetloną skórę, a dodatkowo zmniejsza częstość ataków paniki o osiemnaście procent!

— ...i wiesz, zastanawiam się, co Samantha myśli o budziku, który włącza się tuż przy jej głowie osiem razy na noc, i tak każdej nocy.

— ...ja tylko mówię, że to dobry czas na zakupy, to wszystko, co chcę powiedzieć.

Młoda planistka pochyliła się ku Gary'emu, przepuszczając rozgrzaną falę ludzkości wysiadającą z windy, i oparła swą farbowaną głowę o jego żebra bardziej poufale, niż wymagała sytuacja. Gary'emu przyszło do głowy, że jeszcze jednym powodem, dla którego pozostał wierny Caroline przez dwadzieścia lat małżeństwa, była jego rosnąca awersja do fizycznego kontaktu z innymi istotami ludzkimi. Na pewno uwielbiał koncepcję wierności, niewątpliwie podniecała go myśl o trzymaniu się zasad, ale gdzieś pomiędzy jego mózgiem a jajami chyba zaczynało mu nawalać „okablowanie”, bo gdy w wyobraźni rozebrał i zgwałcił tę małą rudowłosą dziewczynę, myślał tylko o tym, jak duszna i skażona stałaby się świątynia jego wierności. Przekształciłaby się w wypełniony hodowlami bakterii coli magazyn; w luksusowy hotel Courtyard Marriott z zaciekami spermy na ścianach i narzutach; w rozorane gorączkowymi kocimi pazurami tylne siedzenie uroczego volkswagena lub plymoutha, którym zapewne jeździła planistka; w porośniętą grzybem podłogę jej pierwszej własnej klitki w Montgomeryville lub Conshohocken; w każde przegrzane i duszne miejsce kojarzące się w nieprzyjemny sposób z genitalnymi wypustkami i chlamydią. Jak trudno byłoby w tym wszystkim oddychać, jak przytłaczające byłoby jej ciało, i jak nędzne i skazane na niepowodzenie jego wysiłki, aby się nie poniżyć...

Wyskoczył z windy na szesnastym piętrze, wciągając głęboko w płuca schłodzone klimatyzacją powietrze.

— Dzwoniła pańska żona — oznajmiła Maggie, jego sekretarka. — Chce, żeby pan do niej natychmiast oddzwonił.

Gary zgarnął plik wiadomości ze swojej przegródki na biurku Maggie.

— Czy powiedziała, o co chodzi? — spytał.

— Nie, ale była zdenerwowana. Nie przestawała dzwonić nawet, gdy powiedziałam, że pana nie ma.

Gary zamknął się w gabinecie i przejrzał wiadomości. Caroline dzwoniła o 1.35, 1.40, 1.50, 1.55 i 2.10. Teraz była 2.25. Zaciśnął pięść w geście triumfu. Wreszcie, wreszcie jakiś objaw desperacji. Wykręcił numer domowy.

— Co się dzieje? — zapytał.

Głos Caroline drżał:

— Gary, coś się stało z twoją komórką. Próbowałam do ciebie zadzwonić, ale nie odpowiadałeś. Co się dzieje?

— Wyłączyłem telefon.

— Jak dawno temu? Próbuję się z tobą skontaktować od godziny, a teraz muszę pojechać po chłopców, ale boję się wyjść z domu. Zupełnie nie wiem, co mam robić!

— Caro, powiedz mi, co się stało.

— Ktoś tu jest, po przeciwnej stronie ulicy.

— Kto?

— Nie wiem. Ktoś w samochodzie. Nie mam pojęcia. Siedzą tam od godziny.

Czubek penisa Gary'ego topniał niczym rozgrzana końcówka świecy.

— Cóż — powiedział — poszłaś sprawdzić, kto to jest?

— Bałam się — odrzekła Caroline. — A gliny powiedziały mi, że to droga publiczna.

— Mają rację, to droga publiczna.

— Gary, ktoś znowu ukradł tabliczkę Neverestu — powiedziała, niemal płacząc. — Przyszłam do domu w południe i już go nie było. A potem wyrztałam i ten samochód już tam stał, a teraz ktoś siedzi na jego przednim siedzeniu.

— Jaki to samochód?

— Duże kombi. Stara marka, nie widziałam takiego nigdy przedtem.

— Czy był tam już, kiedy wróciłaś do domu?

— Nie wiem! Ale teraz muszę jechać po Jonaha i boję się wyjść z domu, po tym jak skradziono znak i ten samochód stoi...

— Alarm w domu działa, prawda?

— Ale jeśli wrócę do domu, a oni wciąż będą w środku i ja ich zaskoczę...

— Caroline, kochanie, uspokój się. Usłyszałybyś alarm...

— ...stłuczona szyba, alarm się wyłącza, ktoś jest w potrzasku, ci ludzie mają broń...

— Hej! Hej! Hej! Caroline. Posłuchaj, co masz zrobić. Caroline? — strach w jej głosie i potrzeba, którą ten strach ze sobą niósł, tak go podnieciły, że musiał sobie ścisnąć fiuta przez spodnie: ot, szczypta realizmu. — Zadzwoń do mnie ze swojej komórki — powiedział. — Trzymaj mnie na linii, a sama wyjdź, wyprowadź stompera i podjedź do końca drogi dojazdowej. Możesz porozmawiać przez okno z kimkolwiek, kto siedzi w tym samochodzie. Ja będę z tobą cały czas, dobrze?

— Dobrze, dobrze. Zaraz do ciebie oddzwonię.

Gdy Gary czekał na telefon, rozmyślał o ciepłe, słoności i napuchniętej brzoskwiniowej miękkości twarzy Caroline, gdy płakała, o odgłosach przetykania spływającej flegmy i o szeroko otwartej gotowości jej ust na przyjęcie jego ust. Nie czuć nic, nawet najmniejszego drgnięcia tej zdechłej myszy, z której wypuszczał czasem mocz, przez trzy tygodnie wierzyć, że już nigdy więcej Caroline

nie będzie go potrzebowała, a on nigdy już nie będzie jej pragnął, a potem, zupełnie nagle, poczuć zawroty głowy z pożądania: to było małżeństwo, jakie znał. Zadzwoił telefon.

— Jestem w samochodzie — powiedziała Caroline z kokpitowej zamkniętej przestrzeni. — Właśnie wyjeżdżam.

— Zapisz sobie numery rejestracyjne tego wozu, i to zanim do niego podjedziesz. I niech zobaczy, że go spisujesz.

— Dobrze.

W metalowym głośniczku usłyszał głęboki rytm oddechu jej SUV-a, wzrastającą mantrę przekładni automatycznej skrzyni biegów.

— Cholera, Gary! — zawyła Caroline. — Zniknął! Nigdzie go nie ma! Musiał zobaczyć, że wyjeżdżam z domu!

— Dobrze, to bardzo dobrze. Przecież tego właśnie chciałaś.

— Nie, bo on może teraz okrążyć kwartał i wrócić, kiedy mnie tu już nie będzie.

Gary uspokoił Caroline i wytłumaczył jej, jakie środki ostrożności ma zachować podczas powrotu do domu z chłopcami. Obiecał, że będzie miał komórkę przez cały czas przy sobie i że wróci do domu wcześniej. Powstrzymał się od porównywania jej stanu psychicznego ze swoim własnym.

Depresja? Nie miał żadnej depresji. Dziarskie charakterystyki rubasznej amerykańskiej ekonomii płynęły numerycznie w niezliczonych oknach na ekranie jego komputera. Orfic Midland jak na razie w górę o jeden i trzy ósme punktu. Dolar amerykański śmiał się z euro i olewał jeny. Virginia Lin wpadła do jego biura i zaproponowała sprzedaż pakietu Exxon po 104. Garry widział przez okno drugi brzeg rzeki, krajobraz tarasów zalewowych Camden w New Jersey. Poniszczony grunt z tej odległości, z wysokości okna Gary'ego sprawiał wrażenie podłogi kuchennej ze zdartym linoleum. Na południu pyszniło się słońce, źródło ulgi; Gary nie mógł znieść, że kiedy jego rodzice przyjechali na wschód, nagle okazało się, że pogoda tutaj jest do dupy. To samo słońce przyświecało im teraz na ich wycieczce statkiem, gdzieś w północnym Maine. W rogu monitora pojawiła się gadająca głowa Kędziora Eberlega. Gary powiększył okno i podkręcił głośność w chwili, gdy Eberle formułował wniosek:

— Coś w rodzaju siłowni dla mózgu, to chyba nie najgorsza wizja, Cindy.

W odpowiedzi prezenterzy „tylko-biznesu-dwadzieścia-cztery-godziny-na-dobę”, dla których ryzyko finansowe było jedynie dobroczynnym towarzyszem potencjału wzrostu, potaknęli mądrze głowami.

— Siłownia dla mózgu — powtórzyła dziennikarka. — W dalszych wiadomościach zabawka, która stała się ostatnim krzykiem mody w Belgii. Jej wynalazca twierdzi, że jego produkt może przebić popularnością Beanie Babies!

Jay Pascoe wpadł na chwilę, żeby ponarzekać na rynek obligacji. Córeczka Jaya miała teraz nową nauczycielkę gry na pianinie i wciąż tę samą matkę. Gary słyszał mniej więcej co trzecie słowo z tego, co mówił Pascoe. Jego nerwy wibrowały jak kiedyś, w pewne popołudnie dawno temu, tuż przed piątą randką z Caroline, kiedy oboje byli tak gotowi rozdziewiczyć ich związek, że każda oddzielająca ten moment godzina zdawała się granitowym blokiem, który musi zostać rozłupany przez spętanego kajdanami więźnia...

Wyszedł z pracy o 4.30 i poprowadził swojego szwedzkiego sedana przez Kelly Drive, Lincoln Drive, przez dolinę Schuylkill z jej mgłą, i dalej, autostradą, w jej jasnej, wypłaszczonej rzeczywistości, poprzez tunele cienia i gotyckie łuki wczesnojesiennych liści drzew przy Wissahickon Creek, aż do czarownych lasów Chestnut Hill.

Mimo najgorszych obaw Caroline dom stał nietknięty. Gary przeprowadził samochód przez drogę dojazdową, obok kwietnika z funkiami i trzmieliną, z którego — zgodnie z jej relacją — skradziono kolejną tabliczkę OBIEKT CHRONIONY PRZEZ NEVEREST. Od początku roku Gary ustawiał podobne tabliczki już pięć razy i wszystkie zostały skradzione. Irytowało go, że przez to rynek jest zalewany bezwartościowymi tablicami informacyjnymi, osłabiając wartość odstraszącą OCHRONY PRZEZ NEVEREST. Nie ulegało wątpliwości, że tutaj, w samym sercu Chestnut Hill, waluta cienkiej blachy tablic Neverestu, Western Civil Defence czy ProPhilaTexu, stojących przed każdym wjazdem do posiadłości, była wspierana pełnym zaufaniem oraz systemem reflektorów i skanerów siatkówki, agregatów, utajnionych podziemnych linii telefonicznych i zdalnie zamykanych drzwi. Jednak w pozostałych częściach północno-zachodniej Filadelfii, w dół do Mount Airy, w Germantown i Nicetown, gdzie mieszkali i ubijali swoje podejrzane interesy socjopaci — tam istniała osobna klasa współczujących właścicieli domów, którym przekonania nie pozwalały na opłacenie ochrony domu, pozwalały na wykradanie tablic OBIEKT CHRONIONY PRZEZ NEVEREST sprzed domu Gary’ego i ustawianie ich przed własnymi posiadłościami...

W garażu ogarnęło go alfredopodobne pragnienie, aby odchylić oparcie fotela i zamknąć oczy. Gasząc silnik, czuł, jakby jednocześnie wyłączał coś w swoim mózgu. Gdzie się podziało pożądanie i cała jego energia? To także było małżeństwo, jakie dobrze znał.

Niechętnie wysiadł z samochodu. Zmęczenie stopniowo uciskało jego oczy i zatoki, aż docierało do pnia mózgu. Nawet jeżeli Caroline była gotowa mu wybaczyć, nawet jeżeli oboje uwolniliby się na chwilę od obecności dzieci i zdołali nieco pobaraszkować (choć w rzeczywistości nie było to możliwe), i tak był pewnie zbyt zmęczony, żeby się wykazać w łóżku. W najbliższej perspektywie miał pięć długich, wypełnionych dziećmi godzin, zanim sam się wreszcie położy, z Caroline u boku. Żeby odzyskać energię, która buzowała w nim jeszcze pięć minut temu, musiałby odespać osiem, może dziesięć godzin.

Tylne wejście było zaryglowane i zabezpieczone łańcuchem. Zapukał w nie najpewniej i najradośniej, jak potrafił. Przez okno zobaczył Jonaha, jak kłusuje w klapkach i kąpielówkach, wprowadza kod bezpieczeństwa, zdejmuje łańcuch i otwiera zamek.

— Cześć tato. Robię sobie saunę w łazience — oświadczył i pogalopował z powrotem.

Obiekt pożądania Gary’ego, zmiękczone łzami blond samica, której dodawał otuchy przez telefon, siedziała obok Caleba i oglądała film science-fiction w telewizji. Poważne humanoidy w bezpłciowych piżamach.

— Cześć — powiedział Gary. — Wygląda na to, że wszystko jest w porządku.

Caroline i Caleb pokiwali głowami, oczami wciąż na innej planecie.

— W takim razie pójdę ustawić następny znak.

— Powinieneś przybić go do drzewa — powiedziała Caroline. — Zdejmij go z palika i przybij do drzewa.

Niemal osłabiony rozczarowaniem, Gary zaczerpnął powietrza w płuca i zakasłał.

— Zdaje się, Caroline, że przesłaniu, które wystawiamy w ogrodzie, miała towarzyszyć swego rodzaju elegancja i subtelność? Coś w rodzaju „inspiracji dla inteligentnych ludzi”? Jeśli musisz przypinać łańcuchem znak agencji ochroniarskiej po to, żeby nikt ci go nie ukradł...

— Powiedziałam „przybić”.

— ...to jakbyś oznajmiała socjopatom: „Jesteśmy bezbronni! Okradnijcie nas! Okradnijcie!”.

— Nie powiedziałam „przybić łańcuchem”, tylko „przybić do drzewa”.

Caleb sięgnął po pilota i zrobił głośniej.

Gary poszedł do piwnicy i z płaskiego tekturowego kartonu wyciągnął ostatni z sześciu znaków, które przedstawiciel Neverestu sprzedał mu hurtowo. Zważywszy na koszty całego systemu ochrony domu, tablice informacyjne prezentowały bardzo kiepską jakość. Afisz był nierówno namalowany i przyczepiony za pomocą lichych aluminiowych nitów do prostokąta z walcowanej blachy, tak cienkiej, że całej tabliczki nie dało się zwyczajnie wbić młotkiem w ziemię (trzeba było wykopać dziurę).

Caroline nie podniosła wzroku, kiedy wrócił do kuchni. Gary zacząłby pewnie zastanawiać się, czy przypadkiem nie wyobraził sobie jej wcześniejszych spanikowanych telefonów, gdyby nie uporczywa wilgoć jego bokserek i to, że w ciągu trzydziestu sekund, które spędził w piwnicy, Caroline zdążyła z powrotem zaryglować zamek, założyć łańcuch na drzwi i uruchomić alarm. Ale to oczywiście on był chory psychicznie, podczas gdy ona...! Ona!

— Dobry Jezu — powiedział, wprowadzając datę ich ślubu do pamięci systemu alarmowego.

Zostawiwszy drzwi otwarte na oścież, wyszedł na dziedziniec i umieścił nowy znak Neverestu w starym, teraz pustym otworze na palik. Kiedy wrócił do domu minutę później, drzwi były znowu zaryglowane. Wyciągnął klucze, otworzył zamek i pchnął drzwi na tyle, na ile pozwolił mu zaciągnięty łańcuch, uruchamiając przy tym alarm. Napał na drzwi, przeciążając zawiasy. Rozważał przez moment, czy nie wsunąć w szparę ramienia i nie zerwać łańcucha. Caroline podskoczyła z krzykiem i przerażoną miną, a potem trzymając się za krzyż, poczłapała do drzwi i w ciągu trzydziestosekundowego limitu czasu wprowadziła do pamięci alarmu poprawny kod.

— Gary — powiedziała — po prostu zapukaj.

— Byłem na dziedzińcu, niecałe dwadzieścia metrów stąd. Po co uzbroiłaś alarm?

— Nie masz bladego pojęcia, jak to dzisiaj było — wymamrotała i kulejąc, powróciła do międzygwiazdnej przestrzeni serialu. — Czuję się strasznie samotna, Gary. Bardzo samotna.

— Ale już jestem w domu, prawda? Jestem tu.

— Tak, jesteś w domu.

— Hej, tato, co będzie na obiad? — zapytał Caleb. — Możemy zjeść mięso z rusztu?

— Tak — odparł Gary. — Ja przygotuję grilla i umyję potem naczynia, i może jeszcze zdążę przyciąć żywopłot, bo ja, dla odmiany, czuję się fantastycznie. W porządku, Caroline? Czy to twoim zdaniem brzmi zadowolająco?

— Tak, oczywiście, Gary, proszę, zrób obiad — wybąkała Caroline, wciąż gapiąc się w telewizor.

— Dobrze. Zrobię obiad — Gary klasnął w dłonie i zakasłał. Czuł, jakby jego płuca i głowa, niczym zużyte koła zębate, odpadały ze swoich osiek, wgryzając się w inne części jego wewnętrznego mechanizmu, gdy wymógł na swoim ciele brawurę, produkcję nietkniętej kryzysem energii wewnętrznej, której tak naprawdę w sobie nie miał.

Musiał dzisiaj odespać przynajmniej te sześć godzin. Aby to osiągnąć, zaplanował sobie wypicie dwóch martini z wódką i ułożenie się do snu przed dziesiątą. Przechylił butelkę nad pełnym lodu shakerem, a wódka płynęła, gulgocząc, bo przecież on, wiceprezes CenTrustu nie miał się czego wstydzić, jeżeli zapragnął odprężyć się po całym dniu ciężkiej pracy. Rozpalił ogień na grillu i wypił drinka. Niczym moneta wyrzucona w przestrzeń na szeroką, chwiejącą się orbitę rozkładu zawiął z powrotem do kuchni i zdołał przygotować mięso, ale czuł się zbyt zmęczony, aby je upiec. Ponieważ Caroline i Caleb nie zwracali na niego uwagi, gdy szykował pierwsze martini, zrobił sobie drugie — na podbudowanie i dla wykrzesania z siebie dodatkowej energii — i oficjalnie uznał, że to jego pierwszy drink. Walcząc z rozmywającymi obraz skutkami alkoholu, wyszedł na zewnątrz i wrzucił

mięso na ruszt. Znów ogarnęło go przeraźliwe zmęczenie, deficyt zawsze przyjaznego neurofaktora. Na oczach całej rodziny przygotował sobie trzecie (oficjalnie — drugie) martini i wypił je duszkiem. Przez okno obserwował, jak mięso staje w płomieniach.

Wypełnił teflonową patelnię wodą, z której uronił tylko odrobinę, gdy szedł ugasić ogień. Z grilla podniosła się chmura gorącej pary i fontanna drobnych kropelek rozgrzanego tłuszczu. Gary obrócił wszystkie kawałki mięsa, eksponując ich zwęglone, błyszczące spody. W powietrzu unosił się zapach wilgotnej spalenizny, jaki zostawia po sobie straż pożarna. W węglach zostało zbyt mało żaru, aby porządnie przypiec drugą stronę mięsa, chociaż Gary zostawił je tam na kolejne dziesięć minut.

Tymczasem jego niezmiernie liczący się z innymi ludźmi syn Jonah rozstawił naczynia na stole, przyniósł chleb i masło. Gary podał swojej żonie i dzieciom mniej spalone i nie do końca surowe kawałki mięsa. Trzymając niezgrabnie w dłoniach nóż i widelec, wypełnił usta popiołem i surowym kęsem kurczaka, którego nie miał siły przeżuć i połknąć ani wypluć do kosza. Siedział tak z kawałkiem ptasiego ciała w buzi, dopóki nie uświadomił sobie, że po brodzie cieknie mu strumyczek śliny. Zaiste niezbyt dobry sposób, aby zademonstrować swoją dobrą kondycję psychiczną. Przełknął kęs w całości. Poczuł, jakby piłka tenisowa przechodziła mu przez przełyk. Cała rodzina patrzyła na niego.

— Tato, dobrze się czujesz? — zapytał Aaron.

Gary wytarł brodę.

— Dobrze, dziękuję, Aaron. Turczak jest trochę kwardy. Troszeczkę — kaszlnął, czując, jak jego przełyk staje w płomieniach.

— Może chcesz się położyć — zaproponowała Caroline, przemawiając jak do dziecka.

— Chyba pójdę przyciąć żywopłot — odparł Gary.

— Wyglądasz na zmęczonego — nalegała Caroline. — Lepiej naprawdę pójdź się położyć.

— Nie jestem zmęczony, Caroline. Dym mi się dostał do oczu.

— Gary...

— Wiem, że opowiadasz wszystkim naokoło o mojej depresji, ale tak się składa, że czuję się wyśmienicie.

— Gary.

— Prawda, Aaron? Mam rację? Mama powiedziała ci, że mam depresję kliniczną? Tak?

Wzięty z zaskoczenia Aaron spojrzał na Caroline, która powoli i wyraźnie potrząsnęła głową.

— No więc? Powiedziała ci? — nalegał Gary.

Aaron wbił wzrok w talerz i spłonął rumieńcem. Paroksyzm miłości, który Gary poczuł do swojego najstarszego syna, swego słodkiego, uczciwego, rumieniącego się chłopca, był nierozdzielny z atakiem wściekłości, który kazał mu zerwać się od stołu, zanim Gary się zorientował, co robi. Stał i przeklinał w obecności swoich dzieci:

— Pierdolę to, Caroline! Pieprzę twoje szeptki za plecami! Mam zamiar, kurwa, pójść i przyciąć ten pierdolony żywopłot!

Jonah i Caleb spuścili nisko głowy, jakby chcieli się schować przed pożarem. Aaron wyglądał, jakby próbował odczytać historię całego swojego przyszłego życia z usmarowanego tłuszczem talerza. Caroline przemówiła spokojnym, niskim, drżącym głosem osoby ewidentnie molestowanej:

— Dobrze, Gary, w porządku. Tylko bardzo cię proszę, nie psuj nam posiłku. Idź już, proszę.

I Gary poszedł. Wypadł na dwór i przeciął dziedziniec. Liście roślin w pobliżu domu były kredowoblade w blasku domowych świateł. Na zewnątrz zostało jeszcze wystarczająco dużo

dziennego światła, aby naszkicować na gasnącym niebie sylwetki drzew. W garażu Gary zdjął z trzymaków dwuipółmetrową drabinę. Zataczał i kiwał się pod jej ciężarem, niemal wybijając przednią szybę stompera, zanim wreszcie odzyskał równowagę. Przeciągnął drabinę przed wejście do domu, zapalił światła i wrócił z elektryczną przycinarką oraz trzydziestometrowym przedłużaczem. Po drodze, trochę nie w porę, zdał sobie sprawę, że wciąż ma na sobie kosztowną lnianą koszulę. Żeby nie zabrudzić jej upačkanym przedłużaczem, zaczął go ciągnąć za sobą, w wyniku czego przedłużacz z dość niszczycielskim skutkiem zaplątał się w rabatę kwiatów. Gary rozebrał się do podkoszulka, ale nie odważył się przerwać pracy, żeby zmienić spodnie. Bał się, że straci rozpęd i zalegnie na rozgrzanym w słońcu trawniku, słuchając świerszczy i cykad, aż wreszcie uśnie. Wysilek fizyczny do pewnego stopnia oczyścił jego myśli. Gary wspiał się na drabinę i zaczął obcinać jaskrawozielone, ledwo rozwinięte czubki cisów, wychylając się tak daleko, jak tylko się odważył. Gdy zdał sobie wreszcie sprawę, że nie dosięgnie ostatniego pół metra żywopłotu tuż przy domu, powinien był prawdopodobnie wyłączyć przycinarkę, zejść z drabiny i przesunąć ją bliżej, ale było to niecałe pół metra i Gary nie znalazł w sobie wystarczających pokładów cierpliwości i energii, więc próbował „podejść” na drabinie nieco bliżej domu. Rozhuštał się, by skoczyć wraz z drabiną do przodu, wciąż trzymając w lewej ręce pracującą przycinarkę.

W następnej chwili zaaplikował swojemu prawemu kciukowi lekkie uderzenie ostrzem piły, niemal niezauważalny wstrząs, bezbolesną wibrację, która po bliższych oględzinach pozostawiła w jego palcu głęboką i bardzo krwawiącą dziurę. W idealnym świecie zdecydowanie wymagałaby ona obejrzenia przez lekarza pogotowia ratunkowego. Ale Gary był bardzo odpowiedzialnym człowiekiem. Wiedział, że jest zbyt pijany, aby pojechać samemu do szpitala Chestnut Hill, nie mógł zaś poprosić Caroline, żeby zawiozła go na pogotowie bez zadawania dziwacznych pytań dotyczących jego decyzji o wspięciu się na drabinę i operowaniu narzędziami elektrycznymi w stanie upojenia alkoholowego, co oczywiście pociągnęłoby za sobą przyznanie się Gary’ego, ile wódki wypił przed obiadem i generalnie stworzyłoby obraz niemający nic wspólnego z Dobrą Kondycją Psychiczną. On zaś, przycinając żywopłot, zamierzał utrzymać właśnie takie o sobie wyobrażenie. Chmara komarów i innych insektów, przywołana światłami na ganku, wtargnęła do domu przez główne wejście, które Gary zapomniał zamknąć, gdy wbiegał do środka z dziwnie chłodną krwią wylewającą się do miseczki utworzonej przez jego dłoń. Wpadł do łazienki na dole, zamknął się na klucz i wypuścił zebraną w dłoniach krew do zlewu. Jej żelazowy wir przywiódł mu na myśl sok z granatu, sos czekoladowy albo brudny olej samochodowy. Puścił zimną wodę na rozerwany kciuk. Spoza zaryglowanych drzwi Jonah zapytał, czy Gary się skaleczył. Lewą ręką Gary sprokurował opatrunek absorbujący z papieru toaletowego, przycisnął go do rany i — znów za pomocą jednej ręki — owinął wszystko plasterem opatrunkowym, który rozmoczony mieszaniną krwi i wody, natychmiast się odkleił. Krew była wszędzie: na muszli klozetowej, na drzwiach, na podłodze.

— Tato, robale wchodzą do domu — powiedział Jonah.

— Tak, kochanie, może zamknij drzwi, a potem idź na górę wziąć kąpiel. Przyjdę do ciebie niedługo i pogramy w warcaby.

— Czy zamiast tego możemy pograć w szachy?

— Tak.

— Ale musisz mi dać królową, laufra, skoczka i wieżę.

— Dobrze, idź się wykapać!

— A ty zaraz przyjdiesz?

— Tak!

Gary oderwał świeży kawałek plastra z rolki i roześmiał się do swojego odbicia w lustrze, żeby nabrać pewności, że to nic wielkiego. Krew przesączała się przez papier, spływała strużkami po nadgarstku i moczyła plaster, który się odklejał. Owiął dłoń ręcznikiem dla gości, a potem drugim, porządnie zmoczonym ręcznikiem, wytarł całą łazienkę do czysta. Uchylił nieco drzwi i nasłuchiwał głosu Caroline dobiegającego z góry, buczenia zmywarki do naczyń w kuchni, szumu wody wypełniającej wannę Jonaha. W głównym hallu od drzwi wejściowych prowadziła do łazienki krwawa smuga. Na czworakach, poruszając się na boki niczym wielki krab, ze zranioną ręką przyciśniętą do brzucha, Gary wytarł krew ręcznikiem dla gości. Więcej czerwonej mazi rozprysnęło się na szarej drewnianej podłodze przedniej werandy. Żeby nie robić hałasu, Gary stapał na zewnętrznych krawędziach stóp. Poszedł do kuchni po wiadro i mopa, a tam, cóż, tam był barek.

Po prostu otworzył go. Trzymając butelkę pod prawą pachą, zdołał ją otworzyć lewą ręką. Gdy już unosił butelkę i odchyłał głowę do tyłu, aby łyknąć sobie troszeczkę z tej resztki, która została w butelce, jego wzrok powędrował ponad barkiem i zobaczył kamerę.

Miała wielkość pudełka z kartami, obudowę z matowego aluminium, a zamontowano ją na ramce optycznej nad tylnym wejściem. Jej oko jarzyło się czerwienią.

Gary wstawił butelkę z powrotem do szafki, podszedł do zlewu i nalał wody do kubła. Kamera płynnie podążyła za nim.

Chciał wyrwać urządzenie z sufitu, a gdyby mu się nie udało, chciał pójść na górę i wyjaśnić Calebowi wątpliwą moralność szpiegowania, a gdyby i to mu się nie powiodło, chciał przynajmniej dowiedzieć się, jak długo kamera tkwi w tym miejscu. Ponieważ jednak miał coś do ukrycia, jakakolwiek akcja podjęta przeciw urządzeniu, jakikolwiek sprzeciw, który by zgłosił przeciwko obecności kamery w kuchni, wydałyby się Calebowi przejawem egoizmu.

Wrzucił zakrwawiony, brudny ręcznik do kubła i podszedł do tylnego wyjścia. Kamera cofnęła się na ramce, utrzymując go ciągle w centrum pola widzenia. Stał tuż pod nią i patrzył prosto w jej obiektyw. Potrząsnął głową i bezgłośnie wypowiedział słowa: „Nie, Caleb”. Oczywiście kamera nic nie odpowiedziała. Gary zdał sobie nagle sprawę, że pomieszczenie prawdopodobnie jest również na podsłuchu. Mógł przemówić do Caleba bezpośrednio, ale bał się, że kiedy spojrzy w oko Calebowego pełnomocnika, a potem usłyszy swój własny głos i pozwoli, żeby rozbrzmiał on również w pokoju chłopca, spowoduje nieznośnie silny przyływ świadomości tego, co się tutaj dzieje. Potrząsnął więc tylko głową i przesunął ręką w geście „Cięcie!”. Potem wyciągnął kubeł ze zlewu i poczłapał na werandę przed głównym wejściem.

Ponieważ Gary był pijany, nie zaprzętał sobie zbyt długo głowy problemem kamery i Caleba obserwującego jego kontuzję tudzież jego przyjaźń z barkiem alkoholowym. Przynajmniej nie świadomie. Zamiast tego problem uległ transformacji; zmienił się w coś w rodzaju stałej, fizycznej obecności w jego wnętrzu, guz, nowotwór przesuwający się od żołądka w dół, aż do podbrzusza. Problem oczywiście nie zamierzał zniknąć, ale w tym momencie nie reagował na żadne bodźce intelektualne.

— Tato — dobiegł go z góry głos Jonaha. — Jestem gotowy do gry w szachy.

Zanim Gary wszedł do domu, pozostawiając cis przycięty w połowie, a drabinę porzuconą w gęstwinie bluszczu, krew z rany zdążyła przesiąknąć przez trzy warstwy ręcznika i wykwitnąć na jego powierzchni niczym różowawa plama osocza odfiltrowanego ze wszystkich składników komórkowych. Bał się spotkać kogokolwiek w przedpokoju, Caroline lub Caleba, ale przede wszystkim Aarona, ponieważ Aaron pytał go, czy wszystko w porządku, i Aaron nigdy nie potrafił mu skłamać, a te wszystkie małe demonstracje miłości Aarona do ojca były najbardziej przerażającymi

momentami podczas całego dzisiejszego wieczoru.

— Dlaczego masz ręcznik na ręce? — zapytał Jonah, usuwając połowę sił Gary'ego z planszy.

— Skaleczyłem się. Przyłożyłem trochę lodu na rozcięcie.

— Czuć od ciebie al-ko-hol — zauważył śpiewnie Jonah.

— Alkohol jest silnym środkiem odkażającym — powiedział Gary.

Jonah przesunął pionka na pole K4.

— Mówiłem o tym alkoholu, który wypiełeś — odparł.

Przed dziesiątą Gary był już w łóżku, teoretycznie zgodnie z założeniem i prawdopodobnie na najlepszej drodze do... czego? Cóż, to akurat Gary nie za bardzo wiedział. Ale jeśli złapie trochę snu, być może uda mu się zobaczyć, co dalej. Żeby nie zakrwawić pościeli, włożył swoją skaleczoną rękę, wraz z ręcznikiem i wszystkim, w plastikowe opakowanie po chlebie. Wyłączył swoją nocną lampkę, odwrócił się do ściany z opakowaną ręką przyciśniętą do piersi i prześcieradłem oraz lekkim kocem naciągniętym na ramiona. Przez jakiś czas spał kamiennym snem, a potem obudziło go silne rwanie w dłoni. Uszkodzone tkanki po obu stronach rany pulsowały, jak gdyby załęgły się w niej robaki. Ból promieniował do wszystkich palców. Caroline oddychała równomiernie, pogrążona w śnie. Gary wstał i poszedł do łazienki opróżnić pęcherz i łyknąć cztery advile. Po powrocie do łóżka wzięty w łeb jego ostatnie, żałosne plany, ponieważ nie mógł zasnąć. Miał wrażenie, że z torby na chleb wycieka krew. Rozważał, czy nie wstać i nie wymknąć się do garażu, a następnie pojechać na pogotowie. Skalkulował jednak czas, który by mu to zajęło, i przytomność umysłu oraz siły, które musiałby spożytkować na powrót do domu, a następnie odjął od liczby godzin pozostałych do chwili, gdy powinien wstać i pojechać do pracy. Na tej podstawie doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jeśli prześpi się do szóstej, a potem, w miarę potrzeby, wstąpi na ostry dyżur w drodze do pracy. Wszystko to jednak zależało od jego zdolności do zapadnięcia w sen, a ponieważ nie mógł zasnąć, znów wszystko przemyślał i ponownie przekalkulował, tylko że teraz zostało jeszcze mniej czasu niż za pierwszym podejściem. Wynik równania zmniejszył się bezdusznie. Znowu poszedł się wysikać.

Problem Calebowej inwigilacji spoczywał niestrawiony w jego podbrzuszu. Cholernie chciał obudzić Caroline i ją zerznąć. Jego zraniona ręka pulsowała i stawała się słoniowata. Miał dłoń wielką i ciężką jak fotel, a każdy palec stał się miękkim, niezwykle wrażliwym kłocem. Denise wciąż patrzyła na niego z nienawiścią, a matka nadal tęskniła za Gwiazdką. Na chwilę wślizgnął się do pokoju, w którym ojciec siedział przywiązany do krzesła elektrycznego, z metalowym hełmem na głowie, a ręka Gary'ego spoczywała na staroświeckim, przypominającym strzemień włączniku, który ewidentnie pociągnął przed chwilą w dół, ponieważ Alfred wyskoczył z krzesła niesamowicie naelektryzowany, z okropnym uśmiechem — parodią entuzjazmu — na twarzy i zaczął tańczyć dookoła ze sztywnymi, trzęsącymi się kończynami, krążąc po pokoju coraz szybciej, a potem upadając, łup, na brzuch, jak złożona drabina, i leżąc tak twarzą w dół na podłodze komory śmierci, podczas gdy każdy jego naelektryzowany mięsień drżał i smażył się...

Gdy wstał do łazienki czwarty czy piąty raz z rzędu, za oknami pojawił się już szary poranek. Poranna wilgoć i ciepło kojarzyły się raczej z lipcem niż z październikiem. Mgła na Seminole Street zdezorientowała, ubezcieleśniła lub rozproszyła stado wron, które leciały w kierunku wzgórza, ponad Navajo Road i Shawnee Street, niczym miejscowe nastolatki spieszące na parking Wawa Food Marketu (zdaniem Aarona dzieciaki nazywały to miejsce „klubem Wa”), żeby zapalić papierosa.

Gary leżał i czekał na sen.

— ...dzień, piątego października. W dzisiejszych głównych wiadomościach między innymi prawnicy Khellyego na niespełna dwadzieścia cztery godziny przed jego egzekucją... — powiedział

budzik Caroline, zanim pacnęła wyłącznik.

Przez następną godzinę, gdy nasłuchiwał, jak wstają jego synowie, jak szykują sobie śniadanie, jak Aaron trenuje utwór Johna Philipa Sousy na trąbce, w głowie Gary'ego rodził się nowy, radykalny plan. Leżał na swojej połowie łóżka, w pozycji płodowej, z ręką owiniętą w torbę po chlebie Brannola i przyciśniętą do piersi. Nowy plan polegał na tym, żeby nic nie robić.

— Gary, wstałeś już? — spytała Caroline ze średniej odległości, prawdopodobnie z przedsionka.
— Gary?

Nie zrobił nic. Nie odezwał się.

— Gary?

Zastanawiał się, czy Caroline zaciekawi się jego brakiem reakcji, ale usłyszał jej oddalające się kroki w przedpokoju i wołanie:

— Jonah, chodź już, bo inaczej się spóźnisz.

— Gdzie jest tata? — zapytał Jonah.

— Tata ciągle śpi. Chodźmy.

Rozległ się tupot małych stópek i naraz w nowym planie Gary'ego pojawiło się pierwsze prawdziwe wyzwanie. Gdzieś bliżej niż z progu pokoju Jonah odezwał się pytająco:

— Tato? Idziemy już. Tato?

A Gary musiał nic nie robić. Musiał udawać, że nie usłyszał albo nie chciał usłyszeć, musiał wycelować swą broń, swą depresję kliniczną, w jedyne stworzenie, które pragnął oszczędzić. Gdyby Jonah podszedł bliżej — jeżeli na przykład przyszedłby i przytulił się do niego — Gary raczej nie zdołałby pozostać w bezruchu i milczeniu. Ale Caroline wołała już z dołu i Jonah wybiegł w pośpiechu.

Z daleka Gary słyszał popiskiwanie daty ślubu wprowadzanej, żeby zaktywować system alarmowy. Potem pachnący tostami dom zamilkł i Gary przyozdobił twarz wyrazem bezgranicznego cierpienia i żalu nad sobą, który widział u Caroline, gdy ta zrobiła sobie coś w plecy. Wreszcie zrozumiał, jak nigdy przedtem, ile otuchy dodawała owa mina.

Pomyślał o wstaniu z łóżka, ale nie zrobił nic. Nie wiedział, kiedy wróci Caroline; jeżeli pracowała dziś w FOPD, mogła zabawić aż do trzeciej. Nie miało to znaczenia. On tu będzie czekał.

Caroline pojawiła się po półgodzinie. Słyszał odwrócone w kolejności odgłosy jej powrotu: zbliżający się stomper, wyłączenie alarmu, kroki na schodach. Wyczuł obecność żony w drzwiach, milczącej, obserwującej go.

— Gary? — powiedziała niskim, nieco łagodniejszym tonem.

Nic. Po prostu leżał. Podeszła do niego i uklękła przy łóżku.

— Co się dzieje? Jesteś chory?

Nie odpowiedział.

— Po co ta torba? Mój Boże. Co ty zrobiłeś?

Nie reagował.

— Gary, powiedz coś. Czy to depresja?

— Tak.

Westchnęła. Tygodnie nagromadzonego napięcia uchodziły powoli z pokoju.

— Poddaję się — powiedział Gary.

— Co masz na myśli?

— Nie musisz jechać do St. Jude — powiedział. — Nikt nie musi jechać, chyba że zechce.

Dużo go kosztowało powiedzenie tego wszystkiego, ale na końcu czekała nagroda. Poczł zbliżające się ciepłò Caroline, jego blask, zanim go dotknęła, wschodzące słońce, pierwsze muśnięcie kosmyka jej włosów na jego szyi, gdy pochylała się nad nim, smak jej oddechu, delikatny dotyk jej warg na policzku.

— Dziękuję — powiedziała.

— Być może pojedę do rodziców na Wigilię, ale wrócę tu na Boże Narodzenie.

— Dziękuję.

— Jestem w głębokiej depresji.

— Dziękuję.

— Poddaję się — powiedział Gary.

O ironio, gdy tylko wywiesił białą flagę — prawdopodobnie zaraz po tym, jak przyznał się do depresji, a już na pewno w momencie, gdy pokazał jej swoją rękę, żeby solidnie ją opatrzyła, i na sto procent nie później niż w chwili, gdy jego lokomotywa, długa, twarda i ciężka niczym starodawny, mosiężny wóz parowy, zanurzyła się w pełen delikatnie pofałdowanych zakamarków wilgotny tunel, który nawet po dwudziestu latach eksploracji wydawał się wciąż niezbadany (zrobili to od tyłu, „na łyżeczkę”, żeby Caroline mogła oszczędzać swój bolący krzyż, a Gary z kolei mógł bezpiecznie ułożyć obandażowaną rękę na jej boku: pieprzący się pieprzeni kalecy) — przestał czuć przygnębieńie i ogarnęła go euforia.

Przyszło mu do głowy — może w nieodpowiednim momencie, zważywszy na czuły akt małżeński, w który był obecnie zaangażowany, ale oczywiście nie byłby Garym Lambertem, gdyby nie miewał niewłaściwych myśli, a poza tym miał już dosyć przeproszenia! — że teraz mógł spokojnie poprosić Caroline, żeby kupiła dla niego cztery i pół tysiąca akcji Axonu, a ona uczyniłaby to z rozkoszą.

Caroline uniosła się i opadła na maluteńki punkt styku, cała jej seksualna istota niemal nieważka, zawieszona na wilgotnym koniuszku jego środkowego palca.

Wystrzelił w pełnej glorii. Szczytował, szczytował i szczytował.

Wciąż jeszcze leżeli, nadzy wagarowicze w czwartkowy poranek, gdy nagle zadzwonił telefon na szafce nocnej Caroline. Gary odebrał i przeżył szok, słysząc głos matki. Wstrząsnęła nim realność jej istnienia.

— Dzwonię ze statku — powiedziała Enid.

Przez krótką, pełną poczucia winy chwilę, zanim doszło do niego, iż rozmowa telefoniczna ze statku jest kosztowna i dlatego cokolwiek miała do powiedzenia matka, nie mogło być dobrą wiadomością, Gary myślał, iż Enid zadzwoniła, ponieważ wiedziała, że właśnie ją zdradził.

NA MORZU

Dwieście godzin, ciemność, Gunnar Myrdal: to wszystko otaczało starego człowieka, a woda śpiewała tajemniczo w metalowych rurach. Gdy statek wbił się klinem w czarne morze na wschód od Nowej Szkocji, nachylił się względem horyzontu, od dzioba do rufy, jakby pomimo ogromnych, stalowych umiejętności mógł rozwiązać problem piętrzącego się, płynnego wzgórze, tylko przecinając je jak najszybciej; tak jakby stabilność statku zależała od przejścia do porządku dziennego nad strachami pływalności. Poniżej istniał inny świat i to był problem. Zupełnie inny świat, mający objętość, ale nie kształt. Za dnia morze było błękitem upstrzonym białymi grzywaczami, rzeczywistym zadaniem nawigacyjnym — wtedy można było przymknąć oczy na problem. W nocy jednak wyobraźnia zanurzała się w tej wrzaskliwej, agresywnie samotnej nicości, po której przesuwał się statek i w każdej nadchodzącej fali można było dostrzec karykaturę krat. Czuło się wtedy, jak bardzo i na wieki zagubiony może się poczuć człowiek sześć sążni pod powierzchnią wody. Suchemu lądowi brakowało trzeciego wymiaru. Suchy ląd był niczym przebudzenie. Nawet na najdalszej pustyni można było uklęknąć i uderzyć w ziemię pięścią, a ziemia nie oddawała ciosu. Oczywiście ocean też miał swoją słabość, wrażliwe miejsca. Ale każdy skrawek jego powierzchni był miejscem, w którym człowiek mógł utonąć, a przez to po prostu zniknąć.

Wszystko się kołysało, wszystko dygotało. Dreszcz wstrząsał konstrukcją Gunnara Myrdala — niekończące się drżenie podłogi, łóżek i ścian obudowanych brzoową boazerią. Synkopowany wstrząs był nieodłączną cechą statku, a jednocześnie przypominał objawy choroby Parkinsona, bo przybywało go niczym księżycą do pełni, bez perspektyw na zanikanie. Dlatego Alfred zidentyfikował problem jako swój własny, zanim usłyszał, że inni, młodszy pasażerowie też o tym wspominają.

Leżał wyrwany ze snu w kabinie numer B11. Całkiem przytomny w środku metalowego pudła, które trzęsło się i kiwało z tyłu na przód, ciemnej stalowej puszką brnącej gdzieś w głąb nocy.

Nie było tu żadnego bulaja. Kajuta z widokiem kosztowałaby setki dolarów więcej, a Enid przekonywała, że i tak kabiny służą głównie do spania, więc komu potrzebne okno, zwłaszcza za taką cenę?

Spała teraz, cicho niczym osoba tylko udająca sen. Drzemki Alfreda były symfonią charkotu, gwizdania i dławienia się, epopeją chrapania. Sen Enid był niczym haiku. Leżała bez ruchu całym godzinami, a potem nagle otwierała oczy, jakby włączała światło, kompletnie rozbudzona. Czasami, o świcie w St. Jude, w tej długiej chwili, podczas której wskazówki na radiobudziku przesuwały się o jedną kreskę do przodu, tuż przed włączeniem alarmu, jedyną rzeczą, która poruszała się w ich domu, były oczy Enid.

Tego poranka, którego poczęli Chipa, tylko wyglądała, jakby udawała sen, ale siedem lat później, tego dnia, którego spłodzili Denise, naprawdę pozorowała. Alfred, mężczyzna w średnim wieku, przebaczał jej te kłamstewka. Ponad dziesięć lat małżeństwa zmieniło go w jednego z tych cywilizowanych drapieżników, o których słyszysz w zoo; w tygrysa bengalskiego, który zapomniał, jak się zabija, w lwa niemrawego z powodu depresji. Aby wywołać jego zainteresowanie, Enid musiała zmienić się w nieruchomą, nieskrwawioną padlinę. Jeśli wykazała inicjatywę i objęła go albo zarzuciła nogę na jego biodro, odpychał ją i odsuwał twarz; jeżeli posunęła się dalej, wychodząc z łazienki naga, odwracał wzrok — złota reguła etyczna radowała się tym mężczyzną, który nienawidził sam być oglądany. Jedynie o poranku, widząc po przebudzeniu jej drobne, jasne ramię, ośmielał się wyjść ze swej kryjówki. Jej nieruchomość i zamknięcie w sobie, małe, dyskretne łyżki powietrza, które zaczerpywała, jej ewidentnie bezbronność przedmiotowość sprawiały, że błyskawicznie rzucił się na swoją zdobycz. Ona zaś, czując jego wielką łapę na swoich żebrach i

jego spragniony świeżego mięsa oddech na szyi, stawała się bezwładna, jakby poddając się instynktownej rezygnacji ofiary (no dobrze, miejmy już to umieranie za sobą), chociaż w rzeczywistości jej bierność była wyrachowana, ponieważ Enid wiedziała, że obojętność go podnieca. Brał ją, i do pewnego stopnia ona też chciała być tak posiadana, jak zwierzę, w milczącym wspólnym zaciszu agresji. Enid nigdy nie otwierała oczu. Często nawet nie zmieniała pozycji z tej, w której spała, tylko po prostu wypinała biodra lub rozchyłała nogi w mgliście proktologicznym odruchu. Po wszystkim, nie pokazując jej swojej twarzy, Alfred szedł do łazienki, mył się i golił, a kiedy kończył, łóżko było już pościelone i z dołu dochodził go odgłos bulgotania dzbanka do parzenia kawy. Z perspektywy krzątającej się w kuchni Enid, może przed chwilą właśnie zmysłowo poturbował ją lew, nie jej mąż, a może jeden z tych mężczyzn w mundurach, za którego powinna wyjść, wślizgnął się do jej łóżka? Nie było to cudowne życie, ale ona jakoś się trzymała dzięki takim małym oszustwom i dzięki wspomnieniom (które teraz również zadziwiająco przypominały zwykłe fantazje) wcześniejszych lat, kiedy Alfred szalał na jej punkcie i zawsze patrzył jej prosto w oczy. Ważne, żeby zachować milczenie. Jeśli nigdy nie będą rozmawiali na ten temat, nie pojawi się argument do przerwania owych igraszek, zanim zajdzie w ciążę, a potem, kiedy już urodzi dziecko, nie będzie powodu, dla którego nie mieliby zacząć wszystkiego od nowa. Dopóki nie będą o tym rozmawiać, wszystko jest jak należy.

Enid zawsze chciała mieć trójkę dzieci. Im dłużej natura odmawiała jej trzeciego, tym mniej czuła się spełniona w porównaniu z sąsiadkami. Bea Meisner, chociaż była grubsza i głupsza niż Enid, publicznie całowała się ze swoim mężem, Chuckiem. Dwa razy na miesiąc wynajmowali opiekunkę do dzieci i szli na zabawę. Każdego października, bez wyjątku, Dale Driblett zabierał swoją żonę Honey w jakieś bardzo ekstrawaganckie miejsce w innym stanie, aby uczcić ich rocznicę ślubu. Dzięki temu wiele pociech Driblettów przychodziło na świat w lipcu. Nawet Esther i Kirby Rootowie byli widywani na przyjęciach ogrodowych z grillem, jak poklepywali się wzajemnie po swych dobrze zaokrąglonych pośladkach. Pełna miłości życzliwość innych par przerażała i zawstydziała Enid. Była bystrą dziewczyną ze zdolnościami do prowadzenia interesów, która prosto od prasowania prześcieradeł i obrusów w pensjonacie swojej matki przeszła płynnym ruchem do prasowania prześcieradeł i obrusów w domu Lambertów. W oczach każdej sąsiadki widziała milczące pytanie: czy Al przynajmniej w tym szczególnym aspekcie małżeństwa sprawia, że Enid czuje się kimś wyjątkowym?

Kiedy wreszcie jej kolejna ciąża zaczynała być widoczna, Enid zyskiwała cichą odpowiedź. Zmiany w jej ciele nie podlegały żadnym wątpliwościom i Enid tak uparcie wyobrażała sobie pochlebne wnioski o jej życiu miłosnym, jakie Bea, Esther i Honey niewątpliwie wyciągały na podstawie owych zmian jej ciała, że wkrótce sama również zaczęła w nie wierzyć.

Uszczęśliwiona dzięki ciąży, rozkleiła się wreszcie i spróbowała porozmawiać z Alfredem o niewłaściwych rzeczach. Oczywiście nie o seksie, spełnieniu czy uczciwości. Były jednak inne tematy, niemal równie zabronione, a Enid, skołowana, pewnego poranka przeciągnęła strunę. Zasugerowała, że powinni kupić akcje pewnego przedsiębiorstwa. Alfred powiedział, że rynek akcji to stek niebezpiecznych bzdur i najlepiej pozostawić go bogaczom oraz leniwym spekulantom. Enid upierała się, że mimo wszystko mogłby nabyć akcje pewnego przedsiębiorstwa. Alfred odparł, że pamięta Czarny Czwartek, jakby to było wczoraj. Enid zasugerowała, że pomijając wszelkie okoliczności, Alfred powinien zakupić akcje pewnego przedsiębiorstwa. Alfred powiedział, że byłoby to wysoce niestosowne, a Enid dała mu do zrozumienia, że mimo wszystko powinien je zdobyć. Alfred stwierdził, że nie mają żadnych zbędnych oszczędności, zwłaszcza oczekując trzeciego dziecka. Enid podsunęła myśl, że pieniądze można pożyczyć, a Alfred odmówił. Powiedział

„nie” bardzo głośno i wstał od stołu, przy którym jedli śniadanie. Powiedział „nie” tak głośno, że zabręczczała dekoracyjna miedziana miska zawieszona na ścianie w kuchni. Potem Alfred, bez pocałunku na do widzenia, wyszedł z domu na jedenaście dni i dziesięć nocy.

Kto mógł przypuszczać, że to małe spotkanie z jej strony wszystko zmieni?

W sierpniu Midland Pacific mianowało Alfreda asystentem głównego inżyniera do spraw torów i konstrukcji kolejowych i od tej chwili posyłano go na wschód, na inspekcje każdego kilometra tracji Erie Belt Railroad. Dyrektorzy regionalni Erie Belt obwozili go po okolicach w rozkosznych drezynach z napędem benzynowym, wpadając na bocznice z zapalem uskrzydłonego robaka, w momencie gdy obok przemykał z łoskotem tabor firmowy, wielki niczym megalozaur. Erie Belt była lokalną linią kolejową, o wagonach towarowych od dawna pouszkodzonych, a pasażerskich pierwszej i drugiej klasy — przeżartych rdzą. Chociaż magistrale wciąż jeszcze się trzymały, ich odgałęzienia i ostrogi korodowały w sposób niewyobrażalny. Pociągi wlekły się z prędkością piętnastu kilometrów na godzinę po szynach nie prostszych niż zerwana struna. Kilometr za kilometrem beznadziejnie zdeformowanych torów. Alfred widział podkłady nadające się bardziej na ściółkę niż do wbijania w nie gwoździ, przytwierdzenia szyn z główkami zmienionymi w narośle z rdzy i metalowym rdzeniem uwięzionym w panierce korozji niczym krewetka w kruszonce, balast tak wypłukany, że podpory dosłownie wisiały pod torami, zamiast je stabilizować, dźwigary łuszczące się i popękane jak niemieckie ciasto czekoladowe, z ciemnymi strużynami i różnokształtnymi kawałkami kruszonki.

Jakże skromnie w zestawieniu z wściekłą lokomotywą prezentował się porośnięty chwastem tor kolejowy przemykający na obrzeżach pola sorgo. Ale bez torów pociąg był jedynie dziesięcioma tysiącami ton bezużytecznego chlamu. Potęga tkwiła w tracji kolejowej.

W każdym zakamarku królestwa Erie Beltu, do którego dotarł Alfred, słyszał, jak młodzi pracownicy kolei mówili do siebie:

- Spoko, wyluzuj się!
- Do zobaczyska, Sam. Nie przepracuj się tylko!
- Oszczędzaj się!
- Ty też, chłopie! Wyluzuj się.

Ich odzywki były dla Alfreda oznaką utraconych nadziei wschodnich, odpowiednim epitafium dla niegdyś wielkiego stanu Ohio, który został niemal doszczętnie wyeksploatowany przez pasożytniczych Teamstersów. Nikt w St. Jude nie odważyłby się powiedzieć Alfredowi, żeby się wyluzował. Na prerii, tam gdzie wyrósł, człowiek, który się oszczędzał, nie był prawdziwym mężczyzną. A teraz pojawiło się nowe, zniewieściałe pokolenie, dla którego wyluzowanie było jakimś komplementem. Alfred widział robotników kolejowych bimbających sobie w czasie pracy, jaskrawo ubranych urzędników wydzielających sobie dziesięciominutowe przerwy na kawę, obserwował niedoświadczonych projektantów palących papierosy z insynuującą rozkoszą, podczas gdy otaczający ich system kolei rozpadał się na kawałki. „Wyluzuj się” było hasłem tych superprzyjacielskich młodych mężczyzn, symbolem ich nadmiernej poufałości, fałszywą otuchą, pozwalającą im ignorować śmietnisko, w którym pracowali.

Midland Pacific dla odmiany to była czysta stal i biały beton. Podkłady kolejowe tak nowe, że błękitnawy kreozot gromadził się między ziarnami nasypu, wibracyjne podbijanie torów, hartowane sztaby dźwigarów, detektory ruchu i spawane szyny. Midpac miał siedzibę w St. Jude i obsługiwał zapracowany, bardziej centralny obszar kraju. W przeciwieństwie do Erie Belt szczylił się dbałością o utrzymanie wysokiej jakości usług we wszystkich swoich oddziałach. Tysiąc miast i miasteczek

rozsianych po środkowych stanach zależało od Midpaca.

Im więcej Alfred widział podczas inspekcji Erie Belt, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że Midland Pacific jest przedsiębiorstwem dużego kalibru, solidnym i pełnym moralnej żywotności we wszystkich aspektach przewozu.

W swej koszuli, krawacie i butach z ozdobnymi noskami szybko wkroczył na most nad Maumee River, sto dwadzieścia metrów ponad barkami z żuzłem i mętną wodą, z wprawą chwycił się liny podtrzymującej kładkę i wychylił głowę w dół, żeby uderzyć główny dźwigar swoim ulubionym młotkiem, który zawsze nosił ze sobą w teczce. Płaty farby i rdzy wielkie jak liście sykomory, wirując, spadły do wody. Na moście, bucząc ostrzegawczo, pojawiła się mała lokomotywa i Alfred, który nigdy nie bał się wysokości, złapał się kłamry na wsporniku i stanął na wąskich drewnianych podporach, których końce wisały nad rzeką. Podczas gdy podpory trzęsły się i skakały na wszystkie strony, zapisał w notesie obciążającą ocenę jakości mostu.

Być może niektóre z kobiet, które przejeżdżały akurat samochodami przez rzekę sąsiednim mostem Cherry Street, dojrzały przycupniętego na skraju mostu kolejowego Alfreda, z jego płaskim brzuchem i szerokimi ramionami, nogawkami jego spodni trzepoczącymi wokół kostek na wietrze. Może pomyślały w tej chwili, tak jak Enid za pierwszym razem, gdy go zobaczyła, że jest prawdziwym mężczyzną. Chociaż Alfred był nieświadomy ich spojrzeń, wewnątrz doświadczał tego samego, co bez jego wiedzy dane było posmakować owym kobietom. Za dnia czuł się mężczyzną i okazywał to, można by nawet rzec, że obnosił się z tym, stojąc bez trzymanki na wysokich, wąskich występach, pracując dziesięć do dwunastu godzin dziennie bez żadnej przerwy i katalogując zniewieściałość wschodniej kolei międzystanowej.

Noc była zupełnie inna. Wtedy leżał rozbudzony na materacach, które zdawały się zrobione z tektury, i katalogował wady ludzkości. Wydawało się, że w każdym motelu, w którym się zatrzymał, tuż za ścianą mieszkali ludzie, którzy cudzołożyli, jakby miało nie być jutra: źle wychowani mężczyźni bez krzty samodyscypliny, kobiety, które krzyczały i chichotały. O pierwszej w nocy w Erie, w Pensylwanii, jakaś dziewczyna w sąsiednim pokoju wrzeszczała i dyszała jak ulicznica. Jakiś obmierzły, nic niewart gość nieźle ją wyobracał. Alfred obwinał dziewczynę za beztroskę, mężczyznę za jego spokojną pewność siebie, oboje za nieliczenie się z innymi na tyle, żeby zachowywać się ciszej. Jak mogli nie pomyśleć chociaż raz o sąsiedzie, który leżał całkowicie rozbudzony w swoim pokoju? Miał pretensje do Boga, że pozwalał takim ludziom istnieć. Oskarżał demokrację, że zmuszony był znosić ich sąsiedztwo. Obwinał architekta hotelu za to, że ścianka działowa, która miała zapewnić spokój płacącym za hotel klientom, jest zbyt cienka. Ciskał gromy na dyrekcję motelu za to, że nie przewidzieli specjalnego pokoju dla gości cierpiących z powodu hałasu. Pomstował na frywolnych, wyluzowanych mieszczuchów z Waszyngtonu, którzy przebyli trzysta kilometrów z powodu szkolnych mistrzostw piłki nożnej i wypełnili wszystkie pokoje hotelowe w północno-zachodniej Pensylwanii. Winił współlokatorów motelu za ich obojętność w obliczu cudzołóstwa, całą ludzkość za jej niewrażliwość i to wszystko było bardzo niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe, że świat mógł tak bardzo nie liczyć się z osobą, która tak się przejmowała nim. Żaden człowiek nie pracował tak ciężko jak Alfred, nikt nie był cichszym klientem hotelu, żaden mężczyzna nie był bardziej męski od Alfreda, a jednak te kreatury mogły swobodnie ograbiać go z jego snu swoimi lubieżnymi poczynaniami...

Nie zamierzał płakać. Wierzył, że jeśli usłyszy swoje łkanie w śmierzącym papierosami pokoju hotelowym o drugiej nad ranem, świat się zapewne skończy. Jeśli cymś mógł się wyjątkowo chlubić, to dyscypliną. Siłą odmowy: tak, to miał.

Ale jego wysiłek pozostał niezauważony. Łóżko w sąsiednim pokoju waliło o ścianę, mężczyzna pojękiwał lubieżnie, a dziewczyna dyszała i wyła na przemian. Na dodatek wszystkie kelnerki we wszystkich miastach miały okrągłe gruczoły mleczne wychylające się z niedopiętych bluzek z monogramem i zawsze stawiały sobie za punkt honoru, żeby choć raz pochylić się nad Alfredem.

— Więcej kawy, przystojniaku?

— Tak, proszę.

— Czerwienisz się, kochanie? A może to tylko wschód słońca?

— Poproszę o rachunek, dziękuję.

W Cleveland, w hotelu Olmsted zaskoczył portiera i pokojówkę lubieżnie obmacujących się na klatce schodowej. Zanim zamknął oczy, zobaczył jeszcze rozpięty do samego końca suwak i wiedział, że w momencie gdy ich minął, światła zmieniły się dla nich z zakazującej czerwieni na przyzwalającą zieleń. W zwichrowanym łóżku w Fort Wayne opadły go obrzydliwe sukuby, kobiety, których całe ciała — ubrania, uśmiechy, krzyżowanie nóg — tryskały waginalnym przyzwoleniem, a on pędził, unosząc się w pęcherzu odwagi na powierzchnię świadomości (nie zabrudź łóżka!), otwierając oczy na wschód słońca nad Fortem Wayne, podczas gdy bardzo gorąca struga niczego wsiąkała w jego piżamę. Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, odniósł zwycięstwo, odmawiając sukubom satysfakcji. W Bufallo dyrektor parowozowni miał na drzwiach gabinetu plakat Brigitte Bardot, a w Youngstown Alfred znalazł magazyn pornograficzny pod motelową książką telefoniczną. W Hammond, w Indianie, utknął na zewnątrz podpory, podczas gdy obok przejeżdżał pociąg towarowy, a na pobliskim boisku po jego lewej chmara cheerleaderek zrobiła szpagat. Jedna z nich, najbardziej blond, zaspęzynowała nawet nieco w pełnym szpagacie, jak gdyby chciała pocałować przeżutą lechtaczkę darni odzianym w bawełnę sromem. Wreszcie wagon brekowego, kiwając się zwawo na boki, minął go i Albert mógł wrócić na tory. Świat wydawał się koncentrować na torturowaniu cnotliwego człowieka.

Wrócił do St. Jude w specjalnym wagonie dla kolejarzy, doczepionym do międzymiastowego pociągu towarowego. Z Union Station dojechał do domu kolejką podmiejską. Drzewa pomiędzy stacją a jego domem traciły ostatnie liście. Nadchodziła pora wyścigu, biegu ku zimie. Kawaleria liści zataczała wielkie koła nad wygryzionymi trawnikami. Zatrzymał się na ulicy i spojrzał na dom, który posiadał na spółkę z bankiem. Rynny zatkane gałęzmi i żółędziami, połamane chryzantemy na rabatach. Przyszło mu do głowy, że jego żona znowu jest w ciąży. Kolejne miesiące popychały go do przodu po jego sztywno wytyczonej ścieżce, coraz bliżej dnia, w którym stanie się ojcem trójki dzieci, roku, w którym spłaci pożyczkę na dom, sezonu, w którym umrze.

— Podoba mi się twoja teczka — powiedział Chuck Meisner, wyglądając przez okno swojego fairlane'a, którego zatrzymał tuż obok Alfreda. — Przez chwilę myślałem, że jesteś przedstawicielem Fuller Brusha.

— Chuck, witaj — odparł zaskoczony Alfred.

— Planuję mały podbój. Mąż tej kobiety wyjechał z miasta chyba na zawsze.

Alfred roześmiał się, bo nic innego nie mógł zrobić. Spotykali się tak z Chuckiem na ulicy dosyć często, inżynier stojący na baczność na ulicy i rozluźniony bankier za kółkiem swego wozu. Alfred w garniturze, Chuck w golfie. Alfred szczupły i z nienaganną fryzurą, Chuck miękko-tłustawy i ze lśniącą łysiną na czubku głowy. Chuck pracował — „luzował się” — jako dyrektor jednego z oddziałów banku, lecz Alfred mimo to uważał go za swojego przyjaciela. Chuck naprawdę słuchał, co Alfred ma do powiedzenia, wydawał się podziwiać jego pracę i uważał go za osobę o niezwykłych możliwościach.

— Widziałem Enid w kościele, na mszy niedzielnej — powiedział. — Mówiła mi, że nie ma cię już od tygodnia.

— Jedenaście dni. Byłem w delegacji.

— Jakiś problem?

— Niezupełnie. Byłem na inspekcji trakcji kolejowej Erie Belt — odrzekł z dumą Alfred.

— Erie Belt, co? — Chuck oparł kciuki na kierownicy, gdy jego ręce spoczywały na nogach. Był chyba najbardziej wyluzowanym kierowcą, jakiego znał Alfred, ale jednocześnie niezwykle czujnym.

— Jesteś solidnym pracownikiem, Al — ciągnął Chuck. — Świetny z ciebie inżynier. Musi być jakiś powód, dla którego wysłali cię do Erie Belt.

— Rzeczywiście, jest — odparł Alfred. — Midpac chce przejąć Erie.

Silnik fairlane'a strzelił szczekliwie.

Chuck wyrósł na farmie w pobliżu Cedar Rapids i jego naturalny optymizm był głęboko zakorzeniony w miękkiej, dobrze nawodnionej glebie wschodniej Iowa. Farmerzy ze wschodniej Iowa nigdy nie nauczyli się nieufności do świata, podczas gdy w zachodnim Kansas każdy skrawek żyznej gleby, który mógłby podsycić nadzieje Alfreda, zmieniał się w pył w czasie tej czy innej suszy.

— Ach — powiedział Chuck. — Rozumiem, że był już oficjalny komunikat?

— Nie, jeszcze nie.

Chuck pokiwał głową, patrząc mimo Alfreda na dom Lambertów.

— Enid się ucieszy, kiedy cię zobaczy. Myślę, że miała ciężki tydzień. Chłopcy chorowali.

— Nie rozpowiadaj o Erie, dobrze?

— Al, Al, Al.

— Nie powiedziałbym o tym nikomu, oprócz ciebie.

— Doceniam to. Jesteś prawdziwym przyjacielem i dobrym chrześcijaninem. A teraz naprawdę muszę już jechać, bo powinienem dziś doprowadzić żywoptot do jako takiego stanu.

Fairlaine ruszył powoli do przodu. Chuck wprowadził go na podjazd palcem wskazującym, jakby wykręcał właśnie numer telefonu swojego maklera. Alfred podniósł z ziemi teczkę i walizkę. Ujawnienie tajemnicy było spontaniczne, a jednocześnie niespontaniczne. Spazm dobrej woli i wdzięczności dla Chucka, wyrachowana emisja wściekłości, która wzbierała w nim przez jedenaście dni. Człowiek przejeżdża trzy tysiące kilometrów, ale nie potrafi pokonać ostatnich dwudziestu kroków, nie zrobiwszy czegoś... Poza tym Chuck prawdopodobnie i tak nie wykorzysta tej informacji...

Wchodząc do domu przez drzwi kuchenne, Alfred zauważył kawałki brukwi w garnku pełnym wody, przewiązaną gumką botwinkę i jakieś tajemnicze mięso, owinięte w brązowy papier przez rzeźnika. Była też cebula, która chyba miała być usmażona i podana z... wątróbką?

Na podłodze obok schodów prowadzących do piwnicy zalegała sterta czasopism i słoików po dżemie.

— Al? — zawołała Enid z dołu.

Postawił na podłodze walizkę, zgarnął gazety i słoiki i zniósł je po schodach na dół.

Enid postawiła żelazko na desce do prasowania i wyszła z pralni, czując łaskotanie w żołądku — czy to z pragnienia, czy ze strachu przed gniewem Ala, a może ze strachu, że sama, ku swojemu własnemu zaskoczeniu wpadnie we wściekłość. Ustawił ją od razu:

— Co kazałem ci zrobić, zanim wyjechałem?

— Wróciłeś wcześniej — powiedziała. — Chłopcy są jeszcze na basenie.

— Jaka była ta jedna rzecz, którą powiedziałem, że masz zrobić podczas mojej nieobecności?

— Próbuję nadgonić z praniem. Chłopcy chorowali.

— Czy pamiętasz — powiedział — że prosiłem, abys zajęła się tym bałaganem na szczycie schodów? Pamiętasz, że była to jedna jedyna rzecz, o którą cię poprosiłem, żebyś załatwiła podczas mojej nieobecności?

Bez czekania na odpowiedź podszedł do swojego warsztatu mechanicznego i wrzucił czasopisma oraz słoiki do kosza na odpadki. Wziął z półki źle wyważony młotek, nieporadną neandertalską pałę, której nienawidził i trzymał tylko w celach niszczycielskich. Potem metodycznie zaczął miażdżyć wszystkie słoiki. Odłamek uderzył go w policzek i Alfred zamachnął się ze wzmożoną furją, roztrzaskując skorupy szkła na jeszcze mniejsze kawałeczki, ale niezależnie od tego, jak mocno uderzał, nic nie mogło wyeliminować jego „zdrady” podczas rozmowy z Chuckiem Meisnerem ani wilgotnych od trawy trójkącików trykotów cheerleaderek.

Enid przysłuchiwała się temu z przystani swojej deski do prasowania. Nie przejmowała się zbyt wymową tej chwili. To, że jej mąż wyjechał z domu na jedenaście dni nawet bez pożegnalnego pocałunku, należało do spraw, o których zawsze udawało jej się zapomnieć. Bez żywego Ala tuż obok alchemicznie transformowała swoje wieczne urazy w złoto tęsknoty i wyrzutów sumienia. Jej puchnące łono, przyjemności czwartego miesiąca ciąży, czas spędzony sam na sam z przystojnymi synami, zazdrość sąsiadów, wszystko to stanowiło zestaw kolorowych filtrów, nad którymi rozpostarła czar za pomocą czarodziejskiej różdżki wyobraźni. Nawet gdy Al schodził już po schodach, wciąż wyobrażała sobie przeprosiny, powitalne pocałunki, może nawet bukiet kwiatów. Teraz słyszała rozpryskujące się szkło i uderzenia młotka w ściany pojemnika z galwanizowanego żelaza, sfrustrowane skrzywienie dwóch ścierających się twardych przedmiotów. Filtry rzeczywistości może były kolorowe, ale niestety (teraz to widziała) chemicznie nieaktywne. Nic się tak naprawdę nie zmieniło.

To prawda, że Al poprosił ją o sprzątnięcie słoików i gazet. Być może nawet istniało określenie na to, w jaki sposób obchodziła je dookoła przez ostatnie jedenaście dni, czasem nawet potykając się o nie. Zapewne było to jakieś wielosylabowe psychiatryczne określenie, a może po prostu prosty wyraz, na przykład „złośliwość”. Ale Enid wydawało się, że Alfred poprosił ją o zrobienie kilku więcej rzeczy, a nie tylko tej jednej. Oczekiwał, że będzie karmiła chłopców trzy razy dziennie, ubierała ich, czytała im i opiekowała się nimi w chorobie, szorowała podłogę kuchenną, prała prześcieradła i prasowała koszule Alfreda, a wszystko to bez mężowskich pocałunków i miłych słów. Gdy tylko próbowała upomnieć się o nagrodę za swój trud, Al po prostu pytał ją, czyje wysiłki płacą za dom i jedzenie, i prześcieradła. Nie miało znaczenia, że kochał swoją pracę tak bardzo, że nigdy nie potrzebował miłości Enid, podczas gdy jej obowiązki tak bardzo ją nudziły, że potrzebowała uczucia w dwójnasób. Jakkolwiek by rachować, jego praca znosiła wagę wszystkiego, co robiła.

Może, gwoli uczciwości, gdy poprosił ją o zrobienie tej „jednej rzeczy” dodatkowej, ona także powinna zażądać od niego „jednej rzeczy” ekstra. Mogła go na przykład poprosić, żeby zadzwonił do niej chociaż raz z delegacji. Ale on zapewne argumentowałby, że „ktoś się kiedyś potknie na tej stercie gazet i zrobi sobie krzywdę”. Oczywiście nikt nie mógł potknąć się na jego niezadzwonieniu z delegacji i nikt nie zrobiłby sobie krzywdy z tego powodu. Poza tym obciążanie firmy kosztami rozmów zamiejscowych byłoby nadużyciem (w razie pilnej potrzeby masz numer do biura). Zatem rozmowa telefoniczna mogła kosztować ich rodzinę dużo pieniędzy, podczas gdy wyniesienie

odpadek do piwnicy nie kosztowało i dlatego Enid nigdy nie miała słusności, a wieczne trwanie w lochu „niesłusności” i ciągle oczekiwanie, że ktoś się w końcu zlituje nad nią i tą jej „niesłusnością”, było bardzo demoralizujące. Naprawdę nic dziwnego, że zaczęła planować „obiad zemsty”.

W połowie schodów, po których wchodziła, aby przygotować ten obiad, zatrzymała się i głęboko westchnęła. Alfred usłyszał ją i pomyślał, że westchnięcie miało coś wspólnego z praniem i czwartym miesiącem ciąży. Jednak jego matka w ósmym miesiącu wciąż jeszcze orała zaprzęgniętym w konie pługiem dwadzieścia akrów pola, dlatego niespecjalnie współczuł swojej żonie. Nałożył na skaleczony policzek ściągający opatrunek z siarczanu amoniaku.

Przed domem rozległ się tupot małych stópek i ciche stukanie. To Bea Meisner podrzucała swój ludzki ładunek. Enid pospiesznie wbiegła po schodach, aby przyjąć przesyłkę. Gary i Chipper, piąto- i trzecioklasista, roztaczali chlorowany zapach basenu. Z mokrymi włosami wyglądali niczym mieszkańcy jakiegoś nadbrzeżnego miasteczka — piżmakowo, bobrowo. Wykrzyczała podziękowania w kierunku tylnych świateł samochodu Bei.

Tak szybko, jak się dało bez biegania (bieganie w domu było zabronione), chłopcy poszli do piwnicy, rzucili przemoczone ubrania na podłogę w pralni i znaleźli ojca w jego laboratorium. Ich naturalnym odruchem byłoby zarzucenie ojcu ramion na szyję, ale ten impuls został u nich skorygowany. Stali i czekali niczym podwładni, aż przemówi ich przełożony.

— Cóż — odezwał się. — Byliście na basenie.

— Jestem Delfinem — krzyknął Gary. Z niewyjaśnionych przyczyn był bardzo radosnym chłopcem. — Dostałem odznakę Delfina!

— Delfin, proszę, proszę. A ty, synu? — zapytał łagodniej przełożony Chippera, któremu od drugiego roku życia świat oferował głównie tragiczne perspektywy.

— Używaliśmy desek do pływania — powiedział Chipper.

— On jest Kijanką — dodał Gary.

— A więc Delfin i Kijanka. A skoro już zostałeś Delfinem, jakie to użyteczne zdolności posiadałeś?

— Naprzemienną pracę nóg.

— Chciałbym mieć taki fajny, duży basen, gdy byłem mały — powiedział szef, chociaż wiedział, że basen, w którym pływają, nie jest ani duży, ani fajny. — Z wyjątkiem zablokowanej wody w stawach dla krów nie przypominam sobie, żebym widział kiedykolwiek miejsce głębsze niż na metr, dopóki nie znalazłem się nad Platte River. Miałem wtedy już z dziesięć lat.

Młodociani podwładni Alfreda nie bardzo nadążali. Przesztywali z nogi na nogę. Gary wciąż uśmiechał się, jakby liczył na jakiś zwrot w tej konwersacji. Chipper wpatrywał się zachłannie w laboratorium, które było zakazanym lądem, chyba że przełożony był akurat na miejscu. Powietrze tu smakowało jak stalowa wata.

Alfred spoglądał na swoich podwładnych surowo. Bratanie się nigdy nie przychodziło mu łatwo.

— Czy pomagaliście swojej matce w kuchni? — zapytał.

Gdy jakiś temat rozmowy nie interesował Chipa, zaczynał myśleć o dziewczynach, a gdy zaczynał myśleć o dziewczynach, odczuwał przyływ nadziei. Na jej skrzydłach ulatywał z laboratorium i w górę, po schodach, poza piwnicę.

— Zapytaj mnie, ile jest dziewięć razy dwadzieścia trzy — poprosił Gary swojego szefa.

— Dobrze, zatem ile jest dziewięć razy dwadzieścia trzy?

— Dwieście siedem. Zapytaj mnie jeszcze o coś.

— Ile jest dwadzieścia trzy do kwadratu?

W kuchni Enid obtoczyła prometeańskie mięso w mące i ułożyła na elektrycznej patelni Westinghouse, wystarczająco dużej, aby usmażyć na niej dziewięć jajek ułożonych w okrąg. Pokrywka z kutego aluminium zabrzęczała, gdy namoczona brukiew zaczęła się gotować. Wcześniej tego dnia pół paczki bekonu w lodówce podsunęło jej myśl o wątróbce, ponura wątróbka zasugerowała jasnożółty dodatek i w ten sposób narodził się Obiad. Niestety, gdy zamierzała usmażyć boczek, okazało się, że ma tylko trzy plasterki, a nie sześć lub osiem, jak myślała. Teraz trudno jej było uwierzyć, że trzy kawałki boczku wystarczą na obiad dla całej rodziny.

— Co to jest? — zapytał Chipper z niepokojem.

— Wątróbka z bekonem!

Chip wycofał się z kuchni, potrząsając głową w gwałtownym sprzeciwie. Niektóre dni były koszmarnie od samego początku. Poranne płatki nafaszerowane były kawałkami daktyli, niczym poćwiartowanymi karaluchami; w jego mleku pływały niebieskawe skrawki niehomogeniczności; po śniadaniu miał wizytę u lekarza. Inne dni, jak dziś, nie ujawniały swej upiorności prawie do samego końca.

Zataczał się po całym domu, powtarzając:

— Blee, okropne, blee, okropne, blee, okropne, blee, okropne...

— Obiad za pięć minut, umyć ręce — zawołała Enid.

Skauteryzowana wątróbka pachniała jak palce, w których trzymano brudne monety.

Chipper przystanął w salonie i przycisnął twarz do szyby, miał nadzieję uchwycić choć cień Cindy Meisner w jej jadalni. Musiał usiąść koło Cindy w drodze powrotnej z basenu i wdychać zapach chloru osiadłego na jej skórze. Przemoczona opaska opatrunkowa niemal spadła jej z kolana — wisiała tylko na kilku włoskach specjalnej gumy przytrzymującej.

Tikitak, tikitak, tikitak, stukała ubijaczka Enid w misce słodkiej, gorzkiej, wodnistej brukwi.

Alfred umył ręce w łazience, podał mydło Gary'emu i skorzystał z małego ręcznika.

— Wyobraź sobie kwadrat — powiedział Gary'emu.

Enid wiedziała, że Alfred nie cierpi wątróbki, ale zawierała ona dobroczynne żelazo i cokolwiek by powiedzieć o jej mężu, na pewno przestrzegał pewnych zasad. Kuchnia była jej domeną i Alfred nigdy się nie wtrącał.

— Chipper, umyłeś już ręce?

Chipperowi wydawało się, że jeśli tylko uda mu się jeszcze raz zobaczyć Cindy, zostanie wybawiony od Obiadu. Wyobraził sobie, że jest z nią w jej domu i idzie razem z nią do jej pokoju. Wyobraził sobie to miejsce jako schronienie przed odpowiedzialnością i wszelkimi niebezpieczeństwami.

— Chipper?

— Podnosisz do kwadratu A, potem B, a potem dodajesz dwukrotność wyniku A i B — powiedział Alfred Gary'emu, gdy siadali przy stole.

— Chipper, lepiej umyć ręce — ostrzegł Gary. Alfred narysował kwadrat.

EA	E ²
A ²	AE

— Przepraszam, ale miałam trochę za mało boczku — powiedziała Enid. — Myślałam, że w domu jest więcej.

W łazience Chipper nie bardzo chciał zmoczyć ręce, ponieważ bał się, iż nigdy potem nie zdoła ich wysuszyć. Pozwolił, żeby woda spływała głośno z kranu, a sam w tym czasie wytarł ręce w szmatkę. To, że nie udało mu się zobaczyć Cindy przez okno, naruszyło jego spokój.

— Mieliśmy wysoką gorączkę — składał raport Gary. — Chippera na dodatek bolało ucho.

Brazowe, nasączone tłuszczem płatki mąki oblepiały żelazodajne płyty wątróbki niczym rdza. Boczek, a przynajmniej ta jego odrobina, także miał bury kolor.

Chipper trząsał się w progu drzwi łazienki. Kiedy nieszczęścia dopadały cię pod koniec dnia, potrzeba było trochę czasu, aby w pełni określić ich głębię. Niektóre nieszczęścia miały ostre krzywizny i wiadomo było, że na końcu nastąpi wielogodzinne stanie w kącie. Kosmiczne, ogromniaste nieszczęścia rozmiaru całej planety. Obiad zemsty był jednym z nich.

— Jak upłynęła ci podróż? — spytała Enid Alfreda, bo od czasu do czasu musiała.

— Była męcząca.

— Chipper, kochanie, jeszcze nie zaczęliśmy.

— Liczę do pięciu — powiedział Alfred.

— Jest boczek, przecież lubisz boczek — namawiała Enid. Było to cyniczne, praktyczne oszustwo, jedno z jej niezliczonych codziennych niepowodzeń w roli matki.

— Dwa, trzy, cztery — liczył Alfred.

Chipper podbiegł, aby zająć swoje miejsce przy stole. Nie było sensu obrywać od ojca.

— Pobłogosławpanieten posiłek, naucz nas dziękowaćzawedary i pamiętać o potrzebujących, przez Jezusastusa, amen — wyrecytował Gary.

Kupka tłuczonej brukwi spoczywająca na talerzu wydzielala przezroczysty, żółtawy płyn przypominający osocze lub płyn zbierający się w odciskach. Ugotowana botwinka ociekała czymś miedzianym, z zielonym nalotem. Zasysające oddziaływanie spragnionej panierki mącznej wciągnęło oba płyny pod wątróbkę. Kiedy się ją podnosiło z talerza, rozlegało się wilgotne cmoknięcie. Nasączony spód panierki był okropny.

Chipper zastanawiał się, jak to by było być dziewczyną. Przejść przez życie gładko, być córką Meisnerów, bawić się w ich domu i być kochanym, jak córka.

— Chcesz zobaczyć moje więzienie z wykałaczek?

— Więzienie, proszę, proszę — powiedział Alfred.

Przezorny młodzian ani nie jadł od razu swojej porcji boczku, ani nie pozwalał mu nasiąknąć sokami warzywnymi. Przezorny młodzian ewakuował boczek na wysoki brzeg talerza i trzymał go

tam jako zachętę. Na przekąskę przezorny młodzian jadł swoją porcję smażonej cebuli, która nie była dobra, ale też nie była zła.

— Mieliśmy wczoraj spotkanie drużyny harcerskiej — powiedziała Enid. — Gary, kochanie, obejrzymy twoje więzienie po obiedzie.

— Gary zrobił krzesło elektryczne — powiedział Chipper. — Do tego więzienia. Ja mu pomagałem.

— Naprawdę? Proszę, proszę.

— Mama kupiła te ogromne pudełka wykałaczek — ciągnął Gary.

— To się nazywa hurt — wyjaśniła Enid. — Hurtowo można kupić z upustem.

Alfred nie zastanawiał się zbyt nad paczkami. Wyluzowani ojcowie jechali na Paczkach. Sponsorowane przez Paczki sporty były niezwykle lekkie: zawody samolotów z balsy, samochodów z desek sosnowych albo pociągów, których wagony były przeczytanymi już książkami.

Schopenhauer: Jeśli poszukujesz bezpiecznej wskazówki, która pomoże ci przejść przez życie... nie ma lepszego wyjścia, niż przyzwyczać się do postrzegania tego świata jako zakładu poprawczego, rodzaju kolonii karnej.

— Gary, powiedz mi jeszcze raz, czym jesteś — poprosił Chipper, dla którego starszy brat był wzorem do naśladowania. — Jesteś Wilkiem?

— Jeszcze jedna sprawność i będę Niedźwiedziem.

— A teraz czym jesteś, Wilkiem?

— Jestem Wilkiem, ale właściwie to już Niedźwiedziem. Została mi tylko Konwersacja.

— Konserwacja — poprawiła Enid. — Została mi tylko Konserwacja.

— To nie jest Konwersacja?

— Steven Driblett zrobił gilotynę, ale nie działała — powiedział Chipper.

— Driblett jest Wilkiem.

— Brent Person zrobił samolot, ale rozwalił się na pół.

— Person jest Niedźwiedziem.

— Kochanie, powiedz, „rozpadł się” zamiast „rozwalił”.

— Gary, jaka jest największa petarda?

— M-80, a potem wiśniowe bomby.

— Czy nie byłoby fajnie zdobyć jedną M-80, wsadzić ją do twojego więzienia i zrobić wybuch?

— Chłopcze — przerwał Alfred. — Nie zauważyłem, żebyś jadł swój obiad.

Chipper stał się wylewny niczym wodzirej; na chwilę Obiad zniknął z rzeczywistości.

— Albo najlepiej siedem M-80 — ciągnął. — A potem odpalić je wszystkie naraz, albo jedną po drugiej, czy to nie byłoby super?

— Podłożyłbym ładunek w każdym rogu, a potem dodatkowy zapalnik — powiedział Gary. — Połączyłbym wszystkie zapalniki i odpalił naraz. To najlepszy sposób, prawda tato? Rozdzielić ładunki i dodać zapalnik, prawda tato?

— Siedem tysięcy sto milionów M-80 — wydarł się Chipper. Zaczął naśladować wybuchy, próbując przekazać, jak wielki ładunek petard ma na myśli.

— Chipper — Enid spróbowała zmienić temat. — Opowiedz tacie, gdzie pojedziemy w przyszłym tygodniu.

— Drużyna jedzie do Muzeum Transportu i ja też z nimi pojedę — pochwalił się Chipper.

— Och, Enid — skrzywił się Alfred. — Po co ich tam zabierasz?

— Bea mówi, że to bardzo interesujące miejsce i dzieci dobrze się tam bawią.

Zdegustowany Alfred pokręcił głową.

— Co Bea Meisner wie o transporcie? — zapytał.

— Muzeum jest świetnym miejscem do zbiórki harcerskiej — powiedziała Enid. — Jest tam prawdziwy silnik parowy, na który chłopcy mogą się wspinać.

— To, co mają w tym muzeum — odparł Alfred — to trzydziestoletni Mohawk ze stacji New York Central. Żaden eksponat, nic nadzwyczajnego, po prostu kawał złomu. Jeśli chłopcy chcą zobaczyć, jak wygląda prawdziwa kolej...

— Zamontuję na krześle elektrycznym baterie i dwie elektrody — powiedział Gary.

— Zamontuj M-80!

— Chipper, nie. Puszczasz prąd i to on zabija więźnia.

— Co to jest prąd?

Prąd przepływał, gdy wetknęło się elektrody cynkowe i miedziane w cytrynę, a potem połączyło razem.

W jakim to kwaśnym świecie przyszło żyć Alfredowi. Gdy dostrzegł swoje odbicie w jakimś lustrze, zdumiewało go, że wciąż wygląda tak młodo. Skrzywienie warg nękanych hemoroidami nauczycieli, gorzkie, nieustające zaciskanie ust artretycznych mężczyzn — czuł czasem smak tych min na swoich ustach, chociaż fizycznie był w świetnej kondycji. Kwaśnienie życia.

Dlatego Alfred uwielbiał solidne desery. Ciasto z orzechami pekanowymi, jabłecznik czekoladowy. Odrobina słodczy na tym świecie.

— Mają tam dwie lokomotywy i prawdziwy wagon służbowy — mówiła Enid.

Alfred uważał, że rzeczywistość i prawda są w mniejszości, którą świat zamierzał wytępić. Drażniło go, że tacy romantycy jak Enid nie potrafią odróżnić falsyfikatu od autentyka; podrzędnego, kiepsko wyposażonego, zarabiającego na naiwniakach muzeum od prawdziwej, uczciwej kolei...

— Musisz przynajmniej być Rybą.

— Chłopcy są bardzo podekscytowani.

— Mógłbym być Rybą.

Mohawk, nowa duma muzeum, był ewidentnie symbolem romantyzmu. W dzisiejszych czasach ludzie mieli pretensje do kolei, że odrzuciły romantyczne silniki parowe i zamieniły je na diesle. Nie mieli najbiedszego pojęcia o zarządzaniu transportem kolejowym. Lokomotywa spalinowa była wszechstronna, wydajna i tania w utrzymaniu. Ludzie wyobrażali sobie, że kolejnictwo jest im winne jakąś romantyczną przysługę, a potem narzekali, że pociąg jechał za wolno. Tacy właśnie byli zwykle ludzie — głupi.

Schopenhauer: Pośród przekleństw kolonii karnej jest także tworząca ją społeczność.

Z drugiej strony, Alfred sam nie mógł ścierpieć, gdy jakaś stara lokomotywa parowa szła w zapomnienie. Mohawk był pięknym, stalowym koniem i wystawienie go w muzeum pozwalało wyluzowanym weekendowym turystom z podmiejskiego St. Jude tańczyć na jego grobie. Ludzie z miasta nie mieli prawa traktować protekcyjnie żelaznego konia. Nie znali go tak dogłębnie jak Alfred. Nie zakochali się w nim tak jak Alfred, na północno-wschodnim krańcu Kansas, gdzie żelazny koń był jedynym sposobem na dostanie się do wielkiego świata.

— Mają tam makietę, która zajmuje cały pokój — ciągnęła Enid nieustępliwie.

No tak, ci cholerni modelarze, tak, pieprzeni hobbyści. Enid doskonale wiedziała, co sądził o tych

dyletantach oraz ich bezcelowych i niemających związku z rzeczywistością makietach.

— Cały pokój? — zapytał Gary sceptycznie. — Jak duży?

— Czy nie byłoby fajnie podłożyć kilku M-80 na, em, na... em... na modelu mostu kolejowego? BUMMMMM! Zzzt, zzzzt, zzzzt!

— Chipper, twój obiad, w tej chwili — powiedział Alfred.

— Bardzo, bardzo duży — mówiła Enid. — Model jest o wiele, wiele, wiele większy niż ten, który kupił ci twój ojciec.

— W tej chwili — powiedział Alfred. — Słuchasz, co do ciebie mówię? W tej chwili.

Dwie strony kwadratowego stołu były szczęśliwe, dwie pozostałe — nie. Gary opowiadał bezsensowną, zabawną historyjkę o dzieciaku z klasy, który miał trzy króliki, podczas gdy Chipper i Alfred, dwa posępne cienie, wbili wzrok w talerze. Enid poszła do kuchni po kolejną porcję brukwi.

— Wiem, kogo nie trzeba pytać, czy chce dokładkę — powiedziała po powrocie.

Alfred rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Zgodzili się dla dobra chłopców, że nigdy nie będą wspominać o niechęci do warzyw i niektórych posiłków.

— Ja trochę wezmę — powiedział Gary.

Chipper czuł w gardle gulę, pustkę tak skondensowaną, że w żadnym wypadku nie mógłby przełknąć zbyt wiele. Kiedy jednak zobaczył, jak jego brat radośnie pochłania dokładkę Zemsty, rozłościł się i przez chwilę rozumiał, jak szybko cały ten obiad mógł się skończyć, jak błyskawicznie zostałby zwolniony z obowiązku i odzyskałby wolność. Chwycił więc widelec i zagarnął nieco stężałej brukwi, a potem podniósł kęs do ust. Ale brukiew śmierdziała próchnicą i była zimna — miała temperaturę i strukturę mokrego psiego gówna o chłodnym poranku — i jelita Chippera skrzyły się w zginającej kręgosłup konwulsji.

— Uwielbiam brukiew — stwierdził Gary.

— Mogłabym jeść wyłącznie warzywa — dołączyła się Enid.

— Więcej mleka — powiedział Chipper, oddychając ciężko.

— Chipper, po prostu zatkaaj nos, jeśli ci nie smakuje — doradził Gary.

Alfred pakował do ust kawałek po kawałku ohydnej Zemsty, przeżuując szybko i połykając niczym automat. Powtarzał sobie, że znosił już gorsze rzeczy.

— Chip — powiedział. — Zjedz po jednym kawałku wszystkiego z talerza. Nie odejdziesz od stołu, dopóki tego nie zrobisz.

— Więcej mleka.

— Najpierw zjesz trochę obiadu, rozumiano?

— Mleka.

— Czy będzie się liczyło, jeśli zatka nos? — zapytał Gary.

— Proszę, więcej mleka.

— Wystarczy już tego dobrego — powiedział Alfred.

Chipper umilkł. Jego oczy błędziły po talerzu, ale nie był przezorny i pozostała mu teraz tylko tragedia. Podniósł do ust szklanekę i w milczeniu wlał malutką, pozostałą kroplę ciepłego mleka do ust. Wysunął język na jej przywitanie.

— Chip, odstaw szklanekę.

— Może będzie mu wolno zatkać nos, ale wtedy musi zjeść po dwa kawałki wszystkiego?

— Telefon dzwoni, Gary. Możesz go odebrać.

— Co jest na deser? — zapytał Chipper.

— Mam dobrego, świeżego ananasa.

— Na miłość boską, Enid...

— Co? — zamrugła niewinnie albo udając nieświadomość.

— Mogłabyś dać mu chociaż ciastko albo loda, jeżeli zje swój obiad...

— Ale to taki słodki ananas. Rozpływa się w ustach.

— Tato, to pan Meisner.

Alfred pochylił się nad talerzem Chipa i jednym ruchem widelca zabrał z jego talerza prawie całą brukiew, zostawiając tylko jeden kęs. Kochał tego chłopca i dlatego teraz włożył zimną, trującą miazgę do własnych ust i przełknął z drżeniem.

— Zjedz ten ostatni kawałek — powiedział — i po jednym kęsie reszty, a potem możesz dostać deser. — Wstał. — Kupię ten deser, jeśli to konieczne.

Kiedy mijał Enid, wzdrygnęła się i odsunęła od niego.

— Tak? — powiedział do telefonu.

Przez słuchawkę dobiegła go wilgoć domowego hałasu, ciepło pulchności, Meisnerowości.

— Al — powiedział Chuck. — Przeglądałam właśnie papiery, wiesz, akcje Erie Belt. Pięć i pięć ósmych to strasznie mało. Jesteś pewien co do tego interesu z Midpac?

— Pan Replogle jechał ze mną w drezynie, gdy opuszczałem Cleveland. Powiedział, że zarząd po prostu czeka na ostateczny raport dotyczący trakcji i struktury. Mam zamiar wręczyć im sprawozdanie w poniedziałek.

— Midpac nie ogłaszał się z tą sprawą.

— Chuck, nie mogę ci polecić żadnego konkretnego kursu akcji i pewnie masz rację, pozostają pewne pytania, ale...

— Al, Al — przerwał Chuck. — Masz imponujące sumienie i wszyscy to doceniamy. Wracaj do swojego obiadu.

Alfred odkładał słuchawkę, nienawidząc Chucka tak, jak nienawidziłby dziewczyny, z którą związałby się wbrew rozsądkowi. Chuck był bankierem i dobrze prosperował. Lepiej było sprzedać niewinność komuś naprawdę tego wartemu, komuś lepszemu niż twój dobry sąsiad, tylko że nikt nie był tego wart. Miał na rękach odchody.

— Gary, chcesz ananasa? — zapytała Enid.

— Jasne, poproszę!

Zniknięcie brukwi z talerza sprawiło, że Chipper wpadł w podniecenie. Szło ku dobremu! Sprawnie oczyścił miejsce na talerzu tam, gdzie leżał ostatni kęs brukwi, niszcząc żółty asfalt swoim widelcem. Po co nurzać się w obrzydliwej rzeczywistości wątróbki i botwiny, gdy przed tobą buduje się przyszłość, w której twój ojciec pozbywa się całej reszty świństw obiadowych? Przynieście mi ciastka, powiada Chipper! Przynieście mi lody!

Enid wyniosła trzy puste talerze do kuchni.

Alfred, wciąż przy telefonie, obserwował zegarek nad zlewem. Czas był wrogiem przedpiątogodzinowością, kiedy to chorzy na grypę budzą się z popołudniowych, gorączkowych snów. Czas tuż po godzinie piątej był kpina z godziny piątej. Na tarczy zegarka prawdziwy porządek — obie wskazówki na tej samej cyfrze — zdarzał się tylko raz na godzinę. Każda pozostała chwila, gdy wskazówki mijały się nieuchronnie, niosła ze sobą groźbę grypowatego nieszczęścia.

A człowiek musiał to znosić, bez żadnego powodu. Wiedzieć, że w tej grypie nie ma żadnego ładu moralnego, żadnej sprawiedliwości w sokach bólu, które produkował jego mózg. Świat był niczym

więcej, jak tylko materializacją ślepej, wiecznej Woli.

Schopenhauer: Niemalą część udręki istnienia stanowi to, iż Czas bezustannie na nas naciska, nie daje nam złapać oddechu, bezustannie goniąc, niczym nadzorca z biczem.

— Rozumiem, że nie chcesz ananasa — powiedziała Enid. — Rozumiem, że zamierzasz kupić dla siebie deser.

— Enid, odpuść sobie. Chciałbym, żebyś chociaż raz w życiu dała sobie z czymś spokój.

Układając ananasa, zapytała, z jaką sprawą zadzwonił Chuck.

— Porozmawiamy o tym później — odparł Alfred i wrócił do jadalni.

— Tato? — powiedział Chipper z nadzieją.

— Chłopcze, przed chwilą zrobiłem ci przysługę. Teraz ty zrób mi tę przyjemność, przestań bawić się jedzeniem i dokończ wreszcie obiad. W tej chwili. Rozumiesz? Albo zjesz natychmiast, albo nie będzie dla ciebie żadnego deseru i innych przyjemności ani dziś wieczór, ani jutro, a ty będziesz tu siedział, dopóki wszystkiego nie zjesz.

— Tato, ale czy mógłbyś...

— W TEJ CHWILI! ROZUMIESZ MNIE CZY MAM CI PRZYLAĆ?!

Migdałki wydzieliły amoniakalny śluz, gdy za nimi zgromadziły się prawdziwe łyzy. Usta Chippera wykrzywiły się w rozpacz. Zobaczył swój talerz w całkiem nowym świetle. Dzisiejszy obiad był nieznośnym towarzyszem, którego obecności miał oszczędzić mu jego sprzymierzeniec z wyższych sfer, pociągający za sznurki w imieniu Chipa. W każdym razie w to Chipper głęboko wierzył. Teraz chłopiec zdał sobie sprawę, że on i jego obiad byli związani na całego. Głęboko i szczerze żałował, że oddał swój boczek, chociaż był niesmaczny. Ku swojemu własnemu zdziwieniu nie rozplakał się.

Alfred zszedł do piwnicy, hałasując i trzaskając drzwiami.

Gary siedział cicho, mnożąc w pamięci małe liczby całkowite.

Enid zanurzyła nóż w cynicznie żółtym brzuchu ananasa. Uznała, że Chipper jest dokładnie taki sam, jak jego ojciec — jednocześnie głodny, ale niedający się nakarmić. Zamieniał jedzenie w coś wstydliwego. Ścisnęła ją w gardle, kiedy widziała, jak przygotowany przez nią posiłek witany jest z wysublimowanym obrzydzeniem, jak jej syn krztusi się owsianką. Chipper chciał jeść tylko ciastka i mleko, ciastka i mleko. Pediatra powiedział jej: „Niech się pani nie da w to wciągnąć. Zgłodnieje w końcu i zje coś innego”, więc Enid starała się być cierpliwa, ale Chipper zasiadał do lunchu i oświadczał: „To pachnie jak rzygi!”. Można go było za to uderzyć po rękach, ale potem siedział już tylko z tą swoją miną. Można go było złać za robienie min, ale wtedy siedział, patrząc się tak... istniały jakieś granice korekt. Nie było jak się przedrzeć przez błękitną barykadę jego tęczołek i wykorzeńić tego obrzydzenia do jedzenia.

Ostatnio zaczęła go skarmiać kanapkami ze stopionym żółtym serem, zachowując podawanie wszelkich żółtych warzyw i zieleniny, niezbędnych w dobrze zbilansowanej diecie, i pozwalając Alfredowi przejmować prowadzenie wojny.

Było coś niemalże smakowitego i seksownego w przyzwalaniu, aby zdenerwowany chłopiec został ukarany przez jej męża, w bezgrzesznym staniu obok, podczas gdy chłopak cierpiał za to, że ją zranił. To, co człowiek w sobie odkrywa w związku z wychowywaniem dzieci, nie zawsze jest miłe i atrakcyjne.

Postawiła na stole dwa talerze z ananasem. Chipper siedział z pochyloną głową, ale jej drugi syn, który uwielbiał jeść, sięgnął łapczywie po swoją porcję. Gary siorbał i cmokał, bez słowa konsumując ananasa.

Zółte brukwiowe poletko psiego gówna, wątróbka tak wypaczona przez smażenie, że nie była w stanie leżeć równo na talerzu, zbitek drewnianych liści buraka, pogniecione i powykrzywiane, ale wciąż w całości, niczym mokrawy sprasowany pisklak w skorupce jajka albo starożytne poskręcane zwłoki na bagnach: przestrzenne relacje pomiędzy poszczególnymi składowymi posiłku przestały być dla Chippera przypadkowe, stały się nadciągającą trwałością, ostatecznością.

Wizja posiłku przygasła, a może ocienił ją nowy smutek. Nagle Chipper przestał czuć obrzydzenie; przestał nawet myśleć o jedzeniu. Aktywowały się w nim głębsze źródła buntu.

Wkrótce stół został uprzątnięty, z wyjątkiem jego talerza. Światło stało się ostrzejsze. Słyszał, jak Gary i matka dyskutują na trywialne tematy, gdy ona zmywała naczynia, a Gary je wycierał. Potem usłyszał kroki Gary'ego na schodach prowadzących do piwnicy, metronomiczne uderzanie piłki do ping-ponga, pojedyncze odgłosy podnoszonych i zanurzanych w wodzie dużych garnków. W jadalni pojawiła się matka.

— Chipper, zjedz obiad. Zachowuj się jak duży chłopiec.

Dotarł do punktu, w którym nie mogła go już ruszyć. Czuł się niemal radośnie, wszystko w głowie, żadnych emocji. Nawet tyłek mu zdrętwiał od siedzenia na krześle.

— Tata naprawdę każe ci tu siedzieć, dopóki wszystkiego nie zjesz. Skończ obiad i będziesz miał cały wieczór dla siebie.

Jeśli rzeczywiście miałby wolny wieczór, mógłby go spędzić przy oknie, obserwując Cindy Meisner.

— Rzeczownik czasownik — powiedziała jego matka. — Przeczenie zaimek dzierżawczy. Spójnik spójnik akcent zaimek czasownik przeciwstawienie zaimek pochłonęłabym to wszystko przysłówki przyimek czasownik partykuła bezokolicznik czasownik posiłkowy...

Osobliwe, jak mało go obchodziło, żeby zrozumieć wypowiedziane do niego słowa. Przedziwne poczucie swobody, uwolnienia nawet od tego minimalnego ciężaru, jakim było odkodowanie mówionego angielskiego.

Matka już go nie torturowała. Poszła do piwnicy, gdzie Alfred zamknął się w laboratorium, a Gary liczył (trzydzieści siedem, trzydzieści osiem) kolejne odbicia piłeczki paletką.

— Puk, puk? — powiedziała Enid, kiwając głową na powitanie.

Jej ruchy krępowała ciąża, albo przynajmniej jej zapowiedź. Gary mógł spokojnie ją ograć, ale przyjemność, jaką czerpała z gry, była tak niesamowicie oczywista, że po prostu zaczynał grać wolniej, w myślach pomnażając wyniki lub wydzielając sobie zadania, na przykład żeby posyłać piłeczkę do wyznaczonych rejonów stołu. Co dzień po obiedzie szlifował swoją umiejętność znoszenia nudnych czynności, które sprawiały przyjemność jego rodzicowi. Uznawał to za sprawność, która mogła mu uratować życie.

W dodatku dziś wieczór matka wyglądała tak delikatnie. Wysięk przy przygotowaniu obiadu i zmywaniu naczyń rozluźnił jej ułożone loki. Małe plamki potu wykwitwały na bawełnianej sukience. Jej ręce, przez tyle czasu schowane w lateksowych rękawiczkach, były czerwone jak ozorki.

Ściął piłkę, która minęła linię i matkę, lecąc aż do zamkniętych drzwi laboratorium metalurgicznego. Odbiła się i zapukała do tych drzwi, zanim osunęła się na ziemię. Enid złapała ją ostrożnie. Cóż za cisza, co za ciemność panowała za tymi drzwiami. Al chyba miał wyłączone światło.

Niektórych rzeczy nawet Gary nie znosił — jak brukselka, gotowana okra — i Chipper widywał swojego pragmatycznego brata, jak ukrywa je w dłoni, a potem, w lecie, wyrzuca je w gęste krzaki rosnące przy tylnym wyjściu lub, zimą, chowa pod ubraniem i wyrzuca do toalety. Teraz, gdy Chipper

został sam na parterze, mógł łatwo pozbyć się wątróbki i botwiny. Problem w tym, że jego ojciec uznałby wtedy, że Chipper zjadł obiad, a właśnie zjedzenia obiadu Chipper odmawiał. Jedzenie musiało pozostać na talerzu, aby zaakcentować jego postanowienie.

Dokładnie zeszkrobał całą panierkę z wierzchu wątróbki i zjadł ją. Zabrało mu to dziesięć minut. Wątróbki pozbawionej skórki człowiek nie chciał oglądać.

Odplątał nieco liście buraczane i przearanżował je na talerzu.

Obejrzał dokładnie wzór plecionki na podkładce pod talerze.

Posłuchał odgłosów odbijanej piłki, przesadzonych jęków matki, jej denerwujących okrzyków zachęty (ooo, to była niezła piłka, Gary!). Odgłosy ping-ponga, w którego gra ktoś inny, były jeszcze gorsze od lania albo wątróbki. Tylko cisza w swoich zadatkach na nieskończoność mogła być tolerowana. Punkty w meczu dobiły do dwudziestu jeden i gra się skończyła, potem druga i trzecia, a dla ludzi niegrających to było w porządku, ponieważ skończyła się zabawa, ale dla chłopca siedzącego przy stole na górze nic nie było w porządku. Wciągnął się w słuchanie odgłosów gry, obdarzając je nadzieją do tego stopnia, że nie chciał, aby w ogóle zamilkły. One jednak zamilkły, a on siedział wciąż przy stole, tyle tylko, że było pół godziny później. Wieczór pożerał sam siebie w swej płytkości. Nawet w wieku siedmiu lat Chip przeczuwał, że powierzchowność stanie się strukturą jego życia. Beznadziejne czekanie, złamane obietnice i przerażone zrozumienie, jak już jest późno.

Płytkość miała swego rodzaju smak.

Kiedy podrapał się po głowie albo potarł nos, jego palce przenosiły coś, zapach jego osoby.

Albo, czasem, smak zbierających się łez.

Wyobraźmy sobie nerwy węchowe pobierające próbkę samych siebie, receptory rejestrujące własną konfigurację.

Smak zadanego samemu sobie cierpienia, odrzuconego w pogardzie wieczoru, przynosił zadziwiającą satysfakcję. Inni ludzie przestali być prawdziwi na tyle, że mógł ich obarczać winą za swoje samopoczucie. Został tylko on i jego odrzucenie. Podobnie jak litość nad sobą samym albo jak krew, która wypełniała usta po wyrwaniu zęba — te słone żelazowe soki, które się przełykało, delektując — odrzucenie także miało swój smak, który można było polubić.

W laboratorium poniżej jadalni Alfred siedział w ciemnościach, z pochyloną głową i zamkniętymi oczami. Interesujące, jak bardzo pragnął być sam, jak okropnie oczywistym uczynił to dla jego rodziny; teraz zaś, kiedy wreszcie odizolował się od reszty, siedział tu w nadziei, że ktoś przyjdzie i przerwie tę samotność. Chciał, żeby ta osoba zobaczyła, jak jest zraniony. Chociaż zachowywał się chłodno w stosunku do niej, to nie było w porządku, że odwdzięczała mu się tym samym: niesprawiedliwe, że mogła grać sobie radośnie w ping-ponga, szeleścić tuż za jego drzwiami i nigdy nie zapukała, nie zapytała, jak się czuje.

Trzy podstawowe parametry określające jakość materiału to jego wytrzymałość na zgniatanie, rozciąganie oraz ścinanie.

Za każdym razem, gdy kroki jego żony zbliżały się do laboratorium, zbierał siły, aby przyjąć od niej słowa pociechy. Potem usłyszał, że skończyła grać, i wtedy pomyślał, że teraz już na pewno się nad nim użali. To była jedna jedyna rzecz, jakiej od niej oczekiwał, ta jedna rzecz...

Schopenhauer: Kobieta spłaca swój dług wobec życia nie za pomocą tego, co robi, ale tego, co musi w życiu wycierpieć; ból porodu, wychowanie dziecka, uległość wobec męża, dla którego zawsze powinna być cierpliwą i radosną towarzyszką.

Ale ratunek nie nadchodził. Przez zamknięte drzwi słyszał, jak wraca do pralni. Słyszał delikatne

bzyczenie transformatora, Gary'ego, który bawił się kolejką pod stołem pingpongowym.

Czwartym parametrem wytrzymałości, bardzo ważnym dla producentów szyn i części lokomotyw, była twardość.

Z niezwykłym wysiłkiem woli Alfred zapalił światło i otworzył swój dziennik laboratoryjny.

Nawet największa nuda miała swe litościwe granice. Stół w jadalni, na przykład, posiadał spodnią stronę, którą Chipper badał, opierając brodę na powierzchni i wyciągając ramiona pod blatem. Sięgając jak najdalej, wyczuwał przegrody przekłute naprężonym drutem połączonym z pierścieniami, które można było wyciągać. Na skomplikowanych łączeniach niewykończonych desek i kątówek tu i ówdzie natykał się na głęboko wkręcone śruby, cylindryczne naczynka z ostrymi strużynami drzewa dookoła otworów wlotowych. Nie można się było powstrzymać przed włożeniem w nie palca. Jeszcze lepsze były baby z nosa, które zostawił po sobie podczas poprzednich „czuwań”. Wyschnięte plamy glutów przypominały w dotyku papier ryżowy albo skrzydła owada. Były zachęcająco łatwe do wykrycia i sproszkowania.

Im dłużej Chipper badał dotykiem swoje małe królestwo podspodu, tym bardziej nie miał ochoty na nie popatrzeć. Instynktownie wiedział, że widzialna rzeczywistość okaże się nijaka. Zobaczyłby zakamarki, których jeszcze nie zdołał zbadać palcami, i czar krainy poza jego zasięgiem minąłby bezpowrotnie. Wkręty straciłyby swą abstrakcyjną zmysłowość, zaschnięte gluty zawstydziłyby go, a potem pewnego wieczoru, gdzieś w przyszłości, nie mając niczego, czego odkrywaniem by się rozkoszował, mógłby umrzeć z nudy.

Dobrowolna ignorancja była doskonałą umiejętnością przystosowawczą, może nawet najlepszą ze wszystkich.

Alchemiczne laboratorium Enid pod podłogą kuchni zawierało pralkę Maytag z wyzmaczką na szczycie, bliźniaczymi gumowymi rolkami wyglądającymi jak olbrzymie czarne usta. Wybielacz, niebieski barwnik, woda destylowana, krochmal. Brzuchata lokomotywa żelazka ze sznurem opatulonym we wzorzysty materiał. Stosy białych koszul w trzech rozmiarach.

Aby przygotować koszulę do prasowania, spryskiwała ją wodą i zostawiała zawiniętą w ręcznik. Następnie, gdy już koszula nabrała odpowiedniej wilgoci, prasowała najpierw kołnierzyk, potem rękawy i dół.

Podczas Wielkiego Kryzysu i tuż po nim nauczyła się wielu przydatnych rzeczy ułatwiających przeżycie. Jej matka prowadziła pensjonat położony między centrum St. Jude a uniwersytetem. Enid miała talent do matematyki, dlatego nie tylko prała prześcieradła, czyściła toalety i podawała posiłki, ale też robiła rozliczenia dla swojej matki. Zanim zdążyła skończyć szkołę i zanim nadszedł kres wojny, Enid zaczęła czuwać nad księgami rachunkowymi pensjonatu, rachunkami za noclegi i rozliczaniem podatków. Dorywczo zarobionymi pieniędzmi — za opiekę nad dziećmi, za korepetycje, a także dzięki napiwkom od mieszkańców pensjonatu — zapłaciła za kurs w wieczorówce, mozolnie zdążając ku dyplomowi księgowej, którego miała nadzieję nigdy nie wykorzystać. Oświadczyło jej się do tej pory już dwóch żołnierzy, z których każdy był całkiem niezłym tancerzem, ale żaden z nich nie zarabiał dobrze i obaj mieli jeszcze spore szanse zginąć od kuli. Jej matka wyszła za mężczyznę, który źle zarabiał i umarł młodo. Uniknięcie takiego męża było priorytetem Enid. Zamierzała mieć szczęśliwe i wygodne życie.

Parę lat po wojnie do pensjonatu przybył młody inżynier, świeżo przeniesiony do St. Jude, aby kierować tutejszą odlewnią stali. Miał pełne usta, gęste włosy, był dobrze umięśnionym chłopcem w ciele i ubraniu mężczyzny. Jego wełniane garnitury miały przepięknie zaprasowane zaszewki. Co wieczór, serwując kolację na wielkim okrągłym stole, Enid raz czy dwa spoglądała przez ramię i

widziała, że na nią patrzy. Czerwienił się wtedy. Al pochodził z Kansas. Po dwóch miesiącach zebrał się na odwagę i zaprosił ją na łyżwy. Pili kakao, a on opowiadał jej o tym, że istoty ludzkie zostały stworzone do cierpienia. Zabrał ją na zabawę gwiazdkową w jego firmie i powiedział, że inteligentni ludzie są skazani na torturowanie przez głupców. Mimo to był dobrym tancerzem, dobrze zarabiał i Enid pocałowała go w windzie. Niedługo po tym zaręczyli się i spędzili cnotliwie noc w pociągu do McCook w Nebrasce, aby odwiedzić jego starzejących się rodziców. Ojciec Ala miał niewolnicę, która była jego żoną.

Sprzątając pokój Ala w St. Jude, Enid znalazła podniszczoną od ciągłego używania księgę z myślami Schopenhauera. Niektóre akapity były podkreślone. Na przykład: *Przyjemności w życiu przeważają ból lub przynajmniej jest między tymi doznaniem równowaga. Jeśli czytelnik pragnie sprawdzić, czy stwierdzenie to jest prawdziwe, niech porówna indywidualne doznania dwóch zwierząt, z których jedno pożera drugie.*

Co miała myśleć o Alu Lambercie? Mówił o sobie jak starzec, a wyglądał jak młodzieniec. Enid postawiła na nadzieje, które dawał wygląd. Potem już tylko czekała, aż zmieni się jego osobowość.

Czekając, prasowała dwadzieścia koszul tygodniowo, nie licząc własnych bluzek i spódnic.

Przejechała noskiem żelazka po materiale wokół guzików, wygładziła zmarszczki, wyprostowała skrzycone rękawy.

Jej życie byłoby prostsze, gdyby tak bardzo go nie kochała, ale nie potrafiła przestać. Samo patrzenie na niego było objawem miłości.

Codziennie pracowała nad dykcją chłopców, nad ich manierami, moralnością. Uczyła ich radośniejszego podejścia do życia i codziennie czekała na nią sterta brudnych, skotłowanych ubrań.

Nawet Gary czasami posuwał się do anarchii. Najbardziej lubił popychać swoją elektryczną kolejkę tak, że zaczynała się chybotać na zakręcie i wreszcie się wykolejała. Lubił patrzeć, jak czarny metalowy klocek ślizga się dziwnie i toczy po ziemi, iskrząc z frustracji. Kolejną ulubioną rozrywką było ustawianie na torach plastikowych krów czy samochodów i aranżowanie małych katastrof. Gary najbardziej pragnął mieć zdalnie sterowany samochodzik, ostatnio często reklamowany w telewizji. Potrafił wjechać wszędzie. Żeby uniknąć niejasności, zamierzał wpisać go jako jedyny punkt na swojej gwiazdkowej liście życzeń.

Z ulicy, jeśli się dobrze uważało, można było dostrzec, jak światła w oknach domu mrugały, gdy kolejka Gary'ego i żelazko Enid ciągnęły prąd. Poza tym dom wyglądał jak opuszczony. Po rozświetlonych domostwach Meisnerów, Schumpertów, Personów i Rootów znać było, że mieszkają tam ludzie — całe rodziny zgromadzone przy stołach. Głowy dzieci pochylone nad pracą domową, migoczące telewizory w salonach, raczkujące niemowlaki, dziadkowie sprawdzający, czy herbata z torebki naciągnie po trzeciej dolewce. To były uduchowione, nieświadome siebie domy.

Esencję istnienia domu stanowią jego mieszkańcy. To nie tylko niepodważalna prawda: to jedyna prawda.

Rodzina była duszą domu.

Żywy umysł był niczym światło dla domu.

Dusza była niczym suseł ukryty w swojej dziurze.

Świadomość była dla mózgu tym, czym rodzina była dla domu.

Arystoteles: Gdyby oko było zwierzęciem, wzrok byłby jego duszą.

Aby zrozumieć umysł, należało wyobrazić sobie czynności domowe, pomruk powiązanych egzystencji idących różnymi ścieżkami, niezbywalny blask ogniska domowego. Mówiło się o obecności, aktywności i zajęciu lub odwrotnie: o pustce i bezruchu. O niepokoju.

Może nijakie światło w domu goszczącym trójkę ludzi zajętych samymi sobą w piwnicy i jedną osobę — małego chłopca wpatzonego w zimny obiad — na górze było jak umysł osoby cierpiącej na depresję.

Gary pierwszy znudził się zabawą w piwnicy. Wynurzył się na parterze, ominął zbyt rozświetloną jadalnię, jakby przetrzymywano w niej kogoś obrzydliwie zeszpeconego, i poszedł na górę umyć zęby.

Wkrótce pojawiła się Enid z siedmioma jeszcze ciepłymi białymi koszulami. Ona także ominęła jadalnię. Uznała, że gdyby była odpowiedzialna za przesiadujący tam problem, nie rozwiązując go, stałaby się osobą niedbałą, a kochająca matka nigdy nie powinna zaniedbywać obowiązków, ona zaś była kochającą matką, stąd wniosek, że odpowiedzialność za rozwiązanie problemu ponosił kto inny. W końcu Alfred wynurzy się ze swojej jaskini i zobaczy, jakim był potworem, i poczuje ogromny, ogromny wstyd. Jeśli zaś będzie miał czelność oskarżać ją o tę sytuację, może mu odpowiedzieć: „To ty kazałeś mu siedzieć przy stole, dopóki nie zje”.

Puściła wodę do wanny i poszła uściskać Gary’ego przed snem.

— Zawsze bądź moim małym tygrysiem — powiedziała.

— Dobrze.

— Jesteś głodny? Jesteś dłapieźny? Jesteś moim dłapieźnym małym tygrysiem?

Gary nie odpowiedział na zadane pytania.

— Mamo, Chipper jest ciągle przy stole, a już prawie dziewiąta — usłyszała natomiast.

— To sprawa między tatą a Chipperem.

— Mamo? On naprawdę nie lubi tego jedzenia. On wcale nie udaje.

— Cieszę się, że ty nie grymasisz — powiedziała Enid.

— Mamo, to naprawdę nie w porządku.

— Kochanie, twój brat przechodzi przez szczególny okres w swoim życiu. To cudownie, że się tak o niego martwisz. Wspaniale, że tak go kochasz. Zawsze miej w sobie tyle miłości.

Pobiegła zakręcić kran i zanurzyła się w wannie.

W ciemnej sypialni, w domu obok, wchodząc w swoją żonę, Chuck Meisner wyobrażał sobie, że Bea to Enid. Gdy dochodził do wytrysku, handlował. Zastanawiał się, czy znajdzie akcje Erie Belt na jakiegokolwiek giełdzie. Kupiłby pięć tysięcy plus trzydzieści opcji sprzedaży na zabezpieczenie inwestycji. Jeszcze lepiej by było, gdyby ktoś zaoferował mu sto opcji niepokrytych.

Enid była w ciąży i rozliczała się rozmiarami miseczek biustonosza. Wymieniała A na B, a ostatecznie — do czasu gdy urodzi się dziecko, domyślał się Chuck, na C. Niczym nagły spadek wskaźnika obligacji miejskich.

Jedno po drugim gasły światła w St. Jude.

I kiedy siedziało się przy stole w jadalni wystarczająco długo, czy to za karę, w proteście, czy z nudów, nigdy nie przestawało się przy nim siedzieć. Jakaś część człowieka siedziała przy stole przez całe życie. Zupełnie jakby ciągly i zbyt bezpośredni kontakt z przenikliwie zimnym przemijaniem czasu mógł na zawsze poranić nerwy, tak jak patrzenie na słońce. Tak, jakby zbyt gruntowna znajomość jakiegokolwiek wnętrza była z definicji szkodliwa. Była wiedzą, która nie dawała się zmyć.

(Jakże zmęczony, jak wyczerpany był dom zamieszkały nadmiernie).

Chipper słyszał i widział różne rzeczy, ale wszystkie tylko w swojej głowie. Po trzech godzinach z otaczających go obiektów kolory znikwały niczym smak ze zżutej gumy balonowej. On z kolei czuł się

silny psychicznie i przytłaczał swoją mocą owe przedmioty. Przebudzenie wymagałoby ogromnego wysiłku woli — przywołanie nazwy „podkładka” i zintegrowanie jej z obszarem wizualnym, któremu przyglądał się tak intensywnie, że realność owego miejsca rozplynęła się w obserwacji, albo połączenie słowa „piec” z szelestami w przewodach, które przez swoje nawroty nabyły, w wyobraźni Chippera, wymowy emocjonalnej lub statusu aktora, ucieleśnienia Złych Czasów. Słabe pulsowanie światła, gdy ktoś prasował, grał, eksperymentował, gdy włączała się i wyłączała lodówka, wszystko to stało się częścią snu. Owa zmienność, choć ledwo zauważalna, przeradzała się w udrękę. Ale oto nastąpił jej koniec.

W piwnicy pozostał już tylko Alfred. Sondował żelazoctanowy żel elektrodami amperomierza.

Najnowsza bariera metalurgii: formowanie metali w temperaturze pokojowej. Świętym Graalem była substancja, którą dawało się przelewać lub modelować, ale która po indukcji (niewykluczone, że za pomocą prądu elektrycznego) miałyby wytrzymałość, przewodnictwo i oporność jak dobra jakościowo stal. Tworzywo lekkie jak plastik, ale twarde niczym metal.

Sprawa była pilna. Trwała wojna kulturowa i obóz plastiku zwyciężał. Alfred widział już słoiki na dżem i galaretkę z plastikowymi nakrętkami. Samochody z plastikowymi dachami.

Na nieszczęście metal w stanie wolnym — solidny słup stalowy lub porządny świecznik z mosiądzu — był towarem wyższej klasy, Natura zaś była niechlujna i wołała bałagan. Kruszonkę rdzy. Rozwiązałość cząsteczek w roztworze. Chaos wysokiej temperatury. Zamiast kostek idealnego żelaza przeważnie pojawiały się spontanicznie nieuporządkowane struktury. Zgodnie z drugim prawem termodynamiki, aby oprzeć się tyranii prawdopodobieństwa i zmusić atomy metalu do posłuszeństwa, trzeba było więcej pracy.

Alfred był przekonany, że pracę może zastąpić elektrycznością. Prąd, który płynął przez przewód, równał się pozbawieniu odległych miejsc porządku. W elektrowniach zorganizowany kawałek węgla przekształcał się we wzdęcie bezużytecznych rozgrzanych gazów; naziemny, opanowany zbiornik wodny zamieniał się w entropiczny wylew zmierzający ku ujściu rzeki. Takie poświęcenia porządku prowadziły do pożytecznej segregacji ładunków elektrycznych, które Alfred mógł wykorzystywać do pracy w domu.

Szukał materiału, który mógłby sam się galwanizować. Hodował kryształy z nietypowych materiałów w obecności prądu elektrycznego.

Nie były to trudne doświadczenia, raczej brutalne prawdopodobieństwo wynikające z prób i błędów, szukanie po omacku pomysłów, z których mógłby odnieść jakieś korzyści. Jeden z jego kolegów zarobił już swój pierwszy milion dzięki przypadkowemu odkryciu. Marzenia Alfreda o tym, że kiedyś nie będzie się więcej musiał martwić o pieniądze, były tym samym, co sny o pocieszeniu przez kobietę — prawdziwym pocieszeniu, gdy obezwładniało go nieszczęście.

Marzenie o radykalnej przemianie: przebudzeniu się pewnego dnia i zrozumieniu, że całkowicie się zmienił (jest bardziej pewny siebie, spokojniejszy, wyciszony), że jest innym człowiekiem i uciekł z tego więzienia ustaleń, że potrafi wreszcie coś zrobić.

Miał gliny i żele, i kity silikonowe, higroskopowe sole żelaza poddające się własnej topliwości, ambiwalentne acetyloacetony i tetrakarbonyle o niskich temperaturach topnienia, kawałek galu rozmiarów śliwki damascenki. Główny chemik w Midland Pacific, szwajcarski doktor nauk zanudzony na śmierć milionami pomiarów lepkości olejów silnikowych, twardości według Brinella, dostarczał Alfredowi odczynniki. Ich przełożeni wiedzieli o układzie — Alfred nigdy by nie zaryzykował, żeby dać się złapać na machlojkach. Nieoficjalnie ustalono, że jeśli kiedykolwiek uda mu się odkryć coś, co będzie można opatentować, Midpac będzie miał udział w dochodach.

Dzisiejszej nocy coś dziwnego działo się z żelem żelazowoocentanowym. Wartości przewodzenia zmieniały się jak szalone w zależności od tego, gdzie wsadził sondę amperomierza. Pomyślał, że próbnik jest brudny, i przełączył urządzenie na sondę igłową, którą znowu wetknął w żel. Zero przewodzenia. Potem nakłuł żel w innym miejscu i wartość przewodzenia skoczyła jak szalona. Co się działo?

Pytanie tak go zaabsorbowało i dodało otuchy, że mistrz pozostał przy swoim warsztacie aż do dziesiątej wieczorem. Wyłączył żarówkę mikroskopu i zapisał w dzienniku: WYBARWIĆ NIEBIESKIM CHROMIANEM 2%. NIEZWYKLE INTERESUJĄCE.

Gdy wyszedł z laboratorium, poczuł się straszliwie wyczerpany. Zabawił nieco, zabezpieczając zamek — jego analityczne palce stały się nagle sztywne i niezgrabne. Miał niewyobrażalną energię do pracy, ale gdy tylko przerywał robotę, ledwo mógł ustać na nogach. Jego wyczerpanie pogłębiło się, gdy wszedł na górę. W kuchni i jadalni paliło się światło, a przy stole siedział mały chłopiec, półleżąc na blacie, z twarzą na podkładce pod talerze. Wyglądało to tak bardzo niewłaściwie, tak było przesiąknięte Zemstą, że przez chwilę Alfred naprawdę myślał, że chłopiec przy stole jest duchem z jego własnego dzieciństwa.

Po omacku szukał wyłączników, jak gdyby światło było trującym gazem, którego upływ musiał powstrzymać.

W mniej szkodliwym półmroku wziął chłopca na rękę i zaniósł na górę. Na policzku dziecka widniał odcisk podkładki pod talerze. Chłopiec wymruczał coś bez ładu i składu, na poły przebudzony, opierał się jednak pełnemu oprzytomnieniu, trzymając nisko głowę, gdy Alfred rozebrał go i wygrzebał z szafy pizamę.

Gdy chłopiec znalazł się już w łóżku i zasnął szybko po wieczornym pocałunku, nieodgadniona ilość czasu wyciekła przez nogi krzesła w sypialni, na którym Alfred siedział, nie czując nic prócz nieszczęścia gromadzącego się pod czaszką. Zmęczenie bolało tak bardzo, że był wciąż przytomny.

A może jednak przysnął, bo nagle zorientował się, że stoi trochę bardziej wypoczęty. Wyszedł z pokoju Chippera i poszedł sprawdzić Gary'ego.

Tuż przy drzwiach sypialni drugiego syna stało cuchnące klejem Elmera więzienie z wykałaczek. Nie przypominało w niczym skomplikowanego domu poprawczego, jaki wyobrażał sobie Alfred. Model był topornym sześcianiem bez dachu, przedzielonym na dwie części. Plan podłogi przypominał właściwie dwumianowy kwadrat, który opisywał przed obiadem. A to, to coś w większej celi więziennej, ten zrujnowany zlepek półmiękkiego kleju i połamanych wykałaczek, czy to były taczki? A może miniaturowy podnózek?

Krzesło elektryczne.

W zniekształcającym myśli poczuciu wyczerpania Alfred ukląkł i przyjrzał się modelowi. Poczuł, że ulega wzruszeniu, z jakim zostało wybudowane to krzesło — patosowi impulsu, który kazał Gary'emu wymodelować obiekt i szukać akceptacji u ojca. Znacznie bardziej niepokoiła go niemożność zrównania tego prymitywnego obiektu z precyzyjnym wizerunkiem modelu krzesła elektrycznego, który wyobraził sobie dziś podczas obiadu. Podobnie jak kobieta ze snów, która była i zarazem nie była jego żoną, krzesło elektryczne, które uformował w myślach, było jednocześnie kompletnym krzesłem elektrycznym i modelem z wykałaczek. Uderzyło go silniej niż zwykle, że może każda prawdziwa rzecz na świecie jest w gruncie rzeczy mizernie zmienna, tak jak to krzesło elektryczne. Może jego umysł nawet teraz wyczyniał z podłogą, na której klęczał Alfred, dokładnie to, co zrobił kilka godzin wcześniej z niewidzianym krzesłem. Być może podłoga stała się naprawdę podłogą tylko na skutek jego mentalnej rekonstrukcji podłogi. Oczywiście natura podłogi do pewnego

stopnia nie podlegała wątpliwości; drewno bez wątpienia istniało i miało mierzalne właściwości. Ale była też druga podłoga, jej odbicie w jego głowie i Alfred bał się, że obłączona realność, której bronił, nie była realnością rzeczywistej podłogi w istniejącej sypialni, lecz rzeczywistością podłogi w jego głowie, wyidealizowaną i stąd wartą niewiele więcej niż głupie fantazje Enid.

To podejrzenie, że wszystko jest względne. Że „realność” i „autentyczność” nie są skazane na zagładę, ale od początku oparte na fikcji. Że jego poczucie prawości, unikatowej obrony realności jest wyłącznie emocją. Takie podejrzenia czaiły się we wszystkich motelach, które zwiedził. Paniczny strach ukryty pod lichymi materacami.

Jeżeli świat nie chciał przyjąć jego wersji rzeczywistości, musiał odrzucić świat, ten kwaśny, obrzydliwy świat, kolonię karną, a zatem został skazany na bezdenną samotność w świecie.

Pochylił głowę, myśląc, jak wiele siły potrzeba człowiekowi, aby przetrwać to życie w samotności.

Postawił żalosne, niepełnowartościowe krzesło elektryczne na podłodze największej celi. Gdy tylko je puścił, przechyliło się na jedną stronę. W jego myślach pojawiły się obrazy roztrzaskiwania modelu młotkiem, podciągniętych bluzek i zrywanych majtek, obrazy dartych na strzepy staników i wypiętych bioder i... nic się nie stało.

Gary spał w idealnej ciszy, tak jak jego matka. Nie było mowy, iż zapomniał o półoficjalnej obietnicy ojca, że obejrzy więzienie po obiedzie. Gary nigdy niczego nie zapominał.

„Mimo wszystko się staram”, pomyślał Alfred.

Wracając do jadalni, zauważył zmianę na talerzu Chippera. Zbrązowiałe brzegi wątróbki zostały pieczołowicie obcięte i zjedzone, podobnie jak cała panierka. Dojrzał także dowód na to, że i brukiew została jakoś przełknięta; mały kęs, który został na talerzu, upstrzony był dziurkami po widelcu. Również kilka liści botwiny zostało pokrojonych, a co miększe liście odcięte i zjedzone, czerwone łodyżki ułożone zaś na skraju talerza. Wyglądało na to, że Chipper mimo wszystko zjadł po jednym, wynikającym z umowy kęsie, prawdopodobnie z dużym poświęceniem, i poszedł spać bez zjedzenia zasłużonego deseru.

W pewien listopadowy poranek trzydzieści pięć lat temu Alfred znalazł zakrwawioną nogę kojota, uwięzioną w żelaznych szczękach pułapki; pamiątka kilku zdesperowanych godzin poprzedniej nocy.

Ogarnął go ból tak straszliwy, że musiał zacisnąć szczęki i przypomnieć sobie jeden z ulubionych fragmentów rozważań filozoficznych, żeby powstrzymać łzy.

Schopenhauer: Tylko jedna rzecz może posłużyć wyjaśnieniu cierpienia zwierząt: że w ich przypadku wola życia, która leży u podstaw całego świata fenomenów, pcha je do zaspokajania żądz przez wzajemne pożeranie się.

Pogasił wszystkie światła na dole, skorzystał z łazienki i włożył czystą piżamę. Otworzył walizkę, aby wyciągnąć szczoteczkę do zębów. Wślizgnął się do łóżka, do muzeum starodawnych środków transportu, obok Enid, najbliżej brzegu, jak mógł. Spała już w ten swój udający sen sposób. Spojrzał na budzik, na radową ozdobę obu wskazujących rąk — teraz bliżej do dwunastej niż do jedenastej — i zamknął oczy.

W ciemności rozbrzmiało pytanie zadane głosem jak w samo południe:

— O czym rozmawiałeś z Chuckiem?

Uczucie zmęczenia pogłębiło się w dwójnasób. Pod zamkniętymi powiekami przebiegły obrazy zlewek, sond i trzęsącej się igły amperomierza.

— Wyglądało mi na dyskusję o Erie Belt — ciągnęła Enid. — Czy Chuck wie coś na ten temat? Powiedziałaś mu?

— Enid, jestem wykończony.

— Po prostu jestem zaskoczona, to wszystko. Zastanawiam się.

— To był wypadek przy pracy i bardzo tego żałuję.

— Po prostu myślę, że to interesujące — ciągnęła Enid — że Chuckowi wolno zrobić inwestycję, której nam nie wolno zrobić.

— Jeśli Chuck zdecyduje się wykorzystać nieuczciwie tę przewagę nad innymi inwestorami, to jego sprawa.

— Wielu udziałowców Erie Belt byłoby szczęśliwych, gdyby jutro dostali akcje za pięć i trzy czwarte. Co w tym nieuczciwego?

Jej słowa miały melodię kłótni ćwiczonej godzinami, pretensji pielęgnowanych w ciemnościach.

— Za trzy tygodnie te udziały będą warte dziewięć i pół dolara — odparł. — Ja to wiem, ale większość ludzi nie. I to jest nieuczciwe.

— Jesteś mądrzejszy niż inni ludzie i lepiej niż im szło ci w szkole, a teraz masz lepszą pracę niż inni. To także jest niesprawiedliwe, nie sądzisz? Czy nie powinieneś stać się głupi, żeby wyrównać szanse?

Odgryzienie własnej nogi nie należało do czynów łatwych, nie dało się tego zrobić połowicznie. W którym momencie i w jaki sposób kojot zdecydował się zanurzyć zęby we własnym ciele? Prawdopodobnie najpierw nastąpił okres oczekiwania i rozważania. A potem?

— Nie zamierzam się z tobą kłócić — powiedział. — Skoro jednak nie śpisz, chciałbym wiedzieć, dlaczego nie położyłaś Chippera.

— Sam powiedziałaś, że...

— Przyszłaś na górę na długo przede mną. Nie chciałem, żeby siedział tam przez pięć godzin. Wykorzystujesz ich w grze przeciwko mnie, ale nic mnie to nie obchodzi. Chłopiec powinien być w łóżku przed ósmą.

Enid buzowała na ogniu swej winy.

— Czy możemy ustalić, że to się więcej nie powtórzy? — zapytał Alfred.

— Możemy.

— Doskonale. Zatem chodźmy spać.

Gdy w domu panowała absolutna ciemność, nienarodzone dziecko widziało wszystko tak dobrze, jak wszyscy inni. Miała oczy i uszy, palce i mózg, i pływała w centrum wszechświata. Poznała już wszelkie pragnienia. Dzień po dniu jej matka dusiła się w pożądaniu i winie, a teraz obiekt jej pragnień leżał obok niej, w zasięgu ręki. Wszystko w matce było gotowe roztopić się i wyłączyć pod jego kochającym dotykiem.

Było dużo oddychania, bardzo dużo oddychania, ale żadnego dotykania.

Alfred nie mógł zasnąć. Każde pociągnięcie nosem Enid przeszywało okropnym dźwiękiem jego uszy właśnie w momencie, gdy zaczynał zapadać w sen. Po pewnym czasie, który jak ocenił, trwał około dwudziestu minut, łóżko zaczęło się trząść od kiepsko powstrzymywanego płaczu. Przerwał ciszę, niemal zawodząc:

— O co chodzi tym razem?

— O nic.

— Enid, jest bardzo, bardzo późno, budzik nastawiłem na szóstą, a jestem potwornie zmęczony.

Rozpłakała się na dobre:

— Nawet nie pocałowałaś mnie na dobranoc!

— Wiem.

— I co, nie mam do tego prawa? Po tym jak mąż zostawia swoją żonę samą z całym domem na głowie na dwa tygodnie?

— To normalne. Szczerze powiedziawszy, musiałem znosić gorsze rzeczy.

— A potem wraca do domu i nie powie nawet „cześć”, tylko od razu na mnie wsiada?

— Enid, miałem okropny tydzień.

— I odchodzi od stołu, zanim skończył się obiad?

— Okropny tydzień i jestem strasznie zmęczony...

— Po czym zamyka się w piwnicy na pięć godzin? Mimo że, jak sam mówi, jest taki strasznie zmęczony?

— Gdybyś ty miała za sobą taki tydzień...

— Nie pocałowałaś mnie na pożegnanie!

— Dorośnij wreszcie! Na rany Chrystusa! Dorośnij!

— Nie podnoś głosu!

(Nie podnoś głosu, bo dziecko usłyszy).

(Rzeczywiście słyszało i chłonęło każde słowo).

— Uważasz, że pojechałem na wakacje? — zapytał szeptem Alfred. — Wszystko, co robię, robię dla ciebie i chłopców. Przez całe dwa tygodnie nie miałem ani chwili czasu dla siebie. Wydaje mi się, że wolno mi spędzić tych kilka godzin w laboratorium. Pewnie tego nie zrozumiesz, a nawet jeżeli zrozumiesz, to i tak mi nie uwierzysz, ale odkryłem coś bardzo interesującego.

— Bardzo ciekawe — powiedziała Enid. Pierwszy raz słyszała coś takiego.

— Cóż, to rzeczywiście jest ciekawe.

— Czy to coś o zastosowaniu komercyjnym?

— Nigdy nie wiadomo. Zobacz, co się zdarzyło z Jackiem Callahanem. Może dzięki temu będziemy mogli opłacić studia chłopców.

— Myślałam, że powiedziałaś, iż odkrycie Jacka Callahana było czystym przypadkiem.

— Mój Boże, posłuchaj samej siebie. Wmawiasz mi, że mam negatywne podejście, ale kiedy przychodzi do rozmowy o rzeczach, które są ważne dla mnie, kto jest na nie?

— Po prostu nie rozumiem, dlaczego nie chcesz nawet rozważyć...

— Wystarczy!

— Jeśli chodzi ci o zarobienie pieniędzy...

— Wystarczy! Wystarczy! Nic mnie nie obchodzi, co robią inni ludzie. Ja nie jestem nimi.

Ostatniej niedzieli w kościele Enid dwa razy odwróciła głowę i widziała, że patrzy na nią Chuck Meisner. Pewnie dlatego, że była nieco pełniejsza w biuście niż zazwyczaj. Ale za każdym razem Chuck oblewał się rumieńcem.

— Dlaczego jesteś taki oschły wobec mnie? — zapytała.

— Są po temu powody, ale nie powiem ci jakie — odparł Alfred.

— Dlaczego jesteś taki nieszczęśliwy? Czemu mi nie powiesz?

— Po moim trupie. Po moim trupie.

— O, o, o!

Miała złego męża. Bardzo, bardzo, bardzo złego męża, który nigdy nie dawał jej tego, czego potrzebowała. Odmawiał jej wszystkiego, co mogło ją w jakikolwiek sposób ucieszyć. Leżała więc,

Tantala, u boku nieruchomej iluzji wielkiej uczy. Wystarczyłoby najmniejsze skinienie palcem. Nie musiał wydobywać słów z tych swoich ust jak dojrzała śliwka. Ale Alfred był do niczego. Zwiłek banknotów wetknięty pod materac, gnijący i tracący na wartości, oto czym był. Przygnębienie centralnego rejonu kraju wysuszyło go tak jak jego matkę, która nie rozumiała, że konta oszczędnościowe w bankach są ubezpieczone federalnymi przepisami, i że pierwszorzędne akcje trzymane przez dłuższy czas mogą wraz z ponownie zainwestowanymi dywidendami zapewnić jej wygodną starość. Alfred był złym inwestorem.

Ale ona nie. W ciemnościach sypialni nieraz podejmowała już ryzyko i teraz podjęła je znowu. Obróciła się i połaskotała jego udo piersiami, które podziwiał sąsiad. Oparła policzek na klatce piersiowej męża. Czowała, że czeka, aż sobie pójdzie, ale najpierw musiała pogłaskać palcami płaszczyznę jego umięśnionego brzucha, ślizgając się tuż nad powierzchnią, dotykając włosów, ale nie skóry. Ku swemu lekkiemu zdziwieniu poczuła, jak budzi się do życia pod dotykiem jej palców. Jego pachwiny zacisnęły się w odruchowym uniku, ale palce Enid były zbyt zwinne. Czowała, jak rośnie, przez rozporek jego piżamy i w przyływie dławionego dotąd głodu zrobiła coś, na co nigdy przedtem by sobie nie pozwoliła. Pochyliła się nad nim i wzięła go w usta. To: gwałtownie rosnący chłopiec, delikatnie pachnący moczem klusek. Ze zręcznością palców i obrzmiałymi piersiami czowała się pożądana i zdolna do wszystkiego.

Mężczyzna pod nią zatrząsał się w sprzeciwie. Szybko uwolniła usta:

— Al, kochanie?

— Enid, co ty...

Znowu jej otwarte usta objęły walec jego ciała. Trwała nieruchomo przez moment, wystarczająco długo, by poczuć na podniebieniu, jak twardnieje, pulsując. Podniosła głowę.

— Myślisz, że moglibyśmy odłożyć trochę pieniędzy w banku? Zabrać chłopców do Disneylandu. Co myślisz?

Na powrót się pochyliła. Język i penis powoli dochodziły do porozumienia. Al smakował teraz jak wnętrze jej ust. Jak obowiązek, we wszystkich znaczeniach tego słowa. Chyba niechcący stuknął ją kolanem w żebra i Enid przesunęła się nieco, wciąż czując się pożądana. Wypełniła usta aż po gardło, potem cofnęła się, żeby nabrać powietrza i znów połknęła go niemal całego.

— Wystarczy zainwestować dwa tysiące — mruzczała — z czterodolarowym dyferencyjnym ...kietem!

Alfred oprzytomniał i odepchnął sukuba od siebie.

Schopenhauer: To mężczyźni zajmują się zarabianiem pieniędzy, nie kobiety; wynika z tego jasno, iż kobiety ani nie są uprawnione do posiadania ich, ani nie powinno się im powierzać zarządzania nimi.

Sukub sięgnął po niego znowu, ale złapał jej nadgarstek jedną ręką, drugą ściągając jej koszulę nocną.

Może przyjemność kołysania, podobnie jak przy nurkowaniu i skokach spadochronowych, była esencją czasu, gdy macica chroniła cię przed koniecznością wznoszenia się i opadania. Czasu, gdy nie występują jeszcze mechanizmy, dzięki którym można poczuć zawrót głowy, gdy człowiek wciąż rozkoszuje się bezpiecznie ciepłem wewnętrznego oceanu.

Tylko że to kołysanie było przerażające, to kołysanie nadeszło wraz z wyrzutem adrenaliny, ponieważ matka wydawała się czymś zdenerwowana...

— Al, nie jestem pewna, czy to dobry pomysł. Chyba nie. Nie sądzę...

— W książce piszą, że nie ma w tym nic złego...

— Nie jestem przekonana... Oooo. Naprawdę. Al?

Był mężczyzną, który odbywał legalny stosunek ze swoją legalną żoną.

— Al, mimo wszystko lepiej nie. Więc...

Walczył z wizerunkiem trykotowej nastoletniej PIZDY i innych CIP z ich CYCKAMI i DUPAMI, które facet chciałby ZERZNAĆ. Walczył, chociaż w pokoju było bardzo ciemno, a ciemności pozwalały na wiele.

— Och, jestem taka nieszczęśliwa z tego powodu... — cicho zajęczała Enid.

Najgorszy był obraz małej dziewczynki skulonej wewnątrz Enid, dziewczynki nie większej niż duży robak, ale mimo to będącej świadkiem tej krzywdy. Świadkiem opiętego, rozpołowionego na wierzchu mózgu, który zanurzał się głęboko poza szyjkę macicy i wynurzał, a potem, w szybkim podwójnym skurczu, którego nie można było właściwie potraktować jako ostrzeżenia, wypluł gęste, zasadowe pajęczyny spermy wprost do jej prywatnego pokoju. Jeszcze nienarodzona, a już przemoczona do suchej nitki lepką wiedzą.

Alfred leżał, łapiąc oddech i żalując zbezczeszczenia swego dziecka. Ostatnie dziecko stanowiło ostatnią szansę, aby nauczyć się czegoś na swoich błędach i wprowadzić korekty, a on postanowił wykorzystać tę sposobność. Od dnia jej narodzin będzie ją traktować znacznie łagodniej niż Gary'ego i Chippera. Ustali dla niej łagodniejsze zasady, będzie wydzielał kieszonkowe i nigdy nie zmusi jej do siedzenia przy stole, gdy wszyscy inni już dawno od niego odeszli.

Ale trysnął w nią tym całym brudem, gdy była jeszcze bezbronna. Była świadkiem takich scen małżeńskich i dlatego gdy dorosła, zdradziła go.

To, co umożliwiło korektę, skazało ją jednocześnie na zagładę.

Czuła sonda, która przed chwilą dawała maksymalne odczyty, teraz wskazywała zero. Odsunął się i wyciągnął ramiona do swojej żony. Pod wpływem instynktu płciowego (jak nazwał to Artur Schopenhauer) stracił świadomość, jak okrutnie mało czasu zostało do momentu, w którym ogoli się i złapie pociąg do pracy, ale teraz instynkt zamarł i świadomość tego, że pozostało mu niewiele czasu, zaciążyła mu na piersi niczym stuczterdziestotonowy tabor kolejowy. W dodatku Enid zaczęła znowu płakać, jak wszystkie żony o psychotycznie późnej godzinie, gdy majstrowanie przy budziku nie wchodziło w rachubę. Wiele lat temu, gdy dopiero co się pobrali, Enid czasami płakała o takich dziwnych godzinach, ale wtedy Alfred czuł taką wdzięczność za rozkosz, którą skradł, gdy ona doświadczała bólu, że nigdy nie zapomniał zapytać, dlaczego płacze.

Dziś w nocy jednak nie czuł ani wdzięczności, ani najmniejszego zobowiązania wobec Enid. Czuł się śpiący.

Dlaczego żony muszą płakać akurat w nocy? Płkanie w nocy było w porządku, jeśli rano człowiek nie musiał zdążyć na pociąg i jeśli parę chwil temu nie popełnił profanacji w poszukiwaniu spełnienia, którego ważność natychmiast gdzieś się rozmyła.

Może potrzeba było tego wszystkiego — dziesięciu bezsennych nocy w nędznych motelach plus tego wieczoru na emocjonalnej huśtawce, a wreszcie siąkania i kwilenia żony, która zdecydowała się płakać o cholernej drugiej nad ranem, wydając odgłosy sprawiające, że człowiekowi chciało się wyjść i wpakować pistolet prosto do ust — aby Alfredowi otworzyły się oczy na fakt, że (a) sen był kobietą i (b) nie miał obowiązku odmawiać jej próbom zaspokojenia go.

Dla człowieka, który całe swoje życie zwalczał wszelkie nadprogramowe drzemki jako niezdrowy komfort, ta nowa prawda mogła zmienić całe jego życie — w pewnym sensie nie mniej doniosłe niż jego wcześniejsze odkrycie anizotropizmu elektrycznego w żelu usieciowanego octanu żelaza. Upłynie ponad trzydzieści lat, zanim wynalazek z piwnicy przyniesie wreszcie jakiś zysk finansowy;

odkrycie w sypialni sprawiło, że egzystencja w domu Lambertów natychmiast uległa poprawie.

Pax somnis, pokój snu zstąpił na domostwo Lambertów. Nowa kochanka Alfreda uspokajała bestię, która jeszcze w nim drzemała. O ileż łatwiej było zamiast wściekać się lub smucić, po prostu zamknąć oczy. Wkrótce wszyscy zrozumieli, że ma niewidzialną konkubinę, którą zabawiał w pokoju rodzinnym w sobotni wieczór, gdy jego cotygodniowa praca w Midpacu dobiegała końca. Kochanicę, którą zabierał ze sobą w każdą delegację i w której objęcia wpadał, kładąc się do łóżek już nie tak niewygodnych, w pokojach hotelowych już nie tak głośnych. Nowa dama do towarzystwa nigdy nie zaniedbywała odwiedzin, gdy wieczorem przeglądał papiery. Dzielił z nią poduszkę podróżną po lunchu podczas wycieczek rodzinnych, gdy w tym samym czasie Enid prowadziła samochód, a dzieci siedziały cicho na tylnym siedzeniu. Drzemka była idealną, pasującą do jego trybu pracy towarzyszką życia, z którą powinien się ożenić zamiast z Enid. Idealnie uległa, nieskończenie wybacząca i tak pełna szacunku, że mogłeś ją wziąć ze sobą do kościoła, do filharmonii, a nawet na spektakl w St. Jude Repertory Theater. Nigdy nie budziła go swoim płaczem. Niczego nie żądała, a w zamian za nic dawała mu wszystko, czego potrzebował na długi dzień pracy. Nie było między nimi nieporozumień, żadnych romantycznych zbliżeń, żadnych wycieków wydzielin ciała, żadnego wstydu. Mógł zdradzać z nią Enid w jej własnym łóżku, nie dostarczając jej choćby cienia oficjalnych dowodów zdrady. Dopóki trzymał to w tajemnicy na tyle, że nie zasypiał podczas wieczornych obiadów, Enid tolerowała konkubinat, tak jak to czynią rozsądne żony. Była to więc wierność, za którą przez całe lata nie nadchodził dzień zapłaty.

— Pssst! Dupku!

Alfred przebudził się gwałtownie, czując drzenie i powolne przechyły Gunnara Myrdala. Czyżby w kabinie był ktoś jeszcze?

— Dupek!

— Kto tu jest? — zapytał częściowo ze strachu, a częściowo z ciekawości.

Cienkie skandynawskie pledy zsunęły się na ziemię, gdy usiadł i wpatrzył się w półmrok, usiłując usłyszeć coś więcej, niż pozwalały zmysły. Ludzie częściowo głusi wiedzą, na jakiej częstotliwości nadają głosy w ich głowach. Najstarszym towarzyszem Alfreda był kontralt, brzmiący jak środkowe A organów, buczący sygnał, który rozlegał się gdzieś w okolicach lewego ucha. Znał jego brzmienie, coraz głośniejsze, już od trzydziestu lat; był to tak żywotny element, że wydawało się, iż przeżyje Alfreda. Miał w sobie nieskazitelną bezsensowność rzeczy wiecznych i nieskończonych. Rzeczywisty jak bicie serca, nie wiązał się z żadnym elementem jego organizmu. Był to dźwięk wytwarzany przez nicość.

W tle rozlegały się też słabsze i bardziej nieśmiałe tony. Cirrusowate skupiska bardzo wysokich dźwięków gdzieś wysoko, w stratosferze poza jego uszami. Błąkające się nuty ciche niczym duchy, dochodzące z odległych organów parowych. Pobrzękujące akordy niczym stado świerszczy, które przyływały i odpływały gdzieś w głębi jego czaszki. Niski, niemal dudniący szum, niczym rozcieńczony odgłos ogłuszającej pracy silnika dieslowskiego, dźwięk, którego nigdy nie uważał za realny — to znaczy za nierealny — dopóki nie odszedł z Midpaca i nie stracił kontaktu z lokomotywami. To były głosy w jego głowie, stworzone i wysłuchiwane, głosy, z którymi był za pan brat.

Na zewnątrz słyszał strzelanie w stawach dwóch rąk, delikatnie obracających się pod okrywającymi go prześcieradłami. Tajemniczy, agresywny szum wody dokoła, dochodzący z ukrytych kapilar Gunnara Myrdala. I kogoś, kto parskał i psykał w bliżej niesprecyzowanej przestrzeni poniżej horyzontu koi. I jeszcze tykanie budzika. Była trzecia nad ranem i jego kochanka go opuściła. Teraz,

gdy potrzebował jej ukojenia bardziej niż kiedykolwiek, odeszła, aby kurwić się z młodszymi śpiącymi. Przez trzydzieści lat była mu posłuszną, rozpościerała przed nim ramiona i nogi każdej nocy o dziesiątej piętnaście. Była przystanią, której szukał, łonem, w którym się chronił. Mógł ją w każdej chwili przywołać po południu lub wczesnym wieczorem, ale nie w nocy, gdy był w łóżku. Gdy tylko kładł się spać, szukał po omacku wśród prześcieradeł i czasem, na parę godzin, chwycił którąś z jej kościstych wypustek. Ale niezmiennie o drugiej lub trzeciej odchodziła, nie pozostawiając złudzeń, że jeszcze do niego należy.

Wpatrywał się z przestrachem ponad rdzawopomarańczową wykładziną w nordycko jasne drewniane zarysy koi Enid. Wyglądało na to, że Enid umarła.

Szum wody w milionach rur.

Drzenie — miał pewne podejrzenia co do niego. Drzenie rodziło się w silnikach. Gdy budowało się luksusowy statek, zazwyczaj należało wyciszyć i obniżyć częstotliwość dźwięków wydawanych przez silniki, aż do najniższej możliwej wartości, a nawet jeszcze niżej, chociaż nigdy nie dało się ich zlikwidować. Kończyło się to poddźwiękowymi wibracjami o częstotliwości dwóch herców — niedającym się zniwelować przypomnieniem ciszy narzuconej potężnym maszynom.

Małe zwierzę, mysz przycupnęła na rozwarstwionych cieniach, u stóp łóżka Enid. Przez chwilę Alfredowi wydawało się, że cała podłoga wypełniona jest przemykającymi ciałkami. Potem myszy przekształciły się w jedną, bardziej widoczną mysz, straszliwą mysz, sprasowane grudki odchodów, nawyk obgryzania, siusianie byle gdzie...

— Dupek! Dupek! — szydził gość, wychodząc z ciemności w blady prześwit przy łóżku.

Alfred z konsternacją rozpoznał przybyłego. Najpierw zobaczył urywaną linię odchodów, a potem uchwycił nosem odór rozkładu bakteryjnego. To nie była mysz, to było łajno.

— Mamy problem z siusianiem, co? He, he! — odezwało się łajno.

Było to socjopatyczne gówno, luźny stolec, sraczka słowna. Przedstawiło się Alfredowi zeszłej nocy i tak nim wstrząsnęło, że tylko słowa otuchy Enid, rozbłysk światła żarówki i kojący dotyk dłoni żony na piersi uratowały resztę dnia.

— Wyjdź! — rozkazał Alfred surowym głosem.

Ale łajno przycupnęło na brzegu czystego nordyckiego łóżka i rozlało się na prześcieradłach niczym ser brie albo śmierdzący obornikiem cabrales.

— Nic z tego, kolego — powiedziało i dosłownie rozplynęło się w wichurze komicznych odgłosów pierdzenia.

Strach przed napotkaniem łajna na swojej poduszce oznaczał przywołanie go na poduszkę, gdzie następnie klapnęło w pozycji lśniącej obfitości.

— Idź stąd, idź sobie — powtórzył Alfred, podpierając się łokciem o wykładzinę po tym, jak opuścił łóżko głową do przodu.

— Nic z tego — odparło łajno. — Najpierw zamierzam dobrać się do twoich ubrań.

— Nie!

— Właśnie że tak. Zamierzam dostać się do twoich ubranek i dotknąć tapicerki. Posmaruję trochę, żeby zostawić ślad. Będzie nieźle śmierdziało.

— Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego to robisz?

— Bo mi to pasuje — zarechotało łajno. — Pamiętaj, kim jestem. Mam zrezygnować z własnych wygod na rzecz kogoś innego? Wskoczyć do kibelka, żeby oszczędzić czyjeś uczucia? Takie rzeczy to twoja działka, kolego. Wszystko ci się poprzepierdawrało w głowie i zobacz, gdzie wylądowałeś.

— Inni ludzie też powinni mieć wzgląd na bliźnich.

— A ty powinieneś mieć go mniej. Ja osobiście jestem przeciwny wszelkiej krytyce. Jeśli coś czujesz, nie zatrzymuj tego w sobie, jeśli czegoś chcesz, zdobądź to. Normalny gość powinien dbać przede wszystkim o własne interesy.

— Cywilizacja oparta jest na wyrzeczeniach — powiedział Alfred.

— Cywilizacja? Przeceniana. Pytam, co cywilizacja zrobiła kiedykolwiek dla mnie? Spuściła mnie z wodą! Traktowała mnie jak gówno!

— Ale tym właśnie jesteś — tłumaczył Alfred w nadziei, że łąjno dostrzeże w tym logiczną całość. — I do tego służy toaleta.

— Kogo tu wyzywasz od gównien, dupku? Mam takie same prawa jak każdy inny, nie? Życie, wolność, pochwościg za gorącocipkowością? Wszystko jest zagwarantowane w konstytucji Stanów Zjed- Noc-...

— To nie w porządku — powiedział Alfred. — Mówisz o Deklaracji Niepodległości.

— Jakiś stary, pożółkły kawałek papieru nie wiadomo gdzie, co do kurwy nędzy mnie obchodzi, o jakim dokładnie papierze mówię? Sztywne dupki, jak ty, poprawiały każde pierdolone słowo, które wyszło z moich ust, odkąd byłem małym fąflem. Ty i ci wszyscy zatwardzenie faszystowscy nauczyciele i gestapogliny. Jeżeli o mnie chodzi, wszystkie te słowa wydrukowano na kawałku papieru toaletowego i ja mówię, że to jest wolny kraj, i ja jestem większością, a wy, chłopaki, mniejszością. Dlatego pieprzę was.

Postawa i ton łąjna z czymś się Alfredowi niesamowicie kojarzyły, ale nie mógł sobie przypomnieć z czym. Łajno zaczęło toczyć się po poduszce na wszystkie strony, zostawiając na niej połyskliwą zielonobrazową warstwę z małymi grudkami i włókienkami. Tam, gdzie materiał był zmięty, zostały białe zmarszczki i wgłębione plamy. Alfred, wciąż na podłodze obok łóżka, zasłonił usta i nos rękoma, aby złagodzić smród i przerażenie.

Potem łąjno zaczęło pełznąć po nogawce jego piżamy. Czuł wyraźnie jego łaskoczące mysie łapki.

— Enid! — zawołał z całą mocą, jaką posiadał.

Łajno było już gdzieś w pobliżu górnej partii jego ud. Z trudem zginając zeszywniałe nogi i zaciskając ledwo funkcjonujące kciuki na pasku, Alfred ściągnął dół od piżamy, aby uwięzić łąjno wewnątrz materiału. Nagle zrozumiał, że łąjno jest skazańcem, który wydostał się z więzienia, odpadem człowieczym, którego miejsce znajduje się w celi. Po to były zakłady karne: dla ludzi, którzy wierzyli, że to oni, a nie społeczeństwo, ustalają reguły. A jeśli więzienie ich nie odstraszało, zasługiwali na śmierć! Śmierć! Czerpiąc siłę z gniewu, Alfred zdołał zedrzeć skłębione spodnie od piżamy ze stóp. Drżącymi rękoma przycisnął zawiniątko do wykładziny, przygniatając je przedramionami, a następnie wcisnął je między twarde nordycki materac a ramę łóżka. Uklęknął, łapiąc oddech, w samej górze od piżamy i pieluszce dla dorosłych.

Enid nadal spała. Było coś bajkowego w jej zachowaniu tej nocy.

— Bleeeee! — drwiło łąjno. Pojawiło się na ścianie ponad łóżkiem Alfreda i zawisło niebezpiecznie, niczym niedbale rzucona kupka, nad kwasorytem przedstawiającym nabrzeże Oslo.

— Niech cię diabli! — powiedział Alfred. — Powinni cię wsadzić do więzienia!

Łajno zarzęziło ze śmiechu i zaczęło zsuwać się powoli po ścianie, jego lepkie nibynóżki w każdej chwili mogły spaść na pościel.

— Wydaje mi się — powiedziało — że zastałe analnie osoby jak ty chcą wszystko wsadzić do ciupy. Na przykład małe dzieci, uuu, niedobrze, człowieku, dzieci ściągają cacka z twoich półek, upuszczają jedzenie na dywan, płaczą w teatrze, nie trafiają do kosza na śmieci. Zamknąć je

wszystkie! A Polinezyjczycy, człowieku, wnoszą piach do domu, smarują rybą meble i jeszcze do tego te wszystkie młodziutkie dziewczuszki z cycuszkami na wierzchu? Do paki! A może by tak dać po dziesięć do dwudziestu tym wszystkim napalonym małym nastolatkom, wiesz, za bezczelność i brak umiaru. Dalej, Murzyni (nieprzyjemny temat, Józiu?), słyszę te ich rubaszne pokrzykiwania i przedziwną gramatykę. Czuję zapach whisky słodowej wszelkiego rodzaju i pot, bardzo gęsty i skórzasty, a do tego te ich tańce, hałaśliwe zabawy i śpiewacy, którzy gruchają niczym części ciała zwilżone śliną i posmarowane specjalnym żelem: od czego są więzienia, jeśli nie od trzymania tam Murzynów? Weźmy wyspiarzy z Karaibów, te ich skręty z marychą, brzuchate dzieciaki, codzienne grillowanie, roznoszone przez szczury hantawirusy i słodkie drinki z dodatkiem świńskiej krwi na dnie? Zatrzasnąć drzwi celi i połknąć klucz! A już Chińczycy, człowieku, te popaprane warzywa o dziwacznych nazwach, jak sztuczne penisy z domowej hodowli, które ktoś zapomniał umyć po użyciu, jeden-dolah, jeden-dolah, te oślizgłe karpie, obdarte żywcem ze skóry słowiki i, no dajcie spokój, zupa ze szczenięciny, pierożki z koteczka i małe dziewczynki uchodzą za narodowe przysmaki, a ten szpunt wieprzowy, przez co, nie bójmy się powiedzieć, rozumiemy odbyt świni, zapewne coś gumiastego i szczeciniastego, no więc za ten szpunt Chińczycy płacą, gdy chcą to zjeść? Dlaczego nie spuścimy bomby atomowej na cały miliard z kawałkiem tych obrzydliwców, co? Wyczyścimy jedną część świata. No i nie zapominajmy o kobietach, generalnie rzecz biorąc. Gdziekolwiek się zjawia, ciągną za sobą smugę chusteczek i tamponów. Te wszystkie wróżki z ich kremami nawilżającymi. Pachnący czosnkiem południowcy z wąsami i śmierdzący serami Francuzi z pasami do pończoch, biurowi drapacze jaj, z podrasowanymi samochodami i wielkimi brzuchami piwnymi, Żydzi z obrzezanymi pałami i faszzerowaną rybą jak marynowane gówno, ci anglosascy protestanci, białasi z łodziami wyścigowymi Cigarette, zasranymi końmi do polo i cygarami firmy „kij-ci-w-tyłek”? Wiesz, to zabawne, Felek, ale jedyni ludzie, którzy nie powinni znaleźć się w twoim więzieniu, to faceci z lepszego sortu klasy średniej, z północnej Europy. Czy teraz rozumiesz, dlaczego chcę, żeby było po mojemu?

— Co mam zrobić, żebyś opuściło ten pokój? — zapytał Alfred.

— Rozluźnij zwieracz, stary. Zrzuć balast.

— Nigdy!

— W takim razie chyba odwiedzę twój zestaw do golenia. Może mi się przytrafić mały biegunkowy wypadek w pobliżu twojej szczoteczki do zębów. Zostawię kilka milutkich zrzucików w twoim kremie do golenia i nad ranem będziesz się mógł namydlić obfitą, brązową pianą...

— Enid, mam problem — rzekł Alfred spiętym głosem, nie spuszczać oczu z przebiegłego łajna.

— Byłoby miło, gdybyś pomogła.

Jego prośba powinna ją obudzić, ale Enid spała głębokim snem Królowny Śnieżki.

— Enid, kouchanie — przedrzeźniało go łajno, naśladowując akcent Davida Nivena — byłoby mi niezwykle miło, gdybyś użyła mi swej pomocy w najbliższym dogodnym dla ciebie momencie.

Niepotwierdzone raporty nerwów z dolnej części pleców Alfreda i z obszarów pod kolanami wskazały, że w pobliżu znajdowały się dodatkowe jednostki łajna. Gówniani rebelianci sapiący ukradkowo przez nos i rozsiewający wokół fetor.

— Żarcie i cipki, kolego — rzucił ich przywódca, ledwo już trzymając się ściany na pojedynczej nibynóżce ze sraczkowatej pianki. — Do tego wszystko się sprowadza. Wszystko inne, stwierdzam to z całkowitą skromnością, to czyste gówno.

Nibynóżka przerwała się i pozostawiając na ścianie mały glucik zgnilizny, przywódca rebelii

opadł z okrzykiem radości na łóżko, które było własnością Nordic Pleasurelines i na którym za kilka godzin pewna miła Finka zmieni całą pościel. Wizja tej czystej, miłej sprzątaczkii znajdującej kawałki jego własnych, osobistych ekskrementów rozsiane po prześcieradle była dla Alfreda prawie nie do zniesienia.

W jego ożywionym nagle odbycie wił się i ciskał stolec. Musiał wytrzymać. Podejrzewał, że źródłem jego problemów może być zepsuty wychodek. Popęłznął na czworakach do łazienki i kopniakiem zamknął za sobą drzwi. Obrócił się z niezwykłą łatwością na gładkich płytkach podłogowych. Oparł się plecami o drzwi i natarł stopami na umieszczoną naprzeciwko umywalkę. Roześmiał się krótko na myśl o absurdalności tej sytuacji. Oto siedział tu — amerykański pracownik szczebla kierowniczego — w pieluszcze, na ruchomej podłodze, oblegany przez dywizjon gówna. O takiej porze przychodzić człowiekowi do głowy najdziwniejsze rzeczy.

Oświetlenie w łazience było nieco lepsze. Panowała tu laboratoryjna wręcz czystość i organizacja, nawet gdy chodziło o wydalanie, o czym świadczyła toaleta. Wykonana ze szwedzkiej porcelany, wyglądała jak przerośnięty kieliszek do jajek, królewski tron z pieczołowicie karbowanymi dźwigniami. W tych znacznie przyjemniejszych okolicznościach Alfred był zdolny zebrać się w sobie na tyle, że zrozumiał, iż zbuntowane łajno było wytworem jego wyobraźni, że niezupełnie się obudził, a źródłem jego niepokoju był zwykły problem z systemem drenującym.

Na nieszczęście obsługa techniczna nie pracowała w nocy. Nie było mowy o tym, żeby samemu zająć się pęknięciem ani by umieścić w spływie kamerę lub przetykacz prętowy. Nie sądził także, żeby w takich okolicznościach wykonawca łazienki dokonał wymiany uszkodzonego sprzętu. Alfred nie był nawet pewien, czy w tej chwili udałoby mu się wskazać na mapie swoje położenie.

Nie pozostawało nic innego, jak tylko czekać do rana. Z braku ostatecznego rozwiązania musiały wystarczyć dwa połowiczne wyjścia z sytuacji. Trzeba było walczyć z problemem taką bronią, jaka była pod ręką.

Kilka dodatkowych pieluszek: to powinno wystarczyć na te kilka kolejnych godzin. Paczka jednorazówek stała tuż obok toalety.

Dochodziła czwarta. Niezłe mu zapłaca, jeśli manager nie pojawi się przy recepcji o siódmej. Alfred nie mógł przypomnieć sobie nazwiska faceta, ale to nie było ważne. Po prostu zadzwoni tam i porozmawia z kimkolwiek, kto podniesie słuchawkę.

Swoją drogą, jakie to charakterystyczne dla tego nowoczesnego świata, te cholernie śliskie taśmy na pieluchach.

— Popatrzcie no tylko — powiedział w nadziei, że jego wściekłość na zdradliwą nowoczesność przerodzi się w filozoficzne rozbawienie. Samoprzylepne paski mogły być równie dobrze pokryte teflonem. Z jego wysuszoną skórą i drgawkami zdjęcie warstwy zabezpieczającej klej przypominało podnoszenie szklanej kulki za pomocą dwóch pawich piór.

— Na miłość boską.

Walczył z paskami przez pięć minut, potem przez kolejne pięć. Po prostu nie potrafił zdjąć warstwy ochronnej z plastra.

— Na miłość boską.

Uśmiechał się szeroko do własnej niemożności, szczyrzył zęby z frustracji i wszechogarniającego uczucia, że jest obserwowany.

— Na miłość boską — powtórzył jeszcze raz. Ów zwrot często okazywał się przydatny podczas rozwiewania wstydu z powodu drobnych niepowodzeń.

Jakże się zmieniały w nocy pomieszczenia! Zanim Alfred poddał się w walce z samoprzylepnymi

paskami i po prostu wciągnął trzecią pieluchę przez nogę tak daleko, jak się dało — niestety niezbyt wysoko — znajdował się już w zupełnie innej łazience. Światło nabrało nowej, klinicznej intensywności; Alfred poczuł na ramieniu ciężką dłoń bardzo późnej pory.

— Enid! — zawołał. — Czy możesz mi pomóc?

Pięćdziesiąt lat doświadczenia w zawodzie inżyniera pozwoliło mu dostrzec bez trudu, że wykonawca pieluch spartolił robotę. Jedna z nich była niemal wywinięta na drugą stronę, z innej zaś wystawała nieco spastyczna noga, uniemożliwiająca rozłożenie i użycie zasadniczej, wchłaniającej warstwy pampersa. Samoprzylepne taśmy przylegały do powietrza. Alfred potrząsnął głową. Nie mógł winić producenta, to była jego wina. Nie należało podejmować się podobnego zadania w takich warunkach. Źle ocenił sytuację. Utrata panowania nad sobą i rozbijanie się po nocy zwykle sprawiało więcej problemów, niż rozwiązywało.

— No to narobiliśmy niezłego bałaganu — stwierdził z gorzkim uśmiechem.

Czy to mógł być jakiś płyn na podłodze? O Boże, na podłodze coś się rozlało.

Rury Gunnara Myrdala także pompowały jakiś płyn.

— Enid, proszę cię, na miłość boską. Pomóż mi.

Z kwatery rady okręgowej nie nadeszła żadna odpowiedź. Chyba wszyscy byli na jakichś wakacjach. Coś związanego z kolorami jesieni.

Płyn na podłodze! Płyn na podłodze!

No więc dobrze, w końcu płacili mu za to, żeby był odpowiedzialny. Płacili mu za odbębnianie ciężkich rozmów przez telefon.

Wziął głęboki, dodający animuszu oddech.

W sytuacjach kryzysowych, jak ta, przede wszystkim należało oczyścić drogę odpływu. Zapomnij o naprawach, najpierw musiał znaleźć nachylony teren, inaczej kłapa, zaleje go.

Zauważył ponuro, że nie ma żadnych narzędzi pomiarowych, nawet zwykłej poziomicy. Musiał po prostu wypatrzeć pochył. Jak to się stało, że uwikłał się w takie tarapaty? Pewnie nie ma jeszcze piątej nad ranem.

— Przypomnij, żebyśmy zadzwonił do biura okręgowego o siódmej — powiedział.

Gdzieś tam oczywiście musiał czuwać posłaniec, ale najpierw trzeba było znaleźć telefon, a tutaj odezwała się w nim nagle interesująca niechęć do podniesienia wzroku powyżej linii sedesu. Warunki panujące tu, na dole, były nie do zniesienia. Zanim zdoła odszukać telefon, będzie pewnie środek poranka. A do tego czasu...

— Och, tyle roboty — jęknął.

Podłoga w brodziku miała lekkie zagłębienie. Tak, to zdecydowanie był jakiś istniejący wcześniej dren, może pozostałość po niedokończonym, solidnym projekcie budowy dróg, albo po robotach armii. Jedno z tych nocnych, przypadkowych odkryć: prawdziwy dren. Mimo to Alfred będzie musiał jeszcze nieźle się nagłowić, jak przekierować całą operację tak, by wykorzystać ów odpływ.

— Obawiam się, że nie mam zbyt dużego wyboru.

Na pewno był w stanie to zrobić. Wcale nie czuł się zmęczony. Pomyśleć o Holendrach i ich projekcie Delta. Czterdzieści lat walki z morzem. Z takiej perspektywy — to była tylko jedna zła noc. Znosił już gorsze rzeczy.

Trzeba pomyśleć o dodatkowym zabezpieczeniu w całym systemie. Taki był plan. Ani myśli zawierzyć jednemu małemu odpływowi, że poradzi sobie z zalewem. Gdzieś tam po drodze mogło coś się zdarzyć.

— A wtedy będziemy mieli problem — powiedział. — Poważny problem.

Tak naprawdę mogło być o wiele gorzej. Mieli szczęście, że gdy nastąpił wyciek wody, na miejscu znajdował się inżynier. Co by to było, gdyby go zabrakło, totalny bałagan.

— Po prostu katastrofa.

Najpierw trzeba prowizorycznie zatamować wyciek, a potem wykonać całą logistyczną robotę z przekierowaniem wycieku wprost na dren i mieć nadzieję, że całość jakoś wytrzyma do wschodu słońca.

— A wtedy zobaczymy, co tu mamy.

W słabym poblasku światła zobaczył strugę wody, która płynęła po podłodze i zawracała, jakby poziom i pion oszalały.

— Enid! — zawołał z resztką nadziei, podejmując jednocześnie przyprawiające o zawrót głowy próby powstrzymania wycieku i powrotu do zdrowych zmysłów, podczas gdy statek płynął nadal swoim kursem.

Dzięki Aslanowi® — i młodemu doktorowi Hibbardowi, niezwykle młodzieńcowi z klasą — Enid po raz pierwszy od wielu miesięcy spała snem sprawiedliwego.

Chciała od życia tysięcy rzeczy, a ponieważ niewiele z nich było dostępnych w domu w St. Jude, z Alfredem, niczym jętka skanalizowała całe swoje pragnienie w tych kilku dniach wycieczki luksusowym statkiem. Przez wiele miesięcy ta podróż była bezpieczną wyspą w jej umyśle, przyszłością, która czyniła dni znośnymi, zaś po nieudanym dniu w Nowym Jorku wkroczyła na pokład Gunnara Myrdala podwójnie spragniona spełnienia.

Na każdym pokładzie statku grupy emerytów cieszyły się swoim wypoczynkiem w sposób, w jaki powinien cieszyć się Alfred. Chociaż Nordic Pleasurelines zdecydowanie nie oferowały żadnych zniżek, ten rejs został prawie w całości zarezerwowany przez duże grupy, jak Stowarzyszenie Alumnów Uniwersytetu Rhode Island, American Hadassah of Chevy Chase (Maryland), Zjazd 85 Brygady Lotniczej (Podniebne Diabły) czy Ligę Seniorów Duplicate Bridge z Dade County (Floryda). Cieszące się doskonałym zdrowiem wdowy prowadziły się pod łokcie do specjalnie wyznaczonych miejsc rejestracji, w których rozdawano plakietki z nazwiskami i foldery informacyjne i gdzie głównymi sygnałami rozpoznawczymi były przeraźliwie wibrujące okrzyki. I już seniorzy zdecydowani rozkoszować się każdą minutą cennego czasu wycieczki popijali mrożony koktajl *du jour*, Borówkowe Frappe po Lapońsku, z pękatych kieliszków tak dużych, że dla bezpieczeństwa trzeba je było trzymać oburącz. Inni tłoczyli się przy relingach, chroniąc się przed deszczem, i przepatrywali nabrzeże Manhattanu w poszukiwaniu znajomych twarzy osób, którym mogliby pomachać na pożegnanie. Kapela jazzowa w salonie Abba Show grała heavymetalową polkę.

Podczas gdy Alfred odbywał swą ostateczną przedobiadową sesję w łazience — trzecią w ciągu godziny, Enid siedziała w barze na pokładzie B, słuchając powolnego, miarowego stukotu czyjejś laski na pokładzie A ponad nią.

Najwyraźniej członkowie Ligi Duplikatów nosili podkoszulki z napisem: STARZY ZAWODNICZY BRIDGE NIE UMIERAJĄ, PO PROSTU TRACĄ NA FINEZJI. Enid tego żartu nie trzeba było powtarzać.

Widziała, jak emerytowani współpasażerowie biegną, rzeczywiście odrywając stopy od pokładu, w kierunku baru z Borówkowym Frappe po Lapońsku.

— Oczywiście — mruknęła, zastanawiając się, jak starzy są współpasażerowie. — Kogóż innego byłoby stać na taki rejs?

Jamnikowaty stwór, którego jeden z mężczyzn ciągnął na smyczy, okazał się butlą z tlenem

zamontowaną na wózku i przyodzianą w kubraczek niczym maskotka. Tuż obok przemaszerował tłusty mężczyzna w podkoszulku z napisem: TITANIC: CIAŁO.

Przez całe życie ktoś czekał na nią niecierpliwie, a teraz minimalny czas, jaki jej niecierpliwy mąż spędzał w łazience, wynosił piętnaście minut.

STARZY UROŁODZY NIGDY NIE UMIERAJĄ, TYLKO SIĘ WYKAŃCZAJĄ.

Nawet podczas nieoficjalnych wieczorów, takich jak dzisiejszy, oficjalnie odradzano noszenie T-shirtów. Enid przywdziała wełniany kostium i poprosiła, żeby Alfred założył krawat, chociaż wzięwszy pod uwagę trudności z utrzymaniem łyżki do zupy, krawaty były mięsem armatnim na froncie wojennym wieczornego posiłku. Kazała mu zapakować cały ich tuzin. Doskonale wiedziała, że Nordic Pleasurelines oferowały bardzo luksusowe usługi. Oczekiwała — i zapłaciła za to, częściowo zresztą z własnych pieniędzy — elegancji. Każdy T-shirt, który widziała, bezczęścił jej wyobraźnię i co za tym szło, odbierał przyjemność.

Z goryczą zauważyła, że ludzie bogatsi od niej często są mniej wartościowi i atrakcyjni, za to bardziej niechlujni i prostacy. Można było znaleźć pocieszenie w fakcie, iż jest się biedniejszym od ludzi mądrych i pięknych, ale żeby być uboższym niż te T-shirtowe, sypiące kawałami grubasy...

— Jestem gotowy — oznajmił Alfred, pojawiając się w barze. Wziął Enid za rękę i ruszył ku windzie dojeżdżającej do Jadalni Sorena Kierkegaarda. Trzymając jego dłoń, Enid czuła się zamężna i dzięki temu zyskała punkt podparcia we wszechświecie i możliwość pogodzenia się ze starością. Nie mogła jednak przestać myśleć, jak bardzo ceniłaby ten uścisk ręki w czasach, w których zawsze wyprzedzał ją o jeden lub dwa kroki. Teraz jego dłonie były smutne i potrzebowały jej. Nawet drgawki, które sprawiały wrażenie bardzo silnych, były tak delikatne w dotyku. Mogła wyczuć gotowość dłoni Alfreda do wszczećcia konwulsyjnych poszukiwań, gdy tylko ją uwolniła.

Pasażerowie, którzy płynęli na statku i nie należeli do żadnej organizacji, zostali przypisani do specjalnych stolików dla „niestowarzyszonych”. Ku zachwytowi Enid, która uwielbiała kosmopolityczne towarzystwo, pod warunkiem, że nie było zbyt snobistyczne, dwoje spośród współbiedniaków przy ich stole pochodziło z Norwegii, a kolejnych dwoje ze Szwecji. Enid lubiła małe kraje europejskie. Można się było nauczyć interesujących obyczajów szwedzkich lub faktów dotyczących Norwegii, nie ujawniając swej ignorancji na temat muzyki niemieckiej, literatury francuskiej czy malarstwa włoskiego. Dobrym przykładem było użycie słowa „skoal”, podobnie jak to, że Norwegia była największym europejskim eksporterem ropy naftowej, jak poinformowali cały stół państwo Nygren z Oslo w momencie, gdy Lambertowie zajmowali swoje miejsca.

Enid zaczęła najpierw rozmawiać z sąsiadem po lewej, panem Söderbladem, starszym panem ze Szwecji, pokrzepiająco odzianym w niebieski blezer i krawat fularowy.

— Jak się panu podoba wycieczka? — zapytała. — Czy rzeczywiście jest taka superprawdziwa?

— No cóż, jakoś płyniemy mimo niespokojnej pogody — odparł pan Söderblad z uśmiechem.

Enid podniosła głos, aby zostać lepiej zrozumiana:

— Miałam na myśli to, czy jest AUTENTYCZNIE SKANDYNAWSKA.

— Cóż, oczywiście, tak — odparł pan Söderblad. — Chociaż z drugiej strony wszystko na świecie staje się coraz bardziej zamerykanizowane, nie sądzi pani?

— Ale czy nie uważa pan, że ten rejs uchwycił NAPRAWDĘ ZNAKOMICIE atmosferę PRAWDZIWEGO STATKU SKANDYNAWSKIEGO?

— Tak naprawdę ten statek jest lepszy niż większość jednostek w Skandynawii. Oboje z żoną jesteśmy jak na razie zachwyceni.

Enid zaprzestała przesłuchania nie do końca przekonana, czy pan Söderblad rozumiał doniosłość

pytań. Dla niej ważne było, aby Europa była europejska. Odwiedziła Stary Kontynent pięć razy w ramach wakacji i dwa razy w ramach delegacji Alfreda i teraz lubiła mawiać z westchnieniem swoim przyjaciołom, którzy planowali wycieczki do Hiszpanii lub Francji, że ona już swoje widziała. Wściekała się jednak, gdy jej przyjaciółka Bea Meisner wykazywała podobną obojętność: „Jestem już zmęczona tymi podróżami do Kitzbühel na urodziny moich wnuków”, i tak dalej. Głupkowata i niesprawiedliwie śliczna córka Bei, Cindy, wyszła za mąż za austriackiego lekarza sportowego, von Kogośtam, który zdobył kiedyś brązowy medal olimpijski w slalomie gigancie. To, że Bea wciąż się zadawała z Enid, było dla niej żywym symbolem triumfu lojalności nad rozbieżnością losów. Ale nigdy też nie zapomniała, że to dzięki wielkiej inwestycji Chucka w Erie Belt tuż przed wykupem Midpaca Meisnerowie kupili rezydencję w Paradise Valley. Chuck awansował na członka zarządu swego banku, Alfred zaś odpadł w drugim rzucie Midpaca i włożył wszystkie oszczędności w podatne na inflację ubezpieczenie emerytalne, dlatego nawet teraz Lambertów nie byłoby stać na podróż Nordic Pleasurelines, gdyby Enid nie uszczupliła swoich oszczędności. Odkładała pieniądze, żeby nie oszaleć z zazdrości.

— Moja najlepsza przyjaciółka z St. Jude jest teraz na wakacjach w Kitzbühel, w Alpach austriackich — wykrzyczała, zupełnie nie na temat, w kierunku ślicznej żony pana Söderblada. — Jej austriacki zięć odnosi ogromne sukcesy i ma tam własną górską chatę.

Pani Söderblad była niczym przedmiot ze szlachetnego kruszca, nieco porysowany i zmatowiały od używania przez pana Söderblada. Pomadka na jej ustach, kolor włosów, cienie do powiek i lakier do paznokci były utrzymane w tematyce platynowej; przetykana srebrem suknia prezentowała wszystkim piękny widok spalonych słońcem ramion i silikonowych wypukłości.

— Kitzbühel to piękne miasto — powiedziała. — Występowałam tam wiele razy.

— JEST PANI PIOSENKARKĄ? — wykrzyczała Enid.

— Signe jest artystką estradową — szybko odrzekł pan Söderblad.

— Te alpejskie kurorty bywają okropnie drogie — wzdrygnęła się jedna z Norweżek, pani Nygren. Nosiła duże okrągłe okulary, a jej twarz pełna była promieniście rozchodzących się zmarszczek, co razem sprawiało nieco modliszkowate wrażenie. Na pierwszy rzut oka Nygren i wypolerowana na błysk Söderblad stanowiły całkowite przeciwieństwa.

— Z drugiej strony — ciągnęła pani Nygren — nam, Norwegom, łatwo przychodzi kapryszenie. U nas nawet w niektórych parkach miejskich stoki narciarskie mogą być najwyższej klasy. Nie znajdziecie czegoś takiego nigdzie indziej.

— Oczywiście należy odróżnić narciarstwo alpejskie od kombinacji norweskiej. Mieliśmy w Norwegii znakomitych narciarzy w kombinacji alpejskiej, wspomnę tu Kjetila Andre Aamondta i jestem przekonany, że to nazwisko obilo się państwu o uszy. Niemniej jednak trzeba przyznać, że nie zawsze współzawodniczyliśmy w tych dziedzinach na najwyższym poziomie. Natomiast biegi przełajowe i w ogóle kombinacja norweska to zupełnie inna historia. Można spokojnie powiedzieć, że w tych kategoriach zbieramy bardzo zasłużone laury.

— Norwegowie są fantastycznie nudni — szepnęła ochryple pani Söderblad do ucha Enid.

Pozostali pasażerowie siedzący przy ich stole, przystojna starsza parka Rothów z Chadds Ford w Pensylwanii, wyświadczyła Enid przysługę i zajęła Alfreda rozmową. Jego twarz była zaczerwieniona od gorącej zupy, walki z łyżką i może także od wysiłku, z jakim powstrzymywał się, żeby nie zaglądać w dekolt pani Söderblad, gdy wyjaśniał Rothom mechaniczne zasady stabilizacji liniowców oceanicznych. Pan Roth, typ intelektualisty w muszce i silnych okularach w rogowych oprawkach, zasypywał Alfreda drobiazgowymi pytaniami i chłonał odpowiedzi z takim napięciem, że

wydawał się niemal zszokowany.

Pani Roth zwracała mniej uwagi na Alfreda niż na Enid. Była małą kobietą, ładnym dzieckiem koło sześćdziesiątki. Ledwo dotykała łokciami stołu. Miała przetykaną białymi pasemkami fryzurę na pazia, rumieńce na policzkach i ogromne niebieskie oczy, którymi wpatrywała się w Enid bez odrobiny onieśmienia jak ktoś bardzo mądry lub bardzo głupi. Przygniatająca intensywność jej spojrzenia sugerowała głód. Enid od razu wyczuła, że pani Roth może stać się jej przyjaciółką podczas tego rejsu — albo główną rywalką — dlatego z czymś w rodzaju kokieterii odmawiała wszelkiej z nią konwersacji i nie zauważała jej zainteresowania. Gdy przyniesiono już steki i zabrano ze stołu zdruzgotane homary, prowadziła nieustanną szermierkę z panem Söderbladem, zarzucając go pytaniami na temat pracy związanej, jak się okazało, z handlem bronią. Chłonęła błękitnookie spojrzenia pani Roth wraz z zazdrością, którą — jak sądziła — niestowarzyszeni wzbudzali w ludziach przy innych stolikach. Przypuszczała, że dla tej całej podkoszulkowej masy niestowarzyszeni wyglądali bardzo europejsko. Delikatna różnica. Piękno, krawaty, fular, po prostu pewien poziom.

— Czasem tak bardzo się ekscytuję myślą o porannej kawie — mówił pan Söderblad — że nie mogę spać w nocy.

Nadzieje Enid na to, że Alfred zabierze ją na potańcówkę w Sali Balowej im. Pippi Langstrumpf, zostały pogrzebane, gdy jej mąż wstał nagle i oświadczył, że idzie spać. Nie było jeszcze nawet siódmej. Czy ktoś kiedykolwiek słyszał o dorosłym, który kładzie się do łóżka o siódmej wieczorem?

— Usiądź i zaczekaj na deser — powiedziała. — Podobno desery są tu boskie.

Zabrudzona serwetka zsunęła się Alfredowi z kolan i spadła na podłogę. Nie miał chyba pojęcia, jak bardzo ją zawstydzał i rozczarowywał.

— Ty zostań — odrzekł. — Ja już mam dosyć.

I oto już toczył się po szerokim chodniku w jadalni im. Sorena Kierkegaarda, walcząc z rzucającymi go na boki drgawkami, które pogłębiły się od czasu, gdy statek opuścił port w Nowym Jorku. Znajome fale smutku i żalu za utraconymi przyjemnościami, których nie mogła zaznać z takim mężem, wpędziły Enid w przygnębienie, dopóki nie przyszło jej na myśl, że teraz miała cały wieczór tylko dla siebie i żaden Alfred nie zepsuje jej zabawy.

Rozpromieniła się i pojaśniała jeszcze bardziej, gdy pan Roth opuścił towarzystwo, udając się do Biblioteki im. Knuta Hamsuna, i pozostawił swoją żonę przy stole. Pani Roth przesiadła się, żeby się zbliżyć do Enid.

— My, Norwegowie, jesteśmy wielkimi wielbicielami książek — pani Nygren skorzystała z okazji, aby coś wtrącić.

— I przy okazji strasznymi nudziarzami — skomentowała pod nosem pani Söderblad.

— Biblioteki publiczne i księgarnie w Oslo świetnie prosperują — informowała cały stół pani Nygren. — Myślę, że nie wszędzie tak jest. W większości krajów już się tyle nie czyta, ale w Norwegii, cóż... Mój Per czyta tej jesieni dzieła zebrane Johna Galsworthy'ego, już po raz drugi. Po angielsku.

— Nie, Inga, nieeee — jęknął Per Nygren. — Po raz trzeci!

— Mój Boże — westchnęła pani Söderblad.

— To prawda — pani Nygren spojrzała na Enid i panią Roth, oczekując chyba ich podziwu. — Każdego roku Per czyta jedno dzieło zdobywcy Nagrody Nobla w dziedzinie literatury, a także dzieła zebrane ulubionego zwycięzcy z poprzedniego roku czytelniczego. Oczywiście przez to każdego roku jego przedsięwzięcie staje się coraz trudniejsze, bo zawsze pojawia się dodatkowy laureat, prawda?

— To coś w rodzaju podnoszenia poprzeczki — wyjaśnił Per. — Każdego roku wyzwanie jest

trochę większe.

Pani Söderblad, która według obliczeń Enid piła już ósmą filiżankę kawy, pochyliła się ku niej i powiedziała:

— Mój Boże, co za nudziarze!

— Mogę stwierdzić z ogromną pewnością, że najbardziej zgłębiłem pracę Henrika Pontoppidana — ciągnął Per Nygren.

Pani Söderblad przechyliła głowę, uśmiechając się z rozmarzeniem.

— Czy wie pani — zwróciła się do Enid albo do pani Roth — że jeszcze tysiąc lat temu Norwegia była kolonią szwedzką?

Norwegowie wybuchnęli niczym poruszone gniazdo os:

— Kolonią?! Kolonią?!

— No, no — syknęła Inga Nygren — wydaje mi się, że mamy tu historię, którą nasi Amerykanie powinni...

— To jest opowieść o strategicznych sojuszach! — powiedział Per.

— Używając słowa „kolonia”, jakie dokładnie szwedzkie słowo miała pani na myśli, pani Söderblad? Ponieważ mój angielski jest zdecydowanie lepszy niż pani, niewykluczone, iż zdołam zaoferować naszym amerykańskim przyjaciółom nieco dokładniejsze tłumaczenie pani słów, na przykład „równorzędny partner w zjednoczonym królestwie Półwyspu Skandynawskiego”?

— Signe — zauważył szelmowsko pan Söderblad. — Zdaje się, że uderzyłaś w czuły punkt. Kelner, dolewkę poproszę — podniósł rękę.

— Jeśli przyjrzymy się dziewiętnastemu stuleciu — powiedział Per Nygren — a sędzę, że nawet nasi Szwedzi przyznają, że wstąpienie na tron Haralda Jasnowłosego^[1] jest dość dobrym miejscem do rozpoczęcia naszych rozważań nad bardzo nierówno kształtującymi się związkami między dwiema potęgami, a może powinienem raczej powiedzieć, trzema wielkimi potęgami, ponieważ Dania odgrywa również dość fascynującą rolę w naszej historii...

— Bardzo chciałybyśmy to usłyszeć, ale może innym razem — przerwała pani Roth, pochylając się, aby dotknąć dłoni Enid. — Pamiętasz, obiecałyśmy się zjawić o siódmej?

Enid szybko otrząsnęła się z konsternacji. Przeprosiła wszystkich i podążyła za panią Roth w kierunku sali balowej, gdzie przywitał ich tłum emerytów i odór wyziewów gastrycznych przytłumionych odświeżaczami powietrza.

— Enid, mam na imię Sylvia — powiedziała pani Roth. — Co byś powiedziała na automaty do gry? Cały dzień odczuwałam niemal fizyczny głód hazardu.

— Och, ja też! — powiedziała Enid. — Myślę, że są w sali Stringbirda.

— Strindberga, tak, oczywiście.

Enid podziwiała jej bystrość umysłu, chociaż sobie nieczęsto przypisywała tę cechę.

— Dziękuję za... wiesz co — powiedziała, gdy obie przeciskały się przez tłum.

— Pomoc. Nie ma o czym mówić.

Pokój Strindberga był przepełniony kibicami, graczami obstawiającymi małe sumki i prawdziwymi fanami automatów do gry. Enid nie pamiętała, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiła. Piąta ćwierćdolarówka wepchnięta do otworu na monety przyniosła jej szczęście w postaci trzech śliwek; z otworu u dołu maszyny posypały się drobne, jak gdyby nadmiar owoców poruszył zbytnio jelita maszyny. Zgarnęła nagrodę do plastikowego wiaderka. Jedenaście ćwierćdolarówek później sytuacja znowu się powtórzyła: trzy wisienki, srebrny deszcz. Posiwiali zawodnicy przegrywający

ciągle na swoich maszynach spoglądali na nią zawistnie. Wstydę się, powiedziała do siebie, ale wcale się nie wstydziła.

Dziesięciolecia niedostatku uczyniły z niej zdyscyplinowanego inwestora. Z wygranej odłożyła nieco pieniędzy na wstępną inwestycję, a potem odkładała połowę każdej wygranej.

Jej fundusz zdawał się nie wyczerpywać.

— Już się chyba nagrałam — powiedziała Sylvia Roth niemal godzinę później, stukając Enid w ramię. — Pójdziemy posłuchać kwartetu smyczkowego?

— Jasne! W Sali Grega?

— Griega — poprawiła Sylvia ze śmiechem.

— Och, to zabawne, nieprawdaż? Grieg. Zachowuję się dziś jak głuptas.

— Ile zarobiłaś? Chyba dobrze ci szło.

— Nie jestem pewna, nie przeliczyłam wygranej.

Sylvia uśmiechnęła się do niej trochę poważniej:

— Myślę, że jednak wiesz. Myślę, że dobrze wszystko porachowałam.

— No dobrze — odparła Enid, czerwieniąc się, ponieważ bardzo polubiła Sylvię. — Sto trzydzieści dolarów.

Portret Edwarda Griega wisiał na ścianie sali pełnej pozłaczanych ornamentów, kojarzących się z osiemnastowiecznym splendorem szwedzkiego dworu królewskiego. Ogromna liczba pustych krzeseł na sali potwierdziła przypuszczenia Enid, że większość pasażerów statku jest pariasami. Uczestniczyła już w rejsach, na których podczas koncertów muzyki klasycznej dostępne były tylko miejsca stojące.

Chociaż Sylvia zdawała się niemal śmiertelnie znudzona, Enid bardzo się podobał występ muzyków. Grali z pamięci popularne klasyczne melodie, takie jak *Szwedzka rapsodia*, fragmenty z *Finlandii* i *Peer Gynta*. W środku tego ostatniego utworu drugi skrzypek zrobił się zielony na twarzy i opuścił pokój na minutę (morze było troszkę wzburzone, ale Enid miała żelazny żołądek, a Sylvia używała specjalnych plastrów na chorobę morską), po czym wrócił na swoje miejsce i włączył się do gry bez żadnego potknięcia. Dwudziestu pasażerów zgromadzonych na sali krzyknęło: „Brawo!”.

Podczas eleganckiego przyjęcia po recitalu Enid wydała 7,7 procent swojej wygranej na kasetę nagrąną przez kwartet. Spróbowała też darmowego Spögga, szwedzkiego likieru obecnie reklamowanego w kampanii wartej 15 milionów dolarów. Spögg smakował jak wódka, cukier i chrzan — jak się okazało, były to jego główne składniki. Podczas gdy zgromadzeni reagowali na Spögga z mieszaniną zaskoczenia i wyrzutu w oczach, Enid i Sylvia zaczęły się śmiać.

— Specjalny poczęstunek — stwierdziła Sylvia. — Darmowy Spögg, spróbujcie!

— Mniam! — dodała Enid, krztusząc się i czkając. — Spögg!

Potem udały się na Promenadę Ibsena, gdzie miało odbyć się przewidziane na dziesiątą spotkanie towarzyskie przy lodach. W windzie Enid zdało się, że statek ma problemy nie tylko z kiwaniem, lecz także ziewaniem, zupełnie jakby jego dziób był twarzą kogoś pełnego odrazy. Opuszczając kabinę, prawie potknęła się o mężczyznę stojącego na czworakach, jakby ten chciał zrobić jej głupi kawał. Na jego podkoszulku widniał napis: PO PROSTU TRACĄ Z OCZU CEL.

Od kelnera w toczku Enid przyjęła pucharek z mieszaną lemoniady i lodów. Potem zaczęła wymianę danych rodzinnych z Sivią. Rozmowa szybko przerodziła się bardziej w rzucanie pytań niż udzielanie odpowiedzi. Gdy Enid wyczuwała, że jej rozmówca nie lubi dyskutować o rodzinie, z nawyku bez końca drażyła drażliwy temat. Prędzej by umarła, niż miałyby przyznać, że jej dzieci ją

rozczarowały, ale słuchając o czyimś sprawiającym zawód potomstwie — plugawych sprawach rozwodowych, nałogach, głupich inwestycjach — czuła się lepiej.

Z pozoru Sylvia Roth nie miała czego się wstydzić. Jej obaj synowie mieszkali w Kalifornii, jeden pracował w medycynie, drugi w komputerach, obaj też byli żonaci. Mimo to wydawali się ruchomymi piaskami, tematem, którego należy unikać lub zbyć w rozmowie.

— Twoja córka wyjechała do Swathmore — powiedziała.

— Tak, na krótko — odparła Enid. — Więc pięcioro wnucząt, powiadasz? Mój Boże. Ile ma lat najmłodsze?

— Skończył dwa lata w zeszłym miesiącu. A u ciebie? Jakież wnuki? — spytała Sylvia.

— Nasz najstarszy syn, Gary, ma trzech chłopaków. Ale to interesujące, że między twoim najmłodszym a środkowym jest pięć lat różnicy.

— Prawie sześć. A twój syn, z Nowego Jorku, powiedz mi coś i o nim. Odwiedziliście go dzisiaj?

— O tak, przygotował cudny lunch, ale nie zdążyliśmy zwiedzić jego biura w „Wall Street Journal”, gdzie dostał nową pracę, bo pogoda była kiepska. Tak, a ty, często odwiedzasz Kalifornię? Widujesz swoje wnuki?

Z Sylvii jakby uszła chęć kontynuowania tej gry. Siedziała, wpatrując się w pustą szklanekę po koktajlu.

— Enid, czy mogłabyś mi wyświadczyć przysługę? — zapytała wreszcie. — Chodź ze mną na górę na jeszcze jednego drinka.

Dzień Enid zaczął się w St. Jude o piątej rano, ale w życiu nie odmówiłaby atrakcyjnemu zaproszeniu. Na górze, w barze im. Lagerkvista zostały obsłużone przez odzianego w skórzany kabat i rogaty hełm krasnoluda, który namówił je na spróbowanie napoju z moroszki.

— Chcę ci coś powiedzieć — zaczęła Sylvia — bo muszę to opowiedzieć komuś na tym statku, ale obiecuję, że nie puścisz pary z ust o tym, co usłyszysz. Potrafisz zachować tajemnicę?

— To jedyna rzecz, która naprawdę dobrze mi idzie.

— A więc doskonale. Za trzy dni w Pensylwanii odbędzie się egzekucja. A dwa dni później, w czwartek, Ted i ja obchodzimy czterdziestą rocznicę ślubu. Jeśli go zapytasz, dlaczego płyniemy w ten rejs, odpowie ci, że aby uczcić rocznicę. Powie tak, chociaż to nieprawda. A przynajmniej nie dla mnie, może tylko dla Teda.

Enid zaczęła się bać.

— Człowiek, którego mają stracić, zabił naszą córkę — powiedziała Sylvia.

— Nie.

Niebieska przejrzystość spojrzenia Sylvii nadawała jej wygląd pięknego, milutkiego zwierzaka, sprawiając, że nie była do końca człowiekiem.

— Wyjechaliśmy z Tedem na wycieczkę — powiedziała — ponieważ mamy problem z tą egzekucją. Mamy kłopoty z naszym małżeństwem.

— Nie! O czym ty mówisz? — zadrżała Enid. — Och, nie mogę tego słuchać! Nie potrafię!

Sylvia w milczeniu przyjęła tę oznakę alergii na jej oświadczenie.

— Przepraszam. To nie w porządku z mojej strony. Wciągać cię w taką pułapkę. Może powinniśmy się już pożegnać.

Ale Enid już pozbierała się w sobie. Ani myślała przepuścić okazji zostania powiernicą Sylvii.

— Opowiedz mi wszystko, co musisz, a ja posłucham — poprosiła. Złożyła ręce na podołku, jak dobry słuchacz. — Dalej — zachęciła. — Słucham cię.

— Kolejna rzecz, którą muszę ci powiedzieć, to że zajmuję się rysowaniem broni. Jestem artystką projektującą broń. Naprawdę chcesz słuchać?

— Tak — Enid pokiwała głową jednocześnie gorliwie i wymijająco. Zauważyła, że karzeł obsługujący bar używa małej drabinki do ściągania butelek z półek. — To interesujące — zauważyła.

Przez wiele lat Sylvia była drukarzem amatorem. Miała słoneczną pracownię w domu w Chadds Ford, gładki jak masło kamień litograficzny i dwudziestoczęściowy niemiecki zestaw dłut do robienia drzeworytów. Należała do gildii artystycznej w Wilmington, w której podczas copółrocznej wystawy, gdy jej najmłodsza córka Jordan wyrosła z chłopczyca na niezależną młodą kobietę, Sylvia sprzedała dekoracyjne ryciny po czterdzieści dolarów za sztukę. Potem Jordan została zamordowana i przez pięć lat Sylvia rysowała, drukowała i malowała wyłącznie broń. Rok za rokiem, tylko to.

— Okropne, okropne — powiedziała Enid z wyraźną dezaprobatą.

Pień połamanego przez wichurę tulipanowca za oknem pracowni Sylvii kojarzył jej się z łożyskami i lufami karabinów. Każdy człowiek, którego widziała, przeistaczał się w iglicę, spust, cylinder, uchwyt. Nie było takiej abstrakcji, która by nie przeistoczyła się w ślad po wystrzale, zapach czarnego prochu strzelniczego czy rozkwit rany po pocisku rozrywającym. Ciało było całym wszechświatem przesyconym możliwościami i tak jak żadna część owego małego świata nie była bezpieczna od penetracji kuli, tak każdy przedmiot na Ziemi mógł być odzwierciedlony w broni. Nawet fasolka pinto wyglądała jak mały pistolet, a płatek śniegu niczym browning na trójnogu. Sylvia nie popadła w obłęd; potrafiła zmusić się do narysowania koła czy wykonania szkicu róży. Ale pragnęła rysować tylko jedno: broń palną. Pistolety, strzelby, pociski, amunicję. Całymi godzinami szkicowała ołówkiem wzory odblasków niklowego powlekania broni. Czasami rysowała także swoje dłonie, nadgarstki i przedramiona w pozycjach — jak zgadywała, ponieważ nigdy nie trzymała w ręku broni — w jakich trzyma się desert eagle'a kaliber .50, dziewięćmilimetrowego glocka, automatyczną M16 z wysuwaną kolbą aluminiową i inne egzotyczne rodzaje broni z katalogów, które przechowywała w brązowych kopertach w swojej pracowni. Zatraciła się w swoim przyzwyczajeniu niczym zatracona dusza w piekielnym ogniu pokuty (choć Chadds Ford, delikatne świergoty dochodzące znad Brandywine, zapachy rogoży i fermentujących śliwek daktylowych, które październikowy wiatr przywiewał z pobliskich zaułków, zacięcie broniły się przed stworzeniem obrazu piekła); była Syzyfą, która każdej nocy niszczyła własne kreacje — darła je na strzępy, wycierała za pomocą rozpuszczalników, paliła w kominku w salonie.

— To straszne — szepnęła znowu Enid. — Nie wyobrażam sobie gorszego nieszczęścia, które mogłoby dotknąć matkę.

Sylvia kontynuowała opowieść. Zadziwiające w jej obsesji było to, że została wychowana jako kwakierka, a mimo to pojechała na spotkanie w Kennett Square; że narzędziami, które posłużyły do torturowania i zamordowania jej córki, były rolka wzmocnionej nylonem taśmy mocującej, ścierka kuchenna, dwa wieszaki z żelaznego drutu, jedno żelazko General Electric Light'n'Easy i jeden trzydziestocentymetrowy, ząbkowany nóż do chleba od Williamsa-Sonoma, innymi słowy żadnej broni palnej; że zabójca, dziewiętnastoletni Khellye Withers, sam zgłosił się do filadelfijskiej policji, więc nikt nawet nie wyciągnął broni z kabury; że mając męża, który zarabiał niezły grosz jako wiceprezes DuPonta, luksusowego SUV-a tak masywnego, iż zderzenie z volkswagenem cabrio mogło go tylko lekko naruszyć, sześciopokojowy dom w stylu królowej Anny, w którego kuchni i spiżarni zmieściłoby się całe filadelfijskie mieszkanie Jordan, Sylvia wiodła życie niemal bezsensownie łatwe i wygodne, a jedynym jej zadaniem prócz gotowania dla Teda było otrząśnięcie się po stracie córki; że mimo to często tak się zapamiętywała w odtwarzaniu wzoru karbowania na

kolbie lub układu żył na przedramieniu, że musiała potem pędzić na łeb na szyję, żeby nie spóźnić się na cotygodniową sesję z doktor medycyny i nauk filozoficznych z Wilmington; że rozmowy z panią doktor medycyny i nauk filozoficznych, czwartkowe wieczorne spotkania w grupie Starszych Kobiet, lektura poezji, nowel, pamiętników i powieści introspekcyjnych, rozluźnianie się na zajęciach jogi i podczas przejażdżek konnych oraz ochotnicza praca jako pomoc terapeutki w szpitalu dziecięcym pomogły Sylvii pokonać ból, nawet jeżeli jej pragnienie rysowania broni jeszcze się wzmogło; że nikomu nigdy nie wspomniała o tym wewnętrznym przymusie, nawet pani doktor medycyny i nauk filozoficznych z Wilmington; że jej przyjaciele i doradcy bezustannie nawoływali ją, aby uleczyła się poprzez swą sztukę; że przez sztukę rozumieli jej dekoracyjne litografie i drzeworyty; że kiedy widziała jedno ze swoich dzieł w łazience lub sypialni gościnniej, skręcała się ze wstydu i poczucia fałszu; że gdy widziała broń w telewizji czy w kinie, zwijała się w ten sam sposób i z tych samych powodów; że w skrytości ducha była przekonana, iż Jordan pomimo licencjatu z malarstwa i magisterki z terapii sztuką, pomimo zachęt i płatnych zajęć ze sztuki, które trwały przez dwadzieścia lat, nie stała się dobrą artystką; że po ustaleniu tej obiektywnej opinii o swojej córce nadal rysowała broń i amunicję; wreszcie, że pomimo straszliwego gniewu i pragnienia zemsty, o których świadczyła jej ciągła obsesja, przez całe pięć lat ani razu nie narysowała twarzy Khellyego Withersa.

W październikowy poranek, gdy owe zagadkowe fakty zwały się na nią wszystkie naraz, Sylvia poszła do pracowni po śniadaniu i porannej przebieżce. Na specjalnym papierze od Cansona, używając lustra ustawionego po prawej stronie, narysowała swoją lewą rękę z kciukiem zwróconym ku górze i zaciśniętą resztą palców, obróconą o sześćdziesiąt stopni od pełnego profilu, niemal zupełnie od tyłu. Następnie włożyła w ową dłoń rewolwer kalibru .38, w doskonałym rzucie perspektywicznym, którego lufa tkwiła pomiędzy rozciągniętymi w uśmiechu wyższości ustami. Nad nimi naszkicowała dość szczegółowo z pamięci pełne drwiny oczy Khellyego Withersa, nad którym ulitowało się kilku ludzi z powodu odrzucenia wszystkich legalnych apelacji od wyroku. I na tym — na oczach i ustach — Sylvia zakończyła pracę nad szkicem.

— Nadszedł czas, żeby ruszyć dalej — powiedziała do Enid. — Nagle to zobaczyłam. Że czy tego chcę czy nie, to ja przeżyłam i to ja byłam artystką, nie Jordan. Wszyscy jesteśmy tak stworzeni, że myślimy, że nasze dzieci są od nas ważniejsze, rozumiesz, i przez nie spełniamy się w życiu. Nagle zaczęło mnie mierzić takie podejście do życia. Powiedziałam sobie: „Jutro możesz umrzeć, ale teraz jeszcze żyjesz”. Potrafię wybrać życie. Zapłaciłam swoją cenę, zrobiłam, co do mnie należało, i nie mam się czego wstydzić. A jeśli to coś, ta wielka zmiana w twoim życiu przychodzi nagle, niczym olśnienie, to czy jest w tym coś dziwnego? W tym, że nie zmienia się absolutnie nic poza twoim spojrzeniem na świat i tym, że stajesz się ogólnie silniejsza psychicznie i mniej się wszystkiego boisz? To takie niesamowite, że zupełnie niewidoczna rzecz w twojej głowie wydaje się realniejsza niż wszystko, czego do tej pory doświadczyłaś. Widzisz wszystko wyraźniej i wiesz, że postrzegasz świat wyraźniej. I sływa na ciebie zrozumienie, że to właśnie oznacza „kochać życie”, że o tym mówi każdy naprawdę wierzący w Boga człowiek. O takich właśnie momentach.

— Może jeszcze po jednym? — poprosiła karła Enid, unosząc swoją szklankę. Prawie nie słuchała Sylvii, potrząsała tylko głową, pomrukując „och” i „ach”, podczas gdy jej świadomość przedzierała się przez chmury zamroczenia alkoholowego ku absurdalnym sferom domysłów. Zastanawiała się na przykład, jak smakowałby uścisk karła na jej biodrach i brzuchu, gdyby ją objął. Sylvia okazała się niesamowitą intelektualistką i Enid okazywała jej fałszywą życzliwość, ale nawet nie słuchając, musiała słuchać Sylvii, inaczej umknęłyby jej istotne fakty, na przykład to, czy Khellye Withers był Murzynem i czy Jordan została brutalnie zgwałcona przed śmiercią.

Ze swojej pracowni Sylvia poszła prosto na rynek Wawa Food i kupiła po jednym z każdego

rodzaju czasopism pornograficznych, jakie tam sprzedawano. Nic jednak, co prezentowano w magazynach, nie było wystarczająco brutalne. Musiała zobaczyć coś rzeczywistego, prawdziwy akt. Wróciła do Chadds Ford i włączyła komputer, który podarował jej młodszy syn, aby byli bliżej siebie w tych czasach żałoby. Jej skrzynka pocztowa była zapchana całomiesięcznym stosem nieodebranych synowskich pozdrowień, które zignorowała. W ciągu niecałych pięciu minut zlokalizowała to, czego potrzebowała — wystarczyło tylko użyć karty kredytowej — i zaczęła przeglądać listę zdjęć, aż znalazła odpowiedni akt wykonywany przez odpowiednich aktorów i ujęty pod odpowiednim kątem. Czarnoskóry mężczyzna uprawiał seks oralny z białym mężczyzną. Kamera sfotografowała go znad lewego biodra, sześćdziesiąt stopni od pełnego profilu, drogocenny sierp zaokrąglony tuż nad pośladkami, kłykcie na czarnych palcach mrocznie penetrujące ciemną stronę księżycy. Załadowała zdjęcie na dysk i otworzyła jako obraz o wysokiej rozdzielczości.

Miała sześćdziesiąt pięć lat i nigdy w życiu nie widziała sceny takiej jak ta. Całe życie tworzyła obrazy i nigdy nie zauważała ich tajemniczości. I oto nagle ujrzała. Cały ten handel w bitach i bajtach, zera i jedynki biegnące strumieniami przez serwery na jakimś środkowozachodnim uniwersytecie. Tak ewidentna wymiana towaru w tak oczywistej nicości. Populacja przyklepiona do monitorów i stron w czasopismach.

Zastanawiała się, jak ludzie mogli reagować na takie widoki, skoro nie miały one takiego samego statusu jak rzeczy prawdziwe? To nie dlatego, że owe wizerunki były tak potężne, ale dlatego, że świat był słaby. Oczywiście potrafił być kolorowy w tej słabości, jak w owe dni, gdy wysuszone w słońcu jabłka w sadach i dolinie pachniały cydrem, i chłodne wieczory, gdy Jordan przyjeżdżała do Chadds Ford na kolację, a opony jej kabrioletu chrzęściły na zwirowanej ścieżce, ale cały świat przekładał się na obrazy. Nic nie mogło wejść człowiekowi do głowy, dopóki nie zostało przerobione na „fotografie”.

Mimo to Sylvię uderzył kontrast pomiędzy internetową pornografią a jej niedokończonym szkicem Withersa. W przeciwieństwie do zwykłego pożądania, które można było zaspokoić za pomocą zdjęć lub zwykłej wyobraźni, żądza zemsty nie dała się tak łatwo zbyć. Najbardziej drastyczny wizerunek nie mógł przynieść zaspokojenia. Pragnienie wymagało śmierci pewnego wybranego osobnika, zakończenia pewnej szczególnej historii. W karcie dań widniało: TYLKO ORYGINALNY PRODUKT. Mogła naszkicować swoje pragnienie, ale nie jego spełnienie. Dlatego w końcu powiedziała sobie prawdę: chciała śmierci Khellyego Withersa.

Chciała jego śmierci pomimo wywiadu, którego niedawno udzieliła dziennikowi „Philadelphia Enquirer”. Oświadczyła w nim, iż zabicie człowieka, który też jest czyimś dzieckiem, nie zwróci jej córki. Chciała jego śmierci mimo religijnej gorliwości, z którą jej pani doktor medycyny i nauk filozoficznych zabroniła interpretowania śmierci Jordan w jakimkolwiek kontekście religijnym — na przykład jako kary boskiej za liberalne podejście Sylvii do polityki, pobłażanie dzieciom czy bezsensowny dostatek, w którym żyła. Chciała jego śmierci, choć wierzyła, że śmierć Jordan była przypadkową tragedią i odkupienie leży nie w zemście, lecz w próbach zredukowania liczby podobnych tragedii w całym kraju. Chciała jego śmierci mimo wizji społeczeństwa, które zapewniało pracę i solidny zarobek takim młodym ludziom jak on (żeby nie musiał wiązać nadgarstków i kostek swojej byłej terapeutki, sztuką i torturami wyciągać od niej kodu jej kart debetowych i kredytowych), społeczeństwa, które powstrzymało nielegalny napływ narkotyków do stref podmiejskich (żeby Withers nie musiał wydawać ukradzionych pieniędzy na działkę i żeby zachował więcej świadomości, kiedy wrócił do mieszkania swojej byłej terapeutki, by się zaćpać, a potem torturować ją z przerwami na działkę przez trzydzieści godzin), społeczeństwa, w którym młodzi mężczyźni wierzyli w coś więcej niż tylko w markowe dobra materialne (żeby Withers nie

zafiksował się tak bardzo na zdobyciu kabrioletu terapeutki i uwierzył jej, gdy mówiła, że pożyczyła samochód na weekend swojej przyjaciółce, i nie przywiązywał tak wielkiej wagi do faktu, że miała dwa komplety kluczyków do samochodu — „Nie mogłem się z tym pogodzić”, oświadczył w swym wymuszonym, ale legalnym zeznaniu, „Te wszystkie kluczyki na stole kuchennym, rozumiecie, co mam na myśli? Po prostu nie mogłem odpuścić” — a co za tym idzie, nie przykładałby wielokrotnie żelazka Light'n'Easy przestawianego tymczasem z pozycji „sztuczny jedwab” na „bawełnę/len” do nagiej skóry swej ofiary, żądając odpowiedzi, gdzie zaparkowała kabriolet, a potem nie poderzwałby jej gardła w panice, gdy jej przyjaciółka wpadła do niej w niedzielny wieczór, żeby oddać samochód i trzeci komplet kluczyków), społeczeństwo, które raz na zawsze zlikwidowało problem fizycznego molestowania dzieci (żeby potem oskarżony o morderstwo nie próbował tłumaczenia podczas rozprawy sądowej, iż w dzieciństwie ojciec przypalał go rozżarzonym żelazkiem — chociaż w przypadku Withersa, który nie miał żadnych blizn do zademonstrowania, takie zeznanie wydawało się jedynie podkreślać brak wyobraźni i kłamstwa szyte grubymi nićmi — albowiem taka sytuacja w sądzie byłaby czystym absurdem). Chciała jego śmierci, choć zdawała sobie sprawę, dzięki terapii, że jego ironiczny uśmieszek był maską ochronną przywdzianą przez samotnego chłopca, którego wszyscy nienawidzili, i że gdyby tylko uśmiechnęła się do niego jak przebacząca matka, zrzuciłby ten uśmiech z twarzy i zapłakał w szczerą skrusicę. Chciała jego śmierci, wiedząc, że jej pragnienie uradowałoby konserwatystów, dla których określenie „odpowiedzialność osobista” oznaczało pozwolenie na zignorowanie niesprawiedliwości społecznej. Chciała jego śmierci, chociaż nie mogła, z powyższych względów politycznych, uczestniczyć w egzekucji i ujrzeć na własne oczy tego, czego nie mogło zastąpić żadne wyobrażenie.

— Ale nic z tego, co powiedziałam, nie jest przyczyną, dla której płyniemy w ten rejs — powiedziała Sylvia.

— Nie? — przebudziła się Enid.

— Nie. Jesteśmy tu, ponieważ Ted nie chce przyjąć do wiadomości, że Jordan została zamordowana.

— Czy on...

— Och, wie — powiedziała Sylvia. — Po prostu nie chce o tym rozmawiać. Byli bardzo sobie bliscy, on przywiązał się do niej w pewnym sensie bardziej niż do mnie. Rozpaczał, trzeba mu to przyznać. Bardzo rozpacał. Płakał tak bardzo, że prawie nie mógł się ruszać. Ale potem pewnego ranka nagle wszystko zniknęło. Powiedział, że Jordan odeszła i on nie zamierza żyć przeszłością. Powiedział, że począwszy od Święta Pracy, zamierza zapomnieć, że padła ofiarą zbrodni, a potem każdego sierpniowego dnia przypominał mi, że od Święta Pracy przestanie myśleć, że jego córka została zamordowana. Ted jest bardzo racjonalnym człowiekiem. Stwierdził, że od zarania dziejów ludzie tracą swoje dzieci i w związku z tym nadmiar rozpacz jest głupi i służy zaspokajaniu własnej przyjemności. Nie obchodziło go także, co stanie się z Withersem. Powiedział, że śledzenie przebiegu procesu to jeszcze jeden sposób na niepozbycie się problemu. A gdy nadszedł pierwszy poniedziałek września, powiedział do mnie: „Może ci się to wydać dziwne, ale nie zamierzam już więcej rozmawiać o jej śmierci i chcę, żebyś zapamiętała, że ci to powiedziałem. Czy będziesz pamiętała, Sylvio? Żebyś potem nie uznała, że zwariowałem?”. A ja odpowiedziałam: „Nie podoba mi się to, Ted, i ani myślę się na to zgodzić”. On na to, że mu przykro, ale tak właśnie musi postąpić. Następną rzeczą, którą mu powiedziałam po powrocie z pracy, była informacja, że prawnik Withersa twierdzi, iż oświadczenie jego klienta zostało wymuszone i prawdziwy zabójca wciąż przebywa na wolności. Na to Ted wyszczerzył się do mnie, jakby właśnie zażartował, i rzekł: „Nie mam pojęcia, o czym mówisz”. Więc powiedziałam: „O człowieku, który zabił naszą córkę”, na co on: „Nikt nie

zabił naszej córki i nie chcę, żebyś powtarzała przy mnie takie rzeczy”. „Ted, to nie ma sensu” — powiedziałam, a on na to: „Mieliśmy córkę, ale już jej nie mamy, zgaduję więc, że nie żyje, ale ostrzegam cię, Sylvio, żebyś nie wmawiała mi, że ktoś ją zabił, rozumiesz?”. I od tej pory, Enid, bez względu na to, jak się starałam, nigdy się nie złamał. Mówię ci, niewiele mi brakuje, żebym się z nim rozwiodła, chociaż zawsze coś mnie powstrzymuje. Poza tym jest dla mnie tak niezmiennie kochany. Nigdy się nie złości, gdy mówię o Withersie, po prostu staje się rubaszny i zbywa wszystko śmiechem, jakby to była jakaś moja dziwaczna *idée fixe*. A ja widzę, że jest niczym nasz kot, który przyniósł do domu martwego wróbla. Kot nie wie, że ludzie nie lubią martwych ptaszków. Ted chce, żebym była racjonalna, tak jak on. Wydaje mu się, że wyświadcza mi przysługę i zabiera mnie na te wszystkie wycieczki i rejsy i wszystko jest w porządku, tylko że dla niego najgorsza rzecz w naszym życiu w ogóle się nie wydarzyła, a dla mnie tak.

— A wydarzyła się? — zapytała Enid.

Sylvia cofnęła głowę zszokowana.

— Dziękuję — powiedziała, chociaż Enid zadała pytanie w chwili dezorientacji, nie dlatego, że chciała wyświadczyć Sylvii przysługę. — Dziękuję ci za szczerość — ciągnęła Sylvia — za to, że byłaś wystarczająco uczciwa, aby mnie o to zapytać. Czasem myślę, że zwariowałam. Wszystko to odbywa się w mojej głowie. Przetawiam miliony kawałeczków niczego, miliony myśli i uczuć w mojej głowie, dzień za dniem, przez całe lata, tworzę ogromne rusztowanie, planuję, jakbym w głowie budowała katedrę z wykałaczek. Nie pomaga pisanie pamiętników, bo nie umiem sprawić, aby słowa zapisane na kartkach wpływały na mój umysł. Gdy tylko je spiszę, zapominam o nich. To jak wyrzucanie monet za burtę łódki. Więc wykonuję całą tę pracę umysłową bez możliwości uzyskania wsparcia z zewnątrz, nie licząc tych lekko zaniedbanych ludzi z moich środowisk i czwartkowych spotkań grupowych. Tymczasem mój własny mąż udaje, że przyczyna, dla której cała ta wewnętrzna praca się odbywa — morderstwo mojej córki — w ogóle nie istnieje. Dlatego coraz bardziej dosłownie rzecz biorąc, jedynymi kierunkowskazami, jakie mam w życiu, moją jedyną różą wiatrów, są moje emocje. Ted w pewnym sensie ma rację. Mówi, że nasza kultura przywiązuje zbyt dużą wagę do uczuć, że to wymknęło się spod kontroli. To nie komputery wprowadzają rzeczywistość wirtualną, to nasze zdrowie psychiczne ją tworzy. Wszyscy usiłują wprowadzić poprawki do swoich myśli, ulepszyć swoje uczucia, pracować nad związkami i rodzicielstwem, zamiast po prostu założyć rodzinę i wychowywać dzieci, jak dawniej. Tak mówi Ted. Wskoczyliśmy na kolejny poziom abstrakcji, ponieważ mamy za dużo czasu i pieniędzy, a on, Ted, nie chce być częścią tego wszystkiego. Ted chce jadać „prawdziwe” jedzenie, odwiedzać „prawdziwe” miejsca i rozmawiać o „prawdziwych” rzeczach, jak biznes czy nauka. Dlatego od pewnego czasu nie zgadzamy się już w niczym, co dotyczy istoty życia. Wiesz, Enid, on wywiódł w pole moją terapeutkę. Zaprosiłam ją na obiad, żeby mogła się mu przyjrzeć. Wiesz, to był jeden z tych obiadów, o których piszą w żurnalach, że nie należy ich odbywać w celach towarzyskich. Gdy spędzasz dwadzieścia minut w kuchni przed każdym kolejnym daniem. Więc to był jeden z tych obiadów. Zrobiłam risotto po mediolańsku, potem smażone steki z dwustopniową redukcją temperatury, a w tym czasie moja terapeutka siedziała w jadalni, przez cały czas wypytyując Teda. Spotkałam się z nią następnego dnia i powiedziała, że jego postawa jest typowa dla mężczyzn, że poradził sobie ze smutkiem na tyle, aby normalnie funkcjonować. Stwierdziła, że raczej się już nie zmieni i teraz ode mnie zależy, czy zaakceptuję ten fakt. Wiesz, nie powinnam sobie pozwalać na magiczne lub religijne myśli, ale jedna wciąż mnie męczy. Że ten szalony głód zemsty, który dręczył mnie przez tyle lat, tak naprawdę nie był mój, tylko Teda. Nie chciał się z nim sam rozprawić, a ktoś przecież musiał, więc odpowiedzialność spadła na mnie. Jestem matką zastępczą, chociaż nie noszę w łonie dziecka, lecz

emocje. Może gdyby Ted wziął więcej odpowiedzialności za swoje uczucia i mniej się spieszył, aby wrócić do pracy w DuPoncie, byłabym teraz taka jak dawniej i nadal sprzedawałabym swoje drzeworyty na wystawach w gildii w każdą Gwiazdkę. Może to ten racjonalizm i rzeczowość zepchnęły mnie ze skraju przepaści. I może morał z tej długiej historii, której w swej uprzejmości wysłuchałaś, Enid, jest taki, że nie mogę nie znaleźć morału w historii, bez względu na to, jak bardzo się staram go nie zauważyć.

W tym momencie na Enid spłynęła wizja deszczu. Zobaczyła siebie samą w domu bez ścian. Uzbrojona tylko w chusteczkę, miała powstrzymać dom przed zalewem wody. Oto więc nadszedł deszcz ze wschodu i Enid wyciągnęła chusteczkową wersję Chipa i jego fascynującej nowej posady dziennikarza. Jako drugi pojawił się deszcz z zachodu, a jej chusteczka była teraz zachwytem nad urodą i inteligencją synów Gary'ego i jej ogromną do nich miłością. Potem wiatr zmienił kierunek i Enid pobiegła na północną stronę domu ze strzępami chusteczki Denise: tym, jak zbyt młodo wyszła za męża, ale teraz była już starsza i mądrzejsza, odnosiła sukcesy jako szef restauracji i miała w przyszłości spotkać odpowiedniego młodzieńca! Kolejny podmuch deszczu uderzył od południa i jej chusteczka zaczęła się rozpadać, choć upierała się, że objawy choroby Ala są bardzo łagodne i na pewno wydobrzeje, jeśli tylko popracuje trochę nad swoim podejściem do życia i zacznie brać odpowiednie leki. Deszcz padał i padał, coraz mocniej, a ona była taka zmęczona i wszystko, co miała, to ta chusteczka...

— Sylvia? — odezwała się.

— Tak?

— Muszę ci coś powiedzieć o moim mężu.

Chcąc zapewne odwdzińczyć się za przysługę, Sylvia pokiwała głową zachęcająco. Nagle skojarzyła się Enid z Katharine Hepburn. W oczach aktorki była ta obojętna nieświadomość uprzywilejowania, która sprawiała, że Enid chciała skopać jej patrycjuszowski tyłek najtwardszymi butami, jakie miała w posiadaniu. Poczula, że wyznanie prawdy tej kobiecie byłoby błędem.

— Tak? — zachęciła Sylvia.

— Nie, już nic. Przepraszam.

— Nie, proszę, opowiedz mi.

— To nic, naprawdę, tylko wiesz, ja już muszę się położyć. Jutro czeka na nas mnóstwo rzeczy do zrobienia!

Podniosła się chwiejnie i pozwoliła Sylvii zapłacić za drinki. Jechały windą w milczeniu. Zbyt pospieszna bliskość zniknęła w ślad za dziwną, brudną niezręcznością. Gdy jednak Sylvia wysiadła na górnym pokładzie, Enid podążyła za nią. Nie mogła znieść myśli, że Sylvia odbierze ją jako kogoś z pokładu kategorii B.

Sylvia zatrzymała się przy drzwiach dużej luksusowej kabiny.

— Gdzie jest twoja kabina? — spytała.

— Tu dalej — odparła Enid, ale wiedziała, że jej kłamstwo długo się nie ostoi. Jutro będzie musiała udawać, że coś jej się poplątało.

— Zatem dobranoc — powiedziała Sylvia. — Jeszcze raz dziękuję za wysłuchanie mnie.

Czekała z łagodnym uśmiechem na odejście Enid, ale Enid nie ruszała się z miejsca. Rozejrzała się niepewnie.

— Przepraszam, który to pokład?

— Górny, dlaczego?

— Och, mój Boże, źle wysiadłam. Przepraszam.

— Nie ma za co. Chcesz, żebym odprowadziła cię na dół?

— Nie. Zdaje się, że coś mi się poplątało, to przecież górny pokład, a ja powinnam być na niższym, dużo niższym. Dlatego przepraszam.

Odwróciła się, ale wciąż nie odchodziła.

— Mój mąż... — potrząsnęła głową. — Nie, właściwie chodzi o mojego syna. Nie jedliśmy z nim dzisiaj lunchu. Wyszedł po nas na lotnisko, a potem wprawdzie mieliśmy zjeść coś razem z nim i jego przyjaciółką, ale oni... po prostu wyszli. Nie rozumiem tego. I on już nie wrócił, a ja dalej nie wiem, dokąd oni poszli. Więc w każdym razie...

— A to rzeczywiście dziwne — powiedziała Sylvia.

— Nie chcę cię zanudzać...

— Nie, nie, nie, Enid, jak możesz?!

— Chciałam tylko wszystko wyprostować, a teraz idę spać. Wiesz, strasznie się cieszę z naszego spotkania! A jutro tyle nas czeka, więc do zobaczenia przy śniadaniu!

Zanim Sylvia zdołała ją powstrzymać, poszła chyłkiem w głąb korytarza (powinna przejść tę operację biodra, ale jak mogła zostawić Al samego w domu na czas swojej hospitalizacji, no jak?), karcąc się w duchu za to, że weszła na nie swój poziom i wypływała z siebie te wstydlive nonsensy o synu. Skręciła gwałtownie ku wyłożonej poduszkami ławce, przysiadła, po czym nagle załamała się zupełnie i wybuchnęła płaczem. Bóg dał jej wyobraźnię, aby użalać się na środku luksusowego pokładu, podczas kosztownego rejsu, nad tymi wszystkimi biedakami, którzy wynajęli większość kabin na tanim pokładzie „B”; dzieciństwo przeżyte w niedostatku nie pozwoliło jej jednak odżałować dodatkowych 300 dolarów za osobę na wynajęcie lepszej kabiny, a więc teraz płakała też nad sobą. Czuła, że ona i Al byli jedynymi inteligentnymi ludźmi z ich pokolenia, którzy nie zdołali się wzbogacić.

Oto tortura, której greccy wynalazcy uczt i architektury zapomnieli dodać do swego Hadesu: Koc Samooszukania. Piękny, ciepły pled, który chronił umęczoną duszę, ale nigdy właściwie nie okrywał całości. A noce robiły się coraz chłodniejsze.

Rozważała przez chwilę, czy wrócić do kabiny Sylvii i zrzucić ciężar z barków. Ale potem, przez łzy, zobaczyła piękną rzecz leżącą pod ławką, tuż za nią. Dziesięciodolarowy banknot, złożony na pół. Śliczności. Spojrzała w głąb korytarza i schyliła się. Dotyk ryciny na jego powierzchni był wręcz rozkoszny. Poczowała przyływ sił i zeszła na pokład „B”. W salonie mrucała cicho muzyka, było to coś żwawego z udziałem akordeonów. Wydało jej się, że wkładając klucz do zamka i otwierając drzwi, usłyszała gdzieś w oddali beczenie, które przypominało dźwięk jej imienia.

Napotkała opór i popchnęła drzwi mocniej.

— Enid — zabeczał głośnie Alfred z kabiny.

— Cśśśś, Al, co ty najlepszego wyrabiasz?

Życie, które właśnie poznała, skończyło się w momencie, gdy przecisnęła się przez uchylone drzwi. Chwilowość ustąpiła miejsca okrutnemu kontinuum godzin. Znalazła Alfreda nagiego, na warstwie prześcieradeł, które rozpostarł na podkładce z gazety porannej z St. Jude, podpierającego drzwi plecami. Spodnie, sportowa marynarka i krawat leżały na jego łóżku, z którego ściągnął wszystko poza materacem. Reszta pościeli piętrzyła się na łóżku sąsiednim. Alfred nie przestał jej wołać, nawet gdy włączyła światło i weszła w zasięg jego wzroku. Przede wszystkim musiała go uspokoić i włożyć mu piżamę, ale zajęło jej to sporo czasu, bo Alfred był najwyraźniej wstrząśnięty. Nie kończył zdań, więcej, używał czasowników i rzeczowników, które nie zgadzały się w liczbie i

osobie. Wydawało mu się, że jest już rano i powinien wstać, umyć się i ubrać, uznał podłogę kabiny za wannę, klamkę zaś za kran i zdenerwował się, bo nic nie działało. Mimo to nalegał, że zrobi wszystko po swojemu, co zakończyło się szarpaniną za ciężką na jej ramiona. Alfred wściekał się, ona płakała i znęcała się nad nim dalej. Jakimś cudem drżącymi rękami rozpinął górę od piżamy równie szybko, jak ona ją zapinała. Nigdy przedtem nie słyszała, jak przeklina, teraz zaś płynność, z jaką posługiwał się słowami „gówno” i „łajno” odsłoniła prawdę — że w skrytości myśli stale ich używał. Zrzucił pościel z łóżka, które próbowała dla niego pościelić. Błagała go, żeby usiadł spokojnie i się nie ruszał. Alfred krzyczał, że jest już bardzo późno i wszystko mu się miesza. I nawet teraz wciąż go kochała, może wręcz szczególnie w tej chwili. Czy wiedziała przez te pięćdziesiąt wspólnych lat, że w Alfredzie wciąż gdzieś jest ten mały chłopiec? Może miłość, którą ofiarowała Chipowi i Gary’emu, całe to uczucie, które koniec końców nie doczekało się wielkiej wzajemności, było jedynie treningiem przed ukochaniem najbardziej wymagającego ze wszystkich jej dzieci? Przez następną godzinę na przemian krzyczała na niego i go uspokajała, przeklinając w duchu lekarstwa, które mieszały rozum Ala, aż wreszcie usnął, a jej budzik podróżny wskazywał 5.10, a potem 7.30 i Alfred golił się maszynką elektryczną. Nie zdołała się wypaść i choć wydawała się wypoczęta, wstając i ubierając się, w drodze na śniadanie poczuła się katastrofalnie. Jej język zamienił się w ścierkę do kurzu, a głowa bolała, jakby ktoś wbił w nią szpikulec.

Tego ranka morze było tak wzburzone, że nawet na tym ogromnym statku ludzie mieli problemy z utrzymaniem równowagi. Przyprawiające o mdłości plaśnięcia za ścianą Sali Kierkegaarda były niemal rytmiczne, coś w rodzaju muzyki przypadku. Pani Nygren ryczała coś pouczającego na temat szkodliwości kofeiny i quasi-kameralności Stortingu[2], Söderbladowie przybyli mokrzy od intymnego, szwedzkiego wysiłku i Al w jakiś sposób stanął na wysokości zadania, rozmawiając z Tedem Rothem. Enid i Sylvia przywitały się sztywno, ich emocjonalne mięśnie bolały jeszcze po wczorajszym wysiłku i przeciążeniach. Rozmawiały o pogodzie. Koordynator wycieczki, Suzy Ghosh, podeszła do ich stolika z ulotkami informacyjnymi i formularzem do wypełnienia dla pasażerów, którzy zdecydowali się na wycieczkę do Newport w Rhode Island. Z szerokim uśmiechem i pomrukami zachwytu Enid zapisała się na zwiedzanie zabytków, potem zaś patrzyła, jak wszyscy, z wyjątkiem Norwegów, zwracają formularz, nie zapisawszy się na eskapadę.

— Sylvia! — zbesztiała nową przyjaciółkę drżącym głosem. — Nie wybierasz się na wycieczkę?

Sylvia spojrzała na swego męża w grubych okularach, który kiwnął głową niczym McGeorge Bundy[3] potwierdzający rozkaz wysłania oddziałów do Wietnamu i przez chwilę jej niebieskie oczy zdawały się spoglądać do wewnątrz niej samej. Najwyraźniej Sylvia posiadała tę godną pozazdroszczenia zdolność majątnych ludzi spoza środkowego zachodu do oceniania swoich pragnień bez względu na oczekiwania osób trzecich czy imperatywy moralne.

— Dobrze, niech będzie — powiedziała wreszcie. — Może pojedę.

Normalnie w takiej sytuacji Enid zzymałaby się nad taką sugestią jałmużny, ale dzisiaj nie zamierzała zaglądać w zęby podarowanemu koniowi. Potrzebowała całej litości, jaką mogła otrzymać. I oto mozolnie wspinała się na strome zbocze dnia. Skorzystała z darmowej półsesji masażu szwedzkiego, patrzyła, jak opadają liście na Promenadzie Ibsena, połknęła też sześć ibuprofenów i ćwierć litra kawy, przygotowując się na popołudnie w czarującym i historycznym mieście Newport! Tam zaś, w świeżo zmoczonym deszczem porcie przeznaczenia Alfred oznajmił, że zbyt bolą go nogi, aby schodził na brzeg, w związku z tym Enid kazała mu obiecać, że nie będzie ucinał sobie drzemki, inaczej znów nie zaśnie w nocy, a potem na żarty (czy miała się przyznać, że sprawa jest śmiertelnie poważna?) ubłagała Teda Rotha, żeby nie dał Alowi zasnąć, na co Ted odparł, że skoro Nygrenowie też jadą na wycieczkę, sprawa będzie prosta.

Zapachy rozgrzanego słońcem kreozeru, zimnych mały, paliwa do łodzi, boisk piłkarskich i schnących wodorostów, i ta niemal genetyczna tęsknota do morskich jesiennych klimatów dręczyły Enid, gdy kulejąc, schodziła z trapu do autokaru. Dzień był niebezpiecznie piękny. Podmuchy wiatru poruszały chmurami, a ostre, lwioogrzywe słońce porażało swym blaskiem, podkreślając biel szalunków i zieleń trawników w Newport, jednocześnie sprawiając, że nie od razu można je było zobaczyć.

— Kochani — powiedziała pilotka wycieczki. — Siadajcie sobie i upajajcie się widokiem.

Ale to, co upaja, może także zamroczyć. Spośród ostatnich pięćdziesięciu pięciu godzin Enid przespalała tylko sześć i nawet gdy Sylvia dziękowała jej za zaproszenie na wycieczkę, czuła, że nie ma siły na zwiedzanie. Astorowie i Vanderbiltowie, ich piękne rezydencje i pieniądze — miała tego wszystkiego dosyć. Dosyć tej ciągłej zazdrości, dosyć samej siebie. Nie знаła się na antykach ani na architekturze, nie potrafiła rysować, tak jak Sylvia, nie czytała jak Ted, miała niewiele zainteresowań i żadnej wiedzy. Zdolność do miłości była jedyną prawdziwą zaletą, którą posiadała. Zamknęła przewodnik turystyczny i zaczęła kontemplować październikową ukośność żółtego światła słonecznego, szarpiącą za serce intensywność tej pory roku. Wiatr pchający fale w zatoce przyniósł ze sobą zapach nadchodzącej nocy. Wszystko sływało na nią tak szybko: tajemnica, ból i dziwne uczucie tęsknoty za możliwością, zupełnie jakby szukała i pragnęła doznać zawodu miłosnego. W autokarze, gdzieś pomiędzy Rosecliff i latarnią morską, Sylvia ofiarowała Enid telefon komórkowy, z którego mogłaby zadzwonić do Chipa. Enid odmówiła, ponieważ komórki pożerały pieniądze, i myślała, że nawet dotknięcie jednej z nich może oznaczać wydatek. Głośno powiedziała jednak:

— Sylvio, to wszystko trwa już całe lata. Myślę, że nie mówi nam prawdy o tym, co rzeczywiście robi w życiu. Raz powiedział, że pracuje dla „Wall Street Journal”. Niewykluczone, że źle go zrozumiałam, ale wydaje mi się, że to właśnie powiedział. Nie sądzę jednak, żeby Chip tam pracował. Tak naprawdę nie wiem, jak zarabia na życie. Pewnie myślisz, że jestem podła, narzekając na to wszystko, podczas gdy ty przeszłaś gorsze rzeczy w życiu.

Na gwałtowne zaprzeczanie Sylvii, że absolutnie, broń Boże nie uważa problemu Enid za błażostkę, przeszło jej przez myśl, że mogłaby się zwierzyć swojej nowej przyjaciółce z jednej czy dwóch bardziej wstydlivych tajemnic. Przez chwilę pomyślała, że ta publiczna spowiedź, jakkolwiek bolesna, przyniosłaby jej pocieszenie, ale ów kuszący ból, podobnie jak inne zjawiska piękne tylko z dużej odległości — błyskawice, wybuchy wulkanów, gwiazdy i planety — po bliższym przyjrzeniu okazał się nieludzki w swych rozmiarach. Z Newport Gunnar Myrdal popłynął na wschód ku szafirowym oparom. Po popołudniu spędzonym pod gołym niebem, w ogromnych rezydencjach najbogatszych, statek wydał się Enid przytłaczający. Chociaż wygrała kolejne sześćdziesiąt dolarów w Sali Strindberga, czuła się niczym zwierzę uwięzione z innymi szarpiącymi za dźwignię bestiami wśród kakofonii zmechanizowanego migotania i bulgotów. Potem przyszła wczesna pora odpoczynku, a gdy Alfred zaczął się kręcić na łóżku, przebudziła się, nasłuchując dzwonów strachu, które grały z taką mocą, że rama jej łóżka wibrowała, a prześcieradła przypominały papier ścierny. I oto Alfred już się poderwał, zapalił światła i zaczął krzyczeć, a gdy ich sąsiad również z krzykiem zastukał w ścianę, Alfred zastygł na chwilę, nasłuchując z twarzą wykrzywioną w wyrazie psychozy i paranoi. Potem szeptał konspiracyjnie, że widział łajno przebiegające pomiędzy łózkami, następnie ściągnął całą pościel z rzeczonych i posłał je ponownie. Musiała założyć mu pieluchę, a potem jeszcze jedną, aby zaspokoić jego wyimaginowaną potrzebę. Patrzyła na jego drgające chorobliwie nogi, słuchała, jak becząc, powtarza jej imię, aż niemal się zużyło. Potem kobieta ze zużytym imieniem leżała, płacząc w ciemnościach, w najgłębszej rozpacz i

przerażeniu, jakie kiedykolwiek odczuwała, aż wreszcie — niczym nocny podróżnik przybywający na stację kolejową, wreszcie inną od poprzednich ponurych miejsc, tuż przed świtem, tym małym cudem przywróconego widzenia kałuży na żwirowanym parkingu i pary ulatującej z metalowego komina — podjęła decyzję.

Na planie statku, w rufowym przedziale pokładu „D” widniał uniwersalny symbol służby medycznej dla potrzebujących. Po śniadaniu Enid pozostawiła męża pogrążonego w rozmowie z Rothami i udała się w kierunku miejsca oznaczonego czerwonym krzyżem. Fizycznie ów symbol pomocy przekładał się na drzwi z matowego szkła opatrzone złotą tabliczką z wygrawerowanymi trzema słowami. Pierwsze słowo brzmiało „infirmaria” środkowe — „Alfreda”: znaczenie ostatniego słowa zgubiło się w cieniach rzucanych przez „Alfreda”. Wpatrywała się w nie bezowocnie. No. Bla. Nob-Lau. No Bla.

Wszystkie trzy słowa uciekły jej nagle sprzed oczu, gdy drzwi otworzyły się do środka, szarpnięte przez umięśnionego młodego mężczyznę z plakietką przyczepioną do białego fartucha: Mather Hibbard, doktor medycyny. Miał dużą twarz o nieco chropowatej skórze, niczym ten amerykańsko-włoski aktor, którego tak uwielbiają ludzie, ten, co w jednym filmie grał anioła, a w innym znowu tancerza dyskotekowego.

— Witam, jak się pani miewa dzisiejszego poranka? — zapytał, ukazując perłowe zęby. Enid ruszyła za nim przez poczekalnię do jego gabinetu, gdzie młody lekarz wskazał jej krzesło tuż obok biurka.

— Nazywam się Lambert — powiedziała. — Enid Lambert, z kajuty B11. Miałam nadzieję, że może mi pan pomóc.

— Też mam taką nadzieję. Na czym polega pani problem?

— Mam pewne kłopoty.

— Natury psychicznej? Emocjonalnej?

— Cóż, mój mąż...

— Przepraszam, stop. Stop. — Doktor Hibbard pochylił się nieco i uśmiechnął szelmowsko. — Przed chwilą słyszałem, że to pani ma problem.

Jego uśmiech był absolutnie uroczy. Zniwolił tę część osobowości Enid, która rozczulała się na widok małych foczek czy kociaków, i nie chciał jej uwolnić, dopóki, acz niechętnie, nie odwzajemniła uśmiechu.

— Moim problemem — powiedziała — jest mój mąż i dzieci...

— Przepraszam, Edith, przerwa techniczna — doktor Hibbard pochylił się bardzo nisko, schował głowę w dłoniach i spojrzał na nią zza zasłony dłoni. — Musimy sobie coś wyjaśnić: to ty masz kłopoty?

— Nie, ja czuję się dobrze. Ale cała moja...

— Odczuwasz niepokój?

— Tak, ale...

— Nie sypiasz?

— Dokładnie. Widzi pan, mój mąż...

— Edith... masz na imię Edith, tak?

— Enid. Lambert. L-A-M-B...

— Enith, ile jest cztery razy siedem odjąć trzy?

— Co? Och, no, dwadzieścia pięć.

— A jaki mamy dziś dzień tygodnia?

— Poniedziałek.

— Jaką historyczną część Rhode Island odwiedziliśmy wczoraj?

— Newport.

— Czy przyjmujesz jakieś środki medyczne na depresję, stany lękowe, cyklofrenię, schizofrenię, padaczkę, parkinsonizm lub inne schorzenia neurologiczne lub psychiatryczne?

— Nie.

Doktor Hibbard pokiwał głową, usiadł prosto, otworzył głęboką szufladę w szafce tuż za sobą i wyciągnął garść grzechoczących plastikowo-foliowych opakowań. Odliczył osiem pastylek i ułożył je na biurku przed Enid. Tabletki miały połysk kosztowności, który się jej nie spodobał.

— To znakomity nowy środek, który bardzo ci pomoże — wyrecytował monotonie Hibbard i puścił do niej oczko.

— Słucham?

— Czy myśmy się nie zrozumieli? Wydawało mi się, że powiedziałaś: „Mam kłopoty”, po czym wspomniałaś o stanach lękowych i problemach ze snem. Czy tak?

— Zgadza się, ale właściwie chodziło o to, że mój mąż...

— Ach, prawda, mąż. Albo żona. Najczęściej przychodzi do mnie ta odważniejsza strona. Tak naprawdę to wyniszczający strach przed prośbą o aslan jest głównym objawem, który aslan potrafi zwalczyć. Lek nakłada silną blokadę na „głęboki” i „śmiertelny” wstyd. — Uśmiech Hibbarda był niczym świeże nadgryzienie w miękkim owocu. Miał gęste, długie rzęsy i włosy, które zachęcały do głaskania.

— Słucha mnie pani?

Enid spuściła wzrok, zastanawiając się, czy można umrzeć z braku snu. Biorąc jej milczenie za potwierdzenie, Hibbard ciągnął:

— Uważa się, że zwykły inhibitor centralnego układu nerwowego, jak na przykład alkohol, powoduje zniesienie „wstydu” i „zahamowań”. Ale „wstydlive” wyznania popełnione pod wpływem trzech martini nie tracą swojej wstydlivosti przez sam fakt wygadania się. Gdy już martini wywietrzeje z głowy, nadchodzi głęboki wstyd i poczucie winy. Na poziomie molekularnym wygląda to tak, że gdy pijesz swoje martini, Edna, etanol zaburza metabolizm nadmiarowego związku 28A, zwanego inaczej czynnikiem „głębokiego” i „śmiertelnego” wstydu. Jest on gromadzony w tymczasowym, niestabilnym „magazynie” w pobliżu synapsy. Kiedy więc etanol się ulatnia, receptory są zalewane czynnikiem 28A. Strach przed upokorzeniem i pragnienie ponizenia są ze sobą ściśle powiązane. Psychologowie dobrze o tym wiedzą, podobnie jak rosyjscy pisarze. Jest to nie tylko prawda, ale wręcz absolutna prawda. Prawda na poziomie cząsteczkowym. W każdym razie aslan wpływa na chemię wstydu w zupełnie inny sposób niż martini. Mówimy tu o całkowitym unicestwieniu cząsteczek związku 28A. Aslan to bezlitosny drapieżca.

Ewidentnie przyszła kolej na to, żeby Enid coś powiedziała, ale pogubiła się gdzieś po drodze.

— Panie doktorze — wydusiła wreszcie. — Przepraszam, ale nie spałam zbyt wiele i jestem trochę zdezorientowana.

Doktor uroczo zmarszczył czoło.

— Zdezorientowana czy zdezorientowana? — zapytał.

— Co proszę?

— Powiedziałaś mi, że masz problem. I to ty masz sto pięćdziesiąt dolarów amerykańskich w

czekach podróży. Opierając się na twoich reakcjach i objawach, zdiagnozowałem subkliniczne zaburzenie umysłowe bez wyraźnie widocznej demencji i zaoferowałem ci osiem całkiem darmowych opakowań reklamowych aslanu „Cruisera”, a każde z nich zawiera trzy trzydziestomiligramowe kapsułki, dzięki czemu możesz spokojnie cieszyć się resztą wycieczki, a potem przejść przez zalecany program odwykowy „trzydzieści-dwadzieścia-dziesięć”. Jednakże, Elinor, muszę cię ostrzec, iż jeśli czujesz się zdezorientowana, w przeciwieństwie do zwykłej dezorientacji, zmusi mnie to do zmiany orzeczenia i w następstwie może narazić cię na utratę dostępu do aslanu.

Hibbard uniósł brwi i zagwizdał kilka linijek melodii, którą zniekształcił nieco jego półfałszywy uśmiech.

— Nie jestem zdezorientowana — powiedziała Enid. — Mój mąż jest zdezorientowany.

— Jeżeli przez „zdezorientowany” rozumiesz „zdezorientowany”, to pozwól, iż wyrażę najszczerzą nadzieję, że zamierzasz użyć aslanu sama, nie zaś zaaplikować go mężowi. Jednym z przeciwwskazań do zażycia aslanu jest kliniczne otępienie. Dlatego oficjalnie powinienem dopilnować, że wykorzystasz ten lek zgodnie z zaleceniami i wyłącznie pod moją ścisłą kontrolą. W praktyce jednak nie jestem osobą naiwną i zdaję sobie sprawę, że tak silny, przynoszący ulgę środek, który jeszcze nie jest oficjalnie dostępny na rynku, często trafia do rąk innych osób.

Hibbard zagwizdał jeszcze parę nut, wyglądając jak karykatura człowieka, który pilnuje własnego nosa. Obserwował przy tym bacznie Enid, upewniając się, czy ją rozbawił.

— Czasami mój mąż zaczyna się dziwnie zachowywać w nocy — powiedziała Enid, odwracając wzrok. — Jest bardzo poruszony i trudny w kontakcie, a ja przez to nie mogę potem zasnąć. Następnego dnia jestem śmiertelnie zmęczona i bardzo zdenerwowana, a tyle rzeczy chciałabym zrobić.

— Aslan ci pomoże — zapewnił Hibbard nieco bardziej poważnym tonem. — Wielu podróży uważa to za lepszą inwestycję niż ubezpieczenie na wypadek odwołania rejsu. Włożyłaś w tę wycieczkę tyle pieniędzy, Enid, że masz prawo czuć się jak najlepiej w każdym jej momencie. Kłótnia z partnerem, niepokój o losy zwierzaka, którego zostawiłaś w domu, wyrządzony niespodziewanie afront; nie stać cię na takie niepozytywne odczucia. Pomyśl o tym w ten sposób: jeżeli dzięki aslanowi twoje subkliniczne zaburzenie umysłowe nie powstrzyma cię od wzięcia udziału w chociaż jednej z opłaconych atrakcji tej wycieczki, to lek już ci się zwrócił. Mam na myśli, że zwróciły się koszty twojej odpłatnej wizyty u mnie, w trakcie której zyskałaś osiem darmowych opakowań próbnych trzydziestomiligramowego aslanu „Cruisera”.

— Co to jest Ashland^[4]?

Ktoś zapukał do drzwi wejściowych i Hibbard otrząsnął się, jakby chciał oczyścić myśli.

— Edie, Eden, Edna, Enid, przepraszam cię na chwilę. Zaczynam rozumieć, iż rzeczywiście czujesz się zdezorientowana w obliczu wysokiej klasy produktów nowoczesnej farmakologii, które Pleasurelines mają przyjemność udostępniać swojej obytej klienteli. Widzę, że potrzebujesz nieco więcej wyjaśnień niż większość naszych pasażerów i jeśli wybaczysz na moment...

Hibbard wyciągnął osiem opakowań reklamowych aslanu z szuflady, zadał sobie nawet trud, aby ją zamknąć i schować klucz do kieszeni, a potem wyszedł do poczekalni. Enid słyszała jego pomrukiwanie i chrapliwy głos starszego człowieka, mówiącego: „Dwadzieścia pięć”, „Poniedziałek” i „Newport”. Doktor pojawił się po dwóch minutach, trzymając w ręku czeki podróże.

— Czy to rzeczywiście w porządku, to co pan robi? — zapytała Enid. — To znaczy, czy to

legalne?

— Dobre pytanie, Enid, ale zgadnijmy: to jest doskonale legalne.

Sprawdził pobieżnie jeden z czeków, a potem wsunął je wszystkie w kieszeń koszuli.

— Doskonale pytanie, naprawdę. Strzał w dziesiątkę. Etyka zawodowa zabrania mi sprzedaży lekarstw, które przepisuję, a więc ograniczam się do rozdawania darmowych próbek, które szczęśliwym trafem podchodzą pod własną polisę *tutto è incluso* naszych linii. Niestety ponieważ aslan nie uzyskał jeszcze pełnej zgody na dystrybucję, wymaganej w Ameryce, a w związku z tym projektant i producent aslanu, Farmacopea SA nie ma żadnej motywacji, aby zaopatrywać mnie w darmowe próbki wystarczające do zaspokojenia tak niezwykłego popytu, zaistniała konieczność hurtowego zakupu owych próbek. Stąd opłata za konsultację, która mogłaby się niektórym wydać nieco wygórowana.

— Ile dokładnie kosztuje jedno opakowanie reklamowe tych pastylek? — spytała Enid.

— Cóż, ponieważ są to darmowe próbki, absolutnie nie na sprzedaż, nie mają żadnej ustalonej wartości rynkowej, Eartha. Jeśli pytasz mnie, ile muszę wybulić za dostarczenie owych usług za darmo, między innymi tobie, powiedziałbym, że osiemdziesiąt osiem dolarów.

— Cztery dolary za pigułkę?!

— Dokładnie. Pełna dawka dla pacjenta o przeciętnej wrażliwości na lek wynosi trzydzieści miligramów dziennie. Innymi słowy, jedna kapsułka. Cztery dolary za jeden szczęśliwy dzień: większość pasażerów uważa, że to tanio.

— Ale niech mi pan powie, co to jest ten Ashram?

— Aslan. Nazwany, jak mi objaśniono, na cześć mitycznego stwora. Mithraizm, wyznawcy słońca i tak dalej. Jeśli chcesz więcej szczegółów, musiałbym ci nazmyślać, ale z tego, co wiem, Aslan był wielkim, dobrotliwym Lwem.

Serce Enid załopotало w swojej klatce. Wzięła opakowanie lekarstwa z biurka i przyjrzała się kapsułkom przez przezroczystą powłokę twardego plastiku. Każda ciemnozłota pastylka była podzielona na cztery, aby ułatwić jej połamanie na części, i ozdobiona wielopromiennym słońcem — a może była to głowa grzywiastego lwa? Na opakowaniu widniał napis „ASLAN® Cruiser™”.

— Co to robi? — zapytała.

— Absolutnie nic — odparł Hibbard. — Jeżeli jesteś doskonale zdrowa psychicznie. Ale spójrzmy prawdzie w oczy, kto jest?

— No dobrze, a jeśli się nie jest zdrowym psychicznie, to co?

— Wtedy aslan zapewnia najlepszą z możliwych regulację neurohormonów. Najlepsze środki dopuszczone na rynek amerykański wypadają w porównaniu z nim jak dwa marlboro i rum z coca-colą.

— Czy to środek antydepresyjny?

— Z grubsza. Wolę jednak nazywać go „poprawiaczem osobowości”.

— A ta nazwa, „Cruiser”?

— Czyli krążownik. Aslan reguluje homeostazę w szesnastu chemicznych wymiarach — tłumaczył cierpliwie Hibbard. — I wiesz co? „Optymalny” dla pasażera luksusowego statku nie oznacza tego samego, co dla człowieka pracy. Różnice chemiczne są dość subtelne, ale jeśli istnieje sposób bardzo dokładnej ich kontroli, dlaczego nie zaoferować jej ludziom? Poza wersją aslan „Basic”, Farmacopea sprzedaje jeszcze osiem standardowych mieszanek: „Narciarza”, „Hakera”, „Performance Ultra”, „Nastolatka”, „Klub Medyczny”, „Złote Lata” i co tam jeszcze? Ach, aslan

„Kalifornia”. Bardzo popularny w Europie. Planuje się zwiększenie liczby koktajli aslanu do dwudziestu w ciągu najbliższych dwóch lat. Będzie Aslan „Na Egzamin”, „Sądowniczy”, „Białe Noce”, „Wyzwanie Czytelników”, „Klasa Koneserów” bla, bla, bla.

Oficjalne dopuszczenie leku w Ameryce przyspieszyłoby proces, ale jakoś nie spodziewam się szybkiej poprawy sytuacji. Pytasz, co takiego specjalnego jest w „Cruiserze”? Głównie to, że całkowicie znosi twój niepokój. Do zera. Aslan „Basic” by tego nie potrafił, ponieważ w codziennym życiu potrzeba nam trochę niepokoju. Ja na przykład pracuję, więc jestem na „Basicu”.

— Jak...

— Krócej niż godzinę. I to jest właśnie piękne. Niemal natychmiastowe efekty, zwłaszcza w porównaniu z niektórymi Matuzalemami, których używa się wciąż w Stanach. Weź dzisiaj taki Zoloft, a będziesz miała szczęście, jeśli poczujesz się lepiej w przyszły piątek.

— Nie o to mi chodziło. Jak mam zdobyć więcej leku, gdy już będę w domu?

Hibbard spojrzął na zegarek.

— Skąd właściwie jesteś, Andie?

— Ze środkowego zachodu, St. Jude.

— Dobrze. Najłatwiej będzie z meksykańskim, no chyba że masz jakichś znajomych w Argentynie lub Urugwaju, wtedy możesz pogadać z nimi. Oczywiście jeśli spodoba ci się ten lek i zechcesz mieć łatwy do niego dostęp, Pleasurelines mają nadzieję, że zdecydujesz się na kolejny rejs ich liniami.

Enid się zachmurzyła. Doktor Hibbard był bardzo przystojny i charyzmatyczny, poza tym podobała jej się idea pigułki, która pomoże jej cieszyć się wycieczką i lepiej zajmować się Alfredem, ale jej rozmówca wydał się jej przesadnie dowcipny. A poza tym miała na imię Enid. E-N-I-D.

— Jest pan całkowicie pewien, że to naprawdę, naprawdę mi pomoże? — spytała. — Czy rzeczywiście jest pan absolutnie przekonany, że to najlepszy wybór, jaki mam?

— Gwarantuję, że tak — powiedział Hibbard, puszczając oko.

— Co to znaczy „optymizować”?

— To, że czujesz się prężniejsza emocjonalnie — odparł Hibbard. — Bardziej elastyczna, pewna i zadowolona z siebie samej. Twój niepokój i nadwrażliwość znikną, a z nimi chore zmartwienia dotyczące opinii innych ludzi. Wszystko to, czego się teraz wstydzisz...

— Tak — powiedziała Enid. — Tak.

— Jeśli do tego dojdzie, porozmawiam o tym, czemu nie. Jeżeli nie, po co mam o tym wspominać. Takie będzie twoje nastawienie. Nienawistna dwubiegunowość wstydu, to nieustanne krążenie między chęcią wyznania a chęcią ukrycia... czy z tym właśnie masz problem?

— Myślę, że mnie pan zrozumiał.

— Chemia w twoim mózgu, Elaine. Silna potrzeba zwierzeń, silna potrzeba utajenia wszystkiego: co właściwie tworzy tę silną potrzebę? Cóż to może być innego niż związki chemiczne? Czym jest pamięć? Zmianami chemicznymi! Może także strukturalnymi, ale wiesz co? Struktury biologiczne zbudowane są z białek, a białka z czego? Z aminokwasów!

Enid miała mgliste obawy, że kościół uczył ją czegoś innego — o Chrystusie będącym jednocześnie człowiekiem wiszącym na krzyżu i Synem Bożym — ale rozważania nad doktrynami chrześcijańskimi zawsze wydawały jej się zniechęcająco skomplikowane. Poza tym wielbny Anderson w ich kościele miał taką przyjemną twarz i często w swoich kazaniach opowiadał dowcipy, przytaczał fragmenty komiksów z „New Yorkera” albo cytował różnych świeckich pisarzy, jak na przykład Johna Updike’a i nigdy nie zrobił niczego niepokojącego, jak na przykład ogłoszenie

wobec zgromadzenia, że wszyscy zostaną potępieni, co oczywiście byłoby absurdem, ponieważ wszyscy w kościele byli tacy mili i przyjacielscy. Oprócz tego był Alfred, który zawsze wyśmiewał jej wiarę i łatwiej było po prostu przestać wierzyć (jeśli w ogóle kiedyś wierzyła), niż ścierać się z Alfredem w filozoficznych dysputach. Teraz Enid wierzyła, że gdy człowiek umierał, był naprawdę martwy, a podejście do rzeczy doktora Hibbarda miało dla niej sens.

Niemniej jednak, ponieważ trudno jej było wcisnąć byle towar, powiedziała:

— Zapewne jestem tylko głupią starą babą ze środkowego zachodu, ale zmiana osobowości moim zdaniem nie brzmi najlepiej. — Skrzywiła się boleśnie dla pewności, że jej przygana zostanie zauważona.

— Co złego jest w zmianach? — zapytał Hibbard. — Jesteś zadowolona z tego, jak się teraz czujesz?

— No nie, ale jeśli po zażyciu pigułki stanę się inną osobą, jeśli będę inna, to nie będzie dobre i...

— Edwino, całkowicie cię rozumiem. Jesteśmy irracjonalnie przywiązani do specyficznych koordynatów molekularnych naszego charakteru i temperamentu. To taka odmiana strachu przed śmiercią, prawda? Nie wiem, jak to będzie przestać być sobą. Ale wiesz co? Jeśli „ja” przestanę być, kto dostrzeże różnicę, a skoro tak, to czym „ja” się przejmuję? Śmierć jest problemem tylko wtedy, kiedy zdajesz sobie sprawę z tego, że umarłaś, a to oczywiście nigdy się nie stanie, ponieważ umarłaś!

— Ale to brzmi, jakby ten lek przerabiał wszystkich na jedno kopyto.

— Ach, bip-bip. Nieprawda. Bo wiesz co? Dwoje ludzi może mieć taką samą osobowość i pozostać odrębnymi jednostkami. Dwoje ludzi z tym samym IQ może mieć zupełnie inną wiedzę i pamięć, prawda? Dwoje bardzo uczuciowych ludzi może żywić owe uczucia do kompletnie innych osób. Dwa identycznie unikające niebezpieczeństw osobniki mogą wystrzegać się różnego rodzaju niebezpieczeństw. Może aslan nas wszystkich do siebie troszkę upodabnia, ale wiesz co, Enid? Wciąż jesteśmy sobą.

Doktor uśmiechnął się szczególnie ślicznie i Enid, która liczyła, iż zejdzie do 62 dolarów opłaty za konsultację, teraz uznała, że jego czas i zainteresowanie nią warte są jej pieniędzy. Zrobiła więc to, co wiadomo było, że zrobi, od chwili gdy jej wzrok spoczął na słonecznych lwich tabletkach. Sięgnęła po portmonetkę i z firmowej koperty Pleasurelines, w której trzymała swoje wygrane na automatach pieniądze, wyciągnęła garść banknotów i odliczyła 150 dolarów.

— Na chwałę Lwu — rzekł Hibbard, przesuwając kupkę opakowań leku w jej stronę. — Chce pani torebeczkę?

Z bijącym sercem Enid wróciła na dziób statku, na pokład „B”. Po koszmarze ostatniej doby teraz znowu miała coś, czym mogła się cieszyć. Jakże słodki był optymizm osoby, która otrzymała nowy lek zmieniający wszystko w jej głowie, jak uniwersalne było pragnienie ucieczki od samej siebie. Żadnego większego wysiłku niż przełykanie, żadnych uniesień religijnych, wiary w nic bardziej mistycznego niż przyczyna i efekt — niczego takiego nie potrzebowała, aby poczuć błogosławieństwo przemiany dzięki pigułce. Nie mogła się doczekać, kiedy ją zażyje. Jak wniebowzięta poszła do kajuty B11, gdzie ku jej radości nie dostrzegła ani śladu Alfreda. Jakby potwierdzając nielegalny charakter swojej misji, zamknęła drzwi na klucz i zniknęła w łazience. Podniosła oczy na bliźniacze odbicia w lustrach i jakby wiedziona impulsem, odwzajemniła ich spojrzenie, czego nie robiła już od miesięcy, a może nawet i lat. Wyłuskała jeden aslan z foliowego opakowania, położyła na języku i połknęła, popijając wodą.

Przez kilka minut czyściła zęby szczoteczką i nitką do zębów — trochę „porządków domowych”

dla zabicia czasu. Potem z uczuciem coraz większego wyczerpania położyła się do łóżka, czekając.

Złotawe światło słoneczne dotknęło ją przez koc w jej pozbawionym okien pokoju. Poglaskała ręką jego rozgrzany, jedwabisty pysk. W odpowiedzi polizało ją po powiekach szorstkim i jednocześnie gładkim językiem. Jego oddech był słodki, imbirowy. Gdy się ocknęła, zimne światło jarzeniówki w kabinie nie wydawało się już sztuczne. Było zimnym światłem słońca ukrytego chwilowo za chmurą.

„Wzięłam pigułkę” pomyślała. „Wzięłam pigułkę, wzięłam pigułkę”.

Jej nowa elastyczność emocjonalna została wystawiona na ciężką próbę następnego poranka, gdy obudziła się o siódmej i odkryła śpiącego Alfreda skulonego w kabinie prysznicza.

— Al, śpisz pod prysznicem — powiedziała. — To nie jest odpowiednie miejsce do odpoczynku.

Obudziwszy go w ten sposób, zabrała się do mycia zębów. Alfred otworzył przytomne oczy i rozejrzał się.

— Och, ale zeszywniałem — powiedział.

— Co ty tu robisz, na miłość boską? — zapytała bulgocząco, z ustami pełnymi piany, szorując radośnie zęby.

— Wszystko mi się totalnie powywracało w głowie — odrzekł. — Miałem takie sny...

Enid odkryła, że odpoczywając w objęciach aslanu, znajduje w sobie nowe pokłady cierpliwości do przeciążającego nadgarstki ściągającego ruchu szczoteczką, który zalecał jej dentysta przy czyszczeniu bocznych powierzchni zębów trzonowych. Obserwowała z umiarkowaniem małym zainteresowaniem, jak Alfred osiąga pozycję stojącą w wielostopniowym procesie opierania się o coś, podźwigania się, podciągania, napinania mięśni i kontrolowanych przechyłów. Z jego bioder zwisały poszarpane pieluchy, niczym przepaska szalonego Hindusa.

— Popatrz na to — powiedział, potrząsając głową. — Możesz tu spojrzeć?

— Spałam dziś po prostu cudownie — odparła.

— Jak się dziś czują nasi pasażerowie? — zapytała zgromadzonych przy stoliku koordynatorka wycieczek, Suzy Ghosh, głosem niczym z reklamy szamponu.

— Jeszcze żyjemy — odparła Sylvia Roth.

Norwegowie szybko zmonopolizowali Suzy serią szczegółowych pytań dotyczących długodystansowego pływania na większym z basenów Gunnara Myrdala.

— Popatrz no, Signe — zauważył pan Söderblad dosyć głośno. — To rzeczywiście niezwykła niespodzianka. Nygrenowie mają dziś przydługie pytanie do pani Ghosh.

— Tak, Stig, oni zawsze miewają przydługie pytania, nieprawdaż? Bardzo drobiazgowi ludzie, ci Nygrenowie.

Ted Roth wyjadł łyżeczką połówkę grejpfruta, obracając ją niczym garniarz i wyskrobując miąższ.

— Historia węgla jest historią planety — powiedział. — Wiesz, co to jest efekt cieplarniany?

— Są potrójnie zwolnione od podatku — odparła Enid.

Alfred pokiwał głową:

— Tak, wiem co to efekt cieplarniany.

— Musisz tylko sama, fizycznie odciąć kupony, o czym ja czasem zapominam — ciągnęła Enid.

— Cztery miliardy lat temu Ziemia była bardzo gorąca — mówił doktor Roth. — Atmosfera nie nadawała się do oddychania. Metan, dwutlenek węgla, siarczan wodoru.

— Oczywiście w naszym wieku dochody są ważniejsze niż przyrost.

— Natura nie nauczyła się, jak rozkładać celulozę. Kiedy drzewo padało na ziemię, leżało tak, dopóki nie zostało pogrzebane pod innymi drzewami i to był karbon. Ziemia w pełnym rozkwicie. I po tych milionach lat, kiedy drzewa zwały się na siebie, prawie cały węgiel został zabrany z powietrza i pogrzebany pod ziemią. I tam został, aż do wczoraj, oczywiście w geologicznym wymiarze czasu.

— Robienie basenów, Signe. Jak myślisz, czy to coś w rodzaju załatwiania się do basenów?

— Niektórzy ludzie są odrażający — zauważyła pani Nygren.

— Jeżeli dzisiaj pada drzewo, to wszystkie grzyby i mikroorganizmy rozkładają pień i cały węgiel wraca z powrotem do atmosfery. Nigdy nie będzie następnego karbonu. Nigdy. Bo teraz już nie można wymagać od natury, żeby oduczyła się, jak rozkładać celulozę.

— Teraz nazywa się Orfic Midland — mówiła Enid.

— Kiedy świat się ochłodził, pojawiły się ssaki. Szron na wielkiej dyni, futrzaki w swoich norach. Ale teraz mamy jednego sprytnego ssaka, który wydobywa cały węgiel z ziemi i posyła go do atmosfery.

— Myślę, że jesteśmy udziałowcami Orfic Midland — powiedziała Sylvia.

— Właściwie to my także kupiliśmy akcje Orfic Midland — dodał Per Nygren.

— Per zawsze się orientuje — zauważyła pani Nygren.

— Jasne, jakżeby nie — skomentowała pani Söderblad.

— Jak już wypalimy cały węgiel, ropę i gaz ziemny — ciągnął doktor Roth — wrócimy do pierwotnego składu atmosfery. Gorącej, nieprzyjemnej atmosfery, której nikt nie znał od trzystu milionów lat. Bo już wypuścimy tego węglowego dzina z jego butelczki.

— W Norwegii mamy doskonały system emerytalny, hmmm, ale ja osobiście uzupełniam państwowe ubezpieczenie dodatkowym, prywatnym. Każdego ranka Per sprawdza ceny akcji naszego funduszu. Jest całkiem sporo amerykańskich kapitałów. Ile dokładnie, Per?

— W obecnej chwili czterdzieści sześć — odparł Per Nygren. — Jeśli się nie mylę, „Orfic” jest akronimem nazwy Oak Ridge Fiduciary Investment Corporation. Ich akcje utrzymują się niezłe w cenie i płacą niezłe dywidendy.

— Fascynujące — rzekł pan Söderblad. — Co z moją kawą?

— Ale Stig, wiesz co, jestem przekonana, że my też mamy akcje Orfic Midland — stwierdziła pani Söderblad.

— Kupiliśmy wiele udziałów, nie pamiętam wszystkich nazw. A w gazetach wiadomości z giełdy są wypisane bardzo drobnym drukiem.

— Cały morał z tej historii jest taki, że nie należy przetwarzać plastiku. Wyrzuć go na wysypisko, pozwól węglowi wrócić do ziemi.

— Gdyby to zależało od Ala, wszystkie nasze pieniądze wciąż by spoczywały na rachunku oszczędnościowym.

— Zakopać, zakopać głęboko. Wpakować dzina z powrotem do jego butelki.

— Cierpię na szczególne schorzenie oczu, które sprawia, iż czytanie sprawia mi ogromny ból — powiedział pan Söderblad.

— Och, doprawdy — odparła zjadliwie pani Nygren. — Rozumiem, że zapoznanie się z nazwą owego schorzenia również wymagałoby od pana bolesnej lektury.

— To naprawdę mała planeta.

— Mógłby pan oczywiście mieć „leniwe oko”, ale żeby mieć dwoje leniwych oczu...

— Tak naprawdę to nie jest możliwe — wtrącił się pan Nygren. — Syndrom „leniwego oka”, czyli amblyopia, jest przypadłością, w której jedno oko przejmuje na siebie obowiązki drugiego. Dlatego też jeśli jedno oko jest „leniwe”, drugie z definicji...

— Zamknij się, Per — rzuciła pani Nygren.

— Inga!

— Kelner, poproszę o dolewkę.

— Wyobraź sobie elitę klasy średniej w Uzbekistanie — mówił doktor Roth. — Jedna z rodzin miała takiego samego forda stompera, jak my. Tak naprawdę jedyna różnica między naszą a ich średnią klasą polega na tym, że żadne z nich, nawet najbogatsza rodzina, nie mają w domach instalacji wodno-kanalizacyjnej.

— Zdaję sobie sprawę, że jako nieczytający jestem zarazem moralnie gorszy dla Norwegów. Akceptuję to — rzekł pan Söderblad.

— Muchy najbardziej lubią krążyć wokół czterodniowej padliny. Wsypujesz do dziury wiadro popiołu i nawet mały fragmencik tego, co dostrzegasz, to znacznie więcej, niż chciałbyś zobaczyć. A przy tym wszystkim lśniący ford stomper na ich podjeździe, oni zaś filmują kamerą nas filmujących ich kamerą.

— Mimo jednak mojego kalectwa jestem w stanie cieszyć się kilkoma przyjemnościami życia.

— Jakże czcze muszą być nasze uciechy, Stig — wtrąciła się Signe Söderblad — w porównaniu do przyjemności Nygrenów.

— Tak, wydają się doświadczać głębokich i nieprzemijających uciech intelektualnych. Mimo to pozwolę sobie zauważyć, Signe, że masz na sobie dzisiaj niezwykle twarzową suknię. Nawet pan Nygren raczy ją podziwiać mimo głębokich i nieprzemijających uciech intelektualnych, które znajduje gdzie indziej.

— Per, chodźmy stąd — powiedziała pani Nygren. — Tu się nas obraża.

— Stig, słyszałeś? Nygrenowie zostali obrażeni i zamierzają nas opuścić.

— To wielka szkoda. Doskonale się przy nich bawiliśmy.

— Wszystkie nasze dzieci przeniosły się na wschód — powiedziała Enid. — Nikt już nie lubi środkowego zachodu.

— Czekam na odpowiednią okazję, chłopie — odezwał się znajomy głos.

— Kasjerka w bufecie dla członków zarządu DuPonta jest Uzbeczką. Wydaje mi się też, że widziałem Uzbeków w IKEA w Plymouth Meeting. Nie rozmawiamy o przybyszach z kosmosu. Oni też noszą okulary dwuogniskowe i latają samolotami.

— W drodze powrotnej zatrzymamy się w Filadelfii, więc moglibyśmy zjeść obiad w jej nowej restauracji. Nazywa się Generator.

— Enid, mój Boże, to jest jej restauracja? Byliśmy tam z Tedem dwa tygodnie temu.

— Jaki ten świat mały — stwierdziła Enid.

— Zjedliśmy tam świetny obiad, naprawdę doskonały.

— Więc koniec końców wydaliśmy sześć tysięcy dolarów, żeby przypomniano nam, jak potrafi śmierdzieć wychodek.

— Nigdy tego nie zapomnę — powiedział Alfred.

— A cieszę się, że był ten wychodek! W sensie rzeczywistych korzyści z podróży zagranicznych, tego, co sprzedają ci książki oraz telewizja, i tego, co możesz doświadczyć osobiście. Zabierz wychodek, a poczulibyśmy się, jakby te sześć tysięcy dolarów poszło do śmieci.

— Czy powinniśmy poogłupiać nasze mózgi na pokładzie słonecznym?

— Och, Stig, tak, proszę. Jestem wyczerpana intelektualnie.

— Chwała Bogu za ubóstwo. Chwała Bogu za ruch lewostronny. Za Babel, za dziwny woltaż w gniazdkach i kuriozalne wtyczki — doktor Roth zsunął okulary i sponad nich obserwował szwedzki exodus. — Widzę, że każda suknia, którą nosi ta kobieta, została zaprojektowana do szybkiego zdejmowania.

— Nigdy nie widziałam, żeby Ted tak chętnie przychodził na śniadanie — zauważyła Sylvia. — Ani na lunch czy obiad.

— Niesamowita sceneria północy — ciągnął Roth. — Czy nie po to tu jesteśmy, aby ją podziwiać?

Zakłopotany Alfred spuścił wzrok, a w gardle Enid stanęła mała, niewygodna ość pruderii.

— Naprawdę sądzicie, że ma jakiś problem z oczami? — zdołała wydusić z siebie.

— Jego wzrok jest znakomity, przynajmniej w jednym aspekcie.

— Ted, proszę cię, już się uspokój.

— Twierdzenie, że „szwedzkie seksbomby” to komunał, jest samo w sobie komunałem.

— Proszę cię, przestań.

Emerytowany wiceprezes Compliance’u poprawił okulary na nosie i odwrócił się do Alfreda.

— Zastanawiam się, czy nasze przygnębienie wynika z braku wszelkich granic. Z tego, że nie możemy już dłużej udawać, że jest na świecie jakieś miejsce, w którym nikt jeszcze nie był. Zastanawiam się, czy poziom przygnębienia na świecie rośnie z tego właśnie powodu.

— Dziś rano czułam się po prostu wyśmienicie. Doskonale spałam.

— Szczury laboratoryjne łysieją w warunkach przepełnienia populacji.

— Rzeczywiście, Enid, wyglądasz jak odmieniona. Powiedz mi, że to nie ma nic wspólnego z tym lekarzem z pokładu „D”. Słyszałam niepokojące historie.

— Jakie historie?

— Istnieją tak zwane granice elektroniczne — ciągnął doktor Roth — ale gdzie jest dzika natura?

— O leku aslan — powiedziała Sylvia.

— Aslan?

— Są granice w przestrzeni kosmicznej, ale ja lubię naszą Ziemię. To poczciwa planeta. Mamy śladowe ilości atmosferycznych cyjanków, kwasu siarkowego, amoniaku, a nie każda planeta może się tym poszczycić.

— Mały pomocnik babuni, tak zdaje się na to mówią.

— Ale nawet w swoim wielkim, cichym domu czujesz się jak w tłumie ludzi, jeśli jest gdzieś duży, cichy dom na antypodach i w każdym innym miejscu pomiędzy.

— Proszę tylko o odrobinę prywatności — powiedział Alfred.

— Nie ma takiej plaży pomiędzy Grenlandią a Falklandami, która nie zostałaby zagospodarowana. Każdy akr dokładnie uporządkowany.

— O mój Boże, cóż za określenie — powiedziała Enid. — Chyba nie chcemy spóźnić się na wykład?

— Sylvia jest inna. Ona lubi odgłosy portowe.

— Rzeczywiście, lubię wrzawę — potwierdziła Sylvia.

— Trapy, luki, doki. Ona lubi dźwięk syren. Dla mnie to taki pływający tematyczny park rozrywki.

— Musisz się zмагаć z pewnym poziomem fikcji — powiedział Alfred. — Nic nie można na to poradzić.

— Uzbekistan źle mi robił na żołądek — stwierdziła Sylvia.

— Podoba mi się to marnotrawstwo tutaj — mówił doktor Roth. — Przyjemnie popatrzeć na ten ogrom bezsensownie pokonanych mil.

— Traktujesz ubóstwo jak coś romantycznego.

— Słucham?

— Podróżowaliśmy trochę po Bułgarii — powiedział Alfred. — Nie wiem, jak jest w Uzbekistanie, ale odwiedziliśmy Chiny. Wszystko, co możesz zobaczyć z okien pociągu, gdyby zależało to ode mnie, wszystko bym zrównał z ziemią. Zniszczył i zaczął budować od początku. Domy nie muszą być ładne na zewnątrz, ale powinny być solidne. Z instalacją wodną i kanalizacją. Porządne ściany z betonu, dach, który nie przecieka, oto czego potrzebują ludzie. Popatrz na Niemców, na to, co zrobili w ramach odbudowy. To dopiero jest modelowe państwo.

— Nie chciałbyś jednak zjeść ryby złowionej w Renie. Jeżeli w ogóle dałoby się tam złapać jakąś rybę.

— Środowiskowe głupoty.

— Alfred, jesteś zbyt mądry, żeby nazywać to głupotami.

— Muszę iść do ubikacji.

— Al, kiedy skończysz, weź książkę i poczytaj sobie trochę. Idziemy z Sylwią na wykład o inwestycjach. Po prostu posiedź sobie na słońcu i zrelaksuj się, odpoczywaj, odpoczywaj.

Miał dobre i złe dni. Zupełnie jakby kiedy kładł się do snu, różne nastroje gromadziły się we właściwych lub niewłaściwych miejscach, jak marynata steku, a nad ranem zakończenia jego neuronów albo miały wystarczającą ilość niezbędnych substancji, albo nie; jakby przejrzystość jego umysłu mogła zależeć od czegoś tak prostego jak pozycja, w której spał poprzedniej nocy; albo jak gdyby — co było znacznie bardziej niepokojące — był uszkodzonym tranzystorowym radiem, które po kilkukrotnym potrząśnięciu mogło zacząć nadawać głośno i czysto, albo tylko szumieć i skrzeczeć jakieś niezrozumiałe frazy, niczym dziwny rodzaj muzyki.

Mimo wszystko nawet najgorszy poranek był lepszy niż najlepsza noc. O poranku wszystko nabierało rozpędu, rozprawdzając we właściwe miejsca niezbędne medykamenty: kanarkowożółtą ciążutkę na nietrzymanie moczu i stolca, małą różową tumsopodobną[5] pastylkę na drgawki, biały czopek na powstrzymanie nudności, bladoniebieską tabletkę łagodzącą halucynacje wywoływane przez tumsopodobną pastylkę. Nad ranem jego krew przepelniona była pasażerami: roznosicielami glukozy, pracownikami oczyszczania systemu z mocznika, hemoglobiowymi dostawcami, niosącymi ładunek świeżo zgromadzonego tlenu w swoich powyginanych pojazdach, czołowymi brygadzystami jak insulina, enzymatycznymi kierownikami działów i zarządzającą epinefryną, leukocytowymi gliniarzami i pracownikami pogotowia ratunkowego, kosztownymi konsultantami przybywającymi w swoich różowych, białych i kanarkowożółtych limuzynach, pędzącymi w windach aort i rozpraszającymi się w tętnicach. Przed południem liczba wypadków przy pracy spadała do minimum. Świat był niczym nowo narodzony.

Miał dużo energii. Z Sali Kierkegaarda podreptał posłusznie przez wyłożony czerwonym chodnikiem hall, który niegdyś wydawał mu się wygodną przystanią, ale dzisiejszego poranka był niczym pasaż handlowy. Nie widział nigdzie żadnych napisów „damski” i „męski”, tylko salony, butiki i kino im Ingmara Bergmana. Problem w tym, że nie mógł już polegać na swoim systemie

nerwowym przy podjęciu decyzji, jak często ma chodzić. W nocy rozwiązaniem były pieluchy. Za dnia powinien odwiedzać łazienkę co godzinę i zawsze mieć przy sobie swój stary czarny płaszcz przeciwdeszczowy, na wypadek gdyby przytrafiło się mu nieszczęście. Płaszcz miał tę dodatkową zaletę, iż obrażał romantyczną wrażliwość Enid, jemu zaś cogodzinne wizyty w toalecie zapewniały strukturę życia. Jego podstawową ambicją stało się teraz zebranie wszystkiego do kupy — powstrzymanie oceanu nocnych koszmarów przed pokonaniem ostatniego falochronu.

Tłumy kobiet zmierzały w kierunku Sali im. Pippi Langstrumpf. Silne zawirowanie w ich strumieniu zniosło Alfreda do korytarza z szeregiem kabin z pokładowymi wykładowcami i atrystami estradowymi. Na końcu zamajaczyła mu męska toaleta.

W środku oficer w epoletach korzystał z jednego z pisuarów. Bojąc się sikać pod czyjąś obserwacją, Alfred wszedł do kabiny, zablokował drzwi i stanął twarzą w twarz z obsraną toaletą, która na szczęście nic nie mówiła, tylko po prostu śmierdziała. Wyszedł i spróbował szczęścia w sąsiedniej kabine, ale zauważył coś mknącego po podłodze — ruchome gówno szukające schronienia — i nie odważył się wejść do środka. Tymczasem oficer spuścił wodę i gdy odwrócił się od pisuaru, Alfred rozpoznał jego niebieskie policzki, różowe okulary i waginalnie różowe usta. Z rozpiętego rozporoka zwisało trzydzieści centymetrów bezwładnej jasnobrązowej rury. Żółty uśmiech rozciągnął się pomiędzy jego niebieskimi policzkami.

— Zostawiłem panu mały prezencik w łóżku, panie Lambert — rzekł — żeby zastąpić skarb, który zabrałem.

Zataczając się, Alfred wypadł z toalety i zaczął uciekać po schodach na górę, wyżej i wyżej, przez siedem poziomów aż na otwarty pokład rekreacyjny. Tam znalazł ławeczkę skąpaną w gorących promieniach słońca. Z kieszeni płaszcza przeciwdeszczowego wyciągnął mapę kanadyjskich prowincji morskich i spróbował umiejscowić się gdzieś pomiędzy liniami siatki, odnaleźć jakieś charakterystyczne punkty orientacyjne.

Przy relingu stali trzej starsi mężczyźni w kurtkach z goreteksu. Ich głosy to rozbrzmiewały w powietrzu, to zamierały. Najwyraźniej wiatr miał kieszenie, małe miejsca zastoju, w których mogło zniknąć zdanie lub dwa.

— O, mamy tu człowieka z mapą — rzekł jeden z nich. Podszedł, wyglądając na szczęśliwego, jak wszyscy ludzie oprócz Alfreda. — Przepraszam pana — zagaił. — Jak pan sądzi, co widać tam po lewej?

— To półwysep Gaspé — odparł z przekonaniem Alfred. — Za tym pasem lądu powinno być duże miasto.

— Bardzo dziękuję.

Mężczyzna wrócił do swoich towarzyszy i zupełnie jakby położenie statku było tak bardzo dla nich ważne, jakby to w poszukiwaniu tej jedynej informacji przybyli na pokład sportowy, trzej panowie poszli w kierunku niższego pokładu, pozostawiając Alfreda samego na szczycie świata.

Ochronna warstwa nieba była jakby cieńsza w tej krainie północnych wód. Chmury pędziły po nim całymi grupami, przypominając bruzdy na polu, ślizgały się po zdecydowanie nisko zawieszonych kopule nieba. Jedna zbliżała się do Ultima Thule. Zielone obiekty miały czerwone korony. W lasach, które ciągnęły się od zachodu poza widoczny horyzont, nie było nic miejscowego, tak jak w bezsensownej gonitwie chmur czy w boskiej przejrzystości powietrza.

Dziwne to, tak uchwycić nieskończoność dokładnie na łuku skończonej krzywej, wieczność na wykresie sezonowości.

Alfred rozpoznał niebieskopoliczkowego mężczyznę z łazienki jako człowieka z Sygnałów,

personifikację zdrady. Ale niebieskopoliczkowy człowiek z Sygnałów nie mógł w żaden żywy sposób pozwolić sobie na rejs luksusowym statkiem i ten fakt zmartwił Alfreda. Niebieskopoliczkowy mężczyzna był widmem z odległej przeszłości, ale chodził i mówił tu i teraz, łąjno natomiast było stworzeniem nocy, ale teraz spacerowało tu w biały dzień, to zaś martwiło Alfreda jeszcze bardziej.

Z tego, co mówił Ted Roth, dziury w warstwie ozonowej zaczęły się tworzyć najpierw nad biegunami. Osłabienie tego pancerza Ziemi nastąpiło po raz pierwszy podczas długiej arktycznej nocy, ale gdy warstwa ozonowa została raz przedziurawiona, uszkodzenie zaczęło się rozprzestrzeniać, wdzierając się także w obszary słonecznych tropików — nawet równikowych — i wkrótce nie będzie już bezpiecznego miejsca na planecie.

Tymczasem obserwatoria z odległych, niższych regionów wysłały nieśmiały sygnał, dwuznaczną wiadomość. Alfred odebrał przekaz i zaczął się zastanawiać, co ma teraz zrobić. Nie chciał za bardzo skorzystać z łazienki, ale z drugiej strony nie bardzo mógł po prostu ściągnąć spodnie tutaj, na otwartej przestrzeni. Trzej emeryci mogli w każdej chwili powrócić.

Tuż za relingiem po prawej stronie znajdował się zestaw grubo pomalowanych półek, cylindrów, dwie kule nawigacyjne i odwrócony stożek. Ponieważ Alfred nie bał się wysokości, nic nie powstrzymało go od zignorowania bezwzględnie ogłoszonego w wielu językach zakazu wchodzenia poza reling i wspięcia się na chropowatą metalową powierzchnię, aby znaleźć coś pionowego, za czym można się było wysikać. Był bardzo wysoko, niewidoczny.

Ale spóźnił się.

Obie nogawki jego spodni nasiąkły moczem, po lewej stronie płyn dotarł aż do kostki. Ciepłota i wilgoć osiadła na wszystkim. Tam, gdzie miało pojawić się miasto, wyrosła pustka morza. Szare fale maszerowały przez dziwne wody, a drzenie silników wzmożło się i było trudniejsze do zignorowania. Albo statek jeszcze nie dotarł do półwyspu Gaspé, albo już go minął. Przekazał trzem mężczyznom fałszywą informację. Zgubił się.

Z pokładu tuż pod nim dotarł do niego unoszony wiatrem chichot. Znow go słyszał, przeraźliwy pisk, północny psikus.

Odsunął się od sfer i cylindrów i wychylił za zewnętrzną balustradę. Trochę dalej, na rufie znajdowała się mała „nordycka” strefa opalania, ogrodzona cedrowym płotkiem. Człowiek, który stał tam, gdzie żaden pasażer nie powinien się znaleźć, mógł zobaczyć Signe Söderblad, jej zgarbione od chłodu ramiona, uda, brzuch, bliźniacze pulchne jagódki, na których nagle szare zimowe niebo pobudziło brodawki i trzęsące się rude futerko między nogami.

Świat dnia płynął przez świat nocy i świat nocy próbował pograżyć świat dnia, a on starał się i starał, żeby świat dnia pozostał wodoszczelny. Pojawił się jednak poważny wylom.

Nadciągnęła kolejna chmura, która zamieniła zatokę w płachtę zielonkawej czerni. Statek i jego cień znalazły się na kursie kolizyjnym.

Wstyd i desperacja...

A może to wiatr w żaglu jego płaszcz przeciwdeszczowego?

A może to bujanie statku?

A może to drzenie jego nóg?

A może zsynchronizowane z nim drzenie silników?

A może przemijający urok?

A może zaproszenie do zawrotów głowy?

A może umiarkowane ciepło zachęty ze strony wody dla przemoczonego i przemarzniętego na wietrze człowieka?

A może specjalnie wychylał się poza reling, aby spojrzeć jeszcze raz na rudawe księżycy?

— To bardzo dobry czas na rozmowę o pieniądzach — powiedział znany na całym świecie doradca finansowy Jim Crolius — podczas luksusowego rejsu Barwy Jesieni organizowanego przez Nordic Pleasurelines. Kochani, mamy przepiękny poranek, nieprawdaż?

Crolius przemawiał z nad pulpitu obok sztalugi z tablicą, na której czerwonym atramentem wypisano tytuł jego wykładu: „Przetrwanie korekt”. Jego pytanie wzbudziło pomruk aprobaty wśród ludzi siedzących w kilku pierwszych rzędach. Przybyli tu znacznie wcześniej i zajęli najlepsze miejsca. Ktoś tam nawet się odezwał:

— Racja, Jim!

Enid nadal czuła się znakomicie tego poranka, ale w jej głowie wciąż jeszcze krążyło kilka atmosferycznych niepokojów, na przykład szkwał składający się z (a) pretensji do kobiety, która pojawiła się w Sali im. Pippi Langstrumpf absurdalnie wcześniej, zupełnie jakby potencjalna lukratywność rady Jima Croliusa mogła w jakiś sposób zanikać wraz z odległością od niego, a także (b) szczególnej urazy do natarczywych mieszkanki Nowego Jorku, które przepychały się łokciami na sam przód, aby nawiązać bliskie stosunki z wykładowcą (Enid była przekonana, iż Jim Crolius przejrzał je wszystkie z ich oczekiwaniami i pustymi pochlebstwami, ale prawdopodobnie był zbyt uprzejmy, aby je zignorować i skoncentrować się na mniej natrętnych, za to bardziej zasługujących na uwagę środkowozachodnich kobietach, jak Enid), plus (c) intensywnej irytacji na Alfreda za to, że w drodze na śniadanie skorzystał z toalety dwa razy, z której to przyczyny Enid opuściła Salę Kierkegarda zbyt późno i nie mogła zająć lepszego miejsca na wykładzie.

Niemal tak szybko, jak się pojawił, szkwał zniknął i znowu zaświeciło słońce.

— Cóż, przykro mi to mówić, kochani — podjął Jim Crolius — ale tam, gdzie ja stoję, przez okna mogę dostrzec kilka chmur na horyzoncie. Mogą to być przyjazne białe baranki lub ciemne, deszczowe nimbusy. Pozory mogą mylić! Patrząc stąd, śmiem przypuszczać, że obrałem dobry kurs, ale nie jestem ekspertem. Mogę poprowadzić statek prosto na rafę. Nie chcielibyście płynąć na statku, który nie ma kapitana, prawda? Kapitana, który ma wszystkie mapy i gadzety, dzwony i gwizdki, pełen zestaw, prawda? Radar, sonar, GPS — Jim Crolius wyliczał każdy przyrząd na palcach. — Satelity w przestrzeni kosmicznej! Wszystko to technika. Ale ktoś musi dostać te wszystkie informacje, inaczej koniec z nami, prawda? Ocean jest głęboki. Takie jest życie. Chcę powiedzieć, że niekoniecznie musicie opanować to wszystko od strony technicznej, te wszystkie dzwony i gwizdki i cały kramik, ale lepiej, żebyście mieli dobrego kapitana podczas rejsu w niespokojną pogodę lub w czasach niespokojnego rynku.

Jego słowa zostały nagrodzone aplauzem z pierwszych rzędów.

— On chyba musi sądzić, że jesteśmy w podstawówce — wyszeptała do Enid Sylvia Roth.

— To tylko wstęp — odpowiedziała szeptem Enid.

— Jest jeszcze inne dobre porównanie — ciągnął Jim Crolius. — Obserwacja zmieniających się liści. Rok ma swój własny rytm: wiosna, lato, jesień, zima, cykliczne zmiany. Poprawa nastroju na wiosnę, spadek kondycji na jesieni. Zupełnie jak rynek. Cykliczne fluktuacje w biznesie, prawda? Rynek może zwyżkować przez pięć, dziesięć, nawet piętnaście lat. Całe życie to obserwujemy. Ale są również korekty. Możecie myśleć, że jestem jeszcze szczeniakiem, ale widziałem w swoim życiu prawdziwe załamanie rynku. Przerażająca rzecz. Cykliczny biznes. Ludzie, tam na giełdzie jest teraz

od groma zielonych. To było długie, wspaniałe lato. Ci, którzy opłacili tę wycieczkę, albo przynajmniej jej część, dzięki zyskom z inwestycji, niech podniosą rękę.

W górę uniósł się las rąk. Jim Crolius pokiwał głową usatysfakcjonowany.

— Cóż, kochani, przykro mi to mówić, ale liście zaczynają powoli opadać. Nieważne, jak bardzo zielone wydają się wam teraz, nie przetrwają do zimy. Oczywiście każdy rok jest inny, każdy cykl jest inny. Nigdy dokładnie nie wiesz, kiedy ta zieleń przerodzi się w jesień. Ale zgromadziliśmy się tutaj, wszyscy co do jednego, ponieważ jesteśmy ludźmi przewidującymi. Każda osoba w tym pokoju udowodniła mi, że jest sprytnym inwestorem, choćby samą swoją obecnością. Wiecie dlaczego? Ponieważ gdy opuściliście dom, wciąż jeszcze było lato. Wszyscy tu zgromadzeni przewidzieli, że coś tutaj, na tym rejsie, zmieni ich życie. Pytanie, które wszyscy zadajemy — używam tu metafor — brzmi: Czy cała ta pyszna zieleń przemieni się w przepiękne złoto, czy też uschnie na gałęzi, w zimie naszego niezadowolenia?

Sala im. Pippi Langstrumpf buzowała podnieceniem. Co chwila rozlegały się pomruki: „Wspaniały! Wspaniały!”.

— Więcej konkretów, mniej sztuki — zasugerowała Sylvia suchym tonem.

Śmierć, pomyślała Enid. Mówił o śmierci. A wszyscy ci przyklaskujący mu ludzie byli tacy starzy. Gdzie było to ukłucie świadomości? Aslan uspił jej zmysły.

Jim Crolius odwrócił się do sztalugi i przewrócił pierwszą kartkę na wielkiej tablicy. U szczytu kolejnej widniał napis: GDY KLIMAT SIĘ ZMIENIA, a widniejące pod spodem kategorie — Fundusze, Obligacje, Akcje zwykłe itp. — wywołały nieproporcjonalną do zawartości reakcję w tylnych rzędach. Przez chwilę Enid wydawało się, że Jim Crolius przeprowadza techniczną analizę rynku, o której jej broker w St. Jude powiedział, że nie powinna tego słuchać. Pomijając minimalny wpływ podmuchów wiatru przy małej prędkości, coś „gwałtownie spadającego” (odpowiednik „szybkiego nurkowania” w „swobodnym spadku”) doznało przyspieszenia w polu grawitacyjnym, o wartości dziewięciuset sześćdziesięciu centymetrów na sekundę do kwadratu i jako że przyspieszenie jest pochodną odległości drugiego stopnia, analityk mógłby wyliczyć, gdy obiekt już spadnie, na podstawie przebytej odległości (mniej więcej dziewięć metrów) jego prędkość (dwanaście i pół metra na sekundę), gdy ów obiekt przelatywał za oknem o dwuipółmetrowej wysokości, zakładając zaś, że długość owego obiektu wynosiła sto osiemdziesiąt centymetrów i dla uproszczenia przyjmując stałą jego prędkość na danym odcinku, ów analityk mógłby obliczyć, iż całkowita i częściowa widzialność owego obiektu wynosiła cztery dziesiąte sekundy. Cztery dziesiąte sekundy to bardzo niewiele. Jeśli spoglądało się w bok, w myślach obliczając godziny, które pozostały do egzekucji młodego zabójcy, wszystko, co można było zauważyć, to mignięcie czegoś ciemnego za oknem. Ale jeżeli przypadkiem ktoś wpatrywał się prosto w omawiane okno i jednocześnie czuł się niespotykanie spokojny, cztery dziesiąte sekundy były czasem więcej niż wystarczającym, żeby zidentyfikować ów spadający obiekt jako własnego męża od czterdziestu siedmiu lat; żeby zauważyć, iż ma na sobie ten okropny płaszcz przeciwdeszczowy, który stracił fason i nigdy nie powinien być noszony w miejscach publicznych, ale który ów mąż umyślnie spakował na wycieczkę i celowo nosił wszędzie ze sobą; aby poczuć, że nie tylko na pewno stało się coś strasznego, ale także odnieść przedziwne wrażenie naruszenia granic, jakby się było świadkiem zdarzenia, którego oglądania natura sobie nie życzyła, jak upadku meteorytu lub kopulacji wielorybów; wreszcie, żeby dostrzec wyraz twarzy swojego męża, zobaczyć jej niemal młodzieńcze piękno, szczególny spokój, bo któż mógłby przypuszczać, że ten oszalały człowiek będzie upadał z takim wdziękiem?

Pamiętał te noce, gdy siedział na górze z jednym lub obydwoma chłopcami albo ze swoją córeczką

schowaną w zagłębieniu ramienia, pamiętał ich wilgotne, pachnące kąpielą głowy wciśnięte w jego żebra, gdy czytał im *Czarnego Księcia* lub *Opowieści z Narnii*. Pamiętał, jak sam jego głos, jego tembr sprawiał, że czuli się senni. W te wieczory — a były ich setki, może nawet tysiące — kiedy rodzinie nuklearnej nie mogło się przydarzyć nic na tyle traumatycznego, aby pozostawić po sobie bliznę. Wieczory czystej waniliowej bliskości w jego czarnym skórzanym fotelu; słodkie wieczory wątpliwości pomiędzy nocami ponurej pewności. Wróciły do niego teraz, te zapomniane antyprzykłady, ponieważ na końcu, gdy człowiek spadał do wody, jedynym pewnikiem, którego mógłby się uchwycić, były jego własne dzieci.

GENERATOR

Robin Passafaro była filadelfijką z rodziny wichrzycieli i gorących wyznawców. Pradziadek Robin i jej wujkowie Jimmy oraz Johnny byli niereformowalnymi Teamsterami; dziadek, Fazio, pracował w związkach pod Frankiem Fitzimmonsem jako wiceprezes oddziału krajowego i zarządzał największym lokalnym oddziałem filadelfijskim, gdzie przez dwadzieścia lat źle rozporządzał pieniędzmi i składkami 3200 członków. Fazio przeżył dwa oskarżenia o defraudację, wieńcówkę, laryngotomię i dziewięć miesięcy chemioterapii, zanim udał się na zasłużony odpoczynek do Sea Isle City na wybrzeżu Jersey, gdzie codziennie kuśtykał na molo i uzupełniał pułapki na kraby kawałkami surowego kurczaka.

Wujek Johnny, najstarszy syn Fazia, prosperował całkiem nieźle dzięki dwóm rodzajom kalectwa (w podaniu przedstawiono je jako „chroniczny ostry ból odcinka lędźwiowego”), swojemu sezonowemu biznesowi odmalowywania domów (wyłącznie za gotówkę) i szczęściu lub talentowi w handlu internetowym. Johnny mieszkał niedaleko Stadionu Weteranów razem z żoną i najmłodszą córką, w szeregowym domku o winylowych ścianach bocznych, który rozbudowywali, dopóki nie osiągnęli granicy swojej działki, od chodnika do granicznej linii na tyłach posiadłości. Na dachu urządzili ogródek kwiatowy i sztuczny trawnik.

Wujek Jimmy („Dzieciak Jimmy”) był kawalerem i dyrektorem oddziału firmy IBT Document Storage, mauzoleum z wypalanych cegieł żuźlowych, które Międzynarodowe Bractwo Teamsterów wybudowało w bardziej optymistycznych czasach na wybrzeżu przemysłowym Delaware, a potem, ponieważ tylko trzech (3) Teamsterów zgodziło się na pogrzebanie ich w tysiącu ogniotrwałych sejfów tego budynku, liga związkowa przerobiła giganta na długoterminową składnicę papierów korporacyjnych i dokumentów prawnych. Dzieciak Jimmy był znany w lokalnych kręgach Anonimowych Narkomanów z tego, że uzależnił się od metadonu, nawet nie spróbował heroiny.

Ojciec Robin, Nick, był drugim synem Fazia i jedynym Passafarem w jego pokoleniu, który nigdy nie miał nic wspólnego z organizacją Teamsters. Nick był mózgiem rodziny i zagorzałym socjalistą; Teamsterzy z ich lojalnością wobec Nixona i Sinatry byli dla niego przekleństwem. Nick ożenił się z irlandzką dziewczyną i demonstracyjnie wyprowadził się do zintegrowanego rasowo Mount Airy, zatrudniając się jako wykładowca socjologii w miejscowym uniwersytecie i prowokując swoich pryncypałów do wyrzucenia go z pracy za tryskający entuzjazmem trockizm.

Nickowi i jego żonie, Colleen, powiedziano, że są bezpłodni. Zaadoptowali więc rocznego chłopca, Billy’ego, kilka miesięcy przed tym, jak Colleen zaszła w ciążę. Robin była pierwszą z trzech córek. Jako nastolatka dowiedziała się, że Billy jest adoptowany, ale jej najwcześniejsze wspomnienia emocjonalne z dzieciństwa dotyczyły uczucia, że jest niesamowicie uprzywilejowana — zwierzała się Denise.

Dla Billy’ego istniało prawdopodobnie odpowiednie określenie diagnostyczne, zgodne z anormalnym schematem fal mózgowych na jego EEG, niezdrowymi czerwonymi guzkami na jego skanie CAT [6] i hipotetycznymi przyczynami w rodzaju poważnego zaniedbania lub urazu mózgu z czasów jego przedadopcijnego dzieciństwa, ale dla jego sióstr, a szczególnie dla Robin, Billy był wcieleniem samego diabła. Szybko wykombinował, że niezależnie od tego, jak okrutnie będzie poczynał sobie z Robin, ona zawsze przyjmie winę na siebie. Jeżeli pożyczyla mu pięć dolarów, wyśmiewał się z niej za to, że oczekiwała ich zwrotu (jeśli poskarżyła się na to ojcu, Nick po prostu dawał jej kolejną piątkę). Billy uganiał się za nią z konikami polnymi, którym poodcinał końcówki odnóży, z żabami, które najpierw wykapał w Cloroksie i zwykł mówić — teoretycznie żartując: „Znęcam się nad nimi przez ciebie”. Wkładał garść naśladowczego łajno mułu w majtki lalek Robin. Nazywał ją Głupią Krową i Płaską Robin. Wbił ołówek w jej przedramię i złamał grafit, zostawiając go w ranie. Następnego dnia po tym, jak z garażu zniknął jej nowy rower, pojawił się z parą dobrych

wrotek, które jak twierdził, znalazł na Germantown Avenue. Potem rozbijał się na nich po całej okolicy, podczas gdy ona miesiącami czekała na następny rower.

Ich ojciec Nick dostrzegał wszystkie niesprawiedliwości wyrządzane krajom Pierwszego i Trzeciego Świata z wyjątkiem tych, których autorem był Billy. Zanim Robin zaczęła studia, na skutek występów Billy'ego musiała zamykać na kłódkę swoją szafę, wypychać dziurki na klucz w drzwiach pokoju chusteczkami higienicznymi i sypiać z portfelem pod poduszką; ale i te środki zaradcze odbierała jako smutną konieczność i nie wzbudzały w niej one gniewu. Nie miała na co narzekać i dobrze o tym wiedziała. Ona i jej siostry żyły szczęśliwie w rozpadającym się domu na Phil-Ellena Street, Robin poszła do dobrej kwakerskiej szkoły, a potem do znakomitego kwakerskiego college'u, w obu otrzymała pełne stypendium. Potem wyszła za swojego chłopaka z college'u i urodziła dwie córeczki, podczas gdy Billy coraz bardziej się staczał.

Nick wzbudził w Billym miłość do polityki, za co Billy odwdzięczał mu się, wołając na niego: „Liberalny burżuj, liberalny burżuj!”. Kiedy zaś to niewystarczająco rozwścieczało Nicka, Billy zaprzyjaźnił się z resztą rodziny Passafaro, która z natury swej pokochała zdrajcę rodziny z rodziny zdrajcy. Kiedy Billy został aresztowany na podstawie drugiego zarzutu o ciężkie przestępstwo i Colleen wyrzuciła go z domu, jego związkowi krewni zgotowali mu przywitanie godne bohatera. Trochę potrwało, zanim zgasła ta euforia.

Przez rok mieszkał z wujkiem Jimmym, który, sam już po pięćdziesiątce, czuł się szczęśliwy wśród równych mu rozumem nastolatków. Mógł dzielić z nimi swoje ogromne kolekcje broni palnej i noży, filmów z Chasey Lain[7] oraz akcesoriów z gier typu Warlord III czy Dungeonmaster. Ale Jimmy był także wielbicielem Elvisa Presleya i zbudował mu ołtarzyk w kącie swojej sypialni, a Billy, nie mając pojęcia, że Jimmy traktuje całą tę sprawę z Elvisem poważnie, koniec końców zbecześcił świątynię w jakiś okrutny i nieodwracalny sposób, o którym Jimmy nigdy nie chciał rozmawiać, i w efekcie wylądował na ulicy.

Stąd zaś Billy powędrował prosto do radykalnej podziemnej organizacji filadelfijskiej — Czerwonego Półksiężyca producentów bomb, kopiarzy, fanzinowców, punków, Bakunitów, pomniejszych proroków wegańskich, producentów koców orgonowych[8], kobiet o imieniu Afrika, amatorskich biografów Engelsa, bojowników z Frakcji Czerwonej Armii. Ich teren rozciągał się od Fishtown i Kensington na północy, przez Germantown i zachodnią Filadelfię (gdzie burmistrz Goode[9] zbombardował Bogu ducha winnych towarzyszy z MOVE[10]), aż do podupadłego Point Breeze. Dziwnym filadelfijskim faktem było to, że niebagatelny w sile odłam miejscowych kryminalistów zaangażował się w politykę. Po pierwszej kadencji burmistrzowskiej Franka Rizzo nikt nie mógł już udawać, że miejska policja jest bezstronna i nieprzekupna; a ponieważ w ocenie członków Czerwonego Półksiężyca każdy gliniarz był mordercą lub przynajmniej *ipso facto* współsprawcą morderstwa (wystarczy spojrzeć na sprawę MOVE!), wszelką zbrodnię i przemoc lub redystrybucję dóbr, której mógłby się przeciwstawić policjant, można było uznać za uprawnione działanie w długotrwałej wojnie. Jednak owa logika, ogólnie rzecz biorąc, była niepojęta dla lokalnych sędziów. Młody anarchista Billy Passafaro przez całe lata otrzymywał coraz ostrzejsze wyroki za swoje zbrodnie — wyrok w zawieszeniu, roboty publiczne, umieszczenie w eksperymentalnym zakładzie karnym, wreszcie odsiadka w stanowym więzieniu w Grateford. Robin i jej ojciec często kłócili się na temat sprawiedliwości owych wyroków. Nick głaskał swoją leninowską kozią bródkę i twierdził, że choć sam nie jest człowiekiem skorym do przemocy, nie neguje jej w służbie ideologicznej. Robin żądała sprecyzowania, co dokładnie oznacza ideał polityczny. Tymczasem Billy wyskoczył z zadżganiem studenta z Pensylwanii za pomocą złamanego kija bilardowego.

Na rok przed tym, jak Denise poznała Robin, Billy został zwolniony warunkowo i uczestniczył w ceremonii przecinania wstęgi przy otwarciu nowego Społecznego Centrum Komputerowego w biednej północnej dzielnicy Nicetown. Jednym z wielu osiągnięć rządzącego przez dwie kadencje sukcesora burmistrza Goodego była komercyjna eksploatacja miejskich szkół publicznych. Nowy burmistrz sprytnie dostrzegł w godnym ubolewania zaniedbaniu szkolnictwa okazję do zarobku („Działaj szybko, Bądź częścią naszego Posłania Nadziei” — krzyczały jego listy). Korporacja N odpowiedziała na jego nawijkę, biorąc odpowiedzialność za poważnie niedofinansowane szkolne programy rozwoju sportowego. Teraz zaś burmistrz przyjął narodziny podobnego układu ze spółką W, która podarowała Filadelfii tyle swoich sławnych komputerów stacjonarnych Global, że można było nimi wypełnić każdą klasę szkolną w mieście plus pięć Społecznych Centrów Komputerowych w podupadłych dzielnicach północnych i zachodnich. Zgodnie z umową, firma W miała prawo wykorzystać wszelkie aktywności szkolne w obrębie miasta do celów promocyjnych, wliczając w to wszelkie zastosowania Globala, ale nie kończąc na nich. Przeciwnicy burmistrza kolejno potępili to zaprzędanie się i zaczęli narzekać, że W ofiarowała szkołom powolną i często zawieszającą się wersję 4.0 oprogramowania, natomiast Centrum Komputerowym oddała prawie bezużyteczną wersję 3.2. Mimo to sierpniowe nastroje w Nicetown zwykowały. Burmistrz wraz z dwudziestoosmioletnim reprezentacyjnym wiceprezydentem korporacji W zacisnęli dłonie na wielkich nożycach i przecięli wstęgę. Lokalni kolorowi politycy mówili: „dzieci” i „jutro” oraz „cyfrowy”, „demokracja” i „historia”.

Poza białym namiotem stał z transparentami i afiszami zwykły tłum anarchistów obserwowany z rezerwą przez zbyt nieliczne — jak później krytykowano — siły policyjne. W kieszeniach bojówek demonstranci ukryli sztaby silnych magnesów, którymi mieli nadzieję, pośród chaosu pożerania ciastek, picia ponczu i ogólnego zamieszania, wymazać większość danych z nowiutkich Globali w świeżo otwartym centrum. Na plakatach widniały hasła: POWIEDZ NIE!, KOMPUTERY SĄ PRZECIWIENSTWEM REWOLUCJI CZY KOMPUTEROWE NIEBO PRZYPRAWIA MNIE O BÓL GŁOWY. Billy Passafaro, gładko ogolony i ubrany w koszulę z krótkim rękawem, trzymał w górze afisz na drążku długi na metr dwadzieścia. Widniał na nim napis: WITAMY W FILADELFI!!! Gdy zakończyła się oficjalna część ceremonii i sceneria przybrała nieco przyjemniej anarchiczny charakter, Billy wmieszał się w tłum, uśmiechając się i dzierząc w górze swoje posłanie dobrej woli, aż dotarł na tyle blisko grupki dygnitarzy, że mógł zakręcić swoim afiszem i rozplatać czaszkę Ricka Flamburga. Zanim ochroniarz burmistrza zdołał powalić i unieruchomić Billy’ego, na którego zwała się potem cała chmara gliniarzy, trzy uderzenia zdołały zmiażdżyć nos, szczękę i obojczyk Flamburga, a także wybiły mu większość zębów.

Billy miał szczęście, że namiot był zbyt przepełniony policjantami, żeby któryś odważył się go zastrzelić. Miał również farta, zważywszy na oczywistą premedytację zbrodni i niewygodny politycznie niedobór białych recydywistów na ławie śmierci, że Rick Flamburg nie umarł (zupełnie inną sprawą było to, czy sam Flamburg, nieżonaty absolwent Dartmouth, który wskutek ataku doznał paraliżu lewej połowy ciała, miał zdeformowaną twarz, mówił niewyraźnie, nie widział na jedno oko i miał skłonność do paraliżujących migren, myślał na temat owego farta). Billy został oskarżony o umyślne zabójstwo pierwszego stopnia, atak ze śmiertelnością bronią. Kategoriecznie odrzucił jakiegokolwiek próby apelacji i zdecydował się sam reprezentować siebie przed sądem, zwalniając zarówno wyznaczonego z urzędu obrońcę, jak i starego rzecznika Teamsterów, który zaoferował się, że obciąży rodzinę opłatą jedynych pięćdziesięciu dolarów za godzinę jako „oportunistów”.

Ku zaskoczeniu wszystkich, może poza Robin, która nigdy nie wątpiła w inteligencję swojego brata, Billy sprokurował bardzo elokwentną mowę obrończą. Argumentował, że burmistrzowskie

„sprzedanie” dzieci Filadelfii „technologicznym wyzyskiwaczom” w firmie W było „jasnym i oczywistym zagrożeniem publicznym”, na które miał prawo zareagować agresją. Potępił „grzeszne przemykanie oczu” amerykańskiego biznesu i rządu. Porównał siebie do żołnierzy pospolitego ruszenia z Lexington i Concord. Gdy Robin jakiś czas później pokazała Denise zapis przebiegu rozprawy, Denise wyobraziła sobie, jak Billy i Chip spotykają się przy obiedzie, a ona słucha, jak porównują swoje spostrzeżenia dotyczące biurokracji. Ów obiad musiał jednak poczekać, aż Billy odsiedzi w Grateford siedemdziesiąt siedem procent swojego wyroku w wymiarze 12-18 lat.

Nick Passafaro wziął urlop i lojalnie przyjechał na proces syna. W telewizji powiedział wszystko to, czego można się było spodziewać po starym komuniście:

— Jednego dnia ofiarą jest czarny i wtedy nic się nie dzieje, innego dnia ofiarą pada biały, a wtedy słyhać ogólny protest.

— Mój syn drogo zapłaci za swoją zbrodnię, ale korporacja W nigdy nie zapłaci za swoje.

— Rickowie Flamburgowie świata zarobili miliony dolarów na tej złodziejskiej sprzedaży agresji amerykańskim dzieciom.

Nick zgadzał się z większością argumentów przedstawianych przez Billy’ego na sali sądowej i był dumny z występu syna, jednak zaczął tracić serce, gdy w sądzie zaprezentowano zdjęcia obrażeń Flamburga. Głębokie wklęsnięcia w kształcie litery V na czaszce, nosie, szczęce i obojczyku mówiły o brutalności ciosów, o szaleństwie, które kłóciło się z idealizmem. W miarę jak proces postępował, Nick przestał sypiać, golić się i stracił apetyt. Na nalegania Colleen spotkał się z psychoanalitykiem i wrócił do domu z lekarstwami, ale nawet wtedy budził ją w nocy, krzycząc:

— Nie będę przepraszał! To wojna!

W rezultacie zwiększono mu dawki leków, a w kwietniu uniwersytet wysłał Nicka na rentę.

Ponieważ Rick Flamburg pracował dla korporacji W, Robin czuła się za to wszystko odpowiedzialna.

Została ambasadorem Passafarów w rodzinie Ricka Flamburga, pojawiając się w szpitalu, dopóki rodzice Flamburga nie pozbyli się całej złości i podejrzliwości i nie przekonali się, że nie jest stróżem swego brata. Siadywała przy łóżku Flamburga i czytywała mu wiadomości ze „Sports Illustrated”. Szła tuż obok jego balkonika, gdy dreptał mozolnie po korytarzu. W noc po drugiej z kolei operacji plastycznej zabrała jego rodziców na obiad i słuchała (dość nudnych notabene) historii o ich synu. Opowiedziała im, jak zdolnym chłopcem był Billy, o tym, że w czwartej klasie dawno już wyszlifował sztukę pisania i ortografię, dzięki czemu otrzymał najwyższą notę i zwolnienie z lekcji języka angielskiego; o tym, że był kopalnią świńskich dowcipów i ważnych informacji o rozmnażaniu; o tym, jak czuła się ona, będąc zdolną dziewczynką i widząc, jak jej równie uzdolniony brat z roku na rok robi z siebie coraz większego głupca, zupełnie jakby chciał uniknąć stania się osobą taką jak ona; o tym, jak bardzo niezrozumiałe było to wszystko i jak jest jej przykro za to, co Billy zrobił ich synowi.

W przeddzień rozprawy Billy’ego Robin zaprosiła swoją matkę na mszę. Colleen była bierzmowaną katoliczką, ale nie przyjęła komunii od czterdziestu lat. Jediną styczność z kościołem Robin miała podczas ślubów i pogrzebów. Niemniej jednak przez trzy niedziele pod rząd Colleen zgadzała się, aby Robin zabierała ją z Mount Airy i zawoziła do parafii z dzieciństwa, do kościoła św. Dymfny [\[11\]](#) w północnej Filadelfii. Opuszczając sanktuarium trzeciej niedzieli, Colleen powiedziała Robin z lekkim irlandzkim akcentem, którego nie pozbyła się do końca życia:

— Już mi wystarczy, dziękuję.

Potem Robin jeździła do św. Dymfny sama i stopniowo zaczęła uczestniczyć w przygotowaniach

do bierzmowania.

Robin mogła sobie pozwolić na tę całą dobroczynność i akty dewocji dzięki korporacji W. Jej mąż, Brian Callahan, był synem lokalnego drobnego przedsiębiorcy i wyrastał szczęśliwie w Bala-Cynwyd, grając w lacrosse i rozsmakowując się w myśli o odziedziczeniu małej, specjalistycznej fabryczki chemicznej ojca (papa Callahan w młodości opracował związek chemiczny, który wrzucony do konwerterów Bessemera potrafił załatać wszystkie pęknięcia i purchle, gdy ceramiczne ściany były jeszcze gorące). Brian ożenił się z najładniejszą dziewczyną w swojej grupie w college'u (jego zdaniem była to Robin) i wkrótce po ukończeniu szkoły został prezesem firmy High Temp Products. Przedsiębiorstwo mieściło się w budynku z żółtych cegieł w parku przemysłowym obok Tacony-Palmyra Bridge. Tak się złożyło, że najbliższym jego biznesowym sąsiadem było IBT Document Storage. Ponieważ praca w High Temp Products nie była wyczerpująca, Brian spędzał całe swoje kierownicze popołudnia, zabawiając się kodami komputerowymi i analizą Fouriera, puszczając na cały regulator na swojej prezesowskiej wieży piosenki pewnych kultowych zespołów kalifornijskich (Fibulator, Thinking Fellers Union, The Minutemen, The Nomatics), do których miał słabość, oraz popełniając program komputerowy, który w swoim czasie cichaczem opatentował. Równie po cichu znalazł sobie zastępcę i pewnego dnia, za poradą owego człowieka, po cichu sprzedał patent korporacji W za dziewiętnaście i pół miliona dolarów.

Program Briana zwany Eigenmelody przetwarzał każdy fragment nagranej muzyki w zapis eigenwektorowy, który rozkładał melodykę i tonację utworu na poszczególne, dające się zmieniać koordynaty. Użytkownik Eigenmelody mógł wybrać sobie ulubioną piosenkę Moby'ego, program zaś przestrzennie analizował ów wybór, przeszukiwał zainstalowaną wcześniej bazę danych, aby znaleźć piosenki z podobnym wzorem eigenwektorowym, a wreszcie preparował listę pokrewnych melodii, których użytkownik mógłby nigdy nie odnaleźć: Au Pairs, Laurę Nyro, Thomasa Mapfumo, zawodzącą wersję *Les Noces* Pokrovsky'ego. Eigenmelody była salonową grą, narzędziem muzykologicznym i napędzaczem sprzedaży płyt w jednym. Brian umieścił w niej tyle dziwacznych funkcji, że gigant W, nieco po czasie usiłujący wyrwać dla siebie kawałek internetowego rynku sprzedaży muzycznej, przybiegł do niego w podskokach z grubym plikiem pieniędzy w wyciągniętej dłoni.

Charakterystyczne dla Briana, który nie wspomniał Robin o zbliżającej się sprzedaży, było to, że w wieczór tego dnia, w którym miał podpisać ostateczną umowę, nie puścił pary z ust, dopóki dziewczynki nie położyły się spać w ich skromnym urzędniczym szeregowcu w pobliżu Art Museum, on zaś i Robin zaczęli oglądać program *Nowa* o plamach na Słońcu.

— A tak przy okazji — powiedział Brian — nie będziemy już musieli pracować.

Charakterystyczne dla Robin, przy jej pobudliwości, było to, że usłyszawszy tę wiadomość, zaczęła się śmiać, aż dostała czkawki.

Niestety, w epitecie, którym uraczył Robin jej brat, Głupia Krowa, tkwiło wiele prawdy. Robin miała wrażenie, że jej życie z Brianem jest bardzo dobre. Mieszkała we własnym domu, hodowała warzywa i zioła we własnym malutkim ogródku na tyłach domu, uczyła „sztuk językowych” dziesięcio- i jedenastolatków w eksperymentalnej szkole w zachodniej Filadelfii, wysłała córkę Sinéad do znamienitej prywatnej szkoły podstawowej na Fairmount Avenue, a młodszą pociechę, Erin, do przedszkola przy elitarnym stowarzyszeniu Friends Select, kupowała kraby miękkoskorupowe i pomidory Jersey na rynku Reading Terminal Market, spędzała weekendy i sierpień u rodziny Briana w ich domu na przylądku May, utrzymywała znajomości ze starymi przyjaciółmi, którzy także mieli już dzieci, i spalała tyle energii podczas seksu z Brianem

(najbardziej odpowiadało jej, gdy robili to codziennie, zwierzyła się Denise), że była o połowę mniej pobudliwa.

Głupia Krowa doznała zatem szoku po następnym pytaniu Briana. Zapytał mianowicie, gdzie jej zdaniem powinni teraz zamieszkać. Wyznał, że sam myślał o północnej Kalifornii. Brał również pod uwagę Prowansję, Nowy Jork i Londyn.

— Jesteśmy tu szczęśliwi — odparła Robin. — Dlaczego mamy się przeprowadzać w miejsce, gdzie nikogo nie znamy i gdzie każdy jest milionerem?

— Klimat — wyjaśnił Brian. — Piękno, bezpieczeństwo, kultura, styl. Nic, co można by powiedzieć o Filadelfii. Nie mówię, że mamy się przeprowadzić. Proszę cię tylko, żebyś powiedziała mi, jeżeli jest jakieś miejsce, w którym chciałabyś pomieszkać, choćby tylko latem.

— Podoba mi się tutaj.

— Więc zostaniemy tutaj — odparł. — Dopóki nie poczujesz, że chciałabyś zmienić miejsce pobytu.

Wykazała się wielką naiwnością, sądząc, że to zakończy dyskusję na ten temat, wyznała później Denise. Ich małżeństwo było szczęśliwe, ugruntowane na wspólnym wychowywaniu dzieci, spożywaniu posiłków i uprawianiu seksu. To prawda, że ona i Brian mieli inne pochodzenie, ale High Temp Products nie było raczej firmą klasy E. I. Du Pont de Nemoursa i Robin, z dwoma fakultetami elitarnych szkół, nie była również typową proletariuszką. Tych kilka rzeczywistych różnic pojawiało się, jeśli chodziło o styl, i Robin niemal ich nie dostrzegała, ponieważ Brian był dobrym mężem i miłym człowiekiem, a także dlatego, że w swojej krowiej naiwności nie mogła sobie wyobrazić, że styl życia ma cokolwiek wspólnego ze szczęściem. Jej gusta muzyczne kierowały się ku Johnowi Prine'owi i Etcie James, dlatego Brian puszczał w domu Prine'a i James, swojego Bartoka, Defunkt, Flaming Lips i Mission of Burma zostawiając na czas spędzany w biurze w High Temp. To, że Robin ubierała się jak studentka, nosiła białe adidas, purpurową nylonową kurtkę i okulary w drucianych oprawkach, które noszono ostatnio pod koniec lat siedemdziesiątych, nie do końca przeszkadzało Brianowi, ponieważ był jedynym mężczyzną, który oglądał ją nago. Podobnie znoszenie tego, że Robin była nerwowa, miała zgrzytliwy głos i śmiała się jak kukabura, wydawało się niewielką ceną za jej złote serce, szokującą lubieżność i niesamowity metabolizm, który pozwalał jej utrzymać sylwetkę gwiazdy filmowej. I jeśli nawet Robin nigdy nie goliła się pod pachami i zbyt rzadko czyściła okulary — cóż, była matką dzieci Briana i dopóki będzie mógł słuchać swojej muzyki i utrzymać nerwy na wodzy, nie zamierzał skupiać się nad jej antystylem, którego kobiety w pewnym wieku używały jako symbolu feminizmu. Tak przynajmniej, wyobrażała sobie Denise, Brian radził sobie z problemem, dopóki nie pojawiły się pieniądze z korporacji W.

(Denise była tylko trzy lata młodsza od Robin, ale nie potrafiłaby choćby pomyśleć o włożeniu różowej kurtki lub o nieogoleniu się pod pachami. Nie miała nawet białych adidasów). Pierwsze ustępstwo ze strony Robin na rzecz nowej fortuny polegało na spędzeniu całego lata z Brianem na poszukiwaniu nowego domu. Sama wyrosła w dużym domu i chciała, żeby jej dziewczynki miały również taką szansę. Jeżeli Brian koniecznie chciał pokojów wysokich na trzy i pół metra, czterech łazienek i mahoni, jej to zupełnie nie przeszkadzało. Szóstego września podpisali kontrakt na dom z piaskowca na Panama Street, w pobliżu Rittenhouse Square.

Dwa dni później, z całą siłą okrzepłych przez więziennicze życie ramion, Billy Passafaro powitał wiceprezesa filadelfijskiego oddziału korporacji W.

Robin chciała, choć nie potrafiła się dowiedzieć, czy zanim Billy napisał swoje przesłanie na afiszu, zdążył się dowiedzieć o nieoczekiwanym bogactwie Briana i o tym, której to korporacji owo

bogactwo zawdzięczają. Odpowiedź na to pytanie była ważna, bardzo ważna. Nie miało sensu pytać o to Billy'ego. Wiedziała, że nie wyciągnęłyby z niego prawdy, a tylko odpowiedź, która według niego zabolaby ją najbardziej. Billy bardziej niż wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nigdy nie przestanie z niej szydzić i nigdy nie uzna jej za równą sobie, dopóki Robin nie udowodni mu, że jej życie jest tak samo popieprzone i beznadziejne jak jego. Dokładnie taką totemiczną rolę odgrywała w jego życiu, a to oraz fakt, że uznał ją za archetypowego posiadacza szczęśliwego normalnego życia, którego on nie mógł mieć, sprawiało, że czuła się, jakby to w jej głowę godził Billy, gdy zamachnął się na Ricka Flamburga.

Przed rozprawą zapytała ojca, czy powiedział Billy'emu, że Brian sprzedał Eigenmelody firmie W. Nie chciała o to pytać, ale musiała się dowiedzieć. Nick, który dawał Billy'emu pieniądze, był jedyną osobą z rodziny, która utrzymywała z nim regularne kontakty. (Wujek Jimmy przysiągł, że zastrzeli profanatora jego świątyni, tego małego kutasa, swojego bratanka, jeżeli kiedykolwiek pokaże swoją kutasowatą, nienawidzącą Elvisa gębę, a wszyscy inni zostali okradzeni przez Billy'ego o jeden raz za dużo; nawet rodzice Nicka, Fazio i Carolina, którzy przez długi czas twierdzili, że z Billym jest wszystko w porządku z wyjątkiem, jak to określił Fazio, „choroby sieroczej”, obecnie zabronili wstępu swojemu wnukowi do rezydencji w Sea Isle City). Nick na nieszczęście od razu zrozumiał wagę pytania Robin i bardzo ostrożnie dobierając słowa, odparł, że nie przypomina sobie, aby coś o tym wspominał Billy'emu.

— Lepiej będzie, jeśli po prostu powiesz mi prawdę, tato — powiedziała Robin.

— Cóż, ja... nie widzę, co to ma wspólnego... ekhm... Robin.

— Może dzięki temu nie czułabym się winna. Może po prostu bym się wkurzyła.

— Cóż... Robin... te... te uczucia zwykle sprowadzają się do tego samego. Wina, gniew, to samo, prawda? Ale nie martw się o Billy'ego.

Odłożyła słuchawkę, zastanawiając się, czy Nick próbował uchronić ją przed poczuciem winy, uchronić Billy'ego przed jej gniewem, czy po prostu próbował manewrować w tej stresującej sytuacji. Podejrzewała, że wszystko po trochu, że latem jej ojciec wspomniał Billy'emu o najnowszej transakcji Briana i że ojciec i syn wymienili następnie parę złośliwości i wyrazów rozgoryczenia na temat firmy W, burzujki Robin i zbijającego bąki Briana. Podejrzewała przynajmniej to, jeśli nie więcej, ponieważ stosunki pomiędzy Brianem a jej ojcem prezentowały się fatalnie. Brian nigdy nie był tak otwarty przy swojej żonie, jak przy Denise („Nick jest najgorszym rodzajem tchórza” — powiedział jej kiedyś), ale nie ukrywał, że nie cierpi Nickowych kryminalistycznych dysertacji na temat zastosowania przemocy i wampirzego samozadowolenia z jego tak zwanego socjalizmu. Brian lubił bardzo Colleen („Nieźle wyszła na tym małżeństwie” — powiedział Denise), ale potrząsał głową i wychodził z pokoju za każdym razem, gdy Nick rozpoczynał swoje wywody. Robin nie chciała nawet wyobrazić sobie, co jej ojciec i Billy mówili o niej i Brianie, ale była absolutnie przekonana, że pewne rzeczy zostały powiedziane, a za wszystko zapłacił Rick Flamburg. Upewniła się co do tego, widząc, jak jej ojciec zareagował na zdjęcia obrażeń Flamburga.

W trakcie procesu, gdy jej ojciec powoli się rozlatywał, Robin czytała katechizm w kościele św. Dymfny i w dwojaki sposób skorzystała z pieniędzy Briana. Po pierwsze, zrezygnowała z posady w szkole eksperymentalnej. Nie satysfakcjonowała jej praca dla rodziców płacących 23 tysiące dolarów rocznie za dziecko (choć oczywiście sami płacili prawie tyle samo za szkołę Sinéad i Erin). Zamiast tego zajęła się filantropią. Kupiła wolną działkę z jednym opuszczonym domem w bardzo zaniedbanej części Point Breeze, niespełna dwa kilometry na południe od ich nowej rezydencji. Do tego zakupiła również pięć wywrotek ziemi próchnicznej i dobre ubezpieczenie OC

pracodawcy. Zamierzała bowiem zatrudnić za minimalną stawkę miejscowych nastolatków, nauczyć ich podstaw organicznego ogrodnictwa i pozwolić im na udział w zyskach ze wszystkich warzyw, jakie uda im się sprzedać. Zaangażowała się w swój projekt ogrodniczy z maniacką intensywnością przerażającą nawet w jej osobistych kategoriach. Brian nieraz o czwartej nad ranem zastawał ją przy komputerze, tupiącą nogami i porównującą gatunki rzepy.

Każdego tygodnia nowe grupy robotników zjawiały się na Panama Street, aby dokonać kolejnych modernizacji, Robin zaś dała się wciągnąć temu utopijnemu bagnu pochłaniającemu cały czas i energię. Brian musiał się więc pogodzić z myślą, iż na zawsze pozostanie w ponurym mieście swojego dzieciństwa. Zdecydował, że poszuka dla siebie jakiejś rozrywki. Rozpoczął od jedzenia lunchów we wszystkich po kolei dobrych filadelfijskich restauracjach i od porównywania ich do jego faworytki, Mare Scuro. Gdy już upewnił się, że Mare Scuro jest wciąż jego numerem jeden, kazał zawołać szefa kuchni i przedstawił jej propozycję.

— Pierwsza naprawdę superfajna restauracja w Filadelfii — powiedział. — Miejsce, które sprawia, że człowiek myśli: „Hej, mógłbym zamieszkać w Filadelfii, jeśli muszę”. Nie obchodzi mnie, czy ktoś jeszcze tak myśli. Chcę mieć knajpę, w której sam będę tak się czuł. Dlatego zapłacę pani dwa razy więcej, niż dostaje pani tutaj. Poza tym wyślę panią do Europy, żeby przez parę miesięcy popróbowała pani tamtejszej kuchni, a potem wróciła tu, zaprojektowała i potem oczywiście prowadziła naprawdę superniezwykłą restaurację.

— Straci pan bardzo dużo pieniędzy — odparła Denise — jeżeli nie znajdzie pan doświadczonego partnera lub bardzo dobrego menadżera.

— Niech mi pani powie, co mam zrobić, a ja to zrobię.

— Dwa razy więcej, powiedział pan?

— To najlepsza restauracja w całym mieście.

— Podwójna stawka brzmi intrygująco.

— Więc niech się pani zgodzi.

— Cóż, ten pomysł ma szansę — orzekła Denise. — Ale najprawdopodobniej straci pan ogromne sumy. Choćby dlatego, że za dużo pan płaci swojemu szefowi kuchni.

Denise nigdy nie potrafiła odmówić, gdy czuła się pożądana we właściwy sposób. Dorastając w podmiejskim St. Jude, była trzymana na bezpieczną odległość od każdego, kto mógłby jej w ten sposób pragnąć, ale kiedy skończyła szkołę, pracowała przez lato w Wydziale Sygnałowym Kolei Midland Pacific, a tam, w wielkim słonecznym pokoju z dwoma rzędami stołów kreślarskich, zapoznała się z pragnieniami tuzina starszych mężczyzn.

Mózgiem Midland Pacific, świątynią duszy tej firmy był zbudowany z piaskowca w epoce kryzysu biurowiec z zaokrąglonymi blankami, wyglądającymi jak brzeg obgryzionego gofra. Nadświadomość miała korową siedzibę w sali narad zarządu i jadalni na szesnastym piętrze oraz w biurach bardziej abstrakcyjnych Wydziałów (Operacji, Prawniczego, Kreowania Wizerunku Firmy), których kierownicy mieszkali na piętnastym piętrze. Poniżej, w prymitywnym mózdzku na dole budynku znajdowały się kadry, księgowość, administracja i archiwa. Pomiędzy dnem a szczytem egzystowały ośrodki na średnim poziomie, takie jak Wydział Inżynierii, który zajmował się mostami, liniami kolejowymi, budynkami i sygnalizacją.

Linie kolejowe Midland Pacific rozciągały się na prawie dwadzieścia tysięcy kilometrów i każdy semafor, każdy przewód trakcji elektrycznej, każdy zestaw czerwonych i pomarańczowych świateł, każdy detektor ruchu umieszczony w balaście, każdy połyskujący wspornik przy przejściach dla

pieszych, każda aglomeracja regulatorów czasowych i transmitterów obudowanych szczelną osłoną aluminiową miała swoje aktualizowane schematy połączeń w jednym z sześciu zbiorników z ciężką przykrywą, umieszczonych w specjalnym pokoju na dwunastym piętrze głównej siedziby. Najstarsze diagramy zostały naszkicowane odręcznie ołówkiem na papierze welinowym, najnowsze zostały sporządzone rapidografem na prefabrykowanych kartach mylarowych.

Kreślarze, którzy tworzyli owe schematy i współpracowali z inżynierami terenowymi, utrzymującymi kolejowy system nerwowy w należytej kondycji i zdrowiu, byli Teksaszczykami, Kansańszczykami i mieszkańcami Missouri: inteligentni, niekulturalni, mówiący przez nos mężczyźni, którzy przeszli długą, wyboistą drogę od mało wymagającej pracy w sygnalizacji, przy wyrywaniu chwastów, wykopywaniu dziur pod znaki drogowe i naciąganiu drutu, aż szczęśliwie, dzięki uzdolnieniom w zakresie kreślarstwa (a także dzięki niewątpliwej przewadze bycia białym człowiekiem, zdała sobie później sprawę Denise), zostali wybrani do przeszkolenia i awansowali. Żaden z nich nie spędził więcej niż rok lub dwa lata na uniwersytecie, większość skończyła tylko licea. W słoneczny dzień, gdy niebo stało się bielsze, a trawa bardziej brązowa i jej niegdysiejsi kumple walczyli z falą upału, kreślarze czuli się bardzo szczęśliwi, że mogą siedzieć na miękkim krześle w pokoju tak chłodnym, że w szufladach trzymali swetry, na wszelki wypadek.

— Zobaczysz pewnie, że niektórzy ludzie robią sobie przerwę na kawę — uprzedził Alfred Denise. — Chcę, żebyś wiedziała, iż nie płaci się im za ten czas wolny, i oczekuję, że ty sama nie będziesz udzielała sobie pięciu minut na kawę. Kolejne wyświadczą nam przysługę, zatrudniając cię i płacąc za ośmiogodzinny dzień pracy. Chcę, żebyś o tym pamiętała. Jeżeli włożysz w pracę tyle zapału, co w swoją naukę czy grę na trąbce, zostaniesz zapamiętana jako doskonały pracownik.

Denise kiwnęła głową. To, że była nastawiona na współzawodnictwo, było dość łagodnym określeniem. W szkolnym zespole muzycznym w sekcji instrumentów dętych były dwie dziewczyny i dwunastu chłopców. Siedziała na pierwszym krześle, a chłopcy na kolejnych dwunastu (ostatnie siedzenie zajmowała pół-Indianka Cherokee z południa stanu, która zawsze grała środkowe C zamiast wysokiego E i przyczyniała się do tworzenia kakofonii rzucającej cień na wszystkie zespoły szkolne). Denise nie miała pociągu do muzyki, ale uwielbiała być najlepsza, a jej matka uznała, że szkolne zespoły muzyczne są dobre dla dzieci. Enid podobała się dyscyplina tych grup, optymistyczna normalność i patriotyzm. Gary swego czasu był uzdolnionym trębaczem, a Chip (krótko i bucząco) próbował swych sił na fagocie. We właściwym czasie Denise zapytała, czy może pójść w ślady Gary'ego, ale Enid stwierdziła, że trąbki i małe dziewczynki nie pasują do siebie. Dziewczynkom przystawały flety. Ale Denise nie satysfakcjonowało współzawodniczenie z dziewczynami. Nalegała na trąbkę, a Alfred ją popierał i wreszcie Enid oświeciło, że jeśli Denise użyje starej trąbki Gary'ego, nie będą musieli płacić za wynajem nowego instrumentu.

W przeciwieństwie do nut, schematy sygnałowe, które przyszło jej kopiować i wypełniać tego lata, były dla niej całkowicie niezrozumiałe. Ponieważ nie mogła konkurować z kreślarzami, zaczęła współzawodniczyć z chłopakiem, który pracował w Sygnałach przez poprzednie dwa lata, Alanem Jamboretsem, synem prawnika firmy; ponieważ zaś nie mogła żadną miarą ocenić osiągnięć Jamboretsa, pracowała z intensywnością, której jej zdaniem nikt nie potrafił dorównać.

— Denise, ho, ho, Boże drogi — powiedział Laredo Bob, pocący się nieustannie Teksaszczyk, gdy przycinała i zestawiała projekty.

— Co?

— Wykończysz się szybko w takim tempie.

— Szczerze, podoba mi się to — odparła. — Kiedy już złapię rytm.

— Tylko wiesz — powiedział Laredo Bob — mogłabyś zostawić sobie część na jutro.

— Aż tak bardzo to mi się nie podoba.

— Dobra, w porządku, ale zrób sobie teraz przerwę na kawę. Słyszysz?

Kreślarze pokrzykiwali, idąc w kierunku korytarza:

— Przerwa na kawę!

— Przyjechał wózek z przekąskami!

— Kawa!

Denise pracowała jak szalona.

Laredo Bob był niskim mężczyzną, na którego spadała cała robota, gdy zabrakło letnich pomocników. Laredo Bob powinien czuć rozgoryczenie, że Denise — i to na oczach ich szefa — w ciągu pół godziny wypełniała wszystkie obowiązki urzędnicze, którym on lubił poświęcać cały poranek, przeżuując przy tym swoje cygaro Swisher Sweet. Ale Laredo Bob wierzył, że charakter kształtuje przyszłość człowieka. Dla niego nawyki pracownicze Denise były po prostu dowodem na to, że jest córką swego ojca i że wkrótce sama zajmie kierownicze stanowisko, tak jak jej tata, a on, Laredo Bob, będzie nadal wypełniał swe obowiązki w tempie spodziewanym u kogoś takiego jak on. Laredo Bob wierzył także, iż kobiety są aniołami, a mężczyźni nieszczęśliwymi grzesznikami. Anioł, z którym on się ożenił, przejawiał swą anielskość głównie w przymykaniu oka na jego nałóg palacza, w karmieniu i ubieraniu jego i czwórki dzieci z jednej małej pensyjki, ale wcale nie był zaskoczony, gdy Boska Kobiecość wykazała nadprzyrodzone zdolności w dziedzinie etykietowania i alfabetycznego sortowania pudełek wypełnionych tysiącami ponumerowanych slajdów. Denise była dla Laredo Boba całkowicie cudowną i śliczną istotą. Wkrótce zaczął podśpiewywać refren w stylu rockabilly („Denise — uu-czemu-robisz-to-co-robisz”), gdy Denise przychodziła nad ranem lub wracała z przerwy na lunch spędzanej na skwerze miejskim po drugiej stronie ulicy.

Szef kreślarzy, Sam Beuerlein, powiedział Denise, że następnego lata będą jej musieli płacić za to, żeby nie przychodziła do pracy, ponieważ w tym roku pracowała za dwóch. Wiecznie uśmiechnięty Arkansańczyk, Lamar Parker, który nosił ogromne grube okulary i miał mnóstwo pieprzyków na czole, zapytał ją, czy ojciec powiedział jej, co za banda bezużytecznych drani urzęduje w Sygnałach.

— Tylko o bezużyteczności — odparła Denise. — Nigdy nie wspominał o draństwie.

Lamar zarechotał, zaciągnął się swoim cygarem od Tareytona i głośno powtórzył jej komentarz, na wypadek gdyby reszta kreślarzy tego nie usłyszała.

— He, he, he — mruknął jeden z nich, Don Armour, z nieprzyjemnym sarkazmem. Don Armour jako jedyny w Sygnałach wyraźnie nie lubił Denise. Był mocno zbudowany, miał krótkie nogi i był weteranem z Wietnamu. Jego policzki, chociaż zawsze starannie ogolone, były niebieskie i pokryte meszkiem jak śliwka. Nosił swetry, które opinały jego masywne ramiona, narzędzia kreślarskie w jego dłoniach zdawały się zabawkami. Wyglądał jak nastolatek, który zatrzymał się na pierwszej klasie podstawówki. Zamiast jak wszyscy opierać stopy o specjalne kółko zamocowane u podstawy wysokiego krzesła, pozwalał im dyndać w powietrzu, dotykając podłogi czubkami palców. Pokładał się na swojej desce kreślarskiej, zbliżając oczy na zaledwie kilkanaście centymetrów od rapidografu. Po przepracowaniu godziny w ten sposób opadał bezwładnie, przyciskając nos do mylaru, albo ukrywał twarz w dłoniach i jęczał. Większość przerw na kawę spędzał, zwisając na ławce niczym ofiara mordy, z czołem na biurku i plastikowymi okularami lotniczymi w zaciśniętej pięści.

Kiedy Denise przedstawiono Dona Armoura po raz pierwszy, spojrział w bok i ledwo odwzajemnił uścisk dłoni. Gdy pracowała na drugim końcu kreślarni, słyszała, jak mruczy coś, z czego śmieją się jego koledzy; kiedy jednak pracowała w pobliżu niego, milczał i uśmiechał się szyderczo do swojego

stołu kreślarskiego. Przypominał jej cwaniaczków przesiadujących w ostatnich rzędach klas szkolnych.

Pewnego lipcowego poranka była właśnie w damskiej toalecie, gdy usłyszała rozmowę Armoura i Lamara przy kranie do picia, pod którym Lamar płukał swój kubek do kawy. Stała przy drzwiach, wytężając słuch.

— Pamiętasz, myśleliśmy, że stary Alan pracuje jak wariat? — zapytał Lamar.

— To samo mówię, ten Jamborets — powiedział Don Armour. — Przyciąga wzrok.

— Hi, hi.

— Ciężko by było pracować, gdyby taki przystojniak jak Alan Jamborets przechadzał się całymi dniami w takich króciutkich spódniczkach.

— Śliczniutki chłopak z tego Alana.

Usłyszała pomruk.

— Przysięgam, Lamar — rzekł Don Armour. — Jestem bliski złożenia zażalenia w OSHA [\[12\]](#). To okrutne i nienormalne. Widziałeś tę spódniczkę?

— Widziałem. Ale bądź cicho.

— Ja oszaleję.

— To problem sezonowy, Donald. Zniknie za dwa miesiące.

— Jeśli Wrothowie wpraw mnie nie wyrzucą.

— Powiedz, czemu jesteś taki pewny, że będzie ta fuzja?

— Przez osiem lat pocilem się na polu po to, żeby dostać się do tego biura. Najwyższy czas, żeby coś innego się pojawiło i spieprzyło sprawę.

Denise miała na sobie krótką jasnoniebieską spódniczkę ze sklepu z tanimi rzeczami, która ku jej zdziwieniu kwalifikowała się jako odpowiedni strój dla matki, zwykle preferującej islamskie stroje kobiece. Przyjmując do pewnego stopnia, że Lamar i Don Armour rozmawiali o niej — ta myśl usadowiła się w jej głowie niczym dziwna, nieustępująca migrena — poczuła się jeszcze dotkliwiej obrażona przez Dona. Zupełnie jakby poszedł na zabawę w jej własnym domu, nie zapraszając jej.

Kiedy wróciła do kreślarni, rozejrzał się sceptycznie dookoła, spoglądając na wszystkich oprócz Denise. Ominął ją wzrokiem, a ona miała ochotę wbić paznokcie w ciało albo uszczypnąć własne sutki.

W St. Jude nastał właśnie sezon burzowy. Powietrze pachniało meksykańską przemocą, huraganami i sukcesem. Spadały na nich poranne gromy z nieczytelnie mlecznego nieba, złowróźbne, ponure doniesienia z miast na południu, których nie odwiedził nikt znajomy. W porze lunchu pioruny spadały z samotnej chmury płynącej po niemal czystym niebie. Były też poważniejsze, popołudniowe burze, gdy zwarte, morskozielone fale chmur przetaczały się na południowy zachód, słońce zaczynało świecić jaśniej i żar spadał na ziemię nagle, jak gdyby świadomy, że nie zostało mu wiele czasu. I jeszcze wieczorne przedstawienia w porze obiadu, gdy burze tłoczyły w ciasnej przestrzeni niczym wielkie pająki w małym słoiku, chmury wpadały na siebie ze wszystkich stron nieba, a kolejne fale deszczu wielkiego jak groch zalewały ziemię niczym szarańcza. Obraz za oknem rozmywał się i tracił kolory, drzewa i domy słaniały się w świetle błyskawic, małe dzieci w kostiumach kąpielowych i z przemoczonymi rącznikami biegły co sił do domu, niczym uciekinierzy. W nocy zaś słyhać było nieustanne bębnienie, łomot przetaczającej się ciężkiej artylerii lata.

Każdego dnia prasa w St. Jude dudniła o zbliżającej się fuzji przedsiębiorstw. Starający się o Midpaca natarczywi bliźniacy Hillard i Chauncy Wroth byli w mieście i rozmawiali z trzema

związkami zawodowymi. W Waszyngtonie odpięli zeznania Midpaca przed komisją senacką. Midpac podobno poprosił o pomoc Union Pacific. Wrothowie wybroniłi pozakupową restrukturyzację Arcansas Southern. Przedstawiciel Midpaca błagał wszystkich zainteresowanych sprawą mieszkańców St. Jude, aby napisali lub zadzwonili do swego kongresmana...

Denise wychodziła z budynku na lunch pod częściowo zachmurzonym niebem, gdy w sąsiedztwie eksplodował jeden ze słupów elektrycznych. Zobaczyła różową jasność i poczuła podmuch pioruna na policzku. Urzędnicy z krzykiem biegli przez skwer. Denise obróciła się na pięcie, zabrała swoją książkę, kanapkę i śliwkę z powrotem na dwunaste piętro, gdzie codziennie przy dwóch stołach kreślarze grywali w bezika. Usiadła koło okna, ale lektura *Wojny i pokoju* wydała jej się w tej chwili pretensjonalna i odstręcająca. Podzieliła więc uwagę pomiędzy oszalałe niebo na zewnątrz a pobliski stół do gry.

Don Armour odwinął kanapkę i rozchylił kromki. Na widok plastra kielbasy upstrzonego kawałkami chleba, który przywarł na spoinie z żółtej musztardy, gwałtownie opuścił ramiona. Niedbale zawinął z powrotem kanapkę w folię i spojrzał na Denise, jakby była najnowszym rodzajem udręki w dzisiejszym dniu.

— Schodzę z szesnastu.

— Kto narobił tego bałaganu?

— Ed — rzekł Don Armour, wachlując kartami — musisz uważać z tymi bananami.

Ed Alberding, najstarszy kreślarz, miał figurę jak kręgiel i siwe włosy jak trwała starszej pani. Mrugał gwałtownie, przeżuując banana i przyglądając się swoim kartom. Odgryzł kolejny wielki kęs owocu.

— W bananach jest strasznie dużo potasu — ciągnął Don Armour.

— Potas jest zdrowy — odezwał się Lamar z drugiego końca stołu.

Don Armour odłożył karty i spojrzał zimno na Lamara:

— Żartujesz? Lekarze używają potasu do zatrzymania pracy serca.

— Stary Eddie zjada dwa, trzy banany dziennie — powiedział Lamar. — Ed, jak się czuje twoja pikawa?

— Ejże, po prostu grajmy, chłopcy — odparł Ed.

— Ale ja się bardzo martwię o twoje zdrowie — nie dawał za wygraną Armour.

— Za dużo kłamiesz, stary.

— Dzień po dniu widzę, że spożywasz toksyczny potas. Moim obowiązkiem, jako przyjaciela, jest cię ostrzec.

— Twoja lewa, Don.

— Karty na stół, Don.

— W zamian za to natygam się wyłącznie na nieufność i odmowę — mówił Don urażonym tonem.

— Donald, grasz z nami, czy tylko grzejesz stołek?

— Oczywiście gdyby Ed przekreślił się na skutek zawału serca spowodowanego ostrym, długotrwałym zatruciem potasem, zostałbym czwartym w kolejności seniorem w naszym wydziale, a to zapewniłoby mi spokojną posadkę w Little Rock w Arcansas Southern łamane przez Midland Pacific, więc po co w ogóle o tym wspominam? Proszę, Ed, zjedz również mojego banana.

— Hi, hi, uważaj, co mówisz — odezwał się Lamar.

— Panowie, zdaje się, że te wszystkie lewy są moje.

— Skurczybyk!

Szur, szur, plask, plask.

— Wiesz, Ed, w Little Rock mają komputery — podjął Don Armour, nie spoglądając ani przez moment na Denise.

— Ummm, och, komputery? — powiedział Ed.

— Pojedziesz tam, więc cię ostrzegam, że będziesz się musiał nauczyć je obsługiwać.

— Eddie pójdzie do nieba, zanim nauczy się używać komputerów — powiedział Lamar.

— Pozwolę się sobie nie zgodzić — stwierdził Don. — Ed pojedzie do Little Rock i nauczy się projektowania komputerowego. I będzie kogo innego obrzydzał tymi swoimi bananami.

— Powiedz mi, Donald, skąd wiesz, że i ty tam nie wylądujesz?

Don potrząsnął głową.

— Wydawalibyśmy dwa, może trzy tysiące dolarów rocznie mniej, gdybyśmy mieszkali w Little Rock, i pewnie zacząłbym też zarabiać kilka tysięcy więcej. Życie tam jest tanie jak barszcz. Patty pewnie mogłaby pracować o połowę mniej i dziewczynki znowu miałyby matkę. Moglibyśmy kupić kawałek ziemi w Ozarks, zanim dziewczynki wyrosną i nie zdążą się tym nacieszyć. Taką działkę z małym jeziorkiem. Myślisz, że ktokolwiek pozwoliłby, żeby coś takiego zdarzyło się w moim życiu? — powiedział.

Ed tasował swoje karty nerwowymi ruchami szympansa.

— Do czego im te komputery? — zapytał.

— Żeby zastąpić bezużytecznych starsuszków — odrzekł Don, a między jego niebieskimi policzkami wykwitł nieprzyjemny uśmiech.

— Zastąpić nas?

— A myślisz, że dlaczego Wrothowie wykupili naszą firmę, a nie odwrotnie?

Szur, szur, plask, plask. Denise przyglądała się, jak niebo wbija widelce błyskawic w sałatę drzew na horyzoncie Illinois. Nie patrzyła na stół, przy którym nagle wybuchła awantura.

— Jezu Chryste, Ed — powiedział Don Armour. — Czemu po prostu ich nie poliżesz przed położeniem na stół?

— Spokojnie, Don — mówił Sam Beuerlein, szef kreślarzy.

— Czy tylko mnie jednemu wywraca się w bebeczach?

— Spokojnie, spokojnie.

Don rzucił karty na stół i odsunął swoje krzesło tak gwałtownie, że wyglądająca jak modliszka lampa kreślarska zaskrzypiała i przechyliła się niebezpiecznie.

— Laredo — zawołał. — Przejmij moje karty. Muszę pooddychać bezbananowym powietrzem.

— Spokojnie.

Don potrząsnął głową.

— Powiem to teraz, Sam, inaczej zwariuję, kiedy dojdzie do wykupu.

— Jesteś sprytnym facetem, Don — powiedział Beuerlein. — Wylądujesz na czterech łapach, choćby nie wiem, co się zdarzyło.

— Nie wiem, czy jestem sprytny. Nie jestem w połowie tak sprytny jak Ed. Prawda, Ed?

Ed zmarszczył nos i zaczął stukać niecierpliwie kartami w stół.

— Za młody na Koreę, za stary na moją wojnę — ciągnął Don. — Oto, co nazywam sprytem. Wystarczająco sprytny, żeby codziennie rano przez dwadzieścia pięć lat wysiadać z autobusu przy Olive Street, przechodzić przez ulicę i nie dać się potrącić przez samochód. Wystarczająco sprytny, żeby co wieczór wracać do domu. Oto co się liczy dla spryciarzy tego świata.

— Don, posłuchaj mnie — rzekł Beuerlein podniesionym głosem. — Idź teraz się przewietrzyć, słuchasz mnie? Wyjdź i opanuj się trochę. A kiedy wrócisz, może przyjdzie ci do głowy, żeby przeprosić Eddiego.

— Schodzę z osiemnastu — Ed postukał w stół.

Don przyłożył dłoń do pośladka i odkuśtykał korytarzem, potrząsając głową. Laredo Bob zbliżył się z sałatką jajeczną na wążach i przejął karty Dona.

— Nie potrzebuję przeprosin — powiedział Ed. — Po prostu grajmy dalej, chłopaki.

Po lunchu Denise opuszczała właśnie toaletę, kiedy z windy wyszedł Don Armour. Na ramionach jego koszuli widniały zacieki od deszczu. Wywrócił oczami na widok Denise, jakby go prześladowała.

— Czego? — spytała.

Potrząsnął głową i odszedł.

— Czego? O co chodzi?

— Lunch się skończył — odparł. — Nie powinnaś już pracować?

Każdy schemat sieci elektrycznej był oznaczony nazwą linii i numerami słupów milowych. Inżynier z Sygnałów oddał plan do poprawki i kreślarze wysłali kopie papierów do ludzi w terenie, podkreślając dodane fragmenty żółtym flamastrem, a usunięte — czerwonym. Następnie inżynierowie terenowi odwalili swoją robotę, często improwizując i wprowadzając poprawki własnego pomysłu, a następnie odesłali z powrotem do biura ponaddzierane, pożółkłe i zatłuszczone kopie, upstrzone czerwonym kurzem z Arkansas, z kawałkami chwastów z Kansas w zagięciach. Kreślarze zaś zapisali poprawki czarnym atramentem na nowych oryginałach na mylarze i papierze welinowym.

Przez długie popołudnie, gdy biały brzuch przybrał kolor rybich łusek, a potem wrócił do bieli, Denise zdążyła złożyć tysiące odbitek, które przycięła rano — po sześć kopii każdego dokumentu — w określony przepisami sposób, dzięki któremu zmieszczą się potem do segregatorów inżynierów terenowych. Kolejne oznaczenia na słupach milowych; 16.2, 17.4, 20.1, 20.8, 22.0 i tak dalej, aż do New Chartres, gdzie linia kończyła się na numerze 74.35.

W drodze na przedmieścia tej nocy zapytała ojca, czy Wrothowie zamierzają połączyć ich koleje z Arkansas Southern.

— Nie wiem — odparł Alfred. — Mam nadzieję, że nie.

Czy firma przeniesie się do Little Rock?

— Takie są chyba ich zamiary, jeżeli przejmą kontrolę.

Co się stanie z ludźmi z Sygnałów?

— Wydaje mi się, że niektórzy, ci starsi, się przeniosą, a ci młodszy zostaną zwolnieni. Ale nie chcę, żebyś o tym na razie rozmawiała.

— Nie będę — obiecała Denise.

Tak jak w każdy czwartkowy wieczór, Enid czekała już z ciepłym obiadem. Przyrządziła faszerowaną paprykę i kipiała entuzjazmem na myśl o nadciągającym weekendzie.

— Będiesz musiała jutro wrócić do domu autobusem — powiedziała Denise, gdy tylko zasiedli przy stole. — Tata i ja jedziemy do Lake Fond du Lac Estates z Schumpertami.

— Co to jest Lake Fond du Lac Estates?

— To bezsensowne miejsce na wycieczkę, na którą nie powinienem się dać namówić, ale twoja matka mnie zmusiła.

— Al — powiedziała Enid. — Nie musisz jechać. Nie ma przymusu, żebyś uczestniczył w

jakichkolwiek seminariach. Możemy spędzić cały weekend, robiąc to, co chcemy.

— Jednak musi być jakiś przymus. Inwestor nie może tak po prostu fundować wolnych weekendów i nie próbować przy tym sprzedać jakiegoś domu lub działki.

— W broszurce napisano: „Żadnego przymusu, żadnych oczekiwań, żadnych dodatkowych zobowiązań”.

— Mam co do tego wątpliwości — powiedział Alfred.

— Mary Beth mówi, że jest tam wspaniała winnica, w pobliżu Bordentown, którą możemy zwiedzić. Możemy też popływać sobie wszyscy w jeziorze Fond du Lac! A w ulotce napisano, że mają tam rowery wodne i dobrą restaurację.

— Nie wyobrażam sobie, żeby winnica w Missouri w środku lipca była interesująca — odparł Alfred.

— Musisz się po prostu wciągnąć w takie rzeczy — nie ustępowała Enid. — Driblettowie pojechali tam zeszłego października i doskonale się bawili. Dale powiedział, że rzeczywiście nie było żadnego zmuszania. W każdym razie bardzo mało.

— Biorąc pod uwagę to, kim jest...

— Co masz na myśli?

— Dale przez całe swoje życie sprzedawał trumny.

— Nie jest przez to inny niż reszta ludzi.

— Powiedziałem, że mam wątpliwości. Ale pojedę — dodał Alfred i zwrócił się do Denise: — Możesz wrócić autobusem. Zostawimy ci samochód w garażu.

— Dziś rano dzwonił Kenny Kraikmeyer — powiedziała Enid do Denise. — Zastanawiał się, czy jesteś wolna w sobotni wieczór.

Denise przymknęła jedno oko, drugie zaś otworzyła szeroko.

— I co mu powiedziałaś?

— Powiedziałam, że wydaje mi się, iż jesteś wolna.

— Co takiego?

— Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że masz plany.

— Moim jedynym planem w tej chwili jest nie spotykać się z Kennym Kraikmeyerem — zaśmiała się Denise.

— Był bardzo uprzejmy — ciągnęła Enid. — Słuchaj, przecież nie ma w tym nic strasznego, żeby umówić się na randkę z kimś, kto zadaje sobie trud, żeby cię zaprosić. Jeśli nie będziesz się dobrze bawiła, nie musisz tego więcej robić. Ale powinnaś wreszcie zacząć się z kimś spotykać. Ludzie pomyślą, że uważasz się za lepszą od nich.

Denise odłożyła widelec.

— Kenny Kraikmeyer dosłownie przyprawia mnie o mdłości.

— Denise — napomniał ją Alfred.

— To nieładnie — powiedziała Enid drżącym głosem. — Nie chcę słyszeć od ciebie takich rzeczy.

— Dobrze, przepraszam, że to powiedziałam. Ale nie jestem wolna w sobotę, przynajmniej nie dla Kenny'ego Kraikmeyera. Który, jeżeli chce się ze mną umówić, powinien zapytać mnie.

Denise przyszło do głowy, że Enid prawdopodobnie cieszyłaby się z weekendu w Lake Fond du Lac spędzonego z Kennym Kraikmeyerem i że Kenny bawiłby się tam znacznie lepiej niż Alfred.

Po obiedzie pojechała na rowerze do najstarszego domu na przedmieściach, wysokiego ceglanego

kłoca sprzed wojny secesyjnej, stojącego naprzeciwko zabitej deskami stacji kolejki podmiejskiej. Domostwo należało do licealnego nauczyciela dramaturgii, Henry'ego Dusinberre'a, który powierzył uczniom opiekę nad swoim abisyńskim bananem, jaskrawymi krotonami i ozorkolistnymi palmami, a sam pojechał na miesiąc do matki w Nowym Orleanie. W salonie Dusinberre'a poza burdelowatymi antykami znajdowało się dwanaście zdobnych kieliszków do szampana, każdy z nich z kolumną coraz mniejszych bąbelków powietrza uwięzionych w fasetowanej szyjce. Tylko Denise, spośród wszystkich aktorów i typów literackich, którzy ściągali do niego na lampkę alkoholu w sobotnie wieczory, mogła pić z tych kieliszków („Niech te małe bestie piją z plastikowych kubków” — mawiał, gdy układał swoje zmarnowane kończyny na skórzanej salonce. Wygrał dwie batalie z rakiem, teraz oficjalnie w remisji, ale jego błyszcząca skóra i wytrzeszczone oczy nie najlepiej świadczyły o jego stanie zdrowia. „Lambert, ty niezwykła istota” — mówił. „Usiądź tutaj, żebym mógł podziwiać twój profil. Zdajesz sobie sprawę, że Japończycy czciliby cię za twoją szyję? Jak boginię”). To właśnie w domu Dusinberre'a spróbowała swoich pierwszych ostryg, jajek przepiórczych i grappy. Dusinberre umocnił ją w postanowieniu, że nie da się uwieść żadnym „przyszczatym nastolatkom” (jego słowa). Kupował w sklepach ze starociami suknie i kurtki i jeżeli pasowały na Denise, pozwalał jej je zatrzymać. Na szczęście Enid, która chciała, aby Denise ubierała się w stylu Schumpertów albo Rootów, miała o ubiorach klasycznych tak niskie mniemanie, iż rzeczywiście wierzyła, że Denise mogła kupić — jak twierdziła — czyściutką, haftowaną żółtą satynową suknię balową z agatowymi guzikami w Armii Zbawienia, za dziesięć dolarów. Mimo gorzkiego sprzeciwu Enid założyła tę suknię na bal szkolny, na który poszła z Peterem Hicksem, bardzo przyszczatym odtwórcą roli Toma w *Szklanej menażerii* (ona z kolei grała Amandę). Po balu oboje zostali poczęstowani przez Dusinberre'a alkoholem w jego rokokowych szampankach, ale Peter prowadził i został przy coca-coli w plastikowym kubku.

Denise podlała kwiatki, usiadła w fotelu Dusinberre'a i zaczęła słuchać New Order. Chciałaby chcieć się z kimś umówić, ale chłopcy, których lubiła, jak na przykład Peter Hicks, nie wywoływali w niej romantycznych uczuć, reszta zaś była hołotą pokroju Kenny'ego Kraikmeyera, który choć przeznaczone mu były studia w akademii wojskowej i kariera w fizyce nuklearnej, uważał się za hippisa i kolekcjonował „winyle” (jego słowa) Hendrixa i Creamu z pasją, jaką Bóg chciałby widzieć, gdy Kenny zacznie budować okręty podwodne. Denise trochę się martwiła siłą odrazy do niego. Nie rozumiała, dlaczego odczuwała tak wielki wstręt. Była z tego powodu nieszczęśliwa. Chyba nie myślała w odpowiedni sposób o sobie i innych ludziach.

Za każdym jednak razem, gdy matka to wytykała, Denise nie miała wyboru, jak tylko zbić jej argumenty.

Następnego dnia spędziła przerwę na lunch na skwerze, opalając się w jednej ze swoich malutkich bluzek bez ramion, którą jak zwykle skrętnie ukryła przed wzrokiem matki pod swetrem. Nagle jak spod ziemi wyrósł obok niej Don Armour i przysiadł na jej ławce.

— Nie grasz w karty — bardziej stwierdziła, niż zapytała.

— Wariuję tam — powiedział.

Wróciła do czytania książki. Czowała, że patrzy znacząco na jej ciało. Powietrze było gorące, ale nie aż tak bardzo, żeby rozpalić jego policzki. Zdjął okulary i potarł oczy.

— Więc to tutaj przychodzisz co dzień?

— Tak.

Nie był przystojny. Miał za dużą głowę, rzędzące włosy, cerę w ciemnoczerwonym kolorze kielbaski wiedeńskiej lub bolońskiej — z wyjątkiem miejsc, w których niebieszczył się jego zarost.

Jednak w wyrazie jego twarzy dostrzegła wesołość, błyskotliwość i zwierzęcy smutek, a pełne linie warg wyglądały zachęcająco.

Przeczytał tytuł na grzbiecie jej książki.

— Hrabia Lew Tołstoj — powiedział.

— Co takiego?

— Nic. Po prostu staram się sobie wyobrazić, jak to jest być tobą.

— To znaczy?

— To znaczy piękną. Mądrą, zdyscyplinowaną. Bogatą. Studentką college'u. Jak to jest?

Poczuła dziwne pragnienie, żeby odpowiedzieć impertynencko, żeby boleśnie poczuł, jak to jest być nią. Nie było innego sposobu, żeby to wyjaśnić, naprawdę. Wzruszyła ramionami i odparła, że nie wie.

— Twój chłopak musi być szczęściarzem — ciągnął Don Armour.

— Nie mam chłopaka.

Wzdrygnął się, jakby usłyszał coś niedobrego.

— To dla mnie dziwne i dość zaskakujące.

Denise znowu wzruszyła ramionami.

— Też kiedyś dorabiałem w wakacje — rzekł Don. — Pracowałem dla starego małżeństwa mennonitów, którzy prowadzili wielki sklep z antykami. Używaliśmy świństwa nazywanego Magiczną Miksturą: mieszanki rozpuszczalnika do farb, spirytusu drzewnego, acetonu i olejku tungowego. Czyścił meble bez zadrapywania powierzchni. Cały dzień to wdychałem i wracałem do domu na haju, a potem około północy strasznie mnie zaczynała boleć głowa.

— Gdzie spędziłeś dzieciństwo?

— W Carbondale, Illinois. Wbiłem sobie do głowy, że ci mennonici za mało mi płacą, mimo darmowych odlotów. Zacząłem więc pożyczać sobie na noc ich pikapa. Miałem dziewczynę, która lubiła jeździć. Rozbiłem tego pikapa i w ten sposób starszycy w ogóle dowiedzieli się, że go pożyczałem. Potem mój ojciec powiedział, że jeśli wstąpię do piechoty morskiej, załatwi sprawę z mennonitami i ich firmą ubezpieczeniową, w innym przypadku zostawi mnie z tym wszystkim samego. Więc się zaciągnąłem w połowie lat sześćdziesiątych. Po prostu to wydawało mi się odpowiednie. Mam prawdziwy talent do wybierania właściwych momentów.

— Pojechałeś do Wietnamu.

Don Armour pokiwał głową.

— Jeśli ta fuzja dojdzie do skutku, wrócę do tego, czym byłem po wyjściu z wojska. Z małym dodatkiem trójki dzieci i paru umiejętności, których nikt nie potrzebuje.

— Ile lat mają twoje dzieci?

— Dziesięć, osiem i cztery.

— Twoja żona pracuje?

— Jako pielęgniarzka szkolna. Mieszka u rodziców w Indianie. Mają pięć akrów ziemi i staw. Raj dla dziewczynek.

— Zamierzasz wziąć urlop?

— Dwa tygodnie w przyszłym miesiącu.

Denise wyczerpała swój zestaw pytań. Don Armour siedział pochylony, z dłońmi wciśniętymi płasko między uda. Siedział tak bardzo długo. Z boku mogła obserwować, jak pod maską beznamietności zaczyna prześwitywać jego znajomy szyderczy uśmieszek; wyglądał jak człowiek,

który nikomu nie przepuści okazywania prawdziwego zainteresowania lub współczucia. Nie przyszło jej do głowy, że Don Armour uśmiechał się z zażenowania oczywistością prób zdobycia jej sympatii i przestarzałości swoich metod podrywu. Nie pomyślała, że jego wczorajsze zachowanie przy beziku było przedstawieniem odegranym specjalnie dla niej. Nie przyszło jej do głowy, że domyślił się jej podsłuchiwanie w łazience i że chciał być usłyszany. Nie rozumiała, że podstawą funkcjonowania Dona Armoura było uzalanie się nad sobą i że w ten sposób ustrzelił już wiele dziewcząt przed Denise. Nie pomyślała, że od dawna — od czasu, gdy pierwszy raz uściśnieli sobie ręce — kombinował, jak się dobrać do jej cipki. Nie przyszło jej do głowy, że odwracał wzrok nie dlatego, że jej uroda wywoływała w nim ból, ale dlatego, że Zasada numer 1 w każdym poradniku reklamowanym na ostatnich stronach męskich czasopism („Jak sprawić, żeby za tobą SZALAŁA — niezawodne!”) głosiła, iż należy ją ignorować. Nie wiedziała, że różnice klasy i okoliczności, które w niej wywoływały dyskomfort, dla Dona Armoura były wyzwaniem: że mogła być obiektem, którego pragnął jako luksusu, albo że dla tego uzalającego się nad sobą mężczyzny z niepewną posadą spanie z córką szefa, jego szefa, mogło dostarczyć wielorakiej satysfakcji. Nic takiego nie wpadło do głowy Denise ani wtedy, ani później. Po dziesięciu latach wciąż czuła się odpowiedzialna.

To, czego Denise była świadoma tego popołudnia, to problemy. Problemem było to, że Don Armour chciał się do niej dobrać, ale nie mógł. To, że przez przypadek, urodziwszy się z takich, a nie innych rodziców, miała w życiu wszystko, podczas gdy mężczyzna, który jej pragnął, miał znacznie mniej — ta nierówność była ogromnym problemem, ponieważ zaś to ona miała wszystko, do niej należało jego rozwiązanie. Każde jednak słowo otuchy, które przychodziło jej do głowy, każdy jej gest solidarności, który potrafiła sobie wyobrazić, wydały jej się protekcyjne.

Odczuwała problem fizycznie, całym ciałem. Nadmiar talentów i okazji życiowych, w porównaniu do Dona, sprawiał jej niemal fizyczny dyskomfort — niezadowolenie, od którego mogła odwrócić uwagę, szczypiąc się we wrażliwe miejsca ciała, ale zdecydowanie nie mogła go w ten sposób usunąć.

Po lunchu poszła do magazynu, gdzie w sześciu stalowych pudłach z ciężkim wiekiem, przypominającym eleganckie wersje kontenerów na śmieci, przechowywano oryginały schematów sygnałowych. Po latach gromadzenia papierowe teczki w pudłach zaczęły pękać w szwach od wszystkich zagubionych schematów schowanych w ich wybrzuszonych głębszych zakamarkach; Denise otrzymała ambitne zadanie przywrócenia wszystkiemu ładu i porządku. Kreślarze odwiedzający magazyn kręcili się koło niej, gdy Denise poprawiała nazwy na folderach i odgrzebywała zagubione projekty. Największy pojemnik był tak głęboki, że musiała położyć się na brzuchu na pokrywie sąsiadującego pudła, gołymi nogami dotykając zimnego metalu i sięgnąć w głąb oburącz aż do dna. Rzuciła wydobyte teczki na ziemię i zanurkowała po kolejne. Gdy wynurzyła się, aby zaczerpnąć powietrza, zobaczyła, że przy pojemniku klęczy Don Armour.

Jego ramiona, umięśnione jak u wioślarza, napinały materiał swetra. Nie wiedziała, jak długo już tu był i czego szukał. W tej chwili przeglądał złożony w harmonijkę schemat welinowy instalacji elektrycznej dla wieży sygnałowej linii McCook, przy słupie milowym 101.35. Wykres został naszkicowany odręcznie przez Eda Alberdinga w 1956 roku.

— Ed był jeszcze dzieciakiem, kiedy to rysował. Piękna rzecz.

Denise zeszła na dół, wygładziła spódniczkę i otrzepała się z kurzu.

— Nie powinienem mu tak dokuczać — ciągnął Don. — Ma talent, którego mnie brak.

Zdawał się myśleć o Denise dużo mniej, niż ona myślała o nim. Rozłożył następny schemat, ona

zaś stała, przyglądając się z góry chłopięcym lokom jego grafitowych włosów. Podeszła krok bliżej i pochyliła się nad nim nieco, przesłaniając mu widok swoim biustem.

— Trochę zasłaniasz mi światło — powiedział.

— Chciałbyś zjeść ze mną obiad?

Westchnął ciężko i przygarbił plecy.

— Powinienem pojechać do Indiany na weekend.

— W porządku.

— Pozwól mi się nad tym zastanowić.

— Dobrze, zastanów się.

Powiedziała to obojętnym tonem, ale trzęsły jej się nogi, kiedy szła w kierunku damskiej toalety. Zamknęła się w kabinie, usiadła i zaczęła się zamartwiać, gdy tymczasem na zewnątrz zadźwięczał dzwonek windy, z której wyjechał, a potem do niej wjechał, wózek z popołudniowymi przekąskami. Jej niepokój nie miał żadnej treści. Jej oczy po prostu zatrzymały się na czymś, chromowanym zamku na drzwiach, a może na kawałku chusteczki na podłodze i w następnej chwili wpatrywała się w to już od pięciu minut i nie myślała o niczym. Niczym. Niczym.

Pięć minut przed końcem pracy sprzątała w przechowalni, gdy zza jej ramienia wyłoniła się szeroka twarz Dona Armoura. Jego powieki opadały marzycielsko za zasłoną okularów.

— Denise — powiedział — pozwól, że zabiorę cię na kolację.

— Dobrze — kiwnęła szybko na zgodę.

W niespokojnej sąsiedniej dzielnicy na północ od centrum miasta, zamieszkaney głównie przez czarną biedotę, mieścił się staroświecki bar, w którym często bywał Henry Dusinger i jego aktorska ferajna. Denise nie miała ochoty na nic poza mrożoną herbatą i frytkami, ale Don Armour zamówił zestaw z hamburgerem i koktajl mleczny. Zauważyła, że ma posturę żaby. Gdy pochylał się nad jedzeniem, głowa chowała mu się w ramionach. Przeżuwał powoli, jakby z ironią. Rzucił mdłe uśmiechy w różnych kierunkach, jakby z ironią. Poprawiał okulary na nosie palcami, których paznokcie były obgryzione do żywego mięsa.

— Nigdy bym tutaj nie przyszedł — powiedział.

— Akurat ten kwartał jest bezpieczny.

— No tak, dla ciebie owszem, jest. Ale miejsce potrafi wyczuć człowieka, który wie, co to kłopoty. Jeśli tego nie rozumiesz, zostawi cię w spokoju. Tyle że ja wiem, co to są kłopoty. Gdybym pojawił się na takiej ulicy mając tyle lat, co ty teraz, przytrafiłoby mi się coś paskudnego.

— Nie rozumiem dlaczego.

— Tak już po prostu jest. Spojrzałbym przed siebie i nagle stanęliby przede mną trzej obcy, którzy nienawidziliby mnie z całych sił. Z wzajemnością. To jest świat, którego szczęśliwa i przedsiębiorcza osoba po prostu nie dostrzega. Czeka, aż zjawi się ktoś taki jak ja, żeby spuścić mi ostre bęcki. Wyczuwa mnie na kilometr.

Don Armour prowadził wielkiego amerykańskiego sedana podobnego do wozu jej matki, tylko starszego. Cierpliwie wymanewrował nim na główną drogę i powoli ruszył na zachód, bawiąc się pokładaniem na kierownicy („jestem powolny; mój samochód jest stary”), gdy inni kierowcy mijali go po obu stronach z rykiem silników.

Denise pokierowała go do domu Henry’ego Dusingera’a. Gdy dotarli do schodów na ganku, ponad zabitą dechami stacją kolejową wciąż jeszcze świeciło słońce, teraz już nisko na zachodzie. Don Armour spojrział na otaczające drzewa, jakby były lepsze, kosztowniejsze w tej części

przedmieścia. Denise popchnęła zewnętrzne drzwi, zanim zdała sobie sprawę, że te wewnętrzne są otwarte.

— Lambert? Czy to ty? — Z mroku salonu wynurzył się Henry Dusingberre. Jego skóra była bardziej woskowa niż zwykle, oczy bardziej wylupiaсте, zęby jakby większe. — Lekarz mojej matki odesłał mnie do domu — powiedział. — Chciał się mnie pozbyć. Myślę, że za dużo miał do czynienia ze śmiercią.

Don Armour szedł w kierunku swojego wozu z opuszczoną głową.

— Kim jest ten niesamowity kolos? — zapytał Dusingberre.

— Kolega z pracy — odparła Denise.

— Cóż, nie możesz go tu zaprosić, przykro mi. Nie będę przyjmował kolosów w moim domu. Musicie sobie znaleźć inne miejsce.

— Masz co jeść? Na pewno możesz zostać sam?

— Jasne, biegnij już. Sam powrót sprawił, że czuję się lepiej. I ja, i ów lekarz byliśmy dość zakłopotani stanem mojego zdrowia. Najwyraźniej, drogie dziecko, nie zostało mi ani trochę białych krwinek. Ten człowiek trząsał się ze strachu. Był przekonany, że umrę natychmiast, właśnie w jego gabinecie. Lambert, ależ mi go było żal! — czarna dziura wesołości otwarła się w twarzy chorego mężczyzny. — Próbowałem mu wytłumaczyć, że potrzeby moich białych krwinek są nieznaczące, ale upierał się, żeby traktować mnie jak medyczną osobliwość. Zjadłem lunch z mamą i wziąłem taksówkę na lotnisko.

— Jesteś pewien, że dobrze się czujesz?

— Tak. Idź, masz moje błogosławieństwo. Bądź lekkomyślna. Ale nie w moim domu. Idź już.

Nie było mądrze zjawić się z Donem Armourem w domu przed zapadnięciem zmroku, pod czujnymi i ciekawskimi spojrzeniami Rootów i Dribletów co chwila pojawiających się na ulicy, dlatego Denise poleciła mu stanąć przy podstawówce i tam poprowadziła go na łąkę za szkołą. Usiedli wśród elektronicznej menażerii owadziego bzyczenia, genitalnej intensywności niektórych wonnych krzaków, w gasnącym ciepłe ładnego lipcowego dnia. Don Armour otoczył ramionami jej brzuch i przyłożył policzek do jej piersi. Słuchali cichego pykania małych fajerwerków.

Już w jej domu, po zmroku, w mroźnym podmuchu klimatyzacji, próbowała poprowadzić go szybko ku schodom na górę, ale Don zapalił cygaro w kuchni, a potem zasiedział się w jadalni. Denise odnosiła niesłuszne wrażenie, że jej dom jest wyraźnie wystawny. Chociaż jej rodzice nie byli bogaci, matka tak bardzo pragnęła pewnego poziomu elegancji i pracowała tak ciężko, aby to osiągnąć, że teraz dom w oczach Dona wyglądał jak mieszkanie bogaczy. Nie bardzo chciał chodzić po dywanie, zatrzymał się i uważnie obejrzał — jak chyba nikt inny przed nim — talerze od Waterforda i salaterki deserowe, które Enid trzymała na pokaz w kredensie. Jego wzrok padał na kolejne obiekty — pozytywki, sceny z ulic Paryża, dopasowane i obite pięknym sukniem meble — tak, jak zatrzymały się kiedyś na ciele Denise — czy to było dzisiaj? Dzisiaj podczas lunchu?

Włożyła swoją dużą dłoń w jego znacznie większą, zaplotła palce wokół jego palców i pociągnęła go w kierunku schodów.

W sypialni, klęcząc przed nią, chwycił ją dłońmi za biodra i przycisnął usta do jej ud, a potem tam, wszędzie; czuła, jakby wróciła do dziecięcego świata baśni braci Grimm i C. S. Lewisa, gdzie jeden dotyk mógł wszystko przemienić. Jego ręce uczyniły biodra Denise biodrami kobiety, jego usta uczyniły uda Denise udami kobiety, a „tam” Denise — cipką. Na tym polegała korzyść z bycia pożądaną przez kogoś starszego — nie czuć się bezpłciową marionetką, udać się na wycieczkę z przewodnikiem po własnej morfologii, zrozumieć jej użyteczność dzięki osobie, dla której to była nie

nowina.

Chłopcy w jej wieku chcieli czegoś, ale chyba nie wiedzieli dokładnie czego. Chłopcy w jej wieku pragnęli mniej więcej, w przybliżeniu. Ona miała za zadanie — a rolę tę odegrała na niejednej marnej randce — pomóc im w sprecyzowaniu pragnień, rozpiąć sobie bluzkę i zasugerować im skonkretyzowanie mglistych wyobrażeń.

Don Armour chciał jej dokładnie całej, centymetr po centymetrze. W jego oczach tworzyła doskonałą całość. Zwykle posiadanie ciała nigdy jej nic nie dawało, ale gdy dostrzegła w nim coś, czego sama mogłaby pragnąć — wystarczyło, by wyobraziła sobie, że to ona, a nie Don Armour klęczy przed tym ciałem, pożądanie różnych jego części — fakt jego posiadania wydał się jej jakoś bardziej wybaczalny. Miała to, czego oczekiwał od niej mężczyzna. W jego zachowaniu nie było niepokoju, tylko podziw dla niej.

Kiedy zsunęła stanik, Don pochylił głowę i zamknął oczy.

— Co się stało?

— Taka jesteś piękna, że można umrzeć z rozkoszy.

O tak, to jej się podobało.

Uczucie, gdy wzięła go w swe ręce, było pokazem przedpremierowym chwili, gdy kilka lat później, jako młoda kucharka, po raz pierwszy wzięła do ręki trufle, foie gras czy woreczki z ikrą.

Na osiemnaste urodziny Denise przyjaciele z teatru podarowali jej Biblię z wydrażoną dziurą, w której znajdował się napastrzek seagramu i trzy prezerwatywy cukierkowego koloru, które w tej chwili się przydały.

Głowa Dona Armoura wisząca nad nią była głową lwa, jak latarnia z dyni. Gdy doszedł, zaryczał. Jego cichnące jęki nakładały się na siebie, zlewały. Och, och, och, och. Nigdy nie słyszała czegoś takiego.

Była też krew, jako dodatek do bólu, który był naprawdę okropny i odwrotnie proporcjonalny do przyjemności, jaką odczuwała głównie w swojej głowie. W ciemności, gdy ze schowka na brudną bieliznę w korytarzu wyciągnęła zużyty ręcznik, uniosła do góry pięść w geście zwycięstwa. Straciła dziewictwo przed ukończeniem college'u.

Nieco mniej wspaniała była obecność wielkiego i trochę jakby zakrwawionego mężczyzny w jej łóżku. Było to jednoosobowe łóżko, jedyne, w którym kiedykolwiek spała, a teraz była bardzo zmęczona. Może dlatego właśnie zrobiła z siebie idiotkę, stając na środku pokoju, zawinięta w ręcznik, i zalewając się nagle łzami.

Uwielbiała Dona Armoura za to, że wstał, objął ją i nie obchodziło go, iż jest dzieckiem. Położył ją do łóżka, znalazł dla niej górę od pizamy i pomógł jej się ubrać. Klęcząc przy łóżku, okrył ją prześcieradłem i głaskał jej głowę, tak jak pewnie głaskał często swoje córki. Robił to, dopóki niemal nie zasnęła. Wtedy zasięg jego głaskania rozszerzył się na regiony zakazane u jego córek. Próbowwała pozostać w połowicznym uśpieniu, ale dobierał się do niej gwałtowniej, bardziej boleśnie. Wszystko, co robił, bolało lub łaskotało, a gdy w końcu odważyła się zaskomleć, po raz pierwszy doświadczyła, jak ręce mężczyzny napierają na jej głowę, przyciągając ją w dół.

Na szczęście gdy już skończył, nie próbował zostać na noc. Wyszedł z pokoju, a Denise leżała absolutnie nieruchoma, nasłuchując, co robi i czy zamierza wrócić. Wreszcie — tymczasem chyba się trochę zdrzemnęła — usłyszała kliknięcie zasuw drzwi frontowych i za chwilę buczenie silnika jego ogromnego wozu.

Spała aż do południa, a potem wzięła prysznic. Stała w kabinie w łazience na parterze, usiłując zrozumieć, co właściwie zrobiła, gdy znowu usłyszała szcęk przy drzwiach frontowych, a potem

głosy.

— Denise, nie zjadłaś w ogóle obiadu, który ci zostawiłam! — powiedziała Enid. — Wygląda, jakbyś nie tknęła ani kawałeczka.

— Myślałam, że wracacie dopiero jutro.

— Lake Fond du Lac nas zawiodło, spodziewaliśmy się czegoś innego — odparła Enid. — Nie wiem, co sobie wyobrażali Dale i Honey, ale to wielkie nic.

U podstawy schodów stały dwie torby podróżne. Denise przebiegła obok nich i pognęła do swojej sypialni. Opakowania po prezerwatywach i krwawe smugi na prześcieradle widoczne były od progu. Zamknęła za sobą drzwi.

Reszta lata była stracona. Czuła się samotna, w pracy i w domu. Ukryła zakrwawione prześcieradło i ręcznik w swojej szafie i za wszelką cenę chciała coś z nimi zrobić. Enid była z natury wścibska i miała miliardy dodatkowych synaps, których używała do takich zadań, jak obserwacja, kiedy jej córka ma okres. Dlatego Denise miała nadzieję ujawnić przepraszająco zrujnowane prześcieradło i ręcznik w odpowiednim momencie, za dwa tygodnie, ale Enid miała najwyraźniej wystarczająco dużo mocy przerobowej w mózgu, aby policzyć zapasową pościel.

— Zniknął jeden z moich dobrych ręczników z monogramem.

— O kurczę. Zostawiłam go na basenie.

— Denise, dlaczego musiałaś wziąć właśnie dobry ręcznik z monogramem, skoro mamy tyle innych? I w dodatku właśnie ten musiałaś zgubić! Dzwoniłaś na basen?

— Wróciłam tam i szukałam.

— To bardzo drogie ręczniki.

W życiu nie popełniłaby pomyłki, do której teraz usiłowała się przyznać. niesprawiedliwość tej sytuacji byłaby mniej gorzka, gdyby służyła przyjemności — gdyby Denise mogła pójść do Dona Armoura, obrócić to wszystko w żart i znaleźć pocieszenie w jego ramionach. Ale nie kochała go ani on nie kochał jej.

W pracy przyjazne zachowanie innych kreślarzy było podejrzane — zdawało się zmierzać ku temu, żeby ją przerznąć. Don Armour był zbyt zakłopotany lub zbyt dyskretny, żeby choćby spojrzeć jej w oczy. Trawił dni w odrętwieniu, zamartwiając się sprawą Wrothów, był nieprzyjemny dla wszystkich dookoła. W pracy Denise nie miała nic oprócz pracy, ale teraz jej robota wydawała się głupia i ciężka. Teraz jej nie znosiła. Pod koniec dnia cała twarz i szyja bolały od wstrzymywanych łez i pracy w tempie, które potrafiłaby utrzymać tylko osoba pracująca z radością.

To właśnie człowieka czekało, pomyślała, gdy kierował się impulsem. Była zadziwiona, że zastanawiała się nad tym przez całe dwie godziny. Zasmakowała w oczach i ustach Dona Armoura, uznała, że jest mu winna to, czego chce — takie swoje myśli pamiętała. Przyszła jej też do głowy grzeszna i kusząca zarazem możliwość (mogłabym dzisiejszej nocy stracić dziewictwo!) i skwapliwie skorzystała z nadarzającej się sposobności.

Była zbyt ambitna, aby przyznać się przed samą sobą, a już zwłaszcza przed Donem Armourem, że go nie pragnęła. Była zbyt niedoświadczona, aby po prostu rzec: „Przykro mi, to pomyłka”. Czuła się odpowiedzialna. Czuła, że powinna dać mu więcej tego, czego chciał. Podejrzewała, że romans, gdy już podjęto się trud jego rozpoczęcia, będzie trwał przez jakiś czas.

Cierpiała z powodu swojej niechęci. Szczególnie pierwszy tydzień, gdy głośno trenowała zaproponowanie Armourowi kolejnego spotkania w piątkowy wieczór. Pod koniec rozboleła ją gardło, ale Denise była komandoską. Spotykała się z Donem Armourem przez trzy kolejne piątki, mówiąc rodzicom, że umówiła się z Kennym Kraikmeyerem. Don zabrał ją na kolację do restauracji

rodzinnej w pasażu handlowym, a potem do swojego lichego, małego domku w wietrznych rejonach jednego z pięćdziesięciu małych miasteczek, które St. Jude pochłonęło, rozrastając się. Wstydził się swojego domu tak bardzo, że nie chciał tam wracać. Żaden dom na przedmieściu, na którym mieszkała Denise, nie miał tak niskich sufitów i tak lichych sprzętów, drzwi zbyt cienkich, żeby mogły się zamknąć z trzaśnięciem, okiennic i framug z plastiku. Żeby ukoić swojego kochanka i sprawić, by przestał gadać na temat, który się jej zupełnie nie podobał (porównanie jej i jego życia), a także aby wypełnić jakoś te kilka godzin, które inaczej mogłyby stać się dość niezręcznym czasem, Denise ciągnęła go na wersalkę w jego zagraconej piwnicy i przywoływała swój perfekcjonizm, aby zapoznać się z całym światem nowych umiejętności.

Don Armour nigdy nie powiedział, jak wyjaśnił swojej żonie, że nie przyjedzie w weekend do Indiany. Denise nie mogłaby wykrztusić z siebie nawet jednego pytania o jego żonę.

Zniosła w milczeniu krytykę ze strony matki za jej kolejny błąd, którego normalnie by nigdy nie popełniła: nienamoczenie zakrwawionego prześcieradła w zimnej wodzie niezwłocznie po zaplamieniu.

W pierwszy piątek sierpnia, zaraz po tym, jak rozpoczął się dwutygodniowy urlop Dona Armoura, oboje zawrócili do biura i zamknęli się w magazynie. Pocałowała go i położyła jego ręce na swoich piersiach, usiłując pokierować jego palcami, ale jego ręce chciały znaleźć się na jej ramionach i popchnąć ją w dół, na kolana.

Sperma dostała się jej do nosa.

— Przychodzisz do pracy z katarem? — zapytał kilka minut później ojciec, gdy wyjeżdżali poza miasto.

W domu Enid uraczyła ich wieściami, że Henry Dusenberre („twój przyjaciel”) umarł w szpitalu St. Luke w środową noc. Denise czułaby się może jeszcze bardziej winna, gdyby nie odwiedziła Dusenberre’a w jego domu w ostatnią niedzielę. Zastała go w stadium intensywnej irytacji z powodu dziecka sąsiadów.

— Skoro ja mogę żyć bez białych krwinek — powiedział — to czy oni mogliby zamknąć te cholerne okna? Mój Boże, ależ ten dzieciak ma silne płuca! Pewnie są dumni z tych jego płuc. Podejrzewam, że to jak z tymi motocyklistami, którzy zdejmują tłumiki. Żłudne, hałaśliwe przedłużenie męskości.

Czaszka i kości Dusenberre’a bardziej niż dotychczas próbowały się przebić przez skórę. Rozmawiał z nią o kosztach wysyłki stugramowej paczki. Przytoczył Denise zawiłą i nieprawdziwą historię o oktoronce, z którą kiedyś miał krótki romans („Jeżeli byłem zaskoczony, że ona jest biała tylko w siedmiu ósmych, to wyobraź sobie jej zdziwienie, że ja jestem tylko w siedmiu ósmych heteroseksualistą). Opowiadał o swej życiowej krucjacie na rzecz pięćdziesięciowatowych żarówek („sześćdziesiąt to za jasno” mówił, „a czterdzieści — zbyt ciemno”). Przez całe lata żył w towarzystwie śmierci i radził sobie z tym faktem, bagatelizując go. Wciąż jeszcze potrafił wydobyć z siebie w miarę szalony śmiech, ale na końcu paniczna walka o utrzymanie błędnego nastroju wypadła żałośnie jak każda inna. Gdy Denise pożegnała się z nim i pocałowała na do widzenia, chyba wydała mu się kimś innym. Uśmiechnął się ze spuszczonego wzrokiem, jak gdyby był jakimś szczególnym dzieckiem, którego urodę należy podziwiać i nad którego tragiczną sytuacją należy zapłakać.

Nigdy więcej Denise nie zobaczyła się z Donem Armourem.

W poniedziałek szóstego sierpnia, po lecie kompromisów, Hillard i Chaunej Wrothowie osiągnęli porozumienie ze związkami zawodowymi kolejarzy. Związki uczyniły ogromne ustępstwa wobec obietnicy mniej paternalistycznego, a bardziej innowacyjnego zarządzania, tym samym osładzając

oferę przetargową Wrothów dla Midland Pacific, 26 dolarów za akcję, możliwością zaoszczędzenia w krótkim czasie około 200 milionów dolarów. Zarząd Midpaca nie chciał głosować oficjalnie jeszcze przez dwa kolejne tygodnie, ale sprawa była już przesądzona. Pośród chaosu z biura prezesa nadeszło oficjalne pismo o zwolnieniu z pracy wszystkich wakacyjnych pracowników, z dniem 17 sierpnia, czyli od piątku włącznie.

Ponieważ poza Denise w kreślarni nie było żadnych kobiet, jej koledzy wyprosilili u sekretarki Naczelnego Inżyniera Sygnałowego, że upiecze ciasto na pożegnanie. Poczęstowali nim Denise ostatniego dnia jej pracy.

— Myślę, że osiągnęliśmy ogromny sukces — stwierdził Lamar z pełną buzią. — W końcu cię zmusiliśmy do przerwy na kawę.

Laredo Bob otarł oczy chusteczką wielkości poszewki na poduszkę.

Tego wieczoru w samochodzie Alfred powiedział jej komplement.

— Sam Beuerlein mówi, że jesteś najlepszym pracownikiem, jakiego kiedykolwiek widział.

Denise nie odpowiedziała.

— Wywarłaś ogromne wrażenie na tych mężczyznach. Otworzyłaś im oczy na to, że kobieta też potrafi wiele. Nie chciałem ci przedtem mówić, ale chłopcom nie bardzo podobał się pomysł pracowania przez lato z kobietą. Myślę, że spodziewali się dużo gadania i niewiele konkretnego.

Cieszył ją ojcowski podziw, ale jego życzliwość, podobnie jak uprzejmość kreślarzy, którzy nie byli Donem Armourem, przestała do niej docierać. Zwaliała się na jej ciało, próbując je jakoś wykorzystać, i ciało Denise odpowiedziało buntem.

Denise — uu-czemu-robisz-to-co-robisz?

— W każdym razie — ciągnął ojciec — teraz posmakowałaś prawdziwego życia.

Cieszyła się na myśl, że będzie chodziła do szkoły tuż obok domu Gary'ego i Caroline, dopóki nie przyjechała do Filadelfii. Ich ogromna rezydencja na Seminole Street była jak dom, ale bez domowych smutków, a Caroline, której uroda sprawiała, iż sama myśl o rozmawianiu z nią zapierała dech w piersi Denise, nieustannie ją zapewniała, że ma pełne prawo wpadać w szal za sprawą swej matki. Mimo to pod koniec pierwszego semestru zauważyła, że na trzy wiadomości od Gary'ego na sekretarce oddzwania (raz, jeden jedyny dostała wiadomość od Dona Armoura, ale nie zadzwoniła do niego). Zorientowała się, iż odrzuca oferty Gary'ego, żeby przywiózł ją z jej akademika do domu, a potem odwiózł z powrotem po obiedzie. Tłumaczyła się nauką, a potem zamiast wkuwać, oglądała telewizję z Julią Vrais. Potrójny sukces poczucia winy: czuła się paskudnie, okłamując Gary'ego, jeszcze gorzej z powodu zaniedbywania pracy, a najgorzej dlatego, że przeszkadzała Julii. Denise w razie czego zawsze mogła zarwać nockę, ale Julia po dziesiątej robiła się do niczego. Julia nie miała ani steru, ani żagla. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego jej zestaw przedmiotów na semestr jesienny składał się z wprowadzenia do historii Włoch, wprowadzenia do historii Rosji, religii Wschodu i teorii muzycznej; oskarżała Denise o korzystanie z pomocy zewnętrznej w zestawianiu akademickiej zbilansowanej diety złożonej z angielskiego, historii, filozofii i biologii.

Denise ze swej strony czuła zazdrość o Juliowych „facetów” z college'u. Na samym początku obie były oblegane. Znakomita większość starszych i młodszych facetów, którzy podczas lunchu z hukiem stawiali swoje tacki na stoliku dziewcząt, pochodziła z New Jersey. Mieli twarze facetów w średnim wieku i głosy, jakby mówili przez megafon. Głośno porównywali programy zajęć z matematyki albo wspominali czasy, gdy pojechali do Rehoboth Beach i tam się „upodlili”. Potrafili zadać im tylko trzy pytania: (1) Jak masz na imię; (2) Z którego jesteś akademika? oraz (3) Czy chcesz przyjść do

nas na prywatkę w piątek? Denise czuła się zaskoczona gburowatością tego skrótowego egzaminu i nie mniej zdumiona fascynacją Julii tubylcami z Teaneck z ogromnymi zegarkami cyfrowymi i zrośniętymi brwiami. Julia przybierała optymistyczną pozę wiewiórki, która święcie wierzy, iż ktoś ma dla niej czerstwy chleb w kieszeni. Wychodząc z imprezy, wzruszała ramionami i mówiła Denise: „Idę z nim, bo ma prochy”. Denise zaczęła spędzać piątki samotnie, na nauce. Zyskała w ten sposób etykietkę Królowej Śniegu i prawdopodobnie lesbijski. Brakowało jej umiejętności Julii do rozplływania się ze szczęścia, gdy o trzeciej nad ranem chór drużyny piłkarskiej college’u wyśpiewywał jej imię za oknem.

— To takie krępujące — jęczała Julia w agonii szczęścia, wyglądając zza opuszczonych żaluzji. Faceci za oknem nie mieli pojęcia, jak bardzo ją uszczęśliwiali, i dlatego, zdaniem Denise, nie zasługiwali na nią.

Denise spędziła następne lato w Hamptons wraz z czterema rozwiązłymi przyjaciółkami z roku. Skłamała rodzicom o wszystkim, czego doświadczyła podczas owych wakacji. Spała na podłodze w salonie i zarabiała niezłe pieniądze jako pomywaczka i pomocnica w kuchni, pracując u boku ślicznej dziewczyny o nazwisku Suzie Sterling i zakochując się w pracy kucharza. Uwielbiała szalone godziny pracy, jej intensywność, piękno produktu końcowego. Kochała głęboką ciszę, która poprzedzała gwar. Dobry zespół był niczym druga rodzina, której wszyscy członkowie byli sobie równi w gorącym świątku kuchni. Każdy kucharz miał tę swoją dziwaczność ukrytą w przeszłości lub charakterze i nawet w najbardziej przepeconej wspólnocie każdy członek rodziny cieszył się prywatnością i autonomią. Denise uwielbiała to wszystko.

Ojciec Suzie Sterling, Ed, kilka razy podwiózł Suzie i Denise na Manhattan. Działo się to przed ową sierpniową nocą, gdy Denise wracała na rowerze do domu i prawie na niego wjechała, gdy tak stał tuż obok swojego bmw, pałac dunhilla i mając nadzieję, że będzie wracała sama. Ed Sterling był prawnikiem w biznesie rozrywkowym. Zadeklarował, że nie może bez niej żyć. Denise ukryła swój rower w krzakach przy drodze. Gdy wróciła po niego następnego dnia, już go nie było i potem musiała przysięgać jego właścicielowi, że na pewno przypięła go łańcuchem do tego samego słupa co zwykle. Powinno jej to dać do myślenia, na jak niebezpieczny teren się zapuszcza, ale Denise ekscytowało to, co zrobiła ze Sterlingiem, ta dramatycznie hydrauliczna fizjologia jego pożądania, i gdy wróciła we wrześniu do szkoły, zdecydowała, że college sztuk wyzwolonych nie dorasta gotowaniu do pięt. Nie widziała sensu w ślęczeniu nad papierami, które widywali potem wyłącznie jej wykładowcy; Denise pragnęła publiczności. Miała też pretensję o to, że college chciał w niej wywołać poczucie winy z powodu jej przywilejów, podczas gdy bardzo pobłażał pewnym grupom o określonej tożsamości. Denise czuła się już wystarczająco winna, dziękując uprzejmie. Niemal w każdą niedzielę jechała do Nowego Jorku tanią, powolną proletariacką spalinówką SEPTA, a potem kolejką New Jersey Transit. Znosiła Eda Sterlinga i jego paranoiczne jednokierunkowe rozmowy telefoniczne, zmiany godziny spotkania w ostatniej chwili, jego wieczną dekoncentrację i popisowe napady lęku, od których opadała szczęka. Przemagała wstyd i żal, gdy zabierał ją do tanich etnicznych restauracji w Woodside, Elmhurst i Jackson Heights, żeby nie zobaczył ich razem żaden jego znajomy (ponieważ, jak często jej powtarzał, przeciągając przy tym dłońmi po swoich gęstych jak futro nerek włosach, znał wszystkich na Manhattanie). Podczas gdy jej kochanek coraz bardziej zbliżał się do ostatecznego zbikowania i niemożności dalszego się z nią spotykania, Denise jadła steki, chińsko-kolumbijskie tamale, raki wielkości paznokcia, czerwone tajskie curry i wędzone na olsze rosyjskie węgorki. Piękno i doskonałość — cechy dobrego, niezapomnianego jedzenia — były warte każdego upokorzenia. Nigdy jednak nie przestała się czuć winna z powodu roweru i tego, jak upierała się, że przywiązała go do słupka.

Gdy po raz trzeci związała się z mężczyzną starszym od siebie dwukrotnie, wyszła za niego. Nie chciała uchodzić za miękka konserwatystkę. Zrezygnowała ze szkoły i poszła do pracy, przez rok oszczędzając pieniądze. Następne sześć miesięcy spędziła we Francji i we Włoszech, a potem wróciła do Filadelfii, aby gotować w zatłoczonej knajpie z rybą i makaronami przy Catharine Street. Gdy tylko załapała trochę umiejętności, zgłosiła się na kucharkę do Café Louche, wówczas najbardziej pasjonującej restauracji w całym mieście. Emile Berger przyjął ją z miejsca, ponieważ świetnie wyglądała i świetnie posługiwała się nożem. Już po tygodniu w rozmowach z nią zaczął narzekać na niefachowość wszystkich pracowników kuchni, wyłączając jego i Denise. Arogancki, pełen ironii, oddany Emile stał się jej azylem. Czowała się z nim niewiarygodnie dorosła. Już za pierwszym razem powiedział, że ma po dziurki w nosie instytucji małżeństwa, ale uprzejmie zabrał Denise do Atlantic City (według Barbery D'Alby była pijana, gdy się mu oświadczyła), aby „uczynić z niej uczciwą kobietę”. W Café Louche pracowali jak partnerzy, dzielił się z nią całym doświadczeniem. Szydłi ze swego pretensjonalnego starego rywala, Le Bec-Fin. Pod wpływem impulsu kupili trzypiętrową kamienicę na Federal Street, w mieszanej czarno-biało-wietnamskiej dzielnicy w pobliżu Rynku Włoskiego. Rozmawiali o smakach tak, jak marksiści dyskutowali o rewolucji.

Kiedy wreszcie Emile nauczył ją wszystkiego, co potrafił, Denise próbowała dla odmiany nauczyć jego paru rzeczy — na przykład odświeżmy menu, a może spróbujmy zrobić to z bulionem warzywnym i odrobiną kminku dla odmiany — i wpadła całym rozpędem na tę ścianę ironii i niewzruszonej opinii, którą uwielbiała tak długo, jak długo znajdowała się po jej weselszej stronie. Czowała, że jest bardziej utalentowana, ambitna i głodna niż jej siwowłosy mąż. Czowała, że na przemian tylko pracując i śpiąc, pracując i śpiąc, starzeje się w tempie tak gwałtownym, że niedługo przegoni Emile'a i dobieje wiekowo do swoich rodziców. Zamknięty krąg całodobowego domowego i restauracyjnego bycia razem przypominał jej do złudzenia dwuosobowy wszechświat jej rodziców. Miała popękane dłonie starej kobiety, wysuszoną pochwę starej kobiety, uprzedzenia i przekonania polityczne starej kobiety, także wstręt do młodych ludzi, ich konsumpcyjnej elektroniki i dykcji. Powiedziała sobie: „Jestem za młoda na to, żeby być taka stara”. Po czym jej wygnane do jaskini poczucie winy powróciło z krzykiem na skrzydłach zemsty, ponieważ Emile był wciąż tak jej oddany, jak wierny sobie i swoim niezmiennym zasadom, a poza tym to ona chciała zalegalizowania tego związku.

Ku obopólnej zgodzie odeszła z jego restauracji i zaciągnęła się do konkurenta, w restauracji Ardennes, która potrzebowała zastępcy szefa kuchni i która zdaniem Denise była lepsza od Café Louche we wszystkim poza sztuką bycia doskonałym bez okazywania włożonego w to wysiłku (lekkość i wirtuozeria były niezaprzeczalnie największym darem Emile'a).

Podczas pracy w Ardennes w Denise obudziło się pragnienie uduszenia młodej kobiety odpowiedzialnej za garmazerkę. Dziewczyna owa, Becky Hemerling, skończyła szkołę gastronomiczną. Miała falujące blond włosy, małe, płaskie ciało i jasną skórę, która nabiegała purpurą pod wpływem żaru kuchennego. Wszystko, co miało związek z Becky, wywoływało w Denise mdłości — jej gastronomiczna edukacja (Becky była snobistycznym samoukiem), zbytnia poufałość z co starszymi kucharzami (zwłaszcza z Denise), głośno wyrażane uwielbienie dla Jodie Foster, głupie teksty na T-shirtach, nadużywanie słowa „pieprzony” jako wzmacniacza, świadoma lesbijska solidarność z Latynosami i Azjatami w kuchni, generalizowanie na temat prawicowców, Kansas i Peorii, łatwość używania fraz w rodzaju „kolorowi mężczyźni i kobiety”, cała ta błyszcząca aura uprzywilejowania nabyta od wygrzewania się w pochwałach nauczycieli, którzy zapewne chcieliby być tak swobodni, represyjni i przy tym tak wolni od winy jak ona. „Co ta osoba robi w

mojej kuchni?” — zastanawiała się Denise. Kucharze nie powinni mieć przekonań politycznych. Kucharze byli mitochondriami ludzkości; mieli własne DNA, pływali w komórce i zasilali ją, ale nie byli do końca jej integralną częścią. Denise podejrzewała, że Becky Hemerling wybrała życie gastronomi ze względów politycznych: żeby pokazać, jaką jest twardzielką i jak doskonale daje sobie radę z chłopakami. Denise nie cierpiała tej motywacji tym bardziej, że tkwiło w niej trochę prawdy o niej samej. Hemerling patrzyła na nią w ten szczególny sposób, jakby sugerowała, iż ona, Hemerling, wie więcej niż Denise — sugestia jednocześnie denerwująca i trudna do obalenia. Podczas bezsennych nocy, leżąc u boku Emile’a, Denise wyobrażała sobie, że zaciska palce na szyi Hemerling, aż jej niebieskie, niebiesciutkie oczy wychodzą na wierzch, że wpycha kciuk w krtań Becky, aż usłyszy trzask.

Którejś nocy wreszcie zasnęła i śniła o tym, że dusiła Becky, a Becky nie miała nic przeciwko temu. Przeciwnie, błękitne spojrzenie Becky przyzwalało na dalsze działania. Dłonie dusicielki rozluźniły się i zaczęły wędrować po twarzy Becky, wzdłuż linii szczęki, za uszami, ku miękkiej skórze na jej skroniach. Usta Becky rozchyliły się, a oczy zamknęły w rozkoszy, gdy dusicielka rozchyliła jej nogi i wyciągnęła ku niej ramiona...

Denise nie pamiętała, żeby kiedykolwiek tak bardzo żałowała przebudzenia się ze snu. „Jeśli można tak czuć we śnie, w rzeczywistości musi być podobnie” — powiedziała sobie.

Ponieważ jej małżeństwo tonęło — stała się dla Emile’a jeszcze jedną z tych krzykliwych, goniących za modą karierowiczek z Ardenes, a on stał się dla niej rodzicem, którego zdradzała każdym wymawianym lub wstrzymywanym słowem — pocieszała się myślą, że jej problem z Emile’em polega na tym, że on jest mężczyzną, i ten koncept stępił nieco ostrze poczucia winy. Pomógł jej przy Oznajmieniu, które musiała zrobić, wypędził Emile’a z domu i przeciągnął przez pierwszą niesamowicie dziwną randkę z Becky Hemerling. Uczepiła się myśli, że jest homoseksualistką, i trzymała się jej kurczowo, co akurat na tyle uspiło jej wyrzuty sumienia, że pozwoliła, aby to Emile się wyprowadził, żeby ona wykupiła jego część i została. Mogła pozwolić sobie na przyznanie mu przewagi moralnej.

Niestety, zaraz po jego odejściu Denise zaczęła mieć przemyślenia. Wraz z Becky spędziły radosny i pouczający miesiąc miodowy, a potem zaczęły walczyć. Walczyły i walczyły. Ich walka, podobnie jak poprzedzający ją na krótko seks, stała się czymś w rodzaju rytuału. Kłóciły się nawet o to, dlaczego ze sobą walczą tak bardzo i czyja to wina. Ścierały się ze sobą w łóżku w środku nocy, czerpały z bezdennych zbiorników libido, nad ranem zaś miały pobitewnego kaca. Walczyły, walczyły i walczyły do utraty zmysłów. Kłóciły się w samochodzie, na schodach, w miejscach publicznych i chociaż często szczytowały w nabiegłych krwią na twarzy wrzaskach, trzaskaniu drzwiami, kopaniu ścian i załamywały się w spoconych paroksyzmach, pragnienie walki nie mijało na długo. Związało je ze sobą, przełamało ich wzajemną niechęć. Tak jak głos kochanki, jej włosy czy łuk biodra wywołuje potrzebę, aby przerwać wszystko i ją przelecieć, tak Becky miała cały asortyment prowokujących zagrań, które niezawodnie sprawiały, że serce Denise zaczynało walić jak młot. Najgorsze było stwierdzenie, że Denise w głębi duszy jest liberalną kolektywistką i stuprocentową lesbijką, która po prostu nie chce sobie tego uświadomić.

— Jesteś tak niesamowicie odcięta od samej siebie — mówiła Becky. — Wyraźnie jesteś lesbą. Wyraźnie widzę, że zawsze byłaś.

— Nie jestem niczym — odpowiadała Denise. — Jestem sobą.

Chciała przede wszystkim być osobą, niezależnym osobnikiem. Nie chciała należeć do żadnej grupy, a już na pewno nie do świątka ludzi z okropnymi fryzurami i dziwnymi problemami

dotyczącymi strojów. Nie chciała być zaszufładowana, nie chciała mieć „stylu życia”, dlatego wylądowała tam, gdzie zaczęła: pragnąc udusić Becky Hemerling.

Miała szczęście (z perspektywy zarządzania poczuciem winy), że sprawa rozwodowa rozpoczęła się, zanim stoczyła ostatnią, niezadowolającą walkę z Becky. Emile wyprowadził się do Waszyngtonu, gdzie został szefem kuchni w Hotelu Belinger, za całą tonę pieniędzy. Weekend Łez, gdy wrócił do Filadelfii z ciężarówką i gdy podzielili wszystkie wspólne dobra i zapakowali jego część, dawno minął, zanim Denise zdecydowała po doświadczeniach z Becky, że wcale nie jest lesbijką.

Odeszła z Ardennes i została szefem kuchni w Mare Scuro, nowej restauracji z adriatyckimi owocami morza. Przez rok dawała kosza wszystkim mężczyznom, którzy próbowali się z nią umówić, nie tylko dlatego, że jej nie interesowali (byli to głównie kelnerzy, dostawcy i sąsiedzi), lecz także dlatego, że obawiała się pokazać publicznie z mężczyzną. Bała się, że pewnego dnia Emile się dowie (albo ona będzie musiała mu powiedzieć, żeby nie dowiedział się przypadkiem), że zakochała się w innym mężczyźnie. Lepiej już było ciężko pracować i nie spotykać się z nikim. Życie miało jej zdaniem swego rodzaju aksamitny połysk. Gdy spoglądało się na siebie samego z jednej perspektywy, dostrzegało się dziwaczność, ale wystarczyło przesunąć nieco głowę i wszystko zaczynało wyglądać w miarę normalnie. Denise wierzyła, że poświęcając cały czas pracy, nie może nikogo skrzywdzić.

Pewnego jasnego majowego poranka Brian Callahan odwiedził ją w jej domu na Federal Street. Przyjechał swoim starym wielkim volvo koloru lodów pistacjowych. Jeśli ktoś chciał kupić stare volvo, bladozielony kolor był idealny, a Brian był osobą, która nie kupi stylowego samochodu w byle jakim kolorze. Teraz, gdy był bogaty, mógł sobie kupić każdy samochód i dać do przelakierowania, ale Brian, podobnie jak Denise, uznawał tego rodzaju wybory za oszustwo.

Gdy wsiadła do samochodu, zapytał, czy może zawiązać jej chustkę na oczach. Spojrzała na czarną bandanę, którą trzymał w dłoni, a potem na jego obrączkę.

— Zaufaj mi — rzekł. — To będzie fajna niespodzianka.

Jeszcze zanim sprzedał Eigenmelody za dziewiętnaście i pół miliona dolarów, Brian przechodził przez życie niczym golden retriever. Miał mięsistą, niezbyt przystojną twarz, ale miał też piękne niebieskie oczy, włosy w kolorze piasku i chłopiące piegi. Wyglądał jak były gracz w lacrosse z Haverford i w ogóle porządny facet, któremu nigdy nie przydarzyło się nic złego i którego nie chciałoby się rozczarować. Denise pozwoliła mu dotknąć swojej twarzy, jego ogromnym dłońmi dotknąć jej włosów, zawiązać chustkę, unieszkodliwić ją.

Silnik jego wozu zaśpiewał o wprawianiu w ruch kupy metalu. Brian włączył magnetofon i rozbrzmiały takty melodii jakiegoś kobiecego zespołu. Denise podobała się ta muzyka, ale nie było w tym nic dziwnego. Brian wydawał się skoncentrowany na melodii i nie robił niczego, co mogłoby się jej nie spodobać. Od trzech tygodni dzwonił do niej i zostawiał wiadomości („Hej, to ja” wypowiedziane niskim głosem). Denise czuła, że jego miłość nadjeżdża niczym pociąg na stację i podobało jej się to. Była tym podekscytowana. Nie myliła tego rozemocjonowania z podnieceniem (Hemerling wzbudziła w Denise wątpliwości co do natury jej własnych uczuć), ale mimowolnie pozwalała Brianowi, by się za nią uganiał. Na ten poranek wystroiła się odpowiednio, nie dając mu wielkich szans.

Brian zapytał, co sądzi o piosence.

— Hmm — wzruszyła ramionami, testując granice jego gorliwości w próbach zadowolenia jej. — Może być.

— Czuję się zaskoczony. Byłem przekonany, że ci się spodoba.

— Właściwie to rzeczywiście mi się podoba.

„O co mi chodzi?” — pomyślała.

Jechali po fatalnej ulicy, pełnej kolein i popękanego bruku. Przecięli tory kolejowe i przejechali po pofałdowanej zwirowej drodze. Wreszcie Brian zaparkował.

— Kupiłem prawo zakupu tego miejsca za dolara — powiedział — więc jeśli ci się nie spodoba, straciłem dolca.

Dotknęła dłonią chustki na oczach.

— Mam to teraz zdjąć?

— Nie. Jesteśmy prawie na miejscu.

Chwycił ją za ramię w niezobowiązujący sposób i poprowadził przez rozgrzany żwir do cienia. Czula zapach rzeki, ciszę jej bliskości, pochłaniający hałas wilgotny nurt. Usłyszała brzęk kluczy, otwieranie kłódki, skrzywienie wielkich zawiasów. Jej nagie ramiona i nogi ogarnął chłodny powiew przemysłowego powietrza z długo zamkniętego magazynu. Pachniało jaskinią, w której nie było niczego żywego.

Brian poprowadził ją przez cztery kondygnacje schodów, otworzył kolejne drzwi i wprowadził do cieplejszego pomieszczenia, gdzie echo odbijało się od ścian niczym na stacji kolejowej lub w okazałej katedrze. Powietrze smakowało pleśnią, która żywiła się pleśnią, która żywiła się pleśnią.

Gdy Brian ściągnął jej opaskę z oczu, natychmiast zrozumiała, gdzie się znajduje. W latach siedemdziesiątych Filadelfijska Kompania Elektryczna opuściła swoje elektrownie napędzane węglem, majestatyczne budowle, jak ta tutaj, na południe od Center City, które Denise zawsze podziwiała, przejeżdżając tędy. Pomieszczenie było przestronne i pełne światła. Sufit wysoki na osiemnaście metrów, gotyckie łuki wielkich okien wybitych w południowej i północnej ścianie. Betonowa podłoga była wielokrotnie łatana i podziurawiona głęboko przez materiał twardszy od cementu; wyglądała bardziej jak klepisko. Na środku stały resztki zewnętrznych szkieletów ogromnych kotłów turbinowych, które wyglądały jak świerszcze wielkości domu, z poodcinanymi kończynami i czułkami. Zniszczone czarne elektromotoryczne kloce pozbawione mocy. Od strony rzeki dostrzegła gigantyczne włazy, do których wrzucało się węgiel i wybierało popioły. Ślady już nieobecnych zsuwni, kanałów i schodów widniały jasnymi plamami na okopconych ścianach. Denise potrząsnęła głową.

— Nie możesz tu zrobić restauracji.

— Obawiałem się, że to powiesz.

— Stracisz pieniądze, zanim ja będę miała szansę stracić swoją część.

— Mogę dostać dofinansowanie z banku.

— Nie wspomnę nawet o azbestie i PCB, które wdychamy, rozmawiając tutaj.

— I tu nie masz racji — powiedział Brian. — To miejsce nie byłoby na sprzedaż, gdyby zakwalifikowało się na Superfundusz. Bez Superfunduszu PECO[13] nie może tego wyburzyć. Jest zbyt czyste.

— No to PECO ma pecha. — Denise podeszła do turbin, czując, że kocha to miejsce, bez względu na jego przydatność. Przemysłowa gangrena Filadelfii, gnijące uroki Warsztatu Świata, przetrwanie megaruin w mikroczasie: wyczuwała te nastroje, ponieważ przyszła na świat w rodzinie dwojga starszych ludzi, którzy trzymali wełniane rzeczy z kulkami naftalinowymi i staroświeckie żelazne przedmioty w wielkich pudłach w piwnicy. Chodziła do szkoły w świecie jasnej współczesności i

codziennie wracała do starszego, mrocznego świata.

— Nie da się tego ogrzać ani ochłodzić — powiedziała. — To koszmar ekonomiczny.

Brian obserwował ją intensywnie tym swoim psim spojrzeniem.

— Mój architekt mówi, że możemy zrobić podłogę wzdłuż całej południowej ściany okien. Wyjdziemy na jakieś piętnaście metrów. Damy szkło na pozostałych ścianach, pod spodem będzie kuchnia. Wyczyścimy turbiny na błysk, damy kilka lamp. Reszta zostanie po prostu taka, jaka jest.

— Wyrzucanie pieniędzy w błoto.

— Zauważ, że nie ma tu żadnych gołębi — ciągnął Brian. — Ani kałuż.

— Uzyskanie pozwolenia zajmie przynajmniej rok, następny rok przebudowa i jeszcze jeden na niezbędne inspekcje. To dużo czasu na płacenie za nic.

Brian odparł, że planuje otwarcie w lutym. Miał przyjaciół architektów, budowlańców i nie spodziewał się żadnych problemów z „L&K” — wzbudzającym strach miejskim Urzędem Licencji i Kontroli.

— Komisarz jest przyjacielem mojego ojca — powiedział. — Grają w golfa co czwartek.

Denise roześmiała się. Ambicja i kompetencja Briana „podbechtała ją”, mówiąc słowami jej matki. Spojrzała w górę na łukowate zwieńczenia okien.

— Nie wiem, jaki rodzaj potraw zamierzasz tu serwować.

— Coś dekadentckiego i niesamowitego — odparł. — Ale to twój problem.

Gdy wrócili do samochodu, którego zieloność współgrała z kępkami chwastów porastającymi pustą zwirową przestrzeń, Brian zapytał, czy zaplanowała już podróż do Europy.

— Powinnaś pojechać przynajmniej na dwa miesiące — powiedział. — Mam w tym swój ukryty motyw.

— Tak?

— Jeśli pojedziesz, ja też będę mógł tam wpaść na jakieś dwa tygodnie. Chciałbym spróbować tego, co będziesz jadła. Chcę się nauczyć twojego sposobu myślenia.

Powiedział to z rozbijającym egoizmem. Któż by nie chciał podróżować po Europie z piękną kobietą, która wiedziała, co chce jeść i jakie wino chce pić? Jeśli kto inny, nie on, miałby być tym szczęściarzem, Brian życzyłby mu z całej siły szczęścia, tak jak teraz spodziewał się, że sam zostanie tym szczęściarzem. Taki był ton jego słów.

Ta część Denise, która podejrzewała, że seks z Brianem będzie lepszy niż ze wszystkimi poprzednimi jej kochankami, zgodziła się pojechać do Europy na sześć tygodni i spotkać się z nim w Paryżu.

Druga, bardziej podejrzliwa część Denise zapytała:

— Kiedy przedstawiś mnie swojej rodzinie?

— Co byś powiedziała na następny weekend? Przyjeźdź do nas na Cape May.

Dzielnica Cape May w New Jersey składała się z grupy przeładowanych ozdobami wiktoriańskich rezydencji oraz modnie odrapanych pawilonów otoczonych przez szeregi nowych, jednakowych, obrzydliwych domów. Oczywiście rodzice Briana mieszkali w jednym z najlepszych, starych pawilonów. Za domem znajdował się basen w sam raz na wczesnoletnie weekendy, gdy ocean był jeszcze za zimny. Gdy Denise przybyła na miejsce, zastała Briana i jego córki leniwących się na tarasie, podczas gdy kobieta o włosach mysiego koloru, pokryta potem i rdzą, metalową szczotką atakowała stolik z kutego żelaza.

Denise myślała, że żona Briana będzie pełna ironii, stylowa, coś w rodzaju powalającej piękności.

Robin Passafaro nosiła żółte spodnie od dresu, czapkę z daszkiem, dżersejową bluzę Phillies w okropnym odcieniu czerwieni i obrzydliwe okulary. Wytarła dłoń o dresy i podała ją Denise. Powitanie było piskliwe i dziwnie formalne:

— Miło mi poznać — powiedziała i natychmiast wróciła do przerwanej pracy.

„Też cię nie lubię” — pomyślała Denise.

Sinéad, chuda śliczna dziesięciolatka, siedziała na trampolinie z książką na kolanach. Pomachała Denise. Erin, młodsza i pulchniejsza córka, miała słuchawki na uszach. Siedziała przy stoliku z pajdą chleba, w skupieniu wykrzywiając twarz. Zagwizdała cicho.

— Erin uczy się ptasiego zewu — powiedział Brian.

— Po co?

— Właściwie nie wiemy.

— Sroka — oznajmiła Erin. — Krik, krik, krik?

— Może już czas skończyć — powiedział Brian.

Erin ściągnęła słuchawki i pobiegła ku trampolinie, usiłując strącić siostrę do wody. Książka Sinéad niemal wpadła do basenu. Chwyliła ją elegancką dłonią.

— Tato!

— Kochanie, to jest trampolina, a nie czytelnia.

W szczotkowaniu Robin było jakieś nabuzowanie, przewijanie do przodu. Jej praca wydawała się jednocześnie celowa i pełna urazy. Denise czuła się przez to bardzo zdenerwowana. Brian także, ponieważ westchnął i zapytał żonę:

— Będiesz już kończyła?

— Chcesz, żebym przestała?

— Tak, byłoby miło.

— W porządku — Robin rzuciła szczotkę i ruszyła w kierunku domu. — Denise, czy mogę zaoferować ci coś do picia?

— Szklanekę wody, dziękuję.

— Erin, słuchaj — powiedziała Sinéad. — Ja będę czarną dziurą, a ty czerwonym karłem.

— Ja chcę być czarną dziurą — zawołała Erin.

— Nie, ja będę czarną dziurą. Czerwony karzeł zatacza kręgi i stopniowo jest wsysany przez potężne siły grawitacyjne. Czarna dziura siedzi tam w środku i czyta książkę.

— Czy na końcu się zderzymy? — spytała Erin.

— Tak — wtrącił się Brian — ale żadna informacja o tym nigdy nie przedostanie się do świata zewnętrznego. To będzie idealnie cicha kolizja.

Robin pojawiła się na tarasie w czarnym kostiumie jednocześnie. Niemal niegrzecznym gestem wręczyła gościowi szklanekę z wodą.

— Dziękuję — powiedziała Denise.

— Nie ma za co! — odparła Robin. Zdjęła okulary i zanurkowała po głębokiej stronie basenu. Pływała pod wodą, podczas gdy Erin obiegała basen, skrzecząc i piszcząc, co miało imitować umierającą gwiazdę klasy M lub S. Robin wynurzyła się po płytkiej stronie, naga w swej półślepocie. Bardziej teraz przypominała żonę Briana, jaką wyobrażała sobie Denise — włosy opadające falami na ramiona, błyszczące wysokie policzki i czarne brwi. Gdy wyszła z basenu, kropelki wody zgromadziły się na obszyciu jej kostiumu i spłynęły strużkami po niewygolonych włosach w pachwinach. Dawne, nierozwiązane zmieszanie ścisnęło krtań Denise niczym astma.

Poczuła, że musi wyrwać się stąd i coś ugotować.

— Pojechałam na bazar i kupiłam wszystko, co trzeba — powiedziała Brianowi.

— To trochę nie fair zaprzęgać gościa do pracy — odparł.

— Może, ale sama się zaoferowałam, a poza tym jesteś moim pracodawcą.

— No tak, oczywiście.

— Erin, teraz będziesz patogenem — oznajmiła Sinéad, wślizgując się do wody — a ja będę leukocytem.

Denise przyrządziła prostą sałatkę z czerwonych i żółtych pomidorków. Zrobiła także komosę ryżową z masłem i szafranem, steki z halibuta z kolorowym przybraniem z małży i opiekanych papryczek. Niemal skończyła, gdy przyszło jej do głowy zajrzeć pod foliowe przykrycia kilku pojemników w lodówce. Była tam mieszana sałata, sałatka owocowa, półmisek z kolbami kukurydzy i patelnia pełna (to w ogóle możliwe) parówek w boczku z serem.

Brian stał samotnie na tarasie i pijał piwo.

— W lodówce jest obiad — oznajmiła Denise. — Obiad już jest.

— Ouć! Pewnie Robin zrobiła... pewnie wtedy, gdy byłem z dziewczynkami na rybach.

— Cóż, jest tam cały obiad. Właśnie przygotowałam drugi — zaśmiała się Denise, naprawdę wściekła. — Czy wy w ogóle ze sobą rozmawiacie?

— Nie. To nie był nasz najlepszy dzień pod względem komunikacji. Robin miała coś do zrobienia przy swoim Projekcie Ogrodniczym i chciała to doprowadzić do końca. Musiałem ją stamtąd wyciągnąć na siłę.

— Cóż, pieprzę to.

— Posłuchaj — powiedział uspokajająco. — Zjemy teraz twój obiad, a jej zostanie na jutro. To wyłącznie moja wina.

— Domyślam się!

Znalazła Robin na drugiej werandzie, obcinając paznokcie u stóp Erin.

— Właśnie zdałam sobie sprawę, że ugotowałam obiad, a ty już jeden zrobiłaś. Brian nic mi nie powiedział.

Robin wzruszyła ramionami.

— Jasne.

— Nie, naprawdę, bardzo mi przykro z tego powodu.

— Jasne. Dziewczynki są podekscytowane tym, że gotujesz.

— Przykro mi.

— Jasne.

Przy obiedzie Brian zmuszał swoje nieśmiałe potomstwo do odpowiadania na pytania Denise. Za każdym razem gdy łapała je na tym, że się na nią gapiły, spuszczały wzrok i rumieniły się. Robin zjadła szybko, z pochyloną głową i określiła jedzenie jako „smaczne”. Nie było jasne, ile jej niezadowolenia jest skierowane przeciwko Brianowi, a ile przeciwko Denise. Poszła spać wkrótce po dziewczynkach, a nad ranem, gdy Denise wstała z łóżka, okazało się, że dawno wyszła na mszę.

— Mam pytanie: co byś powiedziała na podrzucenie mnie i dziewczynek do Filadelfii dziś wieczorem? Robin chciała wrócić wcześniej przez Projekt Ogrodniczy.

Denise zawahała się. Czowała, jakby Robin dosłownie wpychała ją w ramiona Briana.

— Jeżeli ci nie pasuje, to nie ma sprawy — powiedział. — Robin może pojechać autobusem i zostawić nam samochód.

Autobus? Autobus? Denise się roześmiała:

— Oczywiście, że nie. Odwiozę was. Jasne! — dodała, naśladowując Robin.

Na plaży, gdy słońce wypaliło metaliczne poranne przybrzeżne chmury, przyglądała się wraz z Brianem, jak Erin skacze przez fale przyboju, a Sinéad kopie płytki grób.

— Ja będę Jimmym Hoffą, a wy mafią — powiedziała.

Pochowali dziewczynkę w piasku, wygładzając wybrzuszenia jej kopca pogrzebowego, ubijając nierówności ciała pod spodem. Kopczyk był geologicznie aktywny, doznawał lekkich wstrząsów, od których na powierzchni pojawiała się pajęczyna pęknięć, gdy brzuch Sinéad unosił się i opadał w oddechu.

— Dopiero teraz sobie uświadomiłem, że byłaś żoną Emile’a Bergera.

— Znasz go?

— Nie osobiście, ale znam Café Louche. Często tam jadałem.

— To była nasza restauracja.

— Dwie wielkie osobowości w jednej małej kuchni.

— Uhm.

— Tęsknisz za nim?

— Rozwód był dla mnie okropnym nieszczęściem.

— To jest odpowiedź — powiedział Brian — ale nie na moje pytanie.

Sinéad powoli niszczyła swój sarkofag, wystawiając duże palce u stóp na światło słoneczne, wypychając na wierzch kolana, różowe paluszki. Erin wskoczyła w papkę z piasku i wody, podniosła się i znowu cisnęła w muł.

„Mogłabym je polubić” — pomyślała Denise. Tego wieczora po powrocie do domu zadzwoniła do matki i wysłuchiwała, jak każdej niedzieli, litanii Enid o grzechach Alfreda przeciwko zdrowemu podejściu do życia, zdrowemu stylowi życia, poleceniom lekarzy, rytmom okołodobowym, ustalonym zasadom pionowości, zdroworozsądkowym zasadom dotyczącym drabin i schodów, przeciwko wszystkiemu, co w naturze Enid radosne i optymistyczne. Po piętnastu wyczerpujących minutach matka wreszcie zapytała:

— No, a co u ciebie?

Od czasu rozvodu Denise obiecała sobie, że będzie mniej matkę okłamywała, przyznała się więc do godnych pozazdrosczenia planów wyjazdowych. Ominęła tylko fakt, że będzie podróżowała po Europie z cudzym mężem; ów fakt promieniował kłopotami.

— Och, chciałabym pojechać z tobą! — powiedziała Enid. — Tak kocham Austrię.

Denise mężnie zaproponowała:

— Może zrobisz sobie miesiąc wakacji i przyjedziesz do mnie?

— Denise, nie ma mowy, żebym zostawiła tatę samego.

— On też mógłby przyjechać.

— Wiesz, jaki on jest. Już nie jeździ na wycieczki po lądzie, bo ma zbyt dużo kłopotów z chodzeniem. Więc baw się dobrze i pozdrów moje ukochanie miasto ode mnie! I pamiętaj, żeby odwiedzić Cindy Meisner. Razem z Klausem mieszkają w tym zameczku w Kitzbühel, no i mają też ogromny, elegancki apartament w Wiedniu przy Ringu.

Dla Enid Austria oznaczała Błękitny Dunaj i Edelweiss. Wszystkie pozytywki w jej pokoju, z ich kwiatowymi i alpejskimi zdobieniami, pochodziły z Wiednia. Enid lubiła mówić, że matka jej matki była wiedeńką, ponieważ było to dla niej synonimem „Austriaczki”, co z kolei oznaczało według niej

„związane z Cesarstwem Austro-Węgier”, cesarstwem, które w czasach narodzin jej prababki zaczynało się na północ od Pragi, a kończyło na południe od Sarajewa. Denise, która jako dziewczynka zakochała się w Barbrze Streisand z *Yentl* i która jako nastolatka zaczytywała się w Singerze i w Szolemie Alejchemie, raz wymusiła od Enid przyznanie, że prababka, o której była mowa, mogła być w rzeczywistości Żydówką. Co, jak stwierdziła z triumfem, czyniło Żydówkami i ją, i Enid, poprzez dziedziczenie po linii matki. Enid jednak szybko się wycofała, mówiąc, że nie, jej prababka była katoliczką.

Denise interesowała się zawodowo pewnymi smakami z kuchni prababki: żeberkami po wiejsku, świeżą kapustą kiszoną, żurawinami i czarnymi jagodami, pierogami, pstrągami i kielbaskami. Problemem było przetworzenie serdeczności środkowoeuropejskich potraw na coś miłego sercu rozmiarów 32/34. Tłum właścicieli tytanowych kart płatniczych nie chciał płatów Wagnerowskiej Sauerbraten, bułczanych knedli Semmelknödel czy alpejskich turni z bitej śmietany. Mógł jednakże zjeść kiszoną kapustę. Jeżeli w ogóle istniało jakiegokolwiek jedzenie dla dziewczyn z cienkimi jak zapałki nogami: niskokaloryczne, a jednocześnie bardzo smaczne i zróżnicowane, gotowe przespać się z wieprzowiną, gęsią, kurczakiem, kasztanami, gotowe na ryzykowne połączenie z sashimi z makreli czy wędzonego tasergala...

Zrywając ostatnie powiązania z Mare Scuro, Denise poleciała do Frankfurtu jako pracownica Briana Callahana, z kartą American Express o nielimitowanym kredycie. W Niemczech prowadziła 150 km/h, odprowadzana miganiem długich świateł zostających z tyłu samochodów. W Wiedniu szukała Wiednia, który nie istniał. Nie zjadła tam niczego, czego nie przyrządziłaby sama lepiej; pewnej nocy spróbowała sznycla wiedeńskiego i pomyślała, oho, tak, to jest sznycel wiedeński. Jej wyobrażenie Austrii było znacznie żywsze niż sama Austria. Zwiedziła Kunsthistorisches Museum i poszła do Filharmonii; wyrzucała sobie, że jest złą turystką. Poczuli się tak znudzona i samotna, że wreszcie zadzwoniła do Cindy von Kippel (z domu Meisner) i przyjęła zaproszenie na obiad do ich przepastnego, nowoczesnego, ekskluzywnego apartamentu na ostatnim piętrze, z widokiem na Michaelertor.

Cindy zaokrągliła się w talii i zdaniem Denise w ogóle mogłaby wyglądać o wiele lepiej. Jej rysy twarzy ginęły pod warstwą podkładu, różu i szminki. Czarne jedwabne spodnie były bardzo luźne w biodrach i wąskie wokół kostek. Ocierając policzki i walcząc z napływającymi do oczu łzami po ataku zapachu perfum Cindy, Denise wyczuła nieprzyjemny oddech.

Mąż Cindy, Klaus, miał ramiona szerokie na metr, wąskie biodra i fascynująco mały tyłeczek. Salon von Kippelów był wyposażony w barokowe szezlongi i biedermeierowskie fotele ustawione w sposób, który uniemożliwiał udzielanie się towarzyskie. Na ścianach wisiały rodowe Watteau, a także brązowy medal olimpijski Klause, oprawiony w ramki i umieszczony pod największym zyrandolem.

— To co widzisz, to tylko replika — wyjaśnił gospodarz Denise. — Oryginał przechowujemy w bezpiecznym miejscu.

Na kredensie trochę w stylu secesyjnym stał półmisek pełny kromek chleba, wymiętoszonej wędzonej ryby o konsystencji tuńczyka z puszki i niezbyt duży kawałek ementalera. Ze srebrnego kubeczka Klaus wyciągnął butelkę i obficie polał sekta do kieliszków.

— Za naszego kulinarnego pielgrzyma — wniósł toast. — Witamy w świętym mieście Wiedniu. Sekt był słodki, zbyt gazowany i bardzo przypominał sprite'a.

— Cudownie, że tu jesteś! — zawołała Cindy. Strzeliła gwałtownie palcami i w bocznych drzwiach pojawiła się pokojówka.

— Mirjana, słonko — zwróciła się do niej gospodyni cukierkowym tonem — pamiętasz, że powiedziałam, abyś używała żytniego chleba, a nie pszennego?

— Tak, madam — odrzekła czterdziestoletnia Mirjana.

— No cóż, troszkę już za późno, ponieważ planowałam użyć tego pszennego chleba później. Mimo to chciałabym, żebyś zabrała ten półmisek i wymieniła chleb na żytni. A potem może poślij kogoś po więcej białego chleba, na później! — Cindy zwróciła się do Denise: — Kochana jest, ale straszny z niej głuptasek — wyjaśniła. — Prawda, Mirjana? Jesteś głuptaskiem?

— Tak, madam.

— Cóż, wiesz sama, jak to jest, w końcu jesteś szefem kuchni — tłumaczyła Cindy Denise, gdy Mirjana wyszła. — Dla ciebie to pewnie nawet gorsze, taka głupota ludzi.

— Arogancja i głupota — dodał Klaus.

— Tłumaczysz komuś, co ma zrobić, a potem on i tak robi co innego i to jest takie frustrujące! Takie frustrujące!

— Mama przesyła pozdrowienia — powiedziała Denise.

— Twoja mama jest taka miła. Zawsze była dla mnie bardzo miła. Klaus, pamiętasz ten tyci, tyciutki domek, w którym mieszkała moja rodzina, dawno temu, kiedy byłam jeszcze taką tycią, tyciutką dziewczynką, no więc rodzice Denise byli naszymi sąsiadami. Nasze mamy wciąż się bardzo przyjaźnią. Twój rodzice dalej pewnie mieszkają w starym domu, prawda, Denise?

Klaus roześmiał się ochryple.

— Wiesz, czego po prostu nie znoszę w St. Jude? — spytał Denise.

— Nie wiem. Czego po prostu nie znosisz w St. Jude?

— Po prostu nie znoszę tej parodii demokracji. Ludzie w St. Jude udają, że wszyscy są tacy sami. Wszystko jest bardzo miłe. Miłe, miłe, miłe. Ale ludzie nie są tacy sami. Zupełnie nie. Są różnice klasowe, różnice rasowe, ogromne i decydujące o wielu rzeczach różnice ekonomiczne i nikt nie potrafi postawić sprawy uczciwie. Wszyscy udają! Zauważyłaś to?

— Czy masz na myśli na przykład różnice między moją mamą a mamą Cindy? — spytała Denise.

— Nie. Nie znam twojej mamy.

— Klaus, właściwie znasz! — wtrąciła się Cindy. — Kiedyś ją spotkałeś. W Święto Dziękczynienia, trzy lata temu, w otwartym domu. Pamiętasz?

— No widzisz — podjął Klaus — wszyscy są tacy sami. O to właśnie mi chodzi. Jak możesz odróżnić ludzi od siebie, skoro wszyscy udają, że są tacy sami?

Mirjana wróciła z fatalnym półmiskiem i innym chlebem.

— Proszę, spróbuj tej ryby — zachęciła Cindy Denise. — Czy ten szampan nie jest fantastyczny? Naprawdę inny. Klaus i ja zwykliśmy pić trochę bardziej wytrawny gatunek, ale potem trafiliśmy na ten i zakochaliśmy się w nim.

— Wytrawny szampan ma w sobie coś snobistycznego — dodał Klaus. — Ale ci, którzy naprawdę znają sekta, wiedzą, że ten cesarz, ten „Extra-Trocken” jest nagi.

Denise skrzyżowała nogi i powiedziała:

— Moja mama mówi, że jesteś lekarzem.

— Ta, lekarzem sportowym — odparł.

— Wszyscy najlepsi narciarze przychodzą do Klaus — pochwaliła się Cindy.

— W ten sposób spłacam mój dług wobec społeczeństwa — oświadczył Klaus.

Chociaż Cindy błagała ją, żeby została, Denise uciekła z Ringstrasse przed dziewiątą, a z Wiednia

następnego poranka, ruszając na wschód przez białą od mgły dolinę środkowego Dunaju. Świadoma, że wydaje pieniądze Briana, pracowała całymi dniami, obchodząc wszystkie dzielnice Budapesztu, zapisując notatki o każdym posiłku, sprawdzając piekarnie, małe straganiki, mroczne restauracje ocalone od ostatecznego zaniedbania. Zawędrowała aż na Zakarpacie, miejsce urodzenia rodziców Enid, obecnie należące do Ukrainy. W krajobrazach, które przemierzała, nie znalazła ani śladu sztetla. Żadnych Żydów, z wyjątkiem największych miast. Wszystko bezbarwnie, trwale „niemojżeszowe” — tak jak Denise, która pogodziła się z faktem bycia gojką. Tantejsze jedzenie, ogólnie rzecz biorąc, uznała za dość proste. Karpackie wyżyny, poprzecinane wszędzie głębokimi ranami kopalń węgla i blendy smolistej, wyglądały na stosowne miejsce na masowe groby ciał posypanych wapnem. Denise widziała twarze, które przypominały jej własną, lecz zamknięte i przedwcześnie wyniszczone, ani słowa po angielsku, brak zrozumienia w oczach. Nie miała żadnych korzeni. To nie była jej ojczyzna.

Poleciała do Paryża i spotkała się z Brianem w holu Hotelu des Dieux Îles. W czerwcu wspominał o zabraniu całej rodziny ze sobą, ale teraz przyjechał sam. Nosił amerykańskie bojówki khaki i bardzo wygniecioną białą koszulę. Denise czuła się tak samotna, że niemal rzuciła się w jego objęcia.

„Co za idiotka pozwala swojemu mężowi jechać do Paryża z taką osobą jak ja?” — myślała.

Zjedli obiad w La Cuillère Curieuse, restauracji z dwoma gwiazdkami Michelina, która zdaniem Denise zbyt się starała. Nie chciała we Francji jeść surowej serioli ani konfitur z papai. Z drugiej strony miała już po dziurki w nosie gulaszu.

Brian całkowicie zdał się na jej osąd w wyborze wina i zamówieniu dań dla nich obojga. Przy kawie zapytała go, dlaczego Robin nie przyjechała z nim do Paryża.

— W Projekcie Ogrodniczym jest teraz pierwszy sezon zbioru cukinii — odrzekł z niezwykłą dla siebie goryczą.

— Niektórzy ludzie nie lubią podróżować — stwierdziła Denise.

— Ale nie Robin — odparł Brian. — Kiedyś wyjeżdżaliśmy na fantastyczne wycieczki po całym Zachodzie, a teraz, kiedy naprawdę możemy sobie na to pozwolić, ona nie chce jechać. Zupełnie jakby negocjowała to, że mamy pieniądze.

— Może to dla niej szok, takie nagłe bogactwo.

— Słuchaj, ja po prostu chciałem się trochę dzięki temu rozerwać — powiedział Brian. — Nie zamierzam się zmieniać, ale nie chcę się także ubierać w sklepach Armii Zbawienia.

— Czy to właśnie robi Robin?

— Nie była szczęśliwa od dnia, w którym sprzedałem swoją firmę.

Nastawmy stoper i zobaczymy, ile jeszcze potrwa to małżeństwo.

Na próżno czekała, gdy po obiedzie przemierzili nabrzeże rzeki, aby Brian pogłodził jej dłoń. Popatrywał na nią z nadzieją, jakby chciał się upewnić, że nie ma nic przeciwko zatrzymaniu się przed wystawą jakiegoś sklepu lub nagłemu zapuszczeniu się w małą boczną uliczkę. Miał taki radosny psi sposób proszenia o akceptację bez poczucia niepewności. Opowiedział jej o swoich planach co do Generatora, jakby uznał, że jest to coś, co ją szalenie interesuje. Najwyraźniej w ten sam sposób założył, że postępuje właściwie, i w sposób, który aprobejuje Denise, gdy higienicznie pożegnał ją w holu Dieux Îles przed pójściem spać.

Znosiła jego przyjazne zachowanie przez całe dziesięć dni. Pod koniec nie mogła na siebie patrzeć w lustrze, bo jej twarz wydawała się tak spustoszona, cycki zwieszane, włosy sterczące na wszystkie strony, a ubrania wymiętoszone w podróży. Była dosłownie zszokowana, że ten nieszczęśliwy mąż

tak się jej opiera, chociaż miał ku temu bardzo dobry powód! Był ojcem dwóch cudownych dziewczynek! A ona koniec końców była jego pracownicą! Oczekiwała jego oporu, ponieważ uważała, iż w ten właśnie sposób postępują dorośli, i była z tego powodu bardzo nieszczęśliwa.

Nagięła swoją wolę do myślenia, że nie ma nadwagi i nie będzie się głodziła. Nie pomagało to, że miała już dosyć lunchów i obiadów i tęskniła za piknikami. Chciała jeść bagietki, białe brzoskwinie, sery kozie i pić kawę. Miała dosyć patrzeń, jak Brian zachwyca się posiłkami. Nienawidziła Robin za jej grubiaństwo na Cape May, przeklinała ją w swoich myślach, nazywała cipą i groziła, że przeleci jej męża. Przez kilka nocy z rzędu, po obiedzie, rozważała możliwość naruszenia swojej pogibanej etyki i uwiedzenia Briana (ponieważ z pewnością on zdałby się w tym na jej osąd; na pewno za jej przyzwoleniem wskoczyłby jej do łóżka i ziajał z radości, szczyrzył zęby i lizał jej dłoń), ale była zbyt zniechęcona wyglądem swoich włosów i ubrań. Chciała już wracać do domu.

Dwa dni przed wyjazdem, przed wieczornym posiłkiem zapukała do drzwi pokoju Briana, a on wciągnął ją do środka i pocałował. Nie było żadnego ostrzeżenia przed tą gwałtowną zmianą uczuć. Odwiedziła spowiednika we własnej głowie i mogła szczerze powiedzieć: „Nic! Nic nie zrobiłam! Zapukałam do jego drzwi i następną rzeczą, jaką pamiętam, było to, że klęczał przede mną”.

Klęczał, wtulając twarz w jej dłonie. Popatrzyła na niego tak, jak dawno temu patrzyła na Dona Armoura. Jego pożądanie przyniosło chłodną tropikalną ulgę suchości, spękaniu, ogólnemu cierpieniu jej ciała. Dała się zaciągnąć do łóżka.

Oczywiście Brian był dobry we wszystkim, wiedział więc, jak należy całować. Miał ten dyskretny styl, który jej się podobał. Zamruczała niewyraźnie:

— Lubię, jak smakujesz.

Dotykał ją wszędzie tam, gdzie chciała, żeby ją dotykał. Rozpięła jego koszulę, tak jak kobieta zwykle czyni w pewnym momencie. Polizała jego sutek w zdecydowany, czuły sposób, w jaki głaszcze się kota. Objęła doświadczoną dłonią wybrzuszenie między jego nogami. Była przepiękną, gorliwą cudzołożnicą i wiedziała o tym. Pracowała nad sprzączką jego paska, nad rozpinaniem guzików, nad ściąganiem elastycznej bielizny, dopóki nie zaczęło w niej pęcznieć, na początku niemal niezauważalne, potem zaś nagle wyraźne, a za chwilę już nie tak wyraźne, lecz coraz boleśniejsze w swoim nacisku na jej trzewia, gałki oczne, tętnice i opony mózgowie: balon krzywdy ludzkich rozmiarów, z twarzą Robin.

Słyszała głos Briana tuż nad uchem. Pytał o zabezpieczenie. Odczytał jej zakłopotanie jako uniesienie, jej wiercenie się jako zaproszenie. Wyjaśniła wszystko, staczając się z łóżka i kuląc w rogu hotelowego pokoju. Powiedziała, że nie może tego zrobić.

Brian usiadł na łóżku i milczał. Rzuciła na niego okiem i stwierdziła, że przyrodzenie, tak jak się spodziewała, miał typowe dla mężczyzny, który miał wszystko. Sądziła, że jeszcze długo nie zapomni widoku jego fiuta. Będzie go widziała za każdym razem, gdy zamknie oczy, w nieodpowiednich momentach i naciąganych kontekstach.

Przeprosiła go.

— Nie, masz rację — odrzekł Brian, zdając się na jej opinię. — Czuję się okropnie. Nigdy czegoś takiego nie zrobiłem.

— Widzisz, a ja tak — odpowiedziała, żeby nie uznał jej za zwyczajnie bojaźliwą panienkę. — Więcej niż raz. I nie chcę tego powtarzać.

— Nie, oczywiście, masz rację.

— Gdybyś nie był żonaty... gdybym nie była twoim pracownikiem...

— Posłuchaj, muszę się z tym uporać. Idę teraz do łazienki i jakoś sobie z tym poradzę.

— Dziękuję.

Część Denise myślała: „O co mi chodzi?”.

Druga część myślała: „Chociaż raz w życiu postępuję właściwie”.

Spędziła cztery samotne noce w Alzacji i odleciała do domu z Frankfurtu. Zdziwiła się, gdy odwiedziła Generator i zobaczyła, jak wiele zrobiła ekipa Briana podczas jej nieobecności. Budynek wewnątrz fabryki miał już szkielet i wylane betonowe podłogi. Teraz widziała, jaki będzie końcowy efekt: jasny pęcherz nowoczesności pośród mroku monumentalnego przemysłu. Chociaż wierzyła w swoje gotowanie, rozmach tego miejsca przyprawił ją o niepokój. Żałowała, że nie nalegała na kupno jakiegoś zwyczajnego przybytku, w którym błyszczałaby tylko jej kuchnia. Czuła się uwiedziona i przyciągana — jakby bez jej wiedzy Brian rywalizował z nią o przyciągnięcie uwagi całego świata. Jakby przez cały czas, w ten swój przyjazny sposób, manewrował tak, aby ta restauracja należała do niego, a nie do Denise.

Tak jak się spodziewała, prześladował ją obraz jego penisa. Była coraz bardziej zadowolona, że nie pozwoliła mu wejść w siebie. Brian miał wszystkie zalety, którymi życie obdarzyło Denise, plus jeszcze kilka innych. Był mężczyzną, był bogaty i z natury dobrze poinformowany, nie przeszkadzała mu Lambertowska dziwaczność ani zdecydowane opinie, był amatorem, który nie miał nic do stracenia prócz jednorazowego wydatku. Żeby odnieść sukces, potrzebował tylko dobrego pomysłu i kogoś (to znaczy jej), kto wykona całą brudną robotę. Ileż miała szczęścia, że w tamtej chwili, w pokoju hotelowym rozpoznała w nim swojego przeciwnika! Dwie minuty później zupełnie by się rozplynęła. Stałaby się jeszcze jednym aspektem jego naprawdę szczęśliwego życia, jej uroda widziana by była w świetle jego nieodpartego uroku, jej talenty przysparzałyby sławy jego restauracji. Ależ miała szczęście, co za szczęście.

Uważała, że gdy po otwarciu Generatora recenzenci zwrócą więcej uwagi na wystrój wnętrza niż na jej jedzenie, Brian wygra, a ona przegra. Dlatego pracowała do utraty tchu. Upiekła na ciemnobrązowo żeberka i pokroiła je cienko, wzdłuż kości, żeby się lepiej prezentowały. Zredukowała ilość bigosu, przyciemniła go nieco, aby wydobyć ten orzechowy, ziemisty, kapuściano-wieprzowy smak i zapach. Następnie ozdobiła talerz dwoma wyglądającymi jak jądra młodymi ziemniakami, grupką brukserek i łyżką duszonych białych fasolek, które trochę podrasowała podsmażonym czosnkiem. Wymyśliła nowe, luksusowe białe kiełbaski. Połączyła smak fenkułów, smażonych ziemniaków i zdrowych, gorzkawych brokułów rapini z niesamowitą świeżością kotletów schabowych, które kupiła bezpośrednio na staroświeckiej farmie organicznej, bezpośrednio od wytwórcy. Zabrała staruszka na lunch i odwiedziła jego farmę w Lancaster County, obejrzała zakupione tuczniaki, sprawdziła ich urozmaiconą dietę (gotowane słodkie ziemniaki, skrzydełka kurczaka, kukurydza i kasztany) i dokładnie obejrzała dźwiękoszczelny pokój, podczas gdy farmer zarzynał świnię. Wykorzystała swoje dawne znajomości wśród starej ekipy z Mare Scuro. Zabrała byłych współpracowników na obiad na koszt Briana, aby ocenić lokalną konkurencję (większość restauracji nie wyróżniała się niczym specjalnym). Próbowowała deserów, żeby sprawdzić, czy któryś z kucharzy jest wart podkupienia. Była główną gwiazdą na jednoosobowym nocnym festiwalu farszów mięsnych. Kisiła kapustę w pięciolitrowych wiadrach w piwnicy swojego domu. Kisiła czerwoną kapustę z utartym jarmużem wrzuconym do soku kapuścianego, z ziarnami jałowca i czarnym pieprzem. Przyspieszała fermentację, ogrzewając wiadra stuwatowymi żarówkami.

Brian wciąż dzwonił do niej codziennie, ale nie zabierał jej na przejażdżki swoim volvo, ani nie puszczał jej muzyki. W jego uprzejmych pytaniach Denise wyczuwała gasnące zainteresowanie. Poleciała mu swojego starego znajomego, Roba Zito, na menadżera restauracji, a gdy Brian zabrał ich

obydwoje na lunch, został tylko pół godziny. Miał spotkanie w Nowym Jorku.

Pewnej nocy Denise zadzwoniła do niego do domu i zamiast Briana odebrała Robin Passafaro. Urywane stwierdzenia Robin w stylu: „OK”, „Jasne”, „Powie mu”, „Tak”, „OK” tak zirytowały Denise, że celowo nie odkładała słuchawki. Zapytała, jak idzie Projekt Ogrodniczy.

— Doskonale — odparła Robin. — Powiem Brianowi, że dzwoniłaś.

— Czy mogłabym kiedyś przyjść i zobaczyć, co robisz?

— Po co? — zapytała Robin z otwartą nieuprzejmością.

— Cóż — odparła Denise — Brian ciągle o tym opowiada — to było kłamstwo, ponieważ Brian rzadko o tym wspominał. — To bardzo interesujący projekt — tak naprawdę wydawał się idiotyczny i porąbany. — I wiesz, bardzo lubię warzywa.

— Aha.

— Więc może mogłabym wpaść w niedzielne popołudnie lub coś koło tego.

— Kiedy chcesz.

Chwilę później Denise trzasnęła słuchawką o widełki. Była zła między innymi na to, ile fałszu sama słyszała w swoim głosie.

— Mogłam zerznąć twojego męża! — syknęła. — I zdecydowałam, że tego nie zrobię! Więc co byś powiedziała na trochę zyczliwości?

Może gdyby była lepszą osobą, zostawiłaby Robin w spokoju. Może chciała, żeby Robin stała się taka jak ona, żeby odebrać jej satysfakcję z nielubienia Denise, żeby wygrać ten konkurs szacunku. Może podniosła tylko rękawicę, ale jej pragnienie bycia lubianą było prawdziwe. Prześladowała ją myśl, że Robin była z nią i Brianem w tamtym pokoju hotelowym; nie dawało jej spokoju wspomnienie rozrywającego uczucia obecności Robin w jej ciele.

W ostatnią niedzielę sezonu baseballowego gotowała w domu przez osiem godzin, pakując pstrąga w folię, przygotowując pół tuzina różnych odmian sałatek na bazie kapusty kiszonej, zaprawiając sos własny ze smażonych cynaderek różnymi interesującymi alkoholami. Później wyszła na spacer i nagle zrozumiała, że zmierza na zachód, przechodzi przez Broad Street w kierunku getta Point Breeze, gdzie Robin rozwijała swój Projekt.

Pogoda była doskonała. Wczesna jesień w Filadelfii przyniosła zapachy świeżej wody morskiej, fal przyływu, stopniowy spadek temperatury, cichą abdykację dyktatorskiego wilgotnego powietrza, które przez całe lato zatrzymywało ożywczy wiatr na brzegu. Denise minęła staruszkę w podomce, która przyglądała się, jak dwóch umorusanych mężczyzn wyładowuje zakupy od Acme z porzewiałego hatchbacka pinto. W tych okolicach do zasłaniania okien stosowano powszechnie cegły żuźlowe. Były tam pozdierane LUNC ONETKI i PI ZE IE. Kruche domostwa z zasłonami z prześcieradeł, plamy świeżego asfaltu, które zdawały się raczej przypieczętowywać los dzielnicy, niż obiecywać rewitalizację. Denise nie dbała o to, czy spotka się z Robin. Lepiej by było zarobić ten punkt bardziej dyskretnie — pozwolić, żeby Robin dowiedziała się od Briana, że Denise zadała sobie trud i odwiedziła Projekt.

Dotarła do otoczonej siatką działki pokrytej grządkami mierzwy i ogromnymi kopcami uwiędłych roślin. W dalszym rogu działki, tuż za jedynym domem stojącym na tym terenie, ktoś spulchniał kamienistą glebę łopatą.

Drzwi wejściowe do samotnego domu były otwarte na oścież. Murzynka w wieku licealnym siedziała przy biurku, obok którego stała również kanapa z koszmarnym kratkowanym obiciem i tablica na kółkach, na niej zaś widniała kolumna imion (Lateesha, Latoya, Tyrell) i kolejne kolumny zawierające GODZINY DO TEJ PORY, DOLARY DO TEJ PORY.

— Szukam Robin — powiedziała Denise.

Dziewczyna kiwnęła głową w kierunku otwartych tylnych drzwi.

— Jest z tyłu domu.

Ogród był surowy, ale pełen spokoju. Nie rosło tu zbyt wiele poza kabaczkami i ich kuzynami, ale kępiki winorośli pięły się bujnie, a zapachy zieleniny, ziemi i nadmorskiego jesiennego wiatru przywodziły na myśl wspomnienia z dzieciństwa.

Robin przesypywała kamienistą ziemię przez prowizoryczne sito. Miała drobne ramiona i metabolizm kolibra; przesypywała ziemię po troszku, wiele razy, zamiast wypełnić sito paroma pełnymi ładunkami. Nosila czarną chustę i bardzo brudny T-shirt z napisem: OPIEKA PIERWSZEJ KLASY: ZAPŁAĆ TERAZ ALBO PÓŹNIEJ. Nie wydawała się ani zaskoczona, ani ucieszona widokiem gościa.

— To spore przedsięwzięcie — powiedziała Denise.

Robin wzruszyła ramionami, dzierżąc łopatę oburącz, jakby chciała zaznaczyć, że jej przerwano.

— Chcesz, żebym ci pomogła? — spytała Denise.

— Nie. Dzieciaki powinny to zrobić, ale dzisiaj nad rzeką jest mecz. Po prostu robię tu trochę porządku.

Wrzuciła gruz do sita, żeby wycisnąć z niego nieco ziemi. W siatkę powbijały się kawałki cegieł, zaprawy murarskiej i papy, połamane łodygi, skamieniałe kocie gówno, nalepki Baccardi i Yuengling trzymające się potłuczonych szkieł butelek.

— Co tutaj uprawiasz? — zapytała Denise.

Robin znowu wzruszyła ramionami:

— Nic, co mogłoby zrobić na tobie wrażenie.

— To znaczy?

— To znaczy cukinie i dynie.

— Obu używam w kuchni.

— Taa.

— Kim jest ta dziewczyna?

— Mam dwoje asystentów na pół etatu, którym płacę za pracę. Sara jest studentką na Uniwersytecie Temple.

— A te dzieciaki, które powinny tu dziś być?

— Dzieciaki z sąsiedztwa, dwunastolatki i starsze, do szesnastu lat — Robin zdjęła okulary i brudnym rękawem koszulki wytarła pot z twarzy. Denise zapomniała, a może nigdy nie zauważyła, jak śliczne usta miała Robin.

— Dostają minimalną pensję i warzywa, a także procent z tego, co sprzedadzą.

— Odliczasz koszty utrzymania?

— To by ich zniechęciło.

— Prawda.

Robin spojrzała daleko, gdzie po przeciwnej stronie ulicy stał rząd martwych budynków z rdzewiejącymi metalowymi gzymsami.

— Brian mówi, że jesteś bardzo nastawiona na współzawodnictwo.

— Och, doprawdy?

— Powiedział, że nie chciałby się z tobą siłować na ręce.

Denise zamrugnęła.

— Powiedział, że nie chciałby być drugim kucharzem w twojej kuchni.

— O to akurat nie musi się martwić — odparła Denise.

— I że nie chciałby z tobą grać w scrabble.

— Aha.

— Ani w trivial pursuit.

Dobrze, dobrze, myślała Denise. Robin oddychała ciężko.

— W każdym razie...

— Tak, w każdym razie?

— Nie pojechałam do Paryża — mówiła Robin — bo pomyślałam, że Erin jest za mała, a Sinéad dobrze się bawiła na obozie artystycznym. Ja zresztą miałam tu kupę roboty.

— Rozumiem.

— Poza tym wy oboje mieliście całymi dniami gadać o jedzeniu. Brian powiedział, że to podróż służbowa. Więc...

Denise podniosła wzrok, ale nie mogła spojrzeć Robin w oczy.

— To była podróż służbowa.

— Jasne — powiedziała Robin drżącymi wargami.

Ponad gettem flota chmur o miedzianych brzuchach, wyglądających jak spody garnków Revere Ware, zmierzała na północny zachód. W takiej chwili, gdy światło dnia i nocy były w równowadze, niebieskie tło nieba szarzało, przybierając ten sam odcień, co stratusy formujące się poniżej.

— Wiesz, tak naprawdę nie bardzo interesują mnie faceci — oznajmiła Denise.

— Słucham?

— Powiedziałam, że nie sypiam z facetami. Od kiedy się rozwiodłam.

Robin zmarszczyła brwi, jakby słowa Denise nie miały dla niej żadnego sensu.

— Brian wie o tym?

— Nie wiem. Ja mu nie mówiłam.

Robin zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem zaczęła się śmiać.

— Hi, hi, hi — skrzeczała. — Ha, ha, ha! — Jej śmiech był głośny i żenujący, ale zarazem cudowny, pomyślała Denise. Niósł się echem wśród domów z zardzewiałymi gzymsami. — Biedny Brian! — mówiła Robin. — Biedny Brian!

Natychmiast stała się bardziej serdeczna. Odłożyła łopatę i oprowadziła Denise po ogrodzie: „Moje małe, zaczarowane królestwo”, tak go nazywała. Widząc, że Denise wykazuje zainteresowanie, zaryzykowała entuzjazm. Tu była nowa grządka ze szparagami, tam znów dwa rzędy młodych śliw i jabłoni, które chciała rozpiąć na kracie, gdzie indziej jeszcze późne grządki słonecznika, kabaczków żółdziowych i jarmużu. Tego lata posadziła tylko pewniaki, mając nadzieję, że przyciągnie i zatrzyma solidną grupę nastolatków, po czym nagrodzi ich za nieocenioną pracę w przygotowaniu grządek, położeniu rur, założeniu odpływów i zamontowaniu beczek na deszczówkę na dachu domu.

— To taki trochę egoistyczny projekt — mówiła. — Zawsze chciałam mieć duży ogród, a teraz całe śródmieście ma inklinacje do farmerstwa. Ale te dzieci, które naprawdę powinny pracować na dworze i uczyć się, jak smakują świeże warzywa, właśnie one tego nie robią. To są dzieciaki z kluczem na szyi, narkotyzują się, uprawiają seks, zostają w szkole do szóstej, zamknięte w pokoju z komputerem. Ale w ich wieku grzebanie w ziemi ciągle jeszcze sprawia przyjemność.

— Chociaż może nie tyle, ile dają narkotyki czy seks.

— Może nie dla dziewięćdziesięciu procent dzieciaków — odparła Robin. — Po prostu chciałam, żeby było tu coś dla pozostałych dziesięciu procent. Jakaś alternatywa, która jednocześnie nie jest komputerem. Chciałam, żeby Erin i Sinéad poznały dzieci, które nie są takie jak one. Chcę, żeby nauczyły się, jak należy pracować, że praca to nie jest tylko jeżdżenie myszką i klikanie w klawiaturę.

— To godne podziwu — powiedziała Denise.

— Jasne — odparła Robin, która mylnie odczytała jej ton.

Denise usiadła na pokrytej plastikiem beli torfomchu i czekała, aż Robin się umyje i zmieni ubranie. Może to te nieliczne jesienne sobotnie wieczory, które spędziła poza kuchnią, odkąd skończyła dwadzieścia lat, a może jakaś sentymentalna część niej pokochała ten egalitarny idealizm, który w St. Jude wydawał się Klausowi von Kippel tak fałszywy, ale Robin Passafaro, urodzona filadelfijka, skojarzyła się jej z obywatelką środkowego zachodu. Pod którym to określeniem rozumiała: pełna nadziei, entuzjastyczna i zagorzała społeczniczka.

Nie obchodziło jej tak bardzo to, czy ktoś ją lubił. To ona lubiła. Gdy Robin wyszła i zamknęła dom, Denise zapytała ją, czy ma czas na obiad.

— Brian i jego ojciec zabrali dziewczynki na mecz Philliesów — odparła Robin. — Wrócą do domu napchani stadionowym jedzeniem, więc jasne, czemu nie. Możemy iść na obiad.

— Mam mnóstwo rzeczy w kuchni — powiedziała Denise. — Co ty na to?

— Jasne, czemu nie.

Zazwyczaj jeżeli szef kuchni zapraszał na obiad, człowiek czuł się uprzywilejowany i spieszył się, by to okazać. Robin jednakże wydawała się zdecydowana nie być pod wrażeniem.

Zapadła noc. Powietrze na Catharine Street pachniało ostatnim weekendem rozgrywek baseballowych. Podczas spaceru na zachód Robin opowiedziała Denise historię swojego brata, Billy'ego. Denise już raz słyszała tę opowieść od Briana, ale pewne fragmenty w wersji Robin były dla niej nowością.

— Zaczekaj — powiedziała. — Brian sprzedał swoją firmę kompanii W, a Billy potem zaatakował jednego z wiceprezydentów W, a ty myślisz, że te dwa fakty są powiązane?

— Mój Boże, tak. I to właśnie jest okropne.

— Brian nie wspomniał o tej sprawie.

Robin zaczęła krzyczeć piskliwie:

— Nie mogę w to uwierzyć. Przecież o to w tym wszystkim chodzi! Boże! To takie strasznie typowe dla niego, żeby pomijać tę część historii. Ponieważ ten drobny fakt mógłby utrudnić mu życie, rozumiesz, w taki sam sposób, jak utrudnia mnie. Mógł mu przeszkodzić w zabawie w Paryżu albo w lunchu z Harveyem Keitelem czy czym tam jeszcze. Nie mogę uwierzyć, że w ogóle o tym nie wspomniał.

— Wyjaśnij mi, na czym właściwie polega problem?

— Rick Flamburg został kaleką na całe życie — powiedziała Robin. — Mój brat poszedł do więzienia na kolejne dziesięć do piętnastu lat, ta okropna firma korumpuje miejskie szkoły, mój ojciec jest na neuroleptykach, a Brian mówi: „Hej, zobacz, co firma W właśnie dla nas zrobiła! Wyprowadźmy się do Mendocino!”

— Ale przecież nie zrobiłaś nic złego — zaproponowała Denise. — Nie jesteś odpowiedzialna za żadną z tych rzeczy.

Robin odwróciła się i spojrzała prosto na nią:

— Po co człowiek żyje?

— Nie wiem.

— Ja też nie. Ale chyba nie po to, by wygrywać.

Szły dalej w ciszy. Denise, dla której wygrywanie miało znaczenie, zauważyła ponuro, że na dodatek do całego swojego życiowego szczęścia, Brian poślubił kobietę z duchem i zasadami. Zauważyła też, że Robin mimo wszystko nie jest zbyt lojalna.

W salonie Denise przybyło niewiele przedmiotów od wyprawki Emile'a przed trzema laty. W ich konkursie podczas Weekendu Łez Denise zyskała nad Emile'em podwójną przewagę w poczuciu winy i w tym, że zgodziła się już zabrać dom. Na końcu zdołała zmusić Emile'a do zabrania praktycznie wszystkich wspólnych przedmiotów, które lubiła lub ceniła, a także wielu innych, których nie lubiła, ale mogłaby ich używać.

Pustka domu napełniła niesmakiem Becky Hemerling. Wydał się jej zimny, wypełniony nienawiścią do samej siebie, jak klasztor.

— Ładnie tu i przestrzennie — zauważyła Robin.

Denise usadziła ją przy połowie stołu pingpongowego, który służył jej za stół kuchenny, otworzyła wino za pięćdziesiąt dolarów i zaczęła ją karmić. Denise rzadko kiedy musiała walczyć z utrzymaniem wagi, ale chyba pękła, gdyby jadła tak, jak Robin. Patrzyła z respektem, jak jej gość, wymachując łokciami, pochłania dwie nerki, domowej roboty kielbasę, próbuje każdej sałatki z kapustą kiszoną i rozsmarowuje masło na trzeciej już kromce zdrowego, domowego żytniego chleba.

Denise wierciło w brzuchu i prawie nic nie zjadła.

— Jesteś z St. Jude? Święty Juda to jeden z moich ulubionych świętych — powiedziała Robin. — Czy Brian powiedział ci, że chodzę do kościoła?

— Wspomniał o tym.

— Jestem pewna, że tak. Zapewne był przy tym bardzo wyrozumiały i cierpliwy! — Robin mówiła głośno, jej twarz była zaczerwieniona od wypitego wina. Denise poczuła, że coś ją ściska w piersi. — W każdym razie jedną z tych świetnych rzeczy w katolicyzmie jest to, że mamy tych wszystkich świętych, jak święty Juda.

— Patron od spraw trudnych i beznadziejnych?

— Właśnie. Od czego jest kościół, jeżeli nie od pomagania w beznadziejnych sprawach?

— Mam takie samo wrażenie à propos drużyn sportowych — powiedziała Denise. — Że wygranymi nie potrzebują pomocy.

Robin pokiwała głową.

— Wiesz, o czym mówię. Ale jeżeli żyjesz z Brianem, zaczynasz czuć, że z przegranymi jest coś nie w porządku. Nie to, że on cię krytykuje. Zawsze jest taki wyrozumiały, cierpliwy i kochający. Brian jest fantastyczny!

Nie, z Brianem jest wszystko w porządku! Tylko że na pewno chętniej będzie kibicował wygrywającym. A ja nie jestem takim wygrywającym typem. I chyba nie chcę nim być.

Denise nigdy w życiu nie mówiłaby w ten sposób o Emile'u, nawet teraz.

— Widzisz, ale ty jesteś tym typem zwycięzcy — ciągnęła Robin. — To dlatego chyba widziałam w tobie moją potencjalną zastępczynię. Następną w kolejce.

— Nic z tego.

Robin wydała te swoje świadome rozkoszne dźwięki:

— Hee, he, he! — zaśmiała się.

— W obronie Briana powiem, że nie musiałybyś się przemienić w Brooke Astor. Wystarczyłaby mu burżujka.

— Mogę żyć jak burżujka. Chciałabym mieć dom taki jak ten. Uwielbiam to, że twój stół kuchenny jest wielkości połowy stołu do ping-ponga.

— Jest twój za dwadzieścia dolców.

— Brian jest wspaniały. Jest mężczyzną, z którym chcę spędzić resztę mojego życia, ojcem moich dzieci. To ja stanowię problem. To ja nie pasuję do całego programu. To ja chodzę na zajęcia przygotowujące do bierzmowania. Słuchaj, masz jakiś sweter? Strasznie zmarzłam.

W październikowym przeciągu wosk kapał z krótkich świeczek. Denise wręczyła Robin swoją ulubioną dzinsową kurtkę z wełnianą podszewką, z już nieprodukowanej serii Levi'sa i zauważyła, jak wielka zdała się na Robin, jak pochłonęła jej ramiona, niczym skórzana kurtka baseballisty na ramionach jego dziewczyny.

Następnego dnia założyła tę samą kurtkę. Wydała jej się teraz lżejsza i bardziej miękka. Postawiła kołnierzyk i wtuliła się w nią.

Choć tej jesieni ciężko pracowała, miała coraz więcej czasu i coraz elastyczniejszy plan dnia, pierwszy raz od wielu lat. Zaczęła odwiedzać Projekt Robin, przynosząc jedzenie ze swojej kuchni. Wpadła do domu Robin i Briana na Panama Street i choć Briana nie było, została do wieczora. Kilka nocy później, gdy wrócił Brian i zastał ją piekącą magdalenki z dziewczynkami, zachował się, jakby widywał ją tu tysiące razy.

Miała wieloletnie doświadczenie w pojawianiu się w czteroosobowej rodzinie i sprawianiu, że cała czwórka zaczynała ją kochać. Jej następnym podbojem na Panama Street była Sinéad, poważna czytelniczka, mała modnisią. Denise zabierała ją na sobotnie zakupy. Kupiła jej sztuczną biżuterię, tokańskie puzderko na kosztowności, albumy z muzyką disco i proto-disco z lat siedemdziesiątych, stare ilustrowane książki o staroświeckich strojach, Antarktyce, Jackie Kennedy i budowaniu statków. Pomagała Sinéad wybierać większe i mądrzejsze prezenciki dla Erin. Sinéad, podobnie jak jej ojciec, miała nienaganne gusta. Nosiła czarne dzinsy, sztruksowe minispódniczki i kurteczki, srebrne bransoletki i sznury plastikowych koralii dłuższe nawet niż jej imponujące włosy. W kuchni Denise, po zakupach, Sinéad obierała ziemniaki w nienaganny sposób lub wyrabiała proste ciasto, podczas gdy kucharz wymyślał niespodzianki, które zadowolilyby dziecięce podniebienie: kawałki gruszek, paski domowej mortadeli, sorbet z owoców czarnego bzu w malutkiej miseczce z zupą bżową, mieszankę ravioli z jagnięciną z miętową oliwą z oliwek, kostki smażonej polenty.

Bardzo rzadko, na przykład z okazji ślubów, Robin i Brian nadal wychodzili gdzieś razem, a Denise zostawała w domu, opiekując się dziewczynkami. Uczyła je wtedy, jak się robi makaron szpinakowy i tańczy tango. Razem z Sinéad przetrząsała szuflady w poszukiwaniu przebrań.

— Denise i ja będziemy teraz etnologami — zdecydowała Sinéad — a ty, Erin, możesz być przedstawicielem plemienia Hmong.

Gdy Denise przyglądała się Sinéad wyjaśniającej Erin, w jaki sposób powinna zachowywać się kobieta Hmong, gdy obserwowwała, jak tańczy niczym Donna Summer, z tym jej leniwym, jakby znudzonym umiarkowaniem, prawie nie unosząc pięt z podłogi, lekko ruszając ramionami i rozsypując włosy na jej plecach (przez cały ten czas Erin wykonywała konwulsyjne ruchy), czuła, że kocha nie tylko tę dziewczynkę, ale także jej rodziców za tę dziecięcą magię, którą obdarowali córkę.

Robin była pod mniejszym wrażeniem.

— Oczywiście, że cię kochają — powiedziała. — Nie próbujesz codziennie rozczesywać kołtunów we włosach Sinéad, nie kłócisz się z nią przez dwadzieścia minut na temat definicji

ścielenia łóżka. I nigdy nie podpisujesz w dzienniczku stopni Sinéad z matematyki.

— Są takie złe? — zapytała oczarowana niańka.

— Są okropne. Może nawet zagrozimy jej, że nie będzie się mogła z tobą spotykać, jeśli nie poprawi wyników.

— Och, nie rób tego.

— Może chciałabyś przerobić z nią działania na ułamkach.

— Zrobię, co tylko chcesz.

Pewnej listopadowej niedzieli, gdy cała rodzina wybrała się na spacer do Parku Fairmount, Brian powiedział Denise:

— Robin naprawdę bardzo serdecznie się o tobie wyraża.

— Bardzo ją lubię — odparła Denise.

— Myślę, że na początku trochę ją onieśmielałaś.

— Miała prawo tak się czuć, nieprawdaż?

— Nigdy nic jej nie powiedziałem.

— Cóż, dziękuję ci za to.

Nie umknęło jej uwagi, że cechy, które pozwoliłyby Brianowi zdradzić Robin — jego poczucie uprzywilejowania, psie przekonanie, że cokolwiek robi, to na pewno coś dobrego, czego wszyscy chcemy — mogły jednocześnie ułatwić Robin zdradzenie Briana. Denise czuła, że staje się „przedłużeniem Robin” w myślach Briana, a ponieważ „Robin” nieodłącznie wiązała się w umyśle Briana z oceną „wspaniała”, założył, że w ich przypadku nie musi się martwić o takie rzeczy. W podobny sposób Brian pokładał całkowitą ufność w przyjacielu Denise, Robim Zito, który doglądał Generatora. Brian regularnie dowiadywał się, co się tam dzieje, ale z czasem, gdy zaczęło się ochładzać, przestał się w ogóle pojawiać. Przez krótką chwilę Denise zastanawiała się, czy nie zakochał się przypadkiem w innej kobiecie, ale nowa ukochana Briana okazała się niezależnym reżyserem filmowym, Jerrym Schwartzem, znanym z doskonałego gustu, jeśli chodzi o muzykę filmową, i ze zdolności do nieustannego znajdowania sponsora dla swoich kontrowersyjnych projektów artystycznych („Film odbiera się najlepiej z zamkniętymi oczami” — napisał „Entertainment Weekly” o najnowszym dziele Schwartza, *Moody Fruit*). Jako zagorzały wielbiciel muzyki filmowej Schwartz, Brian pojawił się niczym anioł z brakującymi pięćdziesięcioma tysiącami, gdy Schwartz rozpoczynał zdjęcia do współczesnej adaptacji *Zbrodni i kary*, w której Raskolnikow grany przez Giovanniego Ribisiego był młodym anarchista i fanatycznym audiofilem żyjącym w podziemnym świecie północnej Filadelfii. Podczas gdy Denise i Rob Zito decydowali o wyposażeniu i oświetleniu Generatora, Brian odwiedzał Schwartz, Ribisiego i resztę ekipy w pełnych uroku artystycznych ruinach w Nicetown, wymieniał z nim płyty trzymane w identycznych, zapinanych na suwaki segregatorach i jadł obiad w Pastis w Nowym Jorku ze Schwartzem, Greilem Marcusem i Stephenem Malkmusem.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Denise pozwoliła sobie na przypuszczenia, że Robin i Brian w ogóle już nie uprawiają seksu. Dlatego kiedy w sylwestra, gdy ona, cztery parki i cała ferajna dzieci zgromadzili się w domu na Panama Street i Denise zobaczyła Robin i Briana całujących się w kuchni po północy, wyciągnęła swoje palto spod spodu całej sterty kurtek i uciekła z domu. Przez ponad tydzień była zbyt rozdarta, żeby zadzwonić do Robin lub zobaczyć się z dziewczynkami. Pociągała ją heteroseksualistka, będąca żoną człowieka, za którego Denise mogłaby wyjść. Beznadziejna sprawa. Święty Juda dał, święty Juda wziął.

Robin zakończyła moratorium Denise, dzwoniąc do niej. Skrzeczała przeraźliwie:

— Czy wiesz, o czym jest film Jerry’ego Schwartza?

— Hmm, Dostojewski w Germantown?

— Ty wiesz. Jak to się stało, że ja tego nie wiedziałam? Ponieważ ukrywał to przede mną, bo wiedział, co na ten temat pomyślę!

— Mówimy tutaj o Giovannim Ribisim jako brodatym Raskolnikowie — powiedziała Denise.

— Mój mąż — oświadczyła Robin — włożył pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które dostał od korporacji W, w film o anarchiście z północnej Filadelfii, który rozbija czaszki dwóm kobietom i idzie za to do więzienia! Rozwódzi się nad tym, jak super jest przebywać z Giovannim Ribisim, Jerrym Schwartzem, Ianem Jak-Mu-Tam i Stephenem Srata-tata, podczas gdy mój anarchistyczny brat z północnej Filadelfii, który rzeczywiście rozplątał komuś czaszkę...

— Dobrze, rozumiem — powiedziała Denise. — Rzeczywiście zabrakło tu pewnej wrażliwości.

— Nie sędzę. Myślę, że Brian jest na mnie wkurzony i nawet o tym nie wie.

Od tego dnia począwszy, Denise stała się skrytym adwokatem niewierności. Zrozumiała, że broniąc pomniejszych głupstw, które popełniał Brian, zachęca Robin do wypowiedziania znacznie poważniejszych oskarżeń, z którymi ona potem niechętnie się zgadza. Robiła wszystko, żeby rozumieć Robin lepiej niż ktokolwiek inny. Zasypywała Robin pytaniami, których Brian nigdy nie zadawał: o Billy’ego, o jej tatę, Kościół, o plany Projektu Ogrodniczego, o pół tuzina nastolatków, którzy połknęli bakcyła ogrodniczego i zamierzali pojawić się następnego lata, o tragedie miłosne i bóle szkolne ulubieńców Robin. Przerobiła z Sinéad działania na ułamkach. Kierowała rozmowę na tematy dotyczące gwiazd filmowych, muzyki popowej czy mody — najboleśniej włączyła wątki małżeństwa Robin. Dla niewprawnego ucha brzmiało to wszystko tak, jakby po prostu zabiegała o głębszą przyjaźń; ale Denise widziała, jak Robin je, poznała głód tej kobiety.

Ponieważ problemy z odprowadzaniem ścieków opóźniały otwarcie Generatora, Brian wykorzystał okazję i pojechał na festiwal filmowy Kalamazoo z Jerrym Schwartzem, dzięki czemu Denise mogła spędzić pięć bitych dni z Robin i dziewczynkami. Ostatniej nocy poszła do wypożyczalni kaset wideo i z udręką wybierała film. Koniec końców zdecydowała się na *Doczekać zmroku* (obrzydliwy samiec nęka zaradną Audrey Hepburn, której postać przypadkiem przypominała Denise Lambert) i *Dzika namiętność* (perwersyjna i cudowna Melanie Griffith ratuje Jeffa Danielsa z jego martwego małżeństwa). Gdy pojawiła się z kasetami na Panama Street, same tytuły wywołały u Robin rumieniec.

Pomiędzy seansami, już po północy, gdy popijały whisky na kanapie w salonie, głosem, który nawet jej wydawał się niezwykle piskliwy, Robin poprosiła Denise o pozwolenie na zadanie osobistego pytania.

— Jak często, w perspektywie powiedzmy tygodnia, robiliście to z Emile’em? — spytała.

— Nie powinnaś mnie pytać o to, co jest normalne w takich sytuacjach — odparła Denise. — Normalne zachowania widuję tylko u innych.

— Wiem, wiem — Robin wpatrywała się intensywnie w błękitny ekran telewizyjny. — Ale co twoim zdaniem jest normalne?

— Wydaje mi się, że wtedy — Denise odpowiadała powoli, myśląc „podaj dużą liczbę, podaj dużą liczbę” — normalne były dla mnie trzy razy tygodniowo.

Robin odetchnęła głośno. Kawalek jej kolana, może dwa lub cztery centymetry kwadratowe, przylegał do prawego kolana Denise.

— Po prostu powiedz mi, ile razy twoim zdaniem jest normalne — poprosiła.

— Myślę, że dla niektórych ludzi normalne jest codziennie.

Robin odezwała się głosem brzmiącym jak kostki lodu zgniecione między trzonowcami:

— To mogłoby mi się spodobać. To brzmi całkiem nieźle.

Dotykająca nogi Robin część prawego kolana Denise zaczęła płonąć, łaskotać i kłuć.

— Rozumiem, że tak teraz nie jest?

— Dwa razy miesięcznie! — wycedziła Robin przez zaciśnięte zęby. — Dwa razy miesięcznie.

— Myślisz, że Brian się z kimś widuje?

— Nie wiem, co robi, ale na pewno ja w tym nie uczestniczę. Czuję się jak jakaś idiotka.

— Nie jesteś idiotką, wręcz przeciwnie.

— To co z tym drugim filmem?

— *Dzika namiętność*.

— Dobra, jasne, obejrzymy go.

Przez następne dwie godziny Denise zwracała uwagę głównie na swoją rękę, która leżała na pufie bardzo blisko Robin. Nie było jej tam wygodnie i chciała, żeby Denise ją stamtąd zabrała, ale Denise nie chciała oddawać walkowerem z takim trudem zdobytego terytorium.

Dodatek:

Kiedy skończył się film, oglądały telewizję, a potem milczały przez niemożliwie długi czas, pięć minut, a może rok i Robin wciąż nie chciała pochwycić ciepłej, pięciopalczastej przynęty z poduszki. Denise marzyła w tej chwili o przyplywie jakiejś natarczywej, męskiej seksualności. Z tej perspektywy tamto półtora tygodnia, zanim Brian wreszcie uczynił jakiś gest, wydawało się jej mgnieniem.

O czwartej nad ranem zmęczona i zniecierpliwiona do granic możliwości wstała, żeby się pożegnać. Robin założyła buty i swoją purpurową nylonową kurtkę i odprowadziła Denise do samochodu. Tutaj w końcu chwyciła jej dłoń w swoje obie ręce. Gładziła ją suchymi kciukami dojrzałej kobiety. Powiedziała, jak bardzo cieszy się, że Denise jest jej przyjaciółką.

„Trzymaj się planu — powtarzała sobie w duchu Denise. — Zachowuj się jak siostra”.

— Też się z tego cieszę — odparła.

— He, he, he — zagdakała Robin. Denise doszła do wniosku, że to esencja skrępowania. Robin spojrzała na rękę Denise, którą wciąż miętoszyła nerwowo.

— Czy nie byłoby to ironiczne, gdybym to ja zdradziła Briana?

— O Boże — wyrwało się Denise niechcący.

— Nie przejmuj się — Robin zacisnęła dłoń na palcu wskazującym Denise i ścisnęła go mocno, spazmatycznie. — Ja sobie tylko żartuję.

Denise wpatrywała się w nią. „Czy ty w ogóle siebie słuchasz? — myślała. — Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co wyprawiasz z moim palcem?”.

Robin przycisnęła jej dłoń do ust i lekko ugryzła zębami schowanymi pod wargami. Przez chwilę jakby żuła, lekko ssała palec, a potem nagle puściła go i odsunęła się. Przeszepowywała z nogi na nogę.

— Więc do zobaczenia.

Następnego dnia Brian wrócił z Michigan i ich zabawy się skończyły.

Denise poleciała do St. Jude na długi weekend wielkanocny. Każdego dnia, niczym dziecięce pianino z tylko jedną melodyjką, Enid mówiła o starej przyjaciółce, Normie Greene, i o jej tragicznym romansie z żonatym mężczyzną. Żeby zmienić temat, Denise zauważyła na głos, iż Alfred wydawał się bardziej ożywiony i bystrzejszy, niż to opisywała Enid w listach i niedzielnych rozmowach telefonicznych.

— Bierze się w garść za każdym razem, gdy przyjeżdżasz — odparła Enid. — Kiedy zostajemy sami, robi się niemożliwy.

— Może kiedy jesteście sami, zbyt się na nim koncentrujesz?

— Denise, gdybyś mieszkała pod jednym dachem z mężczyzną, który całymi dniami śpi w swoim fotelu...

— Mamo, im bardziej mu marudzisz, tym bardziej będzie stawał okoniem.

— Nie widzisz tego, bo przyjeżdżasz tu tylko na parę dni, ale ja wiem, o czym mówię. Nie wiem tylko, co z tym zrobić.

„Gdybym mieszkała pod jednym dachem z osobą histerycznie mnie krytykującą, też spałabym całymi dniami w fotelu” — pomyślała Denise.

Po powrocie do Filadelfii stwierdziła, że kuchnia w Generatorze jest już w pełni sprawna. Życie Denise wróciło prawie do normy: znów szalała, kompletując i szkoląc załogę kuchni, zapraszając finalistów jej konkursu na ciasta i desery do zawodów na żywo, rozwiązując tysiące problemów z dostawami, harmonogramem, produkcją i wyceną. Pod względem architektonicznym restauracja była dokładnie tak oszalamiająca, jak obawiała się Denise, ale przynajmniej raz w swojej całej karierze przygotowała całe menu w odpowiedni sposób i miała na nim dwadzieścia absolutnych hitów. Potrawy były wynikiem trzykierunkowego dialogu między Paryżem, Bolonią a Wiedniem, czymś w rodzaju kontynentalnej konferencji ze specjalnym firmowym dodatkiem Denise — położeniem nacisku na smak, nie na wygląd. Widząc znów Briana na własne oczy, nie zaś tylko oczyma wyobraźni, przypomniała sobie nagle, jak bardzo go lubi. Częściowo wyzwoliła się ze swoich marzeń o podbojach. Gdy włączyła kuchenki Garlanda, gdy musztrowała kuchcików i ostrzyła noże, myślała: „Nuda to czas Szatana”. Gdyby pracowała ciężko, tak jak tego chciał Bóg, nie miałyby czasu na uganianie się za czyjąś żoną.

Przestawiła się na tryb całkowitego unikania. Pracowała od szóstej rano do północy. Im więcej dni spędzała wolna od uroku, który rzuciło na nią ciało Robin, ciepło dotyku i jej głód, tym chętniej przyznawała przed samą sobą, że w gruncie rzeczy niezbyt lubi nerwowość Robin, jej okropne uczesanie i drugogatunkowe ciuchy, jej głos przypominający skrzywienie zardzewiałych zawiasów, wymuszony śmiech i w ogóle całą tę nefajność Robin. Teraz Denise lepiej rozumiała, dlaczego Brian nieszkodliwie zaniedbuje Robin i zajmuje zdystansowane stanowisko w stylu: „Robin to świetna babka”. Robin była świetną babką, ale ktoś, kto był jej małżonkiem, musiał od czasu do czasu odizolować się od jej rozjarzonej energii i nacieszyć kilkoma dniami samotności w Nowym Jorku, Paryżu czy Sundance...

Ale krzywda została już wyrządzona. Najwyraźniej zabiegi Denise o zdradę małżeńską pozostawiły niezatarte wrażenie. Robin zaczęła szukać Denise z uporem tym bardziej irytującym, że towarzyszyły mu przeprosiny i ogólna nieśmiałość. Robin odwiedziła Generator. Zabrała Denise na lunch. Dzwoniła do niej o północy i gawędziła o mało interesujących rzeczach, którymi szczerze zafascynowanie Denise kiedyś udawała. Złapała ją w domu w niedzielne popołudnie i wprosiła się na herbatę przy połowie stołu pingpongowego, czerwieniąc się i chichrając przez cały czas.

Gdy herbata w jej kubku stygła, część Denise myślała: „Kurczę, ona naprawdę na mnie teraz leci”. Owa część uznała to natychmiast za dość męczącą sytuację, bezpośrednio fizyczne zagrożenie: „Ona chce uprawiać seks każdego dnia!”. Jednocześnie ta sama część Denise myślała także: „Mój Boże, jak ona je” oraz „Nie jestem lesbijką!”.

W tym samym czasie inną część Denise dosłownie zalewało pożądanie. Nigdy nie postrzegала tak obiektywnie seksu jako choroby, zespołu symptomów cielesnych, ponieważ nigdy wcześniej nie

zachorowała tak bardzo jak teraz na Robin.

W chwili ciszy przeplatanej kolejne porcje gadki Robin chwyciła pod stołem do ping-ponga elegancko obutą stopę pomiędzy swoje znoszone, białe adidas z czerwono-pomarańczowymi ozdóbkami. Chwilę później pochyliła się i chwyciła rękę Denise.

— Więc — powiedziała — zastanawiałam się nad czymś.

Otwarcie Generatora nastąpiło 23 maja, dokładnie rok od dnia, w którym Brian zaczął wypłacać Denise jej wygórowaną pensję. Uroczystość została opóźniona o tydzień, żeby Brian i Jerry Schwartz mogli pojechać na festiwal filmowy w Cannes. Każdej nocy, gdy Brian był daleko, Denise odpłacała się mu za jego hojność i wiarę w nią, pojawiając się na Panama Street i sypiając z jego żoną. Jej mózg mógł się czuć martwy niczym mózg cielaka u taniego rzeźnika na Dziewiętej Ulicy, ale tak naprawdę nie była tak zmęczona, jak przypuszczała. Jeden pocałunek, ręka na jej kolanie rozbudzały jej ciało natychmiast. Czowała się owładnięta, kierowana, rozpalana przez ducha nieczystego każdego stosunku płciowego, od którego zwykle uciekała w swoim małżeństwie. Zamykała oczy, wtulając twarz w plecy Robin, układała policzek między jej łopatkami, dłońmi obejmowała jej piersi, krągłe i płaskie, i przedziwnie lekkie; czowała się niczym kociak z dwoma puchowymi łapkami. Zasypiała na kilka godzin, a potem zwlekała się z łóżka, otwierała drzwi, które Robin zamykała na klucz w obawie przed niespodziewaną wizytą Erin lub Sinéad, i trzęsąc się potwornie, wyczołgiwała się w mokry poranek Filadelfii.

Brian umieścił duże, zagadkowe reklamy Generatora w lokalnych tygodnikach i miesięcznikach. Rozpuścił też wieści wśród znajomych, ale dwadzieścia sześć osób na lunchu pierwszego dnia działalności i czterdzieści pięć na pierwszym obiedzie nie stanowiły wyzwania dla kuchni Denise. Oszklona sala jadalna zawieszona w niebieskawym poblasku Cherenkowa miała sto czterdzieści stolików; Denise była przygotowana na gotowanie dla trzystu osób. W sobotę wpadła na obiad Robin z Brianem i dziewczynkami. Zwiedzili szybko kuchnię. Denise sprawiała wrażenie swobody wobec dziewczynek, a Robin, która wyglądała zjawiskowo w małej czarnej sukni i z czerwoną szminką na ustach, sprawiała wrażenie, że jest żoną Briana.

Denise poukładała sobie wszystko w głowie na tyle, na ile umiała. Przypomniła sama sobie, że Brian padł przed nią na kolana w Paryżu; że nie zrobiła nic złego, postępując zgodnie z jego własnymi zasadami; że zaczekała, aż Robin wykona pierwszy ruch. Ale moralne dzielenie włosa na czworo nie mogło wyjaśnić tego totalnego, absolutnego braku wyrzutów sumienia. W rozmowie z Brianem czowała się przymulona i rozproszona. Znaczenie jego słów dochodziło do niej w ostatnim momencie, zupełnie jakby mówił po francusku. Oczywiście miała wszelkie warunki, żeby nabić go w butelkę — sypiała cztery godziny dziennie i praca w kuchni Generatora szybko ruszyła pełną parą, Brian zaś ze swej strony rozproszony swoimi projektami filmowymi dał się oszukać łatwiej, niż się spodziewała. Ale „oszustwo” nie było właściwym słowem. Bardziej pasowało tu „odcięcie”. Jej romans był niczym życie z bajki rozkwitające w zamkniętej, dźwiękoszczelnej izbie jej umysłu, gdzie, jeszcze mieszkając w St. Jude, nauczyła się chować wszystkie swoje pragnienia.

Recenzenci pojawili się łaskawie w Generatorze pod koniec czerwca i wyszli zachwyceni. „Inquirer” porównał restaurację do małżeństwa: „mariaż całkowicie unikatowych” wewnątrz „niebagatelny i naprawdę znakomitym jedzeniem” autorstwa „perfekcjonistki” Denise Lambert. Kolacja w Generatorze była „koniecznością” i przeżyciem, które „bez niczyjej pomocy” umieściło Filadelfię na „mapie superfajnych miejsc”. Brian był zachwycony, ale Denise nie podzielała jego entuzjazmu. Pomyślała, że język użyty w recenzji opisał restaurację jako miejsce kretyńskie i nijakie. Podliczyła, że cztery akapity w artykule poświęcono architekturze, trzy — gadaniu o niczym, dwa

dotyczyły obsługi, jeden — serwowanego wina, dwa — deserów i tylko siedem — jedzenia.

— Nie wspomnieli słowem o mojej kapuście kiszzonej — powiedziała bliska płaczu z wściekłości.

Telefony w rezerwacji dzwoniły dzień i noc. Musiała teraz pracować, pracować. Ale Robin dzwoniła do niej późnymi rankami i popołudniami, głos przesiąknięty nieśmiałością, kadencje synkopowane zawstyżeniem:

— Więc... tak się zastanawiałam... myślisz, że... czy mogłybyśmy się spotkać na minutkę?

I zamiast odmówić, Denise wciąż mówiła „tak”. Zaniedbywała lub odkładała na później inwentaryzację, skomplikowane podpiekanie potraw, wykonywanie niezbędnych telefonów do dostawców, żeby wymknąć się na chwilę i spotkać z Robin na pobliskim skwerku przy rzece Schuykill. Czasem po prostu siedziały na ławce, trzymając się dyskretnie za ręce, i chociaż zazwyczaj konwersacje na tematy niezawodowe w godzinach pracy niezwykle denerwowały Denise, rozmawiały o poczuciu winy Robin i braku poczucia winy Denise, a także o tym, co to znaczy, że robią to, co robią, i jak mają się ich sprawy. Wkrótce jednak ich dyskusje stały się bardzo krótkie. Głos Robin w słuchawce jej biurowego telefonu oznaczał język. Jedno lub dwa jej słowa zupełnie rozstrajały Denise. Usta i język Robin produkowały słowa, których domagały się codzienne potrzeby, ale w uchu Denise przemawiały już tym innym językiem uniesienia, opadania, otaczania, krążenia, który jej ciało pojmowało intuicyjnie i któremu poddawało się bez udziału jej świadomości; czasem miękła tak bardzo, że jej żołądek kurczył się i Denise zginała się w pół; przez następną godzinę lub dłużej nie istniało nic na świecie, tylko język, nie było już inwentaryzacji, duszonych w maśle bażantów i nieopłaconych dostawców; wychodziła z Generatora zahipnotyzowana, niemal nie reagując na bodźce zewnętrzne, hałas świata zanikał, inni kierowcy na szczęście przestrzegali przepisów drogowych. Jej samochód był językiem posuwającym się wzdłuż miękkich asfaltowych ulic, jej stopy były bliźniaczymi językami liżącymi bruk, drzwi wejściowe do domu na Panama Street były ustami, które ją połykały, perski dywan w przedpokoju prowadzącym do sypialni był kuszącym językiem, łóżko było smoczkiem, poduszki — miękkim, wielkim językiem, który błagał, aby nań naprzeć, a potem...

To wszystko było dla niej nowym lądem, można było bezpiecznie tak powiedzieć. Denise nigdy niczego nie pragnęła jak teraz, a już na pewno nie seksu. W czasach małżeństwa uznawała orgazm za żmudną, lecz czasem niezbędną czynność kuchenną. Gotowała przez czternaście godzin, a potem zasypiała w ubraniu. Ostatnią rzeczą, której pragnęła w środku nocy, było przyrządzanie według skomplikowanego przepisu dania, którego nie miała siły docenić lub w żadnym wypadku polubić. Czas przygotowania minimum piętnaście minut. Nawet potem gotowanie nie było takie proste. Patelnia zbyt rozgrzana, ogień za duży albo za wolny, cebulki nie chciały się zesmażyć lub ulegały natychmiastowemu zwęgleniu i zasychały; trzeba było odstawić patelnię do ochłodzenia, przeprowadzać bolesną dyskusję z chwilowo wściekłym i cierpiącym zastępcą szefa kuchni, a potem w nieunikniony sposób mięso zawsze było zbyt twarde i żylaste, sos tracił konsystencję podczas kolejnych prób rozcieńczania i odparowania i robiło się tak cholernie późno, oczy piekły i w porządku, może przy odpowiednim nakładzie czasu i wysiłku udawało się wreszcie jakoś w miarę podać wszystko na talerzu, ale wtedy człowiek nie był pewien, czy chce coś takiego podać swojej obsłudze, więc po prostu sam to połykał („dobra, niech będzie — doszłam”) i zasypiał obolały. I to wszystko było tak niewarte wysiłku, ale próbowała co tydzień lub dwa, bo jej orgazm był ważny dla Emile’a, a ona czuła się winna. Mogła go zadowalać tak zręcznie i niezawodnie (i wkrótce już także bezmyślnie), jak potrafiła klarować bulion; jakąż dumę i zadowolenie czerpała ze swoich umiejętności! Emile jednak zdawał się wierzyć, że bez kilku wstrząśnień i na poły wymuszonych westchnień z jej strony ich małżeństwo wpadnie w kłopoty. I chociaż późniejsze wydarzenia

wykazały, że się nie mylił, zanim jej oczy spoczęły na Becky Hemerling, Denise nie mogła pozbyć się poczucia winy, presji i urazy w kwestii orgazmów.

Robin była *prêt-à-manger* [14]. *Nie trzeba było na nią przepisu, nie trzeba było przygotowań, żeby zjeść brzoskwinie. Oto brzoskwinia, bum, oto nagroda. Denise miała już przecucie łatwości i bez troski, kiedy była z Hemerling, ale dopiero teraz, w wieku trzydziestu dwóch lat zrozumiała, o co było całe to zamieszanie. W sierpniu dziewczynki pojechały na obóz, a Brian do Londynu. Szefowa zaś najmodniejszej nowej restauracji w okolicach wstawiała z łóżka po to tylko, aby znaleźć się na czyimś dywanie, ubierała się po to, żeby zacząć się przy kimś rozbierać, docierała do korytarza, próbując uciec, po to, żeby dochodzić, oparta plecami o drzwi wejściowe; z miękkimi kolanami i napuchniętymi od niewyspania oczami, wlekła się wreszcie do kuchni, do której obiecała wrócić za czterdzieści pięć minut. Nie było dobrze. Restauracja cierpiała. Przestoje na linii produkcyjnej, opóźnienia na sali, dwa razy musiała skreślić entrées z menu, ponieważ kucharze bez jej pomocy mieli za mało czasu na przygotowania. A ona mimo to wciąż wychodziła bez usprawiedliwienia w środku drugiego wieczornego napływu gości, jechała przez Crack Haven i w dół Junk Row, mijając Blunt Alley i przyjeżdżała do Projektu Ogrodniczego, gdzie Robin miała schowany koc. Większość ogrodu była wyplewiona, nawieziona i obsadzona roślinami. W donicach sporządzonych ze starych łysych opon otoczonych parawanem z pofałdowanej stali rosły pomidory. Reflektory i światła lądujących samolotów, przydymione smogiem konstelacje, radowy odbłask szkła od zegara na Stadionie Weteranów, błyskawica nad Tinicum i księżyc, który wschodząc nad Camden, nabawiał się żółtaczką — wszystko to odbijało się w skórkach młodych bakłażanów, papryk i cukinii, w niedojrzałych kolbach kukurydzy i w kantalupach. Denise, naga w samym środku miasta, rozkładała koc na chłodnym nocą gruncie, piaszczystym i dopiero co spulchnionym. Opierała na nim policzek i wpychała palce Robin w ziemię.*

— Boże, przestań, przestań! — krzyczała piskliwie Robin. — To nasza nowa sałata.

Potem wrócił Brian i zaczęły robić różne głupoty. Robin mówiła Erin, że Denise nie czuje się dobrze i musi odpocząć w sypialni. Zdarzył im się też pewien gorączkowy epizod, podczas którego Brian czytał E. B. White’a niecałe sześć metrów od nich. Wreszcie, na tydzień przed Świętem Pracy, nadszedł ten poranek w biurze Robin w Projekcie Ogrodniczym, gdy oparcie antycznego drewnianego krzesła załamało się pod naporem dwóch ciał. Śmiały się właśnie, gdy usłyszały głos Briana.

Robin skoczyła na równe nogi, przekręciła klucz w drzwiach i jednocześnie otworzyła je, aby sprawić wrażenie, że nie były zamknięte. Brian niósł koszyk nakrapianych zielonych wybrzuszeń. Był zaskoczony, ale jak zwykle zachwycony widokiem Denise.

— Co tu się dzieje?

Denise klęczała przy biurku Robin z rozchełstaną bluzką.

— W krzesło Robin złamało się oparcie — powiedziała Denise. — Próbuję złożyć do kupy krzesło Robin.

— Zapytałam ją, czy potrafi to naprawić — zaskrzeczała Robin.

— Co ty tu w ogóle robisz? — zapytał Denise zdziwiony.

— Miałam ten sam pomysł, co ty — odparła Denise. — Cukinie.

— Sara powiedziała, że nikogo nie ma.

Robin wycofywała się chyłkiem.

— Porozmawiam z nią — powiedziała. — Powinna wiedzieć, kiedy tu bywam.

— W jaki sposób Robin zdołała to złamać? — nie przestawał indagować Brian.

— Nie wiem. — Miała ten niedobry dziecięcy odruch, żeby się rozplakać, gdy została przyłapana na gorącym uczynku.

Brian podniósł górną połowę oparcia krzesła. Nigdy specjalnie nie przypominał Denise jej ojca, ale gdy teraz zobaczyła jego inteligentną sympatię dla zepsutego przedmiotu, przeszło ją wspomnienie Alfreda.

— To dobra dębina — powiedział. — Dziwne, że tak po prostu nagle się złamało.

Podniosła się z kolan i wyszła do korytarza, po drodze wkładając koszulę w spodnie. Nie zatrzymała się, aż wsiadła do samochodu. Pojechała w górę Bainbridge Street w kierunku rzeki. Stała przy metalowej barierze ochronnej, zgasila silnik, puszczając nagle sprzęgło, i pozwoliła samochodowi wtoczyć się na barierkę i odbić od niej lekko, zanim stanął, a Denise wreszcie załamała się i rozplakała nad złamanym krzesłem.

Miała już jaśniejszy umysł, gdy wróciła do Generatora i zobaczyła, że był zaniedbany, zachwaszczony na wszystkich frontach. Czekają na nią nieodebrane telefony od reportera z „Timesa”, który pisał o jedzeniu, od edytora „Gourmetu” i od właściciela najnowszej restauracji, który chciał wykraść Brianowi jego szefa kuchni. W spiżarni zalegały góry niewykorzystanych, zepsutych już piersi z kaczki i kotletów cielecych o łącznej wartości ponad tysiąca dolarów. Wszyscy wiedzieli i wszyscy powiedzieli Denise, że w łazience pracowniczej pojawiła się igła. Cukiernik twierdził, że zostawił jej kilka odręcznie napisanych notek, prawdopodobnie dotyczących jego pensji, których Denise nie mogła znaleźć.

— Dlaczego nikt nie zamawia żeberek po wiejsku? — spytała Roba Zito. — Dlaczego kelnerzy nie polecają moich fenomenalnie smakowitych żeberek po wiejsku?

— Amerykanie nie lubią kapusty kiszzonej — odrzekł Zito.

— Diabła tam nie lubią. Widziałam moje własne odbicie w talerzach tych, którzy je zamówili. Mogłam policzyć wszystkie moje rzęsy.

— Być może mamy jakichś klientów pochodzenia niemieckiego. Ludzie z paszportami niemieckimi mogą być odpowiedzialni za owe czyste talerze.

— Czy to możliwe, że ty nie lubisz kapusty kiszzonej?

— Ma interesujący smak.

Robin nie odzywała się do niej, a Denise także nie dzwoniła. Udzieliła wywiadu „Timesowi” i pozwoliła się sfotografować, polechtała ego mistrza cukierniczego, została do późna i sama spakowała zepsute mięso do toreb, wyrzuciła pomywacza, który dawał sobie w żyłę w toalecie i przy każdym lunchu, każdym obiedzie cisnęła kucharzy i rozwiązywała problemy.

W Święto Pracy: martwota. Zmusiła się do wyjścia z biura i wyszła na spacer do pustego, rozpalonego miasta, skręcając, w swojej samotności, ku Panama Street. Gdy zobaczyła dom, poczuła się jak miękka beza. Fasada z piaskowca wciąż była twarzą, a drzwi — językiem. Samochód Robin stał na zewnątrz, ale nigdzie nie widziała volva Briana; pojechali na Cape May. Denise zadzwoniła, chociaż po kurzu zalegającym wokół drzwi widziała, że nikogo nie ma w domu. Weszła do środka, używając klucza, na którym napisała „R/B”. Po schodach wspięła się do sypialni małżeńskiej. Kosztowna, sprytnie wbudowana nowoczesna klimatyzacja działała wyśmienicie; chłodne powietrze z puszeki zmagало się z żarem Święta Pracy. Gdy położyła się na nieposłanym małżeńskim łóżu, przypomniała sobie zapach i ciszę letnich popołudni w St. Jude, gdy zostawała sama w domu i przez kilka godzin mogła być tak dziwna, jak chciała. Wróciła do siebie. Leżała na skotłowanych prześcieradłach, na jej pierś padał promień słońca. Zaczerpnęła jeszcze trochę z wnętrza siebie i wyciągnęła ramiona. Pod jedną z poduszek wymacała opakowanie z folii aluminiowej, jakby od

prezerwatywy.

To było opakowanie od prezerwatywy. Przedarte i puste. Zaskomlała na myśl o akcie penetracji, do której ów przedmiot był atestowany, i schowała głowę w ramionach.

Wyczołgała się z łóżka i wygładziła sukienkę na biodrach. Przyjrzała się uważnie pościeli w poszukiwaniu innych obrzydliwych niespodzianek. Cóż, oczywiście, małżonkowie uprawiali seks. Naturalnie. Ale Robin powiedziała jej, że nie zażywa pigułek, że Brian nie kochał się z nią na tyle często, żeby zadawała sobie taki trud; poza tym przez całe lato Denise nie widziała ani nie czuła najmniejszego śladu męża na ciele swojej kochanki, dlatego pozwoliła sobie zapomnieć o oczywistej rzeczy.

Przyklękła przy kubelku na śmieci stojącym przy szafie Briana. Zaczęła grzebać w chusteczkach higienicznych, odcinkach kontrolnych biletów i kawałkach nitki do zębów, aż znalazła kolejne opakowanie po prezerwatywie. Nienawiść do Robin, nienawiść i zazdrość zwały się na nią jak migrena. W przylegającej do sypialni łazience znalazła dwa kolejne opakowania i zużytą gumkę w koszu stojącym pod umywalką.

Uderzyła się pięściami w skronie. Gdy zbiegała na dół po schodach i wypadła na wieczorne powietrze, słyszała swój oddech nawet w zębach. Na zewnątrz było 30 stopni Celsjusza, ale ona trzęsła się z zimna. Dziwactwo, dziwactwo. Wróciła okazją do Generatora i weszła od rampy. Zinventaryzowała oleje, sery, mąkę i przyprawy, wypisała stertę szczegółowych zamówień, zostawiła dwadzieścia wiadomości lekko drwiącym, wyraźnym i cywilizowanym głosem, odpisała na wszystkie e-maile, usmażyła sobie nerkę na palniku Garlanda, doprawiła kieliszkiem grappy i o północy zamówiła taksówkę do domu.

Następnego dnia w jej kuchni pojawiła się niezapowiedziana Robin. W dużej białej koszuli Briana. Żołądek Denise wywinął kozła na ten widok. Zaprowadziła ją do swojego biura i zamknęła drzwi.

— Nie mogę tego dłużej ciągnąć — powiedziała Robin.

— To dobrze, bo ja też nie.

Robin miała niewyraźną minę. Drapała się w głowę, tarła nos z przypominającą tik nerwowy ustawicznością i poprawiała okulary.

— Nie byłam w kościele od czerwca — powiedziała. — Sinéad przyłapała mnie na dziesięciu różnych kłamstwach. Chce wiedzieć, dlaczego nas już nie odwiedzasz. Nie znam nawet połowy nowych dzieciaków, które ostatnio dołączyły do Projektu. Wszystko się strasznie pogmatwało i ja już po prostu nie mogę tego dłużej robić.

Denise zdołała wypluć z siebie pytanie:

— Jak się miewa Brian?

Robin spłonęła rumieńcem.

— On o niczym nie wie. Nic się nie zmienił. Wiesz, lubi ciebie, lubi mnie.

— Jasne, że cię lubi.

— Wszystko jest jakoś nie tak.

— Cóż, a ja mam tu dużo roboty.

— Brian nigdy nie zrobił mi krzywdy. Nie zasłużył na to.

Na biurku Denise odezwał się telefon. Pozwoliła mu dzwonić. Pękała jej głowa i nie mogła znieść tego, że słyszy imię Briana z ust Robin.

Robin spojrzała na sufit, perełki łez zalśniły na jej rzęsach.

— Nie wiem, po co tu przyszłam, nie wiem, o czym mówię. Po prostu czuję się naprawdę podle i niesamowicie samotnie.

— Skończ z tym — powiedziała Denise. — To samo zamierzam zrobić ja.

— Dlaczego jesteś taka oschła?

— Ponieważ jestem oziębłą osobą.

— Gdybyś do mnie zadzwoniła albo powiedziała, że mnie kochasz...

— Skończ z tym! Na miłość boską! Skończ z tym! Skończ już z tym!

Robin spojrzała na nią błagalnie, ale gdyby nawet kwestia prezerwatyw jakoś się wyjaśniła, co takiego Denise miała zrobić? Zrezygnować z pracy w restauracji, która czyniła z niej gwiazdę? Zamieszkać w getcie i być jedną z dwóch mamus Sinéad i Erin? Chodzić w wielkich adidasach i gotować wegetariańskie potrawy?

Wiedziała, że się oszukuje, ale nie miała pojęcia, które z myśli przebiegających przez jej głowę były kłamstwem, a które prawdą. Wpatrywała się w biurko, dopóki Robin szarpnięciem nie otworzyła drzwi i nie uciekła.

Następnego dnia Generator pojawił się na pierwszej stronie „New York Timesa”, w sekcji dotyczącej jedzenia i restauracji, tuż pod zgięciem. Pod nagłówkiem („Generując megawatowy szum”) widniało zdjęcie Denise, natomiast fotografie wnętrza i zewnątrz restauracji zostały umieszczone na stronie szóstej, gdzie można było również znaleźć jej żeberka po wiejsku w bigosie. Tak było lepiej, bliżej ideału. Do południa otrzymała zaproszenie do Telewizji Kulinarnej i stała miesięczną kolumnę w „Philadelphii”. Obeszła Roba Zito i kazała dziewczynie z rezerwacji przyjąć o czterdzieści więcej osób na wieczór. Gary i Caroline zadzwonili z gratulacjami, każde z nich z osobna. Zbeształa Zita za to, iż odmówił rezerwacji na weekend jednej z lokalnych dziennikarek związanej z NBC. Powyżywała się na nim trochę, ale czuła się dzięki temu lepiej.

Wpływowi ludzie, których kiedyś nieczęsto spotykało się w Filadelfii, siedzieli w barze i byli już po trzecim głębszym, gdy pojawił się Brian z tuzinem róż. Uściskał Denise, a ona została w jego ramionach. Dała mu coś, co mężczyźni lubią.

— Potrzebujemy więcej stołów — powiedziała wreszcie. — Trzy czwórki i szóstka to minimum. Potrzebujemy pełnoetatowej recepcjonistki, która wie, jak przesiewać ludzi. Potrzebujemy ochrony na parkingu i cukiernika z większą wyobraźnią, a mniejszym ego. Pomyśl także o wymianie Roba na kogoś z Nowego Jorku, kto potrafiłby trafić do takiej publiczności, jakiej sobie tutaj życzymy.

— Zrobiłabyś to Robowi? — Brian był zaskoczony.

— Nie rekomendował moich żeberek w bigosie — powiedziała Denise. — „Times” polubił moje żeberka w bigosie. Pieprzę Roba, jeśli nie potrafi wykonać dobrze swojej roboty.

Twardy ton rozpałił ogień w oczach Briana. Chyba podobała mu się taka.

— Jak sobie życzysz — rzekł.

W sobotnią noc dołączyła do Briana, Jerry’ego Schwartza, dwóch blondynek z wystającymi kośćmi policzkowymi oraz wokalisty i gitarzysty jednej z ulubionych grup muzycznych Denise. Popijali drinki na małym, ogrodzonym balustradą tarasiku, który Brian wygospodarował na dachu Generatora. Noc była ciepła i owady nad rzeką brzęczały niemal tak głośno, jak trakcja ekspresowa Schuylkill. Obie blondynki rozmawiały przez telefon. Denise przyjęła papierosa od schrypniętego po koncercie gitarzysty i pozwoliła mu obejrzeć swoje blizny.

— Kurde balans, twoje ręce wyglądają gorzej niż moje.

— Taka praca — odparła. — Wymaga znoszenia bólu.

— Kucharze notorycznie nadużywają swoich szkodliwych substancji.

— Lubię wypić drinka o północy — powiedziała. — Dwa tylenole, kiedy wstaję o szóstej rano.

— Denise jest supertwardą babką — pochwalił się żałośnie Brian ponad antenami blondynek.

Gitarzysta w odpowiedzi wywalił na wierzch język. Chwycił papieros niczym zakraplacz do oczu i zbliżył żar do połyskującej szczeliny. Syczenie było wystarczająco głośne, żeby blondynki przerwały swoje rozmowy telefoniczne. Wyższa z nich pisnęła, zawołała gitarzystę po imieniu, a potem powiedziała mu, że jest nienormalny.

— Cóż, zastanawiam się tylko, jakich substancji ty próbowałeś.

Gitarzysta potraktował poparzenie zimną wódką. Wyższa blondynka, niezadowolona z jego występu, odpowiedziała:

— Klonopin i Jameson's czy jakkolwiek się to nazywa.

— Zwilżają język — odparła Denise, gasząc swój papieros na miękkiej skórze tuż za uchem. Poczula, jakby strzeliła sobie w głowę, ale nie pokazała nic po sobie, tylko rzuciła niedopałek od niechcenia w kierunku rzeki.

Na tarasie zapadła cisza. Jej dziwactwo objawiło się niespodziewanie nawet dla niej samej. Ponieważ nie musiała — a mogłaby właśnie teraz kroić baraninę albo prowadzić konwersację z matką — wydała z siebie zduszony okrzyk, komiczny dźwięk, aby pokrzepić swoją widownię.

— Wszystko w porządku? — zapytał Brian później, na parkingu.

— Poparzyłam się kiedyś gorzej, przez przypadek.

— Nie, pytałem, czy wszystko z tobą w porządku. To było trochę przerażające.

— Cóż, to ty się przechwalałeś tym, jaka ze mnie twardzielka. Dzięki.

— Chciałem powiedzieć, że głupio się czuję z tego powodu.

Przez całą noc nie mogła zasnąć z bólu.

Tydzień później Brian wyrzucił Roba Zito i zatrudnił na jego miejsce byłego menadżera z Union Square Cafe. Następnego tygodnia w restauracji pojawił się burmistrz Filadelfii, młodszy senator z New Jersey, prezydent korporacji W i Jodie Foster. Tydzień później Brian odwiózł Denise do domu po pracy, a ona zaprosiła go do środka. Tam, nad kieliszkiem wina za pięćdziesiąt dolarów — tego samego, które kiedyś podała jego żonie — Brian zapytał, czy Denise i Robin się poróżniły. Denise zacisnęła usta i pokręciła głową.

— Po prostu mam kupę roboty.

— Tak myślałem. Wydawało mi się, że to nie ma nic wspólnego z tobą. Ostatnio Robin wkurza się na wszystko, zwłaszcza ma to, co odnosi się w jakikolwiek sposób do mnie.

— Brakuje mi spotkań z dziewczynkami — rzuciła Denise.

— Wierz mi, że i one za tobą tęsknią. — I dodał z lekkim zająknięciem: — Myślałem... żeby wyprowadzić się z domu.

Denise powiedziała mu, że jest jej przykro.

— Ta sprawa z pokutą wymknęła się spod kontroli — ciągnął, nalewając sobie kolejny kieliszek wina. — Robin od trzech tygodni codziennie chodzi na wieczorne msze. Nawet nie wiedziałem, że coś takiego istnieje. Nie mogę powiedzieć dosłownie ani jednego słowa o Generatorze, żeby nie wybuchła. Ona za to bez przerwy mówi o tym, żeby dziewczynki uczyły się w domu. Marudzi, że dom jest za duży. Chce się przeprowadzić do domu w Projekcie i uczyć tam nasze córki i być może jeszcze parę dzieciaków z fundacji. Rasheeda? Marilou? Co za doskonałe miejsce do spędzenia dzieciństwa dla Sinéad i Erin, brudne ulice w Point Breeze! To się przeradza w jakieś wariactwo.

Wiesz, naprawdę Robin jest wspaniała. Wierzy w lepsze rzeczy niż ja. Po prostu nie wiem, czy jeszcze ją Kocham. Czuję się tak, jak podczas sprzeczki z Nickim Passafaro. Szkoła nienawiści, część druga.

— Robin jest przepelniona poczuciem winy — powiedziała Denise.

— Zaczyna być nieodpowiedzialną matką.

Denise znalazła odwagę, aby zapytać:

— Czy chciałbyś zabrać dziewczynki, jeżeli dojdzie do rozwodu?

Brian pokręcił głową.

— Nie jestem pewien, czy gdyby doszło do rozwodu, Robin chciałaby przejąć opiekę nad dziećmi. Pewnie zrezygnowałaby ze wszystkiego.

— Nie przywiążuj się do tego pomysłu.

Denise pomyślała o Robin czeszącej włosy Sinéad i nagle strasznie dotkliwie zatęskniła za jej szalonymi tęsknotami, za jej ekscesami, za dostępnością i niewinnością. Coś przełączyło się w jej mózgu i na ekranie umysłu wyświetliła się lista wszystkich wspaniałych rzeczy w osobie, którą odtrąciła. Znowu pokochała najdrobniejsze gesty, przyzwyczajenia i znaki charakterystyczne dla Robin, to, że wolała kawę z bardzo gorącym mlekiem, jej wyblakłą koronkę na przednim zębie, który brat jej złamał kamieniem, jak opuszczała głowę i trącała nią czule Denise.

Thumaczac się zmęczeniem, Denise wyprosiła Briana z domu. Następnego ranka nad morzem pojawił się tropikalny niski front atmosferyczny, wilgotny, huraganowy niepokój, który kołysze ponuro koronami drzew i rozpryskuje spienione fale o falochrony. Denise pozostawiła Generator w rękach swojego zastępcy i pojechała pociągiem do Nowego Jorku, żeby poratować finansowo swojego nierozważnego brata i potowarzyć rodzicom. Podczas stresującego lunchu, gdy Enid powtarzała słowo w słowo historię o Normie Greene, Denise nie dostrzegła w sobie żadnej zmiany. Miała wciąż starą zapracowaną siebie, wersję 3.2 albo 4.0, która ubolewała nad pożałowania godnymi cechami Enid i kochała to, co można było ukochać w Alfredzie. Dopiero na nabrzeżu — gdy jej matka pocałowała ją na pożegnanie, a zupełnie inna Denise w wersji 5.0 niemal wcisnęła swój język między wargi pięknej staruszki, niemal przesunęła dłońmi po biodrach i udach Enid, niemal ugięła się pod naporem i obiecała, że przyjedzie na Gwiazdkę na tak długo, jak będzie chciała Enid — objawił się zakres korekt w Denise.

Wsiadła do pociągu powrotnego i patrzyła, jak lśniące od deszczu perony podmiejskich stacji przemykają za oknami. Podczas lunchu ojciec wyglądał na wariata. A jeżeli tracił rozum, możliwe, że Enid nie przesadzała, mówiąc o trudnościach, których jej przysparza. Możliwe, że Alfred naprawdę jest już wrakiem człowieka, który jakoś zbierał się do kupy specjalnie dla swoich dzieci, że Enid nie jest tak do końca żenującą zrzędą i zarazą, jak to sobie wyobrażała Denise przez ostatnie dwadzieścia lat. Możliwe, że problemy Alfreda były poważniejsze niż tylko posiadanie niewłaściwej żony, że problemy Enid sprowadzały się do życia z niedobrym mężem, a Denise bardziej przypominała Enid, niżby chciała. Słuchała turkotania kół na szynach i patrzyła, jak ciemnieje październikowe niebo. Gdyby została w pociągu, może byłaby dla niej jakaś nadzieja, ale do Filadelfii nie było tak daleko, a potem wróciła do pracy i nie miała czasu zastanawiać się nad niczym innym, dopóki nie poszła z Garym na prezentację Axonu i tam ze zdziwieniem skonstatowała, iż bronni nie tylko Alfreda, ale także Enid w późniejszych dyskusjach i kłótniach z bratem.

Nie pamiętała, czy kiedykolwiek kochała swoją matkę.

Moczyła się w wannie o dziewiątej wieczorem, gdy zadzwonił Brian i zaprosił ją na kolację z Jerrym Schwartzem, Mirą Sorvino, Stanleyem Tuccim, Sławnym Amerykańskim Reżyserem,

Sławnym Aktorem Brytyjskim i innymi osobistościami. Sławny Reżyser właśnie zakończył zdjęcia do filmu w Camden i Brian wraz ze Schwartzem ściągnęli go na prywatną projekcję *Zbrodni i kary i rock'n'rolla*.

— Mam wolny wieczór — wykręcała się Denise.

— Martin powiedział, że wyśle swojego kierowcę — odparł Brian. — Będę wdzięczny, jeśli przyjedziesz. Moje małżeństwo jest skończone.

Włożyła czarną kaszmirową sukienkę, zjadła banana, żeby nie wydać się głodną na obiedzie, i ruszyła wraz z kierowcą reżysera do Tacconello, pizzerii w Kensington. Tuzin sławnych i średnio sławnych ludzi, Brian i małpowaty, zgarbiony Jerry Schwartz zaanektowali trzy stoliki. Denise ucałowała Briana w usta i usiadła pomiędzy nim a Sławnym Aktorem Brytyjskim, który miał w zapasie cały wagon dowcipów o krykiecie i grze w rzutki i zamierzał zabawiać nimi Mirę Sorvino. Sławny Reżyser powiedział Denise, że jadł jej żeberka po wiejsku w bigosie i że były przepyszne, ale Denise jak najszybciej zmieniła temat. Była tutaj jako towarzyszka Briana; ludzie filmu nie interesowali się ani nią, ani nim. Położyła dłoń na kolanie Briana, jakby chciała go pocieszyć.

— Raskolnikow słucha w słuchawkach Trenta Reznora, załatwiając staruszkę. To absolutnie doskonałe — powiedziała najmniej znana osoba w towarzystwie, młodociany stażysta Jerry'ego Schwartz.

— Właściwie to słucha Nomaticsów — poprawił go Schwartz z druzgoczącym brakiem protekcjonalności.

— A nie Nine Inch Nails?

Schwartz przymknął powieki i delikatnie pokręcił głową.

— Nomatics, *Held in Trust*. Później przerobione bez odpowiedniej wzmianki o twórcy przez tę osobę, której nazwisko przed chwilą wymieniłeś.

— Wszyscy kradną od Nomatics — zauważył Brian.

— Zawisli na krzyżu zapomnienia, po to aby inni mogli cieszyć się wieczną sławą — dodał Schwartz.

— Jaka była ich najlepsza płyta?

— Podaj mi swój adres, nagram ci CD — odparł Brian.

— Wszystko było genialne — rozgadał się Schwartz — aż do *Thorazine Sunrise*. To było wtedy, gdy odszedł Tom Paquette, ale reszta nie rozumiała, że zespół się skończył, dopóki nie nagrali jeszcze dwóch płyt. Wtedy wreszcie ktoś im to uświadomił.

— Myślę, że państwu, które w szkołach naucza kracjonizmu — rzekł Sławny Aktor Brytyjski do Miry Sorvino — można wybaczyć wiarę w to, że baseball nie wywodzi się od krykieta.

Denise przypomniało się, że Stanley Tucci wyreżyserował jeden z jej ulubionych filmów o restauracjach, a jednocześnie w nim występował. Z przyjemnością z nim o tym pogawędziła, mając już nieco mniejsze pretensje do ślicznej Sorvino i ciesząc się jeżeli nie towarzystwem, to przynajmniej swoim brakiem onieśmienia wobec niego.

Brian odwiózł ją do domu swoim volvo. Czowała się uprzywilejowana i atrakcyjna, odświeżona i ożywiona. Brian natomiast był zły.

— Robin miała z nami pojechać — powiedział. — Myślę, że możesz to nazwać ultimatum. Ale zgodziła się pójść z nami na ten obiad. Miała wykazać malutkie, minimalne zainteresowanie tym, co ja robię z moim życiem, chociaż wiem, że i tak ubrałaby się specjalnie jak studentka, żeby poczuł się niezręcznie, a ona mogła postawić na swoim. Ja z kolei miałem spędzić sobotę w Projekcie. Taka

była umowa. A dziś rano ona nagle decyduje, że zamiast obiadu pójdzie na demonstrację przeciwko karze śmierci. Nie jestem zwolennikiem kary śmierci, ale Khelleye Withers nie jest najlepszym przykładem do okazania łaski. Poza tym umowa to umowa. Uważam, że jedna świeczka mniej podczas marszu świec nie zrobiłaby takiej różnicy. Powiedziałem, że mogłaby dla mnie odpuścić sobie jedną demonstrację. Powiedziałem, żeby wypisała czek dla ACLU[\[15\]](#), na jaką tylko sumę sobie życzy. Ta propozycja nie została przyjęta zbyt dobrze.

— Wypisanie czeku, nie, niedobrze — przyznała Denise.

— Zdałem sobie z tego sprawę, ale dopiero po fakcie. Powiedziałem rzeczy, które trudno mi będzie odwołać. I szczerze mówiąc, nie za bardzo mi się chce je odwoływać.

— O to bym się nie zakładała.

O jedenastej w nocy z poniedziałku na wtorek Washington Avenue na odcinku pomiędzy rzeką a Broad Street była pusta. Brian doświadczał chyba swojego pierwszego w życiu rozczarowania i nie mógł przestać mówić.

— Pamiętasz, jak kiedyś powiedziałaś: „Gdybyś nie był żonaty i gdybym nie była twoją pracownicą”?

— Pamiętam.

— Czy te słowa nadal są aktualne?

— Chodź, pójdziemy się napić.

I tak właśnie Brian znalazł się w jej łóżku i dalej się tam znajdował o dziewiątej trzydzieści rano, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Denise była wciąż zamroczone alkoholem, który pomagał dokończyć owo dzieło dziwaczności i moralnego chaosu, którym stało się jej życie. W głębi buzowało jednak przyjemne poczucie bycia kimś, z poprzedniej nocy. Było silniejsze niż cokolwiek, co czuła do Briana.

Dzwonek do drzwi zadzwierczał znowu. Wstała z łóżka, założyła bordowy jedwabny szlafrok i wyjrzała przez okno. Robin Passafaro czekała na schodach. Volvo Briana stało zaparkowane po drugiej stronie ulicy.

Denise rozważała przez chwilę nieotwieranie drzwi, ale Robin nie szukałaby jej tutaj, gdyby nie próbowała wcześniej w Generatorze.

— To Robin — powiedziała. — Zostań tu i bądź cicho.

W świetle poranka Brian wciąż miał tę zagniewaną minę z poprzedniej nocy.

— Nie obchodzi mnie, czy się dowie, że tu jestem.

— Ale mnie obchodzi.

— Cóż, mój samochód stoi po drugiej stronie ulicy.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

Ona także czuła się dziwnie wściekła na Robin. Przez całe lato, zdradzając Briana, nie czuła takiej pogardy jak teraz, gdy schodziła na dół. Wkurzająca Robin, uparta Robin, skrzeczająca Robin, bucząca Robin, pozbawiona gustu Robin, głupia Robin.

Ale w momencie gdy otworzyła drzwi, jej ciało rozpoznało swoje pragnienia. A pragnęło, żeby Brian znalazł się na ulicy, Robin zaś w jej łóżku.

Robin szczykała zębami, chociaż poranek nie był chłodny.

— Mogę wejść? — spytała.

— Właśnie wychodziłam do pracy — powiedziała Denise.

— Pięć minut.

Niemożliwe, żeby nie dostrzegła pistacjowego samochodu po drugiej stronie ulicy. Denise wpuściła ją na korytarz i zamknęła drzwi.

— Moje małżeństwo jest skończone — powiedziała Robin. — Nawet nie wrócił do domu ostatniej nocy.

— Przykro mi.

— Modliłam się o uratowanie mojego małżeństwa, ale przeszkodziła mi myśl o tobie. Klęczałam w kościele i nagle zaczęłam myśleć o twoim ciele.

Denise ogarnął strach. Nie czuła się winna — dni tego małżeństwa były i tak policzone, ona najwyżej przyspieszyła cały proces — ale przykro jej było, że tak skrzywiła moralnie tę osobę, że brała w tym udział. Wzięła Robin za rękę i powiedziała:

— Chcę się z tobą spotkać i porozmawiać. Nie podoba mi się to, co się stało. Ale teraz muszę już iść do pracy.

W salonie zadzwonił telefon. Robin przygryzła wargę i pokiwała głową.

— Dobrze.

— Możemy się spotkać o drugiej? — zapytała Denise.

— Tak.

— Zadzwoń do ciebie z pracy.

Robin znów pokiwała głową. Denise zamknęła za nią drzwi i wypuściła z ulgą powietrze.

„Denise, mówi Gary. Nie wiem, gdzie jesteś, ale zadzwoń do mnie, jak tylko odsłuchasz tę wiadomość. Zdarzył się wypadek. Tata wypadł za burtę statku wycieczkowego. Spadł jakieś osiem pięter w dół. Właśnie rozmawiałem z mamą...”.

Podbiegła do telefonu i chwyciła słuchawkę.

— Gary?

— Próbowałem dzwonić do ciebie do pracy.

— Czy on żyje?

— No, nie powinien — odparł Gary. — Ale żyje.

Gary był idealny w nagłych wypadkach. Cechy, które jeszcze wczoraj tak ją denerwowały, dzisiaj dodawały jej otuchy. Chciała, żeby wszystko wiedział na ten temat. Chciała, żeby wydawał się taki zadowolony własnym opanowaniem.

— Musieli go holować przez ponad kilometr w wodzie o temperaturze siedmiu stopni Celsjusza, zanim statek zdołał się zatrzymać — powiedział Gary. — Posłali tam helikopter, który ma go zabrać do Nowego Brunszwiku. Ale nie złamał kręgosłupa, jego serce wciąż pracuje i jest w stanie rozmawiać. To twardy facet. Może z tego wyjść.

— Co z mamą?

— Martwi się, że cała wycieczka opóźni się z powodu tego helikoptera. Przysparza to kłopotu pozostałym pasażerom.

Denise zaśmiała się z ulgą.

— Biedna mama. Tak chciała popłynąć w ten rejs.

— Cóż, obawiam się, że jej rejsy z tatą się skończyły.

Przy drzwiach znowu zadzwonił dzwonek, a potem rozległo się walenie i kopanie w drzwi.

— Gary, zaczekaj minutkę.

— Co się dzieje?

— Oddzwonię do ciebie za chwilę.

Dzwonek brzęczał tak długo, że aż zmienił dźwięk, ochryplł i przycichł. Otworzyła drzwi i napotkała roztrzęsione usta i oczy rozjarzone nienawiścią.

— Zejdź mi z drogi — warknęła Robin — bo nie chcę cię nawet dotknąć.

— Ostatniej nocy popełniłam okropną pomyłkę.

— Zejdź mi z drogi!

Denise odsunęła się na bok i Robin wbiegła na górę. Denise siedziała na jedynym krześle w jej więziennym salonie i słuchała odgłosów awantury. Uderzyło ją wspomnienie z dzieciństwa, o tym, jak rzadko jej rodzice, ta kolejna para małżeńska w jej życiu, krzyczała na siebie. Zachowywali spokój, pozwalając, aby wojna między nimi rozwijała się w głowie ich córki.

Będąc z Brianem, usychała z tęsknoty za ciałem Robin, za szczerością, szaleństwem i odpychał ją ten przytulny spokój Briana. Kiedy zaś była z Robin, tęskniła za dobrym smakiem Briana, za jego zrozumieniem i pragnęła, aby Robin zauważyła, jak ona rewelacyjnie wygląda w czarnym kaszmirze.

„Dla was to betka, kochani — pomyślała. — Możecie się rozdzielić”.

Awantura ucichła. Robin zbiegła po schodach i wybiegła na zewnątrz bez zatrzymywania się. Kilka minut później podążył za nią Brian. Denise oczekiwała dezaprobaty Robin i była w stanie ją znieść, ale od Briana miała nadzieję usłyszeć słowa zrozumienia. — Zwalniam cię! — rzucił.

OD: Denise3@cheapnet.com

DO: exprof@gaddisfly.com

TYTUŁ: Następnym razem postarajmy się bardziej

Miło się było z Tobą spotkać w sobotę. Doceniam to, że tak spieszyłeś się z powrotem, żeby mi pomóc.

Od tego czasu tata wypadł za burtę statku wycieczkowego i został wyciągnięty z lodowato zimnej wody ze złamaną ręką, wybitym barkiem, odklejoną siatkówką, utratą krótkiej pamięci i prawdopodobnie lekkim wylewem. Razem z mamą zostali przewiezieni helikopterem do Nowego Brunswiku, ja zaś wyleciałam z najlepszej posady, jaka mogła mi się przytrafić w życiu. Oprócz tego dowiedzieliśmy się z Garym o nowej technologii medycznej, którą na pewno nazwałbyś przerażającą, dystroficzną i złą, z tym jednym wyjątkiem, że pomaga ona leczyć parkinsonizm i może być dobra dla taty. Poza tym nic ciekawego.

Mam nadzieję, że gdziekolwiek Cię wywiało, wszystko jest w pieprzonym porządku. Julia mówi, że pojechałeś na Litwę, i zapewne ma nadzieję, że jej uwierzę.

OD: exprof@gaddisfly.com

DO: Denise3@cheapnet.com

TYTUŁ: RE: Następnym razem postarajmy się bardziej

Trafiła mi się okazja pracy na Litwie. Mąż Julii, Gitanas, płaci mi za stworzenie dochodowej witryny internetowej. Dużo zabawy i całkiem lukratywne zajęcie. W miejscowym radiu grają wszystkie twoje ulubione zespoły. Smiths, New Order, Billy Idol. Normalnie powrót do przeszłości. Widziałem, jak jeden staruszek zabił konia strzałą z dubeltówki na ulicy w pobliżu lotniska. Stałem na nadbałtyckiej ziemi może od piętnastu minut. Witamy na Litwie!

Rozmawiałem z mamą dziś rano, opowiedziała mi całą historię. Przeprasiłem ją za wszystko, więc się nie martw.

Przykro mi z powodu Twojej pracy. Szczerze mówiąc, jestem ogłuszony. Nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek chciałby Cię zwolnić.

Gdzie teraz pracujesz?

OD: Denise3@cheapnet.com

DO: exprof@gaddisfly.com

TYTUŁ: Wakacyjne obowiązki

Mama mówi, że nie chcesz obiecać, iż zjawisz się w domu na Gwiazdkę. Myśli, że jej uwierzę. Ale ja mówię sobie: „Niemożliwe, żebyś powiedział tak kobiecie, dla której najcudowniejsze wakacje życia skończyły się przedwcześnie z powodu wypadku i która tak czy siak ma przesrane życie z częściowo niesprawnym mężczyzną, kobiecie, która nie robiła świąt Bożego Narodzenia w domu chyba od czasów wiceprezydentury Dana Quayle’a, która „trwa” dzięki wyczekiwaniu na spełnienie się różnych rzeczy, która kocha Gwiazdkę tak samo, jak inni ludzie kochają seks, i która wreszcie od trzech lat nie widziała Cię na dłużej niż czterdzieści pięć minut. Myślę sobie, niemożliwe, żebyś powiedział tej kobiecie: Przepraszam, ale nie, ja zostaję w Wilnie”.

(Wilnie!)

Mama musiała Cię źle zrozumieć. Proszę, wyjaśnij.

Skoro już pytasz, nigdzie nie pracuję. Dorabiam sobie trochę w Mare Scuro, ale poza tym śpię do drugiej po południu. Jeśli tak dalej pójdzie, będę musiała zafundować sobie jakieś zabiegi terapeutyczne, które na pewno zmrozą krew w Twoich żyłach. Muszę odzyskać ochotę na zakupy i inne niekonsumpcyjne przyjemności.

Ostatnie, co słyszałam o Gitanasie Misevičiusie, to że podbił Julii oczy. Ale co mi tam.

OD: exprof@gaddisfly.com

DO: Denise3@cheapnet.com

TYTUŁ: RE: Wakacyjne obowiązki

Zamierzam przyjechać do St. Jude, jak tylko odłożę trochę pieniędzy. Może nawet na urodziny ojca. Ale na Gwiazdkę rozpętuje się piekło, wiesz o tym. Nie ma gorszego czasu na podróż. Możesz powiedzieć mamie, że przyjadę zaraz na początku nowego roku.

Mama mówi, że Caroline i chłopcy przyjadą do St. Jude na święta. Czy to prawda?

Nie bierz psychotropów na mój rachunek.

OD: Denise3@cheapnet.com

DO: exprof@gaddisfly.com

TYTUŁ: Ucierpiała tylko moja godność osobista

Niezła próba, ale przykro mi, nie udało się. Nalegam, żebyś pojawił się w domu na Gwiazdkę.

Rozmawiałam z przedstawicielem Axonu. Plan jest taki, żeby poddać ojca sześciomiesięcznemu leczeniu Corectallem, zaczynając zaraz po Nowym Roku. Oboje z mamą mają przez ten czas mieszkać u mnie (szczęśliwie moje życie posypało się w gruzy, więc jestem dostępna). Nie dojdzie do tego tylko w takim wypadku, jeżeli personel medyczny uzna, że tata cierpi na niewywołaną lekami demencję. Był dość roztrzęsiony, kiedy widziałam go w Nowym Jorku, ale przez telefon sprawiał niezłe wrażenie: „Kiedy spadłem, ucierpiała na tym tylko moja godność osobista”. Tydzień wcześniej zdjęli mu gips.

W każdym razie prawdopodobnie wyląduje ze mną w Filadelfii na swoje urodziny, całą zimę i wiosnę, dlatego powinieneś wrócić do St. Jude na Boże Narodzenie. Proszę Cię, nie sprzeczasz się już ze mną na ten temat, po prostu przyjedź.

Z niecierpliwością (ale i z pewnością) oczekuję twojego potwierdzenia, że zobaczymy Cię na Gwiazdkę.

PS. Caroline, Aaron i Caleb nie przyjeżdżają. Gary będzie w St. Jude z Jonahem na Wigilię. Wracają do Filadelfii w południe 25 grudnia.

PPS. Nie martw się, ŻADNYCH leków.

OD: exprof@gaddisfly.com

DO: Denise3@cheapnet.com

TYTUŁ: RE: Ucierpiała tylko moja godność osobista

Wczoraj w nocy widziałem faceta, jak dostał sześć kulek w brzuch. Wynajęci bandyci w klubie o nazwie Musmiryté. Nie miało to nic wspólnego z nami, ale ten widok był przygnębiający.

Nie bardzo rozumiem, dlaczego muszę koniecznie przyjechać do St. Jude w określony dzień. Gdyby mama i tata byli moimi dziećmi, których stworzyłem z niczego bez pytania o ich zgodę, mógłbym zrozumieć moją za nich odpowiedzialność. Rodzice mają ogromny darwinowski, genetycznie zaprogramowany udział w życiu swoich dzieci, natomiast dzieci, wydaje mi się, nie są obciążone analogicznym długiem wobec nich.

Po prostu niewiele mam do powiedzenia tym ludziom i nie sądzę, że chcieliby usłyszeć to, co chciałbym powiedzieć.

Może odwiedzę ich w Filadelfii? Ta perspektywa wydaje mi się lepsza. W ten sposób może się zebrać cała nasza dziewiątka, zamiast marnej szóstki.

OD: Denise3@cheapnet.com

DO: exprof@gaddisfly.com

TYTUŁ: Ciężkie gromy od Twojej wkurzonej siostry

Mój Boże, ależ ty żałośnie bredzisz.

Mówię Ci, przyjeźdź dla mnie. DLA MNIE. I dla SAMEGO SIEBIE. To zapewne superfajne, interesujące dorosłe przeżycie, widzieć, jak ktoś zostaje postrzelony w brzuch, ale masz tylko jednych rodziców i jeśli zmarnujesz ten czas, który mógłbyś spędzić z nimi, nikt nie da Ci drugiej szansy. Przyznaję, jestem zdruzgotana.

Powiem Ci, ponieważ muszę to komuś opowiedzieć, chociaż Ty nigdy nie powiedziałeś mi, dlaczego Ciebie wylali z pracy: wyrzucili mnie za sypianie z żoną szefa. I co ja mam do powiedzenia „tym ludziom”, jak sądzisz? I jak wyglądają moje niedzielne pogawędki z mamą?

Skoro już mowa o DŁUGACH: jesteś mi winien 20 500 dolarów.

Kup ten pieprzony bilet, ja Ci za niego oddam pieniądze.

Kocham Cię i tęsknię za Tobą. Nie pytaj dlaczego.

OD: Denise3@cheapnet.com

DO: exprof@gaddisfly.com

TYTUŁ: Wyrzuty sumienia

Przepraszam, że tak na Ciebie skoczyłam. Tak naprawdę przyznaję się tylko do ostatniej linijki w liście. Nie mam cierpliwości do e-maili. Proszę, odpisz. I przyjeźdź na święta.

OD: Denise3@cheapnet.com

DO: exprof@gaddisfly.com

TYTUŁ: Martwię się

Proszę, proszę, strasznie Cię proszę, nie opowiadaj mi o zastrzelonych ludziach, a potem nie przestawaj pisać.

OD: Denise3@cheapnet.com

DO: exprof@gaddisfly.com

TYTUŁ: Tylko sześć dni do świąt!

Globalne ocieplenie klimatu zwiększa wartość Lithuania Incorporated.

WILNO, 30 października. Poziom wód oceanicznych podnosi się z szybkością mniej więcej trzech centymetrów na rok, zabierając lądowi miliony metrów kwadratowych plaż dziennie. Europejski Komitet do spraw Zasobów Naturalnych ostrzega, że przed końcem tej dekady Europa może stanąć w obliczu poważnych niedoborów piasku i żwiru.

„W całej swojej historii ludzkość uznawała piasek i żwir za niewyczerpany materiał budulcowy” — powiedział przewodniczący EKSZN, Jacques Dormand. „Niestety, przez nadmierne zużycie paliw naturalnych, które przyczyniają się do zwiększenia zawartości dwutlenku węgla w atmosferze, wiele krajów środkowoeuropejskich, w tym Niemcy, pozostanie na łasce krajów o dużej powierzchni plaż, takich jak Litwa”.

Gitanas R. Misevičius, założyciel i prezes Litewskiej Kompanii Wolnorynkowej, porównał nadchodzący europejski kryzys piaskowy do kryzysu z wydobywaniem ropy naftowej w 1973 roku. „Wtedy to małe, posiadające zasoby ropy naftowej kraje takie jak Bahrajn czy Brunei okazały się myszami, które zaryczały. Jutro należy do Litwy”.

Przewodniczący Dormand opisał prozachodnią firmę LKWR jako „jedyny obecnie ruch polityczny na Litwie, który zdecydował się na uczciwy i odpowiedzialny dialog z zachodnimi rynkami kapitałowymi”.

„Nasz pech polega na tym” — powiedział Dormand — „że większość europejskich rezerw piasku i żwiru znajduje się w rękach nadbałtyckich nacjonalistów, przy których Muammar Kaddafi wydawał się Charles'em de Gaulle'em. Nie przesadzę zbyt, mówiąc, iż przyszła stabilizacja ekonomiczna UE spoczywa w rękach nielicznych odważnych wschodnich kapitalistów, jak pan Misevičius...” Taniec woźniców i pana młodego.

Piękno internetu polegało na tym, że Chip mógł opublikować swoje wszystkie wymysły, nie dbając nawet o sprawdzenie ortografii. W sieci solidność informacji w dziewięćdziesięciu ośmiu procentach zależała od tego, jak sprytnie i interesująco wyglądała czyjaś witryna. Chociaż Chip osobiście nie był obeznany z internetem, jako Amerykanin przed czterdziestką był doskonałym ekspertem od tego, co sprytne i interesujące. Razem z Gitanasem poszli do pubu zwanego Prie Universiteto, za trzydzieści dolarów na dzień plus miliony bezwartościowych udziałów wynajęli pięciu młodych Litwinów w koszulkach z napisami „Phish” i „R.E.M.” i przez miesiąc Chip bezlitośnie wykorzystywał tych mówiących slangiem sieciomaniaków. Kazał im przeglądać strony amerykańskie, takie jak nbc.com i Oracle. Powiedział: „Zróbcie to tak, żeby efekt był taki...”.

Lithuania.com wystartowała oficjalnie 5 listopada. Baner o wysokiej rozdzielczości głoszący: DEMOKRACJA SIĘ OPŁACA rozwijał się przy akompaniamencie szesnastu radosnych taktów *Tańca Woźniców z Pietruszki*. Na głęboko granatowym tle poniżej znajdowało się czarno-białe zdjęcie **Przed** („Wilno socjalistyczne”), przedstawiające obdarte fasady i pogruchothane podpory na Gedimino Prospektas, obok zaś widniała fotografia **Po** („Wilno wolnorynkowe”), przedstawiająca w soczystych kolorach miodowozłoty ciąg butików i bistro przy portowej promenadzie (tak naprawdę zdjęcie pochodziło z Danii). Przez tydzień Chip i Gitanas zostawali do późna, pijąc piwo i tworząc inne strony, które obiecywały inwestorom różnego rodzaju tytuły i płodne przywileje z oryginalnego, gorzkiego ogłoszenia Gitanasa, a oprócz tego, w zależności od wielkości zobowiązań finansowych:

- Współwłasność ministerialnych willi wypoczynkowych w nadmorskiej Pałandze!
- Prawa do eksploatacji złóż minerałów i wyřębu lasu we wszystkich parkach narodowych!
- Obsadzenie wybranych stanowisk urzędników mających władzę sędziowską oraz sędziów!
- Całkowite, dwudziestoczerogodzinne przywileje na całe życie do parkowania w obrębie wileńskiego Starego Miasta!
- Pięćdziesiąt procent zniżki na wybrane wypożyczenie litewskich żołnierzy i uzbrojenia w przypadku konfliktów wojennych!
- Bezproblemowe adopcje małych litewskich dziewczynek!
- Immunitet uprawniający do łamania przepisów drogowych!
- Umieszczenie podobizn inwestorów na znaczkach pamiątkowych, monetach kolekcjonerskich, naklejkach na piwo, opakowaniach tłoczonych litewskich ciasteczek w polewie czekoladowej, na kartach Heroic Leader dla zbieraczy, na okolicznościowych świątecznych paczkach z klementynkami itd.!
- Tytuł doktora honoris causa nauk humanistycznych przyznany przez Uniwersytet Wileński, który założono w 1578 roku!
- Pełna dyskrekcja, dostęp do nagrań i aparatury podsłuchowej Urzędu Ochrony Państwa!
- Zatwierdzony w przepisach przywilej noszenia tytułu „Wasza Wysokość” i „Wasza Miłość” podczas pobytu na ziemi litewskiej, gdzie za odmowę użycia owych tytułów przez personel groziła kara publicznej chłosty i więzienia do sześćdziesięciu dni!
- Prawo do uzyskania miejsca w ostatniej chwili w pociągu, samolocie, zarezerwowanych imprezach kulturalnych, przy stolikach w restauracjach pięciogwiazdkowych i nocnych klubach!
- Najwyższy priorytet na liście transplantacji wątroby, serca i rogówki w sławnym wileńskim Szpitalu Antakalnis!
- Nielimitowana licencja łowiecka i rybacka oraz dodatkowe uprawnienia do posezonnego odstrzału zwierzyny łownej w państwowych rezerwach przyrody!
- Umieszczenie nazwiska sponsora na kadłubie dużych statków wycieczkowych!
- I tak dalej, i tak dalej!

To, co Gitanas zrozumiał już wcześniej, a czego Chip teraz się uczył, to że im bardziej ewidentnie śmieszne były oferty, tym zwawiej wpływał amerykański kapitał. Dzień po dniu Chip fabrykował nowe oświadczenia prasowe, wiarygodne zeznania finansowe, szczere traktaty opiewające heglowską nieuniknioną otwarcie komercyjnej polityki, setki naocznych dowodów na „rozkwit gospodarczy Litwy w toku”, na czatach zmyślał odpowiedzi na pytania. Jeżeli ktoś go na czacie łąjał za ignorancję czy kłamstwa, po prostu przenosił się na inny. Napisał sam tekst na certyfikaty opcji i do towarzyszącej im broszurki („Gratulacje — jesteś teraz Patriotą Wolnego Rynku na Litwie”) i wydrukował całe ich multum na papierze bawełnianym. Czuł się, jakby wreszcie w tym świecie czystej fikcji odnalazł swoje powołanie. Dokładnie tak, jak to mu kiedyś obiecała Melissa Paquette, było to paliwo do uruchomienia firmy, napędzające wpływ pieniędzy.

Reporter z USA Today zapytał w e-mailu: „Czy to wszystko jest prawdziwe?”.

Chip odpisał: „Tak. Dochodowe państwo-stan z globalnie rozproszonym obywatelstwem współdziałowców jest następnym krokiem w ewolucji ekonomii politycznej. Na Litwie rozkwita teraz tzw. oświecony neotechnofeudalizm. Przekonaj się sam. Gwarantuję minimum dziewięćdziesiąt minut rozmowy sam na sam z G. Misevičiusem”.

Z USA Today nie nadeszła żadna odpowiedź. Chip martwił się, że trochę przegiął, ale tygodniowy

przychód brutto sięgał czterdziestu tysięcy dolarów. Pieniądze wpływały w postaci przelewów bankowych, płatności kartami kredytowymi, kodów e-gotówki, transferów telefonicznych do Crédit Suisse i studolarowych banknotów przesyłanych pocztą lotniczą. Gitanas włożył większość funduszy w swoje dodatkowe przedsięwzięcia, ale zgodnie z umową, w miarę jak zwiększały się dochody, podwoił pensję Chipa.

Chip mieszkał za darmo w zdobionej sztukaterią willi, w której kiedyś garnizon wojsk rosyjskich zażerał się bażantami, pił Gewürztraminera i gawędził z Moskwą na bezpiecznej linii. Willa została zniszczona, splądrowana i ozdobiona triumfalnymi graffiti jesienią 1990 roku, a potem stała opuszczona do czasu, gdy JPRiJORIKJoNPz17 została pozbawiona władzy i Gitanasa odwołano z ONZ. Gitanas zainteresował się domem z powodu jego atrakcyjnej ceny (był za darmo), doskonałego zabezpieczenia (włączając w to uzbrojoną wieżę i ogrodzenie na miarę ambasady USA), a także możliwości zajęcia sypialni dowódcy, który torturował Gitanasa przez sześć miesięcy w sąsiednich starych sowieckich koszarach. Gitanas i inni członkowie partii pracowali weekendami, używając kielni i skrobaczek, aby przywrócić posesji dawną świetność, ale organizacja została rozwiązana, zanim skończyli robotę. Teraz połowa pokojów była niezamieszkana, z podłogą usianą odłamkami szkła. Tak jak we wszystkich budynkach Starego Miasta, ogrzewanie i ciepła woda pobierane były z Centralnej Elektrociepłowni i przebywały długą drogę schowanymi pod ziemią rurami, ciekącymi pionami do pryszniców i kaloryferów w willi. Gitanas umieścił biuro Litewskiej Kompanii Wolnerynkowa w wielkiej sali balowej, zaanektował główną sypialnię, a Chipa zainstalował w apartamencie na trzecim piętrze, niegdyś zajmowanym przez adiutanta. Młodzi sieciomaniacy mogli rozlokować się, gdzie chcieli.

Chociaż Chip wciąż płacił za wynajem swojego mieszkania w Nowym Jorku i część rachunków za eksploatację willi, w Wilnie czuł się bogaczem. Zamawiał same najdroższe dania, dzielił się alkoholem i papierosami z tymi, którym się mniej poszczęściło w życiu, i nigdy nie zwracał uwagi na ceny zdrowej żywności w sklepie przy uniwersytecie, w którym robił zakupy.

Zgodnie z obietnicą Gitanasa w pizzeriach i barach pełno było chętnych niepełnoletnich panienek z mocnym makijażem, ale opuszczając Nowy Jork i uciekając od *Akademii fioletu*, Chip stracił ochotę na zakochywanie się w młodocianych nieznanym. Dwa razy w tygodniu razem z Gitanasem odwiedzał Klub Metropol, gdzie po masażu, a przed sauną wydajnie zaspokajał swoje potrzeby na czystych materacach gąbkowych Metropolu. Większość dziewczyn z obsługi w Metropolu nie przekroczyła trzydziestki i za dnia prowadziła życie skoncentrowane na opiece nad dziećmi, rodzicami, na studiach na Wydziale Dziennikarstwa Międzynarodowego lub tworzeniu zabarwionych politycznie dzieł sztuki, których potem nikt nie kupował. Gdy po wszystkim ubierały się i poprawiały fryzury, ku zaskoczeniu Chipa chętnie rozmawiały z nim jak z istotą ludzką. Uderzyło go, jak wiele radości zdawały się czerpać ze swojego oficjalnego życia, jak pusta, nieistotna i bezsensowna wydawała się przy tym ich nocna praca. Ponieważ zaś sam zaczął czerpać prawdziwą przyjemność ze swojej codziennej pracy, nabierał też z każdym terapeutycznym zabiegiem na łóżku do masażu większej biegłości w zrozumieniu swego ciała, zrozumieniu istoty seksu, w zrozumieniu, czym jest, a czym nie jest miłość. Z każdą opłaconą z góry ejakulacją pozbywał się kolejnej uncji dziedzicznego wstydu, który trzymał go w swoich kleszczach przez piętnaście lat. Pozostawała mu wdzięczność, którą okazywał, rozdając dwustuprocentowe napiwki. O drugiej czy trzeciej nad ranem, gdy miasto gnębiła ciemność, która zdawała się spaść na Wilno już całe tygodnie temu, Chip i Gitanas wracali do willi przez siarkowe opary i śnieg lub mgłę i drobny deszcz.

W całym Wilnie Chip najbardziej pokochał Gitanasa. Podobał mu się szczególnie sposób, w jaki Gitanas lubił jego. Dokądkolwiek chodzili, ludzie pytali ich, czy są braćmi, ale w rzeczywistości

Chip czuł się nie tyle jego bratem, co jego dziewczyną. Był jak Julia: zawsze doceniany, traktowany z hojnością i niemal całkowicie zależny od Gitanasa, jeśli chodziło o przysługi, porady i podstawowe potrzeby. Musiał zarobić na jedzenie, tak jak Julia. Był cenionym pracownikiem, wrażliwym i zachwycającym Amerykaninem, przedmiotem rozbawienia, pobłażliwości, a nawet tajemniczości. Cóż za rozkosz być dla odmiany człowiekiem, którego chce się zdobyć, mieć cechy i atrybuty, których ktoś inny tak bardzo pożąda.

Ogólnie rzecz biorąc, Wilno było pięknym światem duszonej wołowiny z kapustą, placków ziemniaczanych, piwa i wódki, tytoniu, braterstwa, wywrotowych inicjatyw oraz dupencji. Lubił ten klimat, tę szerokość geograficzną, która nieustannie zabawiała się światłem słonecznym. Mógł sypiać do bardzo późna, a i tak wstawać o brzasku, a tuż po śniadaniu nadchodził czas na wieczorne wyjście na kawę i papierosa. Wiódł studenckie życie (zawsze kochał studenckie życie) połączone z szybką biznesową karierą w świecie dotcomów. Z odległości sześciu tysięcy kilometrów wszystko, co pozostawił za sobą w Stanach, wydawało się znośnie nieistotne — jego rodzice, długi, porażki, utrata Julii. Czuł się znacznie lepiej na froncie pracy, na froncie towarzyskim i przyjacielskim. Zdołał już zapomnieć, jak smakuje nieszczęście. Postanowił zostać w Wilnie, dopóki nie zarobi wystarczająco dużo pieniędzy, żeby spłacić swoje długi u Denise i w banku, który wydał mu karty kredytowe. Wierzył, że wystarczy na to sześć miesięcy.

Jakże charakterystyczne było dla jego życiowego farta to, że zanim zaczął na dobre cieszyć się pełnymi dwoma miesiącami pobytu w Wilnie, rozpadła się Litwa i jego ojciec.

Denise w swoich e-mailach napastowała Chipa wiadomościami o stanie zdrowia rodzica i nalegała, żeby wrócił do St. Jude na Gwiazdkę, ale perspektywa podróży do Stanów w grudniu kompletnie go nie pociągała. Podejrzewał, iż jeśli opuści willę choćby na tydzień, coś głupiego może uniemożliwić mu powrót. Zakłęcie zostanie zerwane, czar pryśnie. Ale Denise, najbardziej uparta osoba, jaką znał, w końcu wysłała mu e-mail, w którym ujawniła całą swą desperację. Chip przeleciał pobieżnie przez cały list, zanim zdał sobie sprawę, że w ogóle nie powinien go czytać, ponieważ wymieniała w nim sumę, którą był jej winien. Poczucie nieszczęścia, którego smak zdołał już zapomnieć, kłopoty, które z tej odległości zdawały się tak nieistotne, znowu wypełniły jego głowę.

Skasował e-mail i zaraz tego pożałował. Jak przez mgłę pamiętał zdanie: „Wyrzucili mnie za sypianie z żoną szefa”, ale było to tak nieprawdopodobne, że Denise rzeczywiście to napisała, a jego wzrok prześlizgnął się po liście tak szybko, że nie mógł w pełni zawierzyć swojej pamięci. Jeśli jego siostra okazała się lesbijką (co na dobrą sprawę było logiczne, jeśli wziąć pod uwagę parę zastanawiających aspektów Denise), zdecydowanie mogła liczyć na wsparcie swego postmodernistycznego starszego brata, ale Chip jeszcze nie był gotowy na powrót do domu, dlatego założył, że jego pamięć zawiodła go w tym przypadku i owa tajemnicza fraza odnosiła się do czegoś zupełnie innego.

Wypalił trzy papierosy, rozpuszczając niepokój w racjonalizacjach, przeciwoskarżeniach i odświeżonym postanowieniu, że zostanie na Litwie, dopóki nie będzie w stanie spłacić swego długu na dwadzieścia i pół tysiąca dolarów zaciągniętego u siostry. Jeśli Alfred zamieszka u Denise aż do czerwca, Chip będzie mógł zostać na Litwie przez następne sześć miesięcy i wciąż dotrzymać obietnicy o odwiedzinach i zjeździe rodzinnym w Filadelfii.

Na nieszczęście Litwa zmierzała z hukiem ku anarchii.

W październiku i listopadzie pomimo globalnego kryzysu finansowego w Wilnie utrzymywały się pozory normalności. Rolnicy wciąż przywozili na rynek drób i mięso z uboju. Dostawali za nie

należność w litach, które wydawali następnie na rosyjską benzynę, rodzime piwo i wódkę, marmurkowe dzinsy, T-shirty z wizerunkiem Spice Girls, pirackie kasety wideo z *Archiwum X* importowane z krajów o ekonomii bardziej chorej niż litewska. Kierowcy, którzy dostarczali benzyny, robotnicy, którzy na boku pędzili bimber, staruszki w chustkach na głowie, które sprzedawały T-shirty ze Spice Girls z drewnianych wózków, wszyscy oni kupowali od rolników kurczaki i wołowinę. Ziemia płodziła, pieniądź krążył, a w Wilnie przynajmniej kluby i puby pozostawały otwarte do późna w nocy.

Ale ekonomia nie była sprawą lokalną. Można było płacić litami rosyjskiemu dostawcy paliwa, ale już eksporter miał prawo pytać, które to litewskie dobra czy usługi może za ową walutę zakupić. Łatwo było kupić lity po oficjalnym kursie cztery za dolara. Ciężko było kupić za nie dolary! W dobrze znajomym paradoksie kryzysu zabrakło wszelkich dóbr, ponieważ nie było na nie nabywców. Im trudniej było znaleźć folię aluminiową, mieloną wołowinę czy olej silnikowy, tym bardziej kusiło ludzi, żeby uprowadzić transport z owymi towarami lub wepchać się na siłę do ich dystrybucji. Tymczasem funkcjonariusze służb publicznych (zwłaszcza policja) nadal pobierali pensje w nic niewartych litach. Czarnorynkowa ekonomia wkrótce nauczyła się wyceniać dzielnicowego równie precyzyjnie, jak wyceniała pudełko żarówek.

Chipa uderzyły ogromne podobieństwa między czarnym rynkiem na Litwie a wolnym rynkiem w Ameryce. W obu krajach wszystkie bogactwa były w rękach nielicznych posiadaczy; zanikły wszystkie istotne różnice pomiędzy sektorem prywatnym a publicznym; potentaci handlowi żyli w nieustannym strachu, który zmuszał ich do bezlitosnego powiększania imperiów; zwykli ludzie żyli w nieustannym strachu, że zostaną zwolnieni, i wiecznej konfuzji co do tego, który prywatny fundusz może nagle wykupić na własność publiczną do tej pory instytucję; ekonomię w ogromnej większości napędzały elity i ich nienasycone pragnienie luksusu (w Wilnie na przykład do listopada owej fatalnej jesieni, pięciu mafijnych oligarchów zatrudniło tysiące stolarzy, murarzy, rzemieślników, kucharzy, prostytutek, barmanów, mechaników samochodowych i ochroniarzy). Główna różnica między Litwą a Ameryką zdaniem Chipa polegała na tym, że w Ameryce kilku bogaczy niewoliło tłumy biedniejszych od siebie za pomocą ogłupiających i zabijających sumienie rozrywek, gadżetów i leków, podczas gdy na Litwie kilku wpływowych ludzi gnębiło resztę obywateli za pomocą siły i przemocy.

W głębi swego foucaultowskiego serca czuł się szczęśliwy w kraju, gdzie posiadanie nieruchomości i kontrola nad wystąpieniami publicznymi zależała głównie od tego, kto ma broń.

Litwin, który miał największy dostęp do broni, był właściwie Rosjaninem. Nazywał się Wiktor Liszenkiew. Rozszerzył on płynność gotówki swojego niemal monopolowego handlu heroiną i ecstasy po przejęcie absolutnej kontroli nad Bankiem Litwy po tym, jak poprzedni właściciel banku, FriendLeeTrust z Atlanty katastroficznie źle ocenił apetyt konsumentów na karty Dilbert Mastercard. Rezerwa finansowa Wiktora Liszenkiewa pozwoliła mu uzbroić pięciusetosobowy „oddziałek”, który w październiku odważnie otoczył reaktor atomowy typu Czarnobyl w Ignalinie, 120 kilometrów na północny zachód od Wilna, zaopatrujący w energię elektryczną trzy czwarte ludności Litwy. Oblężenie dało Liszenkiewowi doskonały argument przetargowy w negocjacjach o wykup największej narodowej instytucji użyteczności publicznej od rywala, oligarchy, który sam z kolei nabył ową placówkę za grosze podczas wielkiej prywatyzacji. W ciągu nocy Liszenkiew przejął kontrolę nad każdym litem płynącym z każdego licznika elektryczności w państwie; obawiając się jednak, że jego rosyjskie pochodzenie może sprowokować nacjonalistyczne animozje, zadbał o to, aby nie nadużywać swojej władzy. W geście dobrej woli założył nową partię polityczną (Stronnictwo Taniej Energii dla Ludzi) i wpisał się na listę kandydatów na posłów w grudniowych

wyborach.

A ziemia wciąż rodziła, a lity krążyły. W Litwie i Vingisie odbyły się premiery kontrowersyjnego filmu pod tytułem *Moody Fruit*. Z ust Jennifer Aniston w *Przyjaciółkach* płynęły litewskie dowcipy. Pracownicy służb miejskich opróżniali betonowe pojemniki na śmieci na placu przed kościołem Świętej Katarzyny. Ale każdy dzień był ciemniejszy i krótszy niż poprzedni.

Litwa stopniowo przestawała się liczyć jako światowa potęga już od śmierci wielkiego księcia litewskiego Witolda w 1430 roku. Przez sześćset lat przechodziła pod władanie Polski, Prus i Rosji, niczym wielokrotnie utylizowany prezent ślubny (obciążane skórą wiaderko na lód; szczypce do sałatki). Przetrwał język i pamięć o lepszych czasach, ale fakt pozostawał faktem — Litwa nie była zbyt wielkim krajem. W dwudziestym stuleciu Gestapo i SS zlikwidowały 200 tysięcy litewskich Żydów, a Rosjanie deportowali kolejne ćwierć miliona litewskich obywateli na Syberię, nie zwracając zbytnej uwagi opinii światowej.

Gitanas Misevičius pochodził z rodziny księży, żołnierzy i urzędników państwowych mieszkających przy granicy z Białorusią. Jego pradziadek od strony ojca, miejscowy sędzia, w 1940 roku nie odpowiedział należycie na serię pytań zadanych przez nowych komunistycznych administratorów i razem z żoną został wysłany do łagru. Nikt nigdy o nim więcej nie usłyszał. Ojciec Gitanasa był właścicielem baru w Vidiskés. Udzielał pomocy i schronienia partyzanckiemu ruchowi oporu (tak zwanym Leśnym Braciom) do czasu, aż w 1953 roku skończyły się działania wojenne.

Rok po narodzinach Gitanasa Vidiskés i osiem sąsiadujących miejscowości wysiedlono na rozkaz nowego rządu, aby wybudować na ich miejscu pierwszą z dwóch elektrowni atomowych. Piętnastu tysiącom eksmitowanych („ze względów bezpieczeństwa”) ludzi zaoferowano mieszkania w nowym, całkowicie nowoczesnym małym miasteczku, Chruszczowo, które zbudowano naprędce na pojezierzu na zachód od Ignaliny.

— Nijakie z wyglądu, wszystko wielka płyta, żadnych drzew — opowiadał Gitanas Chipowi. — Nowy bar mojego taty miał betonowy kontuar, betonowe kabiny, betonowe półki. Socjalistyczny plan ekonomiczny Białorusi nie przewidział nadprodukcji wielkiej płyty i oferowali ją prawie za darmo. Przynajmniej tak głosiła wieść. W każdym razie wszyscy się tam sprowadziliśmy. Dostaliśmy betonowe łóżka, betonowe place zabaw i betonowe ławki w parku. Mija rok za rokiem, wreszcie kończę dziesięć lat i nagle rodzice wszystkich dzieciaków dostają raka płuc. Po prostu wszyscy. Mój tata też dostał raka płuc, aż wreszcie wkroczyły władze i przyjrzały się bliżej Chruszczowu i wyobraź sobie, nagle mówią, że mamy problem z radonem. Poważny problem z radonem. Właściwie to naprawdę cholernie katastrofalny problem z radonem. Bo nagle okazało się, że te wszystkie płyty betonowe są delikatnie radioaktywne! I radon gromadzi się w każdym zamkniętym pomieszczeniu w mieście. Szczególnie w takich miejscach jak pub, gdzie nie ma przewiewu, gdzie właściciel siedzi przez cały dzień i pali papierosy. Na przykład jak mój tata. Cóż, Białoruś, nasza bratnia republika socjalistyczna (która, tak między nami mówiąc, kiedyś należała do Litwy) mówi na to, że bardzo żałuje. Coś tam musieli nieumyślnie domieszać do tych płyt. Ogromny błąd. Przykro nam, przykro, ogromnie przykro. Więc wszyscy wyprowadzamy się z Chruszczowa, a potem mój tata umiera, w okropny sposób, dziesięć minut po północy, dzień po rocznicy ślubu, ponieważ nie chce, żeby moja mama łączyła wspomnienie ślubu z jego śmiercią. A potem mija trzydzieści lat, pojawia się Gorbaczow i wreszcie możemy się przyjrzeć starym archiwom, i wiesz, co wychodzi na jaw? Nie było żadnych lewych płyt betonowych, które wyprodukowano z powodu złego planowania, nie było żadnego rozgardiaszu w pięciolatce. Był to celowy plan wykorzystania niskiej jakości odpadów radioaktywnych jako materiałów budulcowych. Teoretycznie cement w płycie betonowej powinien unieszkodliwiać izotopy. Ale Białorusini mieli liczniki Geigera i to był koniec pięknego snu o

nieszkodliwości. W ten sposób tabory z tysiącami wagonów wypełnionych płytami betonowymi trafiły do nas, niepodejrzewających w ogóle, że coś jest nie w porządku.

— Auć — odezwał się Chip.

— Nie, to coś więcej niż „auć” — powiedział Gitanas. — To zabiło moją tatę, gdy miałem jedenaście lat. I najlepszego przyjaciela mojego taty. Setki innych ludzi umierały z tego powodu przez całe lata. I wszystko to miało sens. Bo zawsze był ten wróg z ogromną, czerwoną tarczą strzelniczą na plecach. Ten wielki, zły wujek ZSRR, którego wszyscy mogliśmy nienawidzić, aż do lat dziewięćdziesiątych.

Platforma JPRiJORIKJoNPz17, którą pomagał założyć Gitanas po odzyskaniu niepodległości przez Litwę, miała jeden podstawowy i ciężkostrawny punkt programowy: Sowietom muszą zapłacić za gwałt na Litwie. Przez chwilę, w latach dziewięćdziesiątych, można było rządzić krajem, opierając się na czystej, żywej nienawiści, jednak wkrótce pojawiły się inne partie, w których programach oprócz zemsty pojawiały się również inne punkty. Pod koniec owej dekady, po tym jak JPRiJORIKJoNPz17 straciła miejsce w Seimas, została po niej tylko połowicznie odnowiona willa.

Gitanas próbował nadać jakiś polityczny sens otaczającemu go światu, ale nie potrafił. Życie miało znaczenie wtedy, gdy Armia Czerwona nielegalnie go zatrzymała, zadawała mu pytania, na które odmawiał odpowiedzi, i stopniowo pokrywała lewą część jego ciała poparzeniami trzeciego stopnia. Po odzyskaniu niepodległości polityka straciła spójność. Nawet tak proste i istotne plany jak uzyskanie sowieckich odszkodowań wojennych dla Litwy skomplikował fakt, iż podczas II wojny światowej Litwini pomagali w eksterminacji Żydów oraz przez to, że wielu ludzi zasiadających obecnie na Kremlu było niegdysiejszymi partriotami antyradzieckimi, którzy zasługiwali na odszkodowania w takim samym stopniu jak Litwini.

— Co mam zrobić teraz, gdy najeżdżcą jest system i kultura, nie wojsko? — pytał Gitanas Chipa. — Najlepsza przyszłość, jaką mogę sobie wyobrazić dla mojej ojczyzny, to że pewnego dnia zaczną przypominać drugoplanowe państwa Zachodu. Innymi słowy, że bardziej się upodobnimy do reszty świata.

— Do Danii z tymi atrakcyjnymi portowymi bistrami i butikami — zasugerował Chip.

— Jak bardzo czuliśmy się Litwinami — ciągnął Gitanas — gdy mogliśmy wycelować palec w Rosjan i powiedzieć: „My jesteście inni”. Ale stwierdzenie: „Nie, nie mamy wolnego rynku, nie, nie wiemy, co to globalizacja”? To nie sprawia, że czuję się obywatelem mojego kraju. Czuję się za to głupi, jakbym żył w epoce kamienia łupanego. Co mam teraz zrobić, żeby się nazwać patriotą? Za jaką pozytywną sprawę mam walczyć? Jaka jest pozytywna definicja mojej ojczyzny?

Gitanas nadal zamieszkiwał w połowicznie odrestaurowanej willi. Zaoferował były apartament adiutanta swojej matce, ale ona wolała zostać w mieszkaniu pod Ignaliną. Podobnie jak wszyscy litewscy urzędnicy państwowi tamtej epoki, zwłaszcza rewanżyści, jak on sam, nabył jedną z byłych komunistycznych własności — dwadzieścia procent udziałów w Sukrosasie, cukrowni, która zatrudniała drugą co do wielkości liczbę pracowników na Litwie — i dość wygodnie żył z dywidend jako patriota w stanie spoczynku. Przez moment, podobnie jak Chip, ujrzał ocalenie w Julii Vrais: w jej urodzie, jej amerykańskim dążeniu do przyjemności i zaspokojenia. A potem Julia porzuciła go w samolocie, który miał odlecieć do Berlina. Była to najnowsza zdrada w jego życiu, które wydawało się ogłuszającym pasmem oszustw i nieuczciwości. Zrobili go w konia Sowietom, litewski elektorat, potem Julia, a wreszcie Bank Światowy i IMF. Gitanas został z czterdziestoletnim bagażem rozgoryczenia i żartem o nazwie Lithuania Incorporated.

Wynajęcie Chipa, aby rozkręcił LKWR, było jego pierwszą dobrą decyzją od długiego czasu.

Gitanas pojechał do Nowego Jorku, aby znaleźć dobrego adwokata do przeprowadzenia rozwodu i aby ewentualnie wynająć tanio amerykańskiego aktora, najlepiej podupadającego i w średnim wieku, którego mógłby zainstalować w Wilnie, żeby dodać otuchy tym wszystkim gościom, których tylko Lithuania Inc. zdoła przyciągnąć. Nie mógł uwierzyć, że człowiek tak młody i utalentowany jak Chip będzie chciał z nim współpracować. Jego konsternacja na wieść, że Chip sypiał z jego żoną, trwała tylko chwilę. Takie już było życie Gitanasa, że wszyscy prędzej czy później go zdradzali. Doceniał to, że Chip dokonał tego, zanim nawet się poznali.

Jeśli chodzi o Chipa, czuł w Wilnie swoją „pośledniość” jako „patetycznego Amerykanina”, który nie mówił ani po litewsku, ani po rosyjsku, którego ojciec nie umarł na raka płuc w młodym wieku, którego pradziadkowie nie przepadli na Syberii i który nigdy nie był torturowany za swoje ideały w nieogrzewanym areszcie wojskowym. Ów kompleks niższości równoważyły jego kompetencje oraz wspomnienie kilku niezwykle pochlebnych kontrastów, które zdaniem Julii różniły jego i Gitanasa. W pubach i klubach, gdzie obaj mężczyźni nie zawracali sobie głowy zaprzeczeniami, iż nie są braćmi, Chip miał wrażenie, że to on z ich dwójki odnosi większe sukcesy.

— Byłem całkiem niezłym wicepremierem — powiedział ponuro Gitanas. — Nie nadaję się na wojownika kryminalistę.

Termin „wojownik” zaiste nieco gloryfikował sposób działania Gitanasa. Litwin wykazywał cechy ofiary losu, aż za dobrze znane Chipowi. Na każdą minutę działań całą godzinę spędzał na zamartwianiu się. Inwestorzy z całego świata przysyłali mu ogromne sumy, które umieszczał na koncie w banku Crédit Suisse każdego piątkowego popołudnia, ale nie potrafił zdecydować, czy powinien użyć owych pieniędzy „uczciwie” (tzn. kupując miejsca w parlamencie dla Litewskiej Kompanii Wolnorynkowej), czy też popełnić bezwzględne oszustwo i zainwestować całą zdobytą kantem forszę w jeszcze bardziej lewe interesy. Przez chwilę w zasadzie robił obie te rzeczy, a zarazem nie robił żadnej z nich. Koniec końców własne badania rynku (które prowadził, przepytując pijanych klientów w barach) przekonały go, że w obecnym klimacie ekonomicznym nawet bolszewik ma większe szanse zdobyć głosy niż partia, która miała w nazwie „wolny rynek”.

Gitanas porzucił więc myśli o legalnym biznesie i wynajął ochroniarzy. Wkrótce potem Wiktor Liszenkiew zapytał swoich szpiegów: dlaczego były patriota Misevičius zadaje sobie taki trud z ochroną? Gitanas był mniej zagrożony jako były patriota niż jako przywódca dziesięciu uzbrojonych w kałasznikowy młodzieniaszków. Musiał wynająć więcej ochrony, a Chip, ze strachu przed zastrzeleniem, przestał wychodzić z willi bez eskorty.

— Nic ci nie grozi — zapewniał go Gitanas. — Liszenkiew może będzie chciał zabić mnie i przejąć firmę, ale ty jesteś kurą, która znosi złote jajka.

Mimo to ilekroć Chip pojawiał się publicznie, przechodziły go ciarki, tak bardzo czuł się bezbronny. W noc amerykańskiego Święta Dziękczynienia patrzył, jak dwaj goryle Liszenkiewa przeciskają się przez tłum w brudnym klubie Musmiryté i władują sześć kul w brzuch rudego „importera win i wódek”. To, że ludzie Liszenkiewa minęli go, nie robiąc mu żadnej krzywdy, dowiodło racji Gitanasa, ale bezbronność ciała „importera win i wódek” wobec kul potwierdziła obawy, które Chip od dawna żywił w temacie odporności ciała na kule. Fatalne wyładowania przebiegły przez nerwy umierającego mężczyzny. Silne drgawki, ukryte zapasy energii galwanicznej, niezwykle przykre wyładowania elektrochemiczne najwyraźniej zaczęły się w jego układzie nerwowym i czekały tam przez całe życie na ten moment.

Gitanas pojawił się w Musmiryté pół godziny później.

— Mój problem polega na tym, że łatwiej zniosę, jeśli mnie zastrzelą, niż gdybym sam miał kogoś

zastrzelić — powiedział, przyglądając się plamom krwi na podłodze.

— Znowu to samo, znowu samokrytyka — odparł Chip.

— Potrafię świetnie znosić ból, ale nie umiem go wywoływać.

— Zabij albo daj się zabić. To niełatwa koncepcja.

Gitanas próbował być agresywny. Jako gangster miał niewątpliwie jeden cenny atut: pieniądze uzbierane przez LKWR. Po tym, jak bandziory Liszenkiewa otoczyły reaktor w Ignalinie i wymusiły sprzedaż Litewskiej Elektrociepłowni, Gitanas sprzedał swój lukratywny pakiet akcji Sukrosasu, opróżnił sejf LKWR i zakupił kontrolny pakiet akcji największego dostawcy usług telefonii komórkowej na Litwie. Firma owa, Transbaltic Wireless, była jedyną placówką w zasięgu jego możliwości finansowych. Ofiarował swoim ochroniarzom tysiąc darmowych minut krajowych na miesiąc, darmową pocztę głosową i identyfikację rozmów przychodzących, a potem kazał im monitorować wszystkie rozmowy, które odbywał Liszenkiew przez liczne telefony kupione w Transbalticu. Gdy dowiedział się, że Liszenkiew zamierza zrezygnować ze stanowiska w Państwowej Firmie Garbarskiej i Wyrobów Mięsnych, Gitanas sprzedał część udziałów. Zyskał na tym nieco, ale na dłuższą metę ruch okazał się fatalny w skutkach. Liszenkiew dowiedział się o podsłuchu i przełączył się na bezpieczniejszy system regionalny z operatorem w Rydze. Potem zaś zaatakował Gitanasa.

Dziewiętnastego grudnia, w przeddzień wyborów do parlamentu, „wypadek” w podrozdzielni elektrycznej spowodował wyłączenie centrali Transbaltic oraz sześciu wież transmitujących. Tłum wściekłych młodych wileńskich użytkowników komórek, z ogolonymi głowami i kozimi bródkami, zaatakował biura Transbalticu. Zarząd firmy zadzwonił po pomoc, używając zwykłych linii naziemnych; „policja” w odpowiedzi na wezwanie dołączyła się do tłumu, plądrując biura i usiłując włamać się do sejfów, zanim pojawiły się trzy furgonetki z „policją” z jedyne komisariatu, który Gitanas był w stanie opłacać. Po zażartym boju pierwsza grupa „policji” wycofała się wreszcie, a druga rozgoniła tłum.

Przez całą piątkową noc i sobotnie przedpołudnie monterzy firmy usiłowali naprawić pamiętający czasy Breżniewa zapasowy generator mocy, który mógłby zasilić centralę telefoniczną Transbalticu. Główny moduł przekaźnikowy generatora był potwornie skorodowany i gdy starszy inspektor potrząsnął nim, aby sprawdzić jego stan, odłamał go od nasady. Usiłując przymocować go z powrotem w świetle świeczek i latarek, inspektor zdołał wypalić dziurę spawarką w głównej cewce indukcyjnej. Biorąc zaś pod uwagę polityczną niestabilność towarzyszącą wyborom, w Wilnie nie można było kupić za żadną cenę innego zasilanego gazem generatora prądu zmiennego (a już na pewno żadnego trzyczłonowego generatora takiego jak ten przyłączony do centrali telefonicznej, wyłącznie z tego powodu, że pamiętające erę Breżniewa trzyczłonowe generatory swego czasu można było nabyć za grosze). Jednocześnie dostawcy części zamiennych z Polski i Finlandii na skutek niestabilnej sytuacji politycznej wahali się przed wysłaniem czegokolwiek na Litwę, nim otrzymali zapłatę, i to w twardej zachodniej walucie, dlatego państwo, którego obywatele, jak wielu ich współziomków na Zachodzie, wyłączyli swoje tradycyjne telefony w momencie, gdy telefonia komórkowa staniała i stała się bardzo powszechna, teraz trwało w ciszy komunikacyjnej niczym w dziewiętnastym stuleciu.

Bardzo ponurego niedzielnego poranka Liszenkiew i jego banda szmuglerów oraz płatnych morderców ze Stronnictwa Taniej Energii dla Ludzi zaanektowała 38 ze 141 miejsc w litewskim Sejmie, ale prezydent Litwy, Audrius Vitkunas, charyzmatyczny i paranoiczny hipernacjonalista, który z równą siłą nienawidził i Rosji, i Zachodu, odmówił uznania wyników wyborów.

— Hydrofobiczny Liszenkiew i jego obślinitość psy gończe mnie nie zastraszą! — krzyczał Vitkunas w telewizyjnym przemówieniu transmitowanym w niedzielę wieczorem.

— Lokalne przerwy w dostawie energii, niemal całkowity paraliż sieci komunikacyjnej w stolicy państwa i jej okolicach oraz obecność uzbrojonych po zęby wałęsających się „sił policyjnych” złożonych z najemnych pieniaczy, lizusowskich psów Liszenkiewa, nie budzą ufności, że wczorajsze wybory odzwierciedlały niezłomną wolę i zdrowy rozsądek wspaniałych i dzielnych obywateli naszego kraju! Nie powinienem, nie ważę się, nie mogę, nie chcę i nie uznaję tych nikczemnych, zrobaczywiałych, parszywych wyników głosowania w wyborach parlamentarnych!

Gitanas i Chip oglądali wystąpienie w byłej sali balowej willi. Dwaj ochroniarze cicho grali w Dungeonmastera w rogu pokoju, podczas gdy Gitanas tłumaczył Chipowi co soczystsze fragmenty retoryki Vitkunasa. Omszały blask najkrótszego dnia w roku zniknął w oknach skrzydłowych.

— Mam złe przeczucia — powiedział Gitanas. — Wydaje mi się, że Liszenkiew chce odstrzelić Vitkunasa i ugodzić się z jego następcą.

Chip, który starał się za wszelką cenę zapomnieć, że za cztery dni będzie Boże Narodzenie, nie miał ochoty zostawać w Wilnie tylko po to, żeby dać się stąd wypędzić tydzień po świętach. Zapytał Gitanasa, czy ten pomyślał o opróżnieniu konta w banku szwajcarskim i wyjeździe z Litwy.

— Oczywiście — Gitanas, który miał na sobie czerwoną kurtkę motocyklisty, obejmował się ramionami. — Codziennie myślę o zakupach u Bloomingdale’a. Marzę o widoku tego wielkiego drzewa w Centrum Rockefellera.

— Więc co tu jeszcze robisz?

Gitanas podrapał się w głowę, a potem powąchał czubki palców, mieszając zapach czaszki z zapachami spoconej skóry w okolicach nosa, czerpiąc ewidentną przyjemność z wąchania łożu.

— Jeżeli wyjadę i zaczną się kłopoty, to gdzie wyląduję? — powiedział. — Mam przesrane na trzech frontach. Nikt mnie nie zatrudni w Ameryce, za miesiąc przestanę być mężem Amerykanki, a moja mama ciągle jest w Ignalinie. Co mam w Nowym Jorku?

— Moglibyśmy prowadzić nowojorską firmę.

— Tam istnieje prawo. Zamknęliby nas po tygodniu. Mam przesrane na trzech frontach.

Przed północą Chip poszedł na górę i ulokował się pod cienkim, zimnym wschodnioeuropejskim kocem. Jego pokój pachniał mokrym gipsem, papierosami, silnymi sztucznymi aromatami szamponu, które odpowiadały nadbałtyckim nosom. Jego umysł zdawał sobie sprawę z własnego natłoku myśli. Nie zasnął, ale prześlizgiwał się nad nim, znowu i znowu, niczym kaczka puszczona na wodzie. Światło latarni wpadające do pokoju przez okno uznał za światło poranka. Poszedł na dół i zdał sobie sprawę, że jest już popołudnie w Wigilię; miał to dziwne poczucie spóźnienia, niedoinformowania, jak ktoś, kto zasnął. Jego ojciec, odmłodziła w skórzanej kurtce, siedział w sali balowej w przyćmionym świetle i oglądał wieczorne wiadomości CBS z Danem Ratherem. Chip zapytał go przyjaźnie, jakie są wiadomości z dzisiejszego dnia.

— Powiedz Chipowi — powiedział Alfred Chipowi, którego nie rozpoznał — że na Wschodzie mają jakieś kłopoty.

Prawdziwy poranek rozbrzysnął o ósmej. Obudziły go krzyki na ulicy. W jego pokoju było zimno, ale jeszcze nie poniżej zera; zniknął już zapach wilgotnego kurzu — Elektrociepłownia Miejska wciąż pracowała, ład społeczny nie został naruszony.

Przez gałęzie świerków za oknami pokoju widział falujący za ogrodzeniem kilkudziesięcioosobowy tłumek mężczyzn i kobiet w zdefasonowanych kurtkach i płaszczach. W nocy posypało trochę śniegu. Dwaj ochroniarze Gitanasa, Jonasz i Aidaris — dwaj ogromni blondyni z

półautomatami na paskach — pertraktowali przez kraty w ogrodzeniu z dwoma kobietami w średnim wieku, których mosiężne włosy i czerwone twarze dawały, podobnie jak ciepło dochodzące z kaloryfera, poczucie wytrwałości zwykłego życia.

Na dole w sali balowej rozbrzmiewały echem empatyczne telewizyjne litewskie deklaracje. Gitanas siedział dokładnie tam, gdzie wczoraj zostawił go Chip, z tym że miał na sobie inne ubranie i ewidentnie był wyspany.

Szare światło poranka, śnieg na drzewach, niewyraźne wrażenie nieładu i rozpadu przypomniały mu koniec akademickiego semestru jesiennego, ostatni dzień egzaminów przed przerwą świąteczną. Chip poszedł do kuchni i nalał sobie waniliowego mleka sojowego Vitasoy Delite do miseczki wypełnionej Naturalnymi Płatkami Owsianymi Barbary. Wypił nieco gęstego niemieckiego organicznego soku z wiśni, który ostatnio polubił. Zrobił dwa kubki kawy rozpuszczalnej i zaniósł je do sali balowej, gdzie Gitanas już wyłączył telewizor i znowu wachał swoje palce. Chip zapytał go o najnowsze wiadomości.

— Wszyscy moi ochroniarze poza Jonaszem i Aidarisem uciekli — odrzekł Gitanas. — Zabrali volkswagena i ładę. Wątpię, czy jeszcze tu wrócą.

— Z takimi obrońcami kto by potrzebował atakujących? — powiedział Chip.

— Zostawili nam stompera, a ten przyciąga zbrodniarzy niczym magnes.

— Kiedy to się stało?

— Musiało być zaraz po tym, jak prezydent Vitkunas postawił armię w stan pogotowia.

Chip roześmiał się.

— A kiedy to się stało?

— Wcześniej rano. Wszystko w mieście jeszcze funkcjonuje, z wyjątkiem Transbaltic Wireless, oczywiście — powiedział Gitanas.

Tłum na dworze się powiększył. Było tam teraz może ze sto osób, wszyscy trzymali telefony komórkowe, które produkowały niesamowite anielskie dźwięki — był to sygnał PRZERWANEJ USŁUGI.

— Chcę, żebyś wrócił do Nowego Jorku — powiedział Gitanas. — Zobaczymy, co tu się zdarzy. Może też przyjadę, a może nie. Muszę odwiedzić matkę na święta. Tymczasem to jest twoja odprawa.

Wręczył Chipowi wypchaną brązową kopertę w chwili, gdy na zewnątrz willi rozległy się głucho uderzenia. Chip wypuścił kopertę z rąk. Przez rozbitą szybę do pokoju wpadł kamień, odbił się i zatrzymał tuż obok telewizora. Był to odłupany kawałek granitowej kostki brukowej, pokryty świeżą wrogością i jakby lekko zakłopotany.

Gitanas zadzwonił na „policję” z telefonu stacjonarnego i znużonym głosem wyjaśnił sytuację. Bracia Jonasz i Aidaris z bronią gotową do strzału podeszli do drzwi wejściowych, rozsiewając chłodny zapach świerków. Bracia byli kuzynami Gitanasa; oto dlaczego prawdopodobnie nie uciekli z pozostałymi. Gitanas odłożył słuchawkę i zaczął z nimi rozmawiać po litewsku.

Brązowa koperta zawierała grubą paczuszkę pięćdziesięcio- i studolarówek.

Chip miał znowu wrażenie, że zbyt późno zdał sobie sprawę z nadchodzących świąt, jakby śnił na jawie sen z ostatniej nocy. Żaden z młodych sieciomaniaków nie zjawił się dzisiaj w pracy, Gitanas dał mu prezent, śnieg okrywał gałęzie świerków, kolędnicy w zdefasonowanych kurtkach stali za drzwiami...

— Pakuj się — powiedział Gitanas. — Jonasz odwiezie cię na lotnisko.

Chip poszedł na górę z pustką w sercu i głowie. Słyszał strzały na werandzie, brzęczenie łusek, Jonasha i Aidarisa strzelającego (miał nadzieję) w powietrze. *Jingle bells, jingle bells...*

Włożył skórzane spodnie i kurtkę. Pakowanie torby przypomniało mu moment, w którym rozpakowywał ją na początku października. Pętla czasu się zamknęła i wyciągnęła źdźbło struny, które sprawiło, że dwanaście tygodni spędzonych w tym miejscu po prostu zniknęło. Oto znowu się pakował.

Gdy zszedł do sali balowej, Gitanas wciąż wachał palce, nie odrywając wzroku od wiadomości telewizyjnych. Na ekranie ruszały się wąsy Wiktora Liszenkiewa.

— Co on mówi?

Gitanas wzruszył ramionami.

— Że Vitkunas jest niestabilny psychicznie i tym podobne. Że Vitkunas przygotowuje pucz, aby pogwałcić prawa wyborcze obywateli Litwy i tym podobne.

— Powinieneś pojechać ze mną — powiedział Chip.

— Mam zamiar odwiedzić matkę — odparł Gitanas. — Zadzwoń do ciebie w przyszłym tygodniu.

Chip objął swojego przyjaciela i mocno uściskał. Czuł zapach łożu na skórze jego głowy — ten sam, w który tak wwąchał się poruszony Gitanas. Czuł, jakby obejmował siebie samego, jakby dotykał swoich własnych łopatek, szorstkiego wełnianego swetra. Wyczuwał także posępność swojego przyjaciela — to, jak bardzo nie na miejscu się znalazł, jak bardzo był przygnębiony i strapiony — i przez to sam poczuł się zagubiony.

Jonasz zatrąbił ze zwirowego podjazdu przed wejściem.

— Spotkajmy się w Nowym Jorku — powiedział Chip.

— Dobrze, być może — Gitanas uwolnił się z uścisku i odwrócił się do telewizora.

Gdy Jonasz i Chip wyjechali przez otwartą bramę, na zewnątrz pozostało już tylko kilku maruderów do rzucania kamieniami w stompera. Ruszyli na południe, oddalając się od centrum miasta ulicą prowadzącą obok zamkniętych stacji benzynowych, zdewastowanych budynków o zbrązowiałych ścianach, które wydawały się weselsze i bardziej swojskie w takie dni jak dzisiejszy, gdy nie dopisywała pogoda i panował mrok. Jonasz nie mówił prawie po angielsku, ale udało mu się okazać tolerancję, jeżeli nie przyjaźń w stosunku do Chipa, jednocześnie nie spuszczać oczu z lusterka wstecznego. O tej porze ruch był niewielki i w tych niespokojnych czasach luksusowe wozy, te konie pociągowe przywódców mafii, przyciągały niezdrową uwagę.

Małe lotnisko było wypełnione młodymi ludźmi porozumiewającymi się w różnych językach zachodnich. Od kiedy Fundusz Czterech Miast zlikwidował Lietuvos Avialinijos, inne linie przejęły rozmaite połączenia, ale z powodu ograniczonego grafiku lotów (czternaście odlotów na dzień do różnych stolic Europy) nie mogły przerobić takich tłumów jak dziś. Setki studentów i przedsiębiorców z Anglii, Niemiec i USA — Chip poznawał wiele twarzy z czasów, gdy wraz z Gitanasem włóczył się po pubach — tłoczyło się przy stanowiskach rezerwacji Finnair, Lufthansy, Aeroflotu i LOT.

Zpracowane autobusy miejskie przyjeżdżały na terminal z nowym ładunkiem obcokrajowców. Wszystkie kolejki do rezerwacji stały nieruchomo. Przejrzał tablicę odlotów i wybrał linię lotniczą Finnair z największą ilością lotów.

Na końcu bardzo długiej kolejki do stanowiska rezerwacji stały dwie amerykańskie licealistki w biodrówkach i innych ubraniach przypominających modę lat sześćdziesiątych. Na ich bagażu widniały imiona Cheryl i Tiffany.

— Macie bilety? — zapytał Chip.

— Na jutro — odparła Tiffany. — Ale niezbyt dobrze to wygląda.

— Czy ta kolejka w ogóle się porusza?

— Nie wiem. Stoimy tu dopiero dziesięć minut.

— I nie przesunęła się w ciągu tego czasu?

— Przy stoisku jest tylko jedna osoba — powiedziała Tiffany. — A to najwyraźniej jedyne stanowisko Finnair.

Chip był zdezorientowany i miał ogromną ochotę przywołać taksówkę, by wrócić do Gitanasa. Cheryl mówiła do Tiffany:

— Więc mój tata mówi mi, że muszę wynająć, jeśli chcę jechać do Europy, a ja na to, że obiecałam Annie, że będzie mogła zostawać tam w weekendy, kiedy są rozgrywki domowe, żeby mogła sypiać z Jasonem, co nie? Nie mogę cofnąć obietnicy, co nie? Ale mój ojciec wyjeżdża mi ciągle z jakimiś warunkami i morałami, a ja na to, halo, to jest moje mieszkanie, co nie? Kupiłeś je dla mnie, co nie? Nie wiedziałam, że ma w nim zamieszkać jakiś obcy, który wiesz, będzie smażył różne rzeczy na kuchence i spał w moim łóżku.

— Obrzydlistwo — przyznała Tiffany.

— I używał moich poduszek? — dodała Cheryl.

Za Chipem stanęła belgijska parka. Już samo to, że nie był ostatni w kolejce, przyniosło mu ulgę. Chip po francusku spytał Belgów, czy mogą popilnować mu bagażu i zająć miejsce w kolejce. Poszedł do toalety, zamknął się w kabinie i przeliczył pieniądze, które dał mu Gitanas. Było tam dwadzieścia dziewięć tysięcy dwieście pięćdziesiąt dolarów.

Zdenerwowało go to, przeraziło.

Głośnik w łazience obwieścił po litewsku, rosyjsku i angielsku, że lot Polskich Linii Lotniczych numer 331 z Warszawy został odwołany.

Chip włożył dwa tysiące dolarów do kieszonki w T-shircie, kolejne dwa tysiące do lewego buta, resztę zaś pieniędzy wetknął z powrotem do koperty, którą ukrył pod koszulą, za paskiem spodni. Wolał, żeby Gitanas nie dawał mu tych pieniędzy. Bez nich miał powód, aby zostać w Wilnie. Teraz, kiedy nie miał już motywacji do dalszego pobytu na Litwie, powróciła doń prosta konstatacja, ukrywana przez dwanaście tygodni, oczywista w obsranej i obsikanej ubikacji. Fakt, że bał się wrócić do domu.

Żaden człowiek nie chciałby zobaczyć swojego tchórzostwa tak wyraźnie, jak Chip w tej chwili. Był zły na to, że ma pieniądze, zły na Gitanasa za to, że mu je dał, zły na Litwę za to, że jej system się rozpadał, ale tak naprawdę bał się wrócić do domu i nie była to niczyja wina, tylko jego.

Wrócił do kolejki, która w ogóle się nie przesunęła. Głośniki obwieściły odwołanie lotu numer 1048 z Helsinek. Rozległ się pomruk i wszystkie ciała przesunęły się do przodu, napierając na biurko niczym fala przyboju.

Cheryl i Tiffany kopnięciem przesunęły swój bagaż. Chip zrobił to samo. Czuł, że powrócił do rzeczywistości, i wcale mu się to nie podobało. Coś w rodzaju szpitalnego światła, blasku powagi i nieuchronności spłynęło na dziewczyny, bagaż i umundurowany personel Finnairu. Chip nie mógł się nigdzie ukryć. Wszyscy dookoła czytali książki. Chip nie przeczytał żadnej powieści co najmniej od roku. Owa myśl przeraziła go równie mocno, jak perspektywa spędzenia Gwiazdki w St. Jude. Chciał wyjść na ulicę i zawołać taksówkę, ale podejrzewał, że Gitanas już dawno uciekł z miasta.

Stał w mocnym świetle lamp, aż zrobiła się druga, a potem w pół do trzeciej — wczesny poranek w St. Jude. Jeszcze raz poprosił Belgów o popilnowanie bagażu, a sam stanął w innej kolejce, żeby zadzwonić na kartę kredytową.

Głos Enid był niewyraźny i cichy:

— Alo?

— Cześć, mam, to ja.

Jej głos natychmiast podwyższył się o oktawę i zrobił głośniejszy.

— Chip? Och, Chip! Al, dzwoni Chip! To Chip! Chip, gdzie jesteś?

— Na lotnisku w Wilnie. W drodze do domu.

— Och, to cudownie! Cudownie! Cudownie! Powiedz mi, kiedy przyjedziesz?

— Nie mam jeszcze biletu — powiedział. — Tutaj sytuacja wygląda niewesoło. Ale myślę, że jakoś jutro po południu, najpóźniej w środę.

— Cudownie!

Nie był przygotowany na radość w głosie matki. Jeśli kiedykolwiek przypuszczał, że może u kogoś wywołać radość, dawno już o tym zapomniał. Zadbął o to, aby jego głos brzmiał spokojnie i żeby nie mówić zbyt wiele. Obiecał, że zadzwoni, gdy tylko znajdzie się na lepszym lotnisku.

— To cudowna wiadomość — powiedziała Enid. — Jestem taka szczęśliwa!

— Dobrze, więc do zobaczenia wkrótce.

Z północy zbliżała się ku nim powoli nadbałtycka zima. Weterani z frontu kolejki do Finnair donieśli, że wszystkie loty zostały wyprzedane na cały dzisiejszy dzień i ostatni z nich prawdopodobnie zostanie odwołany. Chip miał nadzieję, że wręczając kilkaset dolarów łapówki, będzie w stanie jednak skorzystać z przywilejów, które tak naświetlał na stronie lithuania.com. Jeżeli to nie wyjdzie, planował odkupić od kogoś bilet za dużą ilość gotówki.

— O Boże, Tiffany, stepper jest normalnie niesamowicie świetny na pośladki — mówiła Cheryl.

— Ale pod warunkiem, że się wypniesz — odparła Tiffany.

— Każdy się wypina, po prostu nie da rady inaczej. Nogi się męczą.

— Ba! To jest stepper! Nogi mają się zmęczyć.

Cheryl wyjrzała przez okno i zapytała z mdłą młodzieńczą pogardą:

— Przepraszam, ale dlaczego na środku pasa startowego stoi czołg?

Chwilę później zgasły wszystkie światła i zamilkły telefony.

OSTATNIE ŚWIĘTA

Na dole w piwnicy, po wschodniej stronie stołu pingpongowego, Alfred rozpakowywał karton po whisky Maker's Mark wypełniony świecidełkami na choinkę. Na stole leżały przepisane lekarstwa i zestaw do lewatywy. Dostał też ciasteczko z cukrem upieczone przez Enid, kształtem przypominające teriera, chociaż na pewno miał to być renifer. W pudle po syropie Log Cabin znajdowały się duże, kolorowe żarówki, które zwykle zawieszał na rosnących na zewnątrz cisach.

W zamykanej na suwak płóciennej torbie trzymał strzelbę powtarzalną i pudełko naboju kaliber 20. Myślał niezwykle klarownie i zamierzał wykorzystać ten stan, póki trwał.

Przygaszone światło późnego popołudnia utknęło w szybach okien. Piec włączał się dość często — w starym domu ciepło nie trzymało się dobrze. Czerwony sweter wisiał na Alfredzie pomarszczony, powyciągany, jakby Alfred był kawałkiem pnia lub krzesłem. Jego szare wełniane spodnie były upstrzone plamami, które musiał tolerować, ponieważ alternatywne wyjście oznaczało odejście od zmysłów, a na to nie był przygotowany.

Na samym wierzchu w pudle po whisky leżała długa wstęga białych lampek choinkowych, owinięta byle jak wokół kawałka tektury. Śmierdziała pleśnią ze schowka pod gankiem, a gdy Alfred włożył wtyczkę do gniazdka, od razu się zorientował, że coś jest nie w porządku. Większość lampek świeciła jasno, ale gdzieś w środku sznura znajdował się fragment z niezapalonymi świecidełkami — *substantia nigra* zanurzona głęboko w płataninie światła. Odwinął szybko zwój, rozkładając sznur na stole do ping-ponga. Na samym końcu znajdował się szpetny odcinek przepalonych żarówek.

Alfred wiedział, czego oczekuje od niego teraz nowoczesność. Nowoczesność oczekiwała, że pojedzie do sklepu z wielkimi przecenami i kupi nowy sznur lampek. Ale takie sklepy o tej porze roku były przepełnione ludźmi; stałby w kolejce dobre dwadzieścia minut. Nie miał nic przeciwko czekaniu, ale Enid nie pozwoliłaby mu teraz prowadzić samochodu, a ona z kolei nie lubiła czekać. Teraz była na górze, uwijając się w nawale przygotowań do Gwiazdki.

Lepiej nie nawinąć się jej pod rękę, pomyślał Alfred, zostać w piwnicy i zrobić to, co miał do roboty. Wyrzucenie sznura lampek wciąż działającego w dziewięćdziesięciu procentach obrażało jego poczucie gospodarności. Obrażało jego samego, ponieważ był unikatową osobą z czasów indywidualności, a ów sznur lampek choinkowych też był szczególnie. Nieważne, jak mało kosztował, wyrzucenie go oznaczałoby zaprzeczenie jego wartości, a zatem zaprzeczenie wartości jednostki jako takiej: umyślne określenie jako śmiecia obiektu, który w sposób oczywisty nie był śmieciem.

Nowoczesność oczekiwała owego określenia, a Alfred się temu sprzeciwił. Na nieszczęście nie wiedział, w jaki sposób naprawić świecidełko. Nie rozumiał, jak kolejnych piętnaście żarówek mogło się nagle przepalić. Sprawdził przełączniki i nie zauważył żadnych różnic w układzie drucików pomiędzy ostatnią działającą żarówką a pierwszą niedziałającą. Nie widział dokładnie, jak przebiegają w przewodzie trzy składowe żyły, nie był w stanie prześledzić wszystkich ich skrętów i przeplotów. To był obwód równoległy, zbudowany w jakiś skomplikowany sposób, którego idei nie rozumiał.

Dawniej sznury lampek choinkowych były dość krótkie, połączone szeregowo. Jeśli przepaliła się jedna żarówka, gasły wszystkie. Jednym z przedświątecznych rytuałów Chipa i Gary'ego było dokręcanie każdej lampki osadzonej w mosiężnej nasadce w niedziałającym sznurze, a jeśli to nie podziałało, wymienianie wszystkich żarówek po kolei, aż natrafili na tę wadliwą (cóż za radość sprawiało chłopcom wskrzeszenie takiego sznura lampek!). Nim Denise dorosła na tyle, żeby pomagać ze świecidełkami, technologia posunęła się bardzo do przodu. Żarówki połączone były równoległe i miały plastikowe nasadki. Jedno wadliwe świecidełko nie wpływało na funkcjonowanie pozostałych, tylko sygnalizowało, że należy je wymienić...

Dłonie Alfreda obracały się w nadgarstkach niczym bliźniacze łopatkki miksera. Na tyle, na ile miał siłę, przebiegł palcami po całym sznurze, skręcając i dociskając przewody — i nagle zaciemniony odcinek zapłonął! Sznur nie był uszkodzony!

Co takiego zrobił?

Wyglądził sznur na stole pingpongowym. Niemal natychmiast wadliwy segment zgasł. Alfred próbował przywrócić go do życia, uciskając i stukając w przewody, ale tym razem nie miał szczęścia (Włożyłeś lufę strzelby do ust i sięgnąłeś do spustu).

Ponownie sprawdził warkocz oliwkoszarych przewodów. Nawet teraz, w pełnym rozkwicie swej dolegliwości, potrafiłby usiąść z ołówkiem i kartką papieru i wyprowadzić zasady budowania prostych obwodów. W tym momencie był przekonany co do swoich możliwości; ale perspektywa rozgryzania schematu obwodu równoległego zniechęcała go bardziej niż pojechanie do sklepu z przecenami i odstanie swojego w kolejce. Zadanie umysłowe wymagało indukcyjnego zrozumienia podstawowych zasad; zmuszało do wymiany całej instalacji nerwowej. To naprawdę niesamowite, że taka rzecz była w ogóle do pomyślenia — że sklerotyczny staruszek, sam w piwnicy, ze strzelbą, ciasteczkami cukrowymi i wielkim niebieskim fotelem mógłby spontanicznie zregenerować obwody w swoim mózgu po to, aby zrozumieć elektryczność — ale poziom energii, jaką musiałby wydatkować na owo przeciwieństwo entropii, daleko przekraczał ilość energii, która została mu ofiarowana w postaci ciastka. Może gdyby zjadł ich całe pudło naraz, byłby w stanie ponownie opanować wiedzę o obwodach równoległych i zrozumieć zasadność owego trzyprzewodowego splotu w lampkach choinkowych. Ale, mój Boże, jakież to byłoby męczące.

Potrząsnął sznurem i wyłączone światełka ponownie się zapaliły. Potrząsał i potrząsał, a one nie gasły. Zanim jednak skończył zwijać sznur na prowizoryczną szpulę, feralny odcinek znowu przestał świecić. Dwieście pozostałych żarówek płonęło jasnym światłem, a nowoczesność nalegała, by Alfred wszystko wyrzucił do kosza.

Podejrzewał, że ta nowa technologia jest w jakiś sposób głupia i leniwa. Jakiś młody inżynier zrobił sobie skrót i nie wziął pod uwagę konsekwencji swej decyzji, przez które Alfred teraz cierpiał. Ponieważ jednak nie rozumiał owej technologii, nie potrafił w żaden sposób pojąć natury usterki i podjąć odpowiednich kroków w celu jej skorygowania. W ten sposób padł ofiarą cholernych lampek choinkowych. Nie widział innej możliwości, jak tylko wyjść i kupić nowe lampki.

Jako mały chłopiec człowiek ma zapędy do naprawiania różnych rzeczy samemu, z respektem do poszczególnych przedmiotów. Koniec końców jednak część wewnętrznej maszynery (włączając w to taki osprzęt umysłowy jak wola i rzeczony szacunek) staje się przestarzała, a wtedy, chociaż pozostałe części człowieka funkcjonują jeszcze całkiem znośnie, mógłby pojawić się argument za wyrzuceniem całej ludzkiej maszyny do śmieci.

Jeszcze jeden sposób na wyrażenie, jaki był zmęczony.

Włożył ciastko do ust, przeżuł dokładnie i przełknął. Starość to piekło.

Na szczęście w pudle po whisky Maker's Mark leżały jeszcze tysiące innych lampek. Alfred metodycznie sprawdził sznur po sznurze. Znalazł trzy, krótkie, w dość dobrym stanie, ale reszta była albo w niewytłumaczalny sposób martwa, albo tak stara, że lampki dawały słaby, żółtawy poblask; trzy krótkie sznury nie wystarczą na całą choinkę.

Na dnie pudła znalazł dokładnie poznaczane paczki z żarówkami na wymianę. Alfred znalazł też sznury, w których kiedyś naprawił uszkodzone wtyczki za pomocą lutownicy. Był zdumiony, że potrafił znaleźć czas na takie rzeczy w nawale tylu obowiązków.

Ach, ten dziecięcy optymizm, ta wiara w naprawę! Nadzieja, że dany przedmiot nigdy się nie

zużyje. Głupia wiara, że zawsze gdzieś tam jest przyszłość, w której on, Alfred, nie tylko będzie żywy, ale też nie zabraknie mu energii do naprawiania sprzętów domowych. Ciche przekonanie, że cała jego zapobiegliwość i pasja konserwatora do czegoś się przydadzą: że pewnego dnia obudzi się przemieniony w zupełnie inną osobę z nieskończoną energią i czasem, który będzie mógł poświęcić wszystkim tym przedmiotom, które ocalił, sprawić, żeby działały i żeby wszystko trzymało się kupy.

— Powiniennem wyrzucić cały ten złom — powiedział głośno. Trzęsły mu się ręce. Zawsze się trzęsły.

Wziął strzelbę do swojego warsztatu i oparł o stół laboratoryjny.

Problem był nie do rozwiązania. Znalazł się niedawno w bardzo zimnej, słonej wodzie, przyduszony, ze skurczem w nagle ciężkich nogach, ramieniem tkwiącym bezużytecznie poza panewką stawu. Wszystko, co musiał wtedy zrobić, to... nie robić nic. Poddać się i utonąć. Ale zaczął walczyć, to był odruch. Nienawidził głębin, więc walczył, a potem nagle z góry posypał się grad pomarańczowych urządzeń ratowniczych. Przełożył czynne ramię przez otwór w jednym z nich w momencie, gdy zawirowanie fali odbojowej — kilwateru Gunnara Myrdala — zaczęło nim rzucać i obracać niczym bączkiem. Wszystko, co musiał wtedy zrobić, to się poddać, ale było dla niego oczywiste, nawet w tym momencie, gdy niemal utonął gdzieś na północnym Atlantyku, że po drugiej stronie nie będzie niczego: że to żalosne koło ratunkowe, przez które przełożył ramię, ten fundamentalnie nieodgadniony i twardy, odziany w materiał kawał pianki byłby BOGIEM w bezprzedmiotowym świetle śmierci, ku któremu zmierzał Alfred, byłby PONADCZASOWYM JESTEM KTÓRY JESTEM w tym wszechświecie niebycia. Przez kilka minut pomarańczowe koło ratunkowe było jedyną rzeczą, którą miał. Jego ostatni przedmiot w życiu. Dlatego instynktownie Alfred je pokochał i przyciągnął do siebie.

Wyciągnęli go z wody, osuszyli i opatulili kocem. Traktowali go jak dziecko, a on zastanawiał się nad mądrością przeżycia. Wszystko z nim było w porządku, poza ślepotą jednego oka i niedziałającym ramieniem oraz kilkoma pomniejszych rzeczami, ale przemawiali do niego, jakby był idiotą, chłopaczkiem, ogłupiałym człowiekiem. W ich fałszywej trosce i ledwo skrywanej pogardzie zobaczył przyszłość, jaką wybrał tam, w wodzie. Była to przyszłość w domu szczęśliwej starości. Na myśl o tym załkał. Powinien po prostu utonąć.

Zamknął drzwi do laboratorium na klucz, bo przecież wszystko sprowadzało się do prywatności, czyż nie? Bez prywatności nie było sensu pozostawać indywidualną jednostką. W domu starości nie dadzą mu prywatności. Wszyscy będą jak ci ludzie w helikopterze, po prostu nie dadzą mu spokoju.

Rozpiął spodnie, zdjął pieluchę, która tkwiła w jego majtkach, i wysikał się do puszkę po kawie.

Kupił tę strzelbę na rok przed odejściem na emeryturę. Wyobrażał sobie, że ten moment przyniesie radykalne zmiany. Marzył o tym, że będzie łowił ryby i polował, widział siebie z powrotem w Kansas i Nebrasce, w małej łódce o świcie, marzył o śmiesznym i nieprawdopodobnym życiu rekreacji.

Mechanizm strzelby miał w sobie tę aksamitną, zachęcającą gładkość, ale wkrótce po tym, jak ją kupił, szpak skręcił sobie kark, rozbijając się o szybę w kuchni właśnie wtedy, gdy Alfred jadł lunch. Nie był w stanie dokończyć posiłku i nigdy nie użył swojej broni.

Człowiek otrzymał władzę nad całą ziemią i wykorzystał ją, aby eksterminować inne gatunki, ocieplić atmosferę i generalnie niszczyć rzeczy na swoje podobieństwo, ale zapłacił cenę za swoje przywileje: jego skończone i specyficznie ukształtowane zwierzęce ciało zawierało mózg zdolny do pojęcia wieczności i pragnienia, aby sam stał się nieskończony.

Przyszedł jednak czas, gdy śmierć przestała być egzekutorem skończoności i zaczęła wyglądać

raczej jak ostatnia szansa na radykalną przemianę, jedyne wrota do wieczności. Perspektywa tego, że zostanie postrzeżony jako skończona padlina, w morzu krwi, odłamków kości i kawałków szarej substancji mózgowej, że inni ludzie będą zmuszeni oglądać taką jego wersję, była tak poważnym naruszeniem prywatności, że wspomnienie o tym przeżyłoby Alfreda o wiele lat.

Poza tym bał się, że będzie bolało.

Była jeszcze jedna rzecz, jedno ważne pytanie, na które chciał poznać odpowiedź. Jego dzieci miały niedługo przyjechać. Gary, Denise, może nawet Chip, jego uczony syn. Być może Chip, jeśli przyjedzie, będzie potrafił rozwiązać ową palącą kwestię.

A pytanie brzmiało:

Pytanie brzmiało:

Enid nie czuła ani odrobiny wstydu, gdy na Gunnarze Myrdalu zawyły syreny alarmowe i statek zatrzęsł się od wyczerpanej pracy ciągu wstecznego, a Sylvia Roth ciągnęła ją przez zatłoczoną Salę im. Pippi Langstrumpf, krzycząc:

— To jest żona tego człowieka, proszę nas przepuścić!

Nie zawstydziła się, widząc ponownie doktora Hibbarda, który klęczał na pokładzie do gry w krążki i za pomocą nożyczek chirurgicznych rozcinał mokre ubrania, zdejmując je z jej męża. Nie czuła zażenowania, gdy zastępca kierownika rejsu, który pomagał jej pakować rzeczy Alfreda, znalazł zabrudzoną pieluszkę w wiaderku na lód, ani gdy już na lądzie Alfred obrzucał obelgami pielęgniarki i sanitariuszy, ani wtedy, gdy twarz Khellyego Withersa na ekranie telewizora w szpitalnym pokoju Alfreda przypominała jej, że nie powiedziała nawet słowa otuchy Sylvii w przeddzień egzekucji Withersa.

Wróciła do St. Jude w tak świetnym nastroju, że była w stanie zadzwonić do Gary'ego i wyznać, że nie wysłała przesyłki z poświadczoną notarialnie zgodą Alfreda na przekazanie praw do patentu Axon Co., tylko ukryła ją w pralni. Kiedy Gary ku jej rozczerwowaniu powiedział, że po rozpatrzeniu sprawy doszedł do wniosku, że pięć tysięcy dolarów to całkiem rozsądna suma za licencję, poszła na dół, żeby wydobyć zgodę i nie mogła jej znaleźć. Dziwnie zakłopotana zadzwoniła do Schwenksville i poprosiła przedstawiciela Axonu o wysłanie drugiego zestawu kontraktów. Alfred był zdziwiony, gdy wręczyła mu owe duplikaty, ale ona tylko machnęła ręką i powiedziała, że czasem poczta gubi listy. Notariuszem był znowu Dave Schumpert. Enid czuła się całkiem w porządku, dopóki nie skończył się aslan i mała nie umarła ze wstydu.

Wstyd był okropny, wyniszczający. Nagle stało się ważne — nie tak, jak w zeszłym tygodniu — że tysiąc szczęśliwych pasażerów Gunnara Myrdala było świadkami dziwaczności jej i Alfreda. Każdy na statku wiedział, że przybicie do historycznego półwyspu Gaspé opóźniono, a wycieczkę na malowniczą wyspę Bonaventure anulowano, ponieważ sparaliżowany mężczyzna w okropnym płaszczu przeciwdeszczowym wszedł tam, gdzie nie powinien, ponieważ jego żona egoistycznie wybrała się na wykład o inwestycjach, ponieważ wcześniej zażyła lekarstwo tak podłej jakości, że żaden lekarz w Ameryce nie mógłby go legalnie przepisać pacjentowi, a wszystko to dlatego, że nie wierzyła w Boga i nie przestrzegała zasad, albowiem była straszliwie, niewymownie inna od pozostałych ludzi.

Noc za nocą leżała w łóżku z otwartymi oczami, cierpiała ze wstydu i wyobrażała sobie złote kapsułki. Czuła się zażenowana, że tak ich pragnie, ale jednocześnie była przekonana, iż tylko one mogą jej przynieść ukojenie.

Na początku listopada zabrała Alfreda do kliniki Corporate Woods Medical Complex na badania

neurologiczne odbywające się co dwa tygodnie. Denise, która zapisała Alfreda na testy II fazy klinicznej Corecktallu, pytała ją, czy Alfred wydaje się „otępiały”. Enid zadała to samo pytanie doktorowi Hedgpethowi podczas ich rozmowy, a ten odpowiedział, iż okresowa dezorientacja Alfreda sugeruje wczesnego alzheimera lub demencję ciała Lewiego — w tym momencie Enid przerwała, żeby zapytać, czy to środki naśladujące działanie dopaminy mogły wywoływać jego halucynacje. Hedgpeth nie mógł tego wykluczyć. Powiedział, że jedyny sposób, aby wykluczyć demencję, to położyć Alfreda w szpitalu na dziesięciodniowy „urlop” od leków.

Enid, zalana wstydem, nie wspomniała Hedgpethowi, że do szpitali odnosiła się z pewną rezerwą. Nie wspomniała o wściekaniu się, przeklinaniu i rzucaniu w kanadyjskiej klinice, o wywracaniu styropianowych dzbanków na wodę i stojaków na kroplówki, dopóki Alfred nie dostał środków uspokajających. Nie wspomniała też, że Alfred zażądał, żeby go zastrzeliła, zanim znowu wsadzi go do takiego miejsca jak to.

Nie wspomniała również o swoim małym problemie z aslanem, gdy Hedgpeth zapytał, jak ona sobie radzi. Obawiając się, że uzna ją za osobę o słabej woli, za oszalałą lekomankę, nie zapytała go nawet o alternatywny „środek nasenny”. Powiedziała jednak, że nie sypia zbyt dobrze. Położyła ogromny nacisk na to, że w ogóle nie sypia dobrze, ale Hedgpeth zasugerował po prostu, żeby brała tylenol i spróbowała spać w innym łóżku.

Gdy leżała w ciemnościach obok swojego chrapiącego męża, wydawało jej się niesprawiedliwe, że lek, który tak łatwo można nabyć w innych krajach, nie jest dostępny w Ameryce. Niesprawiedliwe, że wielu jej przyjaciół miało specjalne „środki nasenne”, których Hedgpeth nawet jej nie zaoferował. Jakże okrutnie skrupulatny był doktor Hedgpeth! Mogła oczywiście pójść do innego lekarza i poprosić o „środki nasenne”, ale ten inny lekarz na pewno będzie się zastanawiał, dlaczego lekarz Enid nie przepisał jej specjalnych farmaceutyków.

Tak wyglądała sytuacja, gdy Bea i Chuck Meisnerowie wyjechali na sześciotygodniowe zimowe wakacje rodzinne do Austrii. Na dzień przed ich wyjazdem Enid i Bea spotkały się na lunchu w Deepmire. Enid poprosiła Beę o przysługę. Wcisnęła jej w dłoń zwitek papieru, na który przepisała informację z pustego opakowania reklamowego po aslanie: „ASLAN-Cruiser (rhadamanthine citrate 88%, 3-methyl-rhadamantine chloride 12%)” z dopiskiem „chwilowo niedostępne w USA, potrzebuję zapasów na 6 miesięcy”.

— Jeśli będzie z tym jakiś problem, nie zwracaj sobie głowy — dodała. — Ale gdyby Klaus mógł wypisać ci receptę, byłoby znacznie łatwiej, niż prosić mojego lekarza, żeby wykombinował coś dla mnie z zagranicy, więc... w każdym razie mam nadzieję, że będziecie się dobrze bawić w moim ulubionym kraju!

Enid nie mogłaby poprosić o tak wstydliwą przysługę nikogo innego, tylko Beę, a i ją odważyła się poprosić jedynie dlatego, że (a) Bea była troszeczkę głupia, (b) mąż Bei sam kiedyś dokonał wstydliwego zakupu akcji Erie Belt i (c) Enid uważała, że Chuck nigdy odpowiednio nie podziękował ani nie wynagrodził Alfredowi przekazania tej poufnej informacji.

Wkrótce po odlocie Meisnerów wstyd Enid w cudowny sposób osłabł. Jakby prysnęło złe zaklęcie, zaczęła sypiać lepiej i myśleć mniej o lekarstwie. Zebrała wszystkie siły, aby zapomnieć o przysłudze, o którą poprosiła Beę. Poczowała się znowu sobą, czyli: optymistycznie.

Kupiła dwa bilety na samolot do Filadelfii na 15 stycznia. Powiedziała swoim przyjaciółkom, że korporacja Axon testuje nową ekscytującą metodę leczenia mózgu zwaną Corecktall i że Alfred, ze względu na to, że sprzedał swój wynalazek Axonowi, będzie mógł się poddać próbom. Powiedziała, że Denise jest strasznie kochana i zaproponowała im obojgu mieszkanie u siebie w Filadelfii tak

długo, jak potrwają testy. Powiedziała, że nie, Corectall nie jest środkiem przeczyszczającym, tylko nową rewolucyjną metodą leczenia parkinsonizmu. Przyznała, że owszem, nazwa jest nieco myląca, ale to na pewno nie jest środek na przeczyszczenie.

— Powiedz ludziom z Axona — powiedziała potem Denise — że tata ma łagodne objawy halucynacji, które zdaniem lekarza są prawdopodobnie skutkiem ubocznym zażywania leków. Czyli jeżeli Corectall mu pomoże, tata będzie mógł przestać brać te środki i halucynacje miną.

Opowiedziała nie tylko swoim przyjaciółkom, ale chyba wszystkim, kogo знаła w St. Jude, włączając w to rzeźnika, agenta ubezpieczeniowego i listonosza, że jej wnuk Jonah przyjeżdża na ferie. Oczywiście była zawiedziona, że Gary i Jonah mieli zostać tylko na trzy dni i wyjechać pierwszego dnia świąt, ale w ciągu trzech dni mogli mieć mnóstwo fajnej zabawy. Miała bilety na pokaz światel bożonarodzeniowych, na *Dziadka do orzechów*. Poza tym planowała takie atrakcje jak przycinanie choinki, jazda na łyżwach, kołędowanie i pasterka. Wygrzebała przepisy na ciasteczka, których nie używała chyba przez dwadzieścia lat. Zrobiła zapas eggnogu.

W niedzielę przedświąteczną obudziła się o 3.05 nad ranem i pomyślała: „Trzydzieści sześć godzin”. Cztery godziny później wstała, myśląc: „Trzydzieści dwie godziny”. W ciągu dnia zabrała Alfreda na Gwiazdkę w klubie dzielnicowym u Dale’a i Honey Driblettów, posadziła go bezpiecznie obok Kirby’ego Roota i zaczęła znowu opowiadać swoim sąsiadom, że jej ulubiony wnuczek, który czekał przez cały rok na Boże Narodzenie w St. Jude, przyjeżdża nazajutrz po południu. Znalazła Alfreda w toalecie Driblettów na parterze i wdała się z nim w nieoczekiwaną kłótnię na temat jego rzekomego zatwardzenia. Zabrała go do domu i położyła do łóżka, wymazała z pamięci wspomnienie kłótni i usiadła w jadalni, aby wypisać kolejny tuzin kartek świątecznych.

W wiklinowym koszyku z pocztą przychodzącą leżał już dziesięciocentymetrowy stosik kartek świątecznych od starych znajomych, jak Norma Greene, i nowych znajomych, jak Sylvia Roth. Coraz więcej ludzi w tych czasach kserowało swoje życzenia świąteczne lub pisało je na komputerze, ale Enid nie zamierzała się przyłączać do tłumu. Nawet jeżeli dojdą za późno, zamierzała własnoręcznie wypisać sto kartek i zaadresować niemal dwieście kopert. Poza jej standardowym dwuakapitowym tekstem i czteroakapitową pełną notką wymyśliła też specjalną krótką wiadomość:

Wycieczka do jesiennej Nowej Anglii i nadoceanicznej Kanady była cudowna. Al wziął nieoczekiwaną „kąpiel” w Zatoce Świętego Lawrence’a, ale już w pełni odzyskał siły! Nową bardzo ekskluzywną restaurację Denise opisano w „New York Timesie”. Chip nadal pracuje w nowojorskiej firmie prawniczej i teraz zajmuje się inwestycjami w Europie Wschodniej. Bardzo nas uradowały odwiedziny Gary’ego i naszego „rozwinętego nad wiek” najmłodszego wnuka, Jonaha. Mamy nadzieję, że cała nasza rodzina zjawi się w St. Jude na Boże Narodzenie — to dla mnie dar z niebios! Z wyrazami miłości dla Was wszystkich...

Była już dziesiąta i Enid właśnie gimnastykowała zmęczoną pisaniem rękę, gdy z Filadelfii zadzwonił Gary.

— Nie mogę się doczekać, już tylko siedemnaście godzin! — zaśpiewała radośnie Enid do słuchawki.

— Mam złe wieści — powiedział Gary. — Jonah wymiotuje i ma gorączkę. Nie sędzę, żebym mógł go wziąć do samolotu.

Wielbłąd rozczarowania utknął w uchu igielnym próby zrozumienia sytuacji.

— Zobacz, jak się będzie czuł rano — powiedziała. — Dzieci czasem dostają takich

jednodniówek. Założę się, że wszystko będzie w porządku. Może odpocząć w samolocie, jeśli będzie musiał, a po przyjeździe położy się wcześniej do łóżka i będzie mógł pospać do późna we wtorek.

— Mamo.

— Jeżeli jest naprawdę chory, Gary, to oczywiście, że nie może przyjechać. Ale jeśli gorączka mu minie...

— Uwierz mi, wszyscy jesteśmy zawiedzeni, a najbardziej Jonah.

— Nie musisz przecież podejmować decyzji w tej minucie. Jutro będzie zupełnie nowy dzień.

— Po prostu ostrzegam cię, że najprawdopodobniej przylecę sam.

— Cóż, ale wiesz, Gary, wszystko może wyglądać zupełnie inaczej jutro rano. Może zaczekaj, podejmij decyzję później i zaskocz mnie. Założę się, że wszystko się doskonale ułoży!

To była pora radości i cudów. Enid położyła się spać pełna nadziei.

Następnego dnia została obudzona — nagrodzona — porannym telefonem, głosem Chipa w słuchawce, wiadomością, że wraca do domu z Litwy w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin i że cała rodzina będzie w komplecie na Boże Narodzenie. Podśpiewywała pod nosem, gdy zesłała na dół i przypięła kolejną ozdobę na kalendarzu adwentowym, który wisiał na drzwiach frontowych.

Chyba od początku istnienia grupa kobiet, która zbierała się w kościele we wtorki, zbierała pieniądze, wytwarzając i sprzedając kalendarze adwentowe. Nie były to, jak pospieszyłaby Enid z wyjaśnieniami, tanie tekturowe tablice z wyciętymi okienkami, które można było kupić za pięć dolarów w celofanowym opakowaniu. Były piękne, ręcznie szyte i wielokrotnego użycia. Choinka z zielonego filcu była przyszyta do wybielonego płóciennego kwadratu z dwunastoma ponumerowanymi kieszonkami na górze i kolejnymi dwunastoma na dole. Każdego adwentowego poranka dzieci wyjmowały z jednej kieszonki ozdobę — małego konika na biegunach z filcu i cekinów, turkaweczkę z żółtego filcu albo przyozdobionego cekinami żołnierzyka — i przypinały ją na drzewku. Nawet teraz, gdy jej dzieci już dorosły, zawsze 30 listopada Enid nadal przerzucała ozdóbki z jednej kieszonki do drugiej. Tylko jedna ozdoba, w dwudziestej czwartej kieszeni, pozostawała ta sama: małe plastikowe Dzieciątko Jezus w kołysce z łupiny orzecha, pomalowanej na złoto. Chociaż Enid generalnie nie była zbyt gorliwa, jeśli chodzi o wiarę chrześcijańską, traktowała ową ozdobę z wielką nabożnością. Był to dla niej symbol nie tylko Pana Boga, ale także jej własnej trójki dzieci i wszystkich innych słodkich, pachnących niemowlęciem dzieci na świecie. Wypełniała dwudziestą czwartą kieszeń przez trzydzieści lat, wiedziała doskonale, co się w niej znajduje, a jednak za każdym razem oczekiwanie na jej otwarcie potrafiło zaprzeć jej dech w piersiach.

— Wspaniałe wiadomości dostaliśmy od Chipa, nieprawdaż? — zapytała Alfreda przy śniadaniu.

Alfred pracował nad swoją chomiczą kupką płatków pszennych i pił poranny napój złożony z gorącego mleka z wodą. Wyraz jego twarzy wskazywał na nadchodzącą regresję w kierunku zanikającego punktu absolutnego nieszczęścia.

— Chip będzie tutaj jutro — powtórzyła Enid. — Czy to nie wspaniałe wieści? Nie jesteś szczęśliwy?

Alfred skonsultował się z rozmiękłą masą płatków na trzęsącej się łyżce.

— Cóż — powiedział — jeżeli przyjedzie.

— Powiedział, że będzie tu jutro po południu — stwierdziła Enid. — Może jeśli nie będzie zbyt zmęczony, pójdzie z nami na *Dziadka do orzechów*. Wciąż mam sześć biletów.

— Mam co do tego wątpliwości — powiedział Alfred.

Fakt, że jego komentarz był całkowicie na temat, że mimo nieskończoności w oczach uczestniczył w skończonej rozmowie, wynagrodził jego kwaśną minę.

Enid przypięła wszystkie swoje nadzieje, niczym Dzieciątko w orzechowej kołysce, do Corecktallu. Jeżeli Alfred okaże się zbyt zdezorientowany, żeby uczestniczyć w testach, nie wiedziała, co jeszcze może zrobić. Jej życie w dziwny sposób przypominało egzystencję tych z jej przyjaciół — w szczególności Chucka Meisnera i Joego Persona — którzy uzależnili się od monitorowania swoich inwestycji. Według Bei niepokój Chucka kazał mu sprawdzać wyceny na komputerze dwa lub trzy razy na godzinę, ostatnim zaś razem, gdy Enid i Alfred wybrali się z Personami do restauracji, Joe doprowadził Enid do szału, dzwoniąc z komórki do trzech różnych brokerów. Ona jednak zachowywała się tak samo, jeżeli chodziło o Alfreda: boleśnie uwrażliwiona na każdy dający nadzieję zwrot zdarzeń, wiecznie w strachu przed katastrofą.

Najbardziej swobodny czas w całym dniu przychodził po śniadaniu. Każdego poranka, gdy tylko Alfred wychylił swoją filiżankę ciepłego mleka z wodą, schodził do piwnicy i koncentrował się na wypróżnianiu. Obecność Enid i jej gadanie nie było mile widziane podczas tej gorączkowej godziny jego obaw, ale mogła go zostawić z jego własnymi sprawami. Odbytnicze zaabsorbowanie Alfreda było szaleństwem, ale nie tego rodzaju, który mógłby go zdyskwalifikować przy testowaniu Corecktallu.

Za kuchennym oknem płatki śniegu spadały z niesamowicie niebiesko zachmurzonego nieba, obsypując gałęzie dawno już niekwitającego derenia, który zasadził Chuck Meisner (tak trzeba by określić wiek tej rośliny). Enid zmieliła i zamroziła wielki kawał szynki do późniejszego pieczenia i przygotowała sałatkę z bananów, zielonych winogron, ananasa z puszki, pianek i cytrynowych galaretek. Było to, wraz z dwukrotnie pieczonymi ziemniakami, oficjalnie ulubione jedzenie Jonaha u babci i dziś wieczór znalazło się w jadłospisie.

Całymi miesiącami wyobrażała sobie, jak Jonah przypina Dzieciątko Jezus do adwentowego kalendarza w wigilię Bożego Narodzenia.

Ożywiona drugą filiżanką kawy poszła na górę i uklękła przy starej komodzie Gary'ego z drzewa wiśniowego, gdzie zwykle trzymała prezenty i fanty. Skończyła zakupy świąteczne już dawno temu, ale dla Chipa kupiła tylko przeceniony, brązowo-czerwony płaszcz kąpielowy Pendletona. Kilka lat temu Chip podkopał nieco jej dobrą wolę, przysyłając jej jako gwiazdkowy upominek książkę kucharską, która wyglądała na używaną. Książka nosiła tytuł *Kuchnia marokańska*, była owinięta w folię aluminiową i udekorowana naklejkami wieszaków ubraniowych przekreślonych czerwonym paskiem. Teraz jednak, gdy wracał do domu z Litwy, chciała go za to wynagrodzić w pełnym limicie jej budżetu upominkowego, który wyglądał następująco:

Alfred: nieustalony limit

Chip, Denise: każde po 100 dolarów plus grejpfrut

Gary, Caroline: każde po 60 dolarów maksimum, plus grejpfrut

Aaron, Caleb: każdy po 30 dolarów maksimum

Jonah (tylko tego roku): nieustalony limit

Za szlafrok zapłaciła 55 dolarów, więc teraz potrzebowała prezentu za pozostałe czterdzieści pięć. Przeszukała szuflady komody. Odrzuciła wazon z Hongkongu w wymiętoszonych pudełkach, talię kart do brydża wraz z tablicą do zapisywania wyników, wiele tematycznych podstawek do koktajli, naprawdę ładne i całkiem bezużyteczne komplety długopisów i ołówków, kilka turystycznych budzików, które otwierały się i dzwoniły na różne sposoby, łyżkę do butów z teleskopową rączką,

niesamowicie tępe koreańskie noże do steków, podstawki pod kieliszki z brązu i korka, z lokomotywami wygrawerowanymi na licu, ceramiczną ramkę do zdjęcia o rozmiarach 12,5 na 17,5 cm ze słowem „Pamiętki” wypisanym połyskującą lawendową kursywą, onyksowe figurki żółwi z Meksyku oraz przemyślnie zapakowany zestaw wstążki i ozdobnego papieru, nazywany Podarunkiem Obdarowywania. Przez chwilę rozważała przydatność cynowych szczypiec do gaszenia świec oraz młynka do pieprzu i soli firmy Lucite. Przypominając sobie niedostatki wyposażenia domowego Chipa, postanowiła, że szczypce oraz młynek nadadzą się idealnie.

W tym czasie radości i cudów, gdy pakowała prezent, zapomniała o śmierdzącym uryną laboratorium i obrzydliwych świerszczach. Mogła nie przejmować się tym, że Alfred ustawił choinkę tak, że była przechylona o dwadzieścia stopni na bok. Potrafiła też wierzyć, iż dzisiejszego poranka Jonah czuje się równie zdrowy jak ona.

Gdy skończyła pakować prezenty, słońce na niebie koloru mewich piór nabrało południowego nachylenia i blasku. Poszła do piwnicy, gdzie zobaczyła stół pingpongowy pogrzebany pod stertą zielonych sznurów choinkowych, niczym obudowa całkowicie porośnięta winem kudzu i Alfreda, który siedział na podłodze z taśmą izolującą, kombinerkami i przedłużaczami.

— Cholera by wzięła te światełka! — warknął.

— Al, co ty robisz na ziemi?

— Te cholerne tanie nowe światełka!

— Nie przejmuj się nimi. Po prostu je zostaw. Gary i Jonah się tym zajmą. Chodź na górę i zjedz lunch.

Samolot z Filadelfii miał wylądować o pierwszej trzydzieści. Gary miał wynająć samochód i przyjechać do domu przed trzecią. W tym czasie Enid zamierzała ułożyć Alfreda do snu, ponieważ dziś wieczorem będzie potrzebowała posiłków. Jeżeli Alfred wstanie w nocy i zacznie chodzić po domu, Enid nie będzie jedyną osobą na posterunku.

Po lunchu w domu zapanowała cisza tak gęsta, że niemal zatrzymywała zegary. Ostatnie godziny czekania powinny być świetnym momentem do dopisania kilku kartek świątecznych — teoretycznie Enid zyskałaby niezależnie od tego, czy pozwoli upływać kolejnym minutom, czy też wykona dużo pracy; ale czasu nie da się w ten sposób oszukać. Rozpoczynając pisanie krótkiej wersji życzeń, czuła, jakby prowadziła długopis po melasie. Straciła wątek, napisała: „wziął nieoczekiwaną kąpiel w nieoczekiwanej kąpeli” i musiała wyrzucić pocztówkę. Wstała, żeby sprawdzić godzinę na zegarku w kuchni, i stwierdziła, że od ostatniego razu minęło dopiero pięć minut. Ułożyła różnego rodzaju ciasteczka na lakierowanym drewnianym odświętnym talerzu. Położyła nóż i dużą gruszkę na desce do krojenia, potrząsnęła kartonem egnoga, załadowała maszynkę do kawy na wypadek, gdyby Gary chciał się napić. Usiadła, żeby napisać krótką notkę świąteczną, i w pustej bieli kartki ujrzała odbicie swojego umysłu. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz, na wyblakły trawnik. Nadchodził właśnie listonosz, z ramionami ugiętymi pod ciężarem świątecznych pozdrowień. Wyciągnął gruby plik listów, które w trzech porcjach wrzucił do skrzynki. Enid posortowała pocztę, oddzielając zboże od plew, ale była zbyt rozkojarzona, żeby przeczytać życzenia. Zeszła do piwnicy, ku niebieskiemu fotelowi.

— Al — wrzasnęła. — Myślę, że czas już wstawać!

Usiadł prosto, z rozwichrzonym włosiem i pustym wzrokiem.

— Już przyjechali?

— Będą lada chwila. Może chcesz się odświeżyć.

— Kto przyjeżdża?

— Gary i Jonah, chyba że Jonah jest zbyt chory.

— Gary — powiedział Alfred. — I Jonah.

— Może weźmiesz prysznic?

Potrząsnął głową.

— Żadnych pryszniców.

— Cóż, jeśli chcesz tkwić w wannie, kiedy przyjadą...

— Wydaje mi się, że mam prawo do kąpieli po całej tej robocie, jaką odwaliłem.

W łazience na dole była bardzo wygodna kabina prysznicowa, ale Alfred nigdy nie lubił stać podczas mycia. Ponieważ Enid teraz odmawiała mu pomocy przy wyjściu z wanny, potrafił w niej siedzieć godzinę, w zimnej wodzie, z udami koloru szarego mydła, zanim znalazł sposób na wydostanie się, taki był uparty.

Nalewał właśnie wody do wanny w łazience na górze, gdy długo wyczekiwany gość zapukał wreszcie do drzwi.

Enid pobiegła otworzyć drzwi i ujrzała swojego przystojnego starszego syna stojącego samotnie na progu. Miał na sobie kurtkę ze skóry cielecej i trzymał w ręku podręczną torbę na ramię oraz papierową torbę na zakupy. Słońce wisiało nisko, jego spolaryzowane promienie znajdowały prześwity pomiędzy chmurami, jak to często czyniły pod koniec zimowych dni. Ulicę zalało niesamowicie nedorzeczne, złotawe sztuczne światło, którym jakiś malarz amator mógłby oświetlić rozstąpienie się Morza Czerwonego. Ceglane ściany domu Personów, niebieskofioletowe zimowe chmury i ciemnozielone żywiczne krzaki nabrały tak fałszywie soczystych barw, że przestały być ładne, a stały się obce i złowieszcze.

— Gdzie Jonah? — spytała Enid.

Gary wszedł do środka i postawił torbę na ziemi.

— Ciągle ma jeszcze gorączkę — odparł.

Enid przyjęła pocałunek przywitalny. Potrzebowała chwili, żeby zebrać się w sobie, powiedziała więc Gary'emu, żeby przyniósł drugą walizkę, skoro jeszcze jest ubrany.

— To mój jedyny bagaż — poinformował ją prawniczym tonem. Wpatrzyła się w malutką torbę podróżną.

— To wszystko, co przywiozłeś?

— Posłuchaj, wiem, że jesteś rozczarowana co do Jonaha...

— Jak wysoką miał gorączkę?

— Trzydzieści siedem i siedem dzisiaj rano.

— Trzydzieści siedem i siedem to nie jest wysoka gorączka!

Gary westchnął i spojrzał w bok, przekręcając głowę tak, że przechyliła się równoległe do pnia choinki.

— Słuchaj — rzekł — Jonah był zawiedziony, ja jestem zawiedziony, ty jesteś zawiedziona. Możemy na tym poprzestać? Wszyscy jesteśmy rozczarowani.

— Ja się tak tutaj przygotowywałam na jego wizytę — powiedziała Enid. — Przygotowałam jego ulubiony obiad...

— Specjalnie dzwoniłem, żeby cię uprzedzić...

— Kupiłam bilety na dzisiejszy pokaz w parku Waindella!

Gary potrząsnął głową i ruszył w kierunku kuchni.

— Zatem pójdziemy do parku — odparł. — A jutro przyjeżdża Denise.

— Chip także!

Gary roześmiał się.

— Co, wróci z Litwy?

— Zadzwoił do mnie dziś rano.

— Uwierzę, jak zobaczę — powiedział Gary.

Świat za oknem wyglądał mniej realnie, niż życzyłyby sobie Enid. Światło słoneczne spływające na ziemię ze sklepienia chmur wydawało się bajkowym blaskiem, nieprzypisanym do żadnej godziny dnia. Miała przecucie, że rodzina, którą usiłowała zebrać razem, nie była już tą rodziną, którą ona pamiętała, że te święta nie będą w niczym przypominały poprzednich Gwiazdek. Ale robiła, co mogła, żeby dostosować się do nowej rzeczywistości. Nagle poczuła się niesamowicie podekscytowana przyjazdem Chipa. Ponieważ zaś prezenty Jonaha pojedą teraz nieodpakowane do Filadelfii z Garym, będzie musiała zapakować budziki i zestawy długopisów i ołówków dla Caleba oraz Aarona, żeby zredukować kontrast pomiędzy prezentami dzieci. Mogła to zrobić, czekając na Denise i Chipa.

— Mam tyle ciasteczek — powiedziała Gary'emu, który skrupulatnie mył ręce nad kuchennym zlewem. — Mam gruszkę, mogę ją pokroić, i trochę tej czarnej kawy, którą tak lubicie, dzieci.

Gary powąchał jej ściereczkę kuchenną, zanim wytarł w nią ręce.

Na górze Alfred zaczął głośno wołać jej imię.

— Och, Gary — powiedziała Enid. — Tata znowu utknął w wannie. Idź tam i pomóż mu. Ja już tego nie będę robiła.

Gary wytarł ręce bardzo dokładnie.

— Dlaczego nie bierze prysznic, jak ustaliliśmy wcześniej?

— Mówi, że woli sobie posiedzieć.

— No to ma pecha — powiedział Gary. — Oto mężczyzna, którego ewangelia głosi branie odpowiedzialności za samego siebie.

Alfred zawył znowu jej imię.

— Idź, Gary. Pomóż mu — powiedziała Enid.

Gary ze złowróbnym spokojem wygładził i wyprostował złożoną ściereczkę, wiszącą na wieszaku.

— Oto podstawowe zasady, mamó — powiedział prawniczym tonem. — Słuchasz mnie? Oto podstawowe zasady. Przez następne trzy dni zrobię wszystko, czego będziesz chciała, z wyjątkiem pomagania ojcu w wykaraskaniu się z sytuacji, w których nie powinien się znaleźć. Jeśli chce się wspinać po drabinie i z niej spaść, ani myślę go podnosić z ziemi. Jeśli wykrwawi się na śmierć, to trudno. Jeśli nie może wyjść z wanny bez mojej pomocy, spędzi te święta w wannie. Czy wyrażam się jasno? Poza tym zrobię wszystko, czego sobie zażyczysz. A potem, w pierwszy dzień świąt, przy śniadaniu usiądziemy sobie i porozmawiamy...

— ENID! — głos Alfreda był niesamowicie głośny. — KTOŚ PUKA DO DRZWI!

Enid westchnęła ciężko i podeszła do schodów.

— Al, to Gary.

— Czy możesz mi pomóc? — usłyszała z góry.

— Gary, pójdz i zobacz, czego on chce.

Gary stał w jadalni z założonymi rękami.

— Czy nie wyraziłem się wystarczająco jasno?

Enid pamiętała o swoim synu rzeczy, które wolałaby zapomnieć, gdy nie było go w pobliżu. Powoli wspięła się po schodach, starając się oszczędzać bolące biodro.

— Al — oznajmiła, wchodząc do łazienki. — Nie mogę ci pomóc wyjść z wanny. Musisz sam się z niej wydostać.

Siedział zanurzony w wodzie na pięć centymetrów, z wyciągniętym ramieniem i drżącym palcem wycelowanym gdzieś w przestrzeń.

— Daj mi to — powiedział.

— Daj mi co?

— Tę butelkę.

Pojemnik rozjaśniającego włosy szamponu Snowy Mane spadł na podłogę. Enid klęknęła ostrożnie na macie, oszczędzając biodro, i włożyła butelkę w jego dłoń. Pomasował ją dziwnie, jakby szukał zakrętki albo nie pamiętał, jak ją otworzyć. Miał nieowłosione nogi i poplamione dłonie, ale jego ramiona wciąż jeszcze były silne.

— Niech mnie diabli — powiedział, uśmiechając się do butelki.

Jakąkolwiek temperaturę miała na początku woda, całe ciepło uleciało w grudniowo zimnej łazience. Enid czuła zapach mydła Dial i nieco słabszy zapach starości. Klęczała w tym samym miejscu tysiące razy, myjąc głowy swoim dzieciom i spłukując ich włosy ciepłą wodą z półtoralitrowego garnka, który specjalnie w tym celu przynosiła z kuchni. Teraz patrzyła, jak jej mąż obraca butelkę szamponu w rękach.

— Och, Al — powiedziała — co my zrobimy?

— Pomóż mi z tym.

— Dobrze, pomogę ci.

Na dole rozległ się dzwonek do drzwi.

— Widzisz, znowu ktoś dzwoni.

— Gary — zawołała Enid. — Zobacz, kto to.

Wycisnęła trochę szamponu na dłoń.

— Musisz zacząć brać prysznic zamiast kąpieli.

— Nie trzymam się wystarczająco pewnie na nogach.

— No dobrze, zmożemy ci włosy — zanurzyła rękę w ledwo ciepłej wodzie, żeby pokazać Alfredowi, o co chodzi. Polała odrobiną jego włosy. Na dole Gary rozmawiał z którąś z jej przyjaciółek, szczebiotliwą obywatelką St. Jude, może z Esther Root.

— Możemy postawić taborecik w kabinie — mówiła, namydlając włosy Alfreda. — Zamontujemy poręcz, żebyś mógł się czegoś przytrzymać. Doktor Hedgpeth powiedział, że to dobry pomysł. Może Gary zdoła to zrobić jutro.

Głos Alfreda wywołał wibracje w jego czaszce, poczuła je pod palcami.

— Czy Gary i Jonah dotarli bez problemu?

— Nie, tylko Gary — odparła. — Jonah ma bardzo, bardzo wysoką gorączkę i strasznie wymiotuje. Biedne dziecko, był zbyt chory, żeby polecieć samolotem.

Alfred zamrugnął ze współczuciem.

— Pochyl się teraz, spłuczę ten szampon.

Jeżeli Alfred próbował się pochylić, można to było ocenić jedynie po drgawkach jego nóg, ponieważ jego pozycja nie zmieniła się ani na jotę.

— Musisz dużo więcej się rozciągać — powiedziała Enid. — Czy w ogóle przejrzałeś tę rozpiskę

od doktora Hedgpetha?

Alfred pokiwał głową.

— Nic nie pomogło.

— Może Denise będzie cię w stanie nauczyć, jak robić te ćwiczenia. Może ci się to spodobać.

Sięgnęła za siebie po szklankę stojącą na umywalce. Napełniała ją ciepłą wodą z kranu i polewała głowę swojego męża. Z zaciśniętymi powiekami wyglądał prawie jak dziecko.

— Musisz teraz sam wyjść z wanny — powiedziała. — Ja ci nie pomogę.

— Mam swój sposób — odparł.

Na dole w salonie Gary klęczał, usiłując ustawić do pionu przechylone drzewko.

— Kto to był? — spytała Enid.

— Bea Meisner — powiedział, nie patrząc na nią. — Na kominku leży prezent dla ciebie.

— Bea Meisner? — w Enid wybuchnął spóźniony płomień wstydu. — Myślałam, że zostają w Austrii na całe święta.

— Nie, pojechali tam na jeden dzień i teraz wybierają się do La Jolla.

— Tam mieszkają Katie i Stew. Czy przyniosła coś dla mnie?

— Na kominku — powiedział Gary.

Prezent od Bei okazał się odświętnie opakowaną butelką czegoś prawdopodobnie austriackiego.

— Czy przyniosła coś jeszcze? — spytała Enid.

Otrzeputując spodnie z igieł choinkowych, Gary spojrzał na nią w zabawny sposób.

— Spodziewałaś się czegoś jeszcze?

— Nie, nie — odparła. — Prosiłam, żeby mi kupiła w Wiedniu pewien drobiazg, ale pewnie zapomniała.

Gary zmrużył oczy.

— Jaki drobiazg?

— Och, nic takiego, po prostu nic — Enid obejrzała butelkę, sprawdzając, czy nie ma tam czegoś doczepionego. Przetrwiała swoje zauroczenia aslanem, zrobiła wszystko, co należało, żeby o nim zapomnieć, i teraz nie była pewna, czy pragnie kolejnego spotkania z Lwem. Ale Lew wciąż miał nad nią władzę. Przypomniała sobie dawne uczucie, dziwnie przyjemną obawę przed powrotem ukochanego. Zatęskniła za tym, jak kiedyś, dawno temu zwykła była tęsknić za Alfredem.

— Dlaczego nie zaprosiłeś Bei do środka? — zbesztala Gary'ego.

— Chuck czekał na nią w ich jaguarze — odrzekł. — Domyślam się, że objeżdżali przyjaciół.

— Cóż — Enid odpakowała butelkę, żeby sprawdzić, czy aby na pewno nie ma przy niej ukrytej paczuszki. Bea podarowała jej austriackie wino musujące halb-trocken.

— To mi wygląda na strasznie słodkie wino — powiedział Gary.

Poprosiła go, żeby rozпалиł w kominku, sama zaś stała i podziwiała, jak jej kompetentny siwowłosy syn podchodzi pewnie do sterty drewna na podwórku, wraca do domu z ładunkiem polan, zręcznie układa je w kominku i zapala pierwszą zapałkę. Wszystko zabrało mu może pięć minut. Gary nie robił niczego specjalnego, po prostu funkcjonował tak, jak powinien funkcjonować mężczyzna. Mimo to w porównaniu z mężczyzną, z którym żyła Enid, zdolności Gary'ego wydawały się równe boskim. Jego ostatni gest wydał się jej taki wspaniały.

Poczuła ulgę, że Gary jest w domu, ale jednocześnie uświadomiła sobie, jak szybko stąd wyjedzie. Do pokoju przyszedł Alfred ubrany w dresy. Porozmawiał z Garym przez minutę, a potem udał się do swojej jaskini po codzienną wysokodecybelową dawkę wiadomości. Wiek i zgarbienie odebrały mu

kilka centymetrów; jeszcze niedawno byli z Garym tego samego wzrostu.

Podczas gdy Gary z niesamowitą kontrolą motoryczną zawieszał światełka, Enid usiadła przy kominku i rozpakowała kartony po alkoholu, w których trzymała ozdoby choinkowe. Dokądkolwiek podróżowała, wydawała część swojego kieszonkowego na ozdoby choinkowe. Gdy Gary rozwieszał je na drzewku, Enid podróżowała w myślach do Szwecji z reniferami ze słomy i małymi czerwonymi konikami, do Norwegii, gdzie ludzie nosili autentyczne lapońskie buty ze skóry reniferów, do Wenecji, gdzie wszystkie zwierzęta były zrobione ze szkła, do Niemiec z domami jak dla lalek, malowanymi drewnianymi Mikołajami i aniołkami, do Austrii pełnej drewnianych żołnierzyków i malutkich kościółków alpejskich. W Belgii gołąbki pokoju robiono z czekolady i owijano strojnie w folię, we Francji lalki przedstawiające żandarmów i artystów były nienagannie ubrane, a w Szwajcarii dzwoneczki z brązu dźwięczały ponad zdecydowanie religijnymi miniżółbkami. Andaluzja była głośna od rozwrzeszczanych ptaków; Meksyk pobrzękiwał malowanymi wycinankami z puszek. Wyżyny Chin rozbrzmiewały bezszelestnym galopem stada jedwabnych koni, w Japonii królowała zensuicka cisza lakierowanych abstrakcji.

Gary powiesił każdą ozdobę dokładnie tam, gdzie chciała Enid. Wydawał się zmieniony — spokojniejszy, bardziej dojrzały i rozważniejszy — dopóki nie poprosiła go o zrobienie pewnej małej rzeczy następnego dnia.

— Montowanie poręczy pod prysznicem to nie jest „mała rzecz” — powiedział. — Zresztą miałoby to sens rok temu, ale nie teraz. Ojciec może używać wanny przez kilka następnych dni, dopóki nie załatwimy sprawy z tym domem.

— Będziemy tu jeszcze przez cztery tygodnie, zanim polecimy do Filadelfii — zaprotestowała Enid. — Chcę, żeby przyzwyczajał się do używania prysznica. Chcę, żebyś jutro kupił taboret i zamontował poręcz w kabinie prysznicowej, żeby wszystko było gotowe.

Gary westchnął.

— Naprawdę myślisz, że możecie dalej mieszkać w tym domu?

— Jeżeli Corectall pomoże tacie...

— Mamo, sprawdzają ojca pod względem otępienia. Czy naprawdę wierzysz...

— Otępienia niezwiązanego z lekami.

— Posłuchaj, nie chcę odbierać ci nadziei...

— Denise wszystko załatwiła. Musimy spróbować.

— No dobrze, a potem co? — zapytał Gary. — Ojciec zostanie cudownie uzdrowiony i będziecie żyli długo i szczęśliwie?

Światło za oknami odeszło w mrok. Enid nie rozumiała, dlaczego jej słodkie, odpowiedzialne najstarsze dziecko, z którym czuła taką bliskość od najwcześniejszych lat jego dzieciństwa, stało się tak gniewne teraz, gdy najbardziej go potrzebowała. Odwinęła styropianową kulkę, którą Gary ozdobił cekinami, gdy miał dziewięć czy dziesięć lat.

— Pamiętasz to? — spytała.

Gary wziął od niej kulkę.

— Robiliśmy je na zajęciach pani Ostriker.

— Podarowałaś mi ją.

— Naprawdę?

— Powiedziałaś, że zrobisz wszystko, o co jutro poproszę — powiedziała Enid. — Proszę cię właśnie o to.

— Dobrze, już dobrze! — Gary wyrzucił ramiona w górę. — Kupię ten taboret i zainstaluję tę twoją poręcz!

Po obiedzie wyprowadzili z garażu oldsmobila i wszyscy troje pojechali do Gwiazdkolandu. Z tylnego siedzenia Enid widziała chmury rozjaśnione światłami miasta; prześwity nieba były ciemniejsze i upstrzone gwiazdami. Gary prowadził samochód wąskimi podmiejskimi drogami aż do wapiennych wrót parku Waindella, gdzie ustawiła się już długa kolejka samochodów, minivanów i ciężarówek.

— Popatrz na te wszystkie samochody — powiedział Alfred bez śladu dawnej niecierpliwości.

Zbierając opłaty za wejście do Gwiazdkolandu, okręg usiłował pokryć koszty zbudowania tej corocznej ekstrawagancji. Strażnik parku okręgowego wziął bilety od Lambertów i powiedział Gary'emu, żeby wyłączył wszystkie światła oprócz postojowych. Oldsmobil powłókł się do przodu w kolejce zaciemnionych pojazdów, które nigdy bardziej nie przypominały zwierząt niż teraz, w tym stadzie, pokornie sunąc przez park.

Przez większą część roku park Waindella był utrudzonym miejscem pełnym wypalanej trawy, brązowych bajerek i mało ambitnych wapiennych budowli. W grudniu za dnia wyglądał strasznie: jaskrawokolorowe przewody elektryczne krzyżowały się na trawnikach, armatury i rusztowania eksponowały swoją kruchość, prowizoryczność, metalową węzłowatość połączeń. Setki drzew i krzaków przyozdabiano sznurami światełek. Ich gałęzie zwisały smętnie, jakby przygięte przez mroźny deszcz szkła i plastiku. W nocy park przeistaczał się w Gwiazdkoland. Enid zaczerpnęła gwałtownie powietrza, gdy stary oldsmobil powoli wspinał się na wzgórze światła i toczył przez rozjarzony krajobraz. W wigilijną noc wolno było przemówić zwierzętom i podobnie park rozświetlił się teraz, a jego zazwyczaj opustoszałe uliczki zatętniły życiem.

Łagodny spadek wzgórz w parku Waindella i intymna zażyłość ich grzbietów z niebem były środkowozachodnie, podobnie jak, zdaniem Enid, spokój i cierpliwość kierowców; takie właśnie były te odizolowane od reszty świata, zamknięte przygraniczne społeczności w kraju dębów i klonów. Spędziła ostatnie osiem świąt Bożego Narodzenia na wygnaniu na wschodzie Stanów, a teraz nareszcie poczuła się w domu. Wyobraziła sobie, że zostanie pochowana wśród tych widoków. Myśl o jej kościach spoczywających na wzgórzu takim jak to napełniła ją radością.

Pojawiły się migotliwe pawilony, jarzący się renifer, wisiory i naszyjniki z zebranych w pęczki fotonów, puentylistyczne twarze Świętych Mikołajów, polanka wysmukłych, połyskujących lasek z cukru.

— Dużo pracy w to włożyli — stwierdził Alfred.

— Cóż, przykro mi, że Jonah nie mógł tu przyjechać — powiedział Gary tak, jakby przedtem w ogóle nie było mu przykro z tego powodu.

Cały spektakl sprowadzał się do świateł w ciemności, ale Enid odebrało mowę. Tak często oczekiwano od ludzi bezkrytyczności, choć zbyt rzadko można było pozwolić sobie na brak wątpliwości, ale tutaj, w parku Waindella, czuła czysty zachwyt. Jutro zaś przyjeżdżała Denise i Chip, jutro było przedstawienie *Dziadka do orzechów*, a w środę wyjmą Dzieciątka Jezus z jego kieszeni i przypną orzechową kołyskę do drzewka: tylu rzeczy mogła wyglądać z radością.

Rano Gary pojechał do Hospital City, pobliskiego miasteczka, gdzie mieściły się wszystkie wielkie centra medyczne St. Jude. Wstrzymał oddech na widok ważących niecałe czterdzieści kilogramów mężczyzn na wózkach i kobiet o wadze ponad dwustu kilogramów, w sukienkach jak namioty, zatykających przejścia Centralnego Punktu Ryczałtowego Zaopatrzenia Medycznego. Gary

nienawidził matki za to, że go tu wysłała, ale jednocześnie doceniał, jak wielkie ma szczęście w porównaniu z nią, ile swobody i przewagi. Zacisnął więc szczęki i starał się trzymać na jak największą odległość od ciał owych tubylców, którzy pakowali do toreb strzykawki, rękawiczki jednorazowe, ciasteczka toffi dla chorych, opatrunki absorpcyjne każdego rozmiaru, jaki można sobie wyobrazić, jednorazowe plastikowe rurki i torebki, które można było podłączyć do powierzchni z twardszego plastiku, wszytych w żywą tkankę.

Problem Gary'ego z takim konglomeratem choroby — poza tym, że angażował duże ilości ciał ludzkich, a Gary nie lubił ciał ludzkich w dużych ilościach — polegał na tym, że choroba wydawała mu się cechą biedaków. Ubodzy ludzie palili, ubodzy ludzie jedli tuzinami pączki Crispy Creme. Ubodzy ludzie zachodzili w ciążę za sprawą swoich bliskich, ubodzy ludzie mieli ubogą higienę osobistą i mieszkali w niezdrowych okolicach. Ubodzy ludzie ze swymi przypadłościami stanowili podgatunek ludzkości, który dzięki Bogu pozostawał niezauważalny dla Gary'ego, z wyjątkiem tych chwil, gdy odwiedzał szpital lub miejsca takie jak Centralny Punkt Ryczałtowy Zaopatrzenia Medycznego. Byli głupszą, smutniejszą, tłustszą i cierpiącą z większą rezygnacją rasą.

Mimo to przyjechał do St. Jude, czując wyrzuty sumienia co do kilku spraw, które zataił przed Enid, i obiecał, że przez trzy dni będzie bardzo dobrym synem. Dlatego teraz mimo zażenowania przepchnął się przez tłumy kalek, wszedł do obszernej sali demonstracyjnej Punktu Ryczałtowego i zaczął rozglądać się za taboretami, na którym ojciec mógłby siedzieć podczas prysznic.

Z ukrytych głośników popłynęła symfoniczna wersja najnudniejszej piosenki bożonarodzeniowej, jaką kiedykolwiek napisano, *Little Drummer Boy*. Za wielkimi oknami sali wystawowej był poranek, jasny, wietrzny i zimny. Kawałek gazety owinął się wokół parkometru z erotyczną desperacją. Skrzypiały płócienne dachy i trzepotały błotniki przy kołach samochodów.

Szeroki asortyment taboretów rehabilitacyjnych i rozmaitość schorzeń, do których były przystosowane, zdenerwowałyby Gary'ego, gdyby nie jego poczucie estetyki. Zastanawiał się na przykład, dlaczego beż. Plastik używany do wyrobu sprzętu medycznego zwykle był beżowy; w najlepszym przypadku bladoszary. Dlaczego nie czerwony? Dlaczego nie czarny? Dlaczego nie szmaragdowy?

Może dzięki beżowej barwie plastiku mebli rehabilitacyjnych używano wyłącznie zgodnie z przeznaczeniem. Może wytwórca bał się, że jeśli krzesła będą wyglądały zbyt ładnie, ludzie kupią je nie tylko do celów rehabilitacji. Oczywiście był to poważny problem: zbyt wielu ludzi, którzy chcą kupować dane produkty!

Gary potrząsnął głową. Co za idioci z tych wytwórców.

Wybrał masywny, niski aluminiowy stołek z szerokim beżowym siedziskiem oraz równie solidną (beżową!) poręcz do zamontowania w kabinie prysznicowej. Podziwiając wysokość upustu, zaniósł oba przedmioty do kasy, gdzie sympatyczna miejscowa dziewczyna, prawdopodobnie wyznania ewangelickiego (miała brokatowy sweter i wystrzępioną grzywkę) zeskanowała laserem kody kreskowe i zauważyła z silnym akcentem, że te aluminiowe stołki to naprawdę świetna rzecz.

— Takie letkie, praktycznie niezniszczalne — powiedziała. — To dla mamy czy taty?

Gary'ego oburzyło to naruszenie jego prywatności, więc odmówił odpowiedzi. Kiwnął jednak głową.

— Nasi staruszkowie w pewnym momencie robią się trochę niestabilni. Pewnie kiedyś wszystkim nam się to przytrafi — młoda filozofka przeciągnęła AmExa Gary'ego przez terminal.

— W domu na święta, pomagamy kapkę?

— Wie pani, do czego tak naprawdę nadałyby się te krzesła? — zapytał Gary. — Do tego, żeby się

powiesić, nie sądzi pani?

Z twarzy dziewczyny zniknął uśmiech.

— Tego nie wiem.

— Takie lekkie i wygodne, łatwo je spod siebie wykopać.

— Proszę tu podpisać.

Z powodu wiatru musiał porządnie pchnąć drzwi wyjściowe. Niezła dziś była wichura, zimne podmuchy przenikały jego skórzaną kurtkę. Ten wiatr nadciągał prosto z Arktyki, niezatrzymany przez żadne nierówności terenu pomiędzy biegunem a St. Jude.

Jadąc na północ w kierunku lotniska, mając przed sobą słońce litościwie nisko zawieszony na niebie, Gary zastanawiał się, czy był okrutny w stosunku do kasjerki. Prawdopodobnie tak. Ale był zestresowany, a osoba znajdująca się w stresie miała według niego prawo do stanowczości w granicach, które sama określiła — prawo do srogiego przestrzegania własnego kodeksu etycznego, prawo do ścisłego określenia, co robi, a czego nie robi, prawo do uściślenia tego, kim jest, a kim nie jest oraz z kim będzie, a z kim nie będzie rozmawiał. Jeśli na przykład jakaś zuchwała, swojska ewangelicka dziewczyna nalegała na rozmowę, on miał prawo do wyboru tematu.

Gary zdawał sobie jednak sprawę, że gdyby owa dziewczyna była nieco bardziej atrakcyjna, okazałby prawdopodobnie znacznie mniej okrucieństwa.

Wszystko w St. Jude usiłowało go skrzywdzić. Ale przez te kilka miesięcy, od kiedy poddał się Caroline (i jego ręka, dziękuję, zagoiła się ładnie, nawet prawie nie widać było blizny), Gary pogodził się z tym, że w St. Jude gra czarny charakter. Jeśli człowiek wiedział, że własna matka uzna go za nikczemnika, to cokolwiek by uczynił, tracił ochotę na postępowanie zgodnie z jej zasadami i domagał się uznania własnych reguł gry. Trzeba było zrobić wszystko, żeby się chronić. Na przykład udawać, jeśli zaszła taka konieczność, że własne dziecko jest chore.

Prawda o Jonahu była taka, iż sam zdecydował o pozostaniu w Filadelfii. Zgodnie z warunkami październikowej kapitulacji, dierząc w dłoni pięć bezzwrotnych biletów do St. Jude, Gary powiedział swojej rodzinie, że chciałby, aby wszyscy pojechali z nim do jego rodziców na święta, ale nie będzie nikogo zmuszał. Caroline, Caleb i Aaron od razu głośno podziękowali za wycieczkę; Jonah, wciąż jeszcze pod urokiem entuzjazmu babci, zadeklarował, że „bardzo by chciał” pojechać. Gary nigdy właściwie nie obiecywał Enid, że Jonah przyjedzie do St. Jude, ale też nigdy nie ostrzegł jej, że może się nie zjawić.

W listopadzie Caroline przyniosła cztery bilety na występ magika Alaina Gregariusza na 22 grudnia i kolejne cztery bilety na seans *Króla Lwa* w Nowym Jorku na 23 grudnia.

— Jonah będzie mógł z nami pójść, jeśli zostanie — wyjaśniła. — W innym przypadku Caleb lub Aaron mogą zaprosić kolegę.

Gary chciał ją zapytać, dlaczego nie kupiła biletów na tydzień po świętach, co oszczędziłoby Jonahowi podejmowania trudnej decyzji. Ale od czasu październikowej kapitulacji przeżywali z Caroline drugi miesiąc miodowy i chociaż wiadomo było, że Gary jako obowiązkowy syn pojedzie do St. Jude na trzy dni, ilekroć wspominał o tej podróży, na ich domowe szczęście padał cień. Im więcej mijało dni bez wspomnienia o Enid albo o Gwiazdce, tym bardziej Caroline zdawała się go pragnąć, tym bardziej włączała go w prywatny świat żartów z Calebem i Aaronem, a on czuł się tym mniej przygnębiony. Nie rozmawiali o jego depresji ani razu, od poranka wypadku Alfreda. Milczenie w temacie Bożego Narodzenia wydawało się małą ceną za tak doskonałą harmonię domowego ogniska.

Przez jakiś czas perspektywa prezentów, niespodzianek, wielkiej uczyty i troski, które obiecała

Enid Jonahowi, gdy ten przyjedzie do St. Jude, zdawała się przyćmiewać atrakcje w postaci Alaina Gregariususa i *Króla Lwa*. Głośno marzył przy stole o Gwiazdkolandzie i kalendarzu adwentowym, o którym babcia tak często mówiła; ignorował lub po prostu nie zauważał puszcanych oczek i uśmiezków, które wymieniali między sobą Caleb i Aaron. Ale Caroline coraz bardziej otwarcie zachęcała starszych chłopców do wyśmiewania się z dziadków, do opowiadania o ignorancji Alfreda („Mówi intendo na nintendo!”), o purytanizmie Enid („Zapytała, od ilu lat jest ten program!”) i jej absurdalnej oszczędności („Zostały dwa strączki fasolki, a ona owinęła je w folię na później!”), Gary zaś, od kiedy się poddał, zaczął odczuwać przyjemność z tego naśmiewania się („Babcia jest śmieszna, nieprawdaż?”) i wreszcie Jonah uświadomił sobie, czego naprawdę chce. W wieku lat ośmiu poddał się tyranii „fajności”. Najpierw przestał rozmawiać o Gwiazdce przy stole, potem, gdy Caleb ze swoją typową ironią zapytał, czy nadal marzy o Gwiazdkolandzie, Jonah odparł sztucznie figlarnym głosem:

— To prawdopodobnie coś bardzo głupiego.

— Mnóstwo grubasów jeździ w ciemności samochodami dookoła parku — powiedział Aaron.

— Mówiąc sobie nawzajem, jak piknie wszystko wygląda — dodała Caroline.

— Piknie, piknie — powtórzył Caleb.

— Nie powinieneś żartować sobie z babci — skarcił go Gary.

— Chłopcy nie żartują z babci — zripostowała Caroline.

— Pewnie, że nie — poparł Caleb. — Tylko że w St. Jude ludzie są tacy śmieszni, prawda, Jonah?

— Na pewno są ogromni — powiedział Jonah.

W sobotni wieczór, trzy dni temu, Jonah zwymiotował po jedzeniu i poszedł do łóżka z lekką gorączką. Do niedzieli wieczorem jego apetyt i kolory wróciły do normalnego stanu i wtedy Caroline wytoczyła ciężkie działa. Wcześniej w grudniu kupiła na urodziny Aarona kosztowną grę komputerową, od Project II, w której gracze projektowali i poruszali organizmami konkurującymi o miejsce w ekosystemie. Nie pozwoliła Aaronowi i Calebowi rozpocząć gry, dopóki nie skończą się zajęcia w szkole, a gdy wreszcie nadeszły ferie, nalegała, żeby pozwolili Jonahowi być Mikrobrami, ponieważ Mikroby w każdym ekosystemie bawiły się najlepiej i nigdy nie przegrywały.

W niedzielę, zanim przyszła pora na spoczynek, Jonah był zachwycony swoją drużyną bakterii zabójców i palił się, żeby wysłać je do bitwy następnego dnia. Gdy Gary obudził go w poniedziałek rano i zapytał, czy nadal wybiera się do St. Jude, Jonah odparł, że wolałby zostać.

— To twoja decyzja — powiedział Gary. — Ale babci bardzo zależało, żebyś ją odwiedził.

— A jeżeli tam nie będzie wcale zabawnie?

— Nigdy nie ma gwarancji, że coś będzie zabawne — odparł Gary. — Ale na pewno uszczęśliwisz swoją babcie. To jedyna rzecz, jaką ci mogę obiecać.

Jonah zachmurzył się.

— Czy mogę o tym pomyśleć przez godzinę?

— Dobrze, masz jedną godzinę, ale potem musimy się spakować i jechać.

Pod koniec owej godziny Gary znalazł Jonaha kompletnie pochłoniętego grą. Jeden ze szczepów jego bakterii oślepił osiemdziesiąt procent małych ssaków kopytnych Aarona.

— Nic się nie stanie, jeżeli nie zechcesz jechać — upewniła Jonaha Caroline. — Liczy się twój osobisty wybór. To są twoje ferie.

Nie będę nikogo zmuszał.

— Powtórzę to jeszcze raz — powiedział Gary. — Babcia naprawdę czeka na twój przyjazd.

Na twarzy Caroline pojawił się potworny smutek i obdarzyła go głębokim, łzawym spojrzeniem przypominającym wrześnie kłopoty. Wstała bez słowa i wyszła z bawialni.

Jonah odpowiedział głosem niewiele bardziej słyszalnym niż szept:

— Chyba zostanę tutaj.

Gdyby wciąż jeszcze był wrzesień, Gary mógłby odebrać decyzję Jonaha jako parabolę kryzysu moralności w cywilizacji konsumentów. Mógłby wpaść w depresję. Ale przeszedł już przez to wcześniej i wiedział, że na końcu tej drogi nie czeka na niego nic.

Spakował torbę i pocałował Caroline na pożegnanie.

— Będę szczęśliwa, kiedy wrócisz — powiedziała.

W czysto etycznym sensie Gary nie zrobił nic złego. Nigdy nie obiecywał Enid, że Jonah przyjedzie do St. Jude. To, że okłamał ją o gorączce Jonaha, było jedynie zaoszczędzeniem sobie kłótni.

Podobnie, aby oszczędzić Enid niepotrzebnych emocji, nie wspomniał jej, że w ciągu sześciu dni roboczych po wejściu Axonu na rynek, jego pięć tysięcy akcji, które kupił za 60 tysięcy dolarów, zwiększyło wartość do 118 tysięcy. Znowu, nie zrobił nic złego, ale biorąc pod uwagę żalosne wynagrodzenie dla Alfreda za cesję praw patentowych na Axon, przemilczenie wydawało mu się najlepszym wyjściem.

To samo dotyczyło małego pakunku, który Gary włożył do wewnętrznej kieszeni kurtki.

Kiedy próbował przedostać się pomiędzy samochodami stłoczonymi na drodze dojazdowej do lotniska, z rozjaśnionego nieba opadały samoloty, radosne w ich metalowych skorupkach. Dni przedświąteczne były najlepszym okresem dla lotniska w St. Jude, niemalże jego *raison d'être*. Wszystkie miejsca na parkingu były wypełnione, każdy pasaż zatłoczony.

Denise przybyła na czas. Nawet linie lotnicze postarały się, aby uchronić ją przed wstydem z powodu spóźnienia lub z powodu zrobienia kłopotu swemu bratu. Stała zgodnie ze zwyczajem rodzinnym przy mało używanym wyjściu z hali odlotów. Miała na sobie bardzo granatowy wełniany płaszcz z różowym aksamitnym wykończeniem. Coś się również zmieniło w jej wyglądzie — więcej makijażu niż zazwyczaj, może grubsza warstwa szminki. W tym roku, za każdym razem gdy widywał Denise (ostatnio na Święto Dziękczynienia), coraz mniej wyglądała na osobę, na którą wedle wyobrażeń Gary'ego miała wyrosnąć. Gdy ją pocałował, poczuł zapach papierosów.

— Zaczęłaś palić — stwierdził, robiąc miejsce w bagażniku na jej walizkę i siatkę z zakupami. Denise się uśmiechnęła.

— Otwórz drzwi. Umieram z zimna — powiedziała.

Gary założył okulary przeciwsłoneczne. Jadąc na południe w oślepiającym świetle, został niemal zepchnięty na pobocze przy włączaniu się do ruchu. Na drogi w St. Jude wtargnęła agresja; samochody nie poruszały się już na tyle niemrawo, że kierowca ze stanów wschodnich mógłby z przyjemnością kluczyć między nimi.

— Mama pewnie jest szczęśliwa z powodu przyjazdu Jonaha — powiedziała Denise.

— Jonah nie przyjechał ze mną.

Gwałtownie obróciła głowę w jego stronę.

— Nie przywiozłeś go ze sobą?

— Zachorował.

— Nie mogę uwierzyć, że go nie przywiozłeś!

Nawet przez chwilę nie wydawało się jej przyjść do głowy, że Gary mówi prawdę.

— W moim domu mieszka pięcioro ludzi — rzekł. — O ile wiem, w twoim domu mieszka tylko jedna osoba. Jeśli masz wiele obowiązków, wszystko się znacznie bardziej komplikuje.

— Po prostu przykro mi, że tak zawiodłeś nadzieje mamy.

— To nie moja wina. Skoro zamierza wiecznie żyć przyszłością...

— Masz rację — powiedziała Denise. — To nie twoja wina. Po prostu chciałabym, żeby stało się inaczej.

— A skoro mowa o mamie, powinienem ci powiedzieć coś bardzo dziwnego — ciągnął Gary. — Ale musisz obiecać, że jej o tym nie wypaplasz.

— Co dziwnego?

— Najpierw obiecaj, potem się dowiesz.

Denise obiecała, a wtedy Gary rozpiął wewnętrzną kieszeń kurtki i pokazał jej paczuszkę, którą przyniosła wczoraj Bea Meisner. Tamta chwila była bardzo dziwaczna: jaguar Chucka Meisnera na ulicy, nieruchomy pośród wielorybich kłębow dymu z rury wydechowej, Bea Meisner w swoim haftowanym szarozielonym palcie, stojąca na powitalnej macie przy drzwiach i wyciągająca z torebki brudną i podniszczoną małą paczuszkę, Gary odstawiający opakowaną butelkę szampana i odbierający kontrabandę.

— To dla twojej mamy — powiedziała Bea. — Ale powiedz jej koniecznie, że Klaus powiedział, żeby z tym uważała. Nie chciał mi tego w ogóle dać. Powiedział, że to bardzo, bardzo uzależniający lek i dlatego dostałam tylko trochę. Twoja mama chciała zapas na sześć miesięcy, ale Klaus dał mi tylko jedno opakowanie. Więc powiedz jej, żeby się dobrze zastanowiła i najlepiej porozmawiała ze swoim lekarzem. Może nawet powinienes to przechować na jakiś czas, Gary, dopóki mama tego nie zrobi. W każdym razie, radosnych świąt Bożego Narodzenia — tu rozległ się klakson jaguara — i przekaż pozdrowienia dla wszystkich.

Gary opowiedział o tym Denise, podczas gdy ona otwierała paczkę. Bea zawinęła ją w kartkę z jakiegoś niemieckiego magazynu i szczelnie okleiła taśmą klejącą. Na jednej stronie widniała niemiecka krowa w okularach, promująca superpasteryzowane mleko. W zawiniątku znajdowało się trzydzieści złotych kapsulek.

— Mój Boże, meksykańska A — roześmiała się Denise.

— Nigdy o tym nie słyszałem.

— Narkotyk, podobny do ecstasy. Bardzo młodzieżowy.

— I Bea Meisner wręcza to naszej mamie tak po prostu?

— Czy mama wie, że to masz?

— Jeszcze nie. Nawet nie wiem, jak to świństwo działa.

Denise sięgnęła ku niemu, podtykając śmierzdzącymi tytoniem palcami pigułkę pod jego usta.

— Masz, spróbuj.

Gary odsunął gwałtownie głowę. Jego siostra też chyba była pod wpływem jakichś leków, na pewno czegoś więcej niż nikotyna. Była albo zbyt szczęśliwa, albo zbyt nieszczęśliwa, albo jedno i drugie, który to wariant byłby jeszcze bardziej niebezpieczny. Na trzech palcach i kciuku miała srebrne pierścionki.

— Czy to narkotyk, którego ty już próbowałaś? — spytał.

— Nie. Ja tylko piję.

Zawinęła paczuszkę i Gary zabrał ją z powrotem.

— Muszę być pewien, że będziesz po mojej stronie w tej sprawie — powiedział. — Czy zgodzisz

się, że mama nie powinna dostawać od Bei Meisner nielegalnych substancji uzależniających?

— Nie — odparła Denise. — Nie zgodzę się. Jest dorosła i może robić, co chce. I nie sądzę, żeby to było uczciwe, chować przed nią pigułki i nie powiedzieć jej o tym. Jeżeli ty jej nie powiesz, ja to zrobię.

— Przepraszam, ale zdaje się, że obiecałaś nie wspominać mamie o tej sprawie — przypomniał Gary.

Denise zastanawiała się przez chwilę. Za oknami migały nasypy obryzgane solą ze śniegiem.

— No dobrze, może i obiecałam — orzekła wreszcie. — Ale dlaczego próbujesz kontrolować jej życie?

— Szybko się zorientujesz, że sytuacja rodziców nie jest normalna — odparł Gary. — Myślę, że już najwyższy czas, żeby ktoś wkroczył i zaczął decydować za nich.

Denise nie sprzeczała się z nim. Opuściła zasłonę przeciwsloneczną i wpatrzyła się w wieże Hospital City na brutalnym południowym horyzoncie. Gary myślał, że będzie chętniejsza do współpracy. Miał już jedno „alternatywne” rodzeństwo i nie potrzeba mu było drugiego do kompletu. Frustrowało go to, że ludzie potrafią tak lekko porzucać świat konwencjonalnych oczekiwań; przez to tracił część przyjemności, którą czerpał z rodziny i domu. Zupełnie jakby ktoś bez jego zgody przerobił wszystkie reguły życia. Szczególnie zaś irytował go fakt, że najnowszym zdrajcą na rzecz „alternatywy” okazał się nie jakiś tam obslizgły Inny z rodziny Innych lub klasy Innych, lecz jego własna, stylowa i utalentowana siostra, która jeszcze tak niedawno, bo we wrześniu, była doskonale konwencjonalna, o czym jego przyjaciele mogli przeczytać w „New York Timesie”. Teraz zaś zrezygnowała z pracy, nosiła cztery pierścionki na jednej dłoni, krzykliwy płaszcz i zalatywała tytoniem...

Wszedł za nią do domu, niosąc aluminiowy stołek. Porównał sposób, w jaki Enid przywitała się z Denise i z nim, wczorajszego popołudnia. Zauważył długość uścisku, brak natychmiastowego krytycyzmu, serię uśmiechów. Enid zawołała:

— Myślałam, że może wpadniecie na siebie z Chipem na lotnisku i przyjedziecie do domu wszyscy troje!

— Ten scenariusz jest nieprawdopodobny z ośmiu różnych powodów — skomentował Gary.

— Powiedział, że przyjedzie dzisiaj? — spytała Denise.

— Dziś po południu — odparła Enid. — Najpóźniej jutro.

— Dziś, jutro, następnego kwietnia, cokolwiek — wtrącił się Gary.

— Mówił, że na Litwie są teraz jakieś kłopoty — ciągnęła Enid.

Podczas gdy Denise poszła poszukać Alfreda, Gary przyniósł sobie z ojcowskiej jaskini poranne wydanie „Chronicle”. W ramce wiadomości ze świata, wciśnięta pomiędzy dwoma długimi artykułami („Nowe salony Peticure — zwierzęta pokazują czerwone pazury” i „Czy oftalmolodzy są przepłacani? — lekarze mówią NIE, optometryści mówią TAK”) znajdowała się notka na temat Litwy: „Zamieszki uliczne, następstwo sporu wokół wyborów parlamentarnych i próby zabójstwa prezydenta Vitkunasa... trzy czwarte kraju zostało pozbawione elektryczności... bojówki różnych ugrupowań ścierają się ze sobą na ulicach Wilna... lotnisko...”.

— Lotnisko zostało zamknięte — przeczytał Gary na głos z satysfakcją. — Mamo, słyszałaś?

— Chip był na lotnisku już wczoraj — odparła Enid. — Jestem pewna, że się wydostał.

— Więc dlaczego nie zadzwonił?

— Pewnie spieszył się, żeby złapać połączenie.

W pewnym momencie zdolności Enid do fantazjowania stawały się dla Gary'ego fizycznie bolesne. Otworzył portfel i wręczył jej kwitek za taboret i poręcz.

— Wypiszę ci czek później — powiedziała.

— Może powinnaś to zrobić, zanim zapomnisz.

Pomrukując i pojękując, Enid zastosowała się do jego życzenia. Gary sprawdził czek.

— Dlaczego napisałaś datę dwudziesty szósty grudnia?

— Ponieważ dopiero wtedy najwcześniej będziesz mógł dokonać wypłaty w banku.

Ich utarczka ciągnęła się dalej podczas lunchu. Gary powoli wysączył jedno piwo, a potem drugie, rozkoszując się przykrością, którą sprawiał Enid, gdy przypominała mu po raz trzeci i czwarty, że powinien zabrać się za montowanie poręczy pod prysznicem. Kiedy wreszcie wstał od stołu, przyszło mu do głowy, że jego odruch, aby pokierować życiem Enid, był logiczną odpowiedzią na jej naleganie, żeby to zrobił.

Poręcz stabilizująca była beżową lakierowaną rurą o długości bez mała czterdziestu centymetrów, wygiętą na obu końcach. Krótkie i grube śrubki, które dołączono do zestawu, mogły wystarczyć do zamontowania poręczy na sklejecie, ale były bezużyteczne do przytwierdzenia na glazurze. Żeby bezpiecznie zamontować poręcz, musiałyby wywiercić otwory na piętnastocentymetrowe śruby i przebić się do małej szafki za prysznicem.

Na dole w warsztacie Alfreda znalazł części do wiertarki, ale pudełka po cygarach, które zapamiętał jako rogi obfitości użytecznych narzędzi, teraz zdawały się zawierać głównie skorodowane, osierocone śrubki, fragmenty zamka do drzwi i części do montowania rezerwuaru w toalecie. Na pewno nie było tam piętnastocentymetrowych śrub.

Wychodząc do sklepu z częściami metalowymi, ze swoim wypracowanym uśmiechem „jestem idiotą”, zobaczył matkę, która stała w oknie jadalni, wyglądając przez przejrzyste zasłonki.

— Mamo — powiedział — myślę, że nie powinnaś mieć zbyt wiele nadziei co do przyjazdu Chipa.

— Po prostu wydawało mi się, że słyszę samochód.

„Jasne, proszę bardzo” — myślał po wyjściu z domu. „Fiksuj na punkcie nieobecnych i dokuczaj tym, którzy tu się zjawili”.

Na chodniku przed domem Gary minął Denise, która wracała ze sklepu z zakupami.

— Mam nadzieję, że poprosisz matkę o zwrot pieniędzy za to wszystko — powiedział.

Jego siostra roześmiała się mu w twarz.

— A co ciebie to obchodzi?

— Ona zawsze próbuje się wykręcić z różnych rzeczy. Męczą mnie to.

— Więc wzmóż czujność — odparła Denise, ruszając w kierunku domu.

Dlaczego właściwie czuł się winny? Nigdy nie obiecywał, że przywiezie Jonaha ze sobą, i chociaż w sprawie Axonu był do przodu na 58 tysięcy dolarów, ciężko zapracował sobie na te akcje, podjął wszelkie ryzyko. A Bea Meisner sama prosiła go, żeby nie dawał Enid uzależniających leków; dlaczego więc czuł się winny?

Podczas jazdy wyobrażał sobie, jak wskazówka na ciśnieniomierzu w jego czaszce pnie się do góry. Żałował, że zaoferował pomoc Enid. Zważywszy na krótki charakter jego wizyty, głupotą było poświęcać popołudnie na pracę, którą powinien zlecić jakiemuś majstrowi.

W sklepie z częściami musiał stać w kolejce za najgrubszymi i najpowolniejszymi ludźmi w całych stanach środkowych. Przyjechali tu, żeby kupić słodkie piankowe Święte Mikołaje, paczki lamety,

żaluzje, suszarki do włosów za osiem dolarów i podstawki pod doniczki z okolicznościowymi zdobieniami. Grzebali swoimi kiełbasianymi paluchami w malutkich portmonetkach w poszukiwaniu odliczonej sumy. Gdyby był w komiksie, puszczałby teraz dym uszami. Ile mógłby w tej chwili robić przyjemniejszych rzeczy, zamiast stać pół godziny w kolejce po to, żeby kupić sześć piętnastocentymetrowych śrubek! Wszystko inne wyglądało wręcz olśniewająco ciekawie w jego wyobraźni. Mógł na przykład odwiedzić salę kolekcjonerów w sklepie z pamiątkami w Muzeum Transportu albo poukładać stare projekty mostów i trakcji taty, pamiątki jego kariery w Midland Pacific, albo splądrować schowek pod gankiem w poszukiwaniu swojego starego modelu kolejki. Wraz z nasilaniem się „depresji” Gary znalazł sobie nowe zainteresowanie, prawie że hobby, w zbieraniu różnych pamiątek związanych z kolejami. Mógłby teraz radośnie poświęcić cały dzień — ba, cały tydzień! — zajmując się tym właśnie...

Po powrocie do domu, gdy maszerował ścieżką ku gankowi, zobaczył uchylające się zasłony, przez które wyjrzała matka. Wewnątrz powietrze było gorące i przesiąknięte zapachami jedzenia, które gotowała, piekła i przysmażała Denise. Gary wręczył Enid paragon za śrubki, co matka uznała za akt wrogości, i słusznie zresztą.

— Nie stać cię na wydatek czterech dolarów i dziewięćdziesięciu sześciu centów?

— Mamo — odparł. — Robię, co chcesz, tak jak obiecałem, ale to nie jest moja łazienka ani moja poręcz.

— Oddam ci pieniądze później.

— Później zapomnisz.

— Gary, powiedziałam, że oddam ci pieniądze później.

Denise, w fartuchu, śledziła tę wymianę zdań z progu drzwi kuchennych roześmianym wzrokiem.

Gdy Gary znowu zszedł do piwnicy, zastał Alfreda chrapiącego w swoim wielkim niebieskim fotelu. Gary wszedł do warsztatu i tam zatrzymał się zaskoczony swoim nagłym odkryciem. Oparta o stół stała strzelba w pokrowcu. Nie przypominał sobie, żeby stała tutaj wcześniej. Czy mógłby ją przeoczyć? Zazwyczaj strzelba stała w schowku pod werandą. Przykro mu było, że ktoś ją stamtąd wyjął.

„Czy pozwolę mu się zastrzelić?”

Pytanie zadźwięczało w jego myślach tak wyraźnie, że nieomal wypowiedział je na głos. Zastanawiał się. Co innego wtrącać się w życie Enid i pod pozorem troski o jej bezpieczeństwo konfiskować lekarstwa; dla niej istniało życie, przyjemności i nadzieje warte ocalenia. Staruszek jednak był już skończony. Z drugiej strony Gary nie miał ochoty usłyszeć strzału, zejść na dół i brodzić w rozlanej krwi. Nie chciał również, aby jego matka musiała przez to przechodzić. Jakikolwiek zamieszanie wywołałby jednak ten incydent, w jakości życia jego matki nastąpiłaby ogromna poprawa.

Gary otworzył pudełko z nabojami i zobaczył, że wszystkie są na swoim miejscu. Żałował, że to właśnie on odkrył, iż Alfred wyciągnął broń ze schowka. Ale gdy podjął decyzję, była ona tak klarowna, że wreszcie wypowiedział ją na głos. Rzucił w kierunku zakurzonej, śmierdzącej uryną, wygłuszonej ciszy laboratorium:

— Jeżeli tego właśnie chcesz, proszę uprzejmie. Nie zamierzam cię powstrzymywać.

Zanim zabrał się do wiercenia dziur w ścianie kabiny prysznicowej, musiał opróżnić półki małej szafki łazienkowej. Była to niezła robota. W pudełku na buty Enid zbierała każdy kawałek waty, który znalazła w buteleczce z aspiryną czy innymi lekami. Pięćset, może tysiąc wacików. Były tam też skamieniałe, na wpół wyciśnięte tubki różnorodnych maści, plastikowe kubeczki i utensylia (w kolorze

jeszcze gorszym — jeśli to w ogóle możliwe — niż beżowy) z kolejnych pobytów Enid w szpitalu na okoliczność operacji stopy, kolana i zapalenia żył. Stały tam cenne buteleczki merkuruochromu i anbesolu[16], wysuszone na wiór już w latach sześćdziesiątych, papierowa torba, którą Gary, aby zachować spokój, szybko wepchnął na samo dno szafki, ponieważ zawierała starożytne podpaski.

Zapadał już zmierzch, gdy Gary’emu wreszcie udało się opróżnić szafkę i przygotować do wiercenia otworów w ścianie. Wtedy właśnie odkrył, że stare wiertła są tępe jak nity. Naparł na wiertarkę całym swoim ciężarem. Wierzchołek świdra przybrał niebieskoczarny kolor i wiertarka zaczęła dymić. Z twarzy i piersi Gary’ego ściekały strugi potu. Ten właśnie moment wybrał Alfred na odwiedzin w łazience.

— Proszę, proszę, popatrzcie tylko — powiedział.

— Strasznie tępe te wiertła — odparł Gary, oddychając ciężko. — Powinienem kupić nowe, kiedy byłem w sklepie.

— Pokaż.

Gary wcale nie zamierzał ściągać tu starca i jego straży przedniej — dwóch wzburzonych, palczastych zwierząt. Alfred wstydził się ułomnością i jednocześnie chciwą otwartością tych rąk, ale wzrok już utkwiał w wiertarce, a jego twarz płonęła radością, że mógłby rozwiązać ten problem. Gary zrezygnował z wiercenia. Zastanawiał się, jak jego ojciec w ogóle był w stanie dostrzec cokolwiek, co trzymał, tak mocno trzęsła się wiertarka. Palce staruszka pełzły dookoła matowej powierzchni, szukając po omacku, niczym pozbawione oczu robaki.

— Jest ustawiona na wstecznym — powiedział.

Żółtym paznokciem kciuka Alfred przesunął przełącznik na normalny bieg i wręczył wiertarkę Gary’emu. Wtedy po raz pierwszy od przyjazdu spotkały się ich oczy. Dreszcz, który przebiegł przez kręgosłup Gary’ego, tylko częściowo spowodowany był ochładzaniem się jego potu. Staruszek, pomyślał, wciąż jeszcze co nieco kumał. Rzeczywiście Alfred wyglądał na szczęśliwego; cieszył się, że potrafił coś naprawić, i jeszcze bardziej radował się z tego, jak przypuszczał Gary, iż pokazał swojemu synowi, że przynajmniej w tej małej sprawie jest od niego mądrzejszy.

— Widzimy wyraźnie, dlaczego nie zostałem inżynierem — powiedział Gary.

— Co robisz?

— Zakładam poręcz, żebyś miał się czego przytrzymać. Czy będziesz używał prysznicza, jeżeli zainstalujemy tę poręcz i postawimy tutaj taboret?

— Nie wiem, co mnie czeka — odrzekł Alfred, jakby gdzieś się wybierał.

„To był mój prezent gwiazdkowy dla ciebie — pomyślał Gary. — To, że mogłeś przełączyć wiertarkę, to był mój prezent”.

Godzinę później przywrócił łazienkę do porządku i znowu był w złym humorze. Enid skrytykowała go za to, że wybrał akurat to miejsce na zainstalowanie poręczy, natomiast Alfred, gdy Gary zaprosił go do wypróbowania taboretu, stwierdził, że jednak woli wannę.

— Zrobiłem, co do mnie należało, i koniec — powiedział Gary w kuchni, nalewając sobie likieru.

— Jutro chcę zrobić parę rzeczy, które sam zaplanowałem.

— To wspaniałe udoskonalenie łazienki — pochwaliła go matka.

Gary nalał sobie solidnego drinka. Nalewał i nalewał.

— Och, Gary — powiedziała Enid. — Pomyślałam, że moglibyśmy otworzyć tego szampana od Bei.

— O nie, nie róbmy tego — wtrąciła się Denise, która upiekła stollena, ciasto kawowe i dwa

bochenki chleba serowego i teraz przygotowywała, o ile Gary się nie mylił, obiad złożony z duszonego królika i polenty. Można było spokojnie powiedzieć, że to pierwszy raz, gdy kuchnia w tym domu widziała królika. Enid wróciła do wyczekiwania w oknie jadalni.

— Martwię się, że nie dzwoni — powiedziała.

Gary dołączył do niej. Jego gruczoły zaczęły wydzielać pierwszy słodki smar upojenia alkoholowego. Zapytał, czy Enid słyszała o brzytwie Okhama.

— Brzytwa Okhama — powiedział koktajlowo-moralizatorskim tonem — nakłania nas do wyboru łatwiejszego z dwóch rozwiązań danego zagadnienia.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała Enid.

— Chcę powiedzieć, że Chip może nie dzwonić, ponieważ zdarzyło się coś skomplikowanego w swej naturze, o czym my nie wiemy. Albo dlatego, że zdarzyło się coś bardzo prostego i dobrze nam wiadomego, jak na przykład jego niesamowita nieodpowiedzialność.

— Powiedział, że przyjeżdża, i powiedział, że zadzwoni — odparła stanowczo Enid. — Powiedział: „Wracam do domu”.

— Dobra, w porządku. Więc stój przy tym oknie. Twój wybór.

Ponieważ miał zawieźć wszystkich na *Dziadka do orzechów*, nie mógł wypić tyle, ile by chciał przed obiadem. Nadrobił to natychmiast, gdy cała rodzina wróciła z baletu i Alfred oddalił się na górę, prawie biegiem, natomiast Enid umościła sobie posłanie w pokoju telewizyjnym, aby jej dzieci załatwiły wszystkie swoje problemy w ciągu nocy. Gary wypił jedną szkocką i zadzwonił do Caroline. Wypił następną szkocką i poszedł szukać Denise, ale nie znalazł jej. W swoim pokoju przygotował wszystkie prezenty bożonarodzeniowe i ułożył je pod choinką. Każdemu dał to samo: oprawiony w skórę album ze zdjęciami „Najlepsze 200 chwil Lambertów”. Bardzo się starał, żeby zrobić odbitki wszystkich zdjęć przed świętami, a teraz, gdy album był już gotowy, zamierzał zdemontować ciemnię, wydać nieco swoich dywidend z inwestycji w Akson i zbudować duży model kolejki na piętorku w garażu. Było to hobby, które dla siebie wybrał, nie które zostało wybrane dla niego, i gdy położył nasączoną whisky głowę na zimnej poduszce i zgasił światło w swojej starej sypialni, ogarnęło go pierwotne podekscytowanie perspektywą puszczania pociągów przez góry z papier *mâché*, przez wysokie mosty podporowe z zapalek...

Śnił o dziesięciu Gwiazdkach w domu. Śnił o pokojach i ludziach, pokojach i ludziach. Śnił o Denise, która nie była jego siostrą i zamierzała go zamordować. Jego jedyną nadzieją była strzelba w piwnicy. Sprawdzał właśnie, czy strzelba jest naładowana, gdy poczuł czyjąś złowieszczą obecność za plecami. Odwrócił się i nie poznał Denise. Kobieta, którą ujrzał, była kimś innym, kimś, kogo musiał zabić, inaczej sam zostałby zabity. Języczek spustowy nie stawiał oporu. Zwisiał bezwładnie — strzelba była ustawiona na biegu wstecznym i zanim przełączył ją na normalny tryb, ona już zamierzała się, aby go zabić...

Obudził się z pełnym pęcherzem.

Ciemności jego pokoju rozjaśniał jedynie blask cyferek na elektronicznym radiu z budzikiem. Nie sprawdził, która godzina, ponieważ nie chciał wiedzieć, jak wcześnie jest jeszcze. Z trudem dostrzegł bryłę starego łóżka Chipa pod ścianą, po drugiej stronie pokoju. Cisza domu wydawała się chwilowa i niespokojna, jakby dopiero co zapadła.

Honorując jej obecność, Gary wysupłał się z łóżka i poczołgał w kierunku drzwi; tam dopadło go przerażenie. Bał się otworzyć drzwi.

Przez chwilę nasłuchiwał, co dzieje się za nimi. Wydawało mu się, że słyszy ciche poruszanie się i człapanie oraz ciche głosy.

Bał się pójść do łazienki, ponieważ nie wiedział, co tam zastanie. Obawiał się, że jeśli opuści pokój, po powrocie zastanie w łóżku niewłaściwą osobę, na przykład matkę lub siostrę, lub ojca. Był przekonany, że na korytarzu są jacyś ludzie. W zamglonym, niepełnym przebudzeniu wykoncypował, iż Denise, która zniknęła, zanim położył się spać, teraz jest ową widmową Denise, która zamierzała go zabić we śnie. Prawdopodobieństwo, że owa zjawą zaczęła się gdzieś w korytarzu, wydawało się tylko w dziewięćdziesięciu procentach wymysłem. Pomyślał, że bezpieczniej było zostać w pokoju i wysikać się do jednego z tych ozdobnych austriackich kuflów do piwa stojących na komodzie. Ale jeśli odgłosy sikania przyciągną uwagę tego kogoś, kto czaił się za drzwiami?

Na palcach podszedł do komody, wziął kufel piwa i schował się w szafie, którą dzielił z Chipem, od kiedy Denise otrzymała własną małą sypialnię, a chłopcy zamieszkali razem. Zamknął za sobą drzwiczki szafy, wdrapał się na stertę chemicznie wyczyszczonych części garderoby i pękających w szwach toreb Nordstromu pełnych przeróżnych drobiazgów, które gromadziła Enid, i opróżnił pęcherz do kufła. Trzymał palec na brzegu naczynia, żeby poczuć, jeśli zacznie się przepęlniać. Skończył sikać dokładnie w momencie, gdy ciepła uryna dotknęła opuszka jego palca. Postawił kufel na podłodze, z torby Nordstromu wyciągnął kopertę i przykrył nią naczynie. Cicho, jak najciszej opuścił szafę i wrócił do łóżka. Właśnie gdy podnosił z ziemi nogi, usłyszał głos Denise, tak wyraźny i głośny, jakby znajdowała się w tym samym pomieszczeniu.

— Gary? — spytała.

Starał się nie poruszyć, ale sprężyny w łóżku zaskrzypiały.

— Gary? Przepraszam, że ci zawracam głowę. Śpisz?

Teraz już właściwie nie miał wyboru, jak tylko wstać i otworzyć drzwi. Denise stała zaraz za progiem, w snopie światła z jej sypialni. Miała na sobie białą flanelową piżamę.

— Przepraszam cię — powiedziała. — Tata cię woła.

— Gary! — dobiegło go wołanie Alfreda z łazienki przy jej pokoju. Gary z walącym sercem zapytał, która jest godzina.

— Nie mam pojęcia — odparła. — Obudził mnie, wykrzykując imię Chipa. Potem zaczął wołać ciebie. Nie mnie. Myślę, że czuje się pewniej przy tobie.

Znowu śmierdziała papierosami.

— Gary? Gary! — dobiegło go z łazienki.

— Pieprzę to — powiedział Gary.

— Może to jego lekarstwa.

— Gówno prawda.

— Gary! — usłyszał z łazienki.

— Tak, tato. Dobrze, już idę.

Na dole przy schodach pojawiła się bezcielesna twarz Enid.

— Gary, pomóż ojcu — powiedziała.

— Tak, mam. Zajmę się tym. Ty wracaj do spania.

— Czego on chce? — spytała Denise.

— Wracaj do łóżka.

W korytarzu pachniało choinką i ogniem z kominka. Zapukał do drzwi łazienki i wszedł do środka. Jego ojciec stał w wannie obnażony od pasa w dół, z psychotyczną twarzą. Do tej pory Gary widywał taki wyraz twarzy u ludzi stojących na przystankach i w łazienkach Burger Kinga w centrum Filadelfii.

— Gary, one są tu wszędzie — stary człowiek wskazał na podłogę trzęsącym się palcem. —
Widzisz go?

— Tato, masz halucynacje.

— Złap go! Złap go!

— Masz halucynacje. Najwyższy czas, żebyś wyszedł z wanny i wrócił do łóżka.

— Widzisz je?

— To zwidy. Wracaj do łóżka.

Rozmawiali tak przez dłuższą chwilę, dziesięć, może piętnaście minut, zanim Gary zdołał wreszcie wyprowadzić Alfreda z łazienki. W sypialni rodziców było zapalone światło, na podłodze leżało kilka nieużytych pieluszek. Gary'emu wydawało się, że jego ojciec śnił na jawie, że był to sen tak prawdziwy, jak sen Gary'ego o Denise. Tylko że przebudzenie, które zajęło Gary'emu pół sekundy, jego ojcu zabrało pół godziny.

— Co to znaczy halucynacje? — zapytał wreszcie Alfred.

— To coś w rodzaju snu na jawie.

Alfred zamrugał.

— Trochę się tym martwię.

— I słusznie.

— Pomóż mi z pieluszką.

— Dobrze, tato.

— Martwię się, że coś złego dzieje się z moimi myślami.

— Och, tato.

— Moja głowa nie pracuje jak należy.

— Wiem, wiem.

Ale Gary, w tym środku nocy, sam zaraził się chorobą ojca. Gdy obydwaj wspólnie rozwiązywali problem pieluszki, którą jego ojciec zdaje się uważał za jakiś idiotyzm, a nie coś w rodzaju bielizny, Gary również poczuł, że rzeczy dziwnie rozpuszczają się wokół niego. Wydało mu się, że ta noc pełna jest pełzania, przesuwania i metamorfoz. Miał wrażenie, że w tym pokoju przebywają więcej niż dwie osoby, wyczuwał całą populację mgliście widocznych zjaw.

Gdy Alfred się położył, włosy opadły mu z czubka głowy na twarz. Gary naciągnął koc na jego ramiona. Trudno mu było uwierzyć, że trzy miesiące temu traktował tego człowieka jako poważnego adwersarza i próbował się z nim kłócić.

Kiedy Gary wrócił do swojego pokoju, na budziku widniały cyfry 2:55. Dom wydawał się znowu cichy. Drzwi do sypialni Denise były zamknięte, słyszał tylko dalekie wycie silników lokomotywy ekspresu przejeżdżającego dobre pół kilometra stąd. Gary zastanawiał się, dlaczego jego pokój pachnie leciutko jak oddech palacza.

A może to nie był zapach papierosowy? Może to ten kufel na piwo wypełniony moczem, który zostawił w szafie!

„Jutro — pomyślał. — Jutro będzie dla mnie. Jutro będzie Dzień Odpoczynku Gary'ego. A potem w czwartek rano załatwimy sprawę z domem i zakończymy te szarady”.

Po tym jak Brian Callahan wylał ją z pracy, Denise pokroiła się na kawałeczki i położyła je wszystkie na stole. Opowiedziała sobie historię o córce żyjącej z rodziną tak spragnioną córki, że pożarliby ją żywcem, gdyby nie uciekła. Opowiedziała sobie historię o córce, która desperacko

próbując uciec, wybrała schronienie w pierwszej lepszej rzeczy, którą napotkała: w karierze kucharza, małżeństwie z Emile'em Bergerem, życiem starej kobiety w Filadelfii i romansie z Robin Passafaro. Oczywiście owe schronienia, wybrane w pośpiechu, były na dłuższą metę nieużyteczne. Próbuąc uchronić się od głodu swojej rodziny, córka osiągnęła coś wręcz przeciwnego. Gdy głód jej rodziny osiągnął apogeum, dopilnowała, by jej własne życie rozpadło się na kawałki, pozostawiając ją bez męża, bez dzieci, bez pracy, bez obowiązków i bez żadnej możliwości obrony. Zupełnie jakby przez cały ten czas robiła wszystko, żeby wylądować jako niańka swoich rodziców.

Tymczasem jej bracia robili wszystko, żeby uczynić się niedostępnymi. Chip poleciał do Europy Wschodniej, a Gary umościł sobie miejsce pod bucikiem Caroline. To prawda, że Gary „wziął odpowiedzialność” za rodziców, ale jego idea odpowiedzialności polegała na tyranizowaniu ich i wydawaniu im poleceń. Denise widziała doskonale, że jest jedynym dzieckiem, które zostanie na śniadaniu bożonarodzeniowym z rodzicami, i jedynym dzieckiem na posterunku w ciągu kolejnych tygodni i miesięcy. Gdy tylko udało jej się zapisać ojca na testy Corecktallu i zaoferować im mieszkanie u siebie, Enid kompletnie zaprzestała marudzenia w stosunku do niej. Nigdy więcej nie wspomniała o swojej cudzołożnej przyjaciółce, Normie Greene, nigdy nie zapytała Denise, dlaczego „zrezygnowała” z pracy w Generatorze. Miała kłopoty, jej córka zaoferowała pomoc i teraz Enid nie mogła już pozwolić sobie na luksus doszukiwania się w niej wad. Nadszedł czas, zgodnie z opowieścią, którą snuła dla samej siebie Denise, aby szef kuchni pokroił się na kawałeczki i nakarmił sobą swoich głodnych rodziców.

Prawie kupiła tę opowiastkę, ponieważ nie miała lepszej. Jedyne problem polegał na tym, że nie identyfikowała się z bohaterką.

Rozpoznała siebie, gdy włożyła białą bluzę, stary szary kostium, umalowała usta czerwoną szminką, a na głowę założyła czarny toczek z woalką. Poznawała siebie w podkoszulku bez rękawów, chłopięcych džinsach i końskim ogonie tak ciasnym, aż rozboleła ją głowa. Gdy założyła swoją srebrną biżuterię, umalowała oczy turkusowym cieniem do powiek, polakierowała paznokcie na sinofioletowo, włożyła gruby różowy sweter i pomarańczowe adidas, zobaczyła siebie jako żywą osobę i uświadomiła sobie życie tak, że ze szczęścia dech jej zaparło.

Pojechała do Nowego Jorku, żeby wystąpić w telewizji kulinarnej oraz odwiedzić jeden z tych klubów dla ludzi takich jak ona, którzy zaczynali Rozumieć To Wszystko i potrzebowali nieco praktyki. Została u Julii Vrais w jej niesamowitym apartamencie na Hudson Street. Julia doniosła jej, że w trakcie rozpoznawczej fazy rozwodu dowiedziała się, iż Gitanas Misevičius płacił za jej mieszkanie ze sprzeniewierzonych funduszy rządu litewskiego.

— Prawnik Gitanasa uważa, że to było „niedopatrzanie” — powiedziała Julia. — Ale trudno mi w to uwierzyć.

— Czy to oznacza, że stracisz ten apartament?

— No nie — powiedziała Julia. — Tak naprawdę zdaje się, że tym bardziej będę go mogła zatrzymać bez płacenia. Mimo wszystko czuję się okropnie! Moje mieszkanie oficjalnie należy do obywateli Litwy!

Temperatura w sypialni gościnnej wynosiła jakieś 30 stopni Celsjusza. Julia dała Denise gruby pled na nogi i zapytała, czy chce dodatkowy koc.

— Dziękuję. To chyba mi wystarczy — odparła Denise.

Julia dała jej flanelowe prześcieradła i cztery poduszki z flanelowymi poszewkami. Zapytała, jak leci Chipowi w Wilnie.

— Wygląda na to, że on i Gitanas stali się najlepszymi przyjaciółmi.

— Nie chcę myśleć, co mogą mówić na mój temat — zadumała się radośnie Julia. Denise powiedziała, że wcale by się nie zdziwiła, gdyby Chip i Gitanas unikali tego tematu. Julia zmarszczyła brwi.

— Dlaczego nie mieliby o mnie rozmawiać?

— Cóż, porzuciłaś ich obu w bolesny sposób.

— Ale przecież mogliby rozmawiać o tym, jak bardzo mnie nienawidzą!

— Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł cię nienawidzić.

— Właściwie — stwierdziła Julia — to bałam się, że ty mnie znienawidzisz za to, że zerwałam z Chipem.

— Nie, nigdy nie byłam jakoś żywotnie tym zainteresowana.

Julia wyraźnie odczuła ulgę. Zwierzyła jej się, że teraz umawia się z prawnikiem, miłym, ale łysym, z którym skontaktowała ją Eden Procuro.

— Czuję się z nim bezpieczna — powiedziała. — Jest taki pewny siebie w restauracjach. I ma strasznie dużo pracy, więc nie zawsze chce, no wiesz, żebym wyświadczała mu przysługi.

— Naprawdę, im mniej będę wiedziała o tym, co było między tobą a Chipem, tym będę szczęśliwsza — powiedziała Denise.

Kiedy Julia zapytała, czy Denise się z kimś spotyka, opowieść o Robin Passafaro powinna jej być przyjść bez trudu, ale nie przyszła. Denise nie chciała, żeby jej przyjaciółka czuła się niezręcznie, nie chciała usłyszeć, jak jej głos staje się cichy i miękki, pełen współczucia. Chciała nasycić się towarzystwem Julii w jego znajomej niewinności, dlatego powiedziała:

— Nie, nie widuję się z nikim.

Z nikim oprócz siedemnastolatki przybyłej świeżutko autobusem z Plattsburgha w stanie Nowy Jork, z drastycznym uczesaniem i dwoma najwyższymi wynikami na zaświadczeniu z egzaminu wstępnego na studia (nosiła zaświadczenie z ETS[17] niczym dowód normalności lub — tego też nie można wykluczyć — szaleństwa), którą odwiedziła następnej nocy w spelunie safickiego paszy dwieście metrów od jej mieszkania, a kolejnej nocy bogobojnej studentki Uniwersytetu Columbia, której ojciec (według niej) zawiadywał największym bankiem spermy w południowej Kalifornii.

Zaliczywszy te osiągnięcia, Denise udała się do studia telewizyjnego w centrum miasta i nagrała swoje wystąpienie w programie *Popowe jedzenie dla współczesnych ludzi*, przyrządzając ravioli z jagnięciną i inne standardy z Mare Scuro. Spotkała się z kilkoma ludźmi z Nowego Jorku, którzy chcieli ją kiedyś wykraść od Briana — z parą miliarderów z Central Park West pragnącej z Denise feudalnej relacji, z bankierem z Monachium, który mógł przywrócić świetność niemieckiej kuchni na Manhattanie, oraz z młodym właścicielem restauracji, Nickiem Razzą, który zaimponował jej, wyszczególniając składniki każdego posiłku, który spożył w Mare Scuro i Generatorze. Razza pochodził z rodziny dostawców z New Jersey i był już właścicielem popularnego, średniej klasy grilla serwującego owoce morza w Upper East Side. Teraz chciał wskoczyć na scenę kulinarną Smith Street w Brooklynie, otwierając restaurację, w której gotowałyby taka gwiazda jak Denise. Poprosiła go o tydzień czasu na przemyślenie propozycji.

W słoneczne jesienne niedzielne popołudnie pojechała metrem do Brooklynu. Kojarzył się z Filadelfią zbawioną przez sąsiedztwo Manhattanu. W ciągu pół godziny zobaczyła tam więcej pięknych i interesujących kobiet niż przez pół roku w południowej Filadelfii. Widziała ich eleganckie domy i zmyślne buty.

Wracając do domu Amtrakiem, żałowała, że tyle czasu ukrywała się w Filadelfii. Mała stacja metra pod Ratuszem była opustoszała i jakby dawno nieużywana; każda podłoga, ściana, dźwigar i

ogrodzenia były pomalowane na szaro. Żalosa mała kolejka, która wreszcie nadjechała po piętnastu minutach, wypuła podróżników, którzy w swej cierpliwości i izolacji kojarzyli się nie tyle z ludźmi dojeżdżającymi do pracy, co z petentami w poczekalni ostrego dyżuru. Denise wynurzyła się na powierzchnię na stacji Federal Street wśród liści sykomor i opakowań po hamburgerach zmierzających z kolejnymi podmuchami wiatru ku chodnikowi Broad Street. Wirującym ruchem smagały obsikane ściany budynków i okratowane okna, wpadając pomiędzy samochody zaparkowane na krawężniku. Miejska rozległość Filadelfii, hegemonia wiatru i nieba wydały jej się zaczarowane. Narniowskie. Kochała Filadelfię tak samo, jak kochała Robin Passafaro. Jej serce było przepełnione, a zmysły wyostrzone, ale jej umysł mógł w każdej chwili eksplodować w próżni samotności.

Otworzyła drzwi do swego ceglanego więzienia i podniosła pocztę z podłogi. Pośród dwudziestu ludzi, którzy pozostawili wiadomości na jej sekretarce, była Robin Passafaro, przerywając milczenie, aby zapytać, czy Denise chciałaby może „porozmawiać”. Nagrał się także Emile Berger, uprzejmie informując ją, iż przyjął ofertę Briana Callahana i będzie szefem kuchni w Generatorze, a w związku z tym wraca do Filadelfii.

Po odsłuchaniu wiadomości Emile’a Denise zaczęła kopać glazurowaną południową ścianę kuchni, dopóki nie przestraszyła się, że złamała sobie wielki palec u nogi.

— Muszę się stąd wydostać!

Ale ucieczka nie była taka prosta. Robin miała miesiąc na to, żeby ochłonać i dojść do wniosku, że jeśli przespanie się z Brianem było grzechem, to ona była tak samo winna. Brian wynajął dla siebie strych na Starym Mieście, a Robin, jak podejrzewała Denise, twardo nastawała na wyłączną opiekę nad Sinéad i Erin. Aby wzmocnić swą pozycję, nie ruszała się z wielkiego domu na Panama Street i całkowicie poświęciła się macierzyństwu. Ale w czasie godzin szkolnych była wolna, podobnie jak przez całą sobotę, gdy Brian zabierał dziewczynki do siebie. Pod wpływem dojrzałych przemyśleń zdecydowała, że owe wolne godziny najlepiej by się jej spędzało w łóżku Denise.

Denise zaś wciąż nie potrafiła odmówić narkotykowi o nazwie Robin. Wciąż pragnęła dłoni Robin na sobie, dookoła siebie i w sobie, całego przyimkowego bufetu. Było jednak coś takiego w Robin, prawdopodobnie jej skłonność do oskarżania siebie o krzywdy, które wyrządzali jej ludzie, co skłaniało do zdrady i wykorzystywania. Denise zadawała sobie wiele trudu, aby palić papierosy w łóżku, ponieważ dym papierosowy podrażniał spojówki Robin. Na spotkanie z Robin ubrała się z nieskazitelną elegancją, aby jak najbardziej podkreślić niedbałość kochanki, i spoglądała długo w oczy każdemu, mężczyźnie czy kobiecie, ktokolwiek na nią spojrzał. Krzywiła się ostentacyjnie na dźwięk głosu Robin. Zachowywała się jak nastolatek ze swoim rodzicem, z tym że nastolatek nie powstrzymałby się od wywracania oczami, natomiast pogarda Denise była celową, wykalkulowaną formą okrucieństwa. Uciszała Robin gniewnie, gdy były w łóżku, i Robin podświadomie pojękiwała:

— Bądź cicho, proszę. Proszę.

Zachwycona swoim okrucieństwem wpatrywała się w goreteksową kurtkę Robin, aż ta zapytała ją o powód.

— Po prostu zastanawiam się, czy kiedykolwiek kusilo cię, żeby być nieco mniej „na luzie” — odparła. Robin zapewniła, że nigdy nie jest na luzie, więc mogłaby przynajmniej czuć się na luzie. Denise pogardliwie wykrzywiła usta.

Robin koniecznie chciała, aby jej kochanka odnowiła znajomość z Sinéad i Erin, ale Denise, z powodów, które sama mogła zrozumieć najwyżej połowicznie, odmawiała spotkania z dziewczynkami. Nie mogła wyobrazić sobie, jak spojrzy im w oczy; już sama myśl o domostwie złożonym z czterech panien wywoływała u niej mdłości.

— One cię uwielbiają — powiedziała Robin.

— Nie mogę tego zrobić.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie chcę. Dlatego nie.

— Dobrze, jak chcesz.

— Jak długo to „jak chcesz” pozostanie twoją nadużywaną frazą? Zamierzasz sobie to kiedyś odpuścić? Czy będziesz mówiła „jak chcesz” do końca życia?

— Denise, one cię uwielbiają — pisała Robin. — Tęsknią za tobą. Przecież je kiedyś kochałaś.

— Cóż, nie jestem w odpowiednim nastroju i szczerze, nie wiem, czy kiedykolwiek będę, więc przestań mnie prosić.

Większość ludzi w tym momencie by zrozumiała; większość zebrałaby się i nigdy nie wróciła. Ale Robin najwyraźniej lubiła okrutne traktowanie. Powiedziała, i Denise jej wierzyła, że nigdy nie porzuciłaby Briana, gdyby on sam nie odszedł. Robin lubiła być lizana i głaskana aż do momentu tuż przed orgazmem, a wtedy lubiła być zostawiona samej sobie i błagać o więcej. Denise lubiła wstawać z łóżka, ubierać się i schodzić na dół, gdy Robin w tym czasie czekała na rozładowanie seksualne, bo nie potrafiła oszukiwać i nie dotknęłaby się sama. Denise siedziała w kuchni, czytała książkę i paliła do momentu, gdy Robin upokorzona i roztrzęsiona schodziła na dół i zaczynała ją błagać. Pogarda Denise była wtedy tak silna, że niemal lepsza niż seks.

I tak w kółko. Im bardziej Robin zgadzała się na wykorzystywanie, tym bardziej Denise odczuwała przyjemność ze znęcania się nad nią. Ignorowała wiadomości od Nicka Razzy. Zostawała w łóżku do drugiej po południu. Jej towarzyskie palenie przekształciło się w prawdziwy nałóg. Zaspokajała teraz nagromadzoną przez piętnaście lat potrzebę lenistwa; żyła z oszczędności. Co dzień zastanawiała się nad rzeczami, które powinna zrobić, aby przygotować dom na przyjazd rodziców — nad zamontowaniem poręczy pod prysznicem, wyłożeniem klatki schodowej wykładziną, kupieniem mebli do salonu, znalezieniem lepszego stołu kuchennego, przeniesieniem swojego łóżka z trzeciego piętra i umieszczeniem go w sypialni dla gości — i dochodziła do wniosku, że ma za mało energii. Jej życie stało się oczekiwaniem na opadnięcie katowskiego topora. Jeśli jej rodzice przyjeżdżali na sześć miesięcy, nie było sensu zaczynać czegoś od nowa. Musiała odbębnić całe leniwienie się teraz.

Trudno było się domyślić, co myślał na temat Corecktallu jej ojciec. Ten jeden raz, gdy zapytała go o to bezpośrednio, nie odpowiedział.

— AL — ponagliła go Enid. — Denise chciałaby wiedzieć, CO SĄDZISZ O CORECKTALLU.

— Mogliby znaleźć lepszą nazwę — odrzekł gorzko ojciec.

— To się zupełnie inaczej pisze — wyjaśniła Enid. — Denise chciałaby wiedzieć, czy JESTEŚ PODEKSCYTOWANY PERSPEKTYWĄ LECZENIA.

Milczenie.

— Al, powiedz, jak bardzo się cieszysz.

— Moja choroba pogłębia się z tygodnia na tydzień. Nie rozumiem, w jaki sposób kolejne lekarstwo ma to zmienić.

— Al, to nie jest lekarstwo, to radykalna nowa terapia, która wykorzystuje twój patent!

— Nauczyłem się podchodzić do życia z pewną dawką optymizmu. Więc będziemy się trzymać planu.

— Denise — powiedziała Enid. — Mogę ci pomagać w wielu rzeczach. Mogę przygotowywać wszystkie posiłki i robić całe pranie. To będzie wielka przygoda! Jesteś wspaniała, że nam to

zaproprowowałaś.

Denise nie mogła sobie wyobrazić sześciu miesięcy ze swoimi rodzicami w domu i mieście, z którym już skończyła swoją przygodę, sześć miesięcy niewidzialności, w roli opiekuńczej i odpowiedzialnej córki, którą ledwo potrafiła udawać. Obiecała jednak, dlatego teraz wyładowywała swoją wściekłość na Robin.

W niedzielną noc siedziała w kuchni i wydmuchiwała dym papierosowy na Robin, podczas gdy ta doprowadzała ją do szału, próbując ją rozweselić.

— Ofiarowujesz im ogromny dar, zapraszając ich do siebie — mówiła.

— To byłby dar, gdyby moje życie było poukładane — odparła Denise. — Tak naprawdę powinno się ludziom dawać tylko to, co się ma do zaoferowania.

— Ale ty to masz. Pomogę ci. Mogę zostawać rano z twoim tatą, żeby twoja mama mogła odpocząć, a ty w tym czasie możesz robić, co chcesz. Mogę przychodzić trzy albo cztery razy w tygodniu.

Propozycja Robin uczyniła jedynie owe poranki bardziej bezbarwnymi i duszącymi.

— Czy ty nie rozumiesz? — spytała. — Ja nienawidzę tego mieszkania. Nienawidzę tego miasta, nienawidzę mojego życia tutaj. Nienawidzę mojej rodziny, nienawidzę domu rodzinnego. Chcę stąd wyjechać. Nie jestem dobrym człowiekiem. Udawanie, że jestem, pogorszy tylko sytuację.

— Ja uważam, że jesteś dobrym człowiekiem.

— Traktuję cię jak śmiecia! Nie zauważyłaś?

— To dlatego, że jesteś taka nieszczęśliwa.

Robin okrążyła stół i próbowała położyć dłoń na jej ramieniu. Denise odepchnęła ją łokciem. Robin spróbowała jeszcze raz i tym razem Denise uderzyła ją w policzek wierzchem dłoni. Robin cofnęła się, z twarzą czerwoną, jakby krwawiła od wewnątrz.

— Uderzyłaś mnie — powiedziała.

— Wiem o tym.

— Uderzyłaś mnie bardzo mocno. Dlaczego to zrobiłaś?

— Ponieważ nie chcę cię tutaj. Nie mam ochoty być częścią twojego życia. Nie mam ochoty być częścią czyjegokolwiek życia. Nie mogę już patrzeć na siebie, jak się na tobie wyzywam.

Miłość i duma walczyły ze sobą w oczach Robin. Minęła dłuższa chwila, zanim powiedziała:

— Dobrze, w takim razie zostawię cię w spokoju.

Denise nie zrobiła nic, aby powstrzymać Robin przed wyjściem, ale gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych, zrozumiała, że oto straciła jedyną osobę, która mogłaby jej pomóc, gdy jej rodzice ściągną do miasta. Straciła towarzystwo Robin, jej słowa i gesty otuchy. Zapraęnęła odzyskać to, co odtrąciła minutę temu.

Poleciała do St. Jude.

Pierwszego dnia, jak to pierwszego dnia każdej wizyty w domu, ucieszyła się ciepłem domowego ogniska i robiła wszystko, co chciała matka. Odmówiła przyjęcia pieniędzy, które Enid chciała jej oddać za zrobienie zakupów. Powstrzymała się od komentarza na temat litrowej butli pełnej zjełczanego żółtego gluta, który okazał się jedyną oliwą z oliwek w całej kuchni. Włożyła lawendowy golf ze sztucznego włókna i solidny poślacany naszyjnik, ostatnie prezenty od matki. Wyrażała spontaniczny zachwyty młodymi balerunami na *Dziadku do orzechów*, trzymała ojca za odzianą w rękawiczkę dłoń, gdy przechodzili przez parking koło teatru, kochała swoich rodziców bardziej, niż kiedykolwiek kochała cokolwiek; w momencie gdy położyli się oboje do łóżek, zmieniła ubranie i

uciekła z domu.

Zatrzymała się na ulicy, z papierosem w ustach, pudełkiem zapalek (*Dean & Trish · 13 czerwca 1987*) trzęsącym się w jej dłoniach. Poszła na łąkę za szkołą podstawową, gdzie razem z Donem Armourem siedziała kiedyś, wdychając zapach pałki wodnej i werbeny; tupnęła nogami, zatarła ręce, popatrzyła na chmury, które odprawiały czary nad konstelacjami, i zaczerpnęła kilka głębokich, pokrzepiających oddechów.

Później, już w nocy, podjęła się potajemnej misji w imieniu matki, wchodząc do pokoju Gary'ego, podczas gdy ten był zajęty Alfredem. Odpięła wewnętrzną kieszeń jego skórzanej kurtki i zastąpiła Meksykańską A garścią advilu. Zabrała lekarstwo Enid i umieściła je w lepszym miejscu, zanim wreszcie, dobra córeczka, zasnęła.

Następnego dnia, jak każdego drugiego dnia wizyty w domu, obudziła się wściekła. Gniew był autonomiczną reakcją neurochemiczną; nie dało się go powstrzymać. Przy śniadaniu każde słowo, które wypowiedziała jej matka, przyprawiało Denise o udrękę. Złościło ją odsmażanie żeberk i namaczanie kapusty kiszzonej zgodnie ze zwyczajem rodzinnym, nie zaś wedle współczesnego sposobu, który opracowała dla Generatora (tyle tłuszczu, takie marnowanie tekstury). Bradykinetyczna ospałość elektrycznej kuchenki Enid, która nie przeszkadzała jej poprzedniego dnia, dziś doprowadzała ją do szału. Wkurzało ją sto i jeden magnesików na drzwiach lodówki przytrzymujących zdjęcia, szczeniackowato-sentymentalne w swej ikonografii i tak kiczowate, że trudno było otworzyć drzwi i nie ujrzeć zdjęcia Jonaha lub pocztówki z Wiednia. Poszła do piwnicy, żeby wydobyć rodowy dziesięciolitrowy rondel, i stukanie szafek w pralni nappełniło ją furją. Wyciągnęła kosz na śmieci z garażu i zaczęła go wypełniać szpargałami matki. Jej matce niespecjalnie by się one przydały, dlatego Denise oddała się jej z całkowitą pasją. Wyrzuciła obrzydliwe koreańskie koraliki, pięćdziesiąt najprawdopodobniej bezużytecznych plastikowych doniczek, zestaw kawałków dolarka piaskowego[18] i drzewko szczęścia, z którego dawno opadły wszystkie liście. Usunęła przerwany wieniec pomalowanych farbą w sprayu szyszek, marynatę dyniową z brandy, która przybrała glutowatoszarozielony kolor, neolityczne puszki z pąkami palmy sabalowej, małe krewetki i miniaturowe chińskie kukurydзки, litr mętnocznego wina rumuńskiego ze zmuszonym korkiem, pamiętającą Nixona butelkę Mai Tai z mazistym osadem wokół szyjki, kolekcję karafek po kalifornijskim chablis Paul Masson z fragmentami pajaków i skrzydłami ciem na dnie, przeraźliwie skorodowaną ramkę do dawno temu zgubionych dzwonek wietrznych. Wyrzuciła ćwierćlitrową butelkę coli dietetycznej, która przybrała kolor plazmy, ozdobny słoik kumquatów marynowanych w brandy, teraz przedstawiających arabeskę skryzalizowanego cukru i bezpostaciowej brązowej mazi; zalatujący termos, którego potłuczony wkład grzechotał przy potrząśnięciu, kosz pełen zapleśniałych, uszkodzonych opakowań śmierdzących jogurtów; lampy na czas huraganów, lepkie od oksydacji i wypełnione resztkami skrzydeł ciem; niezliczone ilości ziemi ogrodniczej i taśmę florystyczną, które trwały razem nawet wtedy, gdy pokruszyły się i porosły grzybem...

Na samym dnie szafy, pośród pajęczyn tuż za dolną półką znalazła grubą kopertę, wyglądającą dość świeżo, bez znaczka. Była zaadresowana do Axon Corporation na 24 East Industrial Serpentine, Schwenksville, Pensylwania. Adres zwrotny opiewał na Alfreda Lamberta. Na wierzchu napisano również LIST POLECONY.

W małej łazience przylegającej do laboratorium ojca leciała woda. Nappełniał się zbiornik z wodą w toalecie. W powietrzu można było poczuć słaby zapach siarki. Drzwi do laboratorium były uchylone. Denise zapukała.

— Proszę — odpowiedział Alfred.

Stał przy półkach pełnych egzotycznych metali — galu, bizmutu — i dopinał pasek. Pokazała mu kopertę i powiedziała, gdzie ją znalazła. Alfred obrócił ją w swoich trzęsących się dłoniach, jakby za sprawą czarodziejskiej sztuczki miało się nagle pojawić wyjaśnienie.

— To dla mnie tajemnica — powiedział.

— Mogę to otworzyć?

— Możesz zrobić, co chcesz.

W kopercie znajdowały się trzy kopie zgody licencyjnej datowane na 13 września, podpisane przez Alfreda i poświadczone przez Davida Schumperta.

— Co to robiło na dnie szafy w pralni? — spytała Denise.

Alfred potrząsnął głową.

— O to musisz zapytać swoją matkę.

Podeszła do schodów i krzyknęła:

— Mamo! Możesz tu przyjść na momencik?

Enid pojawiła się na szczycie schodów, wycierając ręce w ścierkę kuchenną.

— Co się dzieje? Nie możesz znaleźć formy?

— Znalazłam rondel, ale czy możesz tutaj zejść?

Alfred stał w laboratorium i trzymał w dłoni dokumenty, nie czytając ich. Enid pojawiła się w drzwiach z winą wypisaną na twarzy.

— Co się stało?

— Tata chciałby się dowiedzieć, dlaczego ta koperta była na dnie szafy w pralni.

— Daj mi to — powiedziała Enid. Wyrwała dokumenty z rąk Alfreda i zgmiotła je w dłoni. — O wszystko już zadbałam. Ojciec podpisał drugi zestaw dokumentów i od razu wysłali nam czek. Nie ma się o co martwić.

Oczy Denise zwęziły się w szparki.

— Myślałam, że powiedziałaś, iż już dawno je wysłałaś. Wtedy, w Nowym Jorku, na początku października. Powiedziałaś, że już je wysłałaś.

— Wydawało mi się, że wysłałam. Ale zgubiły się na poczcie.

— Na poczcie?

Enid machnęła ręką.

— Cóż, w każdym razie tak myślałam. Ale najwyraźniej były w szafie. Musiałam tutaj przynieść plik listów do wysłania przed pójściem na pocztę, no i ten musiał się wyślizgnąć i spaść na dno. Wiesz, nie mogę o wszystkim pamiętać. Czasem różne rzeczy się gubią, Denise. Mam ogromny dom, o który muszę zadbać, i czasem różne rzeczy się gubią.

Denise wzięła kopertę z warsztatu Alfreda.

— Tu jest napisane: „przesyłka polecona”. Jeżeli byłaś na poczcie, jakim cudem nie zauważyłaś, że coś, co miałaś wysłać listem poleconym, gdzieś się zgubiło? Jak mogłaś nie zauważyć, że nie wypełniłaś druczku na list polecony?

— Denise — głos Alfreda był lekko zabarwiony gniewem. — Wystarczy.

— Nie wiem, co się stało — mówiła Enid. — To był bardzo ciężki okres. Nie mam pojęcia, jak to się zdarzyło, i zostawmy to na tym etapie. Ponieważ to już jest nieważne. Tata dostał swoje pięć tysięcy dolarów. Reszta jest nieważna.

„Zaczynam chorować na garyityzm” — pomyślała Denise.

— Nie powinnaś być taka niedobra dla matki — powiedział Alfred.

— Wiem, przepraszam.

Ale Enid zaczęła krzyczeć w pralni, w pokoju ze stołem pingpongowym i już wracała do laboratorium.

— Denise! Przewróciłaś do góry nogami całą szafę! Co ty tam robisz, na litość boską?

— Wyrzucam stare jedzenie i inne zepsute rzeczy.

— Dobrze, ale dlaczego teraz? Mamy na to cały weekend, jeżeli chcesz mi pomóc posprzątać w szafach. To cudowne, że tak się rwiesz do pomocy, ale nie rób tego dzisiaj. Nie dzisiaj.

— To jest zepsute jedzenie, mamo. Jeśli je zostawisz na dłużej, zamieni się w truciznę. Bakterie beztlenowe cię zabiją.

— Cóż, uprzątnij teraz ten bałagan, a resztę zrobimy w ciągu weekendu. Nie mamy na to dzisiaj czasu. Chciałabym, żebyś pomogła przy szykowaniu obiadu, żeby wszystko było gotowe na czas i żebyśmy nie musieli się tym więcej martwić, a potem naprawdę chciałabym, żebyś pomogła tacie z jego gimnastyką, tak jak obiecałaś.

— I zrobię to.

— Al — krzyknęła Enid, wychylając się do Alfreda. — Denise chce ci pomóc z twoją gimnastyką po lunchu!

Wzdrygnął się jakby z obrzydzeniem.

— Jak sobie życzysz.

Na jednym ze starych łóżek, które przez długi czas służyło jako podstawa pod malowanie rzeczy, piętrzyła się sterta wiklinowych stolików i krzeseł we wczesnych stadiach czyszczenia i malowania. Na otwartej gazecie widniała grupka zamkniętych puszek po kawie, a przy warsztacie stała strzelba w płóciennym pokrowcu.

— Po co ci ta strzelba, tato? — spytała Denise.

— Och, tata od lat planował ją sprzedać — odparła Enid. — AL, CZY TY KIEDYKOLWIEK SPRZEDASZ TĘ BRONŃ?

Alfred zdawał się przepuścić to zdanie kilka razy przez mózg, żeby zrozumieć jego znaczenie. Bardzo powoli pokiwał głową.

— Tak — powiedział. — Sprzedam tę broń.

— Nie cierpię myśleć, że mamy to w domu — powiedziała Enid, zbierając się do wyjścia. — Wiesz, on nigdy jej nie użył, ani razu. Nie sędzę, żeby kiedykolwiek padł z niej strzał.

Alfred z uśmiechem podszedł do Denise i zmusił ją, by wycofała się w kierunku drzwi.

— Skończę tutaj, co miałem zrobić — powiedział.

Na górze była już Wigilia. Pod choinką piętrzyły się prezenty. Na trawniku przed domem niemal ogołoczone gałęzie białego dębu bagiennego kiwały się na wietrze, który przynosił śnieg; martwa trawa więziła martwe liście.

Enid znowu wyglądała przez uchylone zasłony.

— Powinnam się martwić o Chipa? — zapytała.

— Martwiłabym się tym, że nie przyjeżdża — powiedziała Denise — ale nie tym, że ma kłopoty.

— W gazecie napisali, że różne frakcje walczą ze sobą o przejęcie kontroli nad Wilnem.

— Chip potrafi o siebie zadbać.

— Chodź — Enid pociągnęła Denise do drzwi wejściowych. — Chcę, żebyś zawiesiła ostatnią ozdobę na kalendarzu adwentowym.

— Dlaczego sama tego nie zrobisz, mamó?

— Nie. Chcę, żebyś ty to zrobiła.

Ostatnią ozdobą było Dzieciątko Jezus w kołysce z łupiny orzecha. Przypięcie jej do choinki było zadaniem dla dziecka, dla kogoś łatwowiernego i pełnego nadziei. Denise widziała wyraźnie, że sama postanowiła uciec od emocji panujących w tym domu, od nasycenia wspomnieniami z dzieciństwa i rzeczami, które wtedy wydawały się ważne. Nie mogła być dzieckiem, które przypnie ostatnią ozdobę.

— To twój kalendarz — powiedziała. — Ty powinnaś to zrobić.

Zawód malujący się na twarzy Enid był niemal nieproporcjonalny do sytuacji. Było to odwieczne rozczarowanie odmową całego świata, a w szczególności jej dzieci, do uczestnictwa w jej ulubionych czarach.

— W takim razie chyba poproszę Gary'ego, żeby to zrobił — powiedziała z nachmurzoną miną.

— Przepraszam — odparła Denise.

— Pamiętam, że jako mała dziewczynka lubiłaś przypinać te ozdóbki na kalendarzu. Uwielbiałaś to. Ale jeżeli nie chcesz tego zrobić, to nie.

— Mamó, proszę cię, nie zmuszaj mnie — mówiła Denise niepewnym głosem.

— Gdybym wiedziała, że to dla ciebie taki ciężar, nigdy bym cię o to nie poprosiła.

— Pozwól mi popatrzeć, jak ty to robisz! — błagała Denise.

Enid potrząsnęła głową.

— Poproszę Gary'ego, kiedy wróci z zakupów — dodała, odchodząc.

— Bardzo mi przykro.

Wyszła na zewnątrz, usiadła na schodach i zapaliła papierosa. Powietrze pachniało niepokojąco południowym śniegiem. W oddali na ulicy Kirby Root okręcał sznur choinkowy dookoła swojej latarni gazowej. Pomachał jej, a ona odwzajemniła pozdrowienie.

— Od kiedy to palisz? — spytała Enid, gdy Denise wróciła do domu.

— Od jakichś piętnastu lat.

— Nie chcę cię krytykować, ale to okropnie szkodliwy nałóg. Źle wpływa na skórę i szczerze mówiąc, zapach nie jest zbyt przyjemny dla innych.

Denise z westchnieniem umyła ręce i zaczęła robić zasmażkę do kapusty.

— Jeśli zamierzasz ze mną mieszkać — powiedziała — musimy ustalić pewne rzeczy.

— Już mówiłam, że nie zamierzam cię krytykować.

— Po pierwsze, ustalmy, że przeżywam teraz trudny okres. Na przykład wcale nie odeszłam z Generatora, tylko zostałam wyrzucona.

— Wyrzucona?

— Na nieszczęście tak. Chcesz wiedzieć dlaczego?

— Nie!

— Jesteś pewna?

— Tak!

Denise z uśmiechem wlała więcej smalcu na dno rondla.

— Denise, obiecuję ci, że nie będziemy ci wchodzić w paradę — powiedziała matka. — Po prostu pokażesz mi, gdzie jest supermarket i jak używać twojej zmywarki, a potem możesz sobie wychodzić i przychodzić wedle woli. Wiem, że masz swoje własne życie i nie zamierzam się wcinać. Jeśli istniałby inny sposób, żeby umieścić tatę w programie, uwierz mi, wykorzystałabym go. Ale Gary

nigdy nas nie zaprosił i nie sądzę, żeby Caroline chciała nas przyjąć w swoim domu.

Smalec, podsmażone żeberka i gotująca się kiszona kapusta pachniały apetycznie. W tym wydaniu owo danie w niczym nie przypominało dekoracyjnej wersji, którą szykowała dla tysięcy obcych ludzi w restauracji. Żeberka z Generatora i żabnica z Generatora miały ze sobą więcej wspólnego niż żeberka z Generatora i żeberka domowe. Człowiekowi mogłoby się wydawać, iż wie, co to jedzenie, że to jakaś wiedza podstawowa. Można zapomnieć, ile restauracji jest w jedzeniu restauracyjnym, a ile domu w jedzeniu domowym.

— Dlaczego nie opowiadasz mi historii o Normie Greene? — spytała.

— Cóż, ostatnio strasznie się na mnie o to rozżościłaś — odparła Enid.

— Byłam zła głównie na Gary'ego.

— Po prostu martwię się, żebyś nie została tak skrzywdzona jak Norma. Chcę, żebyś była szczęśliwa i ułożyła sobie życie.

— Mamo, nie zamierzam wychodzić za mąż drugi raz.

— Nigdy nic nie wiadomo.

— Owszem, wiadomo.

— Życie jest pełne niespodzianek, a ty jesteś wciąż bardzo młoda i kochana.

Denise dodała jeszcze trochę smalcu do garnka; nie miała powodu się powstrzymywać.

— Słuchasz mnie, mamo? Jestem pewna, że nie wyjdę za mąż.

Ale na dworze trzasnęły drzwi samochodu i Enid już biegła do okna i wyglądała przez uchylone zasłony.

— Och, to Gary — powiedziała zawiedziona. — To tylko Gary.

Gary wpadł do kuchni, niosąc pamiątki kolejarskie, które kupił w Muzeum Transportu. Wyraźnie odświeżony od rana, radośnie spełnił zachciankę Enid, przypinając Dzieciątko Jezus do kalendarza adwentowego; i w tym momencie sympatia Enid przesunęła się natychmiast z córki na syna. Piała z zachwytem nad świetną robotą, którą Gary wykonał w łazience na dole i nad nadzwyczajną przydatnością taboretu. Denise w ponurym nastroju dokończyła szykowanie jedzenia i zaczęła zmywać naczynia. Za oknami niebo stało się zupełnie szare.

Po lunchu poszła do pokoju, który Enid udało się wreszcie przemaalować tak, aby nabrał niemal idealnej bezosobowości, i zapakowała prezenty (wszystkim kupiła ubrania; wiedziała, co ludzie lubią nosić). Odwinęła chusteczkę, w której ukrywało się trzydzieści słonecznych kapsulek Meksykańskiej A, i przez chwilę zastanawiała się, czy nie zapakować ich na prezent dla Enid, ale musiała dotrzymać obietnicy, którą złożyła Gary'emu. Zawinęła tabletki z powrotem w chusteczkę, wymknęła się z pokoju, cicho zeszła po schodach na dół i wepchnęła lekarstwo do świeżo opróżnionej dwudziestej czwartej kieszeni kalendarza adwentowego. Wszyscy byli w piwnicy, więc mogła swobodnie wrócić do swojego pokoju i zachowywać się, jak gdyby nigdy go nie opuszczała.

Kiedy była mała, w czasach gdy Enid gotowała żeberka w domowej kuchni, gdy Gary i Chip przyprawiali do domu swoje nieprawdopodobnie śliczne dziewczyny i wszyscy uważali, że kupowanie Denise mnóstwa prezentów to świetny pomysł, było to najdłuższe popołudnie w całym roku. Niejasny obyczaj zabraniał zgromadzeń rodzinnych przed zapadnięciem zmroku i wszyscy czekali w osobnych pokojach. Czasami, jeszcze jako nastolatek, Chip litował się nad najmłodszym dzieckiem w rodzinie i grywał z nią w szachy albo w monopol. Gdy trochę podrosła, zabierał ją ze sobą na spacer do centrum handlowego wraz ze swoją aktualną dziewczyną. Nic nie sprawiało jej większej radości niż ta akceptacja, to przyjęcie do grupy: odbieranie nauk od Chipa na temat zła schyłkowego kapitalizmu, gromadzenie nowinek dotyczących mody z rozmów z dziewczyną Chipa,

studiowanie długości pazurków na grzywce dziewczyny Chipa i podziwianie wysokości jej obcasów, spędzanie samotnej godziny w księgarni, a potem obserwowanie ze szczytu wzgórza ponad centrum handlowym milczącej, powolnej choreografii ruchu drogowego w gasnącym świetle dnia.

Nawet teraz wciąż było to najdłuższe popołudnie roku. Z góry zaczęły się osypywać płatki śniegu, o ton ciemniejsze niż rozbielone nagle niebo. Chłód zakradał się przez okna, omijał fale i skłębione masy rozgrzanego od pieca powietrza, atakował szyję. Denise, bojąc się, że zachoruje, położyła się do łóżka i okryła kocem.

Spała twardo, bez snów. Obudziły ją — Gdzie? O której godzinie? Którego dnia? — rozgniewane głosy. Śnieg zaanektował narożniki okien i przysypał biały dąb bagieny. Niebo wciąż jeszcze było jasne, ale nie na długo.

Al, Gary zadał sobie TYLE trudu...

Nie prosiłem go o to!

Cóż, nie mógłbyś spróbować chociaż raz? Po tym, jak się wczoraj napracował?

Jeżeli chcę wziąć kąpiel, to chyba mi wolno.

Tato, to tylko kwestia czasu, zanim spadniesz ze schodów i złamiesz sobie kark!

Nie proszę nikogo o pomoc.

I nie będziesz! Bo zabroniłem mamie... zabroniłem jej... podchodzić nawet w pobliże tej wanny...

Al, proszę cię, chociaż spróbuj tego prysznic...

Mamo, zapomnij, niech sobie skręci kark, będziemy mieli wszyscy święty spokój...

Gary...

Głosy zbliżały się w miarę, jak kłótnia przenosiła się na piętro. Denise słyszała ciężkie kroki ojca, gdy mijał jej drzwi. Założyła okulary i otworzyła drzwi akurat w momencie, gdy Enid, powolna z powodu swojego chorego biodra, dotarła do szczytu schodów.

— Denise, co ty robisz?

— Zdrzemnęłam się.

— Idź porozmawiać z ojcem. Powiedz mu, że powinien spróbować prysznic, nad którym Gary się tak natrudził. Ciebie na pewno posłucha.

Głębokość snu i rodzaj przebudzenia wytrąciły Denise z kontekstu świata zewnętrznego; scena odgrywająca się w korytarzu i spektakl za oknami miały odcienie antymaterii; dźwięki były jednocześnie zbyt głośne i ledwo słyszalne.

— Dlaczego... dlaczego musimy z tego robić sprawę akurat dzisiaj? — spytała.

— Ponieważ Gary jutro wyjeżdża i chciałam, żeby zobaczył, że prysznic się tacie przydaje.

— Czy możesz mi jeszcze raz wyjaśnić, co takiego złego jest w braniu kąpieli w wannie?

— Tata nie może z niej wyjść. Poza tym bardzo niepewnie chodzi po schodach.

Denise zamknęła oczy, ale to tylko pogorszyło syndrom przesunięcia w fazie. Otworzyła je z powrotem.

— Och, i jeszcze coś, Denise — powiedziała Enid. — Nie przerobiłaś z nim ćwiczeń, tak jak obiecałaś!

— Jasne. Zrobię to.

— Zrób to teraz, zanim się umyje. Poczekaj, przyniosę ci instrukcje od doktora Hedgpetha.

Enid pokuśtykała w dół po schodach.

— Tato? — zawołała Denise.

Zadnej odpowiedzi.

Enid wspięła się do połowy schodów i rzuciła jej przez szczebelki w poręczy fioletową kartkę papieru (RUCH TO ZDROWIE), na której widniały schematy przedstawiające siedem ćwiczeń rozciągających.

— Naprawdę, naucz go — powiedziała matka. — On robi się niecierpliwy w stosunku do mnie, ale ciebie posłucha. Doktor Hedgpeth wciąż mnie pyta, czy tata robi ćwiczenia. To bardzo ważne, żeby tata się ich nauczył. Nie wiedziałam, że cały ten czas spałaś.

Denise wzięła instrukcję do sypialni rodziców, gdzie zastała Afreda rozebranego od pasa w dół, stojącego przed szafą.

— Ups, tato, przepraszam — powiedziała, cofając się od progu.

— Co tam znowu?

— Musimy popracować nad gimnastyką.

— Już się rozebrałem.

— Po prostu włóż piżamę. Luźne ciuchy i tak są wygodniejsze przy ćwiczeniu.

Upłynęło pięć minut, zanim zdołała go uspokoić i położyć go na plecach na łóżku, w wełnianej bluzie i spodniach od piżamy; i tutaj wyszła na jaw cała prawda.

Pierwsze ćwiczenie wymagało od Alfreda złapania rękoma za prawe kolano i przyciągnięcia nogi do klatki piersiowej. To samo z lewym kolaniem. Denise pomogła mu sięgnąć rękoma do nogi i chociaż sztywność jego kończyn nappełniła ją przerażeniem, Alfred zdołał w końcu zgiąć nogę w biodrze bardziej niż pod kątem dziewięćdziesięciu stopni.

— A teraz lewe kolano — powiedziała.

Alfred sięgnął rękoma do prawego kolana i przyciągnął je do klatki piersiowej.

— Świetnie, ale teraz spróbuj z lewą nogą — powiedziała Denise.

Alfred leżał, oddychając ciężko, i nie zrobił nic. Miał minę człowieka, który uświadomił sobie coś strasznego.

— Tato? Spróbuj sięgnąć do lewego kolana — Denise dotknęła jego lewego kolana, lecz daremnie. W oczach ojca ujrziała desperacką potrzebę wyjaśnienia i dalszych instrukcji. Przesunęła jego dłonie w kierunku lewego kolana, a one natychmiast opadły bezwładnie. Być może usztywnienie kończyn było gorsze po lewej stronie? Pomogła mu znowu chwycić rękoma za kolano, a następnie zgiąć je i unieść w górę.

Jeśli już, lewa strona była bardziej elastyczna.

— Teraz ty spróbuj — powiedziała.

Uśmiechnął się do niej jak ktoś bardzo wystraszony.

— Spróbuj co? — zapytał.

— Chwycić rękoma swoje lewe kolano i podnieść je w górę.

— Denise, mam już tego dosyć.

— Poczujesz się znacznie lepiej, jeśli się trochę porozciągasz — odparła. — Po prostu zrób to samo, co już raz zrobiłeś. Połóż ręce na lewym kolanie i unieś je w górę.

Uśmiech, którym go obdarzyła, został odwzajemniony grymasem dezorientacji. Patrzyli sobie w oczy w milczeniu.

— Gdzie jest moja lewa strona? — zapytał Alfred.

Denise dotknęła jego lewego kolana.

— Tutaj.

— I co mam zrobić?

— Chwyć kolano rękoma i przyciągnij do klatki piersiowej.

Jego wystraszone oczy błędziły po suficie, jakby usiłowały znaleźć wyjście z sytuacji.

— Tato, skoncentruj się.

— To nie ma sensu.

— Dobrze — zaczerpnęła głęboko powietrza. — Dobrze więc, zostawmy to ćwiczenie. Spróbujemy teraz drugiego, dobrze?

Popatrzył na nią, jak gdyby Denise, jego jedynej nadziei, wyrosły rogi i pazury.

— A więc w drugim ćwiczeniu — zaczęła Denise, starając się zignorować wyraz jego twarzy — krzyżujesz prawą nogę nad lewą, a potem obie nogi przechylasz na prawo tak daleko, jak się da. Lubię to ćwiczenie — powiedziała. — Rozciąga mięsień zginający biodra. Bardzo rozluźniające.

Wyjaśniła mu, jak zrobić ćwiczenie jeszcze dwa razy, a potem kazała mu podnieść prawą nogę. Alfred uniósł obie nogi kilka centymetrów ponad materac.

— Tylko prawą nogę — powiedziała łagodnie. — I trzymaj kolana ugięte.

— Denise! — jego głos był pełen napięcia. — To nie ma sensu!

— Zobacz — powiedziała. — Zobacz — nacisnęła na jego stopy, żeby zgiął kolana. Trzymając go za udo i łydkę, uniosła jego prawą nogę i przełożyła nad lewym kolaniem. Na początku nie czuła żadnego oporu, a potem nagle poczuła, jak cały gwałtownie się spina.

— Denise!

— Tato, po prostu się rozluźnij.

Wiedziała już, że ojciec nigdy nie przyjedzie do Filadelfii. Nagle poczuła tropikalną wilgoć wydostającą się z jego ciała, kwaśny zapach odpuszczenia sobie. Materiał piżamy pod jej ręką zrobił się nagle ciepły i wilgotny. Alfred drżał na całym ciele.

— O kurczę — powiedziała, puszczając jego nogę.

Na zewnątrz wirowały płatki śniegu, w oknach sąsiadów pojawiały się światła. Denise wytarła rękę o dzinsy, spojrzała w dół i zaczęła słuchać z walącym w piersi sercem ciężkiego oddechu ojca i rytmicznego drgania jego nóg na materacu. Na prześcieradle w pobliżu jego krocza pojawił się łuk wilgoci, a na jednej z nogawek piżamy widniały długie mokre zacieki. Zapach moczu przybrał na sile i w miarę jak stygł w niedogrzanym pokoju, przekształcał się w aromat dość zdecydowany i przyjemny.

— Przykro mi, tato — powiedziała Denise. — Przyniosę ci ręcznik.

Alfred uśmiechnął się do sufitu i powiedział już mniej poruszonym głosem:

— Leżę tutaj i stąd to widzę. Widzisz to?

— Co?

Wskazał palcem bliżej nieokreślony punkt na suficie.

— Spód na spodzie. Spód na spodzie stołu — powiedział. — Jest tam napisane. Widzisz to?

Teraz to Denise była zdezorientowana, nie Alfred. Uniósł brwi i spojrzał na nią sprytnie.

— Wiesz, kto to napisał, prawda? Fa. Fa. Facet z wiesz czym.

Pokiwał znacząco głową, patrząc jej w oczy.

— Nie rozumiem, o czym mówisz — powiedziała Denise.

— O twoim przyjacielu — odparł. — O gościu z niebieskimi policzkami. Pierwsza fala zrozumienia pojawiła się na jej karku, a potem zaczęła wędrować w dół i w górę.

— Przyniosę ręcznik — powiedziała, nie ruszając się z miejsca. Alfred odwrócił wzrok i wlepił

go znowu w sufit.

— Napisał to na spodzie stołu. Nasspodudułu. Nadspodziestołu. A ja leżę i mogę to odczytać.

— O czym ty mówisz?

— O twoim przyjacielu z Sygnałów. Gościu z niebieskimi policzkami.

— Tato, jesteś zdezorientowany. Śniesz na jawie. Idę po ten ręcznik.

— Widzisz, po prostu nie miało sensu wspominać o tym cokolwiek.

— Idę po ręcznik — powiedziała. Przecięła sypialnię i weszła do łazienki. Jej głowa wciąż jeszcze była pogrążona w drzemce, z której jakiś czas temu obudziło się jej ciało, i problem stawał się coraz poważniejszy. Coraz bardziej wypadała z fazy, desynchronizowała się z falami rzeczywistości, które składały się na miękkość ręcznika, ciemność nieba, twardość podłogi i przejrzystość powietrza. Skąd ta rozmowa o Danie Armourze? Dlaczego teraz?

Ojciec spuścił nogi na podłogę i ściągnął dół od pizamy. Gdy wróciła, wyciągnął dłoń po ręcznik.

— Posprzątam tutaj — powiedział. — Ty idź pomóż matce.

— Nie, ja to zrobię — odparła. — Ty idź weź kąpiel.

— Daj mi ten ręcznik. To nie należy do twoich obowiązków.

— Tato, idź do wanny.

— Nie zamierzałem cię w to mieszać.

Jego ręka, wciąż wyciągnięta, drżała w powietrzu. Denise odwróciła oczy od jego obraźliwego, moczającego się penisa.

— Wstań — powiedziała. — Ściągnę prześcieradło. Alfred zasłonił swój członek ręcznikiem.

— Zostaw to matce — rozkazał. — Powiedziałem jej, że ten wyjazd do Filadelfii to nonsens. Nigdy nie zamierzałem cię wciągać w coś takiego. Masz swoje życie. Baw się dobrze, tylko bądź ostrożna.

Wciąż siedział na łóżku z opuszczoną głową i rękoma niczym wielkie puste cieliste łyżki, ułożonymi na kolanach.

— Chcesz, żebym zaczęła napszczać wodę do wanny? — spytała.

— Nie, nienienie, nie — odparł. — Powiedziałem mu, że gada bzdury, ale co można było poradzić? — uczynił gest świadczący o oczywistości lub nieuniknioności. — Myślał, że jedzie do Little Rock. A skądże. Powiedziałem mu! Musisz mieć lata pracy. Cóż, to był stek bzdur. Powiedziałem mu, żeby się wynosił — spojrzał przeproszająco na Denise i wzruszył ramionami. — Co innego mogłem zrobić?

Denise czuła się już przedtem niewidoczna, ale nigdy tak jak teraz.

— Nie jestem pewna, czy rozumiem, o czym mówisz.

— Cóż — Alfred znów uczynił niezdecydowany gest wyjaśnienia. — Powiedział mi, żebym spojrzał pod ławkę. Po prostu. Żebym spojrzał pod stół, jeśli mu nie wierzę.

— Jaki stół?

— To był stek bzdur — ciągnął Alfred. — Prościej dla wszystkich było, że po prostu odszedłem. Widzisz, nigdy o tym nie pomyślał.

— Czy mówimy o kolei?

Alfred potrząsnął głową.

— To nie twój problem. Nigdy nie chciałem cię w to wszystko mieszać. Chcę, żebyś cieszyła się życiem. I bądź ostrożna. Powiedz matce, żeby przysłała tutaj ze ścierką.

Z tymi słowy poczłapał po dywanie w kierunku łazienki i zamknął za sobą drzwi. Denise, żeby nie

siedzieć beczynnym, ściągnęła pościel i zwinęła w kłębek wraz z moką piżamą, a następnie zniosła wszystko na dół.

— Jak wam idzie na górze? — spytała Enid z jadalni, spoglądając sponad sterty świątecznych kartek.

— Zsikał się do łóżka — odparła Denise.

— O mój Boże.

— Nie odróżnia lewej nogi od prawej.

Twarz Enid pociemniała.

— Myślałam, że tobie pójdzie z nim lepiej.

— Mamo, on nie odróżnia lewej nogi od prawej.

— Czasem te lekarstwa...

— Jasne, jasne — głos Denise był przesiąknięty goryczą. — Te lekarstwa!

Uciszywszy matkę, poszła do pralni, żeby posortować i namoczyć prześcieradła. Tutaj zaś zaczepił ją Gary, zupełnie rozradowany, z modelem lokomotywy w ręku.

— Znalazłem to — oświadczył.

— Znalazłeś co?

Gary wydawał się skrzywdzony, że Denise nie zwracała większej uwagi na jego pragnienia i zajęcia. Wyjaśnił jej, że na połowę jego dzieciństwa ta połowa zestawu kolejki — „ważna połowa, z wagonami i transformatorami” — zniknęła gdzieś, i myślał, że nigdy jej nie znajdzie.

— Przewróciłem cały schowek do góry nogami — ciągnął — i zgadnij, gdzie to znalazłem.

— Gdzie?

— Zgadnij — nalegał.

— Na dnie pudła z plecionki.

Oczy Gary’ego się rozszerzyły.

— Skąd wiedziałaś? Szukałem tego przez dziesięciolecia.

— Cóż, powinieneś od razu mnie zapytać. W wielkim pudle jest mniejsze pudełko z częściami od kolejki.

— No, w każdym razie — Gary wzruszył ramionami, aby uwaga przeniosła się z Denise z powrotem na niego — cieszę się, że miałem tę satysfakcję z odnalezienia modelu, chociaż mogłaś powiedzieć mi wcześniej.

— Gdybyś tylko mnie o to zapytał!

— Wiesz, świetnie się bawię tym modelem kolejki. Można dokupić wiele naprawdę fajnych rzeczy do kompletu.

— Świetnie! Cieszę się!

Gary podziwiał lokomotywę, którą trzymał w ręku.

— Naprawdę nie przypuszczałem, że jeszcze ją zobaczę.

Kiedy sobie poszedł i Denise została sama w piwnicy, poszła do laboratorium Alfreda z latarką, uklękła pomiędzy puszkami po kawie Yuban i sprawdziła spód stołu laboratoryjnego, na którym ktoś wyrysował tęym ołówkiem serce wielkości ludzkiego serca:



Ciężko opadła na pięty i kolana i trwała tak na przeraźliwie zimnej podłodze. *Little Rock. Lata pracy. Prościej było, żebyś odszedł.*

Bezwiednie uniosła wieczko jednej z puszek. Była wypełniona po brzegi krzykliwie pomarańczowym sfermentowanym moczem.

— O rany — powiedziała do strzelby.

Gdy wbiegała na górę i wkładała palto i rękawiczki, najbardziej żałowała swojej matki, bo jakkolwiek często i gorzko Enid narzekała w rozmowach z córką, jej ani razu nie przyszło do głowy, że życie w St. Jude stało się takim koszmarem; a jak człowiek może pozwolić sobie na oddychanie, czy nawet sen lub dobre jedzenie, skoro nie umie sobie wyobrazić, jak ciężkie jest życie innej osoby?

Enid znów była w jadalni, wyglądała Chipa.

— Idę na spacer! — rzuciła Denise, zamykając za sobą drzwi wejściowe.

Trawnik pokrywała pięciocentymetrowa warstwa śniegu. Na zachodzie się przejaśniało; rażące odcienie lawendy, jak cień do powiek, i błękitu, jak oczy Robin, zaznaczały najbliższy zimny front atmosferyczny. Wędrowała w zmierzchu słońca po ulicach pooranych śladami bieżników, paląc, dopóki nikotyna nie stępiła jej rozpacz i mogła zacząć myśleć nieco trzeźwiej.

Pojęła, że po tym jak bracia Wrothowie wykupili Midland Pacific i rozpoczęli redukcję etatów, Donowi Armourowi nie udało się przenieść do Little Rock. Poszedł wtedy do Alfreda ze skargą. Być może groził mu, iż rozpowie wszystkim o romansie z córką Alfreda, a może rościł sobie jakieś prawa jako quasi-członek rodziny Lambertów: tak czy siak, Alfred posłał go do wszystkich diabłów, a potem wrócił do domu i odkrył napis pod stołem laboratoryjnym.

Denise wierzyła, że między Alfredem a Donem Armourem rozegrała się ostra scena, ale nie chciała sobie jej wyobrazić. Jakże Don Armour musiał pogardzać sobą samym za to, że przypełził do szefa szefa swojego szefa i próbował wyblagać lub wymusić włączenie go do grupy pracowników przenoszonych do Little Rock; jakże Alfred musiał się poczuć zdradzony przez swoją własną córkę, która zbierała pochwały za oddaną pracę; jakże fatalnie musiała rozegrać się cała ta scena — i tak już nie do zniesienia — po włączeniu w nią fiuta Dona Armoura i jej nieciekawego, pełnego winy otworu. Nie mogła znieść myśli o ojcu, który klęczał pod stołem, odnajdując ołówkowe serce, o chamskich insynuacjach Dona Armoura wpadających do pruderyjnych uszu jej ojca, o tym, jak łatwo obraziło to człowieka o ogromnej dyscyplinie i poczuciu prywatności, gdy dowiedział się, że Don Armour łaził po jego domu i grzebał, gdzie chciał.

„Nigdy nie chciałem cię w to mieszać”.

Cóż, zapewne: jej ojciec zrezygnował z pracy w kolei. Ocalił jej prywatność. Nie puścił pary z ust przed Denise, nigdy nie pokazał jej, że myśli o niej choćby odrobinę gorzej. Przez piętnaście lat próbowała udawać idealnie odpowiedzialną i ostrożną córkę, a on przez cały ten czas wiedział, że nią nie jest.

Była to pocieszająca myśl, o ile zdoła ją zapamiętać.

Opuściła okolicę domu rodziców. Budynki zrobiły się większe, nowsze i bardziej klockowate. Przez okna bez szprosów albo z plastikowymi atrapami szprosów widziała świetliste ekrany telewizyjne, niektóre małe, inne zaś gigantyczne. Najwyraźniej o każdej godzinie roku, również teraz był odpowiedni moment na gapienie się w telewizor. Denise rozpięła płaszcz i zawróciła, idąc skrótem przez łąkę za swoją starą podstawówką.

Nigdy naprawdę nie знаła swojego ojca. Pewnie nikt go tak naprawdę nie znał. Nieśmiałością, formalizmem, tyranicznymi wybuchami złości chronił swoją intymność tak zawzięcie, że jeśli się go kochało, trzeba było zrozumieć, iż nie było dla niego większego daru niż uszanowanie jego prywatności.

Alfred ze swej strony okazał swoją wiarę w Denise, biorąc to, co robi, za dobrą monetę: odmawiając wściubiania nosa za mur, który postawiła im wszystkim. Czowała się z nim najszcześliwsza, gdy publicznie dawał dowody swojej wiary w Denise: gdy dostawała same piątki w szkole; gdy jej restauracja odniosła sukces; gdy krytycy ją pokochali.

Rozumiała aż za dobrze, jaką tragedią było dla Alfreda zmoczenie się w jej obecności. Leżenia na plamie ze stygnącego moczu nie postrzegał jako spędzania czasu ze swoją córką. Dla nich istniał tylko jeden dobry sposób na przebywanie razem, ale to już niedługo miało się skończyć.

Może to dziwne, ale dla Alfreda miłość oznaczała nie zbliżenie, ale umiejętność stanięcia z boku. Denise rozumiała to znacznie lepiej niż Chip czy Gary, dlatego czowała się szczególnie odpowiedzialna za ojca.

Chipowi na nieszczęście wydawało się, że Alfred kocha swoje dzieci tylko w takim stopniu, w jakim osiągnęły sukces. Był tak zaabsorbowany czuciem się niezrozumianym, że nigdy nie zauważył, jak bardzo sam ojca nie rozumie. Dla Chipa niezdolność Alfreda do okazania czułości stanowiła dowód, że ojciec nie wiedział lub nie dbał o to, jakim człowiekiem jest jego syn. Chip nie potrafił dostrzec tego, co widzieli wszyscy dookoła: że jeżeli był na tym świecie ktoś, kogo Alfred kochał wyłącznie dla samego faktu istnienia, to właśnie Chipa. Denise wiedziała, że nie wzbudza w ojcu takiego samego zachwyty i radości; poza formalnościami i osiągnięciami niewiele mieli ze sobą wspólnego. To Chipa wołał Alfred w środku nocy, chociaż Chipa nie było.

„Pokazałam ci to tak jasno, jak potrafiłam” — powiedziała swojemu bratu idiocie w swojej głowie, gdy przemierzała zaśnieżone pole. „Nie potrafię już wyrazić się jaśniej”.

Dom, do którego powróciła, był pełen światła. Gary i Enid uprzątnęli śnieg ze ścieżki prowadzącej do domu. Otrzeptywała właśnie buty na wycieraczkę, gdy otworzyły się drzwi.

— Och, to ty — powiedziała Enid. — Myślałam, że to Chip.

— Nie, to tylko ja.

Weszła do środka i ściągnęła buty. Gary rozpałił w kominku i siedział teraz w fotelu ustawionym blisko ognia, ze stertą starych albumów u stóp.

— Posłuchaj mojej rady i zapomnij o Chipie — rzucił.

— Musi mieć kłopoty — odparła Enid. — Inaczej by zadzwonił.

— Mamo, Chip jest socjopatą. Niech to wreszcie do ciebie dotrze.

— Nic nie wiesz o Chipie — powiedziała Denise do Gary’ego.

— Wiem, kiedy ktoś wymiguje się od obowiązków.

— Ja po prostu chciałam, żebyśmy spotkali się całą rodziną — mówiła Enid.

Gary jęknął z czułości.

— Och, Denise — powiedział. — Och, chodź, zobacz to maleństwo.

— Może innym razem.

Ale Gary już przemierzył salon z albumem w ręce i wetknął jej pod oczy zdjęcie na rodzinnej pocztówce bożonarodzeniowej. Pulchniutka dziewczuszka ze strzechą włosów i lekko semickimi rysami to była Denise w wieku osiemnastu miesięcy. W jej uśmiechu, podobnie jak w uśmiechach Chipa i Gary'ego, nie dało się dostrzec ani śladu troski. Siedziała pomiędzy nimi na sofie (jeszcze ze starą tapicerką) w salonie; obejmowali się ramionami. Ich gładkie chłopięce twarze niemal stykały się ponad jej głową.

— Ależ byliśmy śliczną dziewczynką — powiedział Gary.

— Och tak, taką kochaną dziewczynką — dołączyła się Enid.

Ze środka albumu wypadła koperta z naklejką „Przesyłka polecona”. Enid chwyciła ją, podbiegła do kominka i wrzuciła prosto w ogień.

— Co to było? — zapytał Gary.

— To tylko ta sprawa z Axonem, ale wszystko już zostało załatwione — odparła.

— Czy tata wysłał w końcu połowę opłaty licencyjnej do Orfic Midland?

— Prosił mnie o to, ale jeszcze tego nie zrobiłam. Utknęłam przy wypełnianiu tysięcy formularzy ubezpieczenia.

Gary roześmiał się, wchodząc po schodach.

— Niech ci te dwa i pół tysiąca nie wypali dziury w kieszeni — powiedział.

Denise wysiąkała nos i poszła obierać ziemniaki do kuchni.

— Na wszelki wypadek obierz tyle, żeby starczyło dla Chipa. Powiedział, że będzie najpóźniej po południu.

— Myślę, że oficjalnie jest już wieczór — odparła Denise.

— Cóż, w każdym razie zrób dużo ziemniaków.

Wszystkie noże w kuchni matki były tępe niczym noże do masła. Denise chwyciła za obieraczkę do marchewek.

— Czy tata kiedykolwiek powiedział ci, dlaczego nie pojechał do Little Rock z Orfic Midland?

— Nie — odparła zdecydowanie Enid. — Dlaczego pytasz?

— Tak się zastanawiałam.

— Powiedział im, że się przeniesie. I wiesz, Denise, byłaby to dla nas duża zmiana na lepsze, finansowo. Dostałby prawie dwa razy wyższą emeryturę, tylko dzięki tym dwóm latom. Teraz bylibyśmy w znacznie lepszej sytuacji. Powiedział mi, że zamierza to zrobić, że to słuszna decyzja, a trzy dni później przyszedł do domu i oznajmił, iż zmienił zdanie i odchodzi z firmy.

Denise spojrzała w odbicie oczu w szybie nad zlewem.

— I nigdy nie wyjaśnił ci, dlaczego to zrobił?

— Cóż, nie mógł znieść tych Wrothów. Zakładam, że to był efekt nieporozumień personalnych. Ale nigdy ze mną o tym nie rozmawiał. Wiesz, on nigdy mi niczego nie mówi. Po prostu decyduje. Nawet jeśli ma to doprowadzić do finansowej katastrofy, to jego decyzja i koniec.

I popłynęły łzy. Denise upuściła ziemniaka i skrobaczkę do zlewu. Pomyślała o lekarstwie, które ukryła w kalendarzu adwentowym, że mogłyby powstrzymać jej płacz na wystarczająco długo, żeby zdołała wyjechać z miasta, ale stała zbyt daleko od drzwi. Została złapana w potrzask w kuchni, bez możliwości ucieczki.

— Kochanie, co ci jest? — spytała Enid.

Przez chwilę w kuchni nie było Denise, tylko cikliwa breja pełna łez i wyrzutów sumienia. Ocknęła się, klęcząc na dywaniku koło zlewu. Wokół niej walały się kulki ze zużytych chusteczek higienicznych. Nie chciała spojrzeć na swoją matkę, która siedziała obok niej na krześle i podawała jej świeże chusteczki.

— Wiele rzeczy, które wydają ci się ważne, nagle okazują się zupełnie nieistotne — powiedziała z powagą.

— Niektóre rzeczy wciąż są ważne — odparła Denise.

Enid wpatrzyła się tępo w nieobrane ziemniaki obok zlewu.

— Nie wyzdrowieje, prawda?

Denise z ulgą chwyciła się tego wyjaśnienia, iż płacze z powodu Alfreda.

— Nie sądzę — odparła.

— To nie z powodu lekarstw, prawda?

— Prawdopodobnie nie.

— Zatem pewnie nie ma sensu jechać do Filadelfii. Jeśli nie spełniamy warunków.

— Masz rację. Pewnie nie ma sensu.

— Denise, co my teraz zrobimy?

— Nie wiem.

— Wiedziałam od rana, że coś jest nie tak — powiedziała Enid. — Gdybyś znalazła tę kopertę trzy miesiące temu, zapewne wyskoczyłby na mnie z awanturą. A dziś, sama widziałaś. Nic nie zrobił.

— Przepraszam, że cię tak przed nim wystawiłam.

— To nie ma znaczenia. On nic nie zrozumiał.

— Mimo wszystko przykro mi.

Wieczko na garnku pełnym gotujących się białych fasolek zaczęło podskakiwać. Enid wstała i przykręciła gaz. Denise, wciąż klęcząc, powiedziała:

— Myślę, że w kalendarzu adwentowym coś czeka na ciebie.

— Nie, Gary już przypiął ostatnią ozdobę.

— W dwudziestej czwartej kieszeni. Może jest tam coś dla ciebie.

— Co takiego?

— Nie wiem. Ale mogłabyś pójść sprawdzić.

Usłyszała, jak matka idzie w kierunku drzwi wyjściowych, a potem wraca. Chociaż wzór na dywaniku przed zlewem był skomplikowany, czuła, że jeśli jeszcze dłużej się na niego pogapi, zapamięta go na zawsze.

— Skąd one się tam wzięły? — spytała Enid.

— Nie wiem.

— Czy to ty je tam włożyłaś?

— To tajemnica.

— To ty je tam musiałaś włożyć.

— Nie.

Enid położyła pigułki na blacie, cofnęła się o dwa kroki i przypatrzyła się im, marszcząc brwi.

— Jestem pewna, że ktokolwiek włożył tam te pigułki, chciał dobrze — powiedziała — ale nie chcę ich w moim domu.

— Myślę, że to rozsądny pomysł.

— Chcę prawdziwego leku albo nie chcę niczego.

Prawą ręką zgarnęła kapsułki do lewej dłoni, wrzuciła je do miksera na odpadki, odkręciła wodę i zamieniła je na miazgę.

— A co jest prawdziwym lekarstwem? — spytała Denise, gdy ucichł silnik miksera.

— To, żebyśmy wszyscy spotkali się w domu na ostatnie wspólne święta. Gary, odświeżony po prysznicu, ogolony i ubrany w swoim arystokratycznym stylu pojawił się na dole w samą porę, aby usłyszeć oświadczenie Enid.

— Cóż, lepiej zacznij myśleć o zadowoleniu się czterema z pięciu osób — powiedział, otwierając barek. — Co się stało Denise?

— Martwi się tatą.

— No, czas najwyższy — rzekł Gary. — Trzeba się bardzo o niego martwić.

Denise zgarnęła zużyte chusteczki.

— Nalej mi dużo tego, czego tam sobie nalewasz — powiedziała.

— Myślałam, że dziś wieczór wypijemy szampana od Bei — zaproponowała Enid.

— Nie — powiedziała Denise.

— Nie — powiedział Gary.

— Zostawimy go i zobaczymy, czy pojawi się Chip — zdecydowała Enid. — No dobrze, a co tata robi tak długo na górze?

— Taty nie ma na górze — powiedział Gary.

— Jesteś pewien?

— Tak, jestem pewien.

— Al? AL! — krzyknęła Enid.

W kominku syczał zaniedbany ogień. Biała fasola gotowała się na średnim gazie; klimatyzacja pompowała ciepłe powietrze. Na ulicy czyjś samochód wpadł w poślizg.

— Denise, zobacz, czy taty nie ma w piwnicy — poprosiła Enid.

Denise nie zapytała: „Dlaczego ja”, chociaż chciała. Podeszła do schodów prowadzących w dół i zawołała ojca. Światła w piwnicy były włączone i słyszała zagadkowe ciche szelesty dochodzące z laboratorium. Zawołała jeszcze raz:

— Tato?

Żadnej odpowiedzi.

Gdy schodziła do piwnicy, jej strach był niczym trwoga, która dotykała ją w tamtym nieszczęśliwym roku jej dzieciństwa, kiedy to błagała o zwierzątko domowe i dostała klatkę z dwoma chomikami. Pies albo kot mógł uszkodzić meble i ubrania Enid, ale te młodziutkie chomiki, bliźniaki, dar od Driblettów, uzyskały pozwolenie na przebywanie w domu. Każdego poranka, gdy Denise schodziła do piwnicy, żeby dosypać im ziarna i zmienić wodę, bała się odkryć, jakie to nowe diabelstwo uknuły chomiki przez noc na jej prywatny użytek — może gniazdo pełne ślepych, ruchliwych, kaziurodczo purpurowych młodych, może rozpaczliwe i bezsensowne przearanżowanie cedrowych wiórków w wielką górę, za którą dwoje rodziców trzęsło się na nagiej metalowej podłodze klatki, opuchniętych i niepewnych po tym, jak pożarli wszystkie swoje dzieci, co przecież nie mogło pozostawić dobrego wspomnienia smaku nawet w paszczy chomika.

Drzwi do warsztatu Alfreda były zamknięte. Denise zapukała.

— Tato?

Odpowiedź Alfreda nadeszła natychmiast w postaci krótkiego, zduszonego szczeknięcia.

— Nie wchodzi tu!

Za drzwiami coś twardego zaskrobało o betonową podłogę.

— Tato? Co ty tam robisz?

— Powiedziałem, nie wchodzi tutaj!

Cóż, widziała tam strzelbę i teraz nie mogła się powstrzymać przed myślą: „Oczywiście, że to ja musiałam tu wylądować”. Myślała też: „I nie mam pojęcia, co robić”.

— Tato, muszę tam wejść.

— Denise...

— Wchodzę — powiedziała.

Otworzyła drzwi i oślepiło ją światło. Zerknęła szybko, żeby zobaczyć, jak stary człowiek leży na plecach na rozpostartym na podłodze starym, poplamionym farbą prześcieradle, z biodrami uniesionymi w górę, trzęsącymi się ramionami i szeroko rozwartymi oczami patrzącymi na spód stołu laboratoryjnego, gdy zmagął się z dużym plastikowym aparatem do lewatywy, który wetknął sobie w odbyt.

— Ooooj, przepraszam! — odwróciła się z uniesionymi do góry rękoma.

Alfred oddychał chrapliwie i nic nie mówił.

Przymknęła drzwi do laboratorium i nabrała powietrza w płuca. Na górze zadzwonił dzwonek do drzwi. Przez ściany i sufit usłyszała zbliżające się kroki.

— To on! To on! — krzyknęła Enid.

Wybuch dźwięków pierwszych taktów piosenki — *It Begins to Look a Lot Like Christmas* — rozwiął jej złudzenia.

Denise dołączyła do matki i brata stojących w drzwiach. Wśród ludzi zgromadzonych wokół ośnieżonego przedsionka rozpoznawała znajome twarze; był tam Dale Driblett, Honey Driblett, Steve i Ashley Driblettowie, Root z kilkoma córkami i wygolonymi na krótko zięciami oraz cały klan Personów. Enid przygarnęła Denise i Gary’ego i przyciągnęła ich bliżej, drobiąc na palcach pod wpływem emocji chwili.

— Pobiegnij po tatę — powiedziała. — On uwielbia kolędników.

— Tata jest zajęty — odparła Denise.

Przecież człowiekowi, który tak dbał o uszanowanie jej prywatności i który nigdy nie prosił o nic więcej, jak tylko o respektowanie własnej intymności, nie można było wyświadczyć większej uprzejmości, jak tylko pozwolić mu cierpieć w samotności i nie dodawać do tego cierpienia wstydu z powodu obecności świadka jego zmagania. Czyż Alfred każdym pytaniem, którego nie zadał, nie zasłużył sobie na prawo do zwolnienia z odpowiedzi na kłopotliwe pytanie, które mogłaby teraz chcieć mu zadać? Jak na przykład: „Co ty robisz z tą lewatywą, tato?”.

Kolędnicy zdawali się śpiewać głównie dla niej. Enid kiwała się do taktu, Gary miał łzy w oczach, ale Denise czuła, że to ona jest właściwą publicznością. Chciałaby stać w jednym rzędzie ze szczęśliwszą częścią rodziny. Nie wiedziała, co tak naprawdę jej przeszkadzało tak zrobić, jednak gdy Kirby Root, który dyrygował chórem w kościele metodystów w Chiltsville, zaintonował *Hark, the Herald Angels Sing*, Denise zaczęła się zastanawiać, czy decyzja o respektowaniu prywatności ojca nie była zbyt prostym wyjściem. Chciał być sam? Cóż, jak to miło z jej strony! Mogła wrócić do Filadelfii, żyć własnym życiem i robić dokładnie to, co chciała. Czuł się zażenowany, że ktoś zobaczył go z plastikową gruszką wetkniętą w tyłek? Och, bardzo wygodne wytłumaczenie! Sama

była cholernie zażenowana!

Wyswobodziła się z objęć matki, pomachała sąsiadom i wróciła do piwnicy. Drzwi do laboratorium były przymknięte tak, jak je zostawiła.

— Tato?

— Nie wchodź!

— Przepraszam, ale muszę wejść — powiedziała.

— Nigdy nie chciałem cię w to mieszać. To nie twoje zmartwienie.

— Wiem. Ale muszę tam wejść tak czy siak.

Znalazła go w tej samej pozycji, ze starym ręcznikiem zwiniętym między nogami. Uklękła pośród zapachu gówna i moczu i położyła dłoń na jego drgającym ramieniu.

— Przykro mi — powiedziała.

Twarz Alfreda pokrywał pot, jego oczy błyszczały szaleństwem.

— Znajdź telefon — powiedział — i zadzwoń do kierownika okręgu.

O szóstej nad ranem we wtorek Chip doznał wielkiego objawienia, gdy szedł w niemal idealnej ciemności drogą wyłożoną litewskim brukiem, pomiędzy dwoma małutkimi wioszczkami Nerowo i Miškiniai, kilka kilometrów od polskiej granicy.

Piętnaście minut wcześniej wydostał się z lotniska i został nieomal rozjechany przez Jonasa, Aidarisa i Gitanasa, którzy gwałtownie wjechali stomperem na krawężnik. Wyjechali już z Wilna, gdy usłyszeli wiadomości o zamknięciu lotniska. Zawrócili z drogi na Ignalinę i pojechali ratować żalosego Amerykanina. Bagażnik stompera był załadowany komputerami, telefonami i walizkami, ale po przyczepieniu dwóch walizek taśmą gumową do bagażnika zrobiło się trochę miejsca dla Chipa i jego bagażu.

— Zabierzemy cię do małego punktu granicznego — powiedział Gitanas. — Na większych drogach stawiają zapory. Na widok SUV-ów zaczynają się ślinić.

Jonas prowadził, rozwijając niebezpieczną prędkość na równie niebezpiecznych drogach, omijając miasto Jieznas i Alytus. W ciemności mijały kolejne godziny przedzierania się ku granicy. Nie napotkali żadnego pojazdu wojskowego ani działającej latarni. Jonas i Aidaris słuchali z przodu Metalliki, podczas gdy Gitanas bawił się komórką w nadziei, że Transbaltic Wireless, którego wciąż był nominalnie głównym udziałowcem, w środku tego ogólnokrajowego odcięcia od energii i mobilizacji sił wojskowych Litwy przywróciła jednak moc stacji przekaźnikowej.

— Dla Vitkunasa to katastrofa — powiedział Gitanas. — Mobilizacja sprawi, że będzie jeszcze bardziej postrzegany jako Rosjanin. Oddziały wojskowe na ulicach i brak prądu: w ten sposób nie zdobędzie względów narodu litewskiego dla swojego rządu.

— Czy rzeczywiście ktoś strzela do ludzi? — spytał Chip.

— Nie, to pozerstwo. Tragedia przerobiona na farsę.

Okolo północy stomper pokonał ostry łuk w pobliżu Lazdijai, ostatniego dużego miasta przed polską granicą, i minął konwój wojskowy składający się z trzech dżipów, który zdążył w przeciwnym kierunku. Jonas przyspieszył na wyłożonej balami drodze i zaczął dyskutować z Gitanasem po litewsku. Morenowy krajobraz był falisty, ale bezleśny. Za nimi dwa wojskowe dżipy zawróciły i ruszyły w pogoń za stomperem. Jonas skręcił gwałtownie w lewo, zjechał z drogi i pognął wzdłuż zamarzniętego do białości jeziora.

— Prześcigniemy ich — zapewnił Chipa Gitanas dwie sekundy przed tym, jak Jonas wypadł z drogi na ostrym zakręcie.

„Właśnie mamy wypadek” — pomyślał Chip, gdy lecieli w powietrzu. Poczuł działanie potężnej siły odśrodkowej, obniżenia środka ciężkości i niekątowe wartości pędu. Miał chwilę na cichą refleksję, zaciśnięcie zębów, a potem nagle już nie było czasu na nic, tylko uderzenie za uderzeniem, hałas za hałasem. Stomper przekoziołkował parę razy i wreszcie spoczął na lewym boku, z wyłączonym silnikiem i wciąż zapalonymi światłami.

Biodra i klatka piersiowa Chipa zostały boleśnie posiniaczone przez jego własne kolana oraz pas bezpieczeństwa. Poza tym wyszedł z tej sytuacji bez szwanku, podobnie jak Jonas i Aidaris.

Gitanasem rzuciło parę razy w trakcie koziołkowania i zaatakował go luźno rzucony bagaż. Krwawił z ran na brodzie i czole. Powiedział coś naglącego do Jonasa, najwyraźniej nakazując mu zgasić światła, ale było już za późno. Na drodze słychać było nadciągającą pogoń. Ścigające ich dżipy zjechały na pobocze na zakręcie i wysypała się z nich grupka umundurowanych mężczyzn w kominiarkach.

— Policja w kominiarkach? — zdziwił się Chip. — Nie bardzo mogę w to uwierzyć.

Stomper wylądował w zamarzniętym bagnie. Ośmiu lub dziesięciu zamaskowanych „funkcjonariuszy” otoczyło oświetlonego reflektorami dżipów stompera i kazało wszystkim wyjść z wozu. Chip czuł się niczym diabełek zmuszony do wyjścia ze swojego pudełka.

Jonasa i Aidarisa rozbrojono. Zawartość SUV-a została metodycznie wyrzucona na śnieg, krusząc przemarznięte trzciny pokrywające ziemię. „Policjant” przystawił lufę strzelby do policzka Chipa i rozkazał mu coś jednym słowem, które Gitanas przetłumaczył jako:

— On cię zaprasza, żebyś się rozebrał.

Śmierć, ten posłaniec o cuchnącym trupim oddechu, pojawiła się nagle tuż obok niego. Chip bardzo się bał broni palnej. Jego ręce trzęsły się i straciły czucie; cały wysiłek woli musiał włożyć w to, aby zmusić je do odpięcia suwaków i guzików w swoim ubraniu. Najwyraźniej miał pozostać sam w swoim upokorzeniu ze względu na jakość skórzanych ubrań, które na sobie miał. Nikomu nie zależało na czerwonej kurtce motocrossowej Gitanasa czy drelichu Jonasa. Zamaskowani „policjanci” zebrali się, pokazując palcami teksturę spodni i płaszcza Chipa. Wydmuchując kłęby pary przez okrągłe otwory na swoje dziwnie pozbawione kontekstu usta, sprawdzili giętkość podeszwy jego lewego buta.

Gdy wypadł z niego zwitek dolarów, wydali zbiorowy okrzyk. Znowu ktoś przystawił strzelbę do policzka Chipa. Zmarznięte palce odkryły ogromną kopertę z gotówką pod T-shirtem. „Policja” sprawdziła też jego portfel, ale nie zabrała jego litów ani kart kredytowych. Potrzebowali tylko dolarów.

Gitanas, z kilkoma strużkami krwi krzepnącymi na jego czole, zaczął protestować u dowódcy „oddziału”. Walka słowna, która się w wyniku tego wywiązała, a podczas której Gitanas i kapitan „policji” co chwila gestykulowali w stronę Chipa i używali słów „dolary” i „Amerykanin”, zakończyła się, gdy dowódca przystawił pistolet do skrwawionego czoła Gitanasa, a ten uniósł ręce do góry, aby zaznaczyć, że kapitan „policji” ma argument nie do odparcia.

Tymczasem zwieracze Chipa rozluźniły się niemal do punktu całkowitej bezwarunkowej kapitulacji. Wydawało się jednak ważne, żeby się jakoś opanował, dlatego stał na zimnie w samych skarpetkach i bieliznie, ściskając pośladki drżącymi rękoma tak mocno, jak mógł. Ścisnął i ścisnął, walczył ze skurczami ręcznie. Nie dbał o to, jak głupio wygląda.

„Policja” znalazła wiele łupów w bagażu. Wyrzucili walizkę Chipa na śnieg i pozbierali jego rzeczy. Chip i Gitanas przyglądali się, jak „policja” tnie metodycznie tapicerkę stompera, zrywa ją i rzuca na podłogę, a potem odnajduje zapasy pieniędzy i papierosów ukryte przez Gitanasa.

— Pod jakim właściwie pretekstem to robią? — zapytał Chip, wciąż drżąc z całych sił, ale z poczuciem, że wygrał bardzo ważną bitwę.

— Jesteśmy oskarżeni o szmuglowanie pieniędzy i papierosów — wyjaśnił Gitanas.

— A kto nas o to oskarża?

— Obawiam się, że są tym, kim zdają się być — odparł Gitanas. — Innymi słowy, to policjanci w kominiarkach. Dzisiejszej nocy w naszym kraju panuje atmosfera w rodzaju Tłustego Czwartku. Coś na zasadzie „wszystko nam ujdzie na sucho”.

Nim „policja” wreszcie odjechała z rykiem silników, zrobiła się pierwsza w nocy. Chip, Gitanas, Jonas i Aidaris pozostali z przemrożonymi stopami, strzaskanym stomperem, mokrymi ubraniami i zdemolowanym bagażem.

„Przynajmniej tyle dobrego, że nie zesrałem się w gacie” — pomyślał Chip.

Wciąż miał paszport i dwa tysiące dolarów, których „policja” nie zdołała zlokalizować w kieszonce T-shirta. Miał również adidas, luźne džinsy, dobrą sportową kurtkę z tweedu i swój ulubiony sweter, które teraz pospiesznie założył.

— To zdarzenie, praktycznie rzecz biorąc, kończy moją karierę jako szefa mafii — stwierdził Gitanas. — Nie mam już żadnych ambicji do kontynuowania tej drogi.

Używając płomieni zapalniczek, Jonas i Aidaris sprawdzali podwozie stompera. Aidaris podsumował inspekcję po angielsku, na użytek Chipa:

— Auto rozpieprzone.

Gitanas zaoferował się, że odprowadzi Chipa na piechotę do przejścia granicznego na drodze do Sejn, piętnaście kilometrów na zachód, ale Chip zdawał sobie sprawę, że gdyby jego przyjaciele nie wrócili wtedy po niego na lotnisko, byłiby teraz prawdopodobnie bezpieczni, razem ze swoimi rodzinami w Ignalinie, a samochód i pieniądze pozostałyby nietknięte.

— Ech — wzruszył ramionami Gitanas. — Mogli nas zastrzelić na drodze na Ignalinę. Może ocaliłeś nam życie.

— Auto rozpieprzone — powtórzył Aidaris ze złośliwą radością.

— Zobaczymy się w Nowym Jorku? — spytał Chip.

Gitanas usiadł na siedemnastocalowym monitorze z uszkodzonym ekranem i ostrożnie pomacał swoje zakrwawione czoło.

— Tak, jasne. W Nowym Jorku — odparł.

— Możesz mieszkać u mnie.

— Pomyślę nad tym.

— Po prostu to zróbmy — powiedział Chip trochę rozpaczliwie.

— Jestem Litwinem — odparł Gitanas.

Chip czuł się wyjątkowo skrzywdzony, rozczarowany i opuszczony. Bardziej niż powinien w takiej sytuacji. Mimo to jakoś się opanował. Przyjął mapę drogową, zapalniczkę, jabłko oraz szczerze litewskie życzenia powodzenia, po czym wyruszył w ciemność.

Gdy został sam, poczuł się lepiej. Im dłużej wędrował, tym bardziej doceniał, jak wygodne są jego džinsy i adidas w porównaniu ze skórzanymi butami i spodniami, jako strój do wędrowki. Jego chód był lżejszy, krok pewniejszy; kusiło go, aby zacząć podskakiwać na drodze. Jak miło było iść w tych adidasach.

Nie było to jednak jego wielkie objawienie. Wielkie objawienie nadeszło, gdy znajdował się parę kilometrów od polskiej granicy. Szedł z wyciągniętymi w bok rękoma, nasłuchując w napięciu, czy w

okolicy nie ma jakichś spuszczonej ze smyczy psów zabójców, i czuł się co najmniej głupio, gdy przypomniał sobie, co powiedział Gitanas: „Tragedia przerobiona na farsę”. Nagle zrozumiał, dlaczego nikomu, łącznie z nim samym, nie spodobał się jego scenariusz: napisał dreszczowiec, podczas gdy powinien stworzyć farsę.

Słaby poblask poranka zamajaczył przed nim na horyzoncie. W Nowym Jorku szlifował i dopieszczał pierwsze trzydzieści stron *Akademii fioletu*, aż jego wspomnienie o tym fragmencie stało się niemal ejdetyczne, a teraz, pod rozświetlającym się nadbałtyckim niebem, zaczął wprowadzać do niego poprawki mentalnym czerwonym ołówkiem, tu wyciął kawałek, tam położył na coś nacisk, dodał hiperbolę i nagle w jego umyśle sceny stały się takie, jakich zawsze pragnął: śmieszne. BILL ORYGINAŁ stał się komicznym głupkiem.

Chip zwiększył tempo, jakby pędził w kierunku jakiegoś biurka, przy którym będzie mógł dokonać natychmiastowych poprawek skryptu. Wbiegł na wzgórze i zobaczył zaciemnione miasto Eišiškės, a nieco dalej, za granicą, światła lamp w Polsce. Dwa konie pociągowe z głowami zwieszonymi ponad ogrodzeniem z metalowej siatki zarżały do niego wesoło.

— Niech to będzie śmieszne — powiedział na głos. — Niech to będzie śmieszne.

Na posterunku granicznym trzymało straż dwóch litewskich celników i dwóch „policjantów”. Kiedy oddali Chipowi paszport, zniknął z niego gruby plik litów, który tam wcześniej wsadził. Bez żadnego widocznego powodu poza małostkowym okrucieństwem przez kilka godzin trzymali go w przegrzanym pokoju, podczas gdy przez granicę przejeżdżały w tę i we w tę betoniarki, ciężarówki z kurczakami i grupy rowerzystów. W końcu, późnym porankiem pozwolili mu wejść do Polski. Kilka kilometrów dalej, w Sejnach, kupił złote polskie i za ich pomocą nabył lunch. Sklepy były dobrze zaopatrzone. Święta. Mieszkańcy miasta byli starzy i z wyglądu bardzo przypominali papieża.

Na warszawskie lotnisko podwieźli go kierowcy trzech ciężarówek i taksówka. Znalazł się tam w środę o dwunastej w południe. Nieprawdopodobnie rumiany przedstawiciel LOT na stanowisku rezerwacji był zachwycony przybyciem Chipa. Linie dodały kilka ponadprogramowych lotów do swojego rozkładu, aby wszyscy Polacy pracujący na Zachodzie zdążyli wrócić do swoich rodzin na święta, i wiele maszyn latało częściowo na pusto. Przyjęli od Chipa gotówkę, wydali mu bilet i powiedzieli: „Biegnij”.

Pobiegł więc do wyjścia dla pasażerów, wszedł na pokład boeinga 767, który potem stał na pasie startowym jeszcze przez cztery godziny, podczas których sprawdzano, a koniec końców niechętnie wymieniono jakieś wadliwe urządzenie w kokpicie.

Samolot miał lecieć bezpośrednio do wielkiego polskiego miasta Chicago. Chip spał bez przerwy, aby zapomnieć o tym, że jest wciąż winien Denise dwadzieścia i pół tysiąca dolarów, że przekroczył limit na swoich kartach kredytowych, że nie ma pracy ani nawet perspektywy znalezienia w najbliższym czasie jakiegoś płatnego zajęcia.

Po przejściu przez kontrolę w Chicago usłyszał dobrą wiadomość — że w mieście pracują jeszcze dwie wypożyczalnie samochodów. Usłyszał też złą wiadomość — że posiadacze kart kredytowych z przekroczonym limitem nie mogą wynająć samochodu.

Przeleciał przez listę linii lotniczych w książce telefonicznej i znalazł jedną — Prairie Hopper, nigdy o niej nie słyszał — która miała wolne miejsce w samolocie lecącym do St. Jude o siódmej rano następnego dnia.

Tymczasem zrobiło się zbyt późno, aby dzwonić do St. Jude. Znalazł sobie dyskretnie ulokowany fragment wykładziny na lotnisku i ułożył się tam, aby przespać noc. Nie rozumiał, co się z nim stało. Czuł się jak kawałek papieru, który kiedyś pokrywały zwarte linijki pisma, a który teraz został

dokładnie wyprany. Czuł się szorstki, wybielony i zużyty na liniach zagięcia. Na wpół śnił o oczach pozbawionych reszty cielesnej oprawy i odseparowanych ustach wystających z kominiarek. Zgubił się, nie wiedział, czego chce, a że człowiek jest tym, czego pragnie, można rzec, że Chip nie wiedział, kim jest.

Przedziwnym trafem stary człowiek, który otworzył drzwi wejściowe następnego dnia o dziewiątej trzydzieści w St. Jude, doskonale wiedział, kim jest Chip.

Na drzwiach wisiał świąteczny wieniec. Przy ścieżce poznaczonej śladami po miotle piętrzyły się zasy pył. Ulica w środkowozachodnim mieście mogła się zdać przyjezdnemu czarodziejską krainą bogactwa, dębów i podejrzanie wielkich przestrzeni. Podróżnik nie miał pojęcia, jakim cudem takie miejsce istnieje na tym samym świecie, Litwa i Polska. Było to świadectwo izolacyjnej efektywności granic politycznych, których moc nie tylko tworzyła łuk elektryczny ponad przepaścią dzielącą dwa różne ekonomiczne woltaże. Stara ulica ze swoim zapachem dymu z palonej dębiny, ośnieżonymi, przyciętymi na płasko żywopłotami i soplami na okapach, wyglądała nierzeczywiście, niczym miraż, wyjątkowo wyraźne wspomnienie czegoś ukochanego i już dawno martwego.

— Proszę! — rzekł Alfred. Kiedy wziął dłoń Chipa w swoje obie dłonie, jego twarz pojaśniała radością. — Popatrzcie, kto przyjechał!

Enid próbowała dostać się do scenki łokciami, wykrzykując imię Chipa, ale Alfred nie puszczał dłoni syna. Jeszcze dwukrotnie powtórzył:

— Popatrzcie, kto przyjechał! Popatrzcie, kto przyjechał!

— Al, pozwól mu wejść do środka i zamknij drzwi — powiedziała Enid.

Chip zatrzymał się w przedsionku. Świat na zewnątrz był czarny i biały, i szary, oczyszczony przez świeże, czyste powietrze; zaczarowane wnętrze było gęste od przedmiotów, zapachów i kolorów, wilgoci i wielkich osobowości. Chip bał się wejść do środka.

— Wchodź, no wchodź — piszczala Enid. — I zamknij drzwi.

Aby ochronić się przed domowymi czarami, zaczął powtarzać w myślach swoje zaklęcie: „Zostaję tu tylko trzy dni, a potem wracam do Nowego Jorku, znajduję pracę, odkładam minimum pięćset dolarów miesięcznie, dopóki nie spłacę długów, a każdego wieczora pracuję nad scenariuszem”. Ta afirmacja to było wszystko, co teraz miał, marna suma jego tożsamości. Powtarzając ją, wstąpił w progi domu.

— Mój Boże, cały jesteś podrapany i śmierdzisz — powiedziała Enid, całując go na przywitanie. — Gdzie twoja walizka?

— Gdzieś przy drodze w zachodniej Litwie.

— Cieszę się, że dotarłeś bezpiecznie do domu.

Nigdzie na Litwie nie istniał pokój taki, jak salon Lambertów. Tylko na tej półkuli dywan tak okazałe wełniane i meble tak ogromne, dobrze wykonane i ze znakomitą tapicerką mogły się znaleźć w pomieszczeniu tak nieładnie zaprojektowanym i zwyczajnym. Światło przenikające przez drewniane okna, choć szare, miało w sobie periowy optymizm; w promieniu dziewięciuset kilometrów nie było morza, które komplikowałoby klimat. Stare dęby sięgające tutejszego nieba były strzeliste, dzikie i uprawione, pochodziły sprzed stałego zasiedlenia; wspomnienia o świecie niegrodzonym wypisano w kursywie ich gałęzi.

Chip pojął to w mgnieniu oka. Cały kontynent, jego kraj ojczysty. W salonie leżały gniazda porzucanych otwartych prezentów i fragmenty wstążek, ozdobnego papieru, etykietek. Przed krzesłem stojącym przy kominku, zawsze przypisanym do Alfreda, nad wielkim skupiskiem podarunków klęczała Denise.

— Denise, zobacz, kto przyjechał — powiedziała Enid.

Jakby z poczucia obowiązku, ze spuszczonym wzrokiem Denise wstała z miejsca i przemierzyła pokój, ale gdy objęła Chipa, a on odwzajemnił jej uścisk (jak zwykle jej wzrost go zaskoczył), nie chciała go puścić. Trzymała się go kurczowo, całowała w szyję, wpatrywała się w niego i dziękowała mu.

Podszedł Gary i objął Chipa dziwacznie, z odwróconą twarzą.

— Nie sądziłem, że się wyrobisz — rzucił.

— Ja też nie.

— No proszę! — zawołał jeszcze raz Alfred, wpatrując się w Chipa z zachwytem.

— Gary musi wyjechać o jedenastej — powiedziała Enid — ale możemy wszyscy razem zjeść śniadanie. Idź się umyć, a my z Denise zaczniemy szykować jedzenie. Och, o tym właśnie marzyłam — dodała, spiesząc do kuchni. — To najlepszy prezent gwiazdkowy w całym moim życiu!

Gary spojrzał na Denise ze swoim uśmiechem „Jestem dupkiem”.

— No i proszę — powiedział. — Najlepszy prezent gwiazdkowy w całym jej życiu.

— Myślę, że mama mówiła o nas wszystkich tutaj razem — odparła Denise.

— Więc lepiej pospieszmy się z tą radością — wtrącił Gary — ponieważ matka obiecała mi rozmowę, którą zamierzam wyegzekwować.

Chip, jakby odłączony od swojej cielesnej powłoki, podążył za nią, zastanawiając się, co też zamierza ona zrobić. Spod prysznica w łazience na dole wyjął aluminiowy stołeczek. Stał pod silnym i gorącym strumieniem wody. Jego wrażenia były tak świeże, że albo zapamięta je na całe życie, albo natychmiast zapomni. Mózg mógł zapamiętać tylko określoną liczbę obrazów, po czym tracił zdolność do ich dekodowania i nadawania im spójnego kształtu i kontekstu. Na przykład ta niemal bezsenna noc spędzona na skrawku wykładziny na lotnisku była wciąż żywym wspomnieniem, które aż się prosiło o przerobienie. Teraz zaś stał pod prysznicem, o poranku pierwszego dnia świąt Bożego Narodzenia, widział znajome jasnobrązowe płytki na ścianach kabiny, które jak każdy inny fizyczny element tego domu były nasycone przynależnością do Enid i Alfreda, przynależności do rodziny. Ten dom był raczej ciałem — bardziej miękkim, śmiertelnym i organicznym — niż budynkiem.

Szampon Denise miał przyjemny, subtelny zapach dojrzałego zachodniego kapitalizmu. W niespełna kilka sekund, które zajęło Chipowi namydlenie głowy, zapomniał, gdzie się znajduje. Zapomniał o kontynencie, o roku, o porze dnia, o okolicznościach. Jego mózg pod prysznicem był mózgiem ryby lub płaza, rejestrował wrażenia, reagował na migawkowe doznania. Był o krok od paniki, a jednocześnie czuł się dobrze. Marzył o śniadaniu i o czymś do picia, najlepiej kawie.

Z ręcznikiem na biodrach wszedł do salonu, gdzie Alfred na jego widok skoczył na równe nogi. Widok jego nagle postarzałej twarzy, jego wyniszczenia, czerwoności i asymetryczności smagnęły Chipa niczym bat.

— No, no! — powiedział Alfred. — Jak szybko!

— Mogę pożyczyć jakieś twoje rzeczy?

— Wybierz sobie, co chcesz.

Na górze, w szafie ojca wszystko — starodawne zestawy do golenia, łyżki do butów, golarki elektryczne, prawidła i wieszak na krawaty — znajdowało się na swoim miejscu. Trwały tu nieprzerwanie przez ostatnie tysiąc pięćset dni od czasu, gdy Chip odwiedził dom po raz ostatni. Przez chwilę był zły (jakżeby inaczej), że rodzice nigdzie się nie przeprowadzili. Po prostu zostali tu

i czekali.

Wybrał sobie bieliznę, skarpety, luźne wełniane spodnie, białą koszulę i zielony rozpinany sweter i zabrał to wszystko do pokoju, który dzielił z Garym od momentu przyścia na świat Denise aż do wyjazdu brata do college'u. Na łóżku Gary'ego stała częściowo spakowana torba podróżna, do której ten dokładał właśnie resztę rzeczy.

— Nie wiem, czy zauważyłeś — rzucił — ale tata jest w złym stanie.

— Zauważyłem.

Gary położył małą paczuszkę na szafce Chipa. Było to pudełko z amunicją kalibru 20.

— Znalazłem to przy strzelbie, w jego laboratorium — powiedział Gary. — Poszedłem tam dzisiaj rano i pomyślałem, że to zabiorę. Lepiej dmuchać na zimne.

Chip spojrział na paczuszkę i zapytał instynktownie:

— Czy to nie powinna być decyzja taty?

— To samo myślałem wczoraj — przyznał Gary. — Ale jeśli tata chce to zrobić, ma inne możliwości. Dzisiaj w nocy powinny być przymrozki. Może wyjść z domu z butelką whisky. Nie chcę, żeby mama znalazła go z rozwaloną głową.

Chip nie wiedział, co powiedzieć. W milczeniu ubrał się w rzeczy ojca. Koszula i spodnie były niesamowicie czyste i zadziwiająco na niego pasowały. Kiedy włożył sweter, aż się zdziwił, że nie trzęsą mu się ręce. Zdziwił się, widząc w lustrze tak młodą twarz.

— Powiedz, co porabiałeś — zagaił Gary.

— Pomagałem przyjacielowi z Litwy zdefraudować pieniądze zachodnich inwestorów.

— Jezu, Chip, nie rób takich rzeczy.

Wszystko inne na świecie mogło wydawać mu się obce, ale protekcjonalizm w głosie brata irytował Chipa niezawodnie.

— Z czysto moralnego punktu widzenia — powiedział — mam więcej sympatii dla Litwy niż dla inwestorów z Ameryki.

— Chcesz zostać bolszewikiem? — spytał Gary, zapinając torbę. — W porządku, bądź bolszewikiem. Tylko nie dzwoń do mnie, kiedy cię aresztują.

— W życiu by mi nie przyszło do głowy, żeby zadzwonić do ciebie — odparł Chip.

— Chłopcy, jesteście już gotowi na śniadanie? — zawołała Enid ze schodów.

Stół był nakryty płóciennym, odświeżonym obrusem. Na środku widniał stroik z szyszek, gałęzie białego i zielonego ostrokrzewu, czerwonych świeczek i srebrnych dzwoneczków. Denise ustawiała na stole jedzenie — teksańskie grejpfruty, jajecznicę, bekon oraz stollen i chleb, który upiekła wcześniej.

Pokrywa śniegu dodawała mocy jasnemu preriowemu światłu.

Zgodnie ze zwyczajem Gary usiadł samotnie po jednej stronie stołu. Po drugiej, obok Enid i Alfreda, zasiadła Denise.

— Wesółych, radosnych świąt! — powiedziała Enid, spoglądając kolejno w oczy każdemu dziecku. Alfred, ze spuszczoną głową, już zaczął się posilać.

Gary także zaczął jeść, szybko, spoglądając na zegarek. Chip nie pamiętał, żeby kawa w tych stronach kiedykolwiek tak mu smakowała.

Denise zapytała go, jak zdołał dostać się do domu. Opowiedział jej całą historię, z wyjątkiem napadu z bronią w rękę. Enid z pomrukami nagany śledziła każdy ruch Gary'ego.

— Zwolnij — powiedziała. — Nie musisz wyjeżdżać do jedenastej.

Alfred, wciąż się uśmiechając, zapytał Chipa, o czym mówi Gary.

— Nie wiem, tato.

— Naprawdę sądzisz, że pojedziecie do Filadelfii? — spytał Gary. — Że Corecktall wszystko zmieni?

— Nie, Gary, nie sądzę — odparła Enid.

Gary zdawał się nie słyszeć jej odpowiedzi.

— Tato, wyświadczy mi przysługę — poprosił. — Połóż swoją prawą rękę na lewym ramieniu.

— Gary, uspokój się — wtrąciła Denise.

Alfred pochylił się do Chipa i zapytał konspiracyjnie:

— O co on prosi?

— Chce, żebyś położył prawą rękę na lewej.

— To jakiś stek bzdur.

— Tato? — powtórzył Gary. — No, dalej, prawa ręka na lewym ramieniu.

— Przestań! — powiedziała Denise.

— Dawaj, tato. Prawa ręka, lewe ramię. Możesz to zrobić? Chcesz nam pokazać, jak wykonujesz proste polecenia? Dalej! Prawa ręka. Lewe ramię.

Alfred potrząsnął głową.

— Wystarczy nam jeden pokój z kuchnią — powiedział.

— Al, ja nie chcę mieszkać w jednym pokoju z kuchnią — sprzeciwiła się Enid.

Stary człowiek odepchnął swoje krzesło od stołu i znowu zwrócił się do Chipa:

— Widzisz, nie obędzie się bez kłopotów.

Kiedy wstawał od stołu, noga się pod nim ugięła i upadł na podłogę, pociągając za sobą podstawkę pod jedzenie wraz z talerzem, filiżanką na kawę i sosjerką. Katastrofa mogła być ostatnim taktem symfonii. Leżał na boku pośród rumowiska niczym raniony gladiator, powalony koń.

Chip uklęknął i pomógł ojcu usiąść, gdy tymczasem Denise pobiegła do kuchni.

— Jest za piętnaście jedenasta — powiedział Gary, tak jakby nic się zupełnie nie wydarzyło. — Zanim wyjdę, pozwolę sobie podsumować sytuację. Tata jest otepiały i nie trzyma moczu. Mama nie może go tutaj zostawić bez opiekuna, którego i tak by nie chciała, nawet gdyby było ją na to stać. Corecktall nie wchodzi w grę i w związku z tym chciałbym się dowiedzieć, co zamierzasz z tym zrobić. Teraz, mam. Chcę wiedzieć teraz.

Alfred oparł swoje rozdygotane dłonie na ramionach Chipa i spojrział ze zdziwieniem na meble. Pomimo wstrząsu wciąż się uśmiechał.

— Ja za to chciałbym wiedzieć, kto jest właścicielem tego domu? — powiedział. — Kto się nim zajmuje?

— Ty jesteś właścicielem, tato.

Alfred potrząsnął głową, tak jakby ta odpowiedź nie pasowała do znanych mu faktów. Gary żądał odpowiedzi.

— Chyba spróbujemy odstawić leki — powiedziała Enid.

— Dobrze, spróbujcie — odparł Gary. — Umieść go w szpitalu i przekonaj się, czy kiedykolwiek go wypuszczą. A sama w tym czasie może też urządziłabyś sobie małe wakacje od leków.

— Gary, mama je wyrzuciła — odezwała się Denise z podłogi, na której klęczała z łyżeczką. — Wsypana je do młynka na odpadki, więc po prostu się odczep.

— No, mam nadzieję, że w tym temacie zmadrzałaś, mammo.

Chip, odziany w rzeczy ojca, nie nadał za tą wymianą zdań. Dłonie ojca ciążyły mu na ramionach. Po raz drugi w ciągu ostatniej godziny ktoś czepiał się go kurczowo, jakby był człowiekiem wpływowym, jakby było w nim coś szczególnego. W rzeczywistości było w nim tak mało czegokolwiek, że nie potrafił nawet powiedzieć, czy jego siostra i ojciec pomylili się co do niego. Miał wrażenie, że jego świadomość została pozbawiona wszystkich znaków identyfikacyjnych i przetransplantowana metapsychotycznie do ciała stabilnego syna, godnego zaufania brata...

Gary przykucnął obok Alfreda.

— Tato — powiedział. — Przykro mi, że to się kończy w ten sposób. Kocham cię i wkrótce się zobaczymy.

— No. Tooj wybrrr. Taaaj — odparł Alfred. Opuścił głowę i rozejrzał się dokoła z wyrazem paranoi w oczach.

— A ty, mój nieodpowiedzialny bracie — Gary umieścił rozczapierzone palce na czubku głowy Chipa, co w jego mniemaniu było zapewne gestem czułości — liczę, że mi z tym wszystkim pomożesz.

— Zrobię, co w mojej mocy — odparł Chip z mniejszą niż zamierzona dawką ironii.

Gary wstał.

— Przepraszam, że popsułem ci śniadanie, mammo, ale przynajmniej ja czuję się lepiej, zrzuciwszy z siebie ten ciężar.

— Dlaczego nie mogłeś z tym poczekać, aż skończą się święta? — wymamrotała Enid.

Gary pocałował ją w policzek.

— Zadzwoń jutro rano do Hedgpetha, a potem do mnie i powiedz mi, na czym stoimy. Będę nad wszystkim czuwał.

Chipowi wydawało się nieprawdopodobne, że Gary może tak po prostu wyjść z domu, przerywając świąteczne śniadanie Enid, zostawiając Alfreda na podłodze. Ale Gary był w swoim najbardziej racjonalnym nastroju, jego słowa wypełniała formalna pustka, oczy unikały kontaktu, gdy wkładał kurtkę i chwycił swoją torbę podróżną oraz prezenty dla rodziny od Enid, ponieważ Gary się bał. Chip widział to wyraźnie poza chłodną fasadą milczącego odejścia: jego brat się bał.

Gdy tylko zamknęły się drzwi wejściowe, Alfred podniósł się i podążył do łazienki.

— Cieszymy się wszyscy, że Gary zrzucił z siebie ciężar i teraz czuje się znacznie lepiej — powiedziała Denise.

— Nie, on miał rację — odparła Enid, wpatrując się ponuro w stroik. — Coś się musi zmienić.

Po śniadaniu godziny mijały chorobliwie — kalekie oczekiwanie wielkiego święta. Chip, wyczerpany, nie mógł się ogrzać, chociaż twarz aż piekła od ciepła z kuchni i zapachu pieczonego indyka, spowijającego cały dom. Za każdym razem gdy wchodził w zasięg wzroku ojca, widział, jak na twarzy Alfreda pojawia się uśmiech rozpoznania i radości. Rozpoznanie mogło mieć coś wspólnego z błędną identyfikacją, gdyby nie było połączone z wypowiedaniem imienia Chipa. Chip zdawał się ukochanym dzieckiem staruszka. Przez większość życia kłócił się z ojcem i cierpiał z powodu jego braku akceptacji. Jego osobiste upadki były poważniejsze, a poglądy polityczne bardziej skrajne niż kiedykolwiek, a jednak to Gary walczył z ojcem, Chip zaś sprawiał, że stary człowiek się uśmiechał.

Podczas obiadu zadał sobie trud, aby opisać swoje niektóre zajęcia na Litwie. Mógłby równie dobrze recytować monotonnym głosem kod podatkowy. Denise, zazwyczaj niedościgniony wzór

słuchacza, była zajęta pomaganiem Alfredowi z jedzeniem, natomiast Enid dostrzegała tylko niedostatki swojego męża. Wzdrygała się, wzdychała lub potrząsała głową przy każdym upuszczonym kęsie, każdym *non sequitur*. Dość wyraźnie było widać, że Alfred zmieniał jej życie w piekło.

„Jestem najmniej nieszczęśliwą osobą przy tym stole” — pomyślał Chip.

Pomógł Denise pozmywać naczynia, podczas gdy Enid zajęła się rozmową telefoniczną z wnukami, Alfred zaś poszedł do łóżka.

— Jak długo już tata jest w tym stanie? — spytał Denise.

— W takim? Dopiero od wczoraj. Ale wcześniej było niewiele lepiej.

Chip włożył gruby płaszcz Alfreda i wyszedł na dwór z papierosem.

Było zimniej niż w Wilnie. Wiatr potrząsał gęstymi brązowymi liśćmi, wciąż jeszcze wiszącymi na gałęziach dębów, tych najbardziej konserwatywnych drzew na świecie. Pod jego stopami zaskrzypiał śnieg. „Dzisiaj w nocy powinny być przymrozki” — powiedział Gary. „Może wyjść z domu z butelką whisky”. Chip chciał się zastanowić nad tym ważnym zagadnieniem samobójstwa w chwili, gdy papieros wspomagał pracę jego mózgu, ale jego oskrzela i nos były tak porażone zimnem, że ledwo zarejestrowały gryzący dym papierosowy, a ból przemrożonych palców i uszu — cholerne kolczyki — stawał się nie do zniesienia. Poddał się i wpadł do domu w momencie, gdy Denise wychodziła.

— Gdzie się wybierasz? — spytał.

— Wrócę.

Enid siedziała przy kominku w salonie, przygryzając wargę w wyrazie czystej rozpacz.

— Nie otworzyłeś prezentów — powiedziała.

— Może jutro rano — odparł.

— Jestem pewna, że nie kupiłam ci niczego, co by ci odpowiadało.

— To miłe, że w ogóle coś mi kupiłaś.

Enid potrząsnęła głową.

— To nie były święta, o jakich marzyłam. Nagle tata nie może już niczego zrobić, zupełnie niczego.

— Spróbujmy zrobić mu te wakacje od leków i zobaczymy, czy to coś pomoże.

Enid chyba odczytywała w płomieniach złe wróżby.

— Zostaniesz na tydzień, żeby pomóc mi zabrać ojca do szpitala?

Dłoń Chipa powędrowała do kolczyka w uchu niczym do talizmanu.

Czuł się jak dziecko z baśni braci Grimm, ciepłem i strawą przyciągnięte do zaczarowanego domu; a teraz czarownica chciała go zamknąć w klatce, utuczyć i pożreć.

Powtórzył swoje zaklęcie ochronne, które wymyślił dziś rano przy drzwiach wejściowych.

— Mogę zostać tylko trzy dni. Muszę szybko pójść do pracy. Jestem winien dużo pieniędzy Denise i powinienem jej je oddać.

— Tylko na tydzień — poprosiła czarownica. — Jeden tydzień, dopóki nie dowiemy się, co będzie ze szpitalem.

— Nie sądzę, mamó. Muszę wracać.

Rozpacz Enid pogłębiła się jeszcze, ale jego odmowa chyba matki nie zaskoczyła.

— No to chyba wszystko spoczywa na moich barkach — powiedziała. — Chyba zawsze wiedziałam, że tak się stanie.

Poszła do pokoju telewizyjnego, a Chip dołożył polan do kominka. Przez nieszczelne okna i drzwi do pokoju wpadały zimne podmuchy wiatru i poruszały zasłonami. Piec chodził niemal bez przerwy.

Świat był zimniejszy i bardziej pusty, niż wydawało się Chipowi. Starsi odeszli.

Około jedenastej wróciła Denise, śmierząc papierosami i wyglądając na niemal zupełnie przemrożoną. Pomachała Chipowi i próbowała uciec na górę, ale namówił ją, żeby usiadła przy kominku. Uklękała w pobliżu ognia, pociągając nosem, i wyciągnęła dłonie w kierunku płomieni. Patrzyła prosto w ogień, jakby chciała się upewnić, że ich oczy się nie spotkają. Wytarła nos w zużytą chusteczkę.

— Gdzie byłaś? — zapytał.

— Na spacerze.

— Długim spacerze.

— No.

— Wysłałaś mi kilka e-maili, które wyrzuciłem, zanim zdążyłem je porządnie przeczytać.

— Och.

— Co się dzieje? — zapytał.

Potrząsnęła głową.

— Po prostu wszystko.

— W poniedziałek miałem prawie trzydzieści tysięcy dolarów w gotówce. Chciałem ci oddać twoje dwadzieścia cztery, ale potem zostałem napadnięty przez umundurowanych mężczyzn w kominiarkach, choć może ci się to wydawać mało prawdopodobne.

— Daruję ci ten dług — powiedziała Denise.

Dłoń Chipa znowu powędrowała do koleczka.

— Zacznę ci spłacać po minimum czterysta dolarów miesięcznie, dopóki nie pokryję podstawowego długu i odsetek. To mój najwyższy priorytet. Absolutnie najważniejszy.

Jego siostra odwróciła głowę i spojrzała na niego. Oczy miała przekrwione, a czoło czerwone jak u noworodka.

— Powiedziałam, że daruję ci ten dług. Nic mi nie jesteś winien.

— Doceniam to — odparł szybko, odwracając wzrok. — Ale i tak zamierzam ci oddać te pieniądze.

— Nie — powiedziała. — Nie zamierzam przyjąć twoich pieniędzy. Darowuję ci dług. Czy rozumiesz, co to znaczy „darować”?

Swoim przedziwnym nastrojem i niespodziewanymi słowami trochę przerażała Chipa. Pociągnął za koleczek i powiedział:

— Denise, daj spokój, proszę cię. Okaż mi przynajmniej trochę szacunku i pozwól spłacić ten dług. Wiem, że byłem łajzą, ale nie chcę być łajzą całe życie.

— Chcę darować ci ten dług — upierała się Denise.

— Naprawdę, proszę cię — Chip uśmiechnął się z desperacją. — Musisz mi pozwolić go spłacić.

— Nie możesz znieść tego, że ktoś ci coś podaruje?

— Nie — odparł. — Właściwie nie. Nie mogę. Lepiej będzie, jeśli spłacę ten dług.

Denise pochyliła się do przodu, objęła ramionami, przekształciła się w oliwkę, jajko, cebulkę. Z wnętrza jej obłej formy dobiegł go niski głos:

— Czy zdajesz sobie sprawę, że akceptując moje darowanie ci długu, wyświadczyłbyś mi ogromną przysługę? Czy zdajesz sobie sprawę, że ciężko mi prosić cię o taką przysługę? Czy zdajesz sobie sprawę, że twój przyjazd na święta był jedyną rzeczą, jakiej od ciebie chciałam? Czy zdajesz sobie sprawę, że nie usiłuję cię teraz obrazić? Czy zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie wątpiłam, iż

splacisz ten dług, a teraz wiem, że proszę cię o coś bardzo dla ciebie trudnego? Czy zdajesz sobie sprawę, że nie prosiłabym cię o coś takiego, gdybym tego tak bardzo, bardzo, strasznie nie potrzebowała?

Chip spojrział na trzęsącą się, skuloną ludzką postać u jego stóp.

— Co się dzieje? — zapytał.

— Mam wiele różnego rodzaju problemów — odparła Denise.

— W takim razie to nie jest odpowiedni moment na rozmowę o pieniądzach. Zapomnijmy o tym na chwilę. Chcę, żebyś mi powiedziała o swoich kłopotach.

Wciąż zwinięta w kłębek, Denise stanowczo potrząsnęła głową, raz.

— Musisz się zgodzić. Teraz. Powiedz: „Dobrze, dziękuję ci”.

Chip uczynił gest absolutnego zadziwienia. Dochodziła północ i jego ojciec zaczął hałasować na górze, jego siostra zaś leżała zwinięta w kłębuszek i błagała go, aby przyjął darowanie głównej udręki w jego życiu.

— Porozmawiajmy o tym jutro — powiedział.

— Czy pomogłoby ci, gdybym poprosiła cię o coś innego?

— Jutro, dobrze?

— Mama chce, żeby ktoś tu był w przyszłym tygodniu — powiedziała Denise. — Mógłbyś zostać i jej pomóc. To byłaby dla mnie ogromna ulga. Umrę, jeżeli będę musiała zostać tu dłużej niż do niedzieli. Po prostu dosłownie przestanę istnieć.

Chip oddychał ciężko. Drzwi do klatki zamykały się za nim szybko. Poczucie, które miał w męskiej toalecie na lotnisku w Wilnie, że jego dług wobec Denise nie jest obciążeniem, lecz jego ostatnią linią obrony, powróciło do niego w postaci strachu przed perspektywą anulowania go. Żył z tą dolegliwością długu, dopóki nie przybrał on charakteru nerwiaka tak zawile wplątanego w konstrukcję jego mózgu, że teraz wątpił, czy może go usunąć chirurgicznie. Zastanawiał się, czy ostatnie samoloty lecące na wschód już opuściły lotnisko, czy też wciąż jeszcze zdążyłby uciec jeszcze dziś.

— Co byś powiedziała na darowanie mi połowy długu? — spytał. — Wtedy będę ci krewny tylko dziesięć kawałków. Moglibyśmy też zostać oboje do środy.

— Nie.

— Czy jeśli powiem: tak, przestaniesz zachowywać się tak dziwnie i rozchmurzysz się trochę?

— Najpierw się zgódź.

Alfred wołał Chipa z góry:

— Chip, czy możesz mi pomóc?

— Woła twoje imię, nawet gdy ciebie tu nie ma — powiedziała Denise.

Okna drżały pod naporem wiatru. Kiedy to się stało, że jego rodzice zmienili się w dwójkę dzieci, które chodziły wcześniej spać i wołały z góry o pomoc? Kiedy to się stało?

— Chip — zawołał Alfred. — Nie rozumiem, o co chodzi z tym kocem. CZY MOŻESZ MI POMÓC?

Dom trząsał się w posadach, na zewnątrz huczał wiatr, przeciąg od okien przybrał na sile; w przyływie wspomnień przypomniał sobie zasłony z czasów, gdy opuścił St. Jude i pojechał do college'u. Pamiętał pakowanie ręcznie robionych austriackich szachów, które jego rodzice podarowali mu z okazji zakończenia szkoły, sześciotomową biografię Lincolna, którą dostał od nich na osiemnaste urodziny, nowy granatowy sweter od Brooks Brothers („Wyglądasz w nim jak

przystojny młody doktor!” — zasugerowała Enid), całą stertę białych podkoszulków, białych kalesonów, białych majtek, zdjęcie Denise z piątej klasy w ramce Lucite i ten sam koc z Hudson Bay, który Alfred zabrał ze sobą na Uniwersytet Kansas czterdzieści lat wcześniej. Pakował parę wzmocnianych skórą wełnianych rękawiczek z jednym palcem, również relikw z przeszłości kansaskiej Alfreda, oraz zestaw ciężkich ciepłych zasłon, które Alfred kupił dla niego w Searsie. Czytając przewodnik dla pierwszoroczników, Alfred zatrzymał się na zdaniu: „Zimy w Nowej Anglii potrafią być bardzo chłodne”. Zasłony, które kupił w Searsie, były brązowo-różową płachtą plastikowego materiału ze wzmocnieniem z pianki. Były ciężkie, sztywne i niepakowne.

— Docenisz je podczas zimnej nocy — powiedział Chipowi. — Zdziwisz się, jak bardzo potrafią powstrzymać przeciągi.

Ale nowy współlokator Chipa, Roan McCorkle, absolwent prywatnej szkoły podstawowej, który wkrótce miał zostawić tłuste po — najprawdopodobniej — wazelinie odciski palców na zdjęciu Denise, śmiał się z tych zasłon, więc Chip również się z nich śmiał. Włożył je z powrotem do pudełka, które następnie schował w piwnicy akademika i pozwolił im porastać pleśnią przez następne cztery lata. Osobiście nie miał nic przeciwko tym zasłonom. Były po prostu sobą i chciały tego, co każda zasłona świata — wisieć porządnie, jak najlepiej zasłaniać światło słoneczne, pasować idealnie do okna, które było ich przeznaczeniem; chciały, by ktoś je odsłaniał nad ranem i zasłaniał na noc; łopotać na wietrze, który przynosił burzę w letnie noce; chciały, by ich używano, a nieczęsto zauważano. Na całym środkowym zachodzie i nie tylko — również na wschodzie Stanów — istniały liczne szpitale, domy pogodnej starości i tanie motele, w których owe izolowane pianką zasłony miałyby przed sobą długie i pożyteczne życie. To nie była ich wina, że nie należały do pokoju w akademiku. Nie zdradzały żadnej chęci do awansu; ich materiał i wzór nie wskazywał w najmniejszym stopniu na niestosowne ambicje. Były tym, czym były. Jeśli już, to gdy wreszcie wydobył je z piwnicy w dniu ukończenia studiów, ich dziewicze różowawe zagięcia okazały się mniej plastikowe, skromne i „od Searsa”, niż pamiętał.

— Nie rozumiem tych koców — zawołał Alfred.

— Dobrze — powiedział Chip Denise, gdy zaczął wspinać się po schodach. — Jeżeli masz się dzięki temu poczuć lepiej, to zgadzam się. Nie spłacę tego długu.

Pytanie brzmiało: jak wydostać się z tego więzienia?

Musiał mieć baczenie na wielką czarną kobietę, tego podłego bękarta. Chciała zamienić jego życie w piekło. Stała na drugim końcu dziedzińca więziennego, rzucając mu znaczące spojrzenia, aby przypomnieć mu, że wciąż go pamięta, że jeszcze nie skończyła się jej vendetta. Była leniwą czarną gnojową i powiedział to na głos. Przeklinał wszystkich sukinsynów w pobliżu, białych i czarnych. Cholerne tchórzliwe sraluchy z tymi swoimi szczegółowymi przepisami. Biurokraci z Departamentu Ochrony Środowiska, inspektorzy BHP, bezczelni tacy i owacy. Trzymali się teraz z daleka, pewnie, ponieważ wiedzieli, że może ich dorwać, ale niech no tylko przyśnie na chwileczkę, niech no przestanie czuwać, rzucają się na niego. Nie mogli się doczekać, żeby mu powiedzieć, jakim jest zerem, żeby okazać swój brak szacunku. To czarne tłuste ścierwo, ta obrzydliwa czarna dziwka wytrzymała jego spojrzenie i skinęła mu głową przez morze białych głów innych więźniów. „Dorwę cię” — mówiło jej spojrzenie. Nikt inny nie dostrzegął, co ona chce mu zrobić. Wszyscy inni byli nieśmiały, bezużytecznymi obcymi, którzy gadali jakieś bzdury. Przywitał się z jednym z tych ludzi i zadał mu proste pytanie, a tamten nawet nie rozumiał po angielsku. To powinno być wystarczająco proste, zadać łatwe pytanie, uzyskać prostą odpowiedź, ale nie. Był sam, samotny w rogu areny; a te skurwysyny chciały go dorwać.

Nie rozumiał, gdzie jest Chip. Chip był intelektualistą i potrafiłby przemówić tym ludziom do rozsądku. Chip odwalił wczoraj dobrą robotę, on sam by tak nie dał rady. Zadał proste pytanie, otrzymał prostą odpowiedź, a potem wyjaśnił ją w taki sposób, że każdy by zrozumiał. Ale teraz nigdzie nie było Chipa. Współwięźniowie dawali sobie znaki, machając ramionami niczym policjanci kierujący ruchem ulicznym. Spróbuj wydać tym ludziom jakieś proste polecenie, no spróbuj. Udawali, że nie istniejesz. Ta cholerna czarna gnojowa wystraszyła ich na śmierć. Gdyby się zorientowała, że więźniowie są po jego stronie, gdyby zauważyła, że pomagają mu w jakikolwiek sposób, zemściłaby się na nich. Miała to spojrzenie, które mówiło: „Dokopię ci”. A on w tym momencie swojego życia miał już po dziurki w nosie bezczelnych czarnych kobiet, ale co mógł zrobić? To było więzienie, publiczna instytucja. Wtrącali tutaj wszystkich. Siwowłose, machające rękoma kobiety, bezwłose wróżki dotykające palców stóp. Ale dlaczego on, na miłość boską? Zapłakał na myśl, że znalazł się w takim miejscu jak to. Starość była piekłem sama w sobie, bez dodatkowych prześladowań ze strony rozlazłej czarnej takiej i owakiej. Znowu tu była.

— Alfred? — chamska, bezczelna. — Pozwolisz mi teraz wyprostować ci nogi?

— Ty cholerna gnojowo, ty bękarcie! — rzucił.

— Wiele można o mnie powiedzieć, ale rodziców mam. A teraz może położysz ręce wzdłuż ciała, o tak, spokojnie, i pozwolisz mi rozprostować twoje nogi. Poczujesz się lepiej.

Rzucił się do ucieczki, gdy podeszła bliżej, ale jego pasek zaczepił się o krzesło, jakoś się zaczepił, o krzesło, gdzieś o krzesło. Utknął w krzesło i nie mógł się ruszyć.

— Jeśli będziesz się dalej tak zachowywał, Alfredzie — powiedział złośliwy babsztyl — będziemy musieli cię zabrać z powrotem do twojego pokoju.

— Gnojowa! Bękart! Gnojowa!

Odwróciła swoją bezczelną twarz i poszła sobie, ale wiedział, że tu wróci. Oni zawsze wracali. Jego jedyną szansą było wyplatać jakoś ten zaczepiony pasek z krzesła. Uwolnić się, uciec, skończyć to wreszcie. Ktoś kiepsko to zaplanował, żeby wybieg w więzieniu urządzić na którymś piętrze. Można stąd było zobaczyć nawet Illinois. Te wielkie okna. Kiepski projekt, jeśli chcieli tu trzymać więźniów. Z tego co widział, okno było zrobione z podwójnej szyby. Jeśli uderzy w nie głową i rzuci się na przód, może mu się udać. Ale najpierw musi wyswobodzić ten cholerny pasek.

Zmagał się z jego gładką nylonową szerokością ciągle w ten sam sposób, bez końca. Kiedyś podchodził do przeciwności losu filozoficznie, ale ten czas już minął. Jego palce były słabe niczym trawa, gdy próbował wsunąć je pod pasek, żeby zań pociągnąć. Uginały się niczym przejrzałe banany. Próby włożenia ich pod pasek były w tak oczywisty i ostateczny sposób bezcelowe — pasek miał ogromną przewagę w swojej twardości i ciasności — że jego wysiłki wkrótce stały się pokazem rozpacz, wściekłości i niemożności. Zaczepił paznokciami o pasek, a potem wyrzucił ramiona w bok, aż dłonie uderzyły w podłokietniki więziennego fotela i boleśnie odbiły się o oparcie, ponieważ był taki cholernie wściekły...

— Tato, tato, tato, hej! Uspokój się — powiedział ktoś.

— Zabrać tego gnoja! Zabrać cholernego bękarta!

— Tato, spokojnie, to ja. Chip.

Rzeczywiście, głos wydawał się znajomy. Spojrzał ostrożnie na Chipa, żeby się upewnić, czy właściciel głosu naprawdę jest jego średnim dzieckiem, ponieważ te bękarty zawsze próbowały wykorzystać każdą sytuację i dorwać się do człowieka. Gdyby właściciel głosu okazał się kimś innym niż Chip, nie opłacałoby się mu zaufać. Zbyt ryzykowne. Ale w Chipperze było coś takiego, czego te gnoje nie potrafiły naśladować. Gdy człowiek patrzył na Chippera, wiedział, że ten nigdy by

go nie okłamał. Była w nim słodycz, której nikt nie potrafiłby udawać.

W miarę jak Alfred rozpoznawał Chippera, oddech mu się wyrównywał, aż wreszcie coś w rodzaju uśmiechu wydostało mu się na twarz.

— Cóż! — powiedział wreszcie.

Chip przysunął sobie krzesło i podał mu kubeczek z zimną wodą. Alfred zorientował się, że jest spragniony. Pociągnął spory łyk ze słomki i oddał wodę Chipowi.

— Gdzie jest twoja matka?

Chip odstawił kubek na podłogę.

— Obudziła się dziś rano z przeziębieniem. Powiedziałem jej, żeby została w łóżku.

— Gdzie ona teraz mieszka?

— W domu. Dokładnie tam, gdzie dwa dni temu.

Chip wyjaśnił już wcześniej Alfredowi, dlaczego musi być w tym miejscu, i owo wyjaśnienie było logiczne tak długo, dopóki widział twarz Chipa i słyszał jego głos. Ale gdy tylko Chip zniknął, wyjaśnienia przestawały mieć sens.

Wielka czarna gnojowa krążyła wokół nich, popatrując wilkiem.

— To jest sala do fizjoterapii — powiedział Chip. — Znajdujemy się na ósmym piętrze szpitala St. Luke. Mama miała tutaj operację stopy, jeśli jeszcze pamiętasz.

— Ta kobieta to suka — powiedział, wskazując na Murzynkę.

— Nie, ta kobieta to fizjoterapeutka — wyjaśnił Chip. — Próbuje ci pomóc.

— Nie, spójrz na nią. Nie widzisz, kim jest? Nie widzisz?

— Jest fizjoterapeutką, tato.

— Czym? Czym jest?

Z jednej strony ufał wiedzy i zapewnieniom swojego syna intelektualisty. Z drugiej jednak strony czarna suka patrzyła na niego ostrzegawczo, jakby dając do zrozumienia, że zamierza go skrzywdzić przy najbliższej możliwej sposobności; wrogość jej gestów była przejrzysta jak woda. Nie mógł pogodzić tych dwóch sprzeczności: jego wiary w to, że Chip ma rację, i jego przekonania, że czarna suka w żadnym wypadku nie jest przedstawicielem służby zdrowia.

Sprzeczność otworzyła się przed nim niczym bezdenne przepaść. Wpatrywał się w jej głębiny z rozdziawioną gębą. Po podbródku pełzło mu coś ciepłego. I znów ręka jakiegoś bękarta sięgała w jego kierunku. Próbował uderzyć gnoja i w samą porę zorientował się, że ręka należy do Chipa.

— Spokojnie, tato. Chcę ci wytrzeć brodę.

— Ach, Boże.

— Chcesz tutaj trochę posiedzieć, czy wolisz wrócić do swojego pokoju?

— Według twojego uznania — użyteczna fraza wskoczyła mu do głowy, gotowa do użycia, elegancka, według uznania.

— Dobrze, więc pójdziemy do pokoju — zdecydował Chip, sięgając za krzesło i regulując je. Najwyraźniej miało mnóstwo strasznie skomplikowanych pokręteł i dźwigni.

— Zobacz, czy nie możesz odczepić mojego paska — powiedział Alfred.

— Wrócimy do pokoju i wtedy sobie pospacerujesz.

Chip wywiózł go z dziedzińca i na górę więzienia do jego celi. Alfred nie mógł wyjść z podziwu nad luksusowym urządzeniem stanowisk. Były jak eleganckie pokoje hotelowe, z wyjątkiem pasów na łóżku, pęt i radioodbiorników, zwyczajnego wyposażenia więzień.

Chip zaparkował fotel przy oknie, wyszedł z sali ze styropianowym dzbankiem i wrócił po chwili

w towarzystwie ślicznej małej dziewczyny w białym fartuchu.

— Panie Lambert — powiedziała. Była śliczna jak Denise, z czarnymi kręconymi włosami, ale drobniejsza. — Jestem doktor Schulman. Być może pan pamięta, że spotkaliśmy się już wczoraj.

— Cóż! — uśmiechnął się szeroko. Pamiętał świat, w którym istniały kobiety jak ta, piękne małe dziewczyny z jasnymi oczyma, mądrymi twarzami, świat pełen nadziei.

Położyła rękę na jego czole i pochyliła się, jakby chciała go pocałować. Potwornie go przestraszyła. Nieomal ją uderzył.

— Nie chciałam pana przestraszyć — powiedziała. — Chciałam tylko przyjrzeć się pana oczom. Czy mogę?

Zwrócił się do Chipa po potwierdzenie, ale Chip gapił się na dziewczynę.

— Chip! — powiedział Alfred.

Chip odwrócił od niej wzrok.

— Tak, tato?

Cóż, teraz, gdy przyciągnął wreszcie uwagę Chipa, musiał coś powiedzieć, i oto co rzekł:

— Przekaż matce, żeby się nie martwiła o cały ten bałagan. Wszystkim się tutaj zajmę.

— Dobrze, przekażę jej.

Wprawne palce i jasna twarz dziewczyny znajdowały się niebezpiecznie blisko jego twarzy. Poprosiła go, żeby zacisnął dłoń w pięść, uszczypnęła go i szturchnęła. Gdy się odezwała, wydawało mu się, że mówi z telewizora w innym pokoju.

— Tato? — powiedział Chip.

— Nie usłyszałem.

— Doktor Schulman pyta się, czy wolisz, żeby mówić do ciebie Alfred, czy pan Lambert. Co byś wolał?

Uśmiechnął się boleśnie.

— Chyba nie nadążam.

— Myślę, że wolałby „pana Lamberta” — odparł Chip.

— Panie Lambert — podjęła mała dziewczyna — czy może mi pan powiedzieć, gdzie się pan znajduje?

Znowu zwrócił się do Chipa, na którego twarzy malowało się oczekiwanie, ale i odmowa pomocy. Alfred wskazał na okno.

— W tym kierunku jest Illinois — powiedział do swojego syna i do dziewczyny. Oboje słuchali z dużym zainteresowaniem i Alfred czuł, że może powiedzieć więcej.

— Jest tam okno — ciągnął — które... jeśli się otworzy... tego bym chciał. Nie mogłem rozpiąć paska. A potem...

Zawiódł i wiedział o tym.

Mała kobietka spojrzała na niego mile.

— Czy może pan powiedzieć, kto jest naszym prezydentem?

Alfred uśmiechnął się. To było łatwe pytanie.

— Cóż — powiedział. — Ona ma strasznie dużo rzeczy tam na dole. Wątpię, żeby to zauważyła. Powinniśmy wszystko to wyrzucić.

Drobna lekarka pokiwała głową, jak gdyby to była rozsądna odpowiedź na jej pytanie. Podniosła obie dłonie do góry. Była śliczna jak Enid, ale Enid miała na palcu obrączkę, Enid nie nosiła okularów, a ostatnio się postarzała i chyba jej już nie rozpoznał, chociaż była mu bardziej znajoma

niż Chip, ale jednocześnie trudniej dostrzegalna.

— Ile palców panu pokazuję? — spytała dziewczyna.

Przyjrzał się jej palcom. O ile się domyślał, mówiły do niego, żeby się rozluźnił, zrelaksował, wyluzował.

Z uśmiechem opróżnił pęcherz.

— Panie Lambert? Ile palców pan widzi?

Były tam, jej palce, cudowna rzecz. Ulga nieodpowiedzialności. Im mniej wiedział, tym był szczęśliwszy. Nie wiedzieć nic, to jakby znaleźć się w raju.

— Tato?

— Powinienem to wiedzieć — odparł. — Uwierzysz, że mogłem zapomnieć takiej rzeczy?

Mała kobietka i Chip wymienili spojrzenia i wyszli na korytarz.

Alfred delectował się rozluźnieniem, ale po minucie czy dwóch poczuł, że cały jest mokry. Musiał natychmiast zmienić ubranie i nie mógł. Siedział więc w zasikanych, stygnących ciuchach.

— Chip? — zawołał.

W więzieniu panował bezruch. Nie mógł polegać na Chipie, bo ten ciągle znikał. Nie mógł polegać na nikim oprócz siebie samego. Nie miał planu, nie miał siły w rękach. Mimo to spróbował rozluźnić pasek, żeby ściągnąć spodnie i wytrzeć się do sucha, ale pasek był jak zwykle nieznośny. Dwadzieścia razy przebiegł dłońmi wzdłuż niego i dwadzieścia razy nie udało mu się znaleźć sprzączki. Był jak dwuwymiarowa osoba szukająca ucieczki w trzecim wymiarze. Mógł szukać przez całą wieczność i nigdy nie znaleźć tej choleralnej sprzączki.

— Chip! — zawołał, choć nie głośno, ponieważ gdzieś tam czaiła się czarna suka, która ukarałaby go za to okrutnie. — Chip, chodź tutaj i pomóż mi.

Najchętniej pozbyłby się całych swoich nóg. Były słabe, w wiecznych drgawkach, mokre i uwięzione. Zamachnął się nimi i bujnął się nieco w swoim niebujanym fotelu. Jego ręce ruszały się gwałtownie. Im mniej mógł zrobić z nogami, tym bardziej trzęsły się jego ramiona. Cholerne gnojki dopadły go wreszcie, został zdradzony. Rozpłakał się. Gdyby tylko wiedział! Gdyby tylko wiedział, podjąłby kroki, miał przecież strzelbę, bezdenny zimny ocean, gdyby tylko wiedział.

Rzucił dzbankiem z wodą o ścianę i wreszcie usłyszał, że ktoś nadbiega.

— Tato, tato, tato. Co się stało?

Alfred spojrział synowi w oczy. Otworzył usta, ale potrafił powiedzieć tylko jedno:

— Ja...

Ja...

...popęlniałem błędy

...jestem samotny

...jestem mokry

...chcę umrzeć

...żałuję

...robiłem, co w mojej mocy

...kocham moje dzieci

...potrzebuję twojej pomocy

...chcę umrzeć

— Ja nie mogę tu zostać — dokończył.

Chip przykucnął na podłodze obok fotela.

— Posłuchaj — powiedział. — Musisz tu zostać jeszcze przez tydzień, żeby mogli cię obserwować. Musimy się dowiedzieć, co się z tobą dzieje.

Alfred potrząsnął głową.

— Nie! Musisz mnie stąd zabrać!

— Przykro mi, tato — odrzekł Chip — ale nie mogę zabrać cię do domu. Musisz tutaj zostać przynajmniej jeszcze przez tydzień.

Och, jakże jego syn wystawiał na próbę jego cierpliwość! Powinien już zrozumieć, o co prosił go Alfred, bez konieczności powtarzania.

— Mówię ci, żebyś to skończył! — uderzył w oparcie więziennego fotela. — Musisz mi pomóc to skończyć!

Wyjrzał przez okno, przez które wreszcie był gotów wyskoczyć. Albo niech dadzą mu strzelbę, siekiere, cokolwiek, byle się mógł stąd uwolnić. Musiał sprawić, żeby Chip to rozumiał.

Chip położył dłoń na jego drgającej ręce.

— Zostanę z tobą, tato — powiedział. — Ale nie mogę cię stąd zabrać. I nie mogę tego skończyć, tak jak chcesz. Przykro mi.

Jasność myśli i wola działania były wciąż żywe w jego pamięci, niczym żona, która umarła, albo dom, który spłonął. Za oknem prowadzącym do innego świata wciąż dostrzegał tę jasność i tę wolę, prawie w zasięgu ręki, tuż za podwójną szybą. Widział pożądane skutki, utonięcie w morzu, postrzał, upadek z wysokości, wciąż tak wyraźnie, że nie mógł uwierzyć, iż stracił sposobność, aby skorzystać z ulgi, jaką niosły.

Zapłakał nad niesprawiedliwością wydanego nań wyroku.

— Na miłość boską, Chip — powiedział na głos, ponieważ wyczuł, że może to być jego jedyna szansa na uwolnienie, zanim straci cały kontakt z jasnością i wolą, dlatego chciał koniecznie, żeby Chip dokładnie zrozumiał, czego on chce. — Proszę cię o pomoc! Musisz mnie stąd wydostać! Musisz skończyć ten koszmar!

Nawet z czerwonymi od płaczu oczami i policzkami mokrymi od łez twarz Chipa była pełna jasności i siły. Oto syn, któremu mógł zaufać, syn, który zrozumie go tak, jak on sam siebie rozumiał. Dlatego gdy usłyszał odpowiedź Chipa, wiedział, że jest ona ostateczna. Odpowiedź Chipa zdradziła mu, że to właśnie koniec. Koniec nastąpił, gdy Chip potrząsnął głową i powiedział:

— Nie mogę, tato. Nie mogę.

KOREKTY

Gdy w końcu wprowadzono korektę, nie pojawiła się niczym nagle pęknięcie bąbla powietrza, lecz jako bardzo delikatne rozczarowanie, całoroczny wyciek wartości z czołowych rynków finansowych. Kurczenie się następowało zbyt stopniowo, aby wejść na nagłówki gazet, i zbyt przewidywalnie, aby kogoś poważnie skrzywdzić oprócz głupców i ciężko pracującej biedoty.

Enid odnosiła wrażenie, że bieżące wydarzenia ogólnie rzecz biorąc są teraz bardziej przytłumione i mdłe niż za jej młodości. Miała wspomnienia z lat trzydziestych, widziała na własne oczy, co się może stać z krajem, gdy światowa ekonomia robi się bezlitosna; pomagała matce roznosić resztki jedzenia dla bezdomnych mężczyzn koczujących na uliczce za ich pensjonatem. Ale Stanom Zjednoczonym już się nie przytrafiły nieszczęścia o takiej skali. Wszędzie wprowadzono zabezpieczenia, które miały złagodzić ewentualne upadki, niczym gumowe płyty, którymi był wyłożony każdy nowoczesny plac zabaw.

Mimo to rynki się załamywały i Enid, której nigdy nie przyszło do głowy, że mogłaby być zadowolona z tego, iż Alfred zablokował ich pieniądze w rencie i w bonach skarbowych, przetrwała spadek koniunktury z mniejszymi obawami niż jej wysoko mierzący przyjaciele. Orfic Midland, zgodnie z ostrzeżeniem, nie przedłużyła jej tradycyjnego ubezpieczenia zdrowotnego i próbowała ją zmusić do przejścia na tańsze ubezpieczenie HMO, ale jej dawny sąsiad Dean Driblett jednym pociągnięciem pióra, błogosławił Panie jego duszę, awansował ją i Alfreda do opcji DeeDeeCare Choice Plus, dzięki której Enid zachowała wszystkich ulubionych lekarzy. Wciąż jeszcze ponosiła ogromne nierefundowalne miesięczne wydatki na dom opieki, ale oszczędzając, była w stanie opłacić wszystkie rachunki z emerytury Alfreda i zasiłku kolejarskiego, podczas gdy dom, który wykupiła za gotówkę, zyskiwał na wartości. Prosta prawda wyglądała tak, że choć nie była bogata, nie była również biedna. W jakiś sposób owa prawda umykała jej przez lata spędzone w ciągłym strachu i niepewności co do Alfreda, ale gdy tylko on znalazł się poza domem, a ona nadrobiła trochę zaległości w spaniu, zobaczyła wszystko jasno i przejrzysto.

Widziała wszystko znacznie wyraźniej, zwłaszcza to, co dotyczyło jej dzieci. Gdy Gary wrócił do St. Jude z Jonahem kilka miesięcy po katastrofalnych świętach, bawiła się z nimi doskonale. Gary wciąż chciał, aby Enid sprzedała dom, ale nie mógł już argumentować, że Alfred spadnie ze schodów i się zabije. Poza tym przez te kilka miesięcy Chip odnowił trochę dom (pomalował wiklinowe meble, wyczyścił rynny, zagipsował pęknięcia w ścianach, zabezpieczył dach), którego zaniedbanie było kolejnym punktem przetargowym Gary'ego. On i Enid sprzeczali się wprawdzie o pieniądze, ale bardziej w celach rekreacyjnych. Gary prześladował ją z powodu 4 dolarów i 96 centów, które wciąż mu była „winna” za sześć piętnastocentymetrowych śrub, ona zaś odbijała piłeczkę, pytając:

— Czy to nowy zegarek?

Gary odpowiadał, że owszem, Caroline podarowała mu nowego rolexa na Gwiazdkę, ale niedawno z kolei dostało mu się za IPO pewnej firmy biotechnologicznej, której akcji nie udało mu się sprzedać przed piętnastym czerwca i w ogóle, chodzi o zasady, mamó, zasady. Enid jednak odmawiała, z zasady, zwrotu owych bez mała pięciu dolarów i cieszyła się na myśl, że do końca życia nie zapłaci mu za te sześć śrub. Zapytała Gary'ego, za którą to firmę dokładnie mu się tak oberwało, a Gary odparł, że to nieważne.

Po świętach Denise przeprowadziła się do Brooklynu i poszła do pracy w nowej restauracji, a w kwietniu przesłała Enid na urodziny bilet na samolot. Enid podziękowała jej i powiedziała, że nie mogłaby zostawić Alfreda, to nie byłoby w porządku. Potem zaś spędziła kilka wspaniałych dni w Nowym Jorku. Denise wyglądała na znacznie szczęśliwszą niż podczas świąt i Enid zdecydowała, że nie będzie się interesować, czy Denise ma jakiegoś mężczyznę, a nawet nie pragnie, by takowy

pojawił się w jej życiu.

Po powrocie w St. Jude Enid rozgrywała pewnego popołudnia partyjkę brydża u Mary Beth Schumpert, gdy Bea Meisner zaczęła dawać upust swojej chrześcijańskiej dezaprobachie wobec słynnej aktorki „homo”.

— Jest dla młodzieży fatalnym wzorem do naśladowania — mówiła. — Myślę, że jeśli człowiek wybiera zło w swoim życiu, to przynajmniej nie powinien się tym przechwalać, zwłaszcza jeśli mają teraz specjalne programy, w których pomagają takim ludziom.

Enid, która w tym robrze była partnerką Bei i była już wkurzona, że Bea nie odpowiedziała na otwierającą licytację, delikatnie zauważyła, że homoseksualiści nie mogą nic poradzić na swoje preferencje seksualne.

— O nie, na pewno mają wybór — powiedziała Bea. — To jest słabość i zaczyna się już w okresie dzieciństwa. Bez dwóch zdań. Wszyscy eksperci się z tym zgadzają.

— Podobał mi się ten thriller, który zrobiła jej dziewczyna z Harrisonem Fordem — wtrąciła się Mary Beth Schumpert. — Jaki miał tytuł?

— Nie wierzę w to, że ma się wybór — upierała się spokojnie Enid. — Chip powiedział mi kiedyś bardzo interesującą rzecz. Powiedział, że jeśli ludzie tak nienawidzą gejów i tak bardzo ich nie akceptują, kto by był gejem, gdyby miał wybór? Pomyślałam, że to naprawdę interesujący punkt widzenia.

— No, niezupełnie, ponieważ chodzi o ich przywileje — odparła Bea. — Chcą zachować „gejowską dumę”. To dlatego tak wielu ludzi ich nie lubi, pomijając niemoralność ich życia i uczynków. Nie mogą tak po prostu wybrać zła, muszą jeszcze trąbić o tym na wszystkie strony.

— Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam dobry film — zamyśliła się Mary Beth.

Enid nie była mistrzynią „alternatywnych” stylów życia i rzeczy, których nie lubiła w Bei Meisner, nie lubiła przez czterdzieści lat. Nie rozumiała, dlaczego ta właśnie szczególna rozmowa przy brydżu pomogła jej zdecydować, że nie musi być już przyjaciółką Bei Meisner. Nie potrafiła też powiedzieć, dlaczego materializm Gary’ego, porażki Chipa i bezdzietność Denise, które kosztowały ją wiele bezsennych nocy pełnych strapienia i potępiania przez te wszystkie lata, nagle, gdy Alfreda nie było już w domu, przestały ją tak bardzo stresować.

Oczywiście wiele w jej życiu zmienił fakt, że teraz wszystkie dzieci jej pomagały. Zwłaszcza Chip przeszedł jakby cudowną przemianę. Po świętach, zanim wrócił do Nowego Jorku, został z Enid przez sześć tygodni i codziennie odwiedzał Alfreda. Miesiąc później wrócił do St. Jude bez tych swoich okropnych kolczyków. zaproponował, że zostanie znacznie dłużej, co zdumiało i zachwyciło Enid do czasu, gdy dowiedziała się, iż jej syn zaangażował się w romans z rezydentką neurologii w szpitalu St. Luke.

Neurolog, Alison Schulman, miała kręcone włosy i była przeciętnie wyglądającą żydowską dziewczyną z Chicago. Enid lubiła ją nawet, ale zdumiewało ją, że młoda lekarka odnosząca sukcesy zawodowe chce mieć cokolwiek wspólnego z jej pracującym na zlecenia synem. Tajemnica pogłębiła się jeszcze w czerwcu, gdy Chip oznajmił, że przeprowadza się do Chicago, aby rozpocząć niemoralne życie na kocią łapę z Alison, która objęła posadę w spółdzielni lekarskiej w Skokie. Chip ani nie zaprzeczył, ani nie potwierdził, że zamierza dokładać się do wydatków domowych. Twierdził, że pracuje nad scenariuszem i że jego producentowi z Nowego Jorku bardzo się podobała nowa wersja, więc poprosił Chipa o jej zapisanie. Jedynym zyskownym zajęciem Chipa, o ile wiedziała Enid, było jednak branie zastępstw w szkołach. Doceniała to, że raz na miesiąc przyjeżdżał z Chicago i zostawał na kilka dni, które spędzał z Alfredem; uwielbiała, gdy jej dzieci wracały na

środkowy zachód. Ale gdy Chip oznajmił, że będzie ojcem bliźniaków kobiety, z którą nawet nie był żonaty, i gdy zaprosił Enid na ślub, na którym narzeczona była w siódmym miesiącu ciąży, a jedyną pracą pana młodego było przepisywanie swojego scenariusza po raz czwarty i piąty, i gdy większość gości weselnych okazała się Żydami całkowicie zachwyconymi młodą parą, Enid nie znalazła dosłownie niczego, co mogłaby uznać za zło i potępić! Na myśl, że gdyby Alfred był z nią na tym ślubie, musiałyby w tej sytuacji znaleźć coś złego i godnego potępienia, nie czuła się z siebie dumna i nie myślała dobrze o swoich bez mała pięćdziesięciu latach małżeństwa. Jeśli dzisiaj siedziałyby u boku Alfreda, wszyscy goście z pewnością dostrzegliby jej kwaśną minę i odsunęliby się od niej. Nie podnieśliby jej wraz z krzesłem z ziemi i nie przenieśliby jej w ten sposób do sali, w której rozbrzmiewała muzyka klezmerska, a już na pewno ta sytuacja nie sprawiałaby jej takiej przyjemności.

Cała przykrość polegała na tym, że życie bez Alfreda w domu było lepsze dla wszystkich z wyjątkiem Alfreda.

Hedgpeth i inni lekarze, w tym Alison Schulman, przetrzymali Alfreda w szpitalu St. Luke przez styczeń i luty, chciwie dojąc wkrótce już byłego ubezpieczyciela Orfic Midlands, podczas gdy wypróbowywali każdą możliwą formę terapii, od elektrowstrząsów do haldolu. Wreszcie Alfred został zwolniony ze szpitala z rozpoznaniem parkinsonizmem, otępieniem, depresją oraz neuropatią nóg i dróg moczowych. Enid czuła się moralnie zobowiązana do zaoferowania mu pomocy w domu, ale jej dzieci, dzięki Bogu, nie chciały o tym nawet słyszeć. Alfred został umieszczony w domu opieki Deepmire, tuż obok klubu wiejskiego, i Enid zobowiązała się do codziennych odwiedzin, ubierania go i przynoszenia domowego jedzenia.

Była szczęśliwa, że ma przynajmniej jego ciało. Zawsze lubiła jego rozmiar, kształt, zapach, a teraz, przykuty do wózka inwalidzkiego, był dla niej znacznie bardziej dostępny i gdy go dotykała, nie mógł wyartykułować spójnego sprzeciwu. Pozwalał się całować i nie kulił się, gdy jej usta zostawały trochę dłużej na jego ustach, nie wzdragał się, gdy głaskała go po włosach.

Zawsze pragnęła jego ciała. Cała reszta Alfreda był problemem. Enid była nieszczęśliwa, zanim przysłała go odwiedzić, nieszczęśliwa podczas wizyty i kilka godzin później. Alfred wszedł w fazę głębokiej przypadkowości. Enid zastawała go czasem zatopionego w strachu, z brodą zwisającą na piersi i plamą od ściekającej śliny na nogawce spodni. Czasami też gawędziła z nim niczym z ofiarą wylewu albo rośliną doniczkową. Czasem przez całe godziny próbował założyć z powrotem skórkę niewidocznemu owocowi i to zajęcie pochłaniało całą jego uwagę. Czasem spał, ale cokolwiek robił, nie miało to żadnego sensu.

Jakimś cudem Chip i Denise znaleźli w sobie cierpliwość, żeby siedzieć z ojcem i rozmawiać o czymkolwiek, co podpowiadała mu jego otępiąca wyobraźnia, czy były to zdewastowane pociągi, problem uwięzienia, czy też wspomnienia luksusowego rejsu, ale Enid nie mogła znieść najmniejszej pomyłki. Kiedy Alfred brał ją za jej matkę, poprawiała go gniewnie:

— Al, to ja, Enid, twoja żona od czterdziestu ośmiu lat.

Jeśli pomylił ją z Denise, mówiła dokładnie to samo. Przez całe życie czuła się niewłaściwa i teraz miała szansę pokazać Alfredowi, jak bardzo on jest niewłaściwy. Nawet jeżeli w innych sferach swojego życia rozluźniła się nieco i przestała być taka krytyczna, podczas wizyt w domu opieki Deepmire zachowywała pełną czujność. Musiała przyjść i powiedzieć Alfredowi, że postąpił źle, brudząc lodami swoje czyste, świeżo uprasowane spodnie, nie rozpoznając Joego Persona, gdy ten był na tyle miły, żeby go odwiedzić. Postąpił źle, nie oglądając zdjęć Aarona, Caleba i Jonaha, nie ciesząc się z tego, że Alison urodziła dwie zdrowe, chociaż małe dziewczynki, nie okazując

radości, wdzięczności lub chociaż odrobiny przytomności umysłu, gdy jego żona i córka zadały sobie ten ogromny trud i zabrały go do domu na Święto Dziękczynienia, zachował się niewłaściwie, mówiąc po owym obiedzie, gdy już wrócił do Deepmire:

— Lepiej mi było nie ruszać się stąd, niż musieć tutaj wracać.

Postępował nieładnie, nie pozostając przy zdrowych zmysłach przez cały czas, skoro potrafił zachować przytomność umysłu w takiej chwili. Zachowywał się niewłaściwie, próbując powiesić się w nocy na prześcieradle, usiłując wyskoczyć przez okno i pociąć nadgarstek widelcem. Ogólnie rzecz biorąc, miał niewłaściwe podejście do tylu rzeczy, że Enid nigdy nie odpuściła sobie wizyty u niego — z wyjątkiem czterech dni w Nowym Jorku, dwóch świąt Bożego Narodzenia w Filadelfii i trzech tygodni rekonwalescencji po operacji biodra. Musiała mu powiedzieć, póki jeszcze miała czas, jak bardzo był nie w porządku i jak bardzo ona była w porządku. Jak bardzo był nie w porządku, że nie kochał jej bardziej, nie wielbił jej i nie chciał uprawiać seksu przy każdej nadarzającej się sposobności, jak źle postąpił, nie ufając jej instynktom finansowym, spędzając tyle czasu w pracy i tak mało poświęcając go dzieciom, jak krzywdzące było jego negatywne nastawienie do życia, ponuractwo, próby ucieczki przed życiem, wieczne mówienie „nie” zamiast „tak”: musiała mu to wszystko opowiadać, bez końca, każdego dnia. Nawet jeśli nie słuchał, ona wciąż czuła, że musi mu to powiedzieć.

Alfred spędził w domu opieki Deepmire dwa lata, a potem przestał przyjmować pokarmy. Chip wziął urlop od ojcostwa, uczenia w prywatnej szkole średniej oraz ósmej z kolei korekty swojego scenariusza i przyjechał z Chicago, żeby się pożegnać. Alfred żył po tym spotkaniu zaskakująco dłużej. Do końca życia pozostał lwem. Kiedy odwiedzili go Denise i Gary, jego puls był ledwie wyczuwalny, ale i tak żył jeszcze przez cały tydzień. Leżał zwinięty na łóżku i prawie nie oddychał. Nie poruszał się, nie reagował na nic, z wyjątkiem gwałtownego potrząśnięcia głową, gdy Enid próbowała położyć kawałek lodu na jego ustach. To była jedna rzecz, której nie zapomniał: jak odmawiać. Wszystkie korekty, które usiłowała wprowadzić w jego umyśle, poszły na marne. Był uparty dokładnie tak samo, jak w dniu ich pierwszego spotkania. Mimo to gdy już umarł, gdy pocałowała go w czoło ostatni raz, a potem odeszła z Denise i Garym w ciepłą, wiosenną noc, czuła, że nic, absolutnie nic nie może stłumić jej nadziei. Miała siedemdziesiąt pięć lat i zamierzała dokonać pewnych zmian w swoim życiu.

Przypisy:

- [1] Harald I Haarfager (ok. 855-ok. 940), pierwszy historyczny władca Norwegii. W wyniku długotrwałych walk w 2. poł. IX w. doprowadził do zjednoczenia terytoriów rodowo-plemiennych i powstania jednolitego państwa norweskiego (ten przypis i pozostałe pochodzą od tłumaczy).
- [2] Jednoizbowy parlament norweski.
- [3] Doradca ds. Bezpieczeństwa Narodowego za prezydentury Kennedyego.
- [4] Gra słów; ashland, z ang. kraj popiołów.
- [5] Tums, pastylki do ssania lub żucia, podobnie jak maalox przynoszące ulgę w problemach żołądkowych.
- [6] CAT, *computerised axial tomography*; osiowa tomografia komputerowa.
- [7] Gwiazda filmów pornograficznych.
- [8] Orgon to nazwa nadana przez Williama Reicha życiowej sile, która przenika i otacza wszystkie żywe organizmy i Ziemię.
- [9] Pierwszy czarnoskóry burmistrz Filadelfii.
- [10] Filadelfijski ruch anarchistyczny, m.in. wspierający więźniów i osoby represjonowane.
- [11] Patronka obłąkanych.
- [12] Occupational Safety and Health Administration, Agencja Bezpieczeństwa i Higieny Pracy.
- [13] Processing and Exploitation Coordination Office, Biuro Zagospodarowania i Eksploatacji.
- [14] Gotowa do spożycia.
- [15] American Civil Liberties Union, Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich.
- [16] Merkurochrom jest środkiem bakteriobójczym, anbesol zaś środkiem usmierzającym ból, stosowanym przy leczeniu aft i u dzieci podczas ząbkowania.
- [17] Educational Testing Service, firma zlokalizowana w Princeton, USA, zajmująca się organizowaniem różnorodnych testów, m.in. zarządzająca egzaminami TOEFL.
- [18] Zwierzę z rodziny pieniążkowców, zaliczane do podgromady jeżowców nieregularnych.